

1842-1942

KS. JOZEF DABROWSKI

KS. JÓZEF DĄBROWSKI



Ks. Józef Dąbrowski

MONOGRAFIA HISTORYCZNA

Opracował
Ks. Aleksander Syski

1842 100 1942

WYDANIE JUBILEUSZOWE

1942

Nakład i własność Seminarium Polskiego w Orchard Lake, Mich.

Wstęp

DAWNYMI LATY, w pocie swego czoła,
Mnich sprawy ludzkie na pergamin leje;
W mowie łacińskiej, w języku Kościoła
Kreśli poważne, rodowite dzieje,
Aby pod świętych wyrazów osłoną
Pamięć praojców tym więcej uczczono.
Słowo, na kartę wpisane w ten sposób,
Nieodwołalnym wyrokiem się stało:
Był to i posąg uwieńczony chwałą,
I pręgierz hańby dla czasu i osób.
Takim wspomnieniem gdy dziejopis wspomni,
Przeszłość na zawsze staje na widoku,
I rzadko kiedy do tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekną potomni.

* * *

SWOJE wspomnienia w postaci odmiennej
Pisze dla wnuków wieśniak niepiśmienny.
Gdzie mu mieć kartę? gdzie pióro i rylec?
A jednak w sercu potrzeba się budzi,
Aby syn własny lub obcy przybylec
Znał dawne czasy i dawniejszych ludzi, —
Aby na wieki zbawić od zatraty,
Co się w tej wiosce trafiło przed laty.
Więc zamiast karty bierze grunt z pod wioski,
A zamiast pisma krzyż z drzewa wyciosa,
I cichych dziejów niezmazane głoski
Na tle błękitnym odbiją niebiosa.

* * *

A W WIOSCE nie brak zgrzybiałego dziada,
Który o kiju pod krzyż się przywlecze,
I byleś ciekaw, przechodni człowiecze,
Krzyża i wioski dzieje ci wygada.
Dziejopis umrze, pergamin zbutwieje,
Młodzi przestaną trudzić się łaciną;
Ale krzyżami zapisane dzieje
Z pamięci ludzkiej niełatwo zaginą.

Jeden krzyż zgnije, drugi się postawi,
Jeden dziad umrze, to drugi się zdarzy;
A młodzi zawsze powieści ciekawi,
Więc zawsze gotów słuchacz u bajarzy;
I takim kształtem powieść o rodzinie
Z krwią pokolenia w pokolenie płynie.

* * *

CZASEM się zdarzy, ktoś z opowiadaczy
Dat nie pamięta, imię przeinaczy.
Więc słucha mędrzec i ramiony wzruszy:
Podanie pismu nie jest odpowiednie;
Śmieje się tedy i myśli w swej duszy:
Brednie dziadowskie, nic więcej, niż brednie!
Ach! to nie brednie, chwycone z ulicy!
Ręczy krzyż Pański, choć to świadek niemy;
Nie mówcie różni mędrcy piśmiennicy
Że my w podaniu prawdy nie znajdziemy.
Nie wierzysz w ścisłość historycznej daty,
Lecz sercem czujesz: tak było przed laty,
Bo pamięć ojców, choć tysiąc lat mija,
Krzyżem, jak gwoździem głos ludu wybija;
I bardziej trafi do twojego łona
Gawęda starca, niż książka uczona.

WIERSZ SYROKOMLI, który powyżej przytoczyłem, maluje dobrze myśl i intencję, z jaką biorę się do napisania życiorysu ks. Józefa Dąbrowskiego w setną rocznicę jego przyjścia na świat.

Chciałbym być mnichem, co pisze rylcem w ciszy klasztornej, ale też dobrze będzie, jeśli zostanę choć starym dziadem, który pod krzyżem na dróg rozstaju podaje dalej stare podanie gromadce chętnych, co go słuchają.

Wolę to, niż, co się niestety zdarza zazwyczaj, książkę jedynie ozdobną. Przeznaczeniem książek ozdobnych, jubileuszowych jest karmić próżność ich posiadaczy i leżeć sobie w poczekalniach albo salonach na pięknym stole, jako zabawki, nie kuszące nikogo do uważnego wczytania się w treść przestronnych i ładnych kartek.

Nie uśmiecha mi się wcale ta ostatnia perspektywa choćby ze względu na nimb osoby, o której piszę, a który słusznie jej się należy. Chciałbym, ażeby praca moja o ks. Józefie Dąbrowskim uniknęła losu ozdobnych albumów i „chciałbym raczej dożyć pociechy, żeby zbłądziła ona pod strzechy."

Nazwisko bowiem ks. Józefa Dąbrowskiego wśród Polonii w Ameryce jeżeli nie jest, to powinno być hasłem, a dzieło jego życia, które chciałbym tu przedstawić, jest melodią i symbolem, które powinny nam krzepić ducha.

Z DRUGIEJ strony, sądy nasze o ks. Józefie Dąbrowskim, oparte na niedość rzetelnej znajomości jego życia i jego duszy, formowały się w opoce, kiedy nie było w Ameryce wśród Polonii jeszcze historii, a raczej tego, co się nazywa jej nauką, historiozofią.

Stąd w sądach tych więcej nieraz schlebiania własnym upodobaniom, niżeli wczucia się i zrozumienia indywidualności tego kapłana i patrioty i jego dzieła.

Pretensjonalne, a niegłębokie przywiązanie do niego przyczepiało doń etykietę obcej i mniemanej tylko wielkości i wtłoczało w kategorię przeciętną, zdawkową.

Tak powstały czasem aż śmieszne, naukowo nieuzasadnione, a pamięci tego wielkiego kapłana nawet uwłaczające legendy nie tylko o jego dziele, ale i o nim.

Tymczasem życie, kształtowanie się istoty twórczej i idea przewodnia życiowej pracy w tym naprawdę wielkim Polaku i katoliku, w tym kapłanie naprawdę świętym i ideowym, podobne są raczej do dębu, tyle w nim potężnej odporności, krążenia soków, pędu ku górze podług praw słońca i własnej mocy.

KS. JÓZEF DĄBROWSKI, to natura wybitnie polska i katolicka, w tragedii życia niezmiernie ciekawa, w samodzielności i energii twórczej zdumiewająca, w świętości zaś i wyrobieniu wewnętrznym ducha, wprost apostolska.

Pisząc ten jego życiorys, odsuwam jak najdalej wszelkie pokusy doktrynerstwa i tendencji obchodowych, bo uważam, że dopóty duszy i dzieła człowieka czynu oraz historii nie zrozumiemy, dopóki na niego patrzyć będziemy przez własne okulary, zgóry wszystko fałszywym, sztucznym światłem zabarwiające. Chcę widzieć życie, czyny, kształtowanie się istoty wewnętrznej i owoce życiowej pracy ks. Józefa Dąbrowskiego tak jak drzewo z głębi swojskiej wyrastające, w przekonaniu, że ono samo, byle tylko należycie zrozumiane, tajemnicę mi swą powie i życie swe wytłumaczy, i dzieło życia swego mi przedstawi. Rok za rokiem od kolebki aż do grobu pójdę za nim w dobrej wierze, że jak konar plenny owocem, a nie „epoka" lub jej „twór" tylko, powie mi wszystko, powierzy myśli, uczucia, dzieje.

TAKA METODA może nie będzie imponująca, i w bezpośredni poklask osobiście dla mnie owocna, ale z punktu widzenia naukowego będzie jednak pożyteczniejsza, a dla ogółu bardziej przystępna, bo nie będzie sucha i będzie bardziej odpowiadała psychologii i nastrojom istniejącym obecnie we współczesnej literaturze naszej nie tylko w Europie, lecz i w Ameryce.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową biografie ludzi wielkich i w Europie i w Ameryce polegały na zebraniu z ich życia wszystkich nawet najmniejszych faktów, wydarzeń, szczegółów i szczególików i przedstawieniu ich z zachwytem i ciągłymi pochwałami w grubym

tomie lub nawet paru grubych tomach książki mniej lub więcej ozdobnej i pięknie, literacko opracowanej. Obecnie biografie tego typu już zanikają. Piszą je jeszcze literaci i uczeni, sprzedający swoje pióro różnym wielkościom tego świata, zwłaszcza w celach propagandowych, ale ogół czytelników już przestał interesować się tą lekturą „z urzędu“ preparowaną ad usum Delphini, t.j. dlatego, aby pochlebiać.

Rozczarowanie nieraz głębokie do spraw i ludzi, których zbyt pochopnie idealizowano, odwróciło sentyment od biografii pisanych starą powszechnie przyjętą dotąd metodą i wytworzył się jakby z reakcji typ biografii zupełnie nowy, której najwybitniejszym bodaj przedstawicielem w Ameryce jest Gamaliel Bradford. Typ ten przeniósł punkt ciężkości z biografii na tak zwaną psychografię, dzieje duszy, życie wewnętrzne. Szczegóły życia, daty, i sukces, albo zewnętrzne niepowodzenie odgrywają w biografii tego nowego typu rolę już tylko podrzędną, podczas gdy na front wysunięto raczej charakter, myśl i motywy serca i ducha, które właściwą są treścią życia ludzi zarówno wielkich, jak i małych. Pchnął w tym kierunku literaturę biograficzną w Ameryce już Henry Adams, który sam zresztą był tylko echem literackiego i naukowego ruchu w Europie, zwłaszcza we Francji. W dziele tym, poświęconym ks. Józefowi Dąbrowskiemu i my pójdziemy raczej metodą nowego typu.

W TEN właśnie sposób ujrzymy łatwiej i wyraźniej w ks. Dąbrowskim męża iście wielkiego, sprawiedliwego, który z wiary żyje i któremu na ostatek, gdy „potykaniem dobrym potykał się i zawodu dokonał, odłożon jest wieniec sprawiedliwości.“ To, że w życiu jego przed nim i za nim szedł los zawistny, łamał mu życie, piętrzył trudności, rzadko lub nigdy doń nie uśmiechnął się, to już nie zmienia istoty rzeczy tak, jak nie zmienia gleba jałowa, bicie piorunów lub topór drwala istoty dębu, albo topoli, chociaż im śmignąć tak, jakby mogły, albo nie daje, albo je łamie albo wywraca.

W życiorysach mężów wielkich chodzi nam głównie i przede wszystkim o istotę ich wielkiej duszy, zespół sił ich tajnych twórczych, które wynoszą ich ponad poziom, i o dorobek ich cenny, wielki, który zostawiają nam dla ludzkości, dla narodu, dla społeczeństwa, lub choćby tylko jego odłamu, lub instytucji.

W życiorysie ks. Józefa Dąbrowskiego, nie o co innego, tylko również i przede wszystkim o to nam idzie. Niewątpliwie w toku mej pracy nie ustrzegę się wielu błędów i niedociągnięć. Mam do czynienia z materiałem surowym, gdyż w danym wypadku jeszcze brak zupełnie studiów przygotowawczych, które zazwyczaj poprzedzić muszą monograficzne opracowanie każdej historycznej postaci, albo przedmiotu. Będę musiał być zarazem, jak to mówią, i kamieniarzem, i cieślą, i budowniczym, a to zadania mi nie ułatwia. Czas by był wielki, aby wśród Polonii Amerykańskiej obudził się już ruch naukowy, któryby zebrał choć materiały, choć dokumenty, choć daty i fakty historyczne z życia ludzi, którzy wśród nas należą do historii lub do historii przechodzą. Dopiero na podstawie takiego zbioru dokumentów oraz rozpraw o po-

szczególnych rzeczach i faktach, mogą wyrastać monografie, w których już tylko sprawdzanie i zestawianie, wyciąganie konkluzji i sumowanie rezultatu dochodzenia naukowego zaprząta zwykle ich autora.

W MONOGRAFII o ks. Józefie Dąbrowskim muszę naprzód być szperaczem i zbieraczem materiału, zanim wgryzę się i wczuję w jądro rzeczy i zbuduję już tylko na prawdzie opartą postać wierną, historyczną, wyrazistą.

Niezawodnie tedy nie ustrzegę się niedociągnięć, a co zatem idzie, zarzutów oraz krytyki.

Jednym z głównych zarzutów będzie na pewno ta bądź co bądź w monografiach historycznych nie praktykowana jeszcze niejednolitość i wewnętrzna struktura książki, jaką sobie obrałem. Dla ułatwienia bowiem sobie pracy, a zarazem dla zorientowania zarówno siebie, jak i czytelników moich co do tego, co w życiorysie ks. Józefa Dąbrowskiego jest już zbadane i należy do historii, a co historią jeszcze nie jest, co jest jeszcze w stanie mgławicy i co jest jeszcze albo podaniem, albo wymysłem dowolnym może być wyobraźni dla uwypuklenia rzeczywistości, podzieliłem całą tę pracę na dwie części, całkiem odmienne.

Część pierwsza, naukowa poda nam życie i czyny ks. Józefa Dąbrowskiego w świetle faktów, dat, i historii, część druga, literacka poda nam to samo w świetle fantazji i wyobraźni.

Kto się zmęczy czytaniem części pierwszej, ten rozerwie się i zaciekawi czytaniem drugiej, a obie uzupełnią się nawzajem i dadzą obraz wielkiego ducha jakim bezsprzecznie był w dziejach polskich na wychodztwie w Ameryce bohater książki, ks. Józef Dąbrowski.

TYM spośród moich przyjaciół, którzy mi pomagali do napisania tej książki nie tylko swoją radą, ale i wybitną swoją współpracą, składam tu jak najgłębsze i jak najserdeczniejsze podziękowanie. Nie wymieniam ich nazwisk nie dla braku wdzięczności, którą poniosę z sobą aż do grobu, ale jedynie tylko ze względu na swoisty snobizm, który panuje jeszcze w pewnych sferach.

Do Zoilów przybranych w togę, o których wiem, zgóry, że krytykować będą, zwłaszcza niejednolitość i wewnętrzną budowę książki, apeluję bardzo pobożnie: „Indigeo clementia tua, si Tibi tamen labor noster displicuerit, ex corde Tibi opto, superopto, ut incomparabiliter meliora facias," czyli krótko po naszemu: „napisz lepiej."

ŻYCIE człowieka jest księgą, trzeba atoli umieć w niej czytać. Postarajmy się księgę życia ks. Józefa Dąbrowskiego nie tylko sobie przypomnieć, ale otworzyć i przeczytać. Każda księga składa się z kartek, a wszystkie karty ujęte są w rozdziały, jakby w klamry.

W życiu człowieka dni i lata, w regularnej sukcesji po sobie następujące, ujęte są również w klamry życiowych epok.

Jak są cztery pory roku: wiosna, lato, jesień i zima, — tak i w życiu ludzkim jest wiek dzieciństwa, jest wiek młodzieńczy, i jest wiek męski, a wreszcie starość.

Cztery pory roku w przyrodzie są mniej więcej co rok te same lub takie same, ale odpowiadające im cztery epoki w życiu ludzkim dla każdego człowieka są zgoła różne, zawsze odmienne.

„Polały się łzy me czyste, rzęsiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męski, wiek klęski;
Polały się łzy me czyste, rzęsiste!“

Tak na epoki podzielił życie swoje Mickiewicz, i niezawodnie wraz z Mickiewiczem tak by uczynił i ks. Dąbrowski. Na dystans jednak pisząc życiorys, nie podzielimy życia ks. Józefa Dąbrowskiego według granicznych tych słupów czasu i według losu, który kolejno wraz z swym rozwojem życie mu niosło.

Za zasadę rozgraniczenia oraz podziału życiorysu tego raczej weźniemy sobie nie wiek, lecz miejsce.

TRZY są części, trzy okresy, trzy epoki, na które życie ks. Józefa Dąbrowskiego rozpada się z tego względu dość jaskrawo i na które podzielić trzeba jego życiorys.

Pierwsza epoka, to życie jego w Polsce, w Europie. Druga epoka, to życie jego w Polonia, Wisc. Trzecia epoka, to życie jego w Detroit. Odpowiadają te trzy epoki kolejnemu biegowi życia ks. Józefa Dąbrowskiego również i w czasie, ale czynnikiem jednak głównym, nadającym im koloryt, nie jest wiek życia, ale warunki jego i miejsce. Jeżeli chodzi o rozgraniczenie tylko pór roku i o podział tylko stosownie do nich całokształtu życia ks. Dąbrowskiego, to rozpada się ono i trzeba by podzielić je właśnie tylko na dwie części.

Jedna bez końca i epilogu, druga bez początku i środka. Jedna będąca jednak jakby całością, druga będąca tylko epilogiem. Jedna w Europie, a druga w Ameryce. Jedna jest całym życiem ducha i ciała, — jest...

„Wązką ścieżką, łączącą dwa morza,
Błądzącym szlakiem dni naszych przestworza,
Gdzie z swej przeszłości lecim w przyszłość mroczną, —
Jedni najprościej, co najrychlej spoczną;
Drudzy, co złudne wiodą ich widoki,
Plony, ogrójce i sławy opoki,
Szczęśliwi jeśli wśród mar wyobraźni
Znajdą przed końcem choć drogi swej jaźni.“

DRUGA jest już tylko jak gdyby połową życia ciała, a nawet ducha. Pełna męstwa, żywotności i energii na zewnątrz, jest tęsknotą jednak tylko wewnętrzną ciągłą i zdaje się przemawiać do nas tymi słowy Mickiewicza:

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
I w oczy patrzy wam i głośno do was gada,
Dusza ma, ach, daleka, hen daleka...
Błąka się tam, a tu milczy, narzeka.

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej,
I liczne mam serca mego rodzeństwo,
Piękniejszy kraj, niż ten, co w oczach stoi,
Rodzina milsza mi, niż wasze pokrewieństwo.

Tam wpośród prac i trosk i wśród zabawy
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami,
Tam leżę wśród przebujnej wonnej trawy.
Tam pędzę wciąż bez troski za muszkami,

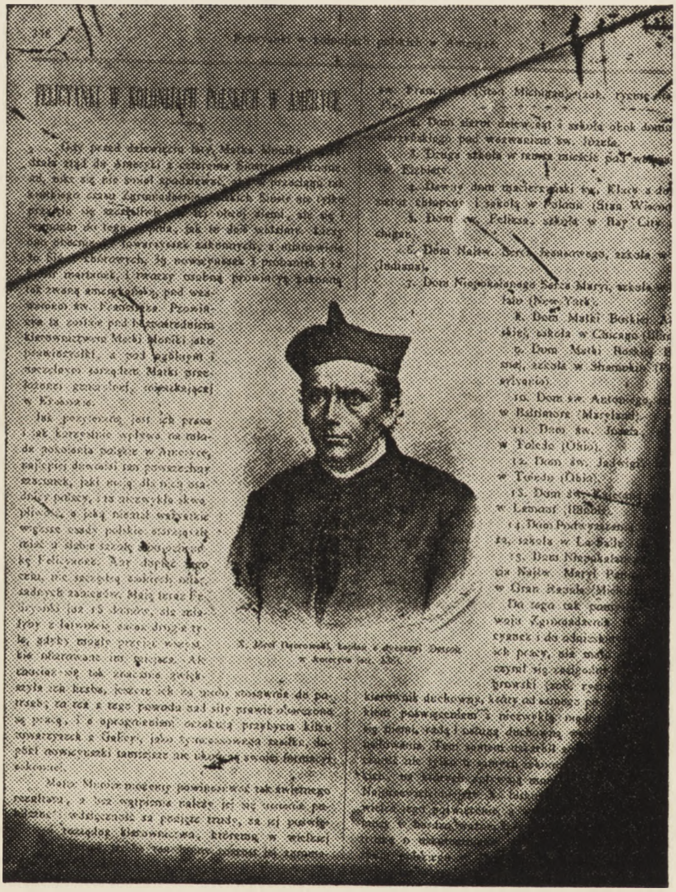
Tam widzę, jak już z ganku biała stąpa,
Jak ku mnie w las wśród łąk zielonych leci,
I pośród zbóż jak w toni wód się kąpa,
I ku mnie z gór jutrzenka moja świeci.

* * *

TAKBY właściwie na te nierówne dwie części, a raczej na te dwa różne i odmienne całkiem życia podzielić należało życiorys ks. Józefa Dąbrowskiego. W obu z nich jest on ten sam, ale w obu nie taki sam. Gdyby uwzględniać tylko dzieje jego duszy, byłby to podział rzeczowy i logiczny.

Jeżeli w nim część drugą, to jest życie ks. Dąbrowskiego w Ameryce rozkładamy jeszcze na dwa działy, traktowane oddzielnie, na jego życie w Polonia, Wisc. i w Detroit, Mich., to czynimy to nie ze względu na wewnętrzne dzieje jego duszy, ale ze względu na działalność i promieniowanie jej na zewnątrz. Tę działalność nie można w jednej klamrze książki zawrzeć, bo jest ona za obszerna.

Po tych wstępnych konturach i omówieniu ogólnego rozkładu książki zacznijmy ją już wreszcie czytać.



Ks. Dąbrowski na szpaltach pism w Europie

W Świetle Historii i Dokumentów



Część I

1842-1870



KS. JÓZEF DĄBROWSKI urodził się 19 stycznia 1842 r. w Żółtańcach, w Lubelskim z ojca Józefa i Karoliny z Boruckich.

Tych kilka szarych, stereotypowo brzmiących wyrazów jest niejako immatrykulacją ziemską w historii ludzkiej ks. Józefa Dąbrowskiego. Określają one miejsce, czas i warunki jego istnienia. Każdy zgoła człowiek przedestynowany jest do pewnego stopnia z góry do swego losu przez miejsce, czas i warunki, gdzie się urodził. Pod ich stygmatem będzie kształtował się on za młodu i z tym stygmatem przejdzie przez życie, od kolebki aż do grobu.

JAK w niektórych kazaniach, gdzie rozważanie czasem jednego wiersza, zacytowanego z Pisma św. na wstępie, stanowi wątek całej nauki, tak i w życiorysach ludzkich rozważanie nieraz paru krótkich słów rodowodu dać może wątek do wysnucia jakby z kłębka losu człowieka. Czas, miejsce, warunki życia, momenty rasy, otoczenia i wpływ dziejowej chwili, w której komu żyć przypadło, są czynnikiem bardzo ważnym, kształtującym życie ludzkie. To naturalne, psychologiczne prawo rozwoju zadecydowało w zaraniu życia w znacznej mierze i o doli i o niedoli ks. Józefa Dąbrowskiego. Wszystko, co narzucało się i kształtowało duszę młodzieży w Polsce ówczesnej, żyjącej jeszcze echami wojny w roku 1830, a przygotowującej się już do powstania w r. 1863, zapadło również i w młodzieńczą duszę ks. Dąbrowskiego i pozostało w niej na zawsze.

ZNAJDUJEMY więc w życiu ks. Dąbrowskiego ziszczenie się dosłowne owej nieśmiertelnej, a tak ściśle z pokoleniem mu współczesnym związanej formuły polskiej Mickiewiczowskiej o tym dzieciństwie sielskim, anielskim, o tej młodości górnej i chmurnej, co się tak nagle i niespodziewanie przedzierzgnęła w wiek męski, wiek klęski. Życiowy los ten ks. Józefa Dąbrowskiego w jego pierwszych dziesiątkach życia w niczym nie różni się od losu każdego kulturalnego młodzieńca polskiego podówczas w Polsce. Ułatwia to nam z jednej strony zrozumienie go i pojęcie, bo wtłacza w ustalone już przez historyków ramy sylwetki polskiego studenta — powstańca z roku 1863, z partii *„czerwonych,“* który, jak mówili o nim podówczas starsi ze stronnictwa białych, *z motyką się na słońce porwał,* aby potem karmić się *„chlebem płaczu i kielichem łez,“* lecz z drugiej strony trzeba mocno to podkreślić, że

nam go jednak jeszcze nie daje poznać całkowicie. Nie sięga ono bowiem w sedno rzeczy, nie rozróżnia pomiędzy losem, a wewnętrzną treścią życia i duchownym całokształtem osobowości, która los ten, wraz z innymi wspólnie dzieli.

PROBLEM rozróżniania losu danej osoby od osobowości i indywidualności i jej istoty nie jest dostatecznie bodaj jeszcze i dzisiaj rozwiązany. Zagadnienie to współcześni nasi psychologowie i socjologowie, olśnieni świetną dialektyką Taine'a raczej zagmatwali, niż rozwiązali. Trzyma się dość uporczywie umysłów naszych teoria oparta na odwróceniu założeń o decydującym na nas wpływie otoczenia i zewnętrzności, z którymi walczyć nawet nie można. Jest to błąd u nas dość powszechny i zasadniczy.

Kultura ludzka polega na przekształcaniu właśnie zewnętrzności naszej i otoczenia przez wewnętrzną naszą potęgę ducha i myśli ludzkiej. Ta wewnętrzna jaźń nasza jest głównym i jedynym bodaj pierwiastkiem twórczym. Ona zawsze, pomimo wpływów i refleksów na nią zbiorowości, nie przestaje być samodzielną, na swej wewnętrznej treści głównie opartą.

Nawet największy geniusz i nawet najświętszy z świętych żyje, tworzy i działa w zbiorowisku społecznym i przez to pewne zbiorowisko jemu odpowiednie, ale to jeszcze nie racja, żeby on był tylko refleksem, tylko wytworem, tylko żarówką, przez którą świeci jakaś zbiorowość. Twierdzenie dzisiaj dosyć powszechne, że musimy robić to, czego ogół od nas wymaga, jest w gruncie rzeczy nie tylko z punktu widzenia teologicznego, ale i filozoficznego, grubym nonsensem.

Tak samo też i w życiorysach ludzi wybitnych twierdzenie już z góry, że ktoś był takim albo owakim, bo uczyniły go takim albo owakim warunki życia, w których się znalazł, jest twierdzeniem co najmniej bezkrytycznym.

KAŻDY z nas ma swoją własną osobowość, treść wewnętrzną i nie było jeszcze i nie będzie dwóch takich ludzi, którzy postawieni w życiu w jednych i tych samych warunkach, ukształtowaliby się jednakowo i podobni byliby sobie we wszystkim. Toteż uwzględniając zawsze wpływ otoczenia i zewnętrzność, należy rozpatrywać i krytycznie oceniać życie każdego człowieka nie we wspólnych mu z innymi kategoriach i nie podług sentymentu, jaki panował albo panuje wśród ogółu, ale pojedyńczo, indywidualnie i osobiście, według prawdy i obowiązków, jakie ta prawda nań wkłada.

„Tylko społeczeństwa trzeźwe umieją oceniać, inne umieją tylko adorować, lub bezcześcić,“ tak napisał Norwid w r. 1856. Nieco wcześniej pisał Słowacki, że bez żadnej zachęty pracował dla narodu, w którym epidemiczną jest chorobą uwielbienie i również epidemiczną chorobą jest zapomnienie.

Przedziwna ta zbieżność sądu u dwóch, tak niepodobnych do siebie ludzi nakazuje nam i w życiorysie ks. Józefa Dąbrowskiego ostrożność

w wygłaszaniu o nim zdania według opinii publicznej, która jest płocha, ciągle zmienna, jak chorągiewka na dachu.

Dlaczego taka niestałość uczuć i sądów panuje wśród Polaków? Czy to tłumaczyć jedynie tylko temperamentem i staropolskim, staroszlacheckim „*Kochajmy się*“? Prawdopodobnie rzecz sięga głębiej i wyjaśnić ją raczej można naszym sobkostwem. Za czasów jeszcze złotej szlacheckiej wolności Polacy nauczyli się wielbić w kimś drugim zawsze siebie. Z hałasem schlebiała szlachta zawsze temu, kto jej również schlebiał. Wynosiła pod niebiosy pana brata za to, że się sama w nim przejrzała. Rzucała się hurmem i na szablach roznosiła tych, co jej byli niepodobni.

TE SAME rysy płytkiego sobkostwa, jak pisze jeden ze współczesnych pisarzy naszych, z sejmików przenieśliśmy w świat myśli polskiej. Ot coś tam u kogoś błysnęło znajomego nam i podobnego do nas, — wnet czapki w górę. Oto zobaczyliśmy, atoli, że to coś tam jest właściwie jednak do nas niepodobne, — wnet szable z pochew. Pęd stadowości gromadnej, płytkiej, stawiającej lub zwalającej pomniki mężom w historii naszej mniej lub więcej zasłużonym, za podmuchem sobkowskiego „*widzi mi się*,“ a nie na zasadzie trzeźwej i krytycznej ich oceny, jest odwieczną wadą naszą. Trzeba sąd swój i ocenę historyczną oprzeć zawsze nie na wywąchiwaniu tylko własnego zapaszku w jakiejś sprawie, czy postaci historycznej, ale na zgłębieniu i zrozumieniu jej samej w sobie. Dotarcie w każdej „*postaci historycznej do tego, czym ona była*,“ niezależnie od podobieństwa w niej z naszym własnym „*ja*,“ — oto podstawa właściwego i rzetelnego sądu o niej.

Wielkim niewątpliwie Polakiem był ks. Józef Dąbrowski, ale zadajmy sobie jednak trudu i zrozumiejmy, w czym i jak był on dla nas wielkim. Nie zadawalajmy się leniwym truizmem czci i chwały mu składanej za to, że był Polakiem i że był wielkim, bo wzruszając się tylko tym, wzruszamy się właściwie raczej samymi sobą, jako Polacy, aspirujący również do wielkości.

Zrozumiejmy go aż do głębi i bez zastrzeżeń w jego wewnętrznej osobowości, a nie w zewnętrznej, przez otoczenie, czas i warunki jego życia narzuconej mu doli, niedoli, która sentyment wprawdzie mu jedna, lecz w gruncie rzeczy jest drugorzędna, a nawet później prawie zapomniana i w cień zepchnięta.

Mam tu na myśli w moich powyższych wywodach jego sylwetkę jako powstańca r. 1863. Rzuca się ona wnet w oczy, skoro tylko życie ks. Dąbrowskiego w jego młodzieńczych latach w Polsce sobie przypominamy. Otóż okres ten w późniejszym swym życiu on sam prawie przekreślił i w zapomnieniu, w niepamięci prawie pogrzebał. Nigdy w wieku dojrzałym, tym okresem się nie chlubił, nigdy się do niego nie odwoływał. Fakt ten dla zrozumienia osobowości i treści życia Dąbrowskiego ma znaczenie bardzo wielkie. Powrócimy później do tego, ale teraz cofnijmy się i nie uprzedzajmy wypadków.

1842-1855

„SIELSKO, ANIELSKO" *płynęły na wsi w Żółtańcach pierwsze lata dziecinne Józefa Dąbrowskiego.*

Żółtańce — wieś z folwarkiem znajdują się w powiecie Chełmskim, gminie Przywitski, odległe są od Lublina o 84 kilometry. W roku 1827 miały one domów 22, a mieszkańców 152. Folwark był majątkiem rządowym. Ojciec Józefa Dąbrowskiego, z zawodu inżynier agronom, majątkiem tym administrował lub go dzierżawił.

Józef Dąbrowski był w rodzinie pierworodnym. Żółtańce należały do parafii Chełmskiej i tam go ochrzczono. Nad kolebką dziecka pochylała się twarz matki młodej, pełnej energii, a pierwszych chłopięcych kroków strzegł ojciec, typ staropolskiego szlachcica. Najbliższe otoczenie dziecka stanowił ów dobrze znany choćby z „*Pana Tadeusza*" mały polski światek wiejski, gdzie, choć ubogo, ale chędogo i gdzie uśmiech i pogodę wnoszą zwłaszcza dzieci. W surowej patriarchalności wiejskiego zacisza pod dachem starego szlacheckiego dworku wychowywał się Józef Dąbrowski w latach dziecinnych. Tuż za oknami starego dworku szumiały lipy, a wokoło na równinie rozpościerał się sad i pola, i niwy pełne kwitnących łąk i plennych łanów zboża.

TYCH powabów nie brak nigdy w Polsce temu, kto na świat przyszedł na wsi w dworku polskim. Czy nie tak samo w Żelazowej Woli szumiały drzewa na równinie Chopinowi w dziecinnych latach? Czy nie tak samo kołysał do snu zapach łąk polnych roztęsknioną duszę Mickiewicza gdzieś w Zaosiu albo w Nowogrodku. Z takich wrażeń pił w Polsce prawie każdy młodzieniec w zaraniu życia jeśli nie smutną, to bardzo rzewną tkliwość zadumań, tęsknot i melancholii. Można to nazwać słowiańskim smętkiem lub romantyzmem. Od najmłodszych lat kołysały duszę Józefa Dąbrowskiego te zdradne, ale urocze wrażenia polskiej atmosfery, jak zaświadczy o tym całe samotne życie jego w dalekim, obcym dla niego kraju, czy w Polonii czy w Detroit.

Nie brakowało mu z drugiej strony już w dziecinnych latach tonu dziarskości i junackich tradycji i porywów. Był najstarszym, pierworodnym. Miał dwóch braci i o ile można wyszperać w jego wspomnieniach z lat dziecinnych, jedną siostrę. Skoro tylko dorósł, dopuszczano go i na „*owe długie, nocne rodaków rozmowy,*" które podówczas wszędzie po dworkach były w zwyczaju. Przyczajony gdzieś w kąciku wchłaniał je, a one żłobiły w rozbudzonej wyobraźni dziecka ślad głęboki, niezatarty. Szybko rósł chłopiec i szybko rozwijała się jego dusza

w otoczeniu patriotycznym, chciwie wsłuchującym się w odgłosy, jakie ze świata dochodziły.

NA sąsiedzkich zjazdach szlachta burzyła się i szumiała. Ojciec Józefa Dąbrowskiego brał w nich udział. W zasłyszanych echach rozmów błąkała się nuta westchnień na niedolę narodową i na ucisk twardy najeźdźcy, co tak Polskę „uspokajał,“ żeby się serca bardziej krwawiły i bardziej rwały do zerwania kajdan, które im nałożono, i z dnia na dzień coraz mocniej zaciskano. Stawał przed oczy duch śmiertelnie ranionego bohatera patrioty, wieść bez jutra, zwiastun ofiary, a przez ofiarę tryumfu wolności i odrodzenia narodowego.

Ludność wiejska w Żółtańcach, poza rodziną Dąbrowskiego i nielicznych folwarcznych oficjalistów, składała się z unitów obrządku wschodniego. Pomiędzy wsią i dworem były stosunki dobre, zażyłe i jeszcze tam propaganda prawosławia narzucanego przez najeźdźcę nie wniosła zgoła żadnych tarć. Dopiero w r. 1875 zniesiono unię w guberniach Lubelskiej i Siedleckiej.

MIŁO tedy i swobodnie w atmosferze niewątpliwie katolickiej i szczerze polskiej, patriotycznej płynęły dni w domu rodziców Józefa Dąbrowskiego na wsi, w Żółtańcach. Śmiało o nich można powiedzieć, że:

Były to błogie chwile,
Niewinnością dziecka tchnące . . .
Przeminęły one mile,
Przyszły po nich łzy gorące . . .

PIERWSZE gorzkie łzy gorące wycisnęła z oczu Józia śmierć ojca. Józio miał wówczas lat dwanaście. Przywiązany do ojca, odczuł jego zgon głęboko. Stracił z nim więcej niż opiekuna, stracił z nim również i Żółtańce, swobodę życia na wsi bez troski.

Ojciec nie pozostawił po sobie żadnych zasobów. Rodzina Dąbrowskiego przyzwyczajona do życia na stopie pańskiej, obywatelskiej, musiała teraz bytować skromniej. Dwór w Żółtańcach trzeba było opuścić i poszukać sobie czegoś innego i to w mieście, by dzieci, które już podrastały, oddać do szkół. Matka Dąbrowskiego, jako niezasobna obywatelka wiejska, przeniosła się z dziećmi do Lublina i otworzyła tak zwaną stancję dla uczniów. Spokrewniona i ustosunkowana była na wsi z wielu rodzinami szlacheckimi, które chętnie pod jej opiekę na tę jej stancję oddawały dzieci chodzące do szkół. Oczkiem w głowie skłopotanej, niezamożnej, utrzymującej stancję wdowy z natury rzeczy stał się jej pierworodny. Był on już w tym wieku, że mógł zrozumieć nie tylko własne sieroctwo, ale i troski swej matki-wdowy. Kiedy przybyli do miasta, powiedział: „Mamo, nie martw się, ja ci będę pomagał.“ Łzami zalana matka przytuliła go do łona i tak się rozpoczęło nowe jego życie chłopięce w Lublinie.

1855-1862

WYKSZTAŁCENIE elementarne, jakie otrzymał od swej matki i wiejskiego nauczyciela w domu rodziców na wsi w Żółtańcach, oraz starania zapobiegliwej, żałobą okrytej matki, umożliwiły Józiowi Dąbrowskiemu przyjęcie bez zwłoki do gimnazjum w Lublinie. Co więcej, wkrótce dzięki swej pilności oraz postępom w nauce dostał stypendium, co było znaczną ulgą w wydatkach matki. Czując swoją wielką odpowiedzialność wobec rodziny, uczył się dobrze i sprawował jak najlepiej.

Nie znamy nazwisk nauczycieli, którzy w gimnazjum wywarli na niego wpływ szczególny. Stosunki szkolne w Polsce za owych czasów były bardzo opłakane. Niski poziom naukowy, dyscyplina bezmyślna, szpiegostwo rozwinięte do ostatnich granic i popierane przez przełożonych Rosjan odbierały szkołom zupełnie charakter wychowawczy.

WSTRĘTNĄ rolę odgrywali nauczyciele moskale, jako narzędzia rusyfikacji i paczenia ducha narodowego, w czym zwłaszcza celował ówczesny kurator okręgu naukowego i wszechwładny pan szkolnictwa, Paweł Muchanow. Nienawidził on Polski bezwzględnie, aczkolwiek mieszkał w Warszawie od dawna i chociaż ożenił się z Polką. Młodzież polską prześladował namiętnie. Nie było w owych czasach w Polsce człowieka bardziej znienawidzonego nad Muchanowa.

A jednak szkolnictwo prowadzone przez Muchanowa, wprowadzając usilnie rusyfikację, osiągało skutek wręcz przeciwny jego zamierzeniom, bo wszczepiało bezwzględną nienawiść ku Rosji i porządkom rosyjskim. Element polski, im go bardziej prześladowano, tym bardziej się skupiał w sobie, prężył, jednoczył i przejmował duchem polskim religijnym.

JAK wszystkie inne ówczesne szkoły polskie, tak i gimnazjum lubelskie odznaczało się tą ważną zaletą moralną, że spajało element polski, a Polaków nauczycieli i uczniów przetwarzało jakby w rodzinne, rozumiejące się wspólnie, grono spiskowców.

Ten sam profesor, czy to ksiądz czy to świecki, który dopiero co wykładał lub słuchał lekcji z powagą, a może i surowością, spotykając się ze studentami poza szkołą, rzucał niejedno zdanie lub słowo, które otwierało ich dusze i uczucie polskie, patriotyczne. Wytwarzała się w ten sposób nieurzędowa atmosfera ciepła, a w niej solidarność narodowa, która krzewiła się bardzo bujnie i która na całe życie urabiała chłopcom charakter polski.

TA atmosfera szkolna polska oddziałała niewątpliwie i na Józia Dąbrowskiego w gimnazjum w Lublinie i rozwinęła w nim zarodki uczuć bardzo szlachetnych, patriotycznych.

Duch reformy szkolnictwa w Polsce rozpoczętej jeszcze przez ks. Stanisława Konarskiego, duch Komisji Edukacyjnej ks. Hugona Kołłątaja, księcia Adama Czartoryskiego, Juliana Niemcewicza i innych nie przeminął w Polsce bez echa i promieniował poprzez Śniadeckich w Wilnie i poprzez Czackiego w Krzemieńcu, nawet i wówczas w Lublinie. Każdy przedmiot wykładano gruntownie, a studentom w nauce nie pobłażano. Musieli oni każdą lekcję należycie przygotować i wykazać się podczas egzaminów znajomością rzeczy nie byle jaką.

Wielką uwagę zwracano na konduitę i na lojalność względem Rosji. Ale atmosfera nieoficjalna była jednak z gruntu polska. Zresztą i sam Lublin ma tak wielką i dostojną tradycję, tak religijną i patriotyczną przeszłość polską, że musiała ona zapaść w duszę kształcącego się w nim młodzieniaszka i nastrajać ją na nutę dawnych polskich surm bojowych.

Rozłożony na podłużnym wzgórzu oblanym wodami rzeki Bystrzycy i Czechawki starożytny, starszy od Lwowa Lublin nazywano już za dawnych czasów w Polsce „małym Krakowem," tak jak Kraków „małym Rzymem." Był on od zarania dziejów polskich świadkiem wielu faktów w historii naszej zapisanych i zatrzeć się nie dających.

Tak jak w podwawelskim Krakowie, tak i w Lublinie, nie tylko gotycki zamek królewski, nie tylko liczne piękne kościoły i pałace dawne wielkopańskie, ale i prawie każdy dom, plac, uliczka ma swą historię, lub jaką legendę polską, czasem radosną, częściej smutną, nawet tragiczną, ale zawsze wzruszającą.

JUŻ za czasów Piastów, w zaraniu tworzenia się państwa polskiego Lublin był jedną z głównych warowni, zasłaniających Polskę przed atakami ze wschodu, a równocześnie jednym z głównych ośrodków pierwotnej naszej administracji państwowej. Kazimierz Wielki wycisnął na nim i zostawił ślady swojej gospodarki niezatarte, imponujące jeszcze po dziś dzień. A cóż dopiero mówić o czasach Jagiellonów. Zawarta tu w r. 1569 wiekopomna unia Polski z Litwą i Rusią, czyli tak zwana Unia Lubelska, wycisnęła na Lublinie piętno swoje niezmazane.

WŁAŚNIE za czasów szkolnych Józefa Dąbrowskiego w Lublinie, dnia 12 sierpnia 1861 obchodzono w Polsce uroczyście rocznicę zawarcia Unii Lubelskiej. Już zawczasu przed tym świętem rozrzucano po całym kraju litografowaną anonimową odezwę tej treści:

„RODACY! Wyznajmy publicznie wszyscy wespół z kapłanami w dniu 12 sierpnia 1861, żeśmy bracia jednej rodziny: Białego Orła i Pogoni. Obchód tej jedności dwóch narodów winien być uroczysty, spokojny, ogarniający sobą całą przestrzeń starożytnej Polski. Żałoba na ten jeden dzień, tak wielkiej wagi w dziejach, zdejmuje się."

GŁÓWNĄ manifestację wyznaczono w Kownie na moście przez Niemen, łączącym to miasto z Aleksotą, osadą w Królestwie. Trzydziestotysięczna procesja z chorągwiami i duchowieństwem na czele wyruszyła w tym dniu z Kowna, aby spotkać się na moście z procesją podążającą z Aleksoty. Kiedy przed mostem Kozacy próbowali rozegnać tłum nahajkami i wstrzymać procesję, stała się rzecz wprost niesłychana, bo nagle bez rozkazu tłum zatrzymał się, padł na kolana i, nie przerywając śpiewu, jakby w jakiej religijnej ekstazie, pozwolił się bić i katować, lecz nie rozprószył się. Ta wstrząsająca w swojej grozie scena wywarła nawet na Kozakach takie wrażenie, że wbrew woli zaczęli zdejmować czapki, żegnać się, i pozwolili na dalsze odbycie się pobożnej manifestacji według programu.

MANIFESTACJA ta wstrząsnęła wówczas całą Polską i zapadła w serce i Józefa Dąbrowskiego, kształcącego się w Lublinie, gdzie szczególnie o niej było głośno i gdzie lokalna uroczystość również świetnie się udała.

W OGÓLE Lublin dumny z tego, że był miastem trybunalskim, robił i robi duże wrażenie. Istnieje jeszcze w Lublinie, wzniesiony w r. 1309, dawniejszy ratusz miejski, kilkakrotnie potem przebudowywany, a w ostatnich czasach na bibliotekę im. K. Łopacińskiego przerobiony, gdzie odbywały się posiedzenia Trybunału Koronnego. Młody uczeń gimnazjalny, Józio Dąbrowski często zwiedzał ów gmach. Znał również legendę o owym „Sądzie Diabelskim,“ jaka na zawsze do Trybunału tego przylgnęła.

PODŁUG tej legendy, kiedy sędziowie przekupieni przez jakiegoś bogacza wydali na jednej z sesji Trybunału wyrok krzywdzący ubogą wdowę, ta w rozpaczy zawołała, że nawet sam sąd diabelski sprawiedliwiej by ją osądził; i „rzeczywiście,“ tej samej nocy taki sąd diabłów w sprawie tej wdowy miał się tam odbyć i sprawiedliwość jej wymierzyć. Stół prezydialny, przy którym przewodniczący owemu sądowi, Belzebub miał zasiadać i na którym ślad swojej ręki na znak i pamiątkę tego sądu i przewodnictwa swego na nim miał wycisnąć, znajdował się jeszcze za lat uczniowskich Józia Dąbrowskiego w Lublinie w ratuszu lubelskim. Krzyż z wiszącym na nim Chrystusem, który odwrócił głowę ze wstydu i zgrozy, że Belzebub i juryści diabelscy sprawiedliwiej osądzili ową ubogą wdowę, aniżeli ludzie, istniał wówczas również, przeniesiony do katedry, do kaplicy św. Stanisława Kostki, zwanej kaplicą Pana Jezusa.

Józio Dąbrowski krzyż ten widział i zastanawiał się nad legendą, która tak ostro niesprawiedliwość i nieuczciwość sądów ludzkich potępiała. Wbiła mu się ta legenda w pamięć bardzo głęboko.

Bywał on też i w pojezuickim, wówczas katedralnym już kościele, w którego zakrystii podziwiał osobliwe owo eliptyczne sklepienie tak akustyczne, że rozmowę prowadzoną szeptem w jednym z jej kątów, słychać wyraźnie w kątach sali przeciwległych. Znał i przemierzył stopami swymi niejednokrotnie i ten stary rynek lubelski przed ratuszem,

gdzie niegdyś klęcząc u stóp króla Zygmunta Augusta składał mu lenną swoją przysięgę jeden z protoplastów Hohenzollernów i królów pruskich. Scenę tę często Józio Dąbrowski w wyobraźni sobie odtwarzał, upajając się wielkością i potęgą dawnej Polski i jej królów.

TRUDNO, ażeby w młodzieńczej duszy studiującego w Lublinie ucznia, wszystkie te echa tradycji polskiej i dziejów polskich głębokich śladów nie zostawiły.

„Młodość przecież jest rzeźbiarką,
Co wyrzeźbia żywot cały.
Choć przemija sama szparko,
Ślad jej dłuta wieczno-trwały.“

UKOCHANIE ziemi polskiej, dziejów polskich, narodu polskiego, tradycji polskiej, mowy polskiej, a wstręt do tego, co nieuczciwe, niesprawiedliwe, co jest tyranią, wyniósł Józef Dąbrowski z czasów swoich studenckich w gimnazjum w Lublinie.

BYŁY to zresztą czasy gorące, coraz gorętsze, czasy wpływu na umysły i na duszę młodzieży polskiej romantyzmu patriotycznego, który aczkolwiek już przekwitał wówczas w poezji polskiej, z tym większą furią wyładowywał się w polskim uczuciu i patriotyzmie i polityce.

Apostołem jego ciągłym była polska emigracja polityczna. W niej ten romantyzm tak wybujał na tle tęsknoty za Polską, tęsknoty wylewającej się w uczuciach religijnych, że przerodził się aż w mistycyzm, który z kolei był matką słynnej *rewolucji moralnej* polskiej w ówczesnym Królestwie Polskim. *Rewolucję tę* świat cały wówczas podziwiał, zanim nie przerodziła się ona kolejno w powstanie zbrojne. Z natury rzeczy bowiem ta patriotyczna ekstaza polska i ten mistycyzm szły w parze z ślepym pędem w kierunku rewolucji.

ZIMNE takie kalkulacje jak w odezwie A. Czartoryskiego z r. 1855 na początku wojny krymskiej, że cały naród polski pragnie swojej niepodległości, ale trzeba się niejako sprzysiąc na utrzymanie roztropności i, nie odpychając żadnych obietnic, nie rwać się atoli do czynu, póki nie otrzyma się rzetelnej rękojmi, że przyniesie to naprawdę owoc zbawienny, a nie wzmożenie tylko cierpień i klęsk naszych narodowych, — zimne takie kalkulacje mogły trafić do naszej generacji starszej, umysłowo już dojrzałej, ale bodaj nigdy do dusz młodzieży polskiej w patriotycznym swym zapale rozbudzonej i aż do zapamiętania się posuniętej. Ta młoda Polska, jak słusznie o niej powiedział już w r. 1839 Słowacki, była zaiste *„Prometeuszem, któremu sęp wyjadał nie serce, ale tylko mózg i rozum.“*

JÓZEF DĄBROWSKI w tych właśnie czasach uczęszczający do gimnazjum, był niewątpliwie pod wpływem tej młodej Polski i romantycznego w swym patriotyzmie ducha czerwonych, a nie pod wpływem stronnictwa „białych.“ Wierzył on święcie, że „Szata Polski nieskalana, przenajświętsza i świetlana“ i że „Polska kościołem na ziemi będzie widomego czynu.“

A gdy zagrzmi o żniw porze,
Wtedy naprzód w imię Boże.
Bierzcie szable, sierpy, kosy,
Dać żniwiarzom wszelkim grunt,
Rozpłomienić święty bunt,
Lecieć będą, lecieć kłosy,
Ziemię zbroczy gęsty wróg,
Twierdz i więzień prysną mury,
Duchem zatlon ogrom zgorze,
Jak suchego siana stóg,
A patrzący wiecznie z góry,
Nie odwróci twarzy Bóg.

TAK wówczas wierzył i tak marzył Józef Dąbrowski.

Jeżeli jednak już tam w Lublinie za czasów swych gimnazjalnych był on ideowym zwolennikiem partii ruchu, partii „czerwonych,“ to cóż dopiero mówić o czasach, gdy ukończywszy chlubnie gimnazjum, przeniósł się do Warszawy, do świeżo właśnie wówczas otwartej Szkoły Głównej.

1862-1864

SZKOŁA GŁÓWNA otwarta została w Warszawie w r. 1861. Przez trzydzieści lat z górą po powstaniu listopadowym z roku 1830 Moskale trzymali się zasady, żeby nie dopuszczać do istnienia w Polsce żadnych wyższych zakładów naukowych.

Rusyfikacyjne i unifikacyjne tendencje rządu zaostrzone w szkolnictwie w r. 1839, nakazywały koncentrowanie szkolnictwa zwłaszcza wyższego w miastach rosyjskich, w stolicach Rosji pod okiem cara. Jeszcze w r. 1860, zaledwie trzy lata przed powstaniem, kiedy senator Hube, wprowadzający reformę sądową w Polsce, zaproponował rządowi otwarcie w Warszawie trzechletnich kursów prawniczych, a profesorowie uniwersytetu petersburskiego Czajkowskij i Kałmykow zaczęli projekt ten forsować, wówczas namiestnik, książę Gorczaków bardzo ostro wystąpił przeciwko temu.

„*JESTEM głęboko przekonany,*" — pisał Gorczakow w raporcie swoim z dnia 25 sierpnia 1857 do cesarza Aleksandra II, *„że otwarcie w Warszawie takiego zakładu naukowego byłoby tylko nową zaporą zbliżenia Polski z Rosją i przeszkodą dla Polskiej młodzieży zbratania się (srodnitsia) podczas kształcenia się z innymi częściami państwa i uczuciami wiernopoddańczymi.*" Aleksander II na raporcie tym uczynił napis: *„I ja tak myślę".*

NAWIASEM mówiąc, warto ten raport Gorczakowa dobrze podkreślić tutaj, w życiorysie ks. Józefa Dąbrowskiego, bo będziemy musieli później skonstatować analogię z nim i w poglądach niektórych sfer kościelnych amerykańskich, na które natknął się Dąbrowski w Ameryce, i które istnieją nawet i po dziś dzień. Zasadą rusyfikacji, którą konsekwentnie żelazną ręką przeprowadzał w Polsce po upadku powstania listopadowego nieubłagany despota moskiewski, cesarz Mikołaj I, było kształcenie młodzieży polskiej w szkołach rosyjskich w głębi Rosji.

Z biegiem czasu rozczarowały się jednak sfery rządzące rosyjskie, co do zbawczego wpływu wyższych uczelni rosyjskich na młodzież polską. Sprawozdania oficjalne wykazały, jak to stwierdził w oficjalnym raporcie swoim rosyjski minister oświaty w r. 1861, że „studenci polscy, żyjąc w kółkach zamkniętych, nie tylko nie ulegali rusyfikacji w Moskwie ani w Petersburgu, ale przeciwnie mieli nawet pod względem politycznym wpływ niepożądany na młodzież rosyjską."

STUDENCI Polacy byli wszędzie głównymi sprawcami rozruchów uniwersyteckich w Rosji, a było ich wszędzie dość dużo. W roku 1856, na ogólną liczbę 1200 słuchaczów na Uniwersytecie Kijowskim, było aż 800 Polaków. W Moskwie studentów polskich w tym samym czasie było przeszło 600. W Petersburgu w Akademii Medyko-Chirurgicznej Polacy stanowili niemal połowę. W Korpusach Inżynierskich i Leśnych rachowano ich na setki. Na Uniwersytecie Petersburskim było ich 500, t. j. trzecia część ogólnej liczby wszystkich słuchaczy. Ta uniwersytecka młodzież polska w Rosji wszędzie była zorganizowana już od dawna i ze wzrostem jej liczby, organizacja jej przybierała coraz większe znaczenie nawet polityczne.

PRZYBYWAJĄC właśnie na uniwersytet w Rosji, młodzież polska najczęściej po raz pierwszy zapoznawała się z literaturą polską emigracyjną, w Polsce srogo tępioną i ulegała potężnemu jej wpływowi.

Zdemokratyzowana i rozentuzjazmowana w swym patriotyzmie przez tę literaturę spieszyła do kraju na wakacje letnie, aby ją szerzyć z przekonaniem i zapałem. Do podniesienia uczuć patriotycznych wśród owej młodzieży przyczyniali się w znacznej mierze i wygnańcy polityczni, zwłaszcza ci powracający wówczas z Syberii, których po drodze, m. in. także w Moskwie witano z czcią synowską i z serdecznym wylaniem.

ODBYWAŁY się przy uniwersytetach rosyjskich wśród młodzieży polskiej ciągłe zebrania także dla wspólnego odczytywania poematów i książek patriotycznych. Pojawiały się najprzód pisane, potem litografowane broszurki i dzienniczki, organizowały się coraz to nowsze stowarzyszenia z celami patriotycznymi, politycznymi. Zawiązywały się stosunki między-uniwersyteckie. Oddziaływała na tę młodzież i literatura rosyjska, ale przeważnie rewolucyjna. Najświetniejszy z ówczesnych rewolucyjnych publicystów rosyjskich, Hercen, wydawca pierwszych czasopism rosyjskich rewolucyjnych, zakazanych w Rosji "Polarnej Zwiezdy" i „Kołokoła" był ubóstwiany nie tylko przez młodzież rosyjską, ale i przez polską. W poglądach swoich na sprawę polską ulegał on przecież wpływowi polskiej emigracji politycznej i szermierzem był tej sprawy w rewolucyjnych kołach rosyjskich. Zresztą powietrze nie tylko w Petersburgu, ale w całej Rosji, jak pisze Berg w swoich zapiskach o powstaniu w Polsce, „było naładowane kolącą elektrycznością tak samo, jak i w Polsce."

KIEDY w Warszawie podczas zaburzeń jeszcze przed powstaniem padły pierwsze ofiary, stała się w Petersburgu rzecz niesłychana. Studenci polscy zamówili tam w kościele św. Katarzyny mszę żałobną za pomordowanych i zaprosili na to nabożeństwo Rosjan, swych kolegów i profesorów. Studenci rosyjscy przybyli, a z nimi wielu profesorów. Po mszy św. Polacy zaintonowali „Boże coś Polskę," a Rosjanie im wtórowali.

Kiedy rząd zgromił za to profesorów, a studentom Polakom wytoczył śledztwo i zagroził wydaleniem ich z uniwersytetu, studenci rosyjscy

oświadczyli, że w takim razie, niech i ich wszystkich również wydalą. Wobec tego rząd całą sprawę zatuszował.

To samo powtórzyło się w Moskwie i w Kijowie. Wobec tak „zgubnego“ wpływu młodzieży polskiej na rosyjską w uniwersytetach rosyjskich należało, zdaniem rządu, jak najprędzej coś uczynić, aby napływ studentów polskich do Rosji zmniejszyć, i oto w r. 1861 otwarto wreszcie w Warszawie t. zw. Szkołę Główną z programem uniwersyteckim. Polskie siły naukowe, pracujące w uniwersytetach rosyjskich, pospieszyły teraz do Warszawy. Sporo sił naukowych dostarczyły Szkole Głównej także zabory: austriacki i pruski.

SZKOŁA GŁÓWNA w ręku polskim od razu stanęła na tak wysokim poziomie, że choć istniała tylko od r. 1861 do r. 1868, wniosła przez pracę swych profesorów i wychowanków do nauki i literatury polskiej więcej, niż późniejszy Uniwersytet Warszawski przez cały przeciąg swego 37-letniego istnienia.

Rektorem Szkoły Głównej aż do r. 1869 był dr. Józef Mianowski, który umiał sobie zaskarbić szacunek nie tylko studentów, ale i całego społeczeństwa. Pamięć jego później uczczono założeniem kasy jego imienia dla wydawnictw naukowych.

Józef Dąbrowski w Szkole Głównej zapisał się na wydział przyrodniczo-matematyczny w r. 1862. Do Warszawy przybył sam bez rodzeństwa i bez matki, która pozostała w Lublinie. Utrzymywał się częściowo z zasiłków matki, a resztę dorabiał sobie dawaniem lekcji, jak to było w zwyczaju studentów uboższych. Zresztą nie posiadamy bliższych wiadomości o jego studiach zarówno gimnazjalnych, jak i uniwersyteckich. Faktem jest tylko, że te ostatnie nie trwały długo. Z wielkim zapałem w Szkole Głównej wchłaniał Dąbrowski naukę, ale od razu dostał się również w wir aktywnej już tym razem polityki. „Religiantem“ w owych czasach prawdopodobnie nie był, ani o tym, by zostać księdzem, jeszcze nie myślał.

POŚRÓD młodzieży warszawskiej wówczas rej wodzili patrioci manifestujący po kościołach śpiewaniem pieśni: „Boże, coś Polskę,“ ale nie była to religijność głębsza, prawdziwa; był to raczej patriotyzm posługujący się nawet religijnością. Patriotyzm ten, długo tłumiony, jak para w kotle, skoro tylko ujście znalazł, porwał z sobą wszystko. Im bardziej przedtem przez lat trzydzieści w kleszczach despoty cara Mikołaja I był duszony, tak że ani w czasie wiosny ludów w r. 1848, ani w czasie wojny krymskiej nawet drgnąć ożywczo nie mógł, tym bardziej teraz, gdy potęga tego despoty i jego satrapów, rządzących Rosją po pogromie sewastopolskim runęła w części, patriotyzm ten nie tylko wybuchnął, ale i oddał się rojeniom wprost szalonym i bez miary.

MIMO brutalnych słów nowego cara w Warszawie: *„Panowie, precz z marzeniami! Wszystko, co zrobił mój ojciec, dobrze zrobił, i ja to utrzymam,“* poniósł Polskę znowu romantyzm. A już zwłaszcza mło-

dzież polska straciła głowę. Gdzie by tam kto z tej młodzieży słuchał teraz Czartoryskiego lub Zamojskiego, a już zwłaszcza Wielopolskiego. Ideałem patriotyzmu, rozumu stanu i wolnej Polski był „Archanioł rewolucji," Mierosławski.

„Zły to Polak, kto rozkłada zmartwychwstanie Polski na tempa," tak nauczał Mierosławski i młodzież polska biła mu brawo, a Gorczaków ręce zacierał i także nie chciał rozkładać sprawy *„na tempa"*.

„Już raz nareszcie bijcie się ze mną," tak w rozdrażnieniu zawołał Gorczaków do Zamojskiego w pamiętnej swojej rozmowie z nim po jednej z manifestacji religijno-patriotycznych jeszcze w okresie t.zw. moralnej rewolucji w Warszawie.

„Nie mamy broni" — odrzekł Zamojski.

„To ja wam broni dostarczę," zawołał Gorczaków.

„Dziękujemy za ofertę, ale nie reflektujemy i bić się z Rosją dziś nie myślimy."

Ta odpowiedź Zamojskiego wprowadziła Gorczakowa w prawdziwą wściekłość.

Bezsilni byli satrapi cara i carska Rosja wobec Polski w dziedzinie ducha i na wyżynach moralnych, religijnych, narodowych, gdzie już broń ich nie sięgała i gdzie musieli wciąż ustępować. Na tych wyżynach i w tej dziedzinie ludzie rozsądni i prawi chcieli pozostać i nie dać się z nich ściągnąć w dół.

— *„Naród wasz polski ma sprawę czystą, nie dajcież sobie jej zbrudzić"* — tak zaklinała wówczas Polaków cała katolicka Europa z ojcem św. Piusem IX na czele, ale niestety, obok tej katolickiej i szczerze całkiem Polsce oddanej była podówczas jak zawsze, także Europa inna, podziemna, czerwona z kielnią, rewolucyjna, Polskę dla siebie i swoich celów wygrywająca, podżegająca. Szampionem pierwszej pośród Polaków na emigracji był Czartoryski, szampionem drugiej: Mierosławski.

NAWET Zygmunt Krasiński dopomógł niestety Mierosławskiemu, rzucając Polsce rękawicę:

„Zstąp Ty z krzyża, gdzieś męczona,
Stocz się, w cara stocz ramiona.
On Twój odtąd oblubieniec."

SPRAWDZIŁ się tedy tragizm losów całej Polski, sprawdziły słowa Norwida, że tylko społeczeństwa trzeźwe umieją oceniać, inne albo adorować, albo bezcześcić.

Bezsilni byli zgoła wszyscy ówczesni polscy mężowie stanu. Bezsilnym był Czartoryski, Zamojski, Wielopolski. Bezsilnym był arcybiskup Feliński.

Nawet Jurgens, nawet powróceni z Syberii zasłużeni dawni spiskowcy: Giller, Ruprecht i liczni inni na próżno występowali przeciw gorączce, jaka owładnęła w Warszawie młodzieżą polską. Nie wystarczyło już tej młodzieży hasło podnoszenia ducha narodowego za pomocą samokształcenia się w coraz liczniej zakładanych kółkach patriotycznych, za po-

mocą nabożeństw, obchodów, śpiewów patriotycznych po kościołach i procesji kościelnych po ulicach; nie wystarczyło demonstrowanie za pomocą nie tylko manifestacji, ale żałoby narodowej na przełomie w r. 1860, w 30-lecie Powstania Listopadowego ogłoszonej i w całym kraju nie tylko zaprowadzonej, ale i terrorem nawet ulicznym (wybijaniem szyb i piętnowaniem publicznym nie stosujących się do niej) forsowanej; nie wystarczył widok poległych i katowanych w starciach z kozactwem i z żołdakami moskiewskimi na ulicach Warszawy. *„Czynu!“* wołano i zatykano sobie wprost uszy na wszystko inne.

Do czynu wzywał przez swoich emisariuszów hen z Paryża trybun ludu, Mierosławski, a choć wiedziano powszechnie, że jego hasłem nie tylko jest walka z carem, ale i socjalna rewolucja oraz zaprowadzenie takiego porządku, żeby *„ostatni szlachcic polski powieszony był na jelitach ostatniego księdza w Polsce,“* zamykano na to oczy i z nim szli wszyscy najgorętsi. Parła reakcja przy carze w Rosji do zbrojnego załatwienia się z wolnościowym ruchem w Polsce. Parł też do tego i Mierosławski wraz ze swoimi nielicznymi, ale w patriotyzmie wciąż licytującymi się zwolennikami.

WSZYSTKO wreszcie ma swój koniec. Kiedy nawet duchowieństwo straciło głowę i przez usta jednego z księży, wciągniętego do spisku „czerwonych“ zaczęło grozić i wypominać arcybiskupowi Felińskiemu, *„że pasterza dla owczarni, a nie owczarnię dla pasterza Chrystus postanowił,“* wrzód do pęknięcia widocznie dojrzał.

Łzy z oczu wycisnęła ta wiadomość papieżowi Piusowi IX, który w Polskę zawsze wierzył. Ale Rosjanie zacierali ręce z radości.

Łudził się jeszcze jeden tylko Wielopolski i postanowił wrzód raczej przeciąć. Ogłosił brankę, łudząc się, że przez to nie dopuści do wybuchu powstania i że wszelkie rozruchy potrafi w jednym tygodniu stłumić doszczętnie. Jak się to stało, że pomimo woli stronnictwa „białych,“ którzy mieli w ręku przez swoich ludzi cały rząd w kraju i uważali powstanie za ostateczność, której trzeba uniknąć, i pomimo woli „czerwonych“, którzy przygotowywali się do powstania, ale do wybuchu jego wcale jeszcze nie byli przygotowani, — jak się to stało, że powstanie jednak wybuchło, to zaiste trudno zrozumieć.

SAMIŻ spiskowcy zrobili nawet zamach na komitet spiskowców w ostatniej chwili, byle wybuch powstania odwlec, a pomimo to wszystko powstanie jednak wybuchło. Wybuchło ono przedwcześnie, zupełnie nieprzygotowane i bez żadnych zgoła widoków na powodzenie. Była to tajemnica psychologii raczej tłumów całkiem bezmyślnych, aniżeli ludzi myślących. *„Wrzód dojrzał, trzeba go rozciąć, aby uwolnić narodowy organizm od zepsutych soków,“* tak powiedział sobie Wielopolski, nie rozumiejąc, że nie zepsute soki wypłyną, lecz co najzdrowsza, gorąca krew polska strugą wielką się poleje w całej Polsce.

JESZCZE w ostatniej chwili na ostatnim posiedzeniu większość tajnego Komitetu Centralnego Powstańczego opierała się stanowczo wybuchowi powstania. Giller i Marczewski podali się nawet do dymisji. Upoważniony przez organizację Awejde zaprosił na ich miejsce Jana Majkowskiego, ks. Mikoszewskiego i Józefa Janowskiego w charakterze zastępców. Była propozycja oddać się gremialnie w ręce Rosjan i odwołać całą imprezę, aby ogółu organizacji nie narażać, ale gorętsi to zakrzyczeli. Komisarze prowicjonalni domagali się czynu. Padlewski, stanowczo żądał powstania, z zupełną otwartością oświadczając równocześnie, że klęska jest nieunikniona. *W razie powodzenia „armii zrozpaczonych"* *i o ile warunki polityki międzynarodowej pozwolą na to, Komitet Centralny powoła cały naród do powstania, o ile zaś zrozpaczeni poniosą klęskę, umrzemy z bronią w ręku, niosąc ludowi ziemię i prawa obywatelskie* — tak mówił Padlewski. Wydano tedy młodzieży rozkaz wymarszu z Warszawy do lasów Serockich na prawym brzegu Wisły i do puszczy Kampinowskiej w Sochaczewskim, gdzie Padlewski tej całej „*armii zrozpaczonych*" wyznaczył punkt zborny.

Młodzież wychodziła z Warszawy zupełnie otwarcie, a Rosjanie nie stawiali jej żadnych przeszkód. Termin powstania ustalono w Komitecie (który Tymczasowym Rządem Narodowym wnet się ogłosił) na dzień 22 stycznia. W wyznaczonych, jako punkty zborne, miejscowościach utworzyły się obozowiska nędznie odzianej, jeszcze nędzniej uzbrojonej, marznącej z zimna młodzieży, otoczonej zaraz na wstępie nieufnością okolicznej ludności chłopskiej.

ZNALAZŁ się tam od razu i uzbrojony jedynie w zapał swojego młodzieńczego serca student Szkoły Głównej z Warszawy, Józef Dąbrowski. Kiedy i przez kogo Dąbrowski wciągnięty był do spisku, nie wiadomo, ale że należał on do tej młodzieży studenckiej, która już przed 22 stycznia na zew Padlewskiego wyszła z miasta, to niewątpliwe.

POWSTANIE właściwe wybuchło w nocy z 22-go na 23-go stycznia. Jeszcze i dziś nie nadszedł czas dla historii, aby wypowiedziała bezstronne zdanie o tym ruchu narodowym, bo namiętności podsycane stale i od wewnątrz i od zewnątrz aż po dziś dzień, jeszcze i teraz się nie uspokoiły. To jedno pewne, że powstanie nasze w r. 1863 było od początku aż do końca dziełem młodzieży. Młodzież spiskowa je przygotowała, wywołała i cały ciężar wzięła na siebie. Było to szaleństwem, jak mówili jeszcze na ostatnim posiedzeniu Komitetu Centralnego dnia 15 stycznia Agaton Giller, Marczewski i inni, rozpoczynać powstanie bez broni i bez pieniędzy w środku zimy, ale inni odpowiedzieli, że już powstania powstrzymać nie można.

NAJWIĘKSZĄ tragiczność tego wypadku dziejowego stanowił stosunek rodziców do dzieci. Wszyscy ludzie starsi i dojrzali, jak pisze współczesny świadek i uczestnik powstania, pułkownik Struś, wszyscy ludzie

starsi, doświadczeni życiem, wszyscy, co z zapałów młodości już ostygli i umieli obliczać następstwa tego kroku, pojmowali dobrze, jakim to jest szaleństwem, a przecież nikt się nie mógł oprzeć młodzieży i dzieciom, nikt nie umiał wystąpić przeciwko nim. Rodzice i starsi bracia, przejęci obawą następstw ruchu, musieli jednak mimowoli wziąć w nim udział, jeżeli nie czynem, to milczeniem, współczuciem i życzliwością.

DRŻAŁA matka Józefa Dąbrowskiego o swe dziecko ukochane, pierworodne, podporą wdowy i całego rodzeństwa już będące i być mające nadal, a jednak i ona, łzami zalana, milczała, musiała milczeć. Poszedł na stracenie, ale nie śmiała mu tego nawet powiedzieć, a cóż dopiero odwodzić go od powziętego zamiaru. Jeden Pan Bóg i modlitwa jej pozostały. Otwórzmy album „Polonii" Grottgera, a zobaczymy w tych natchnionych jego obrazach zarówno matkę tę nieszczęśliwą, jak i jej syna.

ROK SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI nie ma innego bohatera, innej, narodowi pamiętnej postaci, nad bezimienną postać *Powstańca*.

Branka — *Kucie kos* — *Bitwa* — *Schronisko rannych* — *Obrona dworu* — *Spustoszenie* — *Żałoba* — *Na pobojowisku*, — oto historia Powstania w r. 1863, a zarazem historia i udziału w nim powstańca Józefa Dąbrowskiego i jego matki, której duch wciąż i wszędzie był razem z nim. Zauważono, że powstańcom swoim Grottger dał jakieś inne, niepowszednie twarze. Pisarze współcześni twierdzą, że istotnie takie twarze spotykano wówczas często. Twarze te były odbiciem przeobrażeń ducha w beznadziejnym wylewie uczuć. W twarzach bohaterów *„Polonii"* Grottgera mamy bezpośrednie jakby ogniwo owej epoki górnej i chmurnej, brzemiennej klęską, epoki roku 1863 w Polsce.

Józef Dąbrowski wypił kielich tej epoki cały do dna. Nie był on żadną figurą, żeby zostało po nim w opisach powstańczych utarczek jakie wspomnienie. Przygód jego przejść w powstaniu bliżej nie znamy. To jedno jest pewne, że walczył pod Mierosławskim i że był pod Krzywosądzem, bo sam w przygodnych opowiadaniach w późniejszym życiu, już w Ameryce, o tym wspominał. Prawdopodobnie należał on do tej gromadki 40-tu studentów, którą prowadził Daniłowski na spotkanie Mierosławskiego nad granicę pruską. Mieli oni tworzyć straż przyboczną dyktatora i w razie potrzeby służyć mu za kurierów do porozumiewania się z organizacją cywilną różnych okolic i z poszczególnymi oddziałami.

MIEROSŁAWSKI wraz z dwudziestu kilku swoimi starymi rewolucjonistami-demokratami i wraz z garstką swoich podchorążych z Cuneo, przekroczywszy granicę, spodziewał się spotkać partię Mieleckiego wynoszącą około pięciuset ludzi, a tymczasem powitała go tylko ta garstka ziębniętej młodzieży polskiej wraz z Daniłowskim.

Byli ci studenci uzbrojeni w sposób wręcz humorystyczny i nieobeznani z najpierwszymi wymaganiami sztuki wojennej. Broni, prócz kilkunastu dubeltówek, kilku rewolwerów i pałaszy przeważnie staroświeckich, oraz kos poprzywiązywanych sznurkami do drzewców, żadnej

innej nie posiadali. O amunicji i mówić nie warto. Mimo to Mierosławski nie stracił fantazji. W obozie ustawiono szybko kuźnię, w której gorączkowo przekuwano kosy, przybyły zaś wkrótce oficer rosyjski-rewolucjonista Zwancew, dostarczył nieco broni i amunicji.

Wnet też Mierosławski, jako dyktator, wydał i rozrzucił w obozie i po wioskach przywiezioną z sobą płomienną odezwę. Przytaczamy tutaj tę odezwę choć w części, bo zachwycał się nią na pewno i Józef Dąbrowski, a charakteryzuje ona doskonale Mierosławskiego.

„NARODZIE POLSKI. Do broni wszelkiej i wszędzie, jak szerokie dziedziny Twoje, jak rozmaite warstwy Twojego społeczeństwa, jak rozmaite wyznanie Twojej wiary w Boga jedynego i jego sprawiedliwość . . . A nie lękaj się, tylomilionowy Narodzie, ażeby ci zabrakło oręża, byle każdy kawał polskiego żelaza znalazł dłoń, co go podniesie przeciw bagnetom ginącym w powodzi wezbranego powstania. Po temu dość będzie braciom, silniejszym mieniem i rozumem, schylić się po te nieprzebrane chmary wiejskiego ludu, co od wieków zdawało się leżały biernymi świadkami potęgi narodowej i narodowej śmierci, a przecież na polach Racławic, na stosie Księża i w płomieniach Miłosławia i Wrześni zmartwychwstały ze zwycięską kosą w ręku na świadectwo zmartwychwstania kmiecej Ojczyzny. Raz jeszcze zmartwychwstańcie! Raz ostatni, Kmiecie! Tylko chmarą, tylko wszyscy, tylko razem! Od źródeł Wisły do ujścia Dźwiny i Kodymy, zmartwychwstańcie w nieprzejrzanym lesie kos, pił, wideł i cepów waszych, zmartwychwstańcie w trop za tą waszą awangardą walecznej młodzieży, której car kazał łzami wskazać drogę na Sybir i Kaukaz, a która od tylu niedziel wskazuje wam krwią swoją drogę do wolności i Bożego błogosławieństwa. Zmartwychwstańcie za jej świętym przykładem, a na łanach, których nikt wam nie wydrze, bo strzeżonych własnym waszym zwycięstwem, wszyscy równi synowie jednej Matki, Ojczyzny, wzniesiemy do wspólnego Ojca w niebiosach pieśń dziękczynną, od której Aniołowie Piastowi rozpłaczą się z radości, a bramy wszechpiekieł wraz z jarzmem waszym pękną na zawsze.“

TAKĄ odezwę drukowaną na polskiej ziemi 16 lutego 1863 rozrzucał Mierosławski w zbyt jaskrawo ciężkich warunkach pod Krzywosądzem. Miał on przy sobie oddziałek śmiesznie mały, niespełna 100 ludzi. Dążący w stronę Krzywosądza Mielecki zabłądził ze swym oddziałem i do obozu przybyła zaledwie jego awangarda, coś niespełna 30 jeźdźców.

Na tę setkę, w której znajdował się również Józef Dąbrowski, mianowany przez Mierosławskiego dziesiętnikiem, napadły dnia 19 lutego cztery roty Moskali i przeszło stu Kozaków i objeszczyków. Mierosławski, oczekując na Mieleckiego, postanowił się bronić. Moskale, nie wiedząc, z jak słabymi siłami mają do czynienia, rozsypali tyralierę i rozpoczęli strzelaninę, która trwała przeszło 2 godziny, po czym ruszyli do ataku. Widząc niepodobieństwo utrzymania się, Mierosławski nakazał odwrót, który osłaniali kosynierzy. Wyszedłszy jednak z lasu, powstańcy przywitani zostali silnym ogniem drugiej kolumny nieprzyjacielskiej i zosta-

wili prawie połowę swoich na placu. Klęska oddziału była straszna. Niemal połowa walczących legła. Moskale wyczerpani bitwą nie ścigali reszty zbyt ostro. Mierosławski odnaleziony przez oddział Mieleckiego i wzmocniony przez garstkę włościan, cofając się przez parę dni przed wrogiem, doszedł wreszcie do poręb leśnych pod Nową Wsią tuż koło jeziora Gopła, ale zaledwie zatrzymał się i postanowił przyjąć bitwę, rozległ się alarm. Rosjanie nadciągnęli i zadali mu 22 lutego znowu klęskę.

Zrozpaczony, zwłaszcza że i niesnaski wybuchły w partii, bo Mieleccy się buntowali, wysłał Mierosławski kurierów do Warszawy, do Rządu Narodowego, a sam wraz z Kurzyną i kilku towarzyszami opuścił oddział Mieleckiego, przedostał się z powrotem przez granicę w Poznańskie i powrócił do Paryża.

Czy w tej drugiej bitwie Mierosławskiego pod Nową Wsią Józef Dąbrowski brał udział, nie wiadomo. Wspominając w późniejszym wieku, już jako ksiądz w Ameryce swą wojaczkę, opowiadał on, że raz tylko mu się poszczęściło, kiedy idąc na czele swej dziesiątki wszedł do jakiejś wioski nie spodziewając się tam spotkać Moskali, a ci, nagle zaskoczeni, nie orientując się natychmiast pierzchli.

PO rozproszeniu powstańców w walce pod Krzywosądzem czy też pod Nową Wsią uciekając, schronił się Dąbrowski w jakimś opuszczonym dworze na poddaszu. Trzech kolegów jego, którzy razem z nim biegli i schronili się do piwnicy, zatrzaskując drzwi za sobą i nie czekając na niego, Moskale natychmiast wytropili. Wyłamali oni drzwi do ich kryjówki i zakłuli ich bagnetami. Dąbrowski na strychu skrył się najprzód za kominem, kiedy nagle zauważył, że jedna z desek w podłodze odstaje. Oderwał ją i wsunął się pod nią. Słyszał on, jak Moskale plądrowali cały dom, jak chodzili po strychu i zaglądali za komin. Tchu mu brakło, lecz bał się ruszyć i dopiero po dłuższym czasie, kiedy się wszystko uspokoiło, wyszedł spod podłogi i ośmielił się zejść na dół, gdzie spotkał poczciwego jakiegoś chłopa, który litością zdjęty przyniósł mu trochę chleba i mleka i dopomógł do dalszej ucieczki.

TUŁAŁ się później ukrywany przez litościwe osoby po wsiach. Jakaś kobieta wiejska, u której skrył się, chcąc go ocalić, kiedy Moskale niespodziewanie do niej przybyli, zaczęła go okładać miotłą, jako niedołęgę i próżniaka, rzekomo swego parobka, i w ten sposób odwróciła od niego wszelkie podejrzenie, że to powstaniec.

PRZEKRADAJĄC się od wsi do wsi w stronę Warszawy, wrócił szczęśliwie Józef Dąbrowski do swojej matki i tu odbyła się walna narada, co czynić dalej. Ponieważ nigdzie nie przychwycili go Moskale, więc jego nagłe zniknięcie ze Szkoły Głównej postanowiono upozorować jego chorobą i dłuższym przebywaniem w szpitalu i namówiono go, ażeby dalej kontynuował przerwane studia. Kryształowej duszy Polak, rektor Szkoły Głównej, dr Mianowski chętnie w tym wszystkim mu dopomógł.

Zamieszany był w całą tę sprawę i szlachetny patriota polski, dr Chałubiński, bo jest podanie jakoby uciekający przed Moskalami Józef Dąbrowski miał wpaść gdzieś raz do szpitala, a ordynujący tam dr Chałubiński miał go ukryć na sali chorych na tyfus i Moskale już na tej sali go nie szukali, obawiając się tyfusu. Na tle tego podania napisała Paula Wężyk swój obrazek sceniczny p.t. „*Powstaniec.*“ Jak tam było zresztą, tak było, dość, że były powstaniec i mierosławczyk Józef Dąbrowski zaczął znowu, jak gdyby nigdy nic na wykłady w Szkole Głównej uczęszczać.

ALE trwało to niedługo. Zdradziła go jakaś służąca z tego domu w Warszawie, w którym mieszkał. Pośród innych sposobów szpiegowania posługiwali się wówczas Moskale zwłaszcza w Warszawie i tym, że ich tajna policja zawierała znajomości z dziewczętami, służącymi po domach, zalecała się do nich, obiecując im żeniaczkę i tak wkradłszy się w ich zaufanie wyławiała rozmaite potrzebne jej wiadomości. Tak było i w sprawie Dąbrowskiego. Ostrzeżono go atoli zawczasu, że o udziale jego w powstaniu Moskale już wiedzą i że lada dzień mają go uwięzić. Nie pozostawało mu nic innego, jak znów się ukryć i uciekać, ale tym razem już za granicę. Spłakana matka zapożyczyła się i wystarała dla swego Józia o pieniądze na drogę i na rozpoczęcie dalszych studiów na uniwersytecie w Szwajcarii.

NIE miał majątku, nie miał żadnego fachu w ręku, nie miał z czego żyć w Polsce, a cóż dopiero na tej tułaczce swej za granicą, na którą iść musiał. Ale wyboru nie było. Więzienie, Sybir, a może nawet i szubienica za swój udział w powstaniu — albo tułaczka, lecz na wolności gdzieś za granicą. Czy było nad czym się zastanawiać? Wybrał to drugie.

Przemycono go bez paszportu, jako lokaja którejś z zamożnych i nie podejrzanych o nic zdrożnego patriotek, które podówczas często, wyjeżdżając za granicę, oddawały takie usługi powstańcom, i już na początku roku 1864 Józef Dąbrowski, były student Szkoły Głównej i były powstaniec i mierosławczyk, opuścił Polskę raz na zawsze.

1864-1866

W *SAM DZIEŃ NOWEGO ROKU 1864* z wieży starożytnego tumu płockiego i wszystkich innych świątyń prastarej stolicy Bolesława Krzywoustego w Płocku po raz pierwszy od dłuższego już czasu zabrzmiały dzwony. Głucho, jękliwie, równo, miarowo popłynął ich śpiew po przez Wisłę ściętą lodem i po przez białe całunem śniegu powleczone równiny mazowieckie . . . Biskup płocki, Wincenty Chościak Popiel, pierwszy nakazał w swej diecezji zaprzestanie żałoby narodowej. Za przykładem jego poszły inne diecezje. Ostatnia porzuciła żałobę Warszawa, gdzie dzwony zabrzmiały 23 kwietnia. Te dzwony odzywające się z wież kościelnych znamionowały stanowczy zwrot umysłów nie tylko wśród duchowieństwa, ale i w całym narodzie. Był to objaw reakcji, która ogarniała coraz szersze kręgi. Ogół zmordowany powstaniem pożądał spokoju za wszelką cenę.

WSZYSTKIE niemal warstwy społeczeństwa stały się zajadłymi przeciwnikami ruchu, tak jeszcze niedawno popieranego. Szlachta przypominała sobie, że była mu przeciwna. Mieszczaństwo złorzeczyło. Chłopi na rozkaz Moskali zaczęli tu i ówdzie wyłapywać powstańców. Zastawiano drogi rogatkami i stawiono warty chłopskie. Żydzi masowo zwrócili się przeciw powstaniu, a ich cadycy piorunowali przeciwko wszelkiej asymilacji.

Nikczemność i nawet zdrada narodowa występowała prawie jawnie. Prezydent Warszawy, generał Witkowski, zorganizował szeroką akcję ugodową, zakończoną uroczystym balem 31 stycznia, podczas którego wręczono Bergowi bogato oprawny adres *„stołecznego miasta Warszawy“* napisany w nikczemnie służalczym tonie. Tym wszystkim, co potępiali *„tańczenie na grobie Ojczyzny,“* odpowiadano: *„Dobrze wam mówić, ale postawcie się na naszym miejscu.“*

GÓROWALI w składaniu zdradzieckich wiernopoddańczych adresów Żydzi i koloniści niemieccy. *„Naród żydowski, przedmiot niesłychanego ucisku w Rzeczypospolitej Polskiej, dopiero pod berłem monarchów rosyjskich znalazł szczęście i dobrobyt. Królestwo Polskie czarno splamiło się w obliczu Twoim i całego świata. Gardzimy tym imieniem i jako wierni synowie Rosji, uznajemy ją za jedyną i bezpośrednią naszą Ojczyznę“* . . . — tak pisali w adresach swoich Żydzi polscy do cara. Na ogół 589 takich adresów wystosowały miasta, chłopi 257, szlachta 13, duchowieństwo 8.

A TYMCZASEM bilans powstania w samym tylko Królestwie, nie licząc Litwy i Ukrainy, był straszliwy: 20 tysięcy ludzi poległo w walce, 15,351 poddało się nieprzyjacielowi, 396 rozstrzelano lub powieszono, koło 15 tysięcy wywieziono na Syberię, przeszło 3,000 poszło na tułaczkę za granicę, ekonomicznie zaś kraj cały legł zrujnowany. Dla porównania warto przypomnieć, że w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, która trwała lat 8 (od 1775 do 1783) poległo 70,000, a stracono, zmarło na galerach i po więzieniach 11,000.

Organizacja cywilna powstania w Polsce przeżyła walkę zbrojną. Dopiero 11 kwietnia aresztowano dyktatora Traugutta, którego egzekucja odbyła się 5 sierpnia, i dopiero 18 maja Berg ogłosił kampanię za ukończoną.

JÓZEF DĄBROWSKI był już wówczas za granicą. Trudno sobie wyobrazić, co w duszy swojej przeżywał, wchłaniając chciwie wszystkie te straszne echa pogromu narodowego w Polsce, echa, którymi rozbrzmiewała cała Europa. Cały naród polski upadł na duchu. W rozpaczy mówiono sobie, że Pan Bóg, do którego się modlono, jest widać za wysoko, a Francja, która interwencję obiecywała, za daleko. Do tej Francji szlakiem utartym jak w r. 1831, tak i teraz skierowała się fala rozbitków polskich.

Józef Dąbrowski w swojej tułaczce nie wylądował jednak w ślad za innymi w Paryżu nad Sekwaną. Potępieńcze swary „czerwonych" z „białymi," a zwłaszcza cena, którą za nie naród płacił, ocuciły go widocznie jeszcze w Warszawie, przed pójściem na emigrację, kiedy próbował zatrzeć ślady swego udziału w powstaniu i powrócić do swoich studiów uniwersyteckich. Ten proces otrzeźwienia odbywa się w duszy jego za granicą najwidoczniej w dalszym ciągu. Nie możemy go zrekonstruować, bo jak w powstaniu poza faktem, że brał w nim udział, tak i na emigracji poza faktem, że udał się wpierw do Drezna, że był potem w Frankfurcie, w Bernie i w Lucernie, nie znamy dokładnie żadnych szczegółów z życia Dąbrowskiego. Dokumentów, ilustrujących to wszystko, żadnych nie ma, a podania, jakie przekazała nam o tym z dorywczych opowiadań jego w Ameryce felicjanka, siostra Urszula, są dość szczupłe i niekompletne. Z podań tych wiemy tylko tyle, że w wędrówce swojej na wygnaniu trzymał się z początku razem z takimi samymi, jak i on rozbitkami z powstania, że ich wspierał i dzielił się z nimi swoim groszem, że przez jednego z nich był kompletnie ze wszystkiego okradziony, że pracował przez pewien czas w drukarni we Frankfurcie, że przedostawszy się do Szwajcarii, próbował kontynuować swoje studia uniwersyteckie w Lucernie, czy w Bernie, i że zarabiał sobie na życie, nie wstydząc się żadnej pracy fizycznej.

W TUŁACZCE swojej miał kłopoty niewątpliwie nie tylko z głodem, i chłodem, i brakiem grosza, ale i z policją i władzami. W Szwajcarii pewnego razu wieczorem, gdy wędrował pieszo z miasta do miasta, żandarm konny go aresztował, ale nie znalazłszy przy nim żadnej broni ani

pieniędzy, tylko różaniec, puścił go wolno. Przez dłuższy czas pracował gdzieś w Szwajcarii w kuźni u kowala, pisał bowiem do swej matki, jak informuje nas wyżej wspomniana siostra Urszula, dosłownie, co następuje:

„Tak, Kochana Mamusiu, losy są zmienne; ten, co ludźmi dowodził, teraz młotem w kuźni kuje; ale dzięki Bogu jestem zdrów i mam zamiar pojechać do Rzymu.“

Trzeba wczuć się w te krótkie słowa z jego listu, który niestety w całości nam nie jest znany, tak jak i większość jego listów, znajdujących się prawdopodobnie w archiwum sióstr Felicjanek w Krakowie, lecz nie wydanych. Z słów tych wynika, że pisał on je już po powzięciu decyzji, aby porzucić świat i zostać księdzem.

SKĄD i jak rozwinęło się w nim powołanie na księdza? Dał mu je Pan Bóg... Tak, niewątpliwie. *„Każdy kapłan z ludzi wzięty, dla ludzi bywa postanowiony w tym, co do Boga należy, aby ofiarował dary i ofiary za grzechy... A nikt sobie sam czci nie bierze, jeno ten, kto wezwany jest przez Boga, jako Aaron...“* (Żyd. V. 1-4)

WEZWAŁ tedy i powołał do kapłaństwa sam Pan Bóg i Józefa Dąbrowskiego. Jak atoli go powołał? Jakimi On go drogami do kapłaństwa doprowadził? Rozmaite bowiem mogą być drogi, którymi Pan Bóg prowadzi dusze do stanu duchownego.

„Nie wyście Mnie obrali, alem Ja was obrał.“ Oczywiście tekst ten jest to „magna charta“ powołania do kapłaństwa, ale niejednakowo i nie w ten sam sposób ta „magna charta“ w duszy ludzkiej się objawia i zostaje odczytana. Jest czynność Boska, ale jest również i czynność ludzka w powołaniu do kapłaństwa. Niejeden kapłan swoim rodzicom, ich troskliwej nad sobą pieczy, ich modlitwom i pobożności zawdzięcza święte swe powołanie. Innego Pan Bóg natchnieniem Swoim woła do Siebie, jak Samuela, a on tego nie rozumie i trzeba, żeby mu jaki Heli to wytłumaczył. Ojciec lub matka, czasem pobożny jaki przyjaciel, czasem spowiednik, pobożna książka, a zwłaszcza krzyże życia, różne cierpienia i próby, — oto są środki, czynniki ludzkie, którymi Pan Bóg się posługuje, aby człowieka do szczególniejszej służby w Kościele Swoim pociągnąć.

W ŻYWOTACH ŚWIĘTYCH kapłanów i zakonników mamy bardzo wiele opisów, w jaki sposób Pan Bóg powoływał ich do kapłaństwa. Opisują to nam często i pisarze różni świeccy, n.p. Franciszek Mauriac w swej powieści p.t. „Przeznaczenie“ albo René Bazin w swej powieści p.t. „Magnificat.“

Aby należeć do Pana Boga, jak powiada św. Jan Klimak, *trzeba oderwać się od czterech rzeczy: od majątku, od krewnych, od honorów i od uciech, a najgłówniej od swej woli.* Oderwanie się od tych rzeczy jest bardzo trudne. Opatrzność Boża tedy dość często sama pomaga pod tym względem tym, których Sobie do kapłaństwa powołuje. Ludzie tego nie pojmują. Upraszczają oni sobie odpowiedź na to, czego właśnie nie rozumieją.

TAK jest również i ze sprawą powołania do kapłaństwa, które dał Pan Bóg Józefowi Dąbrowskiemu. Siostra Urszula po prostu stwierdza, że on poczuł powołanie do stanu kapłańskiego za sprawą Ducha świętego. Takiemu sprawy tej postawieniu nie można zaiste nic zarzucić, ale ono nie wyjaśnia jej też wcale. Bardzo zacny, lecz mało wnikliwy profesor Ignacy Machnikowski próbuje jednak filozofować. Pisze on nam, że w powstaniu Józef Dąbrowski walczył za dwa ideały, za wolność Polski i za wiarę, że się tej walki nigdy nie wyrzekał, a widząc, że w stanie świeckim prowadzić jej nie może, postanowił poświęcić się stanowi duchownemu, aby ją dalej prowadzić. Jest to twierdzenie poetyczne i ładne, ale wyssane z palca, na żadnych faktycznych danych nie oparte, faktom nawet wręcz przeciwne.

Faktem jest przecież, że Dąbrowski po rozbiciu Mierosławskiego przez Moskali, zamiast przedzierać się wprost z powrotem do Warszawy, mógł był przedzierać się do innej jakiej partii powstańczej, choćby na przykład do operującego tuż obok Mieleckiego i mógł próbować wojować dalej. A jednak, tego on nie uczynił. Dosyć miał widać już swej wojaczki. Wyrzekł się dalszej walki w powstaniu. Próbował zatrzeć udział w nim swój i powrócił do studiów w Szkole Głównej, skąd dopiero później musiał uciekać. Upada tedy przesłanka jedna, na której profesor Machnikowski chce opierać powołanie do kapłaństwa Dąbrowskiego i przedstawiać je jako ciąg dalszy jego zapału romantycznego do walki zbrojnej i do powstania.

Gorzej jest jeszcze z drugą przesłanką, że Dąbrowski szedł do powstania, aby w nim walczyć nie tylko za wolność, ale i za wiarę. Walczył on przecież pod Mierosławskim, był tedy mierosławczykiem, a mierosławczyk, to rewolucjonista, któremu walka za wiarę św. ani nawet świtała w głowie. Nie był Dąbrowski zapewne mierosławczykiem zacietrzewionym, nie marzył o tym, aby rżnąć szlachtę albo księży, jak Mierosławski; był on tylko studentem niedoświadczonym, którego starsi koledzy na tę drogę wciągnęli, ale nie „religiantem" jednak, nie krzyżowcem za wiarę św. na śmierć idącym w powstaniu polskim.

W imię prawdy historycznej, aby zrozumieć psychologiczny zwrot, jaki w duszy Dąbrowskiego na emigracji się dokonał i do kapłaństwa go doprowadził, trzeba na udział jego w powstaniu nie zapatrywać się romantycznie, ale na trzeźwo, tak jak on sam na emigracji ten brzemienny w skutki epizod w życiu swoim ocenił.

MAMO! losy są zmienne: *ten, co ludźmi dowodził, teraz młotem w kuźni kuje; ale dzięki Bogu jestem zdrów i mam zamiar wkrótce pojechać do Rzymu,"* — oto jest echo długich, samotnych rozważań i rachunku sumienia, jaki uczynił sobie Józef Dąbrowski na przymusowej swej emigracji. Jakże bardzo nam to echo rachunku sumienia Józefa Dąbrowskiego po powstaniu przypomina owe słowa z przypowieści ewangelicznej o synu marnotrawnym, kiedy straciwszy cały majątek rzekł w sercu swoim: *„Jakże wielu najemników w domu ojca mego ma dosyć chleba, a ja tu głodem przymieram; wstanę i pójdę do ojca mego*

i rzekę mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw niebu i przed Tobą." (Łuk. XV, 17-18)

POWSTANIE POLSKIE w r. 1863 ujawniło Józefowi Dąbrowskiemu tę wielką prawdę, że nie wystarczy chęć za uczynek i że przedwczesne, nie liczące się z realnymi możliwościami i nie opanowane rozumem wybuchy uczuć nie prowadzą nigdy do celu, owszem narażają byt narodowy i są szaleństwem. Naród, który nie miał dość sił, aby zachować niepodległość, nie może ich mieć tyle, aby na poczekaniu ją odzyskać, bez odrodzenia się wewnętrznie i bez specjalnie pomyślnej zewnętrznej koniunktury i pomocy. W obłędzie politycznym wychowane pokolenia, które nie chcą się z tym liczyć, marnotrawią tylko siły narodu i spychają naród w przepaść coraz głębszą. Każdy wściekły ryzykant może ryzykować samego siebie, ale nie wolno mu się chować za cudze plecy i ryzykować w szaleńczym obłędzie swój naród. W poezji może uchodzić to za piękne i może być to nazywane bohaterstwem, ale w życiu realnym jest to zbrodnia i szaleństwo. Uwiedziony przez demagogię były powstaniec, Józef Dąbrowski, opatrzył się na emigracji i zrozumiał widać słowa poety:

„Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą,
Pawiem narodów byłaś i papugą."

ZROZUMIAWSZY tę wielką prawdę i zrobiwszy sobie ten gorzki rachunek sumienia, uderzył on się w piersi i to była jego droga w powołaniu do kapłaństwa... to był proces psychologiczny, który zaczął się już w Polsce, kiedy po rozbiciu Mierosławskiego przez Moskali nie próbował już dalej walczyć, ale przedzierał się do Warszawy, aby studia uniwersyteckie swoje kontynuować, a zakończył się na emigracji w Szwajcarii u kowala, kiedy kuł młotem, aby w ten sposób na życie sobie zarobić, i kiedy napisał wreszcie do swojej matki: *„losy są zmienne; ten co ludźmi dowodził, teraz młotem w kuźni kuje; ale dzięki Bogu jestem zdrów i mam zamiar wkrótce pojechać do Rzymu.*"

Losy są zmienne:

D. O. M.
Hic obiit Gustavus
Hic natus est Conradus

TAKI był prolog powołania do kapłaństwa Józefa Dąbrowskiego. Wbrew teorii, którą głosili jego pobożni różni żywotopisarze, trzeba stwierdzić to otwarcie, że nie co innego, tylko samokrytycyzm, rozczarowany w romantycznych zapałach co do powstania, doprowadził go do kapłaństwa przez akt pokuty za swoją górną i chmurną młodość powstańczą.

STWIERDZA to nam ponad wszelkie wątpliwości zwłaszcza fakt, że aby przygotować się do kapłaństwa, poszedł on nie dokąd indziej, jak do Rzymu do kolegium Zmartwychwstańców.

1866-1870

RZYM... *ZMARTWYCHWSTAŃCY*... to była wówczas płachta czerwona dla wszystkich powstańców polskich, a już szczególnie dla mierosławczyków.

Szkoły krakowskiej . . . Teki Stańczyka jeszcze nie było. Dopiero na wiosnę 1866 Stanisław Tarnowski, wyszedłszy z więzienia, spotkał na rynku krakowskim Stanisława Koźmiana i zapytał go z rozpaczą:

— I cóż my teraz będziemy robić?

„Założymy i wydawać będziemy pismo polityczne . . ."

— Jak to? my dwaj?

„I Szujski . . ."

— Szujski? Przecież on ma niezupełnie takie same przekonanie, jakie my mamy.

„O, Szujski się zmienił."

Obaj poszli do Szujskiego; pozyskali współudział Ludwika Wodzickiego i 1 lipca 1866 wyszedł z druku pierwszy zeszyt „Przeglądu Polskiego," a jeszcze później ukazała się wojująca „Teka Stańczyka." Wywarła ona wielkie wrażenie na wszystkich popowstaniowych pogrobowcach i poetach romantyzmu w polityce. Czerwoną płachtą odtąd dla nich i na zawsze została u nas szkoła krakowska, szkoła Stańczyków. — Ale Dąbrowski wówczas już był w Rzymie, albo przynajmniej w drodze do Rzymu. Czerwoną płachtą dla tych, z którymi szedł on w powstaniu, był wówczas jeszcze tylko Rzym i Zmartwychwstańcy.

I OTO Józef Dąbrowski zdradził dotychczasowych swych powstaniowych towarzyszy ideowych; zdradził Mierosławskiego... szedł do Canossy... szedł wprost do Rzymu... do Zmartwychwstańców. Był on studentem, inteligentem, a nie powstańcem z ludu, był powstańcem, co — jak sam pisze — miał aspiracje . . . „ludźmi dowodził," — znał niewątpliwie surmy bojowe swego obozu, wiedział, jak obóz ten zapatrywał się na papieża i jak piętnował on Zmartwychwstańców, — a jednak zdeptał wszelkie te względy, szedł do Canossy . . .

TRZEBA stwierdzić ze stanowczością, że myśl wstąpienia do seminarium w warunkach, w jakich Dąbrowski to uczynił, była przekreśleniem przez niego całej duchowej swojej przeszłości i aktem całkiem jawnej pokuty.

W życiu chrześcijańskim nazywa się to nawróceniem się grzesznika z drogi błędnej do Pana Boga. Mówiąc o tym, zaznaczamy atoli, że nie

był wcale Józef Dąbrowski w młodości swojej jakimś wielkim grzesznikiem. W wierze św. nie zachwiał się i nigdy jej nie utracił. Nosił w kieszeni różaniec, który mu dała pobożna matka. Co innego atoli wiary nie stracić i nosić w kieszeni różaniec, a co innego żyć z wiary i z różańca czerpać zdrowie duszy. Józef Dąbrowski w młodości widocznie nie czuł, że żyje z wiary, a gdy nastąpił w jego duszy ów wielki przełom, że postanowił zostać księdzem, to całe życie pokutował.

Charakterystyczną i najjaskrawszą cechą jego w późniejszym całym życiu kapłańskim był duch pokuty i umartwienia. Stwierdzają to wszyscy, którzy go znali i którzy jego prywatnemu życiu kapłańskiemu się przyglądali. Bardzo często chwytano go jakby na gorącym uczynku, kiedy samotnie późno wieczorem krzyżem leżał w kościele lub w kaplicy przed ołtarzem.

OPOWIADAŁA mi na tym tle swoją przygodę pewna siostra Felicjanka. Jest ona dzisiaj w starszym wieku i pamięta dobrze ks. Dąbrowskiego z czasów, gdy była w klasztorze w Detroit zakrystianką jeszcze za jego życia. Umarł podówczas furman sióstr, S. Andryczek, i w gościnnym pokoju w trumnie leżały jego zwłoki, a nazajutrz miał być pogrzeb. Wieczorem o jedenastej przypomniała sobie ta siostra zakrystianka, że trzeba zrobić jeszcze coś w kaplicy i pobiegła w pośpiechu do niej. Jakież było jej przerażenie, kiedy potknęła się o kogoś leżącego tam krzyżem. Uciekła natychmiast, jak wichrem gnana, sądząc, że to zmarły Andryczek wstał z trumny i pokutuje tak w kaplicy. Zaalarmowała przełożoną, a na drugi dzień opowiedziała przygodę i przypuszczenie swoje ks. Józefowi Dąbrowskiemu, który przebywał właśnie w klasztorze. Ksiądz Dąbrowski jej odrzekł: *„To ja byłem, moja imość. Niech się imość nie alarmuje. Takim ludziom, jak ja i imość, duchy się nie pokazują. Pokazują się one tylko albo wielkim grzesznikom, albo świętym.“*

PRZYTOCZYŁEM tu ten szczegół, bo choć nie związany jest co do czasu z tym o czym mowa, ale ubocznie ma znaczenie zasadnicze. Ks. Józef Dąbrowski w nim stwierdza, że grzesznikiem wielkim nie był, ale nie był też i świętym. Swoje życie pokutnicze uważał on za rzecz całkiem naturalną. W duchu pokuty został on księdzem.

Kto go na drogę tę naprowadził i co mu sumienie jego tak urobiło?

Znowu odpowiedź można uprościć, można powiedzieć: Pan Bóg i koniec. Ale Pan Bóg w życiu ludzkim posługuje się zwykle ludźmi.

Fakt, że Dąbrowski, który w czasie powstania walczył pod Mierosławskim, poszedł do Rzymu do Zmartwychwstańców, świadczy, że przełom, jaki się w duszy jego dokonał, był czymś w rodzaju tego przełomu, jaki się odbył w duszy Jańskiego, czy Semeneńki, czy Kajsiewicza, i że on im go niewątpliwie też zawdzięczał.

Znał on i czytał *„List Otwarty“* ks. Kajsiewicza do *„Braci księży grzesznie spiskujących“* i do *„Braci szlachty niemądrze umiarkowanych.“* List ten opublikowany był w Tygodniku ks. Prusinowskiego w Poznaniu właśnie tego samego dnia (22 stycznia 1863), w którym

wybuchło w Królestwie powstanie. Rząd rosyjski przedrukował ten „List“ w nienawistnym dla Polaków Dzienniku Powszechnym, opuszczając w nim wszystko, co było przeciwko rządowi. Mało kto czytał oryginał w Tygodniku, ale prawie wszyscy znali dobrze „List Otwarty“ z przedruku w dziennikach pro-rosyjskich.

Oburzenie na Kajsiewicza i Zmartwychwstańców było powszechne. Członek rządu spiskowego, ks. Mikoszewski w swoim „Głosie Kapłana“ piorunował, że Zmartwychwstańcy otrzymali za ten „List“ od Moskali przez Wielopolskiego obietnicę amnestii i dotacji. Reprezentantowi Komitetu Centralnego, Kulczyckiemu w Rzymie polecono inwigilować Zmartwychwstańców, a szczególnie Kajsiewicza.

KAJSIEWICZ wiedział, że ogłaszając swój „List Otwarty“ w chwili, gdy już połowa duchowieństwa polskiego w Królestwie zaprzysięgła wierność Mazzinistom polskim, jak ich nazywał, naraża się na sztylet. Ks. Koźmian z Poznania radził mu przetrzymać burzę całkiem spokojnie i wcale się nie odzywać, a natomiast polecić Semeneńce, aby napisał rozprawę nie polemiczną, lecz naukową o prawodawstwie Kościoła wobec towarzystw tajnych. Ks. Jełowicki starał się skłonić ks. Kajsiewicza do odwołania „Listu Otwartego.“ Kajsiewicz coś przyrzekł, ale „Listu“ nie odwołał.

„Trzeba koniecznie większego porządku w głowach polskich, aby Ojczyzna być i poczciwie żyć mogła,“ tak odpisał on ks. Jełowickiemu.

DOZA prawdy w Liście Otwartym była może trochę za mocna i podana była ludziom zbyt zakatarzonym i gorączkującym, i stąd kichania i nawet womitów było dużo, ostatecznie jednak wielu rodakom wyszło to na zdrowie. „Kichał“ zapewnie i „womitował“ może nawet i młody student, młody powstaniec i mierosławczyk, Józef Dąbrowski, lecz ostatecznie, jak go skądinąd dobrze już przycisnęło, poszedł po rozum do głowy i uderzył się w piersi. List Otwarty i Zmartwychwstańcy dopomogli mu zedrzeć sobie łuskę z oczu. Nic dziwnego, że wprost do nich potem poszedł. Nawet gdy już chciał być księdzem, mógł iść gdzie indziej, n.p. do seminarium gdzie we Francji, jak uczyniło paru innych, ale on poszedł wprost do Rzymu, do Zmartwychwstańców. A gdy poszedł, to już wnet tam ks. Semeneńko wybił mu z głowy wszelką poezję i nauczył krzyżem leżeć.

JEŻELI gdzie i kiedy, to pod kierownictwem ks. Semeneńki w Rzymie zrozumiał młody kleryk a były powstaniec, Józef Dąbrowski, wielką prawdę słów papieża Piusa IX, które ów wypowiedział ze łzami w oczach dnia 3 lipca 1864 na audiencji do ks. Jełowickiego:

„Biedna Polska. Ma ona do zwalczenia dwóch strasznych wrogów. Moskwę schizmatycką i, straszniejszą od niej, rewolucję i demokrację rewolucyjną.“

Kiedy ks. Jełowicki zaczął tłumaczyć, że ta bezbożna demokracja w Polsce się nie przyjmie i że nawet mowy księcia Władysława Czarto-

ryskiego, rehabilitującej trochę Mierosławskiego, który przez Garibaldi'ego przeznaczony był na mistrza masonerii dla Polski, nie trzeba brać zbyt serio, bo wypowiedziana była w Anglii do protestantów, aby ich zjednać, papież odrzekł:

„Jeżeli tak, to książę mówił przeciw sumieniowi swemu, ad captandam benevolentiam iniquorum, a podobnym krokom Bóg nie błogosławi. Pamiętajcie o tym."

POWYŻSZE słowa Ojca św. z pewnością często ks. Semeneńko powtarzał i tłumaczył klerykom polskim jeszcze w dwa lata później za czasów bytności w kolegium Józefa Dąbrowskiego, bo były one wówczas hasłem dla Zmartwychwstańców. Przecież i w Rzymie ich podejrzewano. Podczas gdy w Polsce i na emigracji polskiej aż huczało, że są oni ultramontanami i Polskę zaprzedają, sekretarz stanu kardynał Antonelli w Rzymie ustawicznie przestrzegał Ojca św., aby nie ufał Zmartwychwstańcom, bo im chodzi tylko o Polskę. Sam Mickiewicz im radził: *„O Polsce milczeć i zupełnie Polaka pod kaptur schować."*

MYŚL założenia Seminarium Polskiego w Rzymie pod dyrekcją Zmartwychwstańców dla wychowania księży dla Polski pierwszy poruszył podczas bytności swojej w Rzymie pod koniec października 1850, na audiencji u Ojca św. hr. Montalembert, ale chociaż w zasadzie Ojciec św. ją pochwalił, nie uznał jej za realną i będącą na czasie kardynał Antonelli.

Oddanie zwłaszcza Zmartwychwstańcom takiego właśnie seminarium było z góry wykluczone. Tak jak w naszych czasach w Ameryce niektórzy ludzie usuwani są od wszelkich wpływów i promocji na zasadzie: „Too much Polish," — tak i w Rzymie Zmartwychwstańcy w przekonaniu kardynała Antonelli'ego i całej dyplomacji ówczesnej rzymskiej nie nadawali się do niczego, jako napiętnowani „troppo Polacco". Sam Ojciec św. nawet o ks. Jełowickim mówił, że jest kapłanem przykładnym i gorliwym, ale z dodatkiem „ale," ale . . . zanadto gorliwym. Bano się wszelkiej, tak zwanej „głośności emigracyjnej" tj. polskiej. *Poveretti ... mówiono, bisogna compatirli ... ma ... Iddio ha lasciato alla sua Chiesa la misura della prudenza.*

KIEDY po długim i bardzo ciężkim porodzie myśl założenia Seminarium Polskiego w Rzymie dla wychowywania księży dla Polski nareszcie się przyjęła i kiedy w marcu 1865 roku Ojciec św. kazał dla tego seminarium dom kupić, aby via facti ono stanęło, a w połowie maja tegoż roku i komisję wreszcie z kardynałem Paraciani Clarelli na czele dla założenia tego seminarium ustanowił, to i wówczas jeszcze kwestia nie tylko oddania go Zmartwychwstańcom, ale nawet naznaczenia z nich kogoś rektorem pozostała w zawieszeniu. *„Quot capita"* było *„tot nonsensus"* w tej sprawie, i nawet poczciwy ks. Jełowicki wyskoczył, jak Filip z konopi z projektem oddania rektoratu w tym seminarium Jezuitom, za co strofował go ks. Czacki. Papież przyrzekł Czackiemu, że rektorat w Seminarium Polskim będzie należał do

Zmartwychwstańców, ale Komisja (to jest kardynał Clarelli, a przede wszystkim Antonelli), aż do ostatniej chwili była temu przeciwna.

W STYCZNIU 1866 rozwiązała się Komisja, a na jej miejsce mianowany został kardynał protektor z dwoma deputatami do pomocy. W „Regolamento,“ wygotowanym przez komisję dla seminarium, stało czarno na białym tylko tyle, że Ojciec św. na przedstawienie kardynała mianuje rektora, którym będzie mógł być członek zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, jeśli to uznanym będzie za dobre.

No i w końcu Ojciec św. postawił na swoim i mianował rektorem ks. Semeneńkę. Ciężki to był krzyż w okolicznościach takich dla ks. Semeneńki. Papież Pius IX sam to rozumiał i wzmiankował o tym do ks. Kajsiewicza, kiedy ów powrócił w tym samym mniej więcej czasie z Ameryki, gdzie kwestował na seminarium.

„Mianowałem Semeneńkę rektorem, ale dużo macie nieprzyjaciół,“ tak się wyraził Ojciec św., na co odrzekł ks. Kajsiewicz: *„Tak zawsze było, iż jesteśmy wciąż z dwóch stron bici.“*

DNIA 24 marca 1866 nastąpiło otwarcie seminarium, czyli jak urzędownie je nazwano *Kolegium Polskie w Rzymie. „Haec dies quam fecit Dominus. Po długim oczekiwaniu wchodzimy wreszcie do nowego kolegium, nie z mniejszą radością, jak niegdyś żydzi do ziemi obiecanej. Garstka wprawdzie mała, lecz całą Polskę przedstawiająca, bo ojciec Rektor z Litwy, ksiądz Wicerektor, kapłan świecki z Wołynia, a z pomiędzy sześciu alumnów, dwóch z W. Księstwa Poznańskiego, dwóch z Galicji, jeden z Królestwa, i jeden z Wołynia. Gmach także skromny i ubogi, jak cały nasz naród: przerobione naprędce skrzydło klasztoru OO. Mercedariuszów zawiera ubożuchną kapliczkę, której całą ozdobą jest obraz patrona św. Jana Kantego i dwie statuy Najśw. Panny i św. Józefa, niewielką salę rekreacyjną, refektarz z kuchnią, bibliotekę (niestety bez książek), zakrystię pod schodami i 19 celek, skromnie urządzonych. Lecz Bogu dzięki i za to.“* Tak dosłownie czytamy pod datą 24 czerwca 1866 w dzienniczku Kolegium Polskiego w Rzymie prowadzonym przez studentów.

ALUMNEM z Królestwa, o którym wspomina powyższa wzmianka, był nasz Józef Dąbrowski. Przebywał on w seminarium od r. 1866 do r. 1869 włącznie. Życie jego szło tam zwykłą koleją, regulaminem wytkniętą. Treścią życia była: modlitwa, praca i nauka pod kierunkiem ks. Semeneńki. Co do studiów, dwóch z wyżej wspomnianych studentów uczęszczało na wyższy kurs teologii w Collegium Romanum, trzech na filozofię, a jeden, właśnie Dąbrowski, przygotowywał się w domu.

Dnia 16 lipca odwiedził Kolegium Polskie Ojciec św., zachęcał osobiście tę maluczką gromadkę do pracy, aby stała się kiedyś pomocą dla nieszczęśliwego swego narodu. *„Ten naród Polski,“* — dodał żartobliwie, *„jest trochę dobry, ale i trochę zły. Musiał on dużo zawinić,*

kiedy go Pan Bóg tak karze, lecz musi on także być Panu Bogu bardzo drogim, bo quem Deus diligit, castigat."

Wytargał przy tym trochę za włosy, żartując, Ojciec św. jednego ze studentów, kto wie czy właśnie nie Dąbrowskiego, a drugiego, kto wie czy nie przyszłego historyka swego ks. Pelczara, który był prefektem alumnów, nazwał swoim sekretarzykiem.

DNIA 2 SIERPNIA, po odwiedzinach w Kolegium kardynała Clarelli'ego, wyjechali studenci pod opieką ks. Semeneńki na willegiaturę do Genzano, w góry, skąd z kosturem w ręku pieszo albo na osłach robiono wycieczki do Frascati itd. i zwiedzano słynne letniska i miejscowości rzymskie w pobliżu. 18 października „vale Genzano" i powrót do Rzymu.

KS. DĄBROWSKI w międzyczasie oswoił się już zarówno z językiem włoskim, jak i łaciną, i od początku nowego roku szkolnego dnia 5 listopada 1866 rozpoczął uczęszczać na regularne wykłady teologii w Kolegium Rzymskim. Szybko leciał mu czas szkolny, urozmaicony nie tylko zwiedzaniem Rzymu, nie tylko braniem udziału w częstych i rozmaitych uroczystościach kościelnych i nabożeństwach, i nie tylko wizytami w Kolegium Polskim rozmaitych dygnitarzy i wybitnych ludzi z Polski, ale i przez ówczesne burzliwe rewolucyjne stosunki polityczne i rokroczne wyjazdy na willegiaturę letnią w Genzano.

Dnia 11 grudnia 1866 załoga francuska wyszła z Rzymu i garibaldczycy w Rzymie lada chwila mieli rozpocząć rewolucję, ale Bóg jeszcze na ten raz ustrzegł. 18 grudnia odwiedził Kolegium nowy kardynał protektor Ferretti wraz z dwoma nowymi deputatami.

WKRÓTCE po tym zmarł w Rzymie, w aureoli świętości, w klasztorze Ara Coeli Polak, Ojciec Władysław Drukstein, którego śmierć zrobiła wielkie wrażenie. Po Nowym Roku, dnia 15 stycznia, umarł zasłużony generał Szymanowski. W czerwcu 1867 zaczęli zjeżdżać się do Rzymu na kanonizację św. Józafata Kuncewicza dnia 29 czerwca biskupi polscy i goście z kraju. Wielu z nich zamieszkało w Kolegium i alumnom przypadło ich obsługiwać.

Ewenementami były wspaniałe dary, uroczyście składane Ojcu św. od Polaków przez ks. Jełowickiego, a więc 4 lipca bulla papieska o Niepokalanym Poczęciu, przetłumaczona na język polski we wspaniałej ze srebra kutej oprawie z misternie wykonanymi obrazkami z historii polskiej i przecudnie haftowana chorągiew polska z obrazem św. Józafata, ofiarowana papieżowi dnia 16 lipca.

WAKACJE LETNIE w r. 1867 w Genzano odbyły się pod grozą szerzącej się i w Rzymie i poza Rzymem z straszną gwałtownością cholery. Kolegium podobne było do lazaretu, ale na szczęście studenci nie zapadli na cholerę i skończyło się na febrze i innych pomniejszych dolegliwościach. Na cholerę natomiast zmarł gorliwy i pobożny kardynał Ludwik,

książę Altieri, biskup Albano. Gdy zaraza dziesiątkowała miasto, ofiarował się on publicznie w kościele na śmierć, jako ekspiacja za swą owczarnię, i istotnie w cztery dni potem zachorował i umarł. Wraz z jego śmiercią cholera jak nagle wybuchła, tak nagle ustała, co zrobiło wielkie wrażenie.

Studenci na letnisku w górach również wkrótce przyszli do siebie i z zapałem, jak zwykle, urządzali swoje wycieczki letnie. Czterech z nich, a w ich liczbie Józef Dąbrowski, wybrało się na przykład dnia 23 września na dłuższą pielgrzymkę pieszą do Subiaco. Po drodze zwiedzili Velletri. Przedzierając się wieczorem przez długi las do klasztoru w Civitella przechodzili obok obozu brygandów, którzy w tym lesie się ukrywali.

Po powrocie z wakacji letnich do Rzymu przeżył tam Dąbrowski wraz z kolegami rewolucję, wywołaną przez garibaldczyków, która wybuchła dnia 22 października, a skończyła się na razie wejściem do Rzymu Francuzów i pobiciem Garibaldi'ego przez papieskie wojsko pod Mentoną dnia 3 listopada. Klerycy w seminarium polskim odprawiali właśnie rekolekcje i ks. Kajsiewicz, który je prowadził, przed każdą swoją konferencją dla uspokojenia ich podawał ostatnie wiadomości o tym, co się dzieje na mieście.

W listopadzie odprawione było — nakazane w encyklice z dnia 17 października — uroczyste „triduum" we wszystkich kościołach w Rzymie na intencję Kościoła w Polsce. Klerycy polscy odprawili je w swojej kapliczce. W wigilię Bożego Narodzenia, jak rok rocznie, zaproszeni byli do Zmartwychwstańców na via Paolina. Rozpoczęły się potem wieczory literackie, na których ks. Semeneńko odczytywał swoje głębokie poglądy na myśl Bożą w posłannictwie polskim.

Rozpoczął się wkrótce rok 1868, który stosownie do przepowiedni Ojca Marka karmelity sprzed lat stu, miał być rokiem wielkich burz i przewrotów w całym świecie, ale dla Józefa Dąbrowskiego i reszty kleryków w seminarium polskim w Rzymie przeminął dość spokojnie, jeżeli nie liczyć tej burzy w szklance wody, której punktem kulminacyjnym było wysłanie przez nich deputacji do zastępującego ks. Semeneńkę, ks. Kajsiewicza, aby odwołał z Kolegium brata Jana, ekonoma, bo „inaczej oni sami wszyscy wyjdą." Kleryków podbuntował do tego pewien niesforny ich kolega z Poznańskiego. Ks. Kajsiewicz w jednym z listów swoich do Ojca Semeneńki pisze o tym, że odwołać musiał brata Jana, ale powiedział przez prefekta *„tym młokosom, że mogli inną drogą i przyzwoiciej to samo otrzymać."* Oliwy do ognia dolało zwłaszcza to, że znaleźli klerycy list brata Jana, w którym prosił swych przełożonych, aby zabrali go z Kolegium, bo już nie może dłużej ulegać dumie alumnów, mających niechęć do Zgromadzenia.

Tę burzę w szklance wody uciszył wkrótce na konferencjach swoich wicerektor ks. Feliński, brat arcybiskupa warszawskiego. Czy brał w tej burzy jaki udział Dąbrowski? Ks. Pelczar, który podówczas w semina-

rium był studentem i prefektem, powiedział poufnie ks. Felińskiemu, że nieukontentowanie wśród kleryków było powszechne i radził nawet usunąć wodzirejów, bo inaczej będzie coraz gorzej, ale nie wspomniał nic o Dąbrowskim. Co najwyżej mógł być Dąbrowski w całej tej sprawie tylko cyganem przysłowiowym, co dla kompanii gotów był dać się powiesić. Ks. Semeneńko, na którego również klerycy narzekali, bawił wówczas w Galicji, starając się o fundusze dla Kolegium. Powrócił dopiero w lecie, kiedy burza ta już ucichła, niewątpliwie jednak wiadomość o niej zasmuciła go niepomiernie.

CZY w podjudzaniu kleryków przeciwko ks. Semeneńce i Zmartwychwstańcom brały również udział wpływy postronne, rewolucyjne, wątpić należy, aczkolwiek i to jest niewykluczone w ówczesnym stanie umysłów polskich na emigracji. Przecież właśnie w tym samym czasie po powrocie do Rzymu, ks. Semeneńko z ust samego Ojca św. na prywatnej audiencji usłyszał gorzką wymówkę, że *„ostatnimi czasy wielu Polaków zapisywało się do wojska papieskiego lub do żuawów, a potem uciekało do brygandów lub garibaldczyków, albo utrzymywało korespondencję z rewolucjonistami włoskimi i za ich pieniądze starało się knuć w wojsku papieskim spiski, mające na celu zdradę w razie wybuchu wojny.“* Na tę niesforność polską i na tego ich ducha rewolucyjnego żalił się gorzko ks. Semeneńko, bo podkopywał on dobre imię Polski wobec świata. Z poglądami swoimi wcale się nie krył.

ŚWIADCZY o tym rozmowa, jaką miał ks. Semeneńko z jednym z najzagorzalszych agitatorów zbrojnego ruchu w Polsce wśród duchowieństwa, ks. Mikoszewskim. Ks. Mikoszewski, członek byłego tajnego powstańczego rządu w Warszawie, przybywszy do Rzymu właśnie w tym czasie, odwiedził Seminarium Polskie i wobec kleryków zaczął narzekać, że powstanie w Polsce się nie udało.

Mieliśmy nadzieję, mówił, *że Pan Bóg dopomoże, bośmy zaczęli z Bogiem.* Ks. Semeneńko zaraz odpalił: *Pięknie z Bogiem, kiedyście weszli w socjusz z masonerią...*

My się łączyć gotowi z każdym, co nam pomóc chce przeciw Moskwie, — zawołał ks. Mikoszewski.

Choćby z szatanem? odezwał się ks. Semeneńko.

Tak jest... Choćby z szatanem, brnął Mikoszewski.

Przepraszam księdza, ale mnie nie godzi się prowadzić takiej rozmowy, — przerwał mu ks. Semeneńko i zaczął mówić o rzeczach innych, obojętnych, a klerycy widocznie zgorszyli się z ks. Mikoszewskiego, bo zapisując to zdarzenie w dzienniczku swoim zakończyli je wykrzyknikiem: *„Oto jest: Sumienie polskie. Sumienie księże.“*

To sumienie polskie, księże na zupełnie inną nutę urabiał w klerykach ks. Semeneńko. Urabiał on je też na nutę polską, ale całkiem inną. Urobił on je tak zwłaszcza w Józefie Dąbrowskim.

WPŁYW KS. SEMENEŃKI na wewnętrzne duchowe życie Dąbrowskiego i na dalsze jego losy był wybitny, decydujący. Uwydatnia się on nie tylko w tym, że Dąbrowski, jak wykazują jego późniejsze lata, szedł niezachwianie zawsze po linii odrodzenia w duszach polskich życia polskiego katolickiego w przekonaniu, że ono jedno naród nasz polski od zatracenia może zachować, ale i w tym, że za podstawę tego odrodzenia wziął ekspiację, pracę, pokutę, i „mea culpa," a nie poezję, nie egzaltację, nie romantyzm i konspirację.

Kiedy umarł założyciel Zmartwychwstańców, Bogdan Jański, na pośmiertnym obrazku jego napisano, że był on pierwszym jawnym pokutnikiem polskim na emigracji. Ks. Semeneńko tym samym duchem pokuty był przejęty i jako hasło swojego życia wziął sobie również ten wór pokutny, który, jak mówił, *uszył nam sam Pan Bóg, abyśmy ofiarowali go w pokorze ducha Panu Bogu nie tylko za grzechy swoje, ale i za grzechy całego narodu polskiego.*

NAPISAŁ niegdyś Wielogłowski w swoim dziele: „*Emigracja polska wobec Boga i narodu,*" że Bogdan Jański „*Polakom przez polską szybę w niebo patrzeć kazał.*"

„*Przegląd Poznański*" po śmierci Bogdana Jańskiego przypominał, jak to Jański nad tym problemem długo się w swoim czasie zastanawiał i przez kilka tygodni u Trapistów go rozważał, aż wreszcie, powstawszy z klęczek u stóp ołtarza, napisał do swoich braci: „*Jako Polacy, a nie tylko jako katolicy, powinniśmy służyć Bogu*"...

Ks. Semeneńko przepojony był zawsze tą samą myślą i tę myśl wszczepił i w Dąbrowskiego. Bractwem służby polskiej narodowej nazwali się pierwsi założyciele Zgromadzenia Zmartwychwstańców. Ten duch ożywiał zwłaszcza ks. Semeneńkę i tego ducha w dziedzictwie po sobie dał on też Dąbrowskiemu. Z jednej strony utrwalił go w głębokim patriotyzmie i wpoił w niego przekonanie, że posłannictwem jego jest być księdzem nie tylko katolickim, ale i polskim, a z drugiej strony wyleczył go z wszelkich mrzonek chorobliwego polskiego mesjanizmu, a wpoił w niego obowiązek ekspiacji i pokuty i pracy cichej, ale wytrwałej, odrodzeniowej. Z jednej strony zrobił z niego katolickiego księdza polskiego, a z drugiej strony zrobił z niego pokutnika i niejako apostoła t. zw. cichej pracy organicznej, którą z czasem na piedestale postawili w Polsce zwłaszcza t. zw. pozytywiści i stańczycy, ze Świętochowskim, Prusem, Kajsiewiczem, Szujskim, Tarnowskim i bardzo wielu innymi.

ZBURZYŁ, wyniszczył ks. Semeneńko w Dąbrowskim wszelkie staroszlacheckie porywy do niesforności i ryzykanctwa i do bujania po Dzikich Polach z szabelką w ręku pod sztandarem patriotycznym, a włożył na niego ten wór pokutny, z którym pójdzie on na rolę Bożą uprawiać ziemię pod zasiew ziarna kiełkującego już na prawdziwe i rzeczywiste zmartwychwstanie narodu.

Pokutnikiem polskim na emigracji i zmartwychwstańcem prawdziwym z ducha, chociaż nie z przynależności do Zgromadzenia, oto, kim uczynił Dąbrowskiego w Rzymie ks. Semeneńko. Do Zgromadzenia Zmartwychwstańców Józef Dąbrowski jednak nie wstąpił, bo wstąpić nie mógł. Jeszcze w roku 1867 dnia 2 lutego po trzechdniowych rekolekcjach razem z innymi studentami w Seminarium musiał złożyć on przysięgę, że nie wstąpi do zakonu, chyba za specjalnym zezwoleniem Ojca św.

Ks. Semeneńko pilnie czuwał, ażeby się wrogom Zgromadzenia swego zwłaszcza wówczas nie narazić i aby nie dać powodu do obmowy, że Zmartwychwstańcy przełożeństwa swego w Seminarium Polskim w Rzymie używają dla rekrutowania w nim dla siebie nowych członków.

Ale chociaż Dąbrowski do Zgromadzenia Zmartwychwstańców nie wstąpił, to uczynił go ks. Semeneńko zmartwychwstańcem polskim w duchu i prawdzie.

CHARAKTER mocny i samodzielny, który potrafił otrząsnąć się z modnych, lecz pustych piór demagogii i pójść z otwartą przyłbicą przeciwko fali, już jako świecki, stał się Dąbrowski w religijnym i duchownym życiu swoim konwertytą, pokutnikiem i kapłanem, ale polskim.

Stwierdził on przez to nieśmiertelną zasadę wszelkiej prawdziwej ascezy katolickiej, że łaska natury w żadnym narodzie ani człowieku nigdy nie niszczy, lecz uszlachetnia, kultywuje i podnosi. Język ojczysty, kultura, narodowość i przywiązanie do swej ojczyzny, to dary Boże, których się tylko wyrodek może wyzbywać, zanim go Pan Bóg za to nie skarze. Bo Pan Bóg kazał wyrzec się nawet ojca i matki, ale jedynie tylko dla Pana Boga, a nigdy w Bogu. W Bogu i ojca, i matkę swoją, i ojczyznę nawet ziemską odzyskujemy i posiadamy, a więc ich kochać, im służyć mamy.

Ks. Semeneńko taką ascezę i sam wyznawał i w duszy studentów swoich szczepił. Pojętnym iście jego uczniem okazał się w Seminarium Polskim w Rzymie Józef Dąbrowski. Stwierdziło to całe późniejsze życie kapłańskie ks. Dąbrowskiego.

ZARAZ na wstępie do tego życia, kiedy trzechletnie studia teologiczne na Gregorianum już kończył i kiedy ks. Semeneńko, korzystając z pobytu w tym czasie w Rzymie biskupa Józefa Melchera z diecezji Green Bay w Wisconsin, wyrobił mu u niego przyjęcie do diecezji, a biskup ten obiecał mu u siebie parafię, ale niemiecką, — Dąbrowski skromnie lecz stanowczo oświadczył, że w takim razie nie będzie mógł z jego łaskawości skorzystać.

„Jakto, gardzisz Niemcami w Ameryce?" zapytał dość ostro urażony tym biskup.

„Broń Boże, — odrzekł Dąbrowski, *nie gardzę nimi, ale Wasza Ekscelencja wie najlepiej, że Niemcy w Ameryce mają duchownej obsługi pod dostatkiem, a słyszałem właśnie, że Polacy nie mają jej tam prawie wcale i żyją w opuszczeniu bez obsługi i pociechy religijnej. Jeżeli mam jechać do Ameryki, to dla pracy wśród Polaków."*

Śmiałe i otwarte postawienie w ten sposób sprawy przez Dąbrowskiego, zastanowiło biskupa, ale podobało się mu jednak. Przyjął on Dąbrowskiego do swojej diecezji i obiecał dać mu parafię polską.

CZY BYŁ Dąbrowski w czasie rozmowy tej już księdzem, wyświęconym na mocy specjalnego przywileju Ojca św., który posiadało Seminarium Polskie w Rzymie, *ad titulum missionis*, czy też dopiero po przyjęciu go przez biskupa Melchera wyświęcony był wprost dla diecezji Green Bay, trudno jest stwierdzić wobec braku dokumentów.

Prawdopodobniejszym wydaje się nam to pierwsze, bo w archiwach Kurii Biskupiej w Detroit znajduje się list z Rzymu kardynała Simeoni, prefekta Propagandy, do biskupa Borgessa, datowany dnia 26 stycznia 1886 roku, w którym kardynał na prośbę ks. Dąbrowskiego aprobuje jego inkardynację do diecezji detroickiej i dyspensuje na wypadek, gdyby wyświęcony był "ad titulum missionis." Zachodziła więc wątpliwość co do tytułu oryginalnej przynależności prawnej ks. Dąbrowskiego, jako kapłana i miał ją widać i ks. Dąbrowski, kiedy inkardynację jego na wszelki wypadek zatwierdzała aż Propaganda.

Znana tylko jest data jego święceń kapłańskich, a mianowicie dzień 1 sierpnia 1869 roku. Niewątpliwym też jest, że zgłosił się on do duszpasterstwa polskiego w Ameryce na skutek wiadomości, jakie nadchodziły do Rzymu z Ameryki i jakie ks. Semeneńko komunikował studentom polskim, że emigranci polscy w Ameryce żyją w ogromnym zaniedbaniu pod względem duszpasterskim, bo nie mają księży polskich. Wiadomości te były coraz bardziej alarmujące. Akurat w roku 1865 wyjechał przecież ks. Kajsiewicz do Ameryki dla zwiedzenia misji księży Zmartwychwstańców w Kanadzie. W listach swoich donosił, że znalazł on tam podówczas *„pięć wielkich parafii stale obsługiwanych przez księży Zmartwychwstańców, dziesięć stacji misyjnych, co miesiąc odwiedzanych, niektóre z nich w Stanach Zjednoczonych, jako to w Michigan, w Kentucky, w Chicago.“*

ZALEDWIE ks. Kajsiewicz powrócił w jesieni 1866 r. z Ameryki do Rzymu, otrzymał naglące wezwanie o otworzenie w Ameryce nowej misji. Nadszedł mianowicie list od księdza Dubuis, biskupa Galveston w Texas, przybyłego do Europy po misjonarzy, który donosił ks. Kajsiewiczowi, że *„w sześciu czy siedmiu miejscowościach w jego diecezji mieszka parę tysięcy pobożnych, żądnych słowa Bożego i gospodarnych Polaków, bez żadnego kapłana umiejącego po polsku; Zgromadzenie Zmartwychwstańców nie zaniedba chyba swych braci, nie zaniedba krwi swojej polskiej i dusz krwią Chrystusa Pana odkupionych, a pozbawionych środków zbawienia.“* List ten biskupa Dubuis pozostanie chlubnym dowodem jego gorliwości duszpasterskiej. Zgromadzenie Zmartwychwstańców w odpowiedzi na ten list wysłało wówczas do Texas ks. Adolfa Bakanowskiego, jako przełożonego misji, dodając mu do pomocy księży Wincentego Barzyńskiego i F. Zwiardowskiego.

Wyjazd ten księży polskich z Europy do Ameryki na misje uważany był w owych czasach za rzecz ofiary i poświęcenia się nadzwyczajnego.

JÓZEF DĄBROWSKI w swym zapale pokutniczym, o którym już mówiliśmy, tak właśnie i na swój wyjazd do Ameryki się zapatrywał. Składał Bogu z siebie ofiarę, poświęcał się na misję; Ameryka przecież podówczas była krajem misyjnym. Wyjeżdżając do Ameryki zrywał Dąbrowski ostatnie węzły, jakie łączyły go jeszcze ze światem i oddawał się Bogu całkowicie i bez reszty. Umówiwszy się z biskupem Melcherem co do swego wyjazdu, wyraził — obok swej prośby, aby pracować mógł wśród Polaków i dla Polaków, — tylko jedno życzenie, aby biskup udzielił mu przed wyjazdem trochę czasu na pożegnanie się w Krakowie z matką. Chciał pożegnać się z nią przed wyjazdem. Korespondował z nią dosyć często. Napisał więc do niej, żeby przybyła wraz z jego młodszym bratem do Krakowa, dokąd i on przyjedzie i gdzie będzie się mógł z nią widzieć.

WIEDZIAŁA matka Józefa Dąbrowskiego, że syn już został księdzem. Z upragnieniem chciała go widzieć, nie spodziewała się atoli, że zobaczy go tylko na to, aby pożegnać się z nim już na zawsze. Nie śmiał do niej pisać o zamierzonym swoim wyjeździe do Ameryki. Był najstarszym, pierworodnym. Czuł, że i tak już zawinił, rzucając się w wir powstania i zostawiając matkę-wdowę, co na jego wykształcenie ponad siły pracowała, bez opieki i pomocy na dolę i niedolę, gdy szedł z Polski na tułaczkę. Co on powie, co jej napisze teraz znowu, już jako ksiądz, gdy wyjeżdża aż tak daleko, hen za morze. Jak jej on to wytłumaczy?

NA SZCZĘŚCIE matka ks. Józefa Dąbrowskiego była jedną z tych niewiast polskich, w których ręce, jak pisał we Francji słynny ks. Henryk Perreyve, złożył Pan Bóg w Polsce po powstaniu na przechowanie i podniesienie z ruiny trzy najdroższe skarby polskie: rodzinę polską, ojczyznę polską i kościół polski, i które miały serce dość wielkie, ażeby się nie załamać i to Boże posłannictwo godnie spełnić.

„Synu! Pan Bóg dotąd Cię prowadził, niech i dalej Cię prowadzi. Jedź w imię Boże, niechaj Bóg Ci błogosławi: Ja Ci również błogosławię.“ Tak powiedziała ze łzami w oczach matka ks. Józefa Dąbrowskiego, kiedy syn w Krakowie przedstawił jej zamiar swego wyjazdu do Ameryki.

USŁYSZAWSZY te słowa ks. Józef przypadł do nóg matce, sam również do łez wzruszony. Przyjął jej błogosławieństwo i pożegnał się z bratem, który razem z matką na spotkanie się z nim i zarazem na pożegnanie przybył z Warszawy do Krakowa. Pełen ufności w Opatrzność Bożą, którą odznaczał się od młodości aż do zgonu, został ks. Józef Dąbrowski jeszcze przez parę dni w Krakowie, „rzucił ostatnie na lubą stronę wejrzenie swoje łzami zaćmione“ i wyjechał z Krakowa przez Niemcy za ocean, do Ameryki . . .

W JAKIM stanie ducha wyjechał on z Krakowa za ocean, do Ameryki?...

SMUTNO mu było... Ciężko mu było...
Żegnać swą matkę i Polskę miłą...
Wzrok we łzach tonął, a duch w żałobie
Czuł się samotny i był jak w grobie...
Darmo łzawymi wodził oczyma...
Znikąd już ziemskiej pociechy nie ma...
Wszystko mu więdnie w myśli żałobą,
Ofiarę niesie z siebie przed sobą...
Lecz z nią się słodko jednak porusza,
Bo w niej jak w ogniu czyści się dusza...
I wszelką troskę mile mu złoci
Promień przejasny Boskiej dobroci...
A myśl strudzoną w dalekim świecie
Wiara, nadzieja w Bogu oplecie,
Że zmaże twardej pracy pokutą
Dolę i swoją i cudzą lutą,
I że, choć idzie po nowe blizny,
Ale dla Boga i dla ojczyzny...

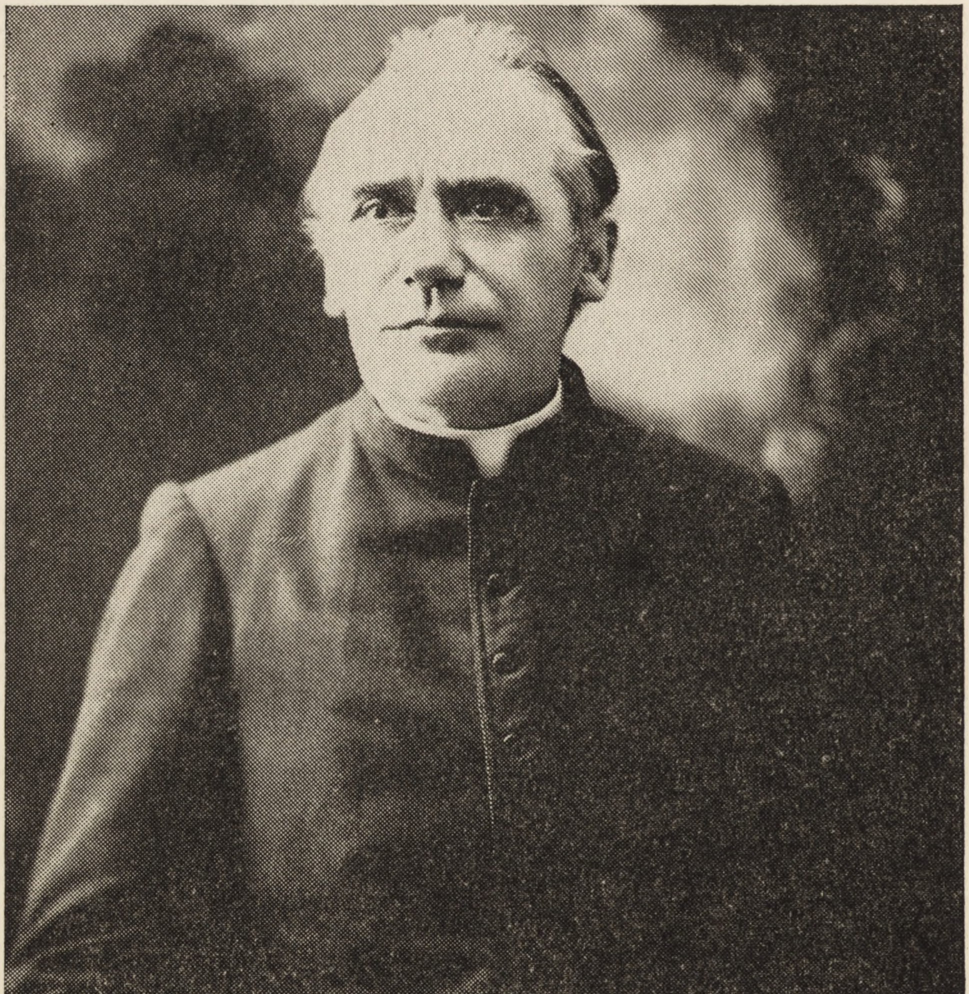
TAKIE uczucia i takie myśli wirowały w duszy ks. Józefa Dąbrowskiego, kiedy pożegnał się z swoją matką, z krajem ojczystym, z całą młodością górną, lecz chmurną, i siadł na okręt do Ameryki, jako pokutnik i zmartwychwstaniec i misjonarz katolicki, *patrząc w niebo przez szybę polską.* Na drogę życia za oceanem towarzyszyło mu nie tylko błogosławieństwo pobożnej matki, ale i błogosławieństwo Ojca św. Piusa IX, u którego przed wyjazdem był na audiencji, oraz błogosławieństwo i duch ks. Semeneńki, który w tę drogę go wyprawił.

DNIA 31 grudnia 1869 ks. Józef Dąbrowski wylądował w Ameryce.



Część II

1870-1882



Na niwie Pańskiej w Polonii

1870-1874

BYLI, są i będą ludzie, którzy widzą i interesują się tylko tym, co dotyczy bezpośrednio ich samych i którym ten zakres własnych interesów i własnego „ja“ nie tylko wystarcza, ale i przesłania wszelkie dalsze perspektywy.

Adam Mickiewicz w jednym z artykułów swoich w r. 1833 nazwał tych ludzi *ludźmi rozsądnymi* i świat istotnie uważał ich zawsze i uważa za rozsądnych.

Potrafią oni dostosowywać się wszędzie do okoliczności, potrafią myśleć o sobie, potrafią być rozsądnymi nawet, gdy chodzi o wypełnianie obowiązku.

DRUGA KATEGORIA ludzi to ludzie, których Mickiewicz nazwał szalonymi.

Byli mianowicie, są i będą zawsze — obok tamtych ludzi rozsądnych — tacy *ludzie szaleni*, dla których to, co bezpośrednio ich dotyczy, również istnieje, którzy jednak wzrokiem swoim wciąż sięgają dalej i widzą nie tylko siebie, ale i bliźnich i różne swoje ideały. Socjologowie tłumaczą nam istnienie tych ludzi szalonych nadmiernym rozwinięciem się w nich tak zwanego zmysłu społecznego, który skądinąd dla społeczeństwa jest pożyteczny, chociaż jednostki spala i gubi. Religia i wiara nasza tłumaczy to nam całkiem inaczej . . . Fakt faktem jednak być nie przestaje, że obok ludzi rozsądnych istnieją nieraz ludzie szaleni i że tacy ludzie szaleni widzą na świecie obok siebie nie tylko swoich bliźnich, ale i inne różne rzeczy, których tamci, ludzie rozsądni, nie dostrzegają.

WIDZĄ więc przede wszystkim ci ludzie szaleni na świecie Boga i powiadają wraz z Mickiewiczem, że

> *„Niech się z nas każdy doliną położy,*
> *A wnet po niej jak rzeka popłynie Duch Boży!“*

I widzą potem ci ludzie szaleni na świecie dusze, w których nie ma Boga, widzą społeczeństwa, które zapoznają Boga lub bluźnią Mu, widzą tłumy, które giną i które w przepaść wiodą źli ich prowodyrzy. Widzą

ci ludzie szaleni te i inne jeszcze rzeczy i rzucają się w wir pracy, aby świat ten reformować, aby tłumy te ratować, społeczeństwa uzdrawiać, dusze leczyć, Pana Boga w nie wprowadzać, ludzi zbawiać.

Zdaje się czasem tym szaleńcom, że są na przykład marszałkiem Fochem, który w roku 1871, składając egzamin w szkole wojennej w Metzu w chwili, kiedy Bazaine poddawał to miasto zwycięskim Niemcom, ślubował sobie, że życie swoje poświęci na to, aby honor Francji odzyskać i Niemców pobić i który tego swojego celu potem w światowej wojnie w r. 1918 dopiął.

Albo znów zdaje się tym szaleńcom, że są oni Montalembertem, który, będąc jeszcze młodzieniaszkiem, widział rozbestwiony tłum bezbożników depczących krzyże i topiących w Sekwanie księży i ślubował sobie, że życie swoje poświęci na to, ażeby wolność wyznania wiary we Francji przywrócić i krzyż Chrystusa znowu tam w glorii nieść przed narodem, i który ślubu tego chwalebnie potrafił w życiu swoim dotrzymać. Zdaje im się, tym szaleńcom, że wizja szczytów jakichś ich woła, i chcą się poświęcać, chcą życie swoje idei, Bogu, ludziom, bliźnim swym oddać.

POŻAR gdzieś wybuchnął, dajmy na to. W płomieniach stanął dom mieszkalny. Ludzie się zbiegli. Próżny ratunek. Dobrze, że chociaż mieszkańcy domu z życiem uszli. W tem okrzyk zgrozy podniósł się z tłumu. Na samym szczycie dojrzano w oknie maleńkie dziecko, które bezradnie wzywa pomocy. Ludzie z początku ruszyli naprzód, ale schody się palą, dach w każdej chwili zapaść się może, co robić? Stanęli tedy śmiertelnie bladzi. Jeden tylko człowiek się znalazł taki szalony, że nie stanął. Wbiegł on po schodach poprzez płomienie, zarzucił dziecku płaszcz swój na głowę i, choć się srodze sam poparzył, potrafił jednak je uratować, z płomieni wynieść. Człowiek szalony . . . Potem nazwano go bohaterem. Ocalił on przecież życie dziecku.

NIE ZAWSZE jednak bohaterami w opinii tłumu, w opinii świata zostają tacy ludzie szaleni, nawet gdy życie bliźnim poświęcą. Bohaterami świat ich nazywa, gdy się publicznie głośno poświęcą, aby ratować *życie* swych bliźnich *doczesne, ziemskie.* Inaczej jednak mówi się o tych szaleńcach, kiedy po cichu, w ukryciu życie swe poświęcają, aby zbawiać *życie* swych bliźnich *duchowe, wieczne.* Dusza, śmierć wieczna, dobra duchowe, to *lingua graeca* dla przeciętnego tłumu ludzkiego.

LUDZIE, co duszę i ideały duchowe niosą i dla nich życie swe poświęcają, nie tylko nie są dla przeciętnego tłumu ludzkiego bohaterami, ale są szaleńcami najgorszego gatunku. Takim szaleńcem był właśnie ks. Józef Dąbrowski, kiedy dnia 31 grudnia 1869 roku lądował w Nowym Yorku, z duszą gotową na ofiarną misję i na męczeństwo, a z głową pełną ideałów, ponad wszystko ukochanych, katolickich i polskich. Ludzie

rozsądni śmieli się z niego, gdy w swoim czasie „z motyką w ręku“ szedł do powstania. Z czasem i on sam uznał, że wówczas był romantykiem Więc się nawrócił, lecz jakby na to, aby spod deszczu wpaść pod rynnę. Znów nierealny wobec świata szaleniec. Tylko że teraz on to szaleństwo otrzymał z góry, uświadomił sobie i przemyślał już „sub specie aeternitatis,“ jako życiowe swe powołanie, kapłaństwo Boże, które dla świata jest nierealne, lecz które z drugiej strony jest z Boga i wszystko może w tym, który je umacnia, wszystko może w Panu Bogu. Całe życie ks. Józefa Dąbrowskiego w Ameryce to szaleństwo, ale szaleństwo Boże, w Bogu i u Boga. Taka teza mimo woli narzuca się pisarzowi, który życie Dąbrowskiego w Ameryce dokładnie zbadał, zanalizował i chce sprowadzić do syntezy. Stawiam tę tezę jasno, wyraźnie na samym wstępie i udowodnię ją czytelnikom . . .

PO wylądowaniu swoim ks. Józef Dąbrowski zatrzymał się przez kilka dni w niemieckim „Leo Haus“ w Nowym Yorku. Zwiedził miasto, rozejrzał się, nadziwował, tym bardziej że był z natury swojej technikiem wszelkich nowości zawsze bardzo ciekawym, i z Nowego Yorku udał się w daleką drogę do Milwaukee i do Green Bay, aby przedstawić się biskupowi, u którego miał pracować i na koszt którego z Europy przybył do Ameryki.

W drodze do Green Bay zwiedził Chicago i Milwaukee i zetknął się po raz pierwszy, choć mimochodem, z kolonią polską i z duchowieństwem wśród niej pracującym. Diecezja Green Bay dopiero co w r. 1868 była utworzona, a Ordynariusz jej, biskup Józef Melcher, Wiedeńczyk, właściwie ją dopiero organizował. Zanim dał mu stanowisko, chciał bliżej go poznać, a z drugiej strony chciał, aby i on też trochę oswoił się ze stosunkami, więc skierował go najprzód do seminarium niemieckiego w Saint Francis, Wisconsin, aby wypoczął tam po podróży i zaczekał, aż biskup zastanowi się nad tym, co z nim zrobić.

PRZEZ parę miesięcy, to jest do wiosny, przebywał ks. Dąbrowski w seminarium w St. Francis. Na wykłady nie uczęszczał i egzaminów żadnych nie składał. W charakterze gościa przestawał z klerykami i obserwowany był przez przełożonych. Nikt w nim niczego osobliwego nie odkrył, ale jemu wystarczyło kilka tygodni pobytu w Ameryce, aby jako prawdziwy szaleniec Boży, zobaczył wiele, czego inni nie widzieli, albo widząc, nad tym się głębiej nie zastanawiali. Zaczął się on nie tylko troszczyć, ale i wtrącać do rzeczy, które realnie, po amerykańsku mówiąc wcale do niego nie należały. Mógł sobie zwichnąć przez to całą karierę, ale on nie dbał. Przeczytajmy sobie na dowód tego szaleństwa Bożego w ks. Dąbrowskim pierwszy jego list z Ameryki, pisany do Rzymu, do ks. Semeneńki. Charakteryzuje go ten list tak dokładnie i wiernie, iż powiedzieć można śmiało, że w tym liście jest on cały i jest cała treść jego życia i jego pracy w Ameryce od początku aż do końca. Wysłał ks. Dąbrowski list ten z St. Francis dnia 22 stycznia 1870 r., t.j. akurat w trzy

tygodnie po wylądowaniu swoim w Nowym Yorku, a brzmiał ów list dosłownie jak następuje:

Czcigodny Ojcze:

Wylądowałem 31 grudnia, 1869. Wiem, że oczekujesz ode mnie wiadomości z tego nowego świata, lecz są one smutne; opłakany jest stan kolonii naszych, a tym boleśniejszy, że mogłoby być wszystko dobrze, są nawet środki, tylko nie ma zdolnej głowy do ich zużycia, albo jakaś złośliwa ręka wszystko marnuje...

Kolonii naszych jest dosyć, a szkółki żadnej nie ma. Rosną dzieci, ale tylko na ciele, mięsa im przybywa, a rozum śpi... narodowość się zaciera... Cały szereg księży polskich przeszedł i żaden nie umiał się porządnie prowadzić i prowadzić innych jako proboszcz.

W Milwaukee biskup już w rozpaczy, bo nie wiedział, co robić z Polakami, więc parafię polską oddał Niemcowi, ks. Jaster, tyle umiejącemu po polsku, co ja po angielsku i on pierwszy założył szkółkę dla Polaków.

Ale jaka to szkoła. Lepiej by było dzieci wprost do niemieckiej szkoły posyłać, to każdy by już z góry wiedział, że zostaną Niemcami; a tu szkoła polska, a uczą po niemiecku. Ksiądz nie umie po polsku, nauczycielki bardzo słabo — czego się tu można spodziewać? Byłem u tego księdza i przedstawiłem mu, że niewłaściwie postępuje, niech nauczyciela Polaka przyjmie, aby go dzieci rozumiały, aby ich nie wynaradawiał — i obiecał, że przyjmie Polaka na nauczyciela i liczbę godzin niemieckiego w tygodniu do połowy zmniejszy; ale Pan Bóg wie co z tego będzie... Ks. Niemiec, o którym wspomniałem, jest porządną osobą, jemu nic ująć się nie godzi. Jest tu około 450 familii polskich, a te ks. Niemiec germanizuje z konieczności, bo kto chce się z nim dobrze rozmówić, musi mówić po niemiecku... Jeżeli Ojcowie będziecie mieć Chicago i Milwaukee, będzie dobrze dla Kongregacji... Jak Ojcowie mieć będziecie te dwa miejsca, można powiedzieć, macie wszystkich Polaków ze Stanów Zjednoczonych w swoim ręku. Mieszkam przy Seminarium w Milwaukee, bardzo mi tu dobrze. Seminarium tutejsze liczy 240 alumnów. Ks. rektor i profesorowie (jest ich 12) bardzo mi się podobali...

J. Dąbrowski

CHOCIAŻBY tylko dla udowodnienia zasadniczej tezy naszej warto jest zwrócić szczególniejszą uwagę na te zwłaszcza słowa ks. Dąbrowskiego w powyższym liście, iż był on w Milwaukee u ks. Jaspera i przedstawiał mu, że niewłaściwie postępuje i że powinien przyjąć do szkoły nauczyciela Polaka, aby dzieci polskie go rozumiały i ażeby ich nie wynaradawiał. Jakie prawo, po ludzku mówiąc, miał ks. Dąbrowski, młodzik

(miał wówczas lat 29) i „greenhorn,“ iść do proboszcza parafii polskiej amerykańskiej, księdza skądinąd, jak sam powiada, starszego i wzorowego, któremu „nic ująć nie godzi się,“ i wtrącać się mu i przedstawiać, żeby Polaków i dzieci polskich nie wynaradawiał? Po ludzku, żadnego. Był nierealny. Narażał siebie i swą karierę. Mógł był ks. Jasper tak „osmarować“ go u biskupa, żeby mu podciął nogi od razu. Lecz ks. Dąbrowski był najwidoczniej szaleńcem Bożym. Do Ameryki przybył nie po to, aby uważać na względy ludzkie, ale po to, aby swą duszę wydać za braci . . .

SZALEŃSTWO Boże i prostota wprost gołębia były atoli w ks. Dąbrowskim doskonale temperowane roztropnością chrześcijańską. To jest druga teza nasza, którą musimy tutaj postawić na zasadzie analizy jego życia w Ameryce. Stwierdza ją nam zaraz następny list ks. Dąbrowskiego z Ameryki znów do ks. Semeneńki. Przytaczamy ten list tutaj również w całości, bo jest niejako całym programem, w którym nie tylko szaleństwo Boże, ale i mądrość kościelna Boża w ks. Dąbrowskim się uwydatnia. Romantyk, szaleniec Boży stapia się w nim z pozytywistą i realistą w jeden harmonijny i jednolity typ nie tylko chrześcijanina, lecz misjonarza i duszpasterza chrześcijańskiego, katolickiego, a równocześnie też i polskiego, co więcej, amerykańskiego.

Pisze więc ks. Józef Dąbrowski w tym drugim liście do swego wychowawcy i spowiednika, co następuje:

> *SKOROM SIĘ lepiej przypatrzył stanowi i stosunkom kolonii naszych w Ameryce, przekonałem się, że stan jest pod każdym względem najopłakańszy. Przyszedłem ostatecznie do przekonania, że nikt tu nic zrobić nie zdoła, chyba tylko jedna Kongregacja . . . Polacy, gdzie tylko liczniej się zebrali, już mają swe kościoły, ale ani księży, ani szkółek, i nawet nie ma nadziei, aby kiedyś mieć mogli, chyba dopiero wtedy, jak się wynarodowią. Żyją nasi Polacy bez Mszy, bez spowiedzi, bez kazania, bez nauki . . . Niektórzy osiedleni po większych miastach, jak słychać, dla braku księży i nauk, do kościołów nie uczęszczają, a bez religii, przy dostatkach, wkradła się rozpusta. Co dalej będzie? Szkółek zakładać nie można, bo nie ma kto uczyć — księży nie można wykształcić, gdyż nie ma gdzie i kogo . . . W Milwaukee jest wprawdzie seminarium, ale cóż, angielsko-niemieckie. Chociażby się posłało jakiego z Polaków, to gdy z 8 lub 10 lat posiedzi w seminarium, to zapomni, co umiał po polsku, i gdy się wyświęci, będzie księdzem dla Anglików lub dla Niemców. Cóż będzie z tego za korzyść dla Polaków? . . . Trzeba ratować póki czas. Zapobiec złemu nikt nie może, jak tylko Zgromadzenie Ojców, które może nad wszystkimi objąć nadzór i opiekę, i jeżli nie zaraz rozwinąć czynność na większą skalę jak potrzeba, to przynajmniej zwolna zdążać do tego, i może być, że rzeczywiście opiekę nad naszymi braćmi nieszczęśliwymi Pan Bóg Ojcom powierzył, i może cały zarząd nad*

Polakami w ręce Kongregacji zechce złożyć. Kongregacja przy tak wielkiej liczbie Polaków, mogłaby tu utworzyć dom zakonny i nowicjat ... i gdy się Kongregacja dobrze do rzeczy weźmie, niezliczone dobrodziejstwa może wyświadczyć. Skoro by tu przybyło Zgromadzenie i usadowiło się w punkcie środkowym (jakim jest Milwaukee) będzie miało wszystkich Polaków w swym ręku. Stąd do nieodległych, mniejszych kolonii można będzie wysyłać misjonarzy; tu będzie można otworzyć szkółkę, nawet wyższą, by się nasi wyżej kształcili, gdyż dziś rzadko kto czytać umie i do niczego niezdolny, jak do robót ręcznych. W podrzędnych koloniach można by pootwierać niższe szkoły i to łatwo mogłaby uczynić Kongregacja, mając do tego przysposobionych braciszków . . . W wyższej szkole można by i należałoby koniecznie kształcić aspirantów do stanu Duchownego, tak dalece, ażeby do Seminarium już szli tylko na teologię, a przynajmniej aby kandydata tak w polskim wykształcić, aby podczas pobytu w Seminarium języka polskiego nie zapomniał. Oprócz tego dla kandydatów do stanu duchownego można by otworzyć konwikt, dokądby z odleglejszych okolic przybywać mogli dla przygotowania się do Seminarium, a zaś wracaliby na swe miejsca po wyświęceniu; w ten sposób nawet najodleglejsze kolonie jak np.: Nowy York 300 familij, Pennsylvania 50, etc. mogłyby się w kapłanów zaopatrywać. Polaków w Stanach Zjednoczonych jest do 15,000 ... W ostatnim czasie emigracja zwróciła się ogromnie do Wisconsin — do Milwaukee, jak również do Chicago, Illinois; kto w Poznaniu zostanie, tego nie wiem ... Kolonie się jako polskie nie utrzymają, ulegną parciu Niemców lub Anglików. Więc z Polski wszystko, co przychodzi, przychodzi na zagładę naszej narodowości ...

W historii naszej nie masz śladu, aby w odleglejsze kraju strony lud nasz się przenosił, a nawet wstrętnym mu było przechodzić do sąsiedniej wioski — a dziś? Puszcza się w kraje za morze, gdzie serce i mowa obce . . .

TEMATEM długich, bardzo poważnych uczonych rozpraw dla „kościelników" i społeczników nie tylko polskich, ale i amerykańskich mogłyby być i powinny być obydwa powyższe, do historii już należące, a niezmiernie głęboko w sedno sprawy trafiające i znaczenie jeszcze dzisiaj ogromnie doniosłe mające listy ks. Dąbrowskiego. Żadnego stopnia naukowego ks. Dąbrowski za życia nie miał, stwierdzić atoli należy, że za samo tak niezmiernie głębokie, a trafne ujęcie w powyższych dwóch listach nie tylko stosunków, ale i programu jedynie zbawczego polskiego na emigracji polskiej w Ameryce, nie mówiąc nawet wcale już o tym, jak on ten program w życiu swym później realizował, należy mu się „post mortem" tytuł doktora Honoris Causa od wszechnic naszych katolickich nie tylko w Polsce, ale i w Ameryce. Znajdzie się z czasem ktoś niewątpliwie, kto rozprawę o tych listach w świetle historii, socjologii i nawet nauki teologicznej dla nas napisze.

Nie od razu jednak zbudowano Kraków, nie od razu i ks. Dąbrowski program swój zaczął w życiu swoim realizować.

NA WIOSNĘ 1870 roku, dotrzymując słowa danego w Rzymie, powierzył biskup Józef Melcher księdzu Józefowi J. Dąbrowskiemu, 50 mil w kwadracie rozległą, bardzo zaniedbaną parafię polską w Polonii, Wisconsin, o 10 mil drogi od miasteczka Stevens Point.

Zajrzyjmy tu trochę do historii stanu Wisconsin i parafii polskiej w Polonii.

INDIAŃSKA nazwa stanu „Wisconsin" oznacza „dziki szumiący strumień." Jezuici francuscy z Ojcem Marquette na czele, pierwsi z ludzi białych w te strony się zapuścili i założyli misję w r. 1665 w La Pointe, a w r. 1669 w Green Bay. W r. 1836 zorganizowano Wisconsin jako t. zw. terytorium, a w r. 1846 wcielono do Unii Stanów Zjednoczonych, jako siedemnasty z rzędu stan. Chociaż Francuzi zakładali tu osady handlowe wzdłuż rzek i wybrzeży handlowych jezior już w r. 1668, to jednak Wisconsin zaczął się zaludniać na dobre dopiero w latach 1822-32, kiedy odkryto i zaczęto eksploatować w nim ołów, co dało początek osadom Mineral Point, Dodgeville i Platerville. Pierwsi osadnicy w Wisconsin znaleźli w lasach zwierzyny pod dostatkiem. Gromady łosiów, jeleni i bawołów wylegiwały się w głębi puszczy i na otwartych polach. Niedźwiedzie i wilki były postrachem nocnym dla ludzi. Jeziora, rzeki i bagniska porosłe ryżem roiły się od ryb, a powietrze nad nimi od miliardów krzykliwego ptactwa. Raj tutaj był dla Indian i wszędzie spotykało się gibką postać dzikiego Indianina, który ścigał zwierza, albo pruł wiosłem w kanaku przejrzyste wody rzeki Wisconsinu, Foxu, Chippawy, Menominee i innych. Położenie stanu jest wyżynne, pagórkowate, falujące, i choć nie ma żadnego pasma gór, posiada jednak liczne skały i pagórki imponujących rozmiarów. Grunt jest niezwykle żyzny, klimat zdrowy i przyjemny, podobny do klimatu w Polsce, tylko temperatura nadzwyczaj zmienna, kapryśna.

W lasach rosną sosny, jodły, cedry, modrzewie, świerki i inne liściaste lub iglaste drzewa, a także dwa gatunki dębu. Obfituje też Wisconsin szczególnie w kartofle tak jak żaden inny stan w Ameryce, z wyjątkiem chyba stanu Maine w Nowej Anglii. Zwłaszcza wisconsiński powiat Portage, w którym dość dużo osiedliło się Polaków i w którym znajduje się Polonia, najwięcej wydaje kartofli.

Pod względem kościelnym ludność Wisconsinu należała za dawnych czasów do diecezji milwauckiej, założonej w r. 1843. W r. 1868 podniesiono diecezję Milwaukee do godności archidiecezji i oddzielono od niej dwie nowoutworzone diecezje: Green Bay i La Crosse.

PARAFIA i osada polska w Polonia przypadła w udziale diecezji Green Bay. Ta Polonia w Wisconsin nazywała się pierwotnie Poland's Corner, a jeszcze przedtem Ellis Corner. Jest to osada farmerska, w samym środku stanu położona, stanowiąca jakoby jądro i serce Wisconsinu.

Początek tej osady sięga połowy wieku dziewiętnastego. W roku 1855 przybyło tu z Kanady sześć pierwszych rodzin polskich i osiedliło się w północno wschodniej części powiatu Portage około 8 mil na wschód od miasta Stevens Point, zaś o 2 mile od rzeki Plover, na zakupionych od spółki „Fox River“ nieuprawnych i dziko zarosłych gruntach leśnych. Spółka „Fox River“ otrzymała w tych okolicach od rządu wielkie obszary ziemi pokrytej dziewiczym lasem, jako zapłatę za przekopanie kanału łączącego Fox River z jeziorem Michigan.

Po wycięciu lasów spółka ta sprzedawała grunta osadnikom prawie za bezcen. Nie garnęli się jednak koloniści w te strony, bo trzeba było olbrzymiej pracy, aby grunta, niezbyt zresztą bogate, wykarczować i oczyścić z pniów i — co gorsza — z ogromnych kamieni, które chyba fale potopu tutaj przyniosły i osadziły.

Pierwszymi stałymi osadnikami w tych okolicach byli Polacy. Nie ulękli się olbrzymiej pracy. Z zaciętością, a zarazem z cierpliwością i pilnością, zabrali się do dzieła i z dzikich nieużytków stworzyli podstawę dobrobytu, jakim cieszy się obecnie cały powiat Portage. Kto wie, czy nie tu właśnie karczował puszczę ów Sienkiewiczowski wychodźca Wawrzon z nowelki pod tytułem „Za chlebem.“

PIERWSZYMI sześciu osadnikami i prawdziwymi pionierami polskości w Wisconsinie, którzy swą pracą założyli też podwaliny pod pierwszą parafię polską w tych stronach, byli: Jakób Werechowski, Michał Kożyczkowski, Adam Klesmit, Józef Daczyk, Jan Zynda i Józef Szulfer.

Co ściągnęło ich tu z Kanady, dokąd najpierw z Polski przywędrowali? Czy ślepy traf, czy inne jakie powody ich tu zagnały?

Wyprzedził ich tu zrządzeniem Bożym — wygnaniec ze „starego kraju,“ kapłan polski. Kapłanem tym był ks. Jan Polak, ze szlacheckiego rodu, urodzony w roku 1818, ale nawet nie wiadomo w której części Polski. Przybył on w te strony około roku 1850 i był proboszczem parafii katolickiej naprzód w Sharon, a później, od r. 1860 w Stevens Point.

Biskupem w Milwaukee był wówczas ks. Jan Martin Henni i on zapewne tego księdza polskiego wprost z Europy tu sprowadził. Ks. Jan Polak był proboszczem w Sharon, parafii mieszanej, składającej się przeważnie z Francuzów i Niemców, z niewielką domieszką Irlandczyków. Kapłan polski uchodził w owym czasie w Ameryce za niesłychaną, a pożądaną rzadkość dla osadników polskich. Niewątpliwie zatem wiadomość o nim ściągnęła w te strony w r. 1855 owych pierwszych polskich kolonistów. Za jego poradą osiedlili się oni o 8 mil od Stevens Point i dlatego nazwano tę miejscowość Poland's Corner (Zakątek Polski). Ks. Jan Polak przygarnął pod swe skrzydła opiekuńcze swoich nowoprzybyłych rodaków, niby młode orlęta, które — porósłszy w pióra — miały niebawem założyć własne gniazdo, polską parafię.

Na razie jednak ani myśleć o tym nie mogli. Dęby rosną pomału. Kiedy w r. 1858 przybyło do Poland's Corner kilka innych rodzin polskich i kiedy oprócz nich osiedliło się tam również 10 rodzin niemieckich, Polacy razem z Niemcami wystawili sobie w Sharon malutki kościółek pod wezwaniem św. Marcina.

KS. JAN POLAK dojeżdżał tam stale i zaspokajał potrzeby duchowe zarówno Polaków jak i Niemców aż do roku 1863. W roku 1863 było już w Poland's Corner 45 familii polskich. Żywioł polski, wzrastając w liczbę, utwierdzał się w swej świadomości i samodzielności. Postanowił on tedy zerwać pęta wiążące go z żywiołem obconarodowym. Zresztą dotychczasowa łączność Polaków z Niemcami w Poland's Corner była dość sztuczna i nienormalna. Buta niemiecka i chęć trzymania Polaków na niemieckim pasku spowodowała wiele nieporozumień pomiędzy nimi. Chociaż kościółek św. Marcina wybudowano przeważnie polskim groszem i polską pracą, chociaż do tego kościółka należało rodzin polskich 45, a niemieckich tylko 15, to jednak do zarządu finansowego Niemcy nie dopuszczali Polaków, a nawet wyśmiewali się z polskich śpiewów i z polskich kazań.

W roku 1863 stosunki między Polakami a Niemcami stały się tak naprężone, że ks. Jan Polak, nie mogąc znieść buty niemieckiej, zupełnie przestał dojeżdżać do kościółka w Sharon. Wkrótce też, z powodu nadwątlonego zdrowia, zrezygnował również z parafii swojej w Stevens Point i wyjechał do Milwaukee, zamieszkał u zakonnic w szpitalu Panny Marii, gdzie swe życie zakończył.

PO odjeździe ks. Jana Polaka, osadnicy polscy w Poland's Corner, pozbawieni opieki duchownej i gnębieni przez Niemców, rzucili hasło: „Odłączmy się od Niemców w Sharon i zbudujmy sobie swój własny kościół w Poland's Corner." Wysłano prośbę do Milwaukee, do biskupa Henni. Ks. biskup zamiar pochwalił i przysłał ks. Bonawenturę Buczyńskiego franciszkanina, aby zorganizował nową parafię.

Jeszcze przed końcem roku 1863 stanął w Poland's Corner nowy kościółek polski pod wezwaniem św. Józefa, tuż przy drodze prowadzącej do Stevens Point. Był to pierwszy kościół polski w stanie Wisconsin. Ks. Buczyński, który go wystawił, to typ misjonarza wszechświatowego, bo misjonarzował on przedtem i w Chinach i w Chile, w Południowej Ameryce i wreszcie w Wisconsinie. Parafia w Poland's Corner rozwijała się dość szybko. W krótkim czasie Poland's Corner byłby może stał się nawet miastem, gdyby nie szatan i źli ludzie. Szatan pozazdrościł widać rozwoju królestwa Bożego w tym ustroniu polskim i wnet posiał w nim ziarno niezgody. Kąkol w parafii szybko się rozrósł i przytłumił pszenicę. Źli, krnąbrni i uporni wzięli górę nad dobrymi. Nadaremnie usiłował ks. Buczyński chwast wyplenić. Zły duch niezgody, oporu i uporu, ten grzech pierworodny wszystkich Polaków amerykańskich, owładnął i opętał umysły znacznej części parafian w Poland's Corner. A przyczyną, która wywołała tę niezgodę i ten burzliwy żywioł w parafii były, jak zwykle bywa, karczmy czyli „saluny." Niemcy, zazdrosnym okiem patrząc na rozwój osady polskiej, wnet tę gangrenę tu zaszczepili. Jeszcze kościół św. Józefa w Poland's Corner nie był pod dachem, a już dwóch Niemców tuż obok kościoła wybudowało sobie dwie karczmy. Trzecią karczmę założył Polak, również chciwy łatwych zysków. Tak więc kościół otoczono „salunami" jakby wieńcem cierniowym.

KSIĄDZ od ołtarza mógł widzieć w karczmie parafian swoich popijających i słyszeć dobrze ich hałasy stamtąd. Jakim nieszczęściem dla parafii i kościoła są karczmy, doświadczyły tego w Ameryce wszystkie parafie polskie. Nie tylko w Polsce, ale jeszcze bodaj więcej w Ameryce sprawdza się stare polskie przysłowie, że gdzie Pan Bóg stawia dla Siebie kościół, tam natychmiast leci i diabeł i stawia sobie swoją kaplicę, karczmę. Karczmy w Poland's Corner tak obrzydziły życie ks. Buczyńskiemu, że po długich i twardych utarczkach z upornymi karczmarzami i ich gwardią, wreszcie ustąpił i poszedł sobie w roku 1866 na nową placówkę do Milwaukee.

Jego następcą w Poland's Corner od r. 1867 był ks. T. Węglikowski. Delikatnością i grzecznością chciał on pozyskać sobie parafian i zaprowadzić ład w parafii, wykorzeniając obrazę Boską, lecz nadaremnie. Po trzechletnich bezskutecznych usiłowaniach i on wreszcie zrezygnował.

BISKUP MELCHER na jego miejsce przysłał z wiosną 1870 do Poland's Corner ks. Józefa Dąbrowskiego.

„Jest jeszcze młody, pełen energii, werwy, rzutkości, przedsiębiorczości, słowem pełen życia, a chce pracować pośród Polaków i dla Polaków; — niechaj więc jedzie, niechaj spróbuje, niechaj zaopiekuje się tam tymi swoimi tak miłymi mu Polakami," mówiono może w kurii biskupiej.

Jakoż trzeba było bardzo dużo hartu ducha i woli, aby wytrwać na placówce tak niewdzięcznej i trudnej. Parafia była w zapadłym kącie, bardzo uboga i — co najgorsze — zdemoralizowana. Ks. Dąbrowski zastał drewniany mały kościółek, ubożuchną plebanijkę, trochę osad farmerskich, polskich w okolicy i gromady koczujących Indian po lasach. A na miejscu, tuż obok kościoła trzy saluny. Przewodzili wśród parafian saluniści, dwóch Niemców i jeden Polak, którzy osiedlili się tuż obok kościoła w Poland's Corner na dróg rozstaju i u których okoliczni farmerzy polscy przepijali stale swój i tak skromny dorobek. Parafian dobrych i rozumnych było niewielu, a i tych ciągle bałamucono. Takie to jest odludzie, że jeszcze dziś po upływie siedemdziesięciu lat z górą niejeden z księży nie chciałby poświęcić się duszpasterstwu w Polonii, — a cóż dopiero musiało być za czasów, kiedy przybył tam ks. Dąbrowski.

ZAISTE była to ziemia próżna i pusta, w której ciemności panowały jeszcze nad przepaścią. Narzędziem Bożym i głosem Bożym, który dokonać miał niejako aktu twórczego, ażeby stworzyć tam nowe życie religijne, chrześcijańskie i ażeby z chaosu ciemnoty ludzkiej, z upadku moralności, z nędzy, zaniedbania i niewiary wyłoniła się tam powoli uprawna gleba serc ludzkich, był ks. Dąbrowski. Był on, jak nowe stworzenie świata w tym zaniedbanym zakątku ludzkim, w tej osadzie i osiedlu, mniej niż osadzie, mniej niż osiedlu, w tym rozproszeniu emigracyjnym polskim w dalekich lasach w Wisconsinie.

Od czego zaczął? Zaczął od Boga. Podczas gdy już paru poprzedników jego na tym „wygnanowie" w tej Polonii, w Wisconsin, rozejrzawszy się rzekło: „Lasciate ogni speranza" i wyjechało — on przeżegnał się

i popluł w ręce, niczym mazur polski z pod Warszawy i, chociaż mu niewątpliwie było markotno, bardzo markotno, zaczął karczunek, wziął się do pługa.

PEWIEN uczony socjolog katolicki zwraca uwagę na lekceważenie w Ameryce, bardzo często nawet w duszpasterstwie, nadprzyrodzonej sfery działania. W teorii wszyscy ją oklaskują, w praktyce idą na kompromisy. Dopiero w świetle proporcji mniejszego lub większego wkraczania w sferę życia nadprzyrodzoną zrozumieć można, dlaczego kapłani, którzy nie tworzą, po ludzku mówiąc, mniej mają wrogów aniżeli ci, co tworzą.

Ciemność nie jest czymś konkretnym, co istnieje, co się tworzy. Kamień w górę sam się nie podnosi, spada on na dół — trzeba go podnieść. Chwasty rosną same przez się, a pszenicę trzeba zasiać, wyhodować. Im mniej kto wkracza w sferę nadprzyrodzoną życia, tym więcej, nawet gdy jest on duszpasterzem, wystarcza mu technika: „Laissez faire, laissez passer." Ks. Dąbrowski przeciwnie był kapłanem dogmatyzmu katolickiego, bardzo silnego i niezłomnego, żył on w sferze nadprzyrodzonej.

NAWET kapłanów po śmierci chwalą często tylko tak: „Miał dobre serce." Ks. Dąbrowski miał silną wolę . . .

Widzisz to me ognisko: uczucie?
Zbieram je, ściskam, by mocniej płakało,
Wbijam w żelazne woli swej okucie,
Jak nabój w burzące działo . . .

TAK napisał niegdyś Adam Mickiewicz i takim był w duszpasterstwie ks. Józef Dąbrowski.

W prozie życia zwykle nazywamy takich upartymi.

Ks. Dąbrowski był uparty; jak sobie co umyślił, to już się nie uspokoił, dopóki nie postawił na swoim.

PIERWSZĄ rzeczą w duszpasterstwie jest kult Boży. Ks. Dąbrowski umyślił sobie na swej parafii przede wszystkim zaprowadzić poszanowanie domu Bożego i nabożeństwa.

Kapłan w parafii jest przede wszystkim „minister Christi" i „dispensator mysteriorum Dei" (I Cor. IV, 1), a najprzedniejszym z tych misteriów jest msza św., nabożeństwo. Od tego w każdej parafii zaczyna się wręcz wszystko. Ks. Dąbrowski z zawziętością katolickiego konwertyty-apostoła postanowił najpierw odnowić należyty kult Boży w swojej parafii, w swoim kościółku.

Ubożuchny ten kościółek przyozdobił, jak tylko mógł i chciał odprawiać w nim nabożeństwa „digne, attente et devote."

ALIŚCI wnet się przekonał, że bez walki przeprowadzić tego się nie da. Parafia była zaniedbana. Rej wodzili w niej, jak po wszystkich parafiach polskich i niepolskich w Ameryce za owych czasów, karczmarze, czyli saluniści. Dopiero później w Ameryce nawet w statutach diecezjalnych, n.p. w Green Bay, zaczęto umieszczać specjalne zakazy, zabraniające karczmarzom być „trustystami," lub tak zwanymi komitetowymi po parafiach. W Polonii były jeszcze specjalne względy lokalne, z powodu których ks. Dąbrowski musiał duszpasterską swoją pracę rozpocząć od walki z salunistami. Kościółek jego był zbudowany tuż przy salunach, a raczej może te saluny ulokowały się tuż przy kościele wieńcem wokoło. Kiedy msza św., zwłaszcza w niedzielę się odprawiała, saluny nie tylko były otwarte, ale pijackie orgie w nich słychać było w kościele i zagłuszały one głos kapłana przy ołtarzu. Wszelkie perswazje i nawoływania, aby przynajmniej podczas nabożeństwa saluniści karczmy swoje zamykali, wywoływały tylko gniew i zacietrzewienie jeszcze gorsze. Kościół i nabożeństwo w przekonaniu salunistów istniały jak gdyby tylko po to, aby ściągały z całej okolicy klientelę do salunów.

KIEDY nic innego nie pomogło, ks. Dąbrowski postanowił wrzód wśród Polaków w Polonii przeciąć radykalnie. Miał on zaiste żelazną wolę. Tyle w sobie miał energii, że zdobył się na krok taki, na jaki żaden inny kapłan z pewnością by się nie zdobył. Przeprowadził on uchwałę parafialną, aby kościół niedawno zbudowany rozebrać i przenieść na inne miejsce, z dala od salunów. Uzyskawszy na to z kolei rzeczy zezwolenie biskupa, zwolna, ale stanowczo i energicznie, nie zważając na piętrzące się trudności, zabrał się do dzieła. Nowe miejsce pod kościół upatrzył sobie na uboczu wzgórza, zdala od karczem i zwrócił się do pewnego zamożnego farmera protestanta z prośbą, ażeby mu je odsprzedał. Farmer ten, nazwiskiem McGreer, szkockiego pochodzenia, dowiedziawszy się o co chodzi, ofiarował mu za darmo 20 akrów ziemi w miejscowości przezeń upatrzonej, przy czym gorliwość duszpasterska ks. Dąbrowskiego wywarła widać na nim takie wrażenie, że z czasem nawrócił się z całą rodziną na katolicyzm.

PRZEPROWADZIWSZY wszelkie prawne formalności i zabezpieczywszy się nawet w akcie darowizny, że co najmniej na ćwierć mili od kościoła na nowym miejscu nie wolno będzie po wieczne czasy stawiać żadnego budynku niekościelnego, zabrał się ks. Dąbrowski żwawo do przeprowadzki.

Bez dalszej zwłoki w pewną niedzielę zwrócił się on po nabożeństwie z gorącym apelem do wszystkich swoich parafian, aby zaraz w poniedziałek rano, zaopatrzywszy się w odpowiednie narzędzia robocze, jakie kto ma, a mianowicie siekiery, topory, piły, młoty, a zwłaszcza wozy i konie, przybyli przeprowadzić kościół na nowe miejsce, które już z góry nazwał Polonią. Jeżeli zobaczy, że parafianie będą niechętni i na wezwanie jego nie przybędą, „wtedy, oświadczył, nie mam tu dalej co robić i pożegnam się z wami."

Nie ma atoli niczego niemożliwego dla człowieka, który umie chcieć, jak wyraził się Mirabeau. „Jesteśmy wielcy lub mali zależnie od naszej woli,“ napisał Smiles. Ks. Dąbrowski był człowiekiem naprawdę wielkim, miał silną wolę. Wierzył on mocno, że wszystko może w Tym, który go umacnia. Toteż wezwanie jego poskutkowało.

RYCHŁYM rankiem w poniedziałek, jak opowiada w swoich zapiskach później siostra Urszula, zebrali się wszyscy poczciwi parafianie bardzo licznie przed plebanią według życzenia swego proboszcza i czekali gotowi na jego rozporządzenia. Ks. Dąbrowski kierując się roztropnością, przeczuwał, że może przyjść do starcia między dobrymi a złymi parafianami. Ale niczym się nie zraził. Dawny powstaniec objął komendę, batalię stoczył i . . . wygrał. Powyznaczał najdzielniejszych mężczyzn, aby stali na straży, innych z narzędziami wyznaczył do rozbierania drewnianego kościółka i do nakładania na wozy starannie rozebranych części dachu, ścian, drzwi, itd. Gdy tak w porządku wszyscy stali już gotowi, ks. Dąbrowski wziąwszy siekierę z rąk jednego z gospodarzy, przeżegnał się i pierwszy w imię Boże rozpoczął pracę.

Za nim wszyscy zabrali się do roboty im wyznaczonej, a pracowali tak gorliwie, niezmordowanie i bez wytchnienia, że w krótkim czasie cały kościół rozebrali i przewieźli go na nowe miejsce na wzgórek, o dwie mile stamtąd.

NIE obyło się, rzecz prosta, bez incydentów i bez scen nawet zabawnych. Gdy zabrano się do zdjęcia dzwonu i umieszczono go już na ziemi, jedna z przeciwniczek przeniesienia kościoła rzuciła się, aby go bronić i nie pozwolić z ziemi ruszyć. Zostawiono ją w spokoju, nie zwracając na nią wcale uwagi, aż zmęczona swym krzykiem, sama nieznacznie ustąpiła i odeszła. Ci, którzy byli na straży, mieli robotę niemniej ciężką z odpieraniem napaści salunistów i ich partyzantów, którzy nie mogąc przeszkodzić przeniesieniu kościoła, rzucali się jednak nawet z siekierami na pracujących i ciskali w nich kamieniami. Ale zwyciężyła dobra sprawa i snadź sam Pan Bóg czuwał nad tym, bowiem ostatecznie nikomu nic złego się nie stało, z wyjątkiem nieznacznych okaleczeń, które odniósł przy tym niejeden.

Przeszło tydzień zabrało to rozbieranie kościoła i przewiezienie go na nowe miejsce. Robota odbywała się w porze zimowej. Sroga wiskonsińska zima dawała się we znaki robotnikom do tego stopnia, że niejeden zziębnięty, nie mogąc władać rękoma należycie, trafiał młotkiem albo siekierą we własne skostniałe członki. Chirurgiem i lekarzem w takich razach był ks. Dąbrowski, dyrygując nie tylko pracą, ale i opatrując z umiejętnością podziwu godną skaleczonych.

Budowa kościoła, po przewiezieniu go, szła pod kierownictwem i przy współpracy ks. Dąbrowskiego jeszcze parę tygodni. O ile się dało, stawiano wszystko jak najdokładniej na wzór tego, co było przedtem.

Nabożeństwa odprawiały się tymczasem w prywatnych domach parafian. Kiedy stanął zrąb kościoła, przeniesiono się tam jak najprędzej

i z nabożeństwami, chociaż nie wszystko jeszcze było wykończone i nawet dachem kościoła jeszcze nie pokryto.

DOPIERO pod koniec lata wykończono kościół i postawiono przy nim maleńką plebanię. W nowym kościółku był ks. Dąbrowski nie tylko proboszczem, lecz i organistą i zakrystianem i w ogóle wszystkim, a cieszył się jak dziecko, że nareszcie wyzwolił się z niewoli salunistów i wyszedł niejako z ziemi egipskiej wraz z całą swoją parafią.

Nowe to miejsce, jak już wspomnieliśmy, nazwał Polonią, podczas gdy stare po dawnemu zwało się Poland's Corner albo Ellis Corner, a przewodzili tam właściwie Niemcy i mała garstka obałamuconych i mało uświadomionych Polaków, będących pod wpływem salunistów i Niemców.

Saluniści ci i ich zwolennicy nawet po przeniesieniu kościoła na nowe miejsce przez ks. Dąbrowskiego nie chcieli dać za wygraną. Wytoczyli oni ks. Dąbrowskiemu, biskupowi Melcherowi i parafii w Polonii proces w sądach krajowych o odszkodowanie za zepsucie im „byznesu," a równocześnie tuż zaraz pobudowali na starym miejscu kościół swój własny, od czerwonego dachu przezwany później: „Czerwonym kościołem," a pogardliwie „kryplem." Proces przegrali, choć prowadzili go we wszystkich, nawet najwyższych instancjach. „Czerwony kościół" ich w Poland's Corner był pierwszą tak zwaną niezależną czyli narodową parafią polską w Ameryce.

Na proboszcza sprowadzili sobie aż z Texas niejakiego ks. Jana Frydrychowicza, zasuspendowanego w Malberach, Texas, w r. 1871 na misji polsko-czeskiej.

SCHIZMA ta miała charakter ściśle lokalny i trwała krótko. Ks. Frydrychowicz wkrótce po przybyciu do Poland's Corner swój niesławny żywot zakończył nagłą śmiercią w warunkach przykrych, a to wstrząsnęło sumieniami. „Czerwony kościół" dosyć długo stał pusty, aż go wreszcie rozebrano. Obecnie nawet miejscowi farmerzy polscy nie potrafią wskazać miejsca, gdzie on tam stał, a po salunach i niezależnikach w Poland's Corner nie ma również śladu.

Poland's Corner na skrzyżowaniu się dróg, to tylko dziś nazwa, za to o niecałe dwie mile stamtąd wznosi się piękny strzelisty kościół; to Polonia.

Ks. Dąbrowski w tej Polonii dużo przykrości i prześladowań przeżył od niezależników, podjudzanych przez Niemców. Wkrótce po owej przeprowadzce zdarzył się wypadek, który ks. Dąbrowskiemu dał dużo do myślenia. Już za jego poprzedników był zwyczaj, że każdy farmer obowiązany był przywieźć choć furę drzewa rok rocznie na opał do plebanii. Ks. Dąbrowski pewnego razu włożył do pieca trochę drzewa i na szczęście wyszedł na dwór, gdy nastąpił straszny wybuch. Piec rozsadziło, a rozpalone węgle rozprysły się wokoło. Ks. Dąbrowski wbiegł z powrotem, gdy przebrzmiał huk eksplozji, i zdążył jeszcze podeptać

węgle i ogień zalać, zanim plebania w ogniu stanęła. Okazało się, że zbrodnicza jakaś ręka włożyła nabój w wydrążone szpary w drzewie, aby zdradziecko wysadzić w powietrze całą plebanię. Przestrzegano też często ks. Dąbrowskiego, aby miał się na baczności.

DROGA do Stevens Point i do innych pobliskich osiedli prowadziła przez Poland's Corner, ale dla bezpieczeństwa musiał odtąd ją omijać, i naddawać kilka mil drogi, aby ustrzec się zasadzki.

Były też i incydenty dość zabawne. Jedna z najzaciętszych przeciwniczek jego, która uważała się osobiście za pokrzywdzoną w osobliwy sposób, bo miała karczmę i od czasu przeniesienia kościoła ludzie do jej karczmy już prawie nie uczęszczali, przyprowadziła pewnego razu po mszy św. na plebanię do ks. Dąbrowskiego całą gromadkę swoich drobnych dzieci. Po wykrzyczeniu się i po wymówkach, że z przyczyny proboszcza i przeniesienia kościoła nie może utrzymać swoich dzieci, zostawiła je z wielką furią ks. Dąbrowskiemu: „Niech je żywi." Ks. Dąbrowski usadowił dzieci przy stole, dał im śniadanie, a potem wziął do ogrodu, zachęcając do zabawy. Dzieci z początku, onieśmielone, boczyły się, ale wkrótce rozruszały i na dobre zaprzyjaźniły się z ks. Dąbrowskim i miały iście „dobry czas" u znienawidzonego przez ich matkę, a tak łaskawego i dobrego dla nich księdza proboszcza.

Wieczorem, już o szarej godzinie, zawstydzona matka przyszła z powrotem pod plebanię, aby wywabić nieznacznie dzieci, ale nie chciały one o tym słyszeć i chowały się przed matką do swojego opiekuna. Musiała wreszcie upokorzyć się i przeprosić ks. Dąbrowskiego za swoją zapalczywość, po czym oddał jej dzieci.

NIE zawsze jednak się kończyło tak szczęśliwie. Ks. Dąbrowski miał wiele strapień aż do samego końca jego pobytu w Polonii i dokuczano mu tam stale. Nie zwracał na to jednak uwagi. Uważał to sobie snadź za pokutę i nie zrażał się bynajmniej. Z umiłowaniem oddawał się pracy duszpasterskiej w Polonii przez lat dwanaście, pomimo wszelkich przykrości doznawanych najczęściej od tych właśnie, którym dobrze czynił.

JEST to najwyższą chlubą Kościoła, że ma zawsze takich pracowitych, cichych księży po tych parafiach wiejskich, ubogich, co to potrafią, jak ks. Dąbrowski, wytrwać tam na pustkowiu, na posterunku swoim, z dala od świata, mimo trudności i wszelkiego zapomnienia o nich nawet władzy duchownej.

To są nie tylko apostołowie, to są szermierze cywilizacji na jej placówkach najdalej wysuniętych. Nikt o nich nieraz tam nie wie, nikt o nich nie pamięta, nikt się o nich nie troszczy. Idą cicho i samotnie, aby zagrzebać się na pustkowiu i pełnić tam urząd swój duszpasterski z dala od świata, nawet swej władzy gdzieś tam po miastach często nieznani, a przez to samo i nieuznani. Przeciętny fircyk ich lekceważy, a przecież to są bohaterowie. „Ja nie całuję w ręce prałatów, którzy po miastach co najprzedniejsze mają parafie i dygnitarstwa i jak pawie chodzą w swo-

ich fioletach, ale ja zawsze głowę skłonię i ucałuję rękę wiejskiego plebana, który w wytartej chodzi sutannie i w aureoli jedynie tylko swego kapłaństwa i siwych włosów" — powiedział niegdyś pewien wybitny bezwyznaniowiec, który później się nawrócił.

Nie nawróciły go żadne uczone miejskie kazania ani konferencje dla inteligencji, lecz nawróciła go katechizmowa nauka wiejska plebana na wsi, który w wytartej chodził sutannie, ale miał wiarę i dla ludzkości się poświęcał.

Napisał niegdyś jeszcze Kasjodor, że taki kapłan jest to „machina parva gravida mundo, coelum gestabile, compendium orbis"... machina mała, ale świat podpierająca, drabina nieba i nosiciel, świat w streszczeniu, bo cały świat jest odeń zależny. Taką machiną za czasów swego duszpasterzowania w Polonii był ks. Dąbrowski. Uporawszy się z materialnymi potrzebami parafii swej i kościoła, aby kult Boży mógł się tam „digne" „attente" i „devote" zawsze odbywać i ażeby funkcje wszelkie kościelne godnie były sprawowane, zabrał się on prawie równocześnie do szerzenia oświaty. „Fiat lux," to było jego hasło w parafii. Nie tylko szafarzem tajemnic Bożych, chciał być światłem i solą ziemi, nauczycielem i lekarzem, o swe sędziostwo bowiem już mniej dbał.

NIE ISTNIAŁA przed nim w Polonii żadna szkoła dla dzieci. Ambicją ks. Dąbrowskiego było, ażeby uczyć nie tylko dorosłych parafian z ambony i poza amboną, ale ażeby od maleńkiego wychowywać, jak należy, całe młode pokolenie. Skoro tylko przybył na to odludzie w lasach wiskonsińskich, jak benedyktyn zaczął pracować i nieść oświatę.

Prawie nazajutrz po swym przybyciu urządził ks. Józef szkółkę jednoklasową. Odstąpił dla niej największą izbę w swej plebanii. Zbierał w niej dziatwę z farm nieraz nawet bardzo odległych i sam ją uczył nie tylko katechizmu, ale i języka polskiego i innych nauk elementarnych. Ponieważ zajęcia parafialne często mu w tym przeszkadzały, wnet postarał się o nauczyciela. Był nim niejaki Kiedrowicz, pół nauczyciel, pół organista, który mu pomagał, ucząc dzieci czytać i pisać po polsku. Uprosił również córkę owego farmera Szkota, pannę McGreer, żeby uczyła dzieci języka angielskiego.

Z starszymi również miał pogadanki pouczające. Co niedziela rano sam z nimi w kościele śpiewał Godzinki. Nacisk kładł wielki na wspólne śpiewy kościelne polskie. Ponieważ dawał się we znaki brak książek, sprowadził sobie czcionki i małą ręczną maszynę drukarską, aby drukować choć w miniaturze najniezbędniejsze podręczniki dla dzieci szkolnych i dla parafian. Pierwszą książeczką, jaką sam złożył i wydrukował, był kalendarz, a w nim proroctwo św. Andrzeja Boboli o zmartwychwstaniu Polski.

Dorosłych parafian uczył racjonalnego gospodarstwa rolnego i ogrodnictwa. Nie ograniczał się do duszpasterstwa na miejscu, tylko wśród tych, którzy do kościoła przychodzili. Szukał również takich, którzy rozproszyli się i odbili od stada, którzy odeszli nawet w dalsze okolice. Ponieważ w okolicznych osiedlach polskich, jak w Stevens Point, Toruń,

Alban i innych — poza Polonią — nie było jeszcze żadnych kościołów, ani kapłanów, wierni z tych miejscowości jeździli, a nawet chodzili pieszo po 20 mil i więcej do Polonii na mszę św. Ks. Dąbrowski roztoczył nad nimi wszystkimi taką opiekę duszpasterską, że choć od czasu do czasu regularnie ich odwiedzał. W okolicy za owych czasów były wszędzie niedostępne prawie bory, a dróg również nieomal żadnych. W okolicy Wausau o 20 mil od Polonii, gdy ludzie wybierali się w drogę do miasteczka, to brali w jedną rękę siekierkę, a w drugą koszyk i worek na plecy, i po drodze musieli sobie siekierką robić znaki na drzewach, aby do domu trafić z powrotem.

KS. *DĄBROWSKI* w kilku osiedlach polskich, rozłożonych w borach i lasach o kilkanaście mil jedna od drugiej, miał stałe misje, mniejsze lub większe. Najdalsza znajdowała się o 80 mil od Polonia. Nieraz wypadło mu jechać tam lub z powrotem w nocy, między szałasami Indian, którzy w lasach koczowali. Nieraz musiał gdzieś po drodze nocować. Jeździł konno, a czasem chodził i pieszo.

W niedziele i święta dojeżdżał stale ze mszą św. do misyjki w Hull, Wisconsin, o 12 mil odległej od Polonii. Co drugą sobotę jeździł tam po południu i uczył dzieci katechizmu, a wieczorem słuchał spowiedzi. Nocował wówczas zwykle u jednego z farmerów, a na drugi dzień w niedzielę miał mszę św. z kazaniem i śpiesznie wracał do Polonii, aby odprawić tam drugie nabożeństwo. W Hull była już podówczas mała kapliczka. Za podszeptem niezależnych z Poland's Corner znaleźli się i tam burzyciele, którzy spokój zakłócali i chcieli nawet pewnego razu nie wpuścić ks. Dąbrowskiego do kapliczki, otaczając jego bryczkę, kiedy przyjechał. Dopiero śmiała jego postawa i rychła pomoc katolików przeraziły awanturników.

W CAŁYM swoim duszpasterstwie znanym był ks. Dąbrowski z nieugiętej stałości, choć z drugiej strony nigdy z ust jego nikt nie usłyszał żadnego słowa ubliżającego lub dokuczliwego. Wszystkim służył chętnie radą i pomocą. Nie znosił tylko opieszałości, lenistwa i niedbalstwa. Grunta parafialne utrzymywał wzorowo i w miarę możności upiększał. Kochał się w ogrodnictwie i lubił sadzić drzewa i kwiaty. Jeżeli na drodze albo przy drodze, zwłaszcza tej prowadzącej do kościoła, nawet daleko gdzieś na farmie zauważył jaką skałę, kupował proch i rozsadzał ją. Z chłopcami szkolnymi urządzał często wycieczki nad rzeki Wolf i Little Wolf, gdzie obficie rosła wiklina, z której uczył ich wyplatać koszyki i różne sprzęty, nie tylko dla swojego własnego użytku, lecz i na sprzedaż w mieście.

O pieniądze nigdy nie dbał. Wierzył w Opatrzność. Pewnego razu wracając konno do domu z objazdu po osiedlach, nie miał przy sobie ani centa, a był głodny, cały dzień nie jadł, burza szalała, a wieczór już zapadał. Nagle coś zaświeciło się w błocie na drodze. Ks. Józef zeszedł z konia i stwierdził, że w błocie leży „kwoder." Uradowany pojechał zaraz kupić sobie za tego „kwodra" chleba.

NIE stać go było na trzymanie w plebanii gospodyni, która by mu gotowała. Gotował i usługiwał sobie sam, aż później przyjął niejakiego Walentego Narlocha, nierozwiniętego karzełka, który sam siebie nazywał „Maluści Walanty“ i był ks. Dąbrowskiego kucharzem i totumfackim.

Mięso na obiad ubijał czasem „Maluści Walanty“ na podłodze, a gdy smażąc jaja, upuścił rozbite jajo do rękawa, to je bez skrupułów wytrząsnął na patelnię i usmażył. Niosąc jedzenie w ten sposób spreparowane dla ks. Dąbrowskiego, „Maluści Walanty“ często razem z jedzeniem przewrócił się, a potem wszystko razem z piaskiem pozbierał i postawił na stół. Ks. Dąbrowski nie mógł wymagać od niego wiele, bo „Maluści Walanty“ nawet kilka kawałków drzewa nie potrafił udźwignąć naraz. Cieszył się atoli, że żyje i że jest jednak nie byle kim, bo kucharzem swego proboszcza. Pysznił się zwłaszcza przy mszy św. jako ministrant. Ministrantem zaś naprawdę był genialnym. Ministrantury uczył go przecież sam ks. proboszcz. Niektóre odpowiedzi przychodziły Walusiowi jednak trochę trudno. Tak n.p. nie mógł jakoś spamiętać odpowiedzi: „sed libera nos a malo.“ Namęczył się ucząc go tego ks. Dąbrowski dosyć dużo. Nareszcie kiedy zdawało się, że już umie i kiedy obydwaj, i nauczyciel i uczeń byli z siebie zadowoleni, a dnia następnego idąc do mszy św. ks. Dąbrowski, chciał się upewnić, że wszystko pójdzie dobrze, i zapytał go, jak odpowie przy „Pater noster“ po słowach „et ne nos inducas in tentationem,“ Waluś, pewny siebie wyrecytował: „Szed Lyba nasz pomału“ (Lyba nazywał się jeden z parafian).

SWOJĄ DROGĄ Waluś był człowiekiem bardzo sumiennym i uczciwym. Ks. Dąbrowski mógł na nim całkowicie polegać. Nawet jeżeli mu coś mówić zakazał, Waluś sekretu zawsze „dochowywał“ w ten sposób, że o tym nie mówił, tylko, chodząc lub jadąc, wszystko wyśpiewał, bo śpiew przecież nie jest mową. Raz za czasów, kiedy już w Polonii były siostry, a ks. Dąbrowski wystarał się od pewnego farmera, który nazywał się O’Keefe, o dwie brunatne owce, z których wełna miała być użyta na habity dla sióstr i kiedy w wielkim sekrecie miał jechać z Walusiem po te owce na farmę, Waluś nikomu sekretu nie zdradził, ale już naprzód chodził i wyśpiewywał: „Pojadę, pojadę do Kifa, do Kifa, po owce, po owce brunatne, dla siostrów, dla siostrów na habity.“ W ogóle sto pociech miał nieraz ks. Dąbrowski ze swym Walusiem.

Cierpliwie i spokojnie jednak znosił wszystko. Cierpliwie znosił ubóstwo i niewygody życia duszpasterskiego na ubożuchnej swojej parafii w Ameryce, lecz równocześnie sokolim wzrokiem sięgał wciąż w przyszłość i marzył nie o tym, co będzie, ale o tym, co trzeba, ażeby było, i to nie tylko w tej jego własnej parafii, ale i w całej naszej Polonii w Ameryce.

Im lepiej się zapoznawał ze stosunkami i z tą Polonią, tym gruntowniej i lepiej widział, że skazana ona jest nie tylko na wynarodowienie się, ale i na spoganienie; że grozi jej nie tylko utrata polskości, ale i utrata wiary i religii, jeżeli się jej nie da ducha i pokarmu dla tego ducha w ojczystym języku. Zaraz po przyjeździe do Ameryki napisał to do ks. Semeneńki, a im dłużej był w Ameryce, tym gruntowniej w tym przeko-

naniu się utwierdzał. Że zaś był człowiekiem czynu, więc nie tylko ciągle marzył i przemyśliwał, lecz skoro w parafii swojej się ugruntował, wziął się do dzieła, nie oglądając się na nikogo.

Powiedział niegdyś Napoleon, że to nie żadni generałowie, ale francuski proboszcz wiejski zbudował Francję. Takim proboszczem wiejskim polskim dla Polonii w Ameryce był ks. Dąbrowski.



Poland's Corner

1874-1876

DNIA 15 MAJA 1874 ks. Józef Dąbrowski z Polonii Wisc. wystosował do Matki Generalnej Sióstr Felicjanek w Krakowie w Polsce list z prośbą o przysłanie mu sióstr nauczycielek i o ufundowanie pierwszego klasztorku ich w Polonii jego, w Ameryce. List ten nadszedł do Krakowa, kiedy Matka Generalna, Maria Magdalena Borowska kończyła właśnie swoje urzędowanie. Przedstawiła ona go na kapitule generalnej, zwołanej na 15 sierpnia 1874.

Długo radziła nad całą sprawą kapituła Zgromadzenia Sióstr Felicjanek pod przewodnictwem komisarza, ks. Wawrzyńca Oprzędka i nowoobranej na dalszy termin matki Borowskiej, ale widocznie list ks. Dąbrowskiego był dostatecznie przekonywujący, bo uchwalono zadośćuczynić mu w zupełności. Szkoda, że list ten ks. Dąbrowskiego nie zachował się w archiwum Zgromadzenia. Zachował się tam natomiast list drugi, w którym ks. Dąbrowski, ucieszony pomyślną odpowiedzią Sióstr, odpisuje i daje swoje wskazówki na drogę. Przytaczamy go dosłownie. Brzmi ten list, jak następuje:

PRZEWIELEBNA MATKO DOBRODZIEJKO!

Ostatni list z 22 sierpnia od Wielebnej Matki Dobrodziejki odebrałem w zeszłym tygodniu i natychmiast żądaniom, ile sił moich, starałem się zadośćuczynić, o czym już zawiadomiłem w liście moim 2, dnia 17 b. m. Dziś dopełniam reszty, t. j. przesyłam piśmienne przyjęcie od ks. Administratora, bilet dla Sióstr i 40 dolarów w gotówce. List ten miałem wysłać po dniach 10-ciu od daty ostatniego listu mego, lecz że sprawy pieniężne z łaski Pana Boga lepiej stoją, niż się spodziewałem, więc z listem obecnym pośpieszam jak najprędzej.

Co do przyjęcia Sióstr, jest ono formalne i zdaje się, iż już nic więcej wymaganym być nie może. Zresztą, jeżeliby były jakieś formalności kanoniczne, to o nich u nas nikt nie wie, ani nie są w użyciu, gdyż prawo kanoniczne u nas, odnośnie do dyscypliny kościelnej, zupełnie nie egzystuje. W końcu żaden o ile wiadomo nam, Zakon tu przybywający, więcej nie wymagał, przyjęcie jest już zupełną gwarancją, bo Zwierzchność kościelna, przyjmując, rozpościera swoją opiekę itp. O ile ksiądz Administrator jest Siostrom najdroższym przychylny, to załączam jego list do mnie, w którym 200 dolarów ofiarował dla Sióstr na ich

podróż i potrzeby — za te więc pieniądze, wraz z zebranymi z mej drogiej parafii, opłaciłem podróż dla Sióstr.

Gdy PP. Felicjanki Pan Bóg raczy nam szczęśliwie przyprowadzić, tu w Ameryce przed nimi otwiera się bardzo obszerne pole, jako to szczepienie religii w umysły i serca młodocianne, aby ją zastosowały w życiu praktycznym, powtóre przyjście w pomoc opuszczonym sierotom, a więc Siostry mają ująć w ręce swe szkołę i ochronkę. Bez ochrony i gruntownej katolickiej szkoły, wszystko u nas stracone i dla Boga i dla ludzi. Ochronka dla dzieci polskich wiele sierót polskich zewsząd opuszczonych wyrwie z rąk protestantom, które by dla Kościoła katolickiego na zawsze stracone były. Jakie jest u nas położenie młodzieży, o tym pisać nie będę, gdyż zdaje się dostatecznie o tym w 1-szym i 2-gim liście pisałem. Siostry więc za pomocą Pana Boga ufundowałyby tu Nowicjat, skąd wszystkie parafie polskie mogłyby być dostatecznie zaopatrzone.

NA ZAPYTANIE drogiej Matki, jakie mamy mieć tu szkoły, odpowiadam, że od elementarnej w ścisłym znaczeniu aż do wykładowych. Trzeba w nich podawać początkowe i konieczne wiadomości z różnych nauk, uczyć czytać, pisać, katechizmu, arytmetyki, geografii, dać też choć wyobrażenie o Piśmie św. i trochę historii. Dla dziewcząt koniecznym by było, aby mogły poduczyć się trochę robótek. Przy wykładach musimy się zastosować do szkół rządowych, które mają plan powyższy, a niepodobieństwem jest, abyśmy mieli stać niżej od protestantów w tej okolicy, którzy naukę wysoko cenią.

Przy wykładach nie będzie trudności, bo wszystko to są rzeczy bardzo proste i powszechnie znane, a resztę podręczne książki dopełnią. Stosunek tutejszego rządu do Kościoła i nawet odnośnie do każdego pojedyńczego indywiduum jest w Europie zupełnie nieznany. Tu jest zupełna aż do wyuzdania wolność, rząd do niczego się nie miesza, lud sam sobą rządzi przez urzędników, których corocznie wybiera. Paszporty u nas są nieznane, co żandarm, milicjant, lub policjant, tego tu nie wiemy. Więc z rządem nie ma kłopotu.

Kościół jest zupełnie wolny, rząd żadnej nie daje opieki, ale dzięki Panu Bogu do spraw kościelnych rząd podobnież się nie miesza. Szkoła podobnież wolna, wolno uczyć, czego się podoba i w języku, jakim kto chce. Wolno stawiać kościoły, klasztory, nie tylko nikt tego nie zabroni, ale rząd nawet nie zapyta, co to jest.

Więc w tych warunkach przybycie Panien Felicjanek dla całego Zakonu jest nadzwyczaj wielkiej wagi; do dziś nie mamy jeszcze żadnego polskiego, a powszechna potrzeba wszędzie się okazuje, więc będzie prócz Bożej i pomoc materialna, a z drugiej strony bardzo jest ważnym dla Zakonu, że w razie prześladowa-

nia w Europie, już tu będzie schronienie i gościnne przyjęcie. A Zakon PP. Felicjanek wiele tu zdziała dla wiary.

POŁOŻENIE geograficzne miejsca, dokąd Siostry przybędą jest to samo, co Florencji we Włoszech, ale w klimacie i w płodach wielka bardzo różnica; klimat tu nie jest włoski, ale polski, płodami nie winogrona, figi i pomarańcza, ale żyto, pszenica i inne nasze. Więc klimat ten, co w Polsce, a różnica stopnia geograficznego nie wpływa na zmiany, gdyż od półnoscy tułaj nie mamy gór, co by sprowadziło upały włoskie; tak więc, jak w Polsce, jest piękna wiosna, lato, jesień słotna i mroźna, dokuczliwa zima; klimat zdrowy. W naszym mieście mamy wielką bardzo obfitość drzewa do budowy, są jeszcze miejscami lasy pierwotne, kamieni pod dostatkiem wszelkiego rodzaju.

Większość mieszkań, a nawet i prawie miasta całe buduje się z drzewa, ale w sposób u nas nieznany t.j. z dyli i z cienkich słupków rżniętych w tartakach; w ten sposób wznoszą wspaniałe piętrowe domy.

NA POZOSTAŁE pytania W. Matki, czy tu są zakony, doktorzy i czy tu można dostać towarów i co ze sobą zabrać, odpowiem pokrótce; Zakony tu są obojej płci, jako to: Marcelitanie, Redemptoryści, OO. Jezuici, Dominikanie, Franciszkanie itd. — z żeńskich PP. Karmelitanki, Dominikanki, Szarytki, itd., ale wszystko według narodowości, tak że zdarzyło się, iż niektórzy z naszych tej samej reguły przybywali, to wytrzymać nie mogli.

Stąd też jasnym jest, że obcy Zakon dla Polaków nic zrobić nie może, gdyż nie zna ducha narodu, daleki od zwyczajów naszych, a chociażby ktoś z naszych wstąpił do Zakonu, to dla Polaków jest stracony, bo go wykształcą po angielsku lub po niemiecku, a Polacy, jak dawniej pozostaną opuszczeni i zapomniani; każdy pierwej o sobie i swoich myśli, niż o jakichś tam Polakach.

Dwie mile polskie ode mnie jest parę Sióstr angielskich, które mają szkołę, więc Siostry nasze będą miały miłe sąsiedztwo.

Towarów można wszelkich dostać, ale sukna na habity trzeba ze sobą tu przywieźć i proszę sprowadzić paciorki oraz książki odnoszące się do reguły i innych ćwiczeń duchownych, zresztą nic ze sobą proszę nie brać.

Doktorzy są, a nawet i dobrzy, powszechnie leczą według metody aleopatycznej, ale są rzadko i homeopaci.

Zaopatrzenie duchowne po Zakonach żeńskich powszechnie jest takie: Ksiądz Biskup wyznacza dla Zakonu stałego księdza na spowiednika, itd., a zaś corocznie przybywa spowiednik nadzwyczajny. Na początek wystarczą nam Siostry, które będą umiały tylko po polsku. Wprawdzie panującym językiem jest

angielski, ale tej potrzebie zaradzim, gdy do Zakonu wstąpi parę panien, umiejących po angielsku. Przybyłe Siostry wkrótce nauczą się po angielsku, bo język angielski bardzo łatwy, ortografia tylko bardzo dziwna, ale i tego się można nauczyć łatwo. Przepraszam, że już list kończę, bo słaby jestem, więc już tylko podam, jak jechać: Koleją do Hamburga, z Hamburga do New Yorku, z New Yorku przez Chicago i Milwaukee do Stevens Point (czyta się Sztywens-Point), a dwie mile polskie od Stevens-Point ja mieszkam, gdzie konie oczekiwać będą.

W Nowym Yorku proszę się zgłosić do p. Żółnowskiego na Chatam Street Nr. 43 (czyta się Czatam sztryt) albo do Księdza Mielcusznego na ulicy Pike Street 51 (czytać Pajk sztryt). Z Nowego Yorku proszę do mnie wysłać telegram pod adresem: Jos. Dombrowski — Stevens Point — Wisconsin. W Milwaukee proszę się zgłosić do p. Rudzińskiego na ulicy Reed Street Nr. 100 (Ryd sztryt).

Zresztą wszystkie osoby powyższe już są uwiadomione o przybyciu Sióstr. W Milwaukee na Siostry ja sam będę oczekiwał. Dom Siostrom z materiałów, o których pisałem, postawiłem bardzo obszerny i piętrowy. Siostry tylko go sobie podzielą, jak im się podoba.

Polecam się modlitwom — sługa,

ks. Dąbrowski

Polonia, Wisc., 22 września 1874 r.
Na drogę ubrać się w strój świecki.

DNIA 13 LISTOPADA 1874 r. po południu wylądowało 5 sióstr Felicjanek na czele z przełożoną Matką Moniką Sybilską w Nowym Yorku.

Była wśród nich i siostra Wacława Zubrzycka cioteczna siostra ks. Józefa Dąbrowskiego, z którą widział się w Krakowie, kiedy przybył tam dla pożegnania się ze swoją matką, przed wyjazdem do Ameryki.

SŁYNNY różdżkarz francuski, ks. Bouly powiada, że jeżeli woda i metal pod wpływem słońca promieniują w kierunku wody i podobnego sobie metalu, to dlaczego by dusza ludzka, dobroć i cnota nie miały także promieniować w kierunku cnoty oraz dobroci i duszy ludzkiej, z którą na drodze swego życia gdzieś się spotyka. Każdy kogo tylko spotykamy, przychodzi do nas z jakimś promieniem błogosławieństwa albo po jakiś promień błogosławieństwa.

W zamieszaniu codziennych naszych spotkań i rozstań nie zdajemy sobie z tego sprawy i nie przypisujemy często żadnego głębszego znaczenia przypadkowemu zetknięciu się z nami w życiu pewnych osób, a jednak Bóg sam kieruje nawet i najmniejszymi wydarzeniami życia zarówno naszego, jak i osób, które w swym życiu spotykamy. Sieć okoliczności i wydarzeń życiowych nie jest bezmyślnym przypadkiem

losu i nie jest pasmem zgmatwanych nici, lecz jest planowym wyrokiem Bożym.

Kto wie, czy i spotkanie ks. Dąbrowskiego w Krakowie przed wyjazdem do Ameryki z jego cioteczną siostrą Wacławą Zubrzycką i ze Zgromadzeniem Sióstr Felicjanek nie było również planowym wyrokiem Bożym. Już wówczas po mszy św. w kaplicy sióstr Felicjanek przy ulicy Smoleńskiej w Krakowie przy śniadaniu powiedział on w rozmowie z siostrami, że gdy mu Pan Bóg pozwoli, to sprowadzi siostry Felicjanki do uczenia dzieci w swojej parafii w Ameryce. Dotrzymał tedy obietnicy.

WIECZOREM dnia 20 listopada 1874 roku przybyły do Polonii, Wisc., siostry Felicjanki. Były to w ogóle pierwsze zakonnice polskie na ziemi amerykańskiej. Przyjazd sióstr w tym dniu i o tej porze był dla ks. Dąbrowskiego niespodzianką, bo przygotował on się na uroczyste przyjęcie ich dopiero o dzień później, dnia 21 listopada, a nie otrzymał telegramu wysłanego doń przez siostry z drogi z Chicago. W chwili gdy siostry przyjechały do Polonii, ks. Dąbrowski zajęty był wykończaniem mieszkania dla sióstr. Pracował jako prosty robotnik, w najzupełniejszym zapomnieniu o sobie, z myślą tylko o tym, jakby najlepiej zaopatrzyć ubożuchne schronienie dla sióstr w najkonieczniejsze urządzenie i sprzęty.

Dowiedziawszy się o przyjeździe sióstr, wybiegł do nich z radością i wprowadził do plebanii, którą tymczasowo całą im oddał, gdyż klasztorek dla sióstr nie był jeszcze wykończony. W przyjęciu i ugoszczeniu sióstr pomagały ks. Dąbrowskiemu mieszkające w pobliżu parafianki i parafianie, którzy znając ubóstwo swego proboszcza, zbiegli się na plebanię z czym kto mógł.

SIOSTRY, korzystając z ofiarowanej im gościny na plebanii, urządziły się, jak było można, na pięterku, a ks. Dąbrowski kontentował się maleńką stancyjką na parterze. Zaraz też nazajutrz, w dzień Ofiarowania N. M. P., t. j. 21 listopada, wyprawił on siostrom wspaniałą ucztę duchową, urządził im bowiem w ich mieszkaniu kapliczkę, w której odprawił mszę św. dziękczynną i zostawił Przenajświętszy Sakrament. Teraz, pod jednym dachem z Panem Jezusem, siostry miały wszystko, czego łakną pobożne służebnice Pańskie.

W najbliższą niedzielę, dnia 22 listopada po kazaniu w czasie sumy ogłosił ksiądz Dąbrowski swoim parafianom, że przybyły do nich polskie siostry, które będą służyły Polakom, będą uczyły i wychowywały ich dziatwę, zaszczepiały w młodych serduszkach nie tylko wiarę świętą, miłość Boga i przywiązanie do Kościoła katolickiego, ale i umiłowanie Ojczyzny i języka polskiego, żeby nie zapomnieli, że są Polakami. Oznajmił także, że siostry otworzą nowicjat i przyjmować będą kandydatki, pragnące służyć Bogu w zakonie.

Po sumie ks. Dąbrowski naradził się z parafianami, jak niezwłocznie urządzić prowizoryczną szkołę, na którą on chętnie odstąpi dwie

największe izby w plebanii. Parafianie skwapliwie zgodzili się na to. Prosił też zebranych rodziców, ażeby dzieci swe przyprowadzili do zapisu. Ludzie cieszyli się, że wreszcie doczekali się polskich zakonnic i nazajutrz spora gromadka dzieci z rodzicami przyszła do szkoły.

PO DWÓCH TYGODNIACH od swego przyjazdu, dnia 3 grudnia 1874 r., siostry otworzyły szkołę, ścieśniając, o ile było potrzeba, własne mieszkanie, aby pomieścić podzieloną na dwie klasy dziatwę.

Pomimo znacznej odległości, silnych mrozów i złych dróg, dzieci pilnie uczęszczały do szkoły. Niektóre rodziny mieszkające zbyt daleko, bo 18 do 20 mil od szkoły, umieściły swe dzieci na mieszkaniu u rodzin osiadłych bliżej kościoła. Kilka dziewcząt stołowało się w domu sióstr.

ODKĄD siostry objęły szkołę polską w Polonii, Polacy nie tylko z bliska, ale i z sąsiednich osad przysyłali dzieci do szkoły ks. Dąbrowskiego.

Ale któż mógł przewidzieć, iż w tej małej szkółce mieściły się jakby w ziarnku te wszystkie wielkie szkoły parafialne, w których siostry te dzisiaj pracują w Ameryce, wychowując setki tysięcy młodzieży polskiej?

WKRÓTCE po przybyciu sióstr do Polonii, ks. Dąbrowski wysłał do Matki Generalnej Magdaleny Borowskiej list następujący:

PRZEWIELEBNA MATKO DOBRODZIEJKO!

List Matki uwiadamiający mnie o wyjeździe Sióstr do Ameryki, odebrałem krótko przed ich przybyciem, tak że pomimo nadzwyczajnego pośpiechu, ledwie mogłem przygotować to, co konieczne.

Dwa listy, pisane do Matki Moniki, odebrałem przed przybyciem Sióstr i natychmiast wręczyłem przy pierwszym zapoznaniu się. Siostry nasze są zdrowe, chociaż po podróży, dobrze wyglądają i są pełne ducha Bożego i z gorącością zabierają się do pracy — i wzrośniemy tu i liczbą i wpływem.

Tu przychodzi mi podziękować Przewielebnej Matce za tak doborowy wybór Siostrzyczek dla nas — i myślę, że to najstosowniejsze, aby gdzie się ma dobry gmach wznieść, dobry fundament położyć. Teraz, Matko, nie koniec na tym, niedość, że Matka Siostry raczyła dla nas wybrać, ale dziękuję za ich wysłanie. Wiem, jaka to była dla Was wielka ofiara, niech za nią Pan Bóg zapłaci w miarę jej wartości.

Ponieważ dom nasz i inne, jeżeli Pan Bóg pobłogosławi, zawsze będą filiami, więc na zawsze w prośbach i modlitwach naszych za całe Zgromadzenie i wspólną Matkę Boga prosić będziemy.

Przykro mi tylko, że Siostry nasze doznawały niektórych nieprzyjemności i trudności podróży, jako słyszałem z opowiadań, ale Pan Bóg strzegł je wszędzie i we wszystkim i ze wszystkiego szczęśliwie wyprowadził.

Ile sił moich, starałem się wszystko dla Sióstr urządzić, jak tylko być może, aby nigdzie nie doznawały zawodu, ani trudności, ani przykrości, ale cóż, czyż można wszystkiemu wszędzie, w trakcie tak długiej podróży zaradzić? Zresztą sam Pan Bóg, gdy my staramy się iść za Nim wszędzie, w Swej miłości, aby nas uczynić sobie podobniejszymi, lubi domieszać żółć po kropelce. Tak się też stało i ze Siostrzyczkami.

Już wystawiony domek, przed przybyciem Sióstr, urządzamy na klasztorek, plan prześlemy później — do dziś Siostry mieszkają w mej plebanii na górze, na dole szkoła, tak jak tu rysuję.

Polecając się modlitwom we wszystkich moich potrzebach, pozostaję sługą,

Ks. Józef Dąbrowski

Dnia 1 grudnia 1874
Polonia — Portage Co., Wisconsin

Upraszamy Matkę nie posyłać do nas listów pod adresem Ellis P. O., bo to jest karczma o dwie mile od nas, a z odbieraniem listów wiele połączonych niekiedy trudności.

JUŻ NA trzeci tydzień po przybyciu sióstr do Polonii, przełożona ich, Matka Monika przyjęła dnia 8 grudnia 1874 sierotę Antosię do probacji. W pensjonacie było 8 dziewcząteк od lat 8 do 12, wśród nich dziewczynki aż z Milwaukee. Potrzebne było na gwałt mieszkanie większe, a tymczasem wskutek zimy praca nad wykończeniem klasztorku przeciągała się i trzeba było ją w końcu nawet zawiesić. W sąsiedztwie nie wiele było domów, w których lokować by się mogła dzieciarnia szkolna. Poradzono sobie na razie w ten sposób, że niektóre dziewczynki mieszkały u Sióstr w ten sposób, że cały dzień przebywały w klasach, a na noc na ławkach szkolnych rozkładano pościel i klasa zamieniała się w sypialnię.

DZIEWCZYNKI wstawały o godz. 6 rano i układały pościel w małym schowanku na korytarzu. Dozorowała je jedna z sióstr. Kiedy siostra czasem dokądś wyszła, rozpoczynały się, rzecz prosta, figle i hałasy. Raz wieczorem po lekcjach, kiedy już tego było za wiele, otworzyły się drzwi i w progu stanął ks. Dąbrowski. Wszystko spłoszyło się i rozbiegło natychmiast, tylko stojąca tuż obok drzwi mała Brygidka, która została później felicjanką, siostrą Katarzyną i która w późniejszym wieku, po śmierci ks. Dąbrowskiego chętnie to opowiadała, nie zdążyła uciec i została przez ks. Dąbrowskiego „przyaresztowana". Zaprowadził ją do kancelarii. Można sobie wyobrazić przerażenie pozostałych. Przez czas dłuższy trwała wśród nich cisza grobowa. Naraz drzwi się znowu otworzyły i weszła z triumfem „aresztowana",

niosąc w ręku paczkę cukierków, które z polecenia ks. Dąbrowskiego rozdała swym koleżankom.

Podobne paczki z cukierkami dostawały się dzieciom, ilekroć ks. Dąbrowski był w mieście, w Stevens Point. Sam o siebie i swe wygody nie dbał nigdy, ale siostrom i dzieciom zawsze coś przywiózł.

CIESZYŁ SIĘ, że najtrudniejsze początki już przemijają i że zima, a z nią ciasnota na plebanii już wnet się skończą, gdy wtem dnia 16 marca 1875 cała plebania stanęła w ogniu. Pożar wszczął się na strychu o godz. 5 rano. Siostry posłyszawszy huczenie w ścianach i zobaczywszy dym, wychodzący szczelinami, zbiegły na dół i obudziły dziewczynki w klasie. Ks. Dąbrowski przybiegł zdyszany i widząc, że nie ma żadnej nadziei ocalenia domu, kazał wynosić z niego wszystko, co się da, a sam pobiegł do kapliczki, wyjął puszkę z Przenajświętszym Sakramentem i wyniósł ją do kościoła. Pomimo grozy położenia, wszyscy prześcigali się w akcji ratunkowej, by ocalić co można. Jedna z dziewczynek dostała jakby siły Samsona, bo chwyciła od razu trzy sienniki, jeden w prawą rękę, drugi w lewą, a trzeci w zęby i wywlokła aż do drzwi, które jednak były za wąskie i musiano jej tu pomóc.

Wyratowano tedy trochę rzeczy z mieszkania na dole, ale ubrania sióstr i inne rzeczy, które przywiozły one jeszcze z Krakowa, padły pastwą płomieni. Pożar był tak gwałtowny, że cały dom spalił się do szczętu w ciągu dwóch godzin. Ks. Dąbrowski stracił w nim ulubionego psa, swego wiernego stróża. Położenie było krytyczne, gdyż zima ostra, śnieg głęboki, a siostry z kilkorgiem dzieci znalazły się pod gołym niebem w tym, co zdążyły chwycić na siebie i obozowały na siennikach porzuconych w śniegu, poowijane w koce. Schronieniem dla pogorzelców była jedynie maleńka chatka, a raczej szopka, która stała na uboczu, w której sypiał ks. Dąbrowski i w której miał maleńką swą drukarenkę na swoim miejscu wyżej wspomnianą.

Przyczyną pożaru była podobno wadliwa budowa pieców, w których rano napaliła jak zwykle jedna z sióstr.

Z POWODU spalenia się plebanii, szkołę trzeba było narazie zamknąć. Pensjonariuszki odesłano do ich rodzin, a ks. Dąbrowski, pomimo zimy zabrał się z paru robotnikami do wykończenia na prędce choć ze dwu izb w nowym klasztorku, na co niestety brakło funduszów.

Ówczesny administrator diecezji po śmierci ks. biskupa Melchera, ks. E. Dems, Belgijczyk, ubolewając nad siostrami, ofiarował im od siebie 100 dol. zapomogi i upoważnił je do wyjazdu w dalsze strony po kweście.

Po sześciu tygodniach klasztorek nareszcie został wykończony i dnia 4 maja 1875 roku odbyło się jego poświęcenie.

Kwesta sióstr przyniosła w gotówce 800 dolarów i dużo rzeczy do kaplicy i do użytku sióstr.

KS. DĄBROWSKI, który pracując przy budowie klasztoru na równi z robotnikami dwoił się i troił, sam go poświęcił. Improwizowany ten klasztorek postanowił on jednak użyć z czasem na plebanię, a dla sióstr i na szkołę wybudować budynek nowy, tym razem z cegły albo z kamienia. Niestety, człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Nie wiedział tedy i ks. Dąbrowski, co go znowu i to wnet czeka.

ZALEDWIE siostry przeniosły się z chatki farmera McGreer'a, gdzie chwilowo znalazły przytułek, do nowego swego klasztorku jako tako wybudowanego, który ks. Dąbrowski im poświęcił, kiedy nowe nieszczęście je spotkało. Dnia 18 maja, w dzień św. Feliksa, patrona Zgromadzenia Sióstr Felicjanek, kiedy po pierwszej Komunii św. dzieci w kaplicy klasztornej wszyscy poszli na majowe nabożeństwo do kościoła, nagle wpadł do kościoła jeden z chłopców i zawołał wylęknionym głosem: „Klasztorek się pali."

Ks. Dąbrowski przerwał kazanie. Wszyscy wybiegli z kościoła i ujrzeli z przerażeniem cały klasztorek w ogniu, tak osnuty ze wszystkich stron dymem i płomieniami, że o ratunku już mowy być nie mogło. Nawet Przenajświętszego Sakramentu tym razem ocalić nie zdołano. Matka pewnej dziewczynki, która pierwsza wybiegła i jeszcze przed nadejściem księdza odważyła się wśród kłębów ognia wpaść do kaplicy, zdołała wyratować tylko obraz św. Józefa malowany na płótnie, który siostry przywiozły jeszcze z Krakowa.

Ks. Dąbrowski, wybiegłszy z kościoła, przystawił drabinę i wszedł po niej, aby wyratować z pokoju sióstr jakąś szkatułkę, nad którą siostry lamentowały, ale zamiast niej chwycił przez okno tylko jakiś stary zegar. Przekonawszy się o swej omyłce, chciał rzucić się w ogień ponownie, ale go ludzie wraz z drabiną oderwali, bo zapaliła się już na nim suknia i dom się walił. Zgaszono na nim tlącą się odzież, lecz wnet się wydarł, bo zauważył, że ogień z płonącego klasztorka przerzuca się już przez drogę na dach kościoła.

Zarządził, aby dach polewano wiadrami wody, a sam wpadł do kościoła i wyniósł z ołtarza puszkę z Przenajświętszym Sakramentem. Tuląc ją do serca, chodził bezradnie, nie wiedząc nawet, gdzieby ją złożyć. Wreszcie pobiegł z nią do domku organisty, Kiedrowicza, który mieszkał ze swoją staruszką siostrą w pobliżu i tam na strychu na stoliczku umieścił. Wracając, usłyszał dzwony, które same z gorąca zaczęły na chwiejącej się już wieży dzwonić i zobaczył cały kościół w płomieniach. Przerażony padł i zemdlał. Z trudem zdołano go docucić.

CO W TYM wszystkim najokropniejsze i najsmutniejsze, że jak sprawdzono, ogień na pewno był podłożony, ściany klasztorku, a prawdopodobnie także i dach kościelny naftą oblany. Łatwo domyślili się wszyscy, że cały ten pożar ukartowano z nienawiści do ks. Dąbrowskiego za to, że przeniósł kościół z Poland's Corner do Polonii. Mścili się na

nim Niemcy i ich poplecznicy, nie zapomnieli mu tego nigdy, chcieli go zniszczyć.

PRAWIE nieprzytomnego ks. Dąbrowskiego zabrał po tym pożarze jeden z parafian, niejaki Milanowski na swoją farmę, a siostrom i internatkom, które za nic nie chciały opuścić sióstr, dano przytułek w maleńkiej chatce organisty i wystarano się o tymczasowe pomieszczenie dla nich w powiatowej szkole publicznej, w której wówczas z powodu lata nie było lekcji. Na drugi dzień przeniósł się tam również ks. Dąbrowski, dla którego znaleziono w chacie u Kiedrowicza kącik. Z pomocą wiernych swoich parafian ks. Dąbrowski zbił z prostych desek ołtarz i postawił go w izbie szkolnej budynku publicznego, oddanego siostrom i dzieciom na przytułek. Siostry przybrały ten prowizoryczny ołtarz w uratowaną z kościoła resztkę bielizny, postawiły na nim lichtarze ze świecami, krzyż i kanony, a ks. Dąbrowski przeniósł i umieścił za środkowym kanonem puszkę z Przenajświętszym Sakramentem.

Izba szkolna służyła więc za kapliczkę i za mieszkanie dla sióstr i internatek. Ławki szkolne służyły za łóżka, na których na noc rozkładano sienniki. Ks. Dąbrowski zamieszkał w maleńkiej izdebce u Kiedrowicza. Całe szczęście, że była to już wiosna i że ciepłe lato nadchodziło.

ZARAZ w następną niedzielę ks. Dąbrowski odbył zebranie parafialne dla omówienia budowy nowego kościoła, plebanii i klasztoru. Tymczasem ołtarz stał w dzień powszedni w izbie szkolnej i tam odprawiała się msza św., a na niedzielę wystawiono go na dwór i nabożeństwo odbywało się pod gołym niebem. Na Boże Ciało rzewna procesja odbyła się w pobliskim lasku. Ks. Dąbrowski wystarał się o całą chatkę u gospodarza Sikorskiego na farmie, gdzie siostry z internatkami zamieszkały. Na mszę świętą szły ze śpiewem wszystkie do prowizorycznej kapliczki w szkole.

Wszystkie te przeciwności nie osłabiły ducha w ks. Dąbrowskim. Za otrzymane od kompanii ubezpieczeniowej odszkodowanie w sumie 5,000 dol. i ze składek i ofiar od parafian i nieparafian, nic nie zwlekając, wziął się natychmiast do odbudowania swojej Polonii. Wystawił najprzód plebanię i przybudówkę do niej na tymczasową kapliczkę.

Siostry wyjechały tymczasem znowu na kwestę. Prawie równocześnie zaczął kopać i wznosić ks. Dąbrowski fundament pod kościół i pod klasztor ze szkołą.

Gdy już mur w kościele pod okna sięgał, a w klasztorku wyciągnięto sutereny, zjechał do Polonii nowy biskup w Green Bay, ks. Franciszek Ksawery Krautbauer na poświęcenie kamienia węgielnego w obu budynkach. Odbyło się to w dzień św. Michała, 29 września 1875 roku. Biskup udzielił bierzmowania przeszło 100 osobom, przeważnie dzieciom szkolnym. Przemawiał po angielsku i po niemiecku. Kazanie na sumie było tylko po polsku.

W NOWEJ PLEBANII ks. Dąbrowski zostawił dla siebie maleńki pokoik na parterze, resztę domu oddał siostrom. Ale liczba już nie tylko internatek, ale i nowicjuszek rosła dość znacznie. Nie dało się wszystkich razem ze szkołą na plebanii pomieścić, a zima była już za pasem.

Dachem z desek pokryto więc sutereny klasztorku i do tego oryginalnego budynku, a raczej budy indiańskiej, wprowadziły się siostry około Nowego Roku. Naturalnie w czasie deszczu woda z góry przeciekała i trzeba było nieraz z łóżkiem uciekać znów na plebanię. Tak biedowano przez pół roku. W czerwcu 1876 roku zaczęto kościół i klasztor dalej budować. I siostry i internatki przeniosły się całkowicie na plebanię. Kilkanaście osób musiało mieścić się na piętrze, w jednym niskim pokoiku, że i oddychać trudno było w czasie letnich upałów. A ks. Dąbrowski nie tylko pracował przy budowie i jej doglądał, ale dużo czasu poświęcał też nauczaniu nowicjuszek i pracy duszpasterskiej. Prawie nic nie spał i nie jadał. Jego życie umartwione i pokutnicze, jego gorliwość i jego zapał udzielały się i internatkom sióstr do tego stopnia, że często sypiały po kryjomu na gołej ziemi, że piasku zamiast soli dosypywały sobie do zupy i przerozmaite umartwienia sobie zadawały, a nawet chciały wypalać sobie imię Jezus na piersiach, bo tak święci czynili, ale siostry to spostrzegły i przeszkodziły temu.

W pracy nie tylko się nie oszczędzały, lecz prześcigały się wzajemnie, aby dopomóc swemu proboszczowi. W godzinach, kiedy robotnicy przy budowie nie pracowali, one pod komendą ks. Dąbrowskiego przygotowały im materiał na dzień następny: usuwały gruzy, przesiewały piasek, nosiły do beczek wodę do lasowania wapna, wyciągały deski w górę na podłogi i sufity, słowem, czyniły, co tylko mogły, bez odpoczynku.

Rekreację po nauce spędzały pod okiem i komendą ks. Dąbrowskiego, jeżeli nie przy pracy około budowy, to w ogrodzie. Karczowały korzenie, okładały uliczki kamieniami, kopały ziemię, obsiewały ją i sadziły jarzyny i kwiaty. Ks. Dąbrowski dyrygował i zdawał się przy tym zapominać o swych licznych kłopotach.

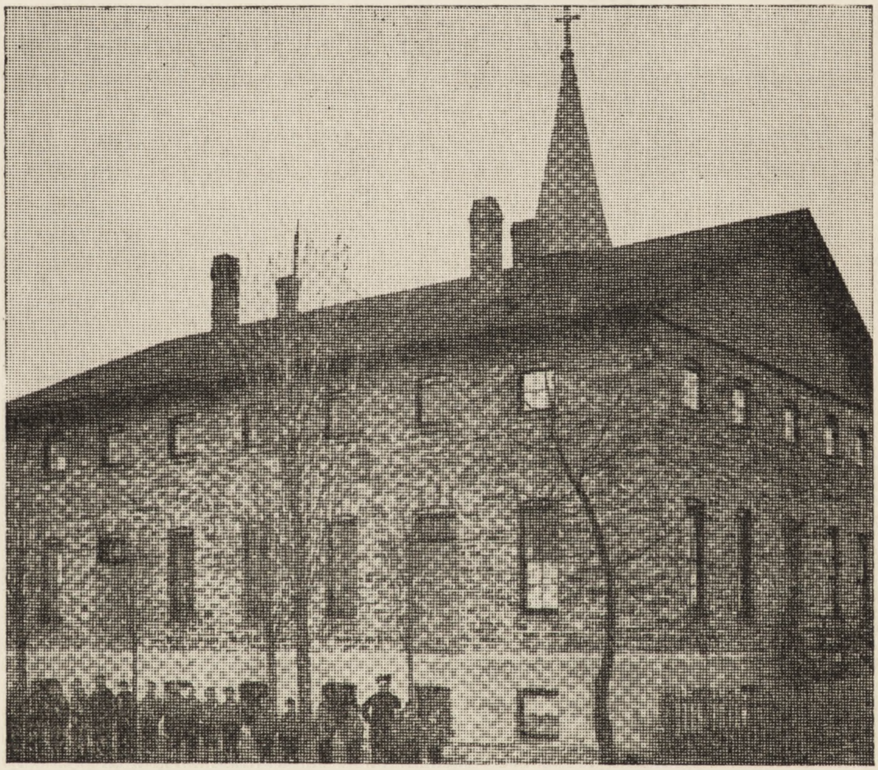
PO WIELU mozołach klasztorek wykończony został na dzień św. Franciszka, 4 października 1876 roku.

Do umeblowania go i kaplicy w nim nadeszły sprzęty, paramenta i prawie wszystkie naczynia kościelne aż z Warszawy, z Polski, ofiarowane przez Julię z książąt Lubeckich Ksawerową Pusłowską i innych przyjaciół Zgromadzenia Sióstr Felicjanek.

Ks. Dąbrowski dumny był, że mógł w nowym budynku urządzić uroczystość obłóczyn po 8-dniowych rekolekcjach pierwszych trzech probantek amerykańskich do Zgromadzenia Sióstr Felicjanek. Zaprosił na tę uroczystość ks. Wincentego Barzyńskiego C. R. z Chicago, Ojca Ksawerego Kralczyńskiego z Milwaukee, ks. Bogackiego ze Stevens Point, ks. Wałunia z Hull i ks. Duli, Irlandczyka ze Stevens Point. Promieniał w dniu tym radością. W przemowie do sióstr mówił:

„Szczęśliwe i błogosławione jesteście od Boga, iż wam dano w kraju zbytków i zmysłowości znaleźć skarb ubóstwa św., o którym świadczą skromne sprzęty, urządzenie i budowa klasztorku. O! Siostry Drogie, całujcie i pieście te szare mury, świadczące o ubóstwie, które tak ukochał święty wasz zakonodawca."

W PRZEMOWIE do swych parafian wypowiedział wówczas również pamiętne słowa: „Bracia! zapamiętajcie sobie dobrze: Dopóki u siebie będziecie mieli szkołę polską oraz siostry i sieroty, dopóty będzie wam się dobrze działo i błogosławieństwo Boże będzie z Wami!"



Szkoła i klasztor Sióstr w Polonii za czasów ks. Dąbrowskiego

1876-1878

W KLASZTORZE sióstr znajdowało się wówczas już 30 osób. Przełożoną była Matka Monika, ale dyrektorem i wychowawcą, który czuwał nad każdym szczegółem, pozostał zawsze ks. Dąbrowski. Był to prawdziwy, pomysłowy, a kochający Ojciec, jak nazywano go zawsze w klasztorku. Hasło jego, które wpajał w dusze sióstr brzmiało: „Wszystko dla Boga, Bóg moją siłą.“

W nauczaniu internatek pomagała mu wychowawczyni i rutynowana nauczycielka, siostra Kajetana, a po angielsku uczyła panna McGreer. Obok klasztorku i obok szkoły parafialnej zainicjował ks. Dąbrowski też od samego początku i sierociniec. Przybywało tych sierot coraz więcej, a ks. Dąbrowski szczególniej nimi się opiekował i starał się im zastąpić ojca i matkę.

NIE WYPUSZCZAŁ jednak ani na chwilę z rąk swoich steru duszpasterstwa w swej parafii. Nowy kościół wnet wykończył i odbyło się jego uroczyste poświęcenie, a stąd radość wśród parafian. Pamiętał również i o pracy misyjnej pośród Indian.

W OKOLICZNYCH borach i lasach znajdowało się za jego czasów sporo Indian. Koczowali oni wędrując z miejsca na miejsce. Ks. Dąbrowski z początku bardzo ostrożnie starał się do nich zbliżyć, ale to nie szło. Raz o zmierzchu spostrzegli go oni powracającego do domu przez las i zaczęli do niego strzelać z łuków. Uciekając wbiegł na zamarznięte jezioro, a lód nie dość mocny załamał się pod nim i ks. Dąbrowski ledwo zdołał się z wody wygramolić i przed Indianami ukryć. Przemoczony i zziębnięty doszedł do najbliższej farmy, gdzie mu dano suche ubranie i gdzie mógł się przebrać. Zdarzenie to nieraz potem opowiadał i uważał, że Bóg wprost cudownie go ocalił.

Ale myśli o Indianach nie zaniechał. Zapoznał się wreszcie z pewnym niewidomym, młodym, około 25 liczącym Indianinem i od niego nauczył się ich mowy. Ułatwiło mu to zbliżenie się z Indianami. Zbierał ich i nauczał. Z czasem stał się prawdziwym ich misjonarzem. Starał się pozyskać ich przychylność, wtajemniczając się w ich życie i udzielając im rad i pomocy, w miarę możności.

Zapoznawszy się z nimi, często odwiedzał ich, a oni nawzajem przychodzili do niego. Kupował od nich różne drobiazgi. Miał przy tym niekiedy zabawne przygody. Raz przyszła do niego pewna Indianka z pękiem koszyków. Wybrał jeden. Chciała za niego 50 centów ale samymi centami, bo innych monet nie znała.

Ks. Dąbrowski musiał nimi całą należność jej wyliczyć, a gdy mu zabrakło dwóch centów i chciał jej za nie dać jedną pięciocentówkę,

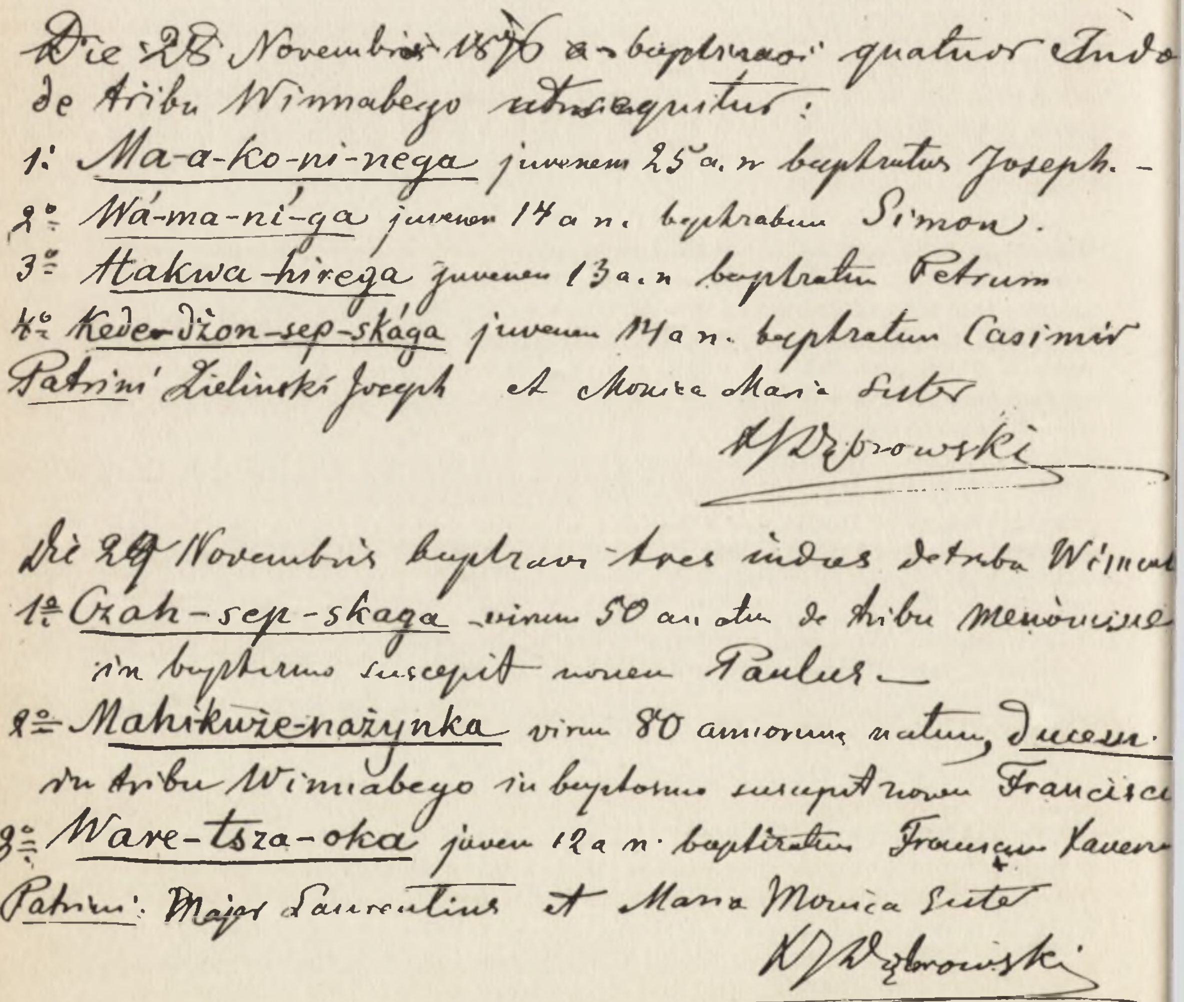
nie zgodziła się i musiał dać jej dwie pięciocentówki, a i to jeszcze sobie krzywdowała. Z biegiem czasu zaczął ks. Dąbrowski tych swoich Indian cywilizować. Chciał, ażeby porzucili życie koczownicze i nauczyli się uprawiania roli. Przywoził im z sobą kartofle. Piekł je razem z nimi na ogniu i kazał jeść, ażeby się przekonali, co to za wyśmienita potrawa. Gdy przyznali, że to przysmak, pokazał im, jak się kartofle sadzi do ziemi i wytłumaczył, że niezadługo wyrosną i można będzie znowu z nich nowe mieć do jedzenia. Niestety, skoro tylko odjechał, Indianie zasadzone w ziemi kartofle wnet wygrzebali, upiekli i zjedli, nie czekając aż urosną.

ZAPRASZANO go też dosyć często na uczty i wesela indiańskie. Na jego cześć, kiedy odwiedzał Indian, zabijano psa i częstowano go pieczenią z psa, która u nich była przysmakiem. Jedna z parafianek ilekroć zobaczyła, że ks. Dąbrowski idzie do Indian, zaopatrywała go na drogę w żywność, żeby tej pieczeni z psa jeść nie potrzebował. Pewnego razu, gdy zajechał do Indian zaprzągniętą bryczką w swojego konia, zwanego Jim'em i gdy Indianie rozpoczęli swoje tańce i śpiewy, „Jim“ tak się przeraził, że nie pytając nikogo o pozwolenie, potłukł bryczkę, uciekając i gubiąc po drodze nawet uprząż. Ks. Dąbrowski musiał wracać pieszo, nie wiedząc nawet, gdzie się jego „Jim“ podział, aż znalazł go u siebie w stajni.

Z czasem zyskał sobie pośród Indian zaufanie i odwiedzali go oni coraz częściej, zwłaszcza kiedy w Polonii już mieszkały siostry i przygotowywały dla nich przekąski. Co to była wówczas za uciecha dla wszystkich. Nie mając nic do dania „Familii Ojca“, tak oni nazywali siostry i dzieci szkolne, starali się Indianie przynajmniej ubawić wszystkich pokazem różnych sztuczek, a zwłaszcza tańców. Ks. Dąbrowskiego nazywali „czarną suknią“. Ochrzcił on ich dość wielu i byli doń przywiązani. W dzień chrztu zwykle obdarzał ochrzczonego jakimś drobnym, lecz pożytecznym upominkiem. To im się najlepiej podobało, toteż niektórzy przychodzili po parę razy do chrztu, ażeby zaś ks. Józef Dąbrowski na podstępie ich się nie poznał, za każdym razem inaczej twarze sobie malowali.

KS. DĄBROWSKI nie zrażał się niczym i w końcu namówił jedno z pokoleń nowonawróconych przez siebie Indian, liczące około 200 osób, do życia osadniczego i chciał stworzyć dla nich kolonię. Przedstawił całą tę sprawę biskupowi w Green Bay. Uzyskał od niego fundusz na zakupno pewnego obszaru ziemi dla nowego tego osiedla. Zaopatrzył osadników w niezbędne narzędzia do budowy domów i do uprawy roli. Rozdał im kilka gatunków ziarna na zasiew i zakupił najniezbędniejsze naczynia domowe. Przez parę miesięcy osadnicy ci istotnie pod kierunkiem jego pracowali, ale potem zniechęcili się, a gdy zapoznali się ze złymi białymi ludźmi, zaczęli im za wódkę wszystko sprzedawać i wreszcie opuścili swe siedlisko, ku wielkiemu strapieniu ks. Dąbrowskiego. Oddał biskupowi tytuł własności na zakupioną dla Indian ziemię i zlikwidował całe osiedle.

DO INTERNATU SIÓSTR oddali Indianie wówczas dwie internatki, lecz nie mogły one przyzwyczaić się i tęskniły. — Już miano się z nimi rozstać, gdy same po cichu uciekły one z klasztorku do swoich, w lasy. Na tym praca misjonarska ks. Dąbrowskiego pośród Indian się urwała. W międzyczasie ochrzcił on jednak około 200 osób spośród Indian, jak wykazują metryki chrztów w parafii Polonii.


Die 28 Novembris 1876 a me baptizati quatuor Indi
de tribu Winnabego ut sequitur:
1° Ma-a-ko-ni-nega juvenem 25 a. n. baptizatus Joseph. –
2° Wá-ma-ni-ga juvenem 14 a n. baptizatum Simon.
3° Atakwa-hirega juvenem 13 a. n. baptizatum Petrum
4° Keder-dżon-sep-skága juvenem 14 a n. baptizatum Casimir
Patrini Zielinski Joseph et Monica Maria Sister
K. J. Dąbrowski

Die 29 Novembris baptizavi tres indos de tribu Winna[illegible]
1° Czah-sep-skaga virum 50 an. [illegible] de tribu Menominee
in baptismo suscepit nomen Paulus —
2° Mahikuże-nażynka virum 80 annorum natum, Ducem
de tribu Winnabego in baptismo suscepit nomen Francisc[illegible]
3° Ware-tsza-oka juvenem 12 a n. baptizatum Franciscum Xaverium
Patrini: Major Laurentius et Maria Monica Sister
K. J. Dąbrowski

Z księgi chrztów w Polonii

1878-1880

CHARAKTERYSTYCZNYM jest — i warto dobrze zanotować — podejście jego do tej pracy. Uczył on Indian religii i prowadził ich do Boga, ale w ich własnym indiańskim języku, którego najprzód sam się nauczył; uwzględniał także ich obyczaje oraz poziom kulturalny. Nie odbierał im niczego, ani języka, ni kultury narodowej, lecz podnosił ich do góry. Opracowywał on nawet słownik języka indiańskiego dla użytku sióstr, aby i one z Indianami po indiańsku mogły się porozumiewać. Widział w Indianach naprawdę braci, z sercem do nich podejść chciał i umiał.

Jakże inaczej do imigrantów polskich podchodził niegdyś, a nawet jeszcze i dziś podchodzi szowinizm amerykański. Jeśli kto nie umie mówić jak należy po angielsku zaraz się go lekceważy i już się go za nic nie uważa, choćby był najuczciwszym i najzasłużeńszym obywatelem amerykańskim. Warto tu przytoczyć rozmowę sprzed paru laty jednego z księży polskich, w Ameryce już zrodzonych z pewnym Indianinem. Kiedy ksiądz ten zaczął się szczycić, że jest prawdziwym amerykaninem, bo w Ameryce urodził się i wychował, Indianin z flegmą ale stanowczo mu zaprzeczył:

„Ojcze, przepraszam, prawdziwym, stuprocentowym Amerykaninem ty nie jesteś, ty jesteś tylko obywatelem amerykańskim, a prawdziwym Amerykaninem z nas dwóch jestem tylko ja, Indianin."

Ks. Dąbrowski rozróżniał również obywatelstwo amerykańskie od szowinizmu amerykańskiego, który za paszport swój uważa jedynie tylko mowę angielską. Ucząc się mowy rodzinnej Indian i głosząc im słowo Boże w języku ich ojców, uznawał w nich prawdziwych, oryginalnych Amerykanów i był wyrazicielem ducha prawdziwie apostolskiego, katolickiego, który nie tępi ani języka ani kultury tych, co są słabsi. Tak czynili i czynią wszędzie katolicy nie zarażeni duchem protestantyzmu lub szowinizmu. Tolerancyjny katolicyzm, a nie zaborczy i ekskluzywny protestantyzm, który się wkradał i wkrada nieraz nawet w przekonania i katolików, oto była charakterystyczna cecha duszy szczerze polskiej ks. Dąbrowskiego w pracy jego pośród Indian.

PO UKOŃCZENIU budowy i po poświęceniu kościoła i klasztoru w roku 1876 zdawało się, że ks. Dąbrowski nareszcie zażyje nieco należnego mu spokoju i wypoczynku. Widzieli wszyscy uczciwi parafianie w Polonii i widziały sprowadzone przezeń siostry Felicjanki, jak on bardzo się poświęca i jak pracuje ponad siły. Starały się więc siostry okazywać mu swe przywiązanie i swą wdzięczność. Jeszcze przed poświęceniem klasztoru, kiedy wszystkie tłoczyły się razem, jeszcze w suterenach tego klasztorku, okrytego dachem na łapu capu, urządziły

mu w marcu, na dzień imienin uroczystość, podczas której jedna z internatek, maleńka Frania deklamowała ks. Dąbrowskiemu:

„O dobre zacne Ojczysko,
Co zbudowało to przytulisko,
W którym nam tak dobrze być,
Tak słodko w nim Bogu służyć.
Niechże tę głowę, co plan złożyła,
Niechże tę rękę, co go skreśliła,
Niech wszelkie prace, mozoły,
Za klasztor i dwa kościoły
Ubłogosławi, wzmocni i wspiera
Ten, co z wysokich niebios spoziera.“

SPOJRZAŁ widać i ubłogosławił z nieba ks. Dąbrowskiego Pan Bóg za jego prace, ale bynajmniej nie odpoczynkiem, tylko nową jeszcze próbą, nowym krzyżem i cierpieniem. Akurat w rok potem, w marcu 1878, zachorował ks. Dąbrowski ciężko na reumatyzm. Niewywczasy, nadmierna praca, a przede wszystkim mróz, zimno, słota, na które stale był wystawiony, zrobiły swoje. Na swoje bóle i niedomagania z początku nie zwracał uwagi, aż wreszcie cały był tak opuchły, że ruszyć się i nawet ręki podnieść już nie mógł. Trzeba mu było nawet pokarm do ust podawać. Pomimo troskliwej opieki sióstr choroba się przeciągnęła aż do maja, a nawet dłużej, aż hen, do lata. Nikt go jednakże nie zastępował. Księży wówczas na zastępstwo niezmiernie trudno było znaleźć. Ciężko chorych parafian przywożono tedy do plebanii i chory proboszcz z łóżka ich spowiadał i udzielał im, jak mógł ostatniego Olejem św. Namaszczenia. Na niedzielę do kościoła przyjeżdżał ze Stevens Point ksiądz nie-Polak i odprawiał mszę św. Umarłych przywożono do kościoła i stali w trumnie w kruchcie aż do niedzieli czekając, aż ksiądz przyjedzie i pogrzeb odprawi.

CIĘŻKIE to były czasy i dla parafii i dla proboszcza. Pod koniec maja poobwijany w kołdry pierwszy raz wstał ks. Dąbrowski z łoża boleści i podtrzymywany przez jednego z parafian, wyszedł do ogrodu na przechadzkę. Jakoś mu to posłużyło i, gdy przyszło lato, wnet się znowu wziął do pracy. Przy klasztorze miały siostry duży ogród na warzywa i kwiaty, więc zabrał się rekonwalescent w nim do dzieła. Przybrał sobie do pomocy jedną z wychowanek, której dał tytuł „dyrektora wodnych komunikacji“, bo jej sprowadził gumowego węża, i pilnował ją, aby o wodę się starała i aby ogród podlewała.

Sadził drzewka, upiększał ogród i ten ogród jest po dziś dzień przepięknym pomnikiem jego tam pracy i pomysłowości. W ogrodzie opadal od klasztoru wybudował altankę, do której na odpoczynek często chodziła przełożona Matka Monika, a ponieważ właśnie podówczas rozeszła się wiadomość o wynalezieniu telefonu, więc umyślił własnoręcznie przeprowadzić go od klasztoru do altany. Rzeczy po-

trzebne do instalacji sprowadził z miasta i póty majstrował aż swego dopiął.

W OGÓLE nie mógł bezczynnym być ani chwili. Interesował się wszystkim, a zwłaszcza elektro-mechaniką i wynalazkami. Żartował, że wymyśli i zbuduje siostrom maszynę, której nie trzeba będzie nawet w ruch puszczać, bo pracować będzie jak prawdziwe „perpetuum mobile". Matka Monika prosiła go, aby dał spokój tym pomysłom, bo na zdrowiu sobie tylko szkodzi, a nie wiedziała, że to on sam właściwie jest tą maszyną, tym „perpetuum mobile", które bez przerwy stale i zawsze jest w ciągłym ruchu.

Dla ułatwienia kontroli zegarów, których i tak zresztą w Polonii było mało, zbudował ks. Dąbrowski na południowej stronie klasztorka zegar słoneczny. Dbał przede wszystkim i ponad wszystko o techniczne wykształcenie i o tak zwaną samowystarczalność zgoła we wszystkim. Czego nie umiał, tego sam się uczył, aby nauczyć później drugich. Siostry uczył nawet rzemiosł. Dbał nie tylko o naukę i właściwe szkolne wykształcenie sióstr, — nauczył je także drukować i oprawiać książki, naprawiać trzewiki, wyrabiać atrament, fabrykować mydło suche i szare, drożdże, ocet, sukno z wełny itd.

SKORO tylko poczuł się na siłach, po kilka godzin dziennie uczył internatki, a resztę czasu dzielił pomiędzy obowiązki swe kapłańskie i rozmaite prace ręczne, doświadczenia, wynalazki. Wskutek pracy i kłopotów wnet osiwiał, a stan zdrowia znów mu się pogorszył. Zmienny klimat wiskonsiński wpływał ujemnie na jego zdrowie. W niespełna dwa lata po pierwszych atakach reumatyzmu, które przykuły go na parę miesięcy do łoża, znowu zapadł, tym razem jeszcze ciężej.

Ordynariusz diecezji Green Bay, biskup Krautbauer, obawiając się o jego życie, sam na własny koszt wysłał go do znanego wówczas uzdrowiska Hot Springs w Arkansas. Stan jego zdrowia był tak lichy, że musiano go tam wysłać pod opieką specjalnej pielęgniarki, którą Matka Monika mu wyszukała. Wyjechał pod koniec lutego 1879 r. i poddał się wszystkim przepisom kuracyjnym zakładu leczniczego w Arkansas tak skrupulatnie, że po dwóch miesiącach wrócił, jak zdawało się, zupełnie zdrowy. O powrocie swoim nikogo naprzód nie zawiadomił, ale przyjechał w dzień 4 maja, jako prezent i niespodzianka dla przełożonej sióstr Felicjanek, Matki Moniki, na imieniny. Uciechy było z jego powrotu i w parafii, i w szkole, i w klasztorze co niemiara.

ALE on wracał nie na uciechę. Piętrzyły się przed nim nowe kłopoty i nowe prace. Tym razem były to prace i kłopoty już nie miejscowe, parafialne, ale związane raczej ze Zgromadzeniem Sióstr Felicjanek. Nie tylko dla parafii swojej on je sprowadził, lecz rozszerzyć chciał jako personel nauczycielski po nowopowstających szkołach polskich w Ameryce. Klasztor w Polonii miał być domem macierzystym. Pisał o tym zaraz w pierwszym liście swoim do Generałki do Krakowa i liczono się

z tym w Polsce już od początku, kiedy pierwsze siostry Felicjanki na czele z Matką Moniką do Ameryki wysyłano.

GDY po wielu mozołach i trudach klasztor w Polonii nareszcie stanął na nogach, natychmiast trzy najstarsze, po 15 lat liczące internatki, czyli jak je ks. Dąbrowski nazywał, półsiostry przyjęte zostały na aspirację, a dnia 21 listopada 1876 odbyła się, jak już pisaliśmy, pierwsza uroczystość obłóczyn i zaprowadzony był już formalny nowicjat. Z powodu braku sióstr chórowych, Matka Monika musiała być zarazem i przełożoną i mistrzynią. Do zupełnej t. zw. obserwy brakowało wprawdzie dużo. Próbantki musiały się uczyć, a nawet i dzieci w szkole już uczyć. Starsze siostry musiały krzątać się około zbyt wielu swoich obowiązków. Wprowadzić było można zaledwie t. zw. culpy, kapituły, posłuszeństwo, medytację, officium, rachunki, reparacje i rekolekcje, a inne pobożne zwyczaje i ceremonie były na razie jeszcze niemożliwe.

Ale ks. Dąbrowski pracował nad próbantkami niezmordowanie, wykładając im po kilka przedmiotów szkolnych, jako to: religię, historię kościelną, historię powszechną, geografię, arytmetykę, łacinę, fizykę, chemię i rysunki. Reszty przedmiotów uczyła nauczycielka z kraju, siostra Kajetana. Tak już dnia 17 listopada 1877 za upoważnieniem ks. biskupa, dopuścił ks. Dąbrowski pierwsze nowicjuszki do złożenia ślubów rocznych. Pośpiech w przygotowywaniu do pracy tych młodocianych sióstr-nauczycielek był nadzwyczajny, ale konieczny, bo żądania księży, aby im przysłać siostry-nauczycielki do szkół nowo otwierających się, zaczęły szybko napływać, a inaczej nie można było ich zaspokoić.

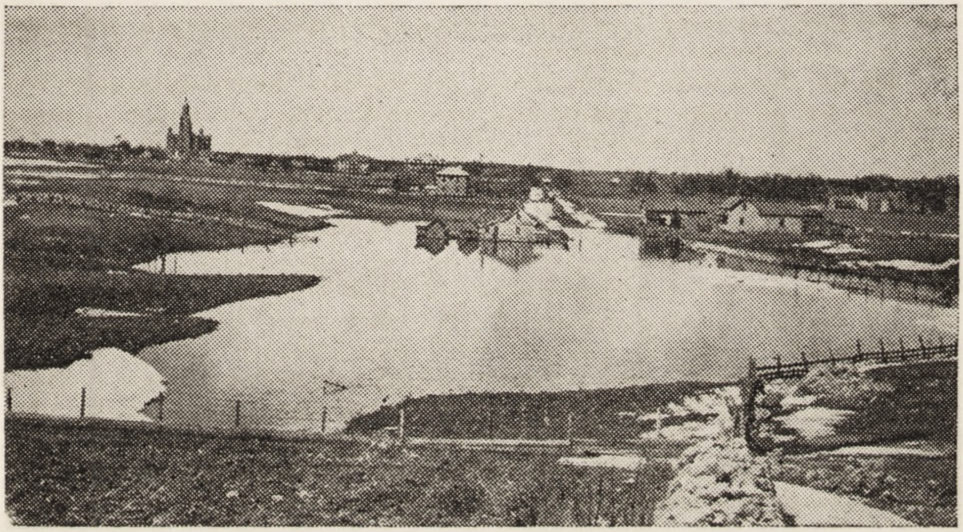
Już w maju 1877 roku pierwszy zażądał przysłania sióstr Felicjanek do swojej szkoły w La Salle, Illinois, ks. Kandyd Kozłowski, ekskapucyn. W tym samym prawie czasie nadeszła wiadomość, że Rada Generalna Zgromadzenia Sióstr Felicjanek w Krakowie postanowiła, żeby Zgromadzenie amerykańskie było prowincją, a Matka Monika przełożoną prowincjalną, z warunkiem jednak aby, dopóki nie będzie miała swojej rady, odnosiła się do Matki Generalnej w Krakowie w sprawie przyjęcia sióstr chórowych do obłóczyn i profesji. Ks. Dąbrowski radował się, gdyż realizowały się jego marzenia, ale trzeba było czuwać, bo i prace i kłopoty się powiększały. Czuł i rozumiał swoją wielką odpowiedzialność przed Bogiem i przed ludźmi za przyjęcie się i dalszy rozwój tego pierwszego czysto polskiego zgromadzenia zakonnego na glebie amerykańskiej.

JUŻ PIĄTY ROK ubiegał, odkąd siostry Felicjanki rozpoczęły swą pracę w Ameryce.

„Dziś — pisze w jednym z listów swoich ówczesna Matka Prowincjalna, Matka Monika, pod datą 24 października 1879 roku — dziś jest piąta rocznica wyjazdu naszego z Krakowa, a prowincja amerykańska liczy już 4 domy, 28 sióstr i 45 sierot.“ Domy były już w Polonii, w La Salle, w Bay City, w Detroit, a sierocińce w Polonii i w La Salle.

Szybki tedy był rozwój Zgromadzenia Sióstr Felicjanek w Ameryce. Ale doświadczony i przez ks. Semeneńkę przecież wychowany ks.

Dąbrowski właśnie tego zbyt szybkiego rozwoju Zgromadzenia się obawiał. Toteż po powrocie swoim z Arkansas zabrał się do pracy jeszcze intensywniejszej.



Polonia w czasie roztopów wiosennych za czasów ks. Dąbrowskiego

1880-1882

SYNTETYZUJĄC wszystkie jego zabiegi i prace w Zgromadzeniu i dla Zgromadzenia Sióstr Felicjanek w Ameryce, nie pomylimy się chyba wcale, jeżeli sprowadzimy je do dwóch naczelnych zasad, o które głównie i najbardziej mu chodziło: pierwsza z nich, to wszechstronne i gruntowne wykształcenie sióstr, aby najprzód same miały głowę należycie umeblowaną we wszelką wiedzę, zanim dzieci w szkole uczyć zaczną. Druga z nich, to bezwzględna, jak najściślejsza i bezwarunkowa łączność organizacyjna i duchowa z zarządem głównym i z Generalną Matką w Krakowie.

Całą przyszłość Zgromadzenia Sióstr Felicjanek w Ameryce zakładał on na utrzymaniu w nim starokrajskiego ducha ubóstwa, pokuty i umartwienia pierwszych jego założycielek, a nieszczęsny materializm, zbytki, zmysłowość i samowolę utożsamiał z tym, co dla niego było niejako duchem amerykańskim i wychowaniem i nauką niegruntowną.

„ROSNĄ DZIECI, ale tylko na ciele, mięsa im przybywa, a rozum śpi . . . narodowość się zaciera.“ Tak pisał on o wychowaniu amerykańskim zaraz w pierwszym swym liście po wylądowaniu w Ameryce do ks. Semeneńki, i temu starał się zapobiec w wychowaniu sióstr Felicjanek rekrutujących się w Ameryce. Wychowywał i kształcił je osobiście, rozbudzając w nich przede wszystkim duszę i rozum, i ugruntowywując nie tylko w wierze katolickiej, ale i w polskiej narodowości. Wziął to sobie widocznie za jedno z głównych zadań życia. Był pod tym względem nieustępliwy. Nawet Matce Monice w tej dziedzinie nie dowierzał.

Sam chciał wszystko kontrolować i dochodziło nieraz nawet do scysji i nieporozumień, kiedy Matka Monika przynaglana przez księży, żądających na gwałt nauczycielek, wysyłała im czasem nowicjuszki, które ks. Dąbrowski koniecznie chciał dalej kształcić i których nie uważał jeszcze za dostatecznie wykwalifikowane. Zwłaszcza gdy która zdradzała talent i zainteresowanie się specjalną jakąś nauką, starał się ją zatrzymać i dać jej możność kształcenia się dalej, choć by to go kosztowało. Nie oszczędzał przy tym siebie samego.

„Emigracja polska w Ameryce powinna zapewnić swoim dzieciom takie wykształcenie, żeby nie ustępować innym narodowościom. Polskie siostry nauczycielki muszą być do tego należycie przygotowane i to w duchu polskim narodowym,“ mawiał ks. Dąbrowski.

Potrzebę gruntownej szkoły polskiej w Ameryce stawiał tuż obok potrzeby kościoła i to nie tylko katolickiego, lecz i polskiego. Pobożność i urobienie jej należyte w duszach nowicjuszek całkowicie prawie zostawiał mistrzyni w nowicjacie i nie wtrącał się do tego, ale sam kontrolował naukę i zamiłowanie do niej w tak zwanych przez siebie „półsiostrach“ sam wyrabiał. Zanim później, już w Detroit, powstało przy klasztorze Seminarium Nauczycielskie dla kształcenia zakonnych nauczycielek, sam nieformalnie, lecz tym sumienniej takie seminarium zastępował.

PEDAGOGIEM był niepospolitym. Była to jego właściwa sfera. Miał pod tym względem zamiłowanie. Sam się wciąż uczył i uczył drugich. Interesował się i specjalizował zwłaszcza w technice. Teoria, książka, mniej go już zajmowały. Ale różne doświadczenia, fizyka, chemia, elektromechanika . . . nawet terapia . . . do tego rwał się, w tym ciągle siedział. W wykładach swoich stosował zawsze metodę praktyczną i poglądową. Był dydaktykiem, nie literatem. Wszystko, co czynił, czego nauczał, musiało zawsze mieć cel praktyczny, zastosowanie dla ułatwienia i potrzeb życia. Nie wierzył w emancypację kobiet i nie uważał, ażeby siostry mogły bez niego dać sobie radę. Z drugiej strony nie wierzył również tylko w układność, albo w składanie rąk i w machinalne klepanie pacierza.

Wychowywał i chciał widzieć w Zgromadzeniu Sióstr Felicjanek zakonnice nie z obrazka, rozmodlone, wniebowzięte, lecz pracowite i przeszkolone, które by w kaszy nikomu zgoła zjeść się nie dały. Ciekawym jest i charakterystycznym, że ks. Dąbrowski — choć uważał się i był istotnie przez długie lata nie tylko dyrektorem i kierownikiem i wychowawcą, ale nawet, można powiedzieć, i dyktatorem sióstr Felicjanek, bo Matka Monika we wszystkim zawsze się go radziła i bez niego nie decydowała, — nie pozostawił dla nich po sobie żadnych instrukcji, żadnych słodko ascetycznych nauk, książeczek czy konferencji. Życie wewnętrzne znał i żył on nim, ale widocznie uważał, że to nie jest dziedzina, w której by można zdobyć sobie cośkolwiek teorią.

Pobożne listy i pouczenia pisał do sióstr Felicjanek w Ameryce ojciec Honorat i ojciec Prokop, a ks. Dąbrowski zostawił wprawdzie po sobie również parę książeczek, ale takich jak „Czytanki Polskie," „Arytmetyka," „Geografia Polska," „Ogrodnictwo" itd. Każda z tych książek była podówczas potrzebą chwili. Sam je układał i sam drukował, a do pomocy bez ceremonii zaprzęgał siostry i nowicjuszki, żeby i one się w tym wprawiały, bo w jego pojęciu naukę i naukę przede wszystkim miały nieść ludziom.

Ciekawe byłoby studium o pracach naukowych, które wyszły z pod pióra ks. Józefa Dąbrowskiego. Wydrukował te swoje prace częściowo już w Polonii na tej ręcznej drukarence, o której już parę razy wspomnieliśmy. Wszystko to są podręczniki elementarne, popularne. I co ciekawsze, wszystkie one są bardzo zwięzłe, bardzo treściwe, a nie ma w nich bujania, nie ma poezji.

KS. DĄBROWSKI był wrogiem wielomówstwa. Kazania mówił zawsze krótko, bez patosu, popularnie. Nawet przy spowiedzi, zwłaszcza sióstr, był lakoniczny. Nie rozczulał się nigdy, a gdy mu się kiedy na to zebrało, bo był porywczy, łatwo się gniewał, to potem przepraszał i zawsze sobie potem to wyrzucał, uważał to za słabość. Nie lubił uczuć, nie lubił marzeń, nie lubił żadnej poezji. Był on jak ten profesor filozofii, jezuita ks. Teodor Sozański w Tarnopolu, o którym opowiada w jednej z swych książek ks. W. Kruszka, że choć poczciwy z duszą i ciałem, łatwy w obejściu, bardzo przystępny, zawsze swobodny i krotochwilny, ale nie cierpiał wszelkiej poezji ani poetów.

„Mały, mały, czego ty chcesz?“ tak zapytywał ks. Sozański swoich studentów. Kiedy mu który mówił o filozofach i wychwalał filozofię, to go ładnie pogłaskał i rzekł: „Mały, ty mówisz jak mądry człowiek, będą z ciebie pewno ludzie.“ Ale uchowaj Boże, gdyby mu wspomniał kto o poetach i wychwalać miał poezje. Wtedy ks. Sozański, niby żartując, lecz na wpół serio okładał go kułakiem i z oburzeniem wołał: „Mały, ty głupi jesteś, ty głupstwa pleciesz. Każda poezja to kłamstwo, a każdy poeta to człowiek narwany.“ I wtedy nie dosyć, że sam bił, ale i drugich wołał, żeby go bili.

„Mały, bij go, bo to poeta! Bij go mocno, bo poetę bić to nie grzech.“

KS. JÓZEF DĄBROWSKI z natury był poetą, ale pod wpływem trzeźwego wyrachowania, choć nie posuwał się aż tak daleko, jak ks. Sozański, uważał widać poezję za słabość. A może ona lata młode mu przypominała, przypominała mu ona może powstanie z roku 1863, do którego się poetom mesjanistom dał namówić. „Bij poetę i bądź trzeźwym.“ Ks. Dąbrowski chciał być trzeźwym. Nie uznawał mierzenia sił na zamiary, ale zamiary mierzyć on chciał podług swoich sił. Cały swój czas w Polonii, po powrocie z Arkansas, o ile tylko obowiązki parafialne i zdrowie jego na to pozwalały, poświęcał wyłącznie i przede wszystkim kształceniu i nauce nowicjuszek, internatek. Czuwał również bardzo troskliwie nad spoistością organizacyjną pierwszych domów Zgromadzenia w Ameryce.

W końcu lutego 1878 Matka Monika odbyła swoją pierwszą wizytę nowozałożonego domu Felicjanek w La Salle, Illinois. Powróciła pod wrażeniem, że wszystkie okoliczności składały się tam na podkopanie ducha ubóstwa, pokuty i umartwienia. Napisała wnet błagalną prośbę do Matki Generalnej w Krakowie, aby prowincja europejska zasiliła amerykańską choć paru siostrami europejskimi dobrego ducha i z wyższym wykształceniem, bo inaczej nie będzie mogła dać sobie rady. Ks. Dąbrowski ogromnie gorąco poparł tę prośbę. Znając życie i stosunki w Ameryce, przewidywał on z góry niebezpieczeństwa.

WKRÓTCE też doszła go z tegoż La Salle, Illinois, alarmująca nowina, że ks. Kandyd Kozłowski zawiadomił tam siostry, jakoby miejscowy biskup życzył sobie, aby siostry w La Salle nie należały ani do Krakowa, ani do Polonii, ale stanowiły zakon sam w sobie. Kiedy siostra Kajetana, będąca tam wówczas przełożoną, nie chciała o tym ani słyszeć, ks. Kozłowski nie zakonsekrował już w kaplicy sióstr komunikantów i dopiero na usilne prośby siostry Kajetany zgodził się zostawić jeszcze wszystko po dawnemu i nadal, bo widocznie się spostrzegł, że ze siostrą Kajetaną nic nie wskóra. Po trzech latach, gdy na miejsce siostry Kajetany przybyła do La Salle siostra Aniela, Amerykanka, ks. Kozłowski znowu powtórzył swe żądania, a gdy je siostry znów odrzuciły, przestał je spowiadać.

Ks. Dąbrowski wówczas osobiście udał się do biskupa Spaulding'a w diecezji Peoria, do której La Salle należy. Biskup Spaulding razem z ks. Dąbrowskim przybył do La Salle na plebanię i wezwał do siebie

siostry. Kiedy siostry zeznały, że już od dwóch tygodni nie mogły się wyspowiadać i że ks. proboszcz krępuje ich swobodę w wykonywaniu reguły, żądając — rzekomo na życzenie biskupa — aby wstawały o godzinie 6, zamiast o 5, aby nosiły trzewiki, zamiast sandałów itp., biskup żywo zaprzeczył, aby to było jego życzeniem. Oświadczył, że nie po to jest biskupem, aby żądać rozluźnienia, ale raczej, aby żądać zachowywania przez nie reguły i konstytucji. Pozwolił siostrom spowiadać się u każdego kapłana mającego władzę spowiadania, rozmawiał długo z ks. Dąbrowskim. Rezultat rozmowy był ten, że odtąd stale przyjeżdżał z Chicago do La Salle ksiądz zmartwychwstaniec, aby spowiadać siostry.

Stosunki między siostrami a ks. Kozłowskim niewiele jednak się poprawiły. Matka Monika po porozumieniu się z ks. Dąbrowskim uznała, że trudno żądać, ażeby siostry w tak ciężkich warunkach obowiązki swoje tam spełniały. Uzyskano pozwolenie od ks. biskupa Spaulding'a na wycofanie sióstr z La Salle, a sierotki, którymi się tam siostry opiekowały, przewieziono dnia 24 czerwca 1881 roku do sierocińca sióstr w Polonii.

KS. DĄBROWSKI martwił się tym, że dla niektórych księży z zachodnich Stanów powodzenie Zgromadzenia Felicjanek i jego w nim kierownictwo, było jak gdyby solą w oku. Na miejsce Felicjanek, które jakoby nie były dość postępowe, dość przesiąknięte duchem amerykańskim i raziły swoimi jakoby zacofanymi zasadami, sposobem życia i nawet ubraniem „grubym, wstrętnym i wstyd Polonii wobec Amerykanów przynoszącym," chciał wyżej wymieniony ks. Kandyd Kozłowski wraz z gromadką księży polskich dla tej idei przez siebie skaptowanych, założyć nowe polsko-amerykańskie zgromadzenie w Ameryce, nie mające łączności ze starym krajem.

Nie udało się to wcale, lecz ks. Dąbrowski, wobec trudności, jakie z biegiem czasu Zgromadzenie Felicjanek napotykało nie tylko ze strony księży mu nieżyczliwych, ale i ze strony niewiernych sióstr, których parę już po rocznych ślubach trzeba było usunąć, tym bardziej czuwał i pracował nad tym, aby zacieśnić węzły z Krakowem, a z drugiej strony, aby gruntownie i w duchu polskim kształcić siostry nowicjuszki.

PONIEWAŻ Zgromadzenie coraz bardziej rozprzestrzeniało się po całej Ameryce, a komunikowanie się nowopowstających tych domów z macierzystym domem w Polonii było dość trudne i uciążliwe, uradzono w tym samym czasie, aby nowicjat i dom macierzysty przenieść z Polonii w bardziej centralne miejsce, mianowicie do Detroit, Michigan. Ani o Chicago, ani o Milwaukee z powodu trudności lokalnych mowy nie było. Miały zaś już siostry Felicjanki szkołę w Detroit w parafii św. Wojciecha. Emigracja polska też coraz bardziej około wielkich jezior w tym stanie się osiedlała. Doradzali Matce Monice przeniesienie się do Detroit życzliwi jej księża polscy, a zwłaszcza proboszcz św. Wojciecha w Detroit, ks. Wołowski.

Z wielu względów było to rzeczą bardzo wskazaną, a że nikomu ani do głowy wówczas nie przyszło, ażeby Zgromadzenie Felicjanek mogło się nie tylko przenieść, ale i w ogóle istnieć bez ks. Józefa Dąbrowskiego,

więc gdy ono się przenosiło, to i on również razem ze Zgromadzeniem musiał się przenieść. Załatwiono tedy z kolei wszystkie prawne formalności. Ks. biskup Krautbauer z Green Bay, który ogromnie cenił gorliwą pracę ks. Dąbrowskiego, ociągał się z udzieleniem mu pozwolenia na opuszczenie diecezji. Zgodził się w końcu tylko ze względu na jego zdrowie, dla którego zmiana klimatu była konieczna.

DNIA 2 SIERPNIA 1882 miała się odbyć ostatnia już uroczystość obłóczyn zakonnych w Polonii. Wszyscy dobrzy parafianie ks. Dąbrowskiego w Polonii smucili się, że go już wkrótce pożegnać mają. Natomiast kilku zaciętych niezależników i jego wrogów ręce zacierało na samą myśl o jego wyjeździe i oto tak się złożyło, że mu sprawili jeszcze jedną brzydką psotę.

Tuż przed uroczystością obłóczyn otrzymał ks. Dąbrowski depeszę z Green Bay od biskupa, aby natychmiast się z nim zobaczył. Uroczystość obłóczyn trzeba było odłożyć, a ks. Dąbrowski wyjechał do Green Bay. Tam pokazał mu biskup Krautbauer papiery nadeszłe właśnie z „Propagandy“ w Rzymie, do której wówczas jako kraj misyjny należała Ameryka, z żądaniem wytłumaczenia się z zarzutów i oskarżeń, jakie na ks. Dąbrowskiego wysłali do Rzymu z Polonii niezależnicy. Ks. Dąbrowski punkt po punkcie na wszystkie te oskarżenia odpowiedział, a ks. biskup Krautbauer, stwierdziwszy fałsz i oszczerstwa niezależników, a prawdę tego, co napisał ks. Dąbrowski, dodał od siebie niezmiernie pochlebne dla ks. Dąbrowskiego świadectwo, że „Jeżeli Propaganda w to, co pisze ks. Dąbrowski, nie uwierzy, to on, biskup Krautbauer nie chce być ordynariuszem diecezji Green Bay i składa natychmiast swą rezygnację.“

Ks. Dąbrowski po kilku dniach wrócił z Green Bay. Uroczystość ostatnich obłóczyn zakonnych w Polonii odbyła się 8 sierpnia. Nadesłano też niezadługo z Propagandy z Rzymu pismo ze słowami najwyższego uznania i pochwały dla gorliwości o dobro Kościoła i o zbawienie dusz sobie powierzonych oczernionego tak nikczemnie ks. Józefa Dąbrowskiego.

KS. DĄBROWSKIEGO przy wyjeździe z Polonii z płaczem żegnali wszyscy dobrzy, starzy jego parafianie, a wrogowie? . . . tak . . . znalazł się wśród nich faryzeusz, który nawet w dzień wyjazdu ks. Dąbrowskiego z Polonii chciał się na zawsze mu upamiętnić. Na parę dni przed wyjazdem ks. Dąbrowskiego do Detroit, zgłosił się on na plebanię w Polonii, ofiarując pięć dolarów na świeczniki do kościoła i prosząc, aby ks. Dąbrowski jeszcze sam przed wyjazdem je zamówił i pieniądze przez pocztę wysłał. Ks. Dąbrowski zaraz nazajutrz posłał pieniądze na pocztę przez posłańca. Na poczcie jednak, nie wiadomo, czy z namowy czy też z własnej nieuczciwości, oficjalista pieniądze sobie przywłaszczył, a posłańca odprawił z kwitem fałszywym, bezwartościowym. Gdy posłaniec powrócił, ks. Dąbrowski od razu spostrzegł, co się stało, i obecnemu już swemu następcy, ks. Grabowskiemu pokazał ten kwit sfałszowany, prosząc go, ażeby sprawę załatwił i wytłumaczył zwłokę ofiarodawcy, gdy się on zgłosi.

I OTO w sam dzień wyjazdu ks. Dąbrowskiego już na stacji, kiedy ks. Dąbrowski wraz z siostrami czekał na pociąg, zjawił się ów faryzeusz ofiarodawca wraz z policjantem i zażądał aresztowania ks. Dąbrowskiego za nieprawne zatrzymanie sobie jego pięciu dolarów i za ucieczkę z nimi do innego stanu.

Na szczęście ks. Dąbrowskiemu towarzyszył jeszcze świadek owego sfałszowanego na poczcie pokwitowania, ks. Grabowski. Huknął on na policjanta za bezprawną próbę aresztowania ks. Dąbrowskiego, za które mógł być odpowiedzialny. Policjant wnet się zorientował i przeprosił ks. Dąbrowskiego, a ks. Dąbrowski wyjął z kieszeni pięć dolarów i dał mu na poczęstunek swego klienta.

TAKI był wyjazd ks. Dąbrowskiego z Polonii i pożegnanie go niezależników. Inaczej jednak on, ks. Dąbrowski, o nich pamiętał. Leżało widać mu to na sercu, że kiedy wyjeżdżał, to jeszcze nie wszyscy z nich się nawrócili. Zostało ich tam jeszcze coś ze sześć rodzin i po jego wyjeździe zaczęli oni znowu agitację, aby zbór swój jakoś odnowić.

PRZY pierwszej sposobności przybył ks. Dąbrowski już z Detroit jeszcze z powrotem do Polonii i z jednym ze swoich dawnych komitetowych, Józefem Omernikiem, udał się po kryjomu do niezależnego kościoła. Jak zwykle, był on wówczas zamknięty. Ks. Dąbrowski, modląc się obszedł go parę razy wokoło, wyszukał jakąś szparę gdzieś w jego fundamentach i włożył tam maleńki relikwiarzyk z cudownym medalikiem Niepokalanej Najświętszej Panny. Znów się modlił, a powracając rozpromieniony rzekł: „Może Bóg da, że ten budynek na obrazę Boską już więcej używany nie będzie. Włożyłem w szparę do fundamentów relikwiarzyk z cudownym medalikiem Matki Boskiej.“ Komitetowy, Józef Omernik, zgorszył się i powiedział: „Księże proboszczu! Taką świętość w takie bezbożne miejsce Ksiądz położył. Wrócę się i wyjmę.“ A ks. Dąbrowski mu odpowiedział: „Daj spokój. I tak nie znajdziesz. Ja mam głęboką wiarę, że jak tam będzie ten relikwiarzyk, to już obrazy Boskiej w tym budynku więcej nie będzie.“

JAKOŻ nigdy już zboru tego nie otwarto i obrazy Boskiej w nim nie było. Parafia niezależna na dobre się rozpadła. Kościół czerwony albo wyklęty czyli „krypel“ jak go zwykle nazywano, stał zamknięty przez kilkanaście lat, aż go wreszcie rozebrano.

PRZY rozbiórce jego, w gruzach (już po śmierci ks. Dąbrowskiego), dzieci znalazły medalik z relikwiarzykiem. Z rąk do rąk dostał się on w ręce wnuczki tegoż samego staruszka parafianina, który powyższą historię dzieciom swoim opowiadał.

WIELKA WIELBICIELKA śp. ks. Józefa Dąbrowskiego, siostra Maria Pankracja, ofiarowała w r. 1941 ten medalik z relikwiarzykiem i z przechowanymi w nim jeszcze zupełnie dobrze relikwiami św. Leona Wielkiego papieża, autorowi niniejszej książki. Nosił on go jako pamiątkę i jako świętość.

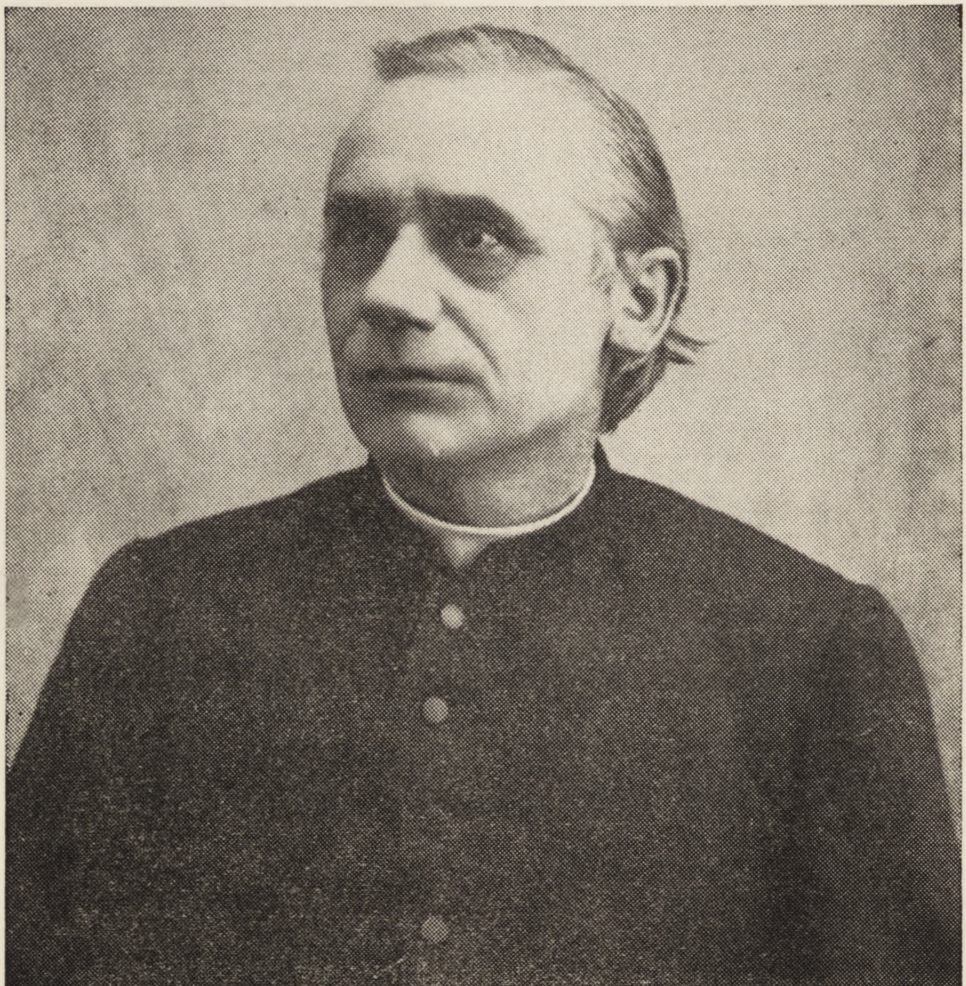
Atoli siła jakoby wyższa znowu i tutaj interweniowała. Kiedy książka niniejsza w ostatniej swej korekcie szła już pod prasę, wyjechał autor jej do Chicago mając medalik ten na szyi. Po powrocie pierwszą rzeczą, którą spostrzegł, było to, że go już nie ma, że go zgubił. Nie śmiał nawet modlić się do św. Antoniego, żeby zguba się znalazła. Pamiętał dobrze, że w drodze w wagonie gdy się kładł spać, bo jechał nocą tam i z powrotem, miał na sobie ten medalik i nawet go pocałował. Urwał się widać, został w wagonie, bo jest łańcuszek, ale bez medalika . . . szukaj teraz wiatru w polu. Aż tu nagle po pewnym czasie, kiedy ze zgubą już się oswoił, patrzy, a tu w kąciku na kamiennej podłodze w jego mieszkaniu leży medalik . . . Powie kto może, że spadł tam z łańcuszka jeszcze przed wyjazdem autora do Chicago lub po powrocie. Nie będzie autor o to się sprzeczał, ale jednak tego samego dnia, gdy zgubę znalazł, odwiózł medalik ten do klasztoru matce Pankracji, która napróżno o zwrot jego przedtem prosiła. Tam on teraz znowu wrócił i obok innych drobnych pamiątek po śp. ks. Dąbrowskim z pietyzmem w relikwiarzyku się przechowuje.



Polonia (kościół, plebania i klasztor) za czasów ks. Dąbrowskiego

Część III

1882-1903



Na niwie Pańskiej w Detroit

1882-1883

CZYTELNIKU! Może znałeś, a może tylko spotkałeś i uścisnąłeś dłoń takiego człowieka, którego głowa pałała ideałami, którego serce poświęciło wszystko dla tych ideałów, cierpiało, wreszcie musiało pęknąć w żelaznych okowach nieprzyjaznej rzeczywistości, nic dla siebie u swego losu na ziemi nie wyjednawszy . . . Wiedz o tym, że tacy ludzie nie pasują ani do miejsca, ani do czasu, ani do prozaicznego mechanizmu i matematyki życia materialnego. Święci uczuciem, wielcy pracą, poświęceniem i męstwem, szaleńcami Bożymi są. Tacy ludzie należą duszą i ciałem do ascezy lub poezji. Świat o nich mało lub nic nie powie, historia więcej, poezja lub asceza najwięcej, a może wszystko.

PO WSZYSTKIE wieki trafiali się i trafiają zawsze tacy bohaterowie. Nie uwieńczeni za życia, o grobach bezpomnikowych, pracowali i pracują dla przyszłości i dla zorzy, której oni jednak ujrzeć nie mają, i giną przez to, że żyją w kręgu uczuć i myśli wyszlachetnionych i podniebnych, a nie w kręgu jedynie tylko materialnych potrzeb świata. Ginąc, zaludniają niebo. Ale i ziemia ich całkowicie nie traci, bo zostawili oni sporą część siebie w swoich dziełach i w sercach ludzi, którym przekazali swoje ideały. Duch ich nie ginie, choć serce pękło. Duch ten nadal ożywia pracę ich życia, długo i żmudnie rzeźbioną rozumem, cnotą, obowiązkiem i umiłowaniem Boga i ludzi.

TAKĄ świetlaną postacią, której głowa pałała ideałami, a serce im wszystko poświęciło — aż samo pękło, był ks. Józef Dąbrowski. Szaleniec Boży przez cały czas swego pobytu w Polonii, szaleńcem Bożym pozostał on również przez cały czas swego pobytu w Detroit — aż do śmierci.

Sporą część życia, od roku 1882 do 1903, spędził w Detroit, ale jego działalność promieniowała na wszystkie parafie polskie w Ameryce, a przez nie na całą Polonię amerykańską. Maluczką farmerską Polonię, parafię swoją w Wisconsinie zmienił nie na Detroit, ale na Polonię rozrzuconą po wszystkich stanach, miastach i farmach w Ameryce.

SIOSTRY FELICJANKI w Ameryce nazywają ks. Józefa Dąbrowskiego nie inaczej, jak swoim „Ojcem." Umarł, ale po dziś dzień być ich

ojcem nie przestał. „Nasz Ojciec‘,‘ mówią — tak bez dodatku i bez nazwiska z literą wielką wyrazu „Ojciec.“ Zgromadzenie Sióstr Felicjanek tworzyło jak gdyby jego rodzinę. Już Indianie w Polonii tak to określili trafnie. Prowincjałkę Felicjanek w Ameryce, Matkę Monikę, nazywali oni „squaw czarnej sukni.“ Zaprosili ją raz do siebie w gościnę, aby ją uczcić wraz z „czarną suknią“ — z ks. Dąbrowskim, specjalną ucztą z czarnego psa. Gdy brzydziła się jeść pieczeni z psa, ks. Dąbrowski, udając, że mu przysmak ten smakuje, tłumaczył, że jest chora i dlatego jeść nie może. Indianie na gwałt szukali swego indiańskiego lekarza, aby ją leczył zamówieniami i zaklęciami.

CZYM jest w rodzinie ojciec rodziny, tym dla Zgromadzenia Sióstr Felicjanek w Ameryce był ks. Dąbrowski. Za prawzór takiej ojcowskiej władzy i opieki możemy uważać rolę św. Józefa w Rodzinie Św. Św. Józefowi objawił się we śnie anioł ostrzegając go: „Weźmij Dzieciątko i Matkę Jego, i uciekaj do Egiptu.“ Św. Józefowi, gdy umarł Herod, anioł Pański znowu we śnie się ukazał, mówiąc: „Wstawszy, weźmij Dzieciątko i Matkę Jego, a idź do ziemi Izraelskiej, albowiem pomarli ci, którzy szukali duszy dziecięcej.“ We wszystkich tych objawieniach i w całej historii ucieczki do Egiptu, powrotu stamtąd i zamieszkania w Nazarecie, widzimy u św. Józefa zawsze jedno i to samo, widzimy urząd ojca i głowy domu. On decyduje, on się stara, on się troszczy. Na nim spoczywa odpowiedzialność. On ją rozumie i na barki swoje bierze i z całym poczuciem odpowiedzialności postępuje. Jest mężczyzną, jest opiekunem, jest głową domu, głową rodziny, słowem, jest władzą prawodawczą i sądowniczą i wykonawczą i religijną. On kieruje całym splotem spraw rodzinnych, on jest sternikiem, on naczelnikiem, on jest przed Bogiem odpowiedzialny za dobrobyt i materialny, i duchowy całej rodziny.

Matka w rodzinie jest jej sercem, ona w rodzinie rozpala ogień, utrzymuje i podsyca ciepło rodzinne. Ma „wydział“ własny, ogromnie ważny, wielki, istotny, bez którego nie ma rodziny; ale ojciec jest głową rodziny, jest budowniczym domu rodzinnego, który bez matki — głównej jego mieszkanki — stałby pustkami. Ona jest panią, królową domu. On jej dom stwarza. Ona go słucha, lecz on jej służy.

„Synu, cóżeś nam tak uczynił? Oto ojciec twój i ja, żałośnie szukaliśmy Cię.“ (Łuk. II, 48.) Na pierwszym miejscu stawia Maria Panna nie siebie, ale przybranego ojca Pana Jezusa, św. Józefa, bo on głową. Lecz mówi Matka, mówi Maria, a św. Józef zostaje niejako w cieniu, kontentując się tym, że już dla Niej znalazł Pana Jezusa, że Jej usłużył, tej swojej Pani.

TO jest wzór święty dla rodzin chrześcijańskich, wzór ojca, matki, i tego wzoru trzymali się również ks. Dąbrowski i Matka Monika w Zgromadzeniu Felicjanek w Ameryce. Nie miał ks. Józef Dąbrowski nigdy żadnych formalnych uprawnień w Zgromadzeniu Felicjanek. Nie był prawnie dyrektorem. Nie miał kościelnej ani zakonnej władzy

żadnej. A jednak posiadał autorytet moralny w Zgromadzeniu tak wielki, że nie tylko go zawsze uznawano i nigdy nie kwestionowano, ale uważano za ostateczny i absolutny.

Nie do pomyślenia są początki Zgromadzenia Sióstr Felicjanek w Ameryce bez jego opiekuna i doradcy, bez jego totumfackiego, bez jego „ojca," ks. Józefa Dąbrowskiego. I, co rzeczą jest szczególną, było to zawsze i wszędzie dla wszystkich tak budujące i na miłości Bożej i poświęceniu się dla Boga tak oparte, że nawet ludzi najbardziej nieżyczliwych przejednywało, pozyskiwało i do Boga podnosiło.

WOGÓLE autorytet i wpływ, jaki w Zgromadzeniu Felicjanek miał ks. Dąbrowski, i stosunek, jaki go łączył z Matką Moniką, przypomina dosyć żywo autorytet i wpływ św. Franciszka Salezego na Zgromadzenie Wizytek i stosunek św. Franciszka Salezego do św. Joanny Franciszki de Chantal, albo jeszcze lepiej wpływ św. Wincentego a Paulo na Zgromadzenie Szarytek i stosunek jego do św. Ludwiki de Merillac. Tak jak św. Wincenty a Paulo przez Szarytki chciał szerzyć miłosierdzie we Francji wśród Francuzów i dlatego nie tylko je zorganizował, ale i oddał im się całym sercem i całą duszą, tak i ks. Dąbrowski przez Felicjanki chciał szerzyć oświatę w Ameryce wśród Polaków i dlatego też im się oddał całym sercem i duszą. Pokochał ich Zgromadzenie, żył dla niego i pracował, opiekował się nim, rozszerzał i bronił je.

„Świetna przyszłość czeka siostry Wasze w Ameryce — pisał do Generałki Felicjanek w Krakowie ojciec Prokop już w roku 1875 — ale po Bogu tę świetną przyszłość zawdzięczają one głównie ks. Dąbrowskiemu." Same one to przyznają. W historii Zgromadzenia swego (tom III, str. 46) piszą: „Bogiem a prawdą, nie przełożona, lecz on prawdziwie, ks. Dąbrowski był narzędziem wybranym przez Boga do przeprowadzenia tego dzieła, do utrzymania i rozkrzewienia Zgromadzenia w Ameryce."

NIEZMORDOWANY w swym poświęceniu i ofiarności, już na początku roku 1880 pojechał do Detroit i zakupił kawałek ziemi pod klasztor przy zbiegu ulic St. Aubin i Canfield. On też pierwszy ofiarował, co tylko mógł na budowe domu macierzystego w Detroit. Przeoranie ziemi pługiem do kopania fundamentów odbyło się dnia 3 sierpnia 1880 roku; ks. Dąbrowski plany budowy sam zrobił, a przy budowie również sam dozorował; był architektem i kontraktorem, był majstrem i robotnikiem.

Budowa w pierwszym roku skończyła się na wymurowaniu suteren. Ks. Dąbrowski jeszcze z Polonii ciągle dojeżdżał, siostry kwestowały fundusze. Szło to ciężko, bardzo ciężko, ale jednak szło. Kwestowano w całej Ameryce, lecz tylko wśród rodaków, bo pośród innych narodowości władze kościelne nie pozwalały. Ks. Dąbrowski też jeździł, pukał, kołatał o grosz, zwłaszcza do księży. Z końcem września 1882 dom był już prawie wykończony.

PRZYBYŁA do niego z Polonii najprzód Matka Monika z siostrą Kajetaną, a potem i ks. Dąbrowski z tercjarzem, bratem Antonim, siostrą Kunegundą, nowicjuszkami i częścią sierot. Dnia 4 października 1882 roku odbyło się uroczyste poświęcenie nowowybudowanego domu macierzystego sióstr Felicjanek w Detroit. Ks. Dąbrowski radował się, a siostrom — po Polonii — nowy dom wydawał się taką wspaniałością, że ojciec Honorat słysząc o tym w Polsce, napisał im, że niekiedy nawiedza go obawa, której dawniej nie czuł, czy aby tam pozostaną choć ślady ubóstwa seraficznego i czy czasem św. Franciszek nie zawahałby się wstąpić do tego ich domku.

W gruncie rzeczy nie było tam żadnych nadzwyczajności. Okolica, w której stanął w Detroit dom macierzysty sióstr Felicjanek, wyglądała jeszcze na pół dzika. Wprawdzie farmerzy tu i ówdzie naokoło uprawiali kukurydzę i warzywa, lecz większa część okolicznych gruntów leżała odłogiem. W zarośla, pośród których dom ten wybudowano, osiedleni w pobliżu Polacy chodzili sobie jeszcze na jagody i na grzyby. Północny widnokrąg w niedalekiej odległości zamykały lasy w tym właśnie miejscu, gdzie w ciągu pięćdziesięciu lat niespełna miało wyrość ludne i gwarne miasto, dzisiejsze Hamtramck. Z południowej strony widok był dość przejrzysty na Detroit. Polacy wówczas zbudowali sobie pierwszy dopiero kościół w Detroit, przedtem bowiem uczęszczali do niemieckiego kościoła św. Józefa, gdzie ich okrutnie poniewierano.

GRUNT, który nabył ks. Dąbrowski i na którym wystawiono dom macierzysty, miał w całym swym obszarze zaledwie 2 akry ziemi. Znajdował się on w północnozachodniej stronie bloku, który przecina teraz zaułek, od ulicy St. Aubin do Dubois. Ks. Dąbrowski tchnął w to miejsce życie nowe, życie polskie. Naprzeciw kaplicy, w narożniku północnozachodnim domu urządził swą „przebywalnię." Siostry Felicjanki nazywają po dziś dzień ten zakątek pokojem „Ojca." Służył on potem za jadalnię dla kapelana i dla gości.

W suterenach domu była kuchnia, pralnia i — co najważniejsze — drukarnia, którą przywieziono z Polonii. Dopiero później w ogrodzie poza klasztorem stanęła piętrowa, murowana plebania o czterech pokoikach, w której zamieszkał ks. Dąbrowski, jako kapelan sióstr Felicjanek z nominacji miejscowego biskupa Borgessa. Zamieszkał on w tej plebanijce na piętrze, a tak ubogo, jak św. Wincenty a Paulo niegdyś w Paryżu, bo miał tylko proste łóżko, klęcznik, stół i parę krzesełek, a na parterze rozłożył się z swoim warsztatem mechanicznym, fizycznym i chemicznym. Nie mógł się obyć nigdzie bez niego. Wciąż w nim coś dłubał, o ile urwał tylko choć chwilę czasu od zajęć szkolnych z nowicjuszkami i internatkami, czyli t. zw. przez niego „półsiostrami" i „nieświęconymi mateczkami."

Całym światem jego teraz były siostry i „półsiostry" albo „nieświęcone mateczki" — a głównym zajęciem wykończenie i urządzenie wnętrza domu.

PIERWSZE zakonne obłóczyny postulantek w nowym macierzystym domu w Detroit odbyły się 13 grudnia tego samego 1882 r. Dziewczęta, które były jeszcze za młode, ażeby dostać się do nowicjatu, ujęto w szkołę specjalną, którą z największą pieczołowitością prowadził sam ks. Dąbrowski. Siostry właściwie tylko mu pomagały. Uczył katechizmu, historii Kościoła, historii Polski, historii powszechnej, geografii, matematyki, chemii, fizyki, rysunków. Siostrom odstąpił tylko lekcje języków, śpiewu i robótek.

SAM też prowadził drukarnię. Pierwszą książką jego, wydrukowaną w Detroit, był podręcznik szkolny p. t. Przyjaciel Dzieci. W kilka miesięcy po zamieszkaniu w Detroit zajął się również ustabilizowaniem prawnym Zgromadzenia Sióstr Felicjanek, czyli t. zw. inkorporacją. Notariusz, który mu to załatwiał, snadź nie dowierzał, że honorarium swoje otrzyma od takiego biedaczyny, bo jakoś długo nie mógł czegoś znaleźć w papierach, aż dopiero kiedy ks. Dąbrowski domyślił się i wysypał mu z kieszeni garść drobiazgu w rolki dokładnie pozawijaną, notariusz zaczerwienił się, ale od razu wszystko znalazł.

ZARAZ w następnym roku, 1883, przypadała dwusetna rocznica zwycięstwa pod Wiedniem króla Jana Sobieskiego. Ks. Dąbrowski wykorzystał ją doskonale, aby ożywić patriotyzm wśród Polonii detroickiej. Obchód tej rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem, jaki w Detroit wówczas urządzono, wypadł świetnie, co było zasługą niemal wyłącznie ks. Dąbrowskiego. Musiał czuć się w swym żywiole. Prawie wszystkie domy polskie w Detroit ustrojono w dzień obchodu w chorągwie polskie z orłem białym, które poszyły siostry i internatki w klasztorze pod kierunkiem i według wzoru, jaki dał im ks. Dąbrowski. W ogóle lubił on i często urządzał różne obchody religijne i narodowe, a w urządzaniu ich zawsze starał się rozbudzać ducha narodowego i szerzyć oświatę oraz znajomość historii, kultury, folkloru i zwyczajów polskich. Była to dla niego zawsze miła i odświętna zabawa, lecz połączona z wychowawczą poglądową pedagogią zarówno dla dzieci, jak i dla starszych.

W TYM właśnie czasie na horyzoncie życia polskiego narodowego zajaśniał geniusz Modrzejewskiej i wiekopomnego po Mickiewiczu króla ducha w narodzie, Henryka Sienkiewicza. Ks. Dąbrowski z zapałem wielkim, iście młodzieńczym w nim się rozkochał i chociaż przedtem literaturę miał jak gdyby w zapomnieniu, teraz zamiłowanie do ojczystej literatury polskiej zaczął wpajać w siostry i „półsiostry." Prawie wszystkie wychowanki ks. Dąbrowskiego, zwłaszcza z tych czasów, odznaczają się zamiłowaniem do piśmiennictwa i literatury polskiej. Była ona i jest dla nich prawdziwym skarbem.

Obok wytchnienia, jakim były dla ks. Dąbrowskiego obchody narodowe czy rozczytywanie się w literaturze polskiej, praca fizyczna atoli nie ustawała. Dom macierzysty sióstr Felicjanek już w roku 1883 —

wobec ciągłego napływu internatek — okazał się za szczupły. Trzeba było dobudować skrzydło wzdłuż ulicy Fremont, obecnie Canfield. Ks. Dąbrowski znowu rękawów zakasał. Nie tylko internatki, tak jak to było niegdyś w Polonii, ale i okoliczni rodacy, widząc jego krzątaninę i zapał, przychodzili mu — nawet bez proszenia ich o to — z rozmaitą pomocą i pracowali nieraz do późnego wieczora. Kiedy nowe skrzydło dobudowano, znowu zapanowała wielka, ogólna radość.

ALE mimo tej nowej dobudówki dom macierzysty sióstr Felicjanek w Detroit za lat kilka ponownie okazał się za szczupły dla rozwijającego się ogromnie szybko Zgromadzenia. Trzeba było dobudować drugie skrzydło. Ks. Dąbrowski tym także się zajął i rozbudował zakład w głąb ogrodu, aż do miejsca, gdzie poprzednio stała jego plebania, którą z wielkim żalem rozebrano.

RÓWNOCZEŚNIE pracował on niezmordowanie nad wychowywaniem i kształceniem internatek i nowicjuszek, aby przygotować je należycie do roli przyszłych nauczycielek szkolnych w polskich szkołach parafialnych w Ameryce. Ta jego praca z natury rzeczy była nadzwyczaj ciężka, ale wykonywał ją bardzo sumiennie. Okazało się to wkrótce, wówczas kiedy trzeci sobór baltimorski pod przewodnictwem kardynała Gibbons'a w roku 1887 postanowił uregulowanie szkolnictwa katolickiego i polecił, aby wszystkie siostry uczące w szkołach parafialnych złożyły egzamin przed diecezjalnymi komisjami szkolnymi.

ROZPORZĄDZENIE koncylium baltimorskiego wywołało dużo popłochu między siostrami i niezawodnie miało na celu nie tyle podniesienie poziomu szkolnego, ile raczej ujednostajnienie go i zaprowadzenie wszędzie wykładów szkolnych w języku angielskim, ale siostry Felicjanki przeszły bez szwanku przez tę próbę ogniową. Wszystkie one — w liczbie 57 — okazały się dostatecznie przygotowane do nauczania w szkołach, złożyły chlubnie egzamin i otrzymały patenty, których od nich wymagano.

WŁADZE KOŚCIELNE nie mogły już należytego wykształcenia ich kwestionować, a władze państwowe w ogóle podówczas w takie rzeczy się nie wtrącały. Ks. Dąbrowski tryumfował. Mógł śmiało nazwać się ojcem szkolnictwa polskiego parafialnego w Ameryce, bo spod ręki jego wyszły kadry pierwszych polskich sióstr nauczycielek, które szkolnictwo to zaprowadziły i prowadzą wciąż po dziś dzień.

OBOK tego pierwszego tytułu do uwiecznienia się w historii Polonii w Ameryce, że był ojcem szkolnictwa, ks. Dąbrowski równocześnie zasłużył sobie na tytuł drugi, mianowicie ojca polskiego katolickiego duszpasterstwa.



Klasztor w Detroit Sióstr Felicjanek zbudowany przez ks. Dąbrowskiego

1883-1884

CZY i jakie było za dawnych czasów duszpasterstwo polskie w Ameryce? Polonia amerykańska składa się prawie cała z wychodźców polskich, którzy przybyli tutaj za chlebem, oraz z ich potomstwa. Już za czasów ks. Józefa Dąbrowskiego w Ameryce w bardzo wielu miejscowościach spotykało się większe lub mniejsze gromadki ludności polskiej, ale jednak duszpasterstwa polskiego niemal wcale nie było. Gromadki polskie, istniejące wówczas tu i ówdzie, dopóki nie stały się dosyć liczne, ażeby sobie kościół polski zbudować i parafię polską założyć, pozostawały zwykle bez żadnej opieki religijnej. Stan ich religijny litość wzbudzał nawet u obcych, ale na tym współczuciu zwykle się kończyło. Wypadki takie, jak założenie w Ameryce przez niemieckiego księdza J. M. Gartner'a w r. 1868 Słowiańskiego Zakładu Misyjnego pod opieką Boskiego Serca Jezusowego dla opieki religijnej nad katolikami słowiańskimi, a więc i polskimi, należały do rzadkich wyjątków.

ZRESZTĄ już w roku 1872 zwinął ks. Gartner ten cały swój „interes" misyjny, pozostawiając zwłaszcza Polaków swemu losowi i dając im tylko nader pochlebne świadectwo, że są bardzo religijni, do wiary katolickiej przywiązani i zasługują na wszelki szacunek ze strony katolickich Niemców, choćby ze względu na swoją historyczną przeszłość, jak np. ocalenie pod Wiedniem chrześcijaństwa przed Turkami. W zasadzie wszyscy ci pierwsi przybysze polscy w Ameryce należeć mieli do miejscowych, po wielu osadach już istniejących parafii niemieckich, francuskich, czy irlandzkich, ale w praktyce żyli oni samopas, bo do kościoła obconarodowego, nie rozumiejąc po angielsku, nie chodzili, chyba z konieczności, np. po śluby i chrzty.

CZASEM gdzieniegdzie ten i ów gorliwszy obconarodowy proboszcz na żądanie Polaków sprowadził im albo pozwolił na sprowadzenie polskiego księdza do spowiedzi na Wielkanoc. Duszpasterstwo regularne wśród Polaków rozpoczęło się prawie wszędzie od samego dołu, od instynktu zachowawczego u samego ludu. Trafił się mianowicie gdzieś w gromadce ludności polskiej jakiś mądrzejszy bywalec, który doszedł do przekonania, że rodacy jego w danej miejscowości żyją jak nieboskie stworzenia. Trzeba coś zrobić. Trzeba sprowadzić księdza. Trzeba założyć parafię polską. Zwołał więc wszystkich i „mityngował."

Rezultatem takiego „mityngu“ był komitet i zbieranie pieniędzy. Potem jeździł taki komitet to do miejscowego proboszcza obconarodowego, to do sąsiednego proboszcza polskiego (jeżeli ów już był w pobliżu), to nareszcie i do biskupa.

MIEJSCOWY PROBOSZCZ obconarodowy niechętnie się zwykle odnosił do założenia w tej samej miejscowości jeszcze drugiej parafii katolickiej. Dziś odłączą się Polacy, potem Litwini, Włosi, Francuzi — cóż mu wreszcie pozostanie?

Sąsiedni proboszcz polski uważał, że Polacy z owej małej gromadki, acz nie mogą regularnie do jego kościoła uczęszczać, jednak — w wypadkach nadzwyczajnych — zgłoszą się do niego. Trzeba więc bronić swojej parafii, trzeba bronić „status quo.“ Biskup również uważał, że trzeba lepiej trochę odczekać, że proboszczowie muszą zapewne lepiej znać sprawę i że zresztą powstawanie parafii polskich, z językiem dla niego obcym, „unisono“ w diecezji mu zakłóca. Dochodziło nieraz nawet tu i ówdzie ze strony ludzi aż do pogróżek: „Założymy sobie parafię niezależną, sami sprowadzimy do niej księdza.“

BYŁY WYPADKI, że czasem dopiero wówczas, gdy Polacy swoją pogróżkę w czyn wprowadzili, polski ksiądz katolicki zjawiał się po księdzu „niezależniku.“ Inicjatywa obsługi religijnej nad emigrantami polskimi w Ameryce była nieraz w rękach tylko ludu i jego polskich prowodyrów. Słowem, maluczcy prosili o chleb — jak napisane w Piśmie św. — a nie było, kto by im go ułamał. Brakowało wzajemnego zrozumienia i brakowało księży polskich.

Ks. Dąbrowski widział to i serdecznie nad tym ubolewał. Widział on przy tym i rozumiał, że każdy Polak wychodźca to nieodrodny syn ludu polskiego, religię swoją ściśle łączący — jak i teraz jeszcze ją ściśle łączy — z narodowością. Nie można było do niego trafić z żadnym duszpasterstwem, jeśli nie wiązało się ono z jego polską narodowością. Uświadomienie religijne, z jakim przyjeżdżał do Ameryki i z jakim żyje w Ameryce po dziś dzień jeszcze ogół Polonii — mowa zwłaszcza o ludzie — było i jest nieraz takie, że mu chodzi przede wszystkim o księdza polskiego.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT PROCENT ludu polskiego, który zbudował tutaj kościoły i szkoły polskie, zbudował je w znacznej mierze z tęsknoty patriotycznej. Z faktem tym w duszpasterstwie wśród Polonii w Ameryce liczyć się trzeba, bo inaczej nic się nie zrobi, nawet gdy są dobre chęci.

Tymczasem obsługa religijna wśród Polaków i dla Polaków w Ameryce bardzo często tego właśnie nie rozumiała. Nie uwzględniała ona ani tradycji, ani zwyczajów polskich, nie sięgała do duszy ludu, bo jej nie znała, była jej obca, nie przyciągała jej do siebie, przeciwnie, odstręczała i drażniła. Obsługa ta redukowała się mniej więcej do formalistyki kancelaryjnej. W kościele, w konfesjonale, w zakrystii,

na plebanii (w t. zw. „ofisie"), wszędzie to duszpasterstwo dla Polaka, nawet zrodzonego już w Ameryce, a cóż dopiero dla wychodźcy z Polski — było zawsze jednakowo zimne, zawsze jednakowo obce, zawsze jednakowo wyrachowane, krótkie i „byznesowe."

PSYCHIKA i kultura narodowa razem z krwią polską odziedziczona, której Polak, nawet całkiem nie mówiący już po polsku, nigdy się bodaj nie pozbędzie, nie ma nic wspólnego z takim duszpasterstwem. Gdy nawet nie widzi, to wyczuwa ona w nim brak swojskości, pokrewieństwa krwi i rasy. Prędzej czy później kontrola duszy polskiej, nawet najbardziej w religii swojej uświadomionej i katolickiej, z rąk takiego duszpasterstwa musi się wyślizgnąć, musi wypaść.

Rozpoczyna się zwykle od elementu pod względem religijnym najsłabszego, który za to szuka nieraz jakby namiastki religii w swym uświadomieniu narodowym. To jego uświadomienie narodowe musi się gdzieś wyładować, a nie znajdując dla swej energii podatnego gruntu przy kościele i pod kierunkiem księdza, który jest mu obcym narodowo, wyładowywuje się samopas pod kierunkiem czysto przygodnym, nigdy zgoła kompetentnym, a zawsze prawie szkodliwym i z Kościołem do rozbratu go wiodącym.

DWA SĄ sposoby, jakimi reagowało i reaguje duszpasterstwo, ducha polskiego nie mające, na ten upust narodowej atawistycznej energii ludu polskiego w Ameryce. Jeden jest czynny, drugi bierny. Jeden gniewa się i pragnie cały ten upust energii polskiej narodowej czynnie zdusić. Drugi pobłażliwie tylko uśmiecha się i pragnie go po prostu zignorować i „per non sunt" puścić. W wypadku pierwszym mamy wojnę duszpasterstwa z Polakami narodowcami — wojnę, która dla religii i Kościoła jest z natury rzeczy zawsze zgubna. W wypadku drugim mamy spokój, ale ten spokój jest jeszcze gorszy niż wojna, bo jest to spokój śmierci.

Wojna stawia od razu element polski najbardziej narodowo usposobiony w opozycji do Kościoła i prowadzi go na bezdroża radykalizmu, socjalizmu i innych „izmów" oraz t. zw. parafii narodowych, niezależnych, protestanckich, w wojnie z duszpasterstwem katolickim będących; spokój nie od razu, ale powoli zaszczepia w sercach obojętność i oddala od Kościoła tym gruntowniej, tak że ten Kościół w końcu nikogo nawet nie gniewa, bo ani ziębi, ani grzeje, jest już obcym, jest już zbędnym.

OBYDWIE więc te metody duszpasterstwa, które nie mają ducha polskiego, sprowadzają się do jednego mianownika i zawsze jednakowo są dla Kościoła zgubne.

Metoda druga — powtarzamy z naciskiem — metoda spokoju i pobłażliwego uśmiechu zamiast walki, jest dla Kościoła jeszcze zgubniejsza. Po metodzie pierwszej, metodzie walki, pozostaje jednak gdzieś

jakiś odruch, iskierka życia, gdy po zastosowaniu tej drugiej, pokojowej metody, pozostaje już tylko zimny, obojętny, chodzący trup.

SMUTNE jest, nawiasem mówiąc, a dla stosunków naszych w Ameryce charakterystyczne, że ta druga metoda duszpasterstwa coraz częstsze w naszych czasach ma zastosowanie i że spotyka się obecnie w Ameryce kapłanów będących pochodzenia polskiego i nawet jeszcze mówiących po polsku, ale tak dokładnie już zangielszczonych i niepolskich, że ani nie próbują orientować się w życiu polskim narodowym, że nie czytają choćby tylko gazet polskich i że już im jest obojętne, czy i co się dzieje wśród Polonii pod względem narodowym, bo to wszystko dla nich i tak jest „lingua graeca."

Wraz z życiem polskim narodowym i wraz z polskością wysycha tedy wśród Polonii w Ameryce — i wyschnąć musi — życie kościelne, religijne, katolickie. Każdy socjolog, każdy psycholog, każdy przeciętny pedagog i wychowawca rozumie zresztą to doskonale, że wszelkie duszpasterstwo katolickie rozbrat biorące z narodowością musi zawsze i wszędzie doprowadzić do rezultatów zgubnych i dla religii. Sprzeciwia się ono bowiem zasadom biologii, psychologii i wychowania religijnego i jest sianiem dobrego ziarna na lotnym piasku — jak powiedział sam Pan Jezus. Duszpasterstwo takie jest bezpośrednim i jednym z wielu u nas powodów kryzysu duchowego i przestępczości, bo fałszywie rozwiązuje problem asymilacji różnych narodowości do amerykańskiego życia obywatelskiego. Kościół katolicki podkreślał i podkreśla zawsze konieczność nawiązywania pracy katolickiej duszpasterskiej do praw ludzkich naturalnych, do rozwoju kultury, języka i charakterystycznych cech i umiłowań narodu i społeczeństwa.

KS. DĄBROWSKI był doskonałym nie tylko „kościelnikiem," nie tylko pedagogiem i socjologiem, ale również przyrodnikiem. Wiedział on przede wszystkim o starej zasadzie przyrodników, że „natura abhorret vacuum" (natura nie cierpi próżni) i że zasada ta stosuje się nie tylko w naturze martwej, lecz i duchowej. Duszę polską w Ameryce chciał on ukształcić, chciał uszlachetnić — a nie kaleczyć. Duszpasterstwo pojmował naprawdę po katolicku, a więc widział konieczność polskich duszpasterzy. W tym on celu, a nie innym chciał założyć i założył seminarium polskie w Ameryce. A jednak, jakże mało jest po dziś dzień ludzi, którzy sprawę tę należycie uświadamiają sobie, znają i rozumieją!

NAWET ludzie tej sprawie najbliżsi, nawet ci, którzy o niej pisali, nie zgłębili jej dostatecznie, nie przedstawili jeszcze, jak należy, nie zrozumieli bodaj sami. Historii zresztą polskiego seminarium duchownego w Ameryce nikt nam jeszcze nie napisał, bo nikt w nią jeszcze się nie wgryzł. Zamknięte jeszcze są archiwa, nie zebrane materiały, nie ma jeszcze — co rzecz najważniejsza — dziejowej perspektywy. Są albumy, artykuły, są podania, często spaczone, są poglądy, często mylne,

fabrykowane nawet przez życzliwych, lecz źle życzliwych. Obiektywnej jednak prawdy, a nawet niektórych obiektywnych i prawdziwych dat nie ma.

Z NIEMAŁYM przeto lękiem przystępujemy do omówienia tutaj tej sprawy, bo w życiorysie ks. Józefa Dąbrowskiego bezwzględnie nie można jej pominąć, a trudności piętrzą się wielkie, żeby omówić ją należycie.

Za naczelną zasadę w omawianiu tej sprawy bierzemy znane słowa papieża Leona XIII: *Niech historyk nie śmie pisać nieprawdy, ale niech się też nie boi pisać prawdy — całej prawdy.*

Ks. Kruszka w swojej historii, dając rzut oka na dzieje Kościoła i duchowieństwa polskiego w Ameryce pisze, że ks. Józef Dąbrowski jako założyciel seminarium polskiego odegrał w historii naszej rolę całkiem wyjątkową i poświęca mu w swojej książce osobne miejsce. Stwierdza on — co już mędrcy pogańscy zauważyli — że historia dopiero wówczas jest prawdziwą mistrzynią życia człowieka i narodów i prawdziwą podwaliną wszelkiego postępu i cywilizacji, kiedy w niej najpiękniejszym wieńcem nie obdarza się tych, którzy najwięcej krwi ludzkiej przelali, ale kiedy w niej podług zasady Cicerona *„cedant arma togae, concedat laurea laudi.“* Najpiękniejszy tedy wieniec chwały — mówi ks. Kruszka — należy się w historii Polonii w Ameryce ks. Józefowi Dąbrowskiemu, bo jego imię złotymi zgłoskami w niej się zapisało — po pierwsze, sprowadzeniem do Ameryki sióstr Felicjanek, po drugie, założeniem seminarium polskiego.

OPATRZNOŚCIOWY to był człowiek. Skoro tylko stanął na ziemi amerykańskiej i rozejrzał się w stosunkach, zorientował się od razu, czego Polonii naszej głównie potrzeba, a kiedy się zorientował, nie poprzestał na tym, że poznał braki, ale zakasał zaraz rękawy do pracy. Potrzeba było sióstr nauczycielek, więc je sprowadził i zaczął kształcić. Potrzeba było księży polskich, więc założył seminarium polskie i zaczął kształcić w nim księży polskich.

TRZEBA na samym wstępie sprostować błąd zasadniczy, który popełniali i popełniają prawie wszyscy, którzy o założeniu przez ks. Józefa Dąbrowskiego niegdyś pisali lub i dziś piszą. „Litera docet, litera nocet“ — mówi stare przysłowie łacińskie. Łatwo przekręcić sens całej sprawy i na manowce ją wnet sprowadzić, jeśli choć drobiazg jakiś tuż na początku się w niej przeoczy. Błędem wielkim historycznym, a w skutkach swych bardzo szkodliwym błędem i ks. Kruszki, i wszystkich innych, którzy o założeniu przez ks. Dąbrowskiego seminarium polskiego w Detroit u nas pisali, było podkreślanie tego, że założył on „seminarium,“ a nie faktu, że założył on „polskie“ seminarium.

Ks. Dąbrowski nie dał żadnego powodu, aby intencję i dzieło jego tak przeinaczać. Ks. Kruszka i ci, co potem z niego czerpali i o seminarium polskim w Ameryce pisali, nie przypuszczali również przenigdy,

aby relację ich można było błędnie zrozumieć albo przedstawiać. A jednak przyszło to z czasem. Znaleźli się dialektycy, którzy rozprawiać u nas zaczęli tak: Ks. Dąbrowski założył seminarium, bo brak było seminariów i księży polskich; dziś natomiast wszędzie już są seminaria i polscy księża, a więc dzisiaj seminarium założone przez ks. Dąbrowskiego jest już całkiem zbędne.

OCZYWIŚCIE jest to niemądre rozumowanie. Ks. Dąbrowski nie założył „tylko jeszcze jednego seminarium" (just another seminary), ks. Dąbrowski założył „polskie" seminarium. Księży rozumiejących, a nawet mówiących po polsku, jest dzisiaj dosyć, ale księży Polaków i dla Polaków jest i dzisiaj jeszcze niedość.

Trzeba zaraz na wstępie przy omawianiu sprawy założenia seminarium polskiego przez ks. Dąbrowskiego to wszystko skonstatować, bo dopiero w świetle tego wszystkiego zrozumiemy naprawdę, kim był ks. Dąbrowski i należycie ocenimy jego dzieło. Bez tego błąkać się będziemy gdzieś po manowcach, które go nam poznać nie pozwolą.

I za jego czasów w Ameryce istniały już przecież seminaria — i to dobre. I za niego znajdowali się już w Ameryce księża polscy albo mówiący po polsku. Przecież on sam, kiedy do Ameryki przyjechał, mieszkał z początku w seminarium duchownym w Milwaukee i, jak o tym pisał do ks. Semeneńki: „Było mu tam bardzo dobrze. Seminarium liczyło 240 alumnów, a ks. rektor i profesorowie, których było tam 12, bardzo mu się podobali."

Nie był on dzieckiem, żeby chciał robić konkurencję seminariom duchownym w Ameryce, podówczas już istniejącym, założeniem jeszcze jednego seminarium. Szło mu o co innego zupełnie! Nie o seminarium, ale o „polskie" seminarium!

WE WSPOMNIANYM już w drugiej części niniejszej książki liście do ks. Semeneńki ks. Dąbrowski nie pozostawia pod tym względem żadnej wątpliwości. Pisze bowiem dosłownie w ten sposób:

„W Milwaukee jest wprawdzie seminarium, ale cóż, angielsko-niemieckie. Chociażby się posłało doń jakiego z Polaków, to gdy z osiem lub dziesięć lat tam posiedzi, to i to, co umiał po polsku, zapomni, a gdy się wyświęci, będzie księdzem dla Niemców lub dla Anglików. Cóż za korzyść z tego dla Polaków?"

Trzeba ratować przede wszystkim dusze polskie — taki cel miał ks. Józef Dąbrowski, kiedy seminarium polskie zakładał. Laur niezwiędłej sławy i głęboka wiekopomna cześć pokoleń polskich w Ameryce uwieńcza skronie ks. Dąbrowskiego, bo on pierwszy to zrozumiał, że tylko szczerze i prawdziwie polski ksiądz katolicki może podtrzymać ducha wiary i religii wśród Polonii w Ameryce. Aby wychować właśnie takich księży, a nie innych, założył on polskie seminarium w Ameryce.

1884-1885

JAKI był początek i rozwój tego zakładu kościelnego polskiego pod kierunkiem ks. Józefa Dąbrowskiego? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba by napisać rozprawę długą i pracowitą. Skrócimy ją sobie i ułatwimy, bo przepiszemy tutaj tylko historię seminarium polskiego z najautentyczniejszego źródła, jakie mamy, a mianowicie z listu samego ks. Dąbrowskiego napisanego pod koniec jego życia, a nadesłanego przezeń ks. Kruszce. Oto dosłownie, co o tym wszystkim on sam pisze:

„GDY około roku 1870 Polacy zaczęli w wielkiej ilości emigrować do Ameryki, biskupi amerykańscy bardzo często pisywali do kardynała Ledóchowskiego (prefekta Propagandy w Rzymie), prosząc go o przysłanie im z Rzymu księży polskich. Nie mogąc zadośćuczynić prośbie biskupów, podał on projekt założenia seminarium polskiego w Ameryce. Myśl swoją otworzył ks. Leopoldowi Moczygębie, który naonczas, będąc członkiem zakonu św. Franciszka, piastował godność penitencjarza w Bazylice św. Piotra w Rzymie. On postanowił tą sprawą się zająć i prosił o pozwolenie zbierania na ten cel funduszów. Jako zakonnik musiał mieć dyspensę od Stolicy św. Podano projekt Ojcu św. Leonowi XIII, który myśl pochwalił i pobłogosławił.

„KS. MOCZYGĘBA, przybywszy do Ameryki, zebrał około ośmiu tysięcy dolarów na ten cel, a będąc już w podeszłym wieku, nie czuł się na siłach do tej pracy i przeprowadzenie tej sprawy złożył w ręce ks. Józefa Dąbrowskiego, który dzieło doprowadził do skutku z pomocą Bożą i ofiarnością naszych rodaków. Ks. Dąbrowski blisko lat 13 był proboszczem w Polonii, Wisconsin, od roku 1870 do września 1882. Parafię opuścić musiał z powodu ostrego klimatu wisconsińskiego, a przeniósł się do Detroit, Michigan, gdzie zajął miejsce kapelana sióstr Felicjanek. I tu rozpoczął swoją pracę około seminarium. Miejsce na seminarium obrano w Detroit, Michigan, bo jest w środku między głównymi koloniami polskimi, a w samym Detroit dziś (w roku 1901) jest około 40,000 Polaków. Miasto piękne, a klimat bardzo zdrowy. Na seminarium zakupiono dwa i pół akra ziemi w samym mieście przy ulicy St. Aubin Avenue i Forest Avenue. W roku 1884 rozpoczęto budowę. Dnia 24 lipca roku 1885 położono kamień węgielny. Ks. biskup S. Ryan z Buffalo, N. Y., dopełnił ceremonii w obecności biskupa

detroickiego, ks. H. D. Borgessa, przy licznie zebranym polskim duchowieństwie z całych Stanów Zjednoczonych. Ks. Urban Raszkiewicz i ks. Domagalski wygłosili mowy po polsku. Ks. biskup Borgess i ks. Raily, proboszcz św. Patryka z Detroit, przemówili po angielsku.

„Po rozpoczęciu budowy zgłosił się do pomocy Wiel. ks. Antoni Jaworski, który przez rok pomagał w kolektach. W roku 1887 gmach seminaryjski został wykończony; rozmiary jego są: 140 stóp długi, 68 stóp szeroki, o czterech piętrach oprócz suteren.

„OTWARCIE SEMINARIUM nastąpiło w roku 1887 dnia 15 grudnia przez biskupa Borgessa. Na początku było sześciu studentów, nazwiska ich są: Jan Mueller, Ernest Kelly, Maksymilian Mueller, Maksymilian Kotecki, Józef Letownik, Feliks Kieruj — i wszyscy zostali księżmi oprócz E. Kelly'ego. Z końcem roku było 26 studentów z różnych stron Stanów Zjednoczonych. Seminarium ma podwójny kurs, t. j. kurs klasyczny czyli gimnazjalny o pięciu klasach i pięcioletni kurs filozofii z teologią, dwa lata filozofii, trzy lata teologii.

„ROZWÓJ SEMINARIUM: Trudno uwierzyć, ile zakładowi stawało przeszkód do zwalczania. Bóg jednak miłosierny wszystkie usunął, a zakład się rozwijał jak następuje:

„ROK 1887 przy rozpoczęciu 6 studentów, a pod koniec 26 studentów.

Rok szkolny 1888-89	*35 studentów*
Rok szkolny 1889-90	*65 studentów*
Rok szkolny 1890-91	*66 studentów*
Rok szkolny 1891-92	*77 studentów*
Rok szkolny 1892-93	*80 studentów*
Rok szkolny 1893-94	*105 studentów*
Rok szkolny 1894-95	*125 studentów*
Rok szkolny 1895-96	*123 studentów*
Rok szkolny 1896-97	*133 studentów*
Rok szkolny 1897-98	*131 studentów*
Rok szkolny 1898-99	*153 studentów*
Rok szkolny 1899-1900	*154 studentów*
Rok szkolny 1900-1901	*156 studentów*

„PROFESOROWIE SEMINARIUM: Skoro gmach już był na wykończeniu, ks. Dąbrowski w r. 1885 udał się do Europy, aby sprowadzić profesorów. Udał się do Rzymu. Tam zrazu nic nie wskórał, ale zrobił różne znajomości, skutkiem czego później kilku profesorów przybyło. W Krakowie zgłosili się na razie ks. Baran i ks. Bronikowski, jednak wkrótce po przybyciu do Detroit opuścili zakład. W tym czasie przybył

z Rzymu ks. Witold Buhaczkowski, który do dziś dnia (1902 r.) w zakładzie się znajduje, przez długie lata piastował urząd wicerektora i wielkie zasługi położył w rozwoju zakładu. Po nim przybył z Rzymu ks. Mieczysław Barabasz, D.D., i pan Karol Laskowski, którzy również chlubnie pracowali. Następnie, gdy zakład wzrastał, sprowadzono księży: Ciemniewskiego, Godrycza, Kisielewicza i Ćwiąkałę z Krakowa, i ci gorliwie pracowali blisko przez lat cztery. Zważywszy jednak, że ciągłe wyszukiwanie profesorów dla wzrastającego zakładu było uciążliwe, postanowiono zdolnych i godnych zaufania studentów wysyłać do Rzymu, którzy by po powrocie poświęcili się zakładowi. I tak wysłano do Rzymu do Uniwersytetu Gregoriańskiego ks. Jana Mueller'a, który ukończył studia i z poświęceniem pracuje. Wysłano ks. Jareckiego i Chylewskiego, którzy skromnie pracują z chlubą; a na przyszłość znów mamy w Propagandzie jednego studenta na filozofii. Do przedmiotów świeckich mamy profesorów świeckich, trzech Polaków i dwóch Anglików. Przed rokiem do grona pracowników seminarium przyłączył się jeszcze ks. Jan Moneta, pełen poświęcenia, jak i inni. Cześć wszystkim za ich pracę i poświęcenie. Zakład liczy sześciu księży profesorów, trzech świeckich profesorów Polaków i dwóch profesorów Anglików. Do dziś dnia wyświęcono na miejscu trzydziestu alumnów, a dwóch w tym roku 1901 otrzyma święcenia. Nazwiska ich są:

1. *Ks. Wałajtys Kazimierz (w Parisville, Mich.)*
2. *Ks. Gulcz Jan (w Wilmington, Del.)*
3. *Ks. Mueller Franciszek (w Detroit)*
4. *Ks. Basiński Piotr (w Buffalo)*
5. *Ks. Moneta Jan (w Detroit)*
6. *Ks. Jankowski Bronisław (w Kanadzie)*
7. *Ks. Duszyński Antoni (w Baltimore)*
8. *Ks. Bójnowski Lucjan (w New Britain, Conn.)*
9. *Ks. Dulski Józef (w Baltimore)*
10. *Ks. Marcinkiewicz Adam (w Buffalo)*
11. *Ks. Dopke Franciszek (w Toledo)*
12. *Ks. Kieruj Feliks (w Detroit)*
13. *Ks. Radka Bolesław (w Ashton, Nebr.)*
14. *Ks. Grudziński Jan (w Leavenworth, Kan.)*
15. *Ks. Jaszczyński Stanisław (w Elba, Neb.)*
16. *Ks. Godrycz Karol*
17. *Ks. Fołta Józef (w Detroit)*
18. *Ks. Walczak Jan (w Detroit)*
19. *Ks. Grudziński Aleksander (w Detroit)*
20. *Ks. Culkowski Józef (w Norwich, Conn.)*
21. *Ks. Nona Franciszek (w Chapel Hill, Texas)*
22. *Ks. Czepanonis Józef*
23. *Ks. Kaupas Antoni (w Scranton, Penn.)*

24. Ks. Janiszewski Andrzej (w Waterloo, Ill.)
25. Ks. Dymiński Michał (w Albion, N. Y.)
26. Ks. Czubek Józef (w Boston, Mass.)
27. Ks. Ćwikliński Karol (w Smartville, Neb.)
28. Ks. Nowak Wojciech
29. Ks. Kłosowski Michał
30. Ks. Węgrzynowski Franciszek

„W TYM ROKU (1901) otrzymają święcenia kapłańskie jeszcze dwaj alumni: Dawid Józef i Musiał Emilian.

„TAK więc dotąd będziemy mieli 32 kapłanów czynnych, którzy tu ukończyli całkowity kurs i otrzymali święcenia. Oprócz tego około 50 naszych studentów zostało przeniesionych do innych zakładów i otrzymało tam święcenia. W ten sposób 80 księży polskich przeszło i wyszło ze seminarium polskiego. Oprócz tego mamy licznych świeckich, jak adwokatów, doktorów, po różnych biurach, którzy nie czując powołania do stanu duchownego obrali sobie inny zawód i z chlubą pracują, jak i duchowieństwo pośród rodaków naszych.“

TAK opowiadał historię założenia i rozwoju seminarium polskiego w Ameryce sam ks. Dąbrowski. Opowiadał on tak ją w r. 1902. A w tym samym roku 1902 trzeba było pomyśleć o powiększeniu gmachu seminaryjnego i dnia 5 kwietnia 1902 roku rozpoczęto kopanie fundamentów pod nową kaplicę. Stara, domowa kaplica, refektarz i inne ubikacje wskutek napływu studentów stały się za ciasne. Czynny do ostatnich chwil życia, nie zrażony żadnymi przeciwnościami, ks. Dąbrowski myślał o budowie nowego skrzydła przy seminarium polskim.

TYMCZASEM zaszedł niemiły wypadek, który przyspieszył i, nawet powiedzieć można, spowodował śmierć ks. Dąbrowskiego. Oto „*dnia 23 stycznia roku 1903* — jak sam jeszcze pisze o tym do ks. Kruszki — *przedłożono mi piśmiennie ‚petycję,‘ podpisaną przez 29 słuchaczy teologii i filozofii, by w trzech dniach usunąć ks. J. Mueller'a z zajmowanej przez niego posady wicerektora i profesora, w razie przeciwnym podpisani zakład opuszczą, sprawę biskupom przedłożą, pod opiekę księży polskich się udadzą i do opinii publicznej przez gazety się odwołają. Jak każdy wyrozumieć może, nie była to ‚petycja‘ czyli prośba, ale groźba i to o tym zasadniczym błędzie, że podwładni rzucają się na władzę i żądają stanowczego jej usunięcia w trzech dniach. Rzecz jasna, że sprawa tego rodzaju nigdzie nie może być cierpianą, bo w razie przeciwnym zapanowała by w świecie zupełna anarchia.*

„Żaden zakład naukowy, w dodatku duchowny, żądań i gróźb tego rodzaju tolerować by nie mógł. Dałem im jeszcze deskę ratunku, by

przeprosili ks. wicerektora, a w przeciwnym razie z zakładu mają być wydaleni. A że ks. wicerektora przeprosić nie chcieli, sami sobie winni, że z zakładu wydaleni zostali.“

TO PISAŁ ks. Dąbrowski dnia 2 lutego 1903, a dnia 9 lutego dostał ataku serca i dnia 15 lutego zmarł na ten atak sercowy, spowodowany zmartwieniami i boleścią. Dla seminarium polskiego żył, dla seminarium się poświęcił i z żalu dla seminarium serce mu pękło.

PO ŚMIERCI ks. Dąbrowskiego biskup Foley w liście z dnia 21 lutego 1903, oddając cześć zasłudze ks. Dąbrowskiego oświadczył, że *„Dobre dzieło, rozpoczęte przez ks. Dąbrowskiego, będzie dalej prowadzone i utrwalone. Przy błogosławieństwie Bożym Seminarium ŚŚ. Cyryla i Metodego będzie utrzymane i plany szlachetnego założyciela pierwszego polskiego seminarium uszanowane.“*

List biskupa Foley'ego był niejako urzędową odpowiedzią kościelną na pośmiertną już modlitwę, którą śp. ks. Józef Dąbrowski zaniósł widać przed tron Boży, skoro tam stanął: *„Confirma hoc, Deus, quod operatus es in nobis.“*

Utwierdź to, Boże, coś w nas sprawił! — taka była niezawodnie pośmiertna modlitwa ks. Józefa Dąbrowskiego. Seminarium polskie w Ameryce będzie utrzymane i plan szlachetnego założyciela będzie uszanowany! — taka była odpowiedź na to biskupa Foley'ego.

HISTORIA SEMINARIUM POLSKIEGO i ostatnich lat ks. Dąbrowskiego w Ameryce we własnym jego opisie powyżej przytoczona, jest nawet pod względem pisarskim tak wymowna i tak przypominająca nam już nie tylko Plutarcha, ale i majestat prostoty ewangelicznej, że nie wypada mącić wrażenia, jakie zostawia ona w duszy człowieka inteligentnego i myślącego. Jak z Ewangelii po wszystkie wieki czerpią chrześcijanie swoje natchnienie, tak i z tej krótkiej autobiografii ks. Dąbrowskiego, z tej historii seminarium przezeń spisanej czerpać może i powinna swoje natchnienie Polonia amerykańska. Nic tam dodać i nic ująć, wczuć się tylko i zrozumieć.

Ale właśnie żeby wczuć się, żeby zrozumieć, to jak mamy niezliczone komentarze do Pisma św. i Ewangelii, tak dodajemy komentarz i do tej historii seminarium i ostatnich lat życia ks. Józefa Dąbrowskiego, jaką on sam dla potomnych skreślił tuż przed śmiercią. Weźmy rzeczy po kolei.

ZE SZCZEROŚCIĄ i prostotą męża zaiste apostolskiego opowiada ks. Dąbrowski w tej swojej historii o wszystkim, ale w jednym punkcie jest w jego opowiadaniu od początku aż do końca niedomówienie lub też przesada. Przesada jest mianowicie w tej wielkiej skromności, z jaką stale usuwa się na plan drugi, a wysuwa wciąż przed siebie i podnosi problematyczne zasługi innych.

Myśl założenia seminarium polskiego w Ameryce? Wcale on jej sobie nie przypisuje. Wtłacza ją „ex post facto“ w głowę i serce kardynałowi Ledóchowskiemu, choć nie bardzo mu z tym idzie i nie bardzo umie sobie z tym wtłaczaniem poradzić.

Kardynał Ledóchowski mianowany był kardynałem przez papieża Piusa IX dnia 13 marca 1874 r. Był on wówczas w więzieniu pruskim w Ostrowie, aresztowany i skazany tam jako arcybiskup gnieźnieńsko-poznański za to, że protestował i nie zgodził się na wydane przez rząd pruski w r. 1873 prawo, aby dzieci polskie nauczano religii w szkołach po niemiecku.

Dopiero dnia 3 lutego 1876 r. zwolniono go z więzienia z rozkazem, aby nie pokazywał się więcej w Poznaniu i wyjechał z granic Rzeszy Niemieckiej. Wyjechał on wówczas do Rzymu, ale i stamtąd nie przestawał rządzić, o ile mógł, archidiecezją poznańsko-gnieźnieńską, nie uznając dekretu rządu pruskiego, który żądał od niego rezygnacji i skazywał go na wygnanie. Dopiero w r. 1885, kiedy papież mianował go sekretarzem Kongregacji brewów w Rzymie, zrezygnował ze stolicy arcybiskupiej poznańsko-gnieźnieńskiej. Dopiero w r. 1892 mianowany został prefektem Propagandy, którym był już aż do śmierci.

NIE PAMIĘTA, zapomina, naumyślnie zapomina o tym wszystkim ks. Dąbrowski. W swej skromności stara się on myśl założenia seminarium polskiego w Ameryce przerzucić z siebie na kardynała Ledóchowskiego. Przypuszcza, że przeciętny czytelnik wcale się w tym nie połapie, bo przecież w czasie, kiedy to pisał, kardynał Ledóchowski stał już na czele Propagandy i do niego wszystkie sprawy kościelne w Ameryce należały.

Nie pamięta, zapomina, umyślnie zapomina ks. Dąbrowski, że się to przecież z rzeczywistością wcale nie zgadza. W czasie zakładania seminarium polskiego kardynał Ledóchowski jeszcze nie był kardynałem i prefektem Propagandy, więc jeszcze biskupi amerykańscy z nim urzędownie nie korespondowali i do niego nie pisywali o księży polskich. W roku 1870 kardynał Ledóchowski nie mógł snuć żadnych projektów o założeniu seminarium polskiego w Ameryce, ani otwierać takiej myśli ks. Moczygębie, bo wówczas w ogóle jeszcze w Rzymie go nie było.

Nie kardynał Ledóchowski, ale ks. Dąbrowski pisał z St. Francis do ojca Semeneńki w Rzymie już dnia 16 marca 1870 r., że „stan kolonii polskich w Ameryce pod każdym względem jest opłakany,“ że „nie mają księży polskich,“ że „nie ma ich gdzie kształcić,“ że „jest wprawdzie w Milwaukee seminarium, ale cóż z tego — angielsko-niemieckie,“ że „trza ratować sprawy póki czas“ . . . że „zapobiec złemu mogłoby chyba Zgromadzenie Ojców Zmartwychwstańców,“ i że „to jest możliwe, bo w podrzędnych koloniach można by pootwierać niższe szkoły,“ a w główniejszych „można otworzyć szkołę nawet wyższą.“

NIE kardynał Ledóchowski, ale ks. Dąbrowski już wówczas marzył o seminarium polskim w Ameryce i pisał, że „w wyższej szkole można

by i należało by koniecznie kształcić aspirantów do stanu duchownego, tak dalece, ażeby do seminarium już szli tylko na teologię, a przynajmniej, aby „tak kandydata w polskim wykształcić, aby podczas pobytu w seminarium nie zapomniał“ albo aby „dla kandydatów do stanu duchownego otworzyć konwikt, dokąd by z odleglejszych okolic aspiranci przybyć mogli . . . a zaś wracaliby na swe miejsca po wyświęceniu,“ i aby „w ten sposób nawet najodleglejsze kolonie . . . mogły się w kapłanów polskich zaopatrywać.“

Nie kardynał Ledóchowski, ale ks. Dąbrowski już w marcu 1870 r. tak pisał i tak marzył. Kardynał Ledóchowski jeszcze wówczas nie był kardynałem, lecz był w Poznaniu, a potem w więzieniu w Ostrowie i nie mógł jeszcze o tym wszystkim myśleć, bo czym innym był zajęty i co innego miał wówczas w głowie.

Skromność wielka, z wiekiem aż do rozmiarów zupełnego zapomnienia o sobie wyolbrzymiona, każe ks. Józefowi Dąbrowskiemu wbrew oczywistości wysunąć na front kardynała Ledóchowskiego oraz ks. Moczygębę, byle samemu w cień się usunąć. Oni podjęli myśl założenia seminarium polskiego w Ameryce, oni się zająć nią postanowili, oni jemu, ks. Dąbrowskiemu sprawę tę do rąk tylko złożyli, aby to dzieło z pomocą Bożą i z ofiarnością rodaków do skutku doprowadził. . .

KTO choć cokolwiek zna ówczesne polskie stosunki kościelne nie tylko w Ameryce, ale i w Rzymie, kto zna zwłaszcza historię założenia i oddania Ojcom Zmartwychwstańcom kolegium polskiego w Rzymie i wie, jak wielkie z tym trudności były, ten oczywiście dobrze rozumie, że ks. Dąbrowski mijał się z prawdą, kiedy w skromności swojej zasługę podjęcia myśli założenia seminarium polskiego przypisywał wpływom polskim w Rzymie, a zwłaszcza kardynałowi Ledóchowskiemu.

Niewątpliwie i kardynał Ledóchowski i władze rzymskie „ex post facto“ całej myśli tej sprzyjały, ale z pewnością same od siebie z nią nie wystąpiły. Musiano się tam liczyć z czujną strażą nad grobem Polski, którą jeżeli kiedy, to wówczas właśnie trzymały i wzmacniały, nawet w Rzymie, Rosja, Prusy i Austria.

Mógł o sprawie założenia seminarium polskiego w Ameryce marzyć, pisać i mówić i projekty snuć ks. Dąbrowski. Jemu Moskale i tak już nic zrobić nie mogli, bo on był na wygnaniu jako beznadziejny, skompromitowany powstaniec. Ale ludzie, którzy byli na stanowiskach, ale Zgromadzenie Księży Zmartwychwstańców, ale strzeżone pilnie i otoczone tysiącem intryg wpływy polskie w Rzymie, ale bodaj sam Watykan musiał się liczyć z wrażliwością czujnych agentów trzech państw zaborczych. Agenci ci nawet w rzeczach świętych politykę węszyli i zrobiliby z tego natychmiast nowy spisek polski za oceanem i podnieśliby wnet larum.

PODZIWIAMY tedy i szanujemy przedziwną skromność i pokorę ks. Józefa Dąbrowskiego, że zasługę własną stara się ukryć, „kamuflażować,“ innym przypisać, ale w imię historycznej prawdy musimy

powiedzieć tutaj, co i jak było naprawdę. A co było i jak było, łatwo odcyfrować nie tylko z dokumentów, ale i z samej logiki rzeczy, trzeba tylko raz na zawsze skończyć z poczętym ze skromności ks. Dąbrowskiego odwoływaniem się aż do ks. kardynała Ledóchowskiego i do Rzymu.

Ks. Józef Dąbrowski kształcił się w Rzymie i niezawodnie był tak zwanym „Rzymianinem," to jest księdzem, który wszystko zawsze i wszędzie wiąże z Rzymem. Ale może właśnie dlatego wiedział on dobrze, że Rzym jest wieczny. Młyny w Rzymie mielą dobrze i gruntownie, ale pomału, a ks. Dąbrowski był sangwinikiem. W liście swoim do ks. Semeneńki z roku 1870, kiedy omawia brak księży polskich i potrzebę seminarium polskiego w Ameryce, ani wzmianki nawet nie czyni, aby tę sprawę poruszyć w Rzymie i z założonymi rękoma czekać, aż nam do gąbki spadną aż z Rzymu pieczone gołąbki.

Módl się, Pan Bóg dopomoże, ale pracuj sam, nieboże — oto zasada, którą stosował ks. Dąbrowski.

WYMIANA myśli i korespondencja ks. Józefa Dąbrowskiego z jego mentorem, ks. Semeneńką, niewątpliwie nie zakończyła się na tych dwóch listach, które doszły do wiadomości naszej. Trzeba by zbadać niedostępne dziś dla nas archiwum Ojców Zmartwychwstańców w Rzymie, gdzie niewątpliwie znalazłby się jeszcze niejeden list ks. Józefa Dąbrowskiego, tak jak niejeden z jego listów tkwi niezawodnie w archiwum sióstr Felicjanek w Krakowie i w innych archiwach kościelnych i prywatnych. Kto by te listy zebrał i wydał, przysłużyłby się historii Polonii amerykańskiej.

Logika rzeczy sama wskazuje, że ani ks. Dąbrowski korespondencji swojej z ks. Semeneńką nie zerwał, ani ks. Semeneńko listów jego bez odpowiedzi nie pozostawił. Omawiał pewno ks. Semeneńko te listy nieraz z księżmi, którzy stosunkami kościelnymi polskimi mogli się podówczas w Rzymie interesować. Jednym z takich był franciszkanin, penitencjariusz w Bazylice św. Piotra, ks. Leopold Moczygęba. Ks. Semeneńko niewątpliwie z nim się spotykał. Ks. Moczygęba był już poprzednio w Ameryce i, jak skądinąd wiadomo, założył najstarszą parafię polską w osadzie Panna Maria.

KS. MOCZYGĘBA niezawodnie znał się z kardynałem Ledóchowskim, który już od r. 1879 przebywał w Rzymie, ale nie był jeszcze prefektem Propagandy i biskupi amerykańscy jeszcze do niego żadnych raportów nie słali i o księży polskich go nie prosili. Było tak później po r. 1892, kiedy stał on się ich bezpośrednim przełożonym, ale wtedy seminarium polskie w Ameryce już od lat kilku prosperowało. Dawniej ks. Moczygęba, jeżeli w ogóle kiedy o założeniu seminarium polskiego w Ameryce z kardynałem Ledóchowskim rozmawiał, to rozmawiał chyba tylko prywatnie jako rodak, jako ksiądz znający stosunki w Ameryce, a może znający i listy ks. Dąbrowskiego do ks. Semeneńki.

Zresztą ks. Moczygębie wówczas w Rzymie nawet myśl tak śmiała do głowy nie przyszła, aby się rzucić na założenie seminarium duchownego. On chciał tylko drogę do tego usłać, chciał założyć jedynie kolegium przygotowawcze.

Stwierdza to nam zupełnie jasno i niezbicie jego petycja złożona wówczas Ojcu św. Leonowi XIII. Jeżeli zaś ks. Moczygęba miał wówczas jakie intencje jeszcze głębiej i dalej idące, to się z nimi — może właśnie po naradzie z ks. Semeneńką, a nawet kardynałem Ledóchowskim — nie ogłaszał, aby nie narobić sobie od razu różnych trudności. Zwykłe kolegium, choćby przygotowawcze do seminarium, to jeszcze ujdzie, ale seminarium duchowne, to już zupełnie inna sprawa. Ojciec św. zaraz inaczej by na to spojrzał i inaczej z tym postąpił, bo to już wkracza w sprawy kościelne, w sprawy nawet jurysdykcji.

PRZYTACZAMY tu petycję ks. Moczygęby złożoną Ojcu św., na której papież Leon XIII napisał własnoręcznie: Annuimus in omnibus iuxta petita. Oryginał tej petycji znajduje się w archiwum seminarium polskiego w Orchard Lake. W tekście łacińskim brzmi ona jak następuje:

SANCTISSIMO DOMINO
Nostro
Leoni XIII P. M.
feliciter regnanti.

P. Leopoldus Bonaventura Maria
Moczygemba Poenitentiarius in
Basilica Vaticana pro lingua Anglica.

Beatissime Pater.

PATER Leopoldus Bonav. Maria Moczygemba, Ord. Min. Con., jam Missionarius Apostolicus in Statibus — Foederatis Americae Septentrionalis et nunc Poenitentiarius in Basilica Vaticana pro lingua Anglica existens, provolutus ad Sacros Pedes Sanctitatis Vestrae humillime exponit: In America Septentrionali Statuum Foederatorum plus quam ducenta millia fidelium gentis Polonicae vitam gerere et sacerdotibus, qui eorum lingua pollent, valde indigere, quam ob causam maxime desiderat, Collegium pro eorum Juventute erigere, ut in eodem et in pietate et iis scientiis educetur, quo postea tam in Seminariis Episcoporum quam in aliis Academiis ad altiora studia admitti valeat. Ad opus vero hoc rite perficiendum Orator propriis mediis principium necessario ponere debet, et quae autem adhuc desunt, sperat, Deo adjuvante, ab iisdem fidelibus et fautoribus ejusmodi institutionis recipere, hinc Orator Sanctitatem Vestram humillime ac enixe exorat, ut ei facultatem benigne concedere dignetur, ut omnes suas eleemosynas, quas nunc jam possidet et quas etiam in futuro possidebit, pro hac institutione expendere valeat.

Quod pro gratia, etc.

Ex Aedibus Vaticanis die 14 Januarii, 1879.
Annuimus in omnibus juxta petita
Leo PP. XIII.

Ego infrascriptus S. Cognis de Propaganda Fide Secretarius, testor Rescriptum de quo supra conforme esse originali. —
Romae ex Aed. *S. Cognis* die 6 Februarii, 1879.

TRZEBA dokładnie powyższą petycję przestudiować. Są w niej trzy rzeczy, są w niej trzy punkty. Jest rzecz główna, o którą prosi ks. Moczygęba Ojca św. bezpośrednio, a mianowicie, ażeby Ojciec św. pozwolił mu „omnes suas eleemosynas, quas nunc possidet, et quas etiam in futuro possidebit, pro hac institutione expandere."

ZAKONNIKOWI z powodu jego ślubu ubóstwa nie wolno sobie żadnych ofiar, żadnej jałmużny zatrzymywać, ani dowolnie na cel, jaki jemu się spodoba, obracać. Ks. Moczygęba ma w posiadaniu swoim ofiary, które zebrał i przypuszcza, że i w przyszłości dalsze takie ofiary będzie posiadał. Podług ustawy jego zakonnej nie wolno mu nimi rozporządzać. Powinien oddać je swym przełożonym. Prosi on tedy Ojca św., aby na mocy władzy swej zwierzchnej zezwolił mu przekazać te ofiary na instytucję, którą chciałby on „erygować" dla kształcenia młodzieży polskiej w Ameryce. Taki jest główny bezpośredni cel petycji.

Ale jest w niej i punkt drugi. Przedstawia ks. Moczygęba w petycji swojej do Ojca św. zbożny swój zamiar, projekt, chęć erygowania (erigere) kolegium dla kształcenia młodzieży polskiej w Ameryce, ażeby młodzież, w tym zakładzie w pobożności wychowana, mogła potem (postea) być przyjmowana do seminariów biskupich i do innych akademii na studia wyższe. To jest rzecz druga. Nie przedstawia ks. Moczygęba Ojcu św. w tej drugiej sprawie żadnej prośby o przywilej jaki prawny specyficzny, np. o prawo lub pozwolenie erygowania tej instytucji, o której marzy, ale tylko powiadamia o niej i prosi, ażeby właśnie na nią miał prawo dotychczasowe ofiary, które posiada, i przyszłe, które zbierze i mieć będzie — jak ma nadzieję — złożyć.

PRZEZ INFERENCJĘ, która w prawie kościelnym ma znaczenie bardzo wielkie, jeżeli Ojciec św. pozwoli ks. Moczygębie ofiary swoje przelać na rzecz instytucji, o której mowa, to tym samym „eo ipso," „implicite," zgodzi się również i na erygowanie tej instytucji, która jeszcze nie istnieje, ale zdaniem ks. Moczygęby istnieć może i powinna. O formalne jej uznanie i formalną jej erekcję ks. Moczygęba nie prosi, bo oczywiście na to jeszcze jest za wcześnie. W zaczątku, w jakim się ta sprawa znajduje, prosi on tylko o uznanie jej w zasadzie, chociażby tylko przez inferencję, „implicite."

Jako motyw prośby swojej przedstawia ks. Moczygęba Ojcu św. istnienie w Ameryce przeszło dwustu tysięcy katolików polskiego pochodzenia, którzy bardzo potrzebują „valde indigere“ kapłanów władających ich językiem. Oczywiście, jeżeli Ojciec św. zgodzi się na to, o co prosi ks. Moczygęba bezpośrednio w punkcie pierwszym, to — przez inferencję — uzna również rzecz drugą, jako potrzebę i dezyderat, a z kolei uzna — również przez inferencję — i rzecz trzecią, jako poważny i słuszny motyw i rację bytu wszystkiego, o czym mowa jest w petycji.

NIEZAWODNIE tak musiał zrozumieć petycję ks. Moczygęby Ojciec św. Leon XIII, bo własnoręcznie napisał na niej: *„Annuimus in omnibus iuxta petita — Leo PP. XIII.“* Własnoręczny podpis i rezolucję Ojca św. Leona XIII na petycji stwierdził urzędownie sekretarz Propagandy S. Cognis dnia 6 lutego 1879 roku. Nie ma w całym tym reskrypcie rzymskim na petycję ks. Moczygęby żadnej jeszcze decyzji co do założenia seminarium polskiego w Ameryce, ale zrobiona już jest podstawa, na której można było budować.

Podpisał się Ojciec św. na dokumencie, który uznaje brak i potrzebę kapłanów władających językiem polskim dla istniejących już przeszło dwustu tysięcy katolików polskiego pochodzenia w Ameryce. Podpisał się Ojciec św. na dokumencie, który uznaje potrzebę założenia specjalnej instytucji dla młodzieży polskiej kształcącej się na księży. Podpisał się Ojciec św. na dokumencie, który uznaje powyższą potrzebę za tak ważną i naglącą, że — dla zadosyćuczynienia jej — dyspensuje zakonnika nawet od zachowania ustaw zakonnych i pozwala mu wszelkie jałmużny — obojętne, na co je otrzymał lub otrzyma — przelać na fundusz tej instytucji.

NIE MA wzmianki w petycji ks. Moczygęby o tym, że on ofiary, które posiada lub które jeszcze będzie posiadał, otrzymał właśnie na instytucję, o której mowa. Może otrzymał je właśnie na to, a może na co innego, na inne dobre cele, ale wszystkie je *(omnes suas eleemosynas)* może on użyć na instytucję dla kształcenia na księży młodzieży polskiej w Ameryce, aby lud polski miał kapłanów Polaków, władających dobrze językiem polskim. Taka decyzja władzy kościelnej, i to najwyższej, decyzja samej Głowy Kościoła, Ojca św., miała znaczenie zasadnicze. Z taką decyzją wszyscy liczyć się musieli, liczyć muszą i liczyć będą.

Kto wie, czy nie współdziałali w całej tej sprawie i w stylizacji petycji ks. Moczygęby inni patriotyczni księża, jak np. ks. Semeneńko, a może i kardynał Ledóchowski, który podówczas nie był jeszcze wprawdzie prefektem Propagandy, ale mieszkał już w Rzymie, jako kardynał i jako wygnany z swej ojczyzny arcybiskup gnieźnieńsko-poznański i był bezwzględnie głową Polonii przy Watykanie, o którą wszystko, co tylko polskie, się obijało. Kto wie, czy i ks. Dąbrowski jeszcze w Polonii drogą okólną przez ks. Semeneńkę albo ks. Barzyń-

skiego, który często z Rzymem korespondował, nie był o tym wszystkim powiadomiony.

JAKKOLWIEK BYŁO, fakt jest faktem, że petycja ks. Moczygęby i reskrypt dany mu przez Ojca św. Leona XIII miały dla sprawy założenia seminarium polskiego w Ameryce znaczenie wielkie i były sukcesem na gruncie rzymskim. Dalej atoli w Rzymie już sprawy nie forsowano. Ks. Moczygęba zwinął manatki w Rzymie. Zrezygnował ze stanowiska penitencjariusza w Bazylice św. Piotra i ponownie przybył do Ameryki.

Za pierwszym razem był w Texas, dokąd przywędrował z Polakami ze Śląska i założył parafię polską, Panna Maria. Tym razem zaczął on jeździć i kwestować. Mówił, że kwestuje na założenie seminarium polskiego w Ameryce. Ale mu kwesta nie szła i z czasem sprzykrzyła się, bo był już podeszły w latach. Uległ tedy „pokusie“: przyjął propozycję biskupa Patryka Feehan'a z Chicago i jął organizować parafię polską w Lemont, Illinois. Zbudował tam piękny drewniany kościół śś. Cyryla i Metodego na malowniczym wzgórzu, które nazwał Jasną Górą. Osiedlił się, założył szkołę i klasztorek dla sióstr Felicjanek.

W TYM czasie coraz bliżej zaprzyjaźniał się z ks. Dąbrowskim. Często rozmawiali poufnie o przyszłości Polonii amerykańskiej, która obu leżała na sercu. Jakach ona będzie? Zginą Polacy. Wynarodowią się. Sprotestancieją. Trzeba ratować.

— Księże Józefie, ja nie mogę. Ty jesteś młodszy. Kształcisz już siostry, kształć nam i księży. Załóż polskie seminarium. Oddam ci wszystkie moje grosze, którem już zebrał, które posiadam. Prowadź to dalej.

— Bóg mi świadkiem, iż dość mam już kłopotów, ale jeżeli taka wola Boża, to niech się stanie... Dobrze, Ojcze! Wezmę się do seminarium, tylko mi pomóż.

TAK naradzał się może ks. Dąbrowski z ks. Moczygębą. Wtajemniczali powoli w sprawę innych księży zaufanych. Ale ks. Dąbrowski to wielki legalista! Zanim dzieło rozpoczął, badał wszelkie możliwości i zabezpieczył się w glejt kościelny. Wiedział, że nie można improwizować w sprawach kościelnych niczego na swoją rękę, bez wiadomości, bez pozwolenia i bez oparcia się na władzy kościelnej, która w tych rzeczach jest wszystkim. Gdy tedy powziął decyzję, najpierw zwrócił się wprost do władzy i nie od góry, ale od dołu. Wiedział, że gdyby próbował od góry, nie wiele by wskórał ponad to, co wskórał już ks. Moczygęba. Juścić papież wszystko może, ale do Rzymu droga daleka. Ks. Dąbrowski poszedł więc najprzód do biskupa, do swego ordynariusza. Biskup jest na to. Ma on dość władzy. Czego sięgać zbyt daleko? Mogło by to co najwyżej sprawę podać w podejrzenie, gdyby się w niej pominęło pierwszą instancję.

KS. DĄBROWSKI — jeszcze raz to powtarzamy — był legalistą. Był przede wszystkim synem Kościoła, zawsze lojalnym, szczerze posłusznym biskupowi, pod którego jurysdykcją się znajdował. Zarówno w Green Bay jak i w Detroit zyskał sobie u biskupów markę kapłana i „prawdziwego Izraelity," na którym zawsze i we wszystkim polegać można. Zwrócił się tedy bez owijania sprawy w bawełnę do swojego ordynariusza, do biskupa Borgessa w Detroit.

Przechowała się petycja, a nawet dwie kolejne petycje, jakie złożył ks. Dąbrowski ówczesnemu biskupowi w Detroit w sprawie założenia seminarium polskiego. Jedna ogólna, raczej nieśmiała, okrąża temat z daleka i mówi tylko o kolegium dla Polaków. Druga, już specyficzna, dokładna, jasno i wyraźnie sprawę stawia i o pozwolenie na założenie seminarium polskiego w Detroit apeluje. Pierwszą napisał i podał dnia 21 lutego 1884 r., drugą dnia 2 marca 1884 r. Treść pierwszej petycji była następująca:

Right Reverend Sir:

Many years ago together with Father Moczygemba we are thinking of preparing Polish youth to the priesthood, and we came to the conclusion that it can be done only by the college for the Poles. We trusted our thoughts to the Father Machdzicki, the past vice-rector of the seminary in Dublin, and he at once was determined to offer his work, if such an institution would be erected. Father Moczygemba besides offers for the benefit of the college a fund, which could be made from the selling of the lots and grounds which are destined for this purpose. Finally, the collections will deliver a sufficient sum of money for this institution, as it is the first and most necessary. FOR MY PART I OFFER MYSELF ENTIRELY FOR ALL KIND OF POSSIBLE WORK.

This institution will be especially erected for educating young Poles to the priesthood. For the matter of this college we expect the help of all Right Reverend Bishops of the states, having in their respective dioceses Polish population, as they often expressed it. With the time the Bishops of different parts of Poland may help with required teacher priests, as they suggested the idea of erecting the college. This institution will have its Rector, and all the rules of all other institutions of such kind, but entirely will be submitted to Right Reverend Bishop of Detroit, without whose will and permission nothing could be done. I hope that God will bless this work which is only for His glory.

Now having represented in general our plans, I humbly beg Your Lordship for blessing and permission of erecting such institution in the city of Detroit, that it may raise and prosper under Your paternal patronage.

Most humbly and respectfully,
Your servant Joseph Dombrowski

JAK WIDZIMY, ostrożnie kołuje, krąży petent w powyższym liście swoim do biskupa Borgessa. Wspomina innych biskupów w Stanach Zjednoczonych, z którymi o sprawie nieurzędowo i prywatnie, osobiście lub przez drugich już rozmawiał i którzy pewne poparcie obiecali. Wspomina także biskupów w Polsce, od których jakoby myśl ta wyszła i którzy w przyszłości do zrealizowania jej przez przysłanie księży profesorów dopomogliby. Gdyby ks. Dąbrowski miał dokument czy choć obietnicę jakiego poparcia w tej sprawie również z Rzymu, to niezawodnie w powyższym liście nie omieszkałby się również i na to powołać.

Ale z Rzymu widać nic nie miał, a na dokument, jaki posiadał ks. Moczygęba, trudno się było powoływać, bo bezpośrednio dotyczył przecież czego innego, rozstrzygał raczej tylko „casus conscientiae."

Nie powołuje się tedy ks. Dąbrowski na żadną decyzję ani wskazówkę z Rzymu, nie wtrąca w sprawę czynników rzymskich, pisze od siebie i co najwyżej powołuje się na swych przyjaciół, na ks. Moczygębę i na ks. Machdzickiego, który jako były wicerektor seminarium duchownego w Dublinie w Irlandii mógł mieć pewien autorytet jako kapłan wychowawca doświadczony, cieszący się u władzy kościelnej dobrą opinią.

KS. BISKUP BORGESS odpisał ks. Dąbrowskiemu rychło i przychylnie. Przyznał, że założenie kolegium dla młodzieży polskiej byłoby rzeczą niezmiernie pożyteczną. Zwłaszcza, jeżeli młodzież w tym zakładzie przygotowywać się będzie do kapłaństwa, to taki zakład o tyle większe miałby znaczenie. Całym sercem myśl tę ks. biskup wita i pragnie zrobić, co tylko może, ażeby zakład ten uruchomić. Dobrze by było całą tę sprawę bliżej omówić ze wszystkimi zainteresowanymi. Niech ks. Dąbrowski razem z ks. Moczygębą i ks. Machdzickim przyjdą do niego osobiście.

Ciekawy ten, a nigdzie jeszcze nie drukowany list biskupa Borgessa przytaczamy tu w oryginale.

February 23, 1884

Rev. Joseph Dombrowski
Rev. Dear Sir:

WE do not entertain the least doubt, that the establishment of a college for young men of the Polish tongue, enabling them to receive a higher and more perfect education, would be a great advantage to the rising generation, and receive a well deserved encouragement. But as the inauguration of this college aims also to evoke and foster the vocations of young men for the priesthood, and prepare them for the holy ministry, we hail its institution with a cordial welcome, and shall be happy in doing everything in our power to insure its success. We beg to suggest,

that it would be good for Father Moczygemba, Father Machdzicki, and you to meet us for further consultation as soon as it is quite convenient.

Yours in Christ,
C. H. Borgess
Bishop of Detroit

ZACHĘCONY listem biskupa Borgessa ks. Dąbrowski odpisuje mu natychmiast. W drugim swoim liście, z dnia 2 marca 1884, pisze już obszerniej i wyraźniej tłumaczy, że chce założyć dla Polaków seminarium duchowne. Prosi wyraźnie o pozwolenie na to. Nawiązując w drugim liście do poprzedniego, pisze do biskupa tak:

RIGHT REVEREND SIR:

LATELY I have represented in general the thought of erecting an educational institution in preparing the clergy for the Poles. Now I will describe more particularly, the institution in itself, as intended. Strictly saying, it should be an ecclesiastical seminary with the complete studies of Philosophy, Theology, Church History, Church Law, etc. Besides this will be taught different branches of natural philosophy as Physics, Chemistry, Mechanics, etc., as it is required in our times. We introduce this, that the priest may not be in a lower degree of education, than the rest of the people, whom he is the spiritual father, and in the name of Church teacher of divine truths.

The entire plan of studies of the seminary, with the authors will be submitted to the opinion and decision of Your Lordship, without whose permission and will, nothing could be done. To have the control and security of program in studies every half year will be held a public examination, in the presence of the Right Reverend Bishop.

Even if the study is of great value, and we will try to raise it as high as possible, but it is not enough—at the same time, the seminary will pay especial attention to the moral education of the students, that they will progress in true piety, and that the priests will be the servants and men of God and that the Gospel and Christ will be the rule and model of their lives first performing themselves that, what they have to teach others—to be the teachers by word and life. A most learned priest without piety, and with a corrupted heart, would be more evil than good.

IN REGARD to the candidates, we expect many but differently educated, and consequently not all capable to be admitted to the higher studies, therefore, there will be necessary few preparatory classes, according to the candidates, and by this way all the materials will be successfully used for the benefit of the Church.

The seminary will have a Rector, etc., so as it is in other institutions of such kind with the entire submission and dependence to Right Reverend Bishop of Detroit.

In regard to Father Moczygemba and Father Machdzicki they will come to Detroit very soon. Father Moczygemba will arrive the fourth or the fifth of March and Father Machdzicki the fifteenth of this month. While they have different employments and live a great distance off, therefore, for the beginning they authorized me in all matters of seminary, as much as it could be done, with the permission of Right Reverend Sir. Now I most humbly pray for the permission of erecting this seminary at the city of Detroit, and we for our part, will try that this institution will entirely answer to the needs of the Church.

We expect that God will bless, and that under the patronage and paternal protection of Your Lordship, this will prosper and flourish to the glory of God and Church.

Most humble and obedient
Servant of Your Lordship,
Joseph Dombrowski

JEŻELI gdzie i w czym, to w powyższym swoim liście ks. Dąbrowski otworzył swoją duszę i wywnętrzył się z poglądów swoich na wychowanie duchowieństwa. Poglądy to najzupełniej katolickie i prawowierne, a z drugiej strony nowoczesne.

NAJPRZEWIELEBNIEJSZY KSIĘŻE BISKUPIE:

Przedstawiłem ostatnio w ogólnym zarysie myśl założenia instytucji wychowawczej dla przygotowywania kleru dla Polaków. Teraz przedstawię bardziej szczegółowo instytucję, jaką ją mieć chcemy.

Ściśle mówiąc, ma to być seminarium kościelne z całkowitymi i kompletnymi studiami filozofii, teologii, historii kościelnej, prawa kanonicznego, itd.

Oprócz tego wykładane będą rozmaite gałęzie naturalnej filozofii, jak fizyka, chemia, mechanika, itd., jak to w naszych czasach jest wymagane. Wprowadzamy to, ażeby kapłan pod względem swego wykształcenia nie stał na niższym poziomie, aniżeli reszta ludzi, dla których ma on być ojcem duchownym i w imieniu Kościoła nauczycielem prawdy Bożej.

Cały plan studiów w seminarium wraz z autorami podręczników przedłożony będzie do zaopiniowania i decyzji Waszej Ekscelencji, bez którego woli i zezwolenia niczego czynić nie będzie można. Ażeby kontrolować i zabezpieczyć program studiów, odbywać się będzie co pół roku publiczny egzamin w obecności Najprzewielebniejszego Księdza Biskupa.

Ale choć studia mają znaczenie bardzo wielkie i będziemy starali się podnieść je jak najwyżej, o ile tylko można, to jednak to nie wystarcza. Seminarium równocześnie będzie zwracało specjalną uwagę na moralne wychowanie studentów, ażeby czynili należyty postęp w prawdziwej pobożności i ażeby, gdy zostaną kapłanami, byli prawdziwymi sługami i mężami Bożymi, dla których ewangelia i Chrystus Pan będzie prawidłem i wzorem życia, i którzy sami najprzód będą czynić to, czego innych mają nauczać, i którzy będą nauczycielami słowa Bożego nie tylko słowem, ale i życiem. Najuczeńszy nawet kapłan bez pobożności i ze zepsutym sercem więcej by przyniósł zła niż dobra.

Co do kandydatów spodziewamy się ich dość wielu, ale z niejednakowym wykształceniem i wskutek tego nie wszyscy będą mogli być dopuszczeni od razu do wyższych studiów. Toteż koniecznym będzie mieć parę klas przygotowawczych stosownie do jakości wykształcenia kandydatów, ażeby w ten sposób wykorzystać skutecznie dla dobra Kościoła cały materiał zgłaszający się.

Seminarium będzie miało swój zarząd, itd., jak w innych instytucjach tego rodzaju, z całkowitą zależnością i posłuszeństwem dla Najprzewielebniejszego Biskupa w Detroit.

Co do Ojca Moczygęby i Ojca Machdzickiego — przybędą oni do Detroit wkrótce. Ojciec Moczygęba przyjedzie 4 albo 5 marca, a Ojciec Machdzicki 15 tegoż miesiąca. Ponieważ obaj mają różne zajęcia i mieszkają dość daleko, przeto na początek mnie dali upoważnienie do załatwiania wszystkich spraw dotyczących seminarium z pozwoleniem Najprzewielebniejszego Księdza Biskupa. Obecnie tedy pokornie proszę o pozwolenie założenia tego seminarium w mieście Detroit, a my ze swej strony postaramy się, aby ta instytucja w zupełności odpowiedziała potrzebom Kościoła.

Mamy nadzieję, że Bóg nam pobłogosławi i że pod patronatem i ojcowską opieką Waszej Ekscelencji instytucja ta będzie prosperowała i kwitła na chwałę Boga i Kościoła.

Wielce pokorny i posłuszny sługa Waszej Ekscelencji,
Józef Dąbrowski

TRZEBA zwrócić uwagę w powyższym liście zwłaszcza na dwie rzeczy charakterystyczne, a mianowicie: po pierwsze, na nacisk, z jakim mówi ks. Dąbrowski o ukształceniu nie tylko rozumów, ale i serc przyszłych aspirantów do stanu duchownego w tym seminarium; po drugie, na nacisk, jaki kładzie on na bezwzględne posłuszeństwo swoje i całego zarządu tego seminarium dla władzy biskupiej w Detroit. W omawianiu tego wszystkiego wykazuje równocześnie i praktyczność, i głęboką

znajomość ideału kapłana, który ma być „alter Christus," bo ma nie tylko uczyć, ale i czynić, być prawdziwą formą „gregis."

Toteż biskup Borgess po otrzymaniu tego drugiego listu już nie zwlekał. Wspólna konferencja jego, ks. Moczygęby, ks. Machdzickiego i ks. Dąbrowskiego widocznie się odbyła, bo biskup Borgess zawiadamia pod datą 3 marca, że będzie w domu aż do 13 marca wieczór i chciałby dojść do szczegółowego porozumienia się z ks. Moczygębą i z ks. Machdzickim, zanim uczyni krok stanowczy w tak ważnej sprawie.

"Before we attempt to proceed in such an important undertaking, and before beginning at all we must insure the permanency of the institution in securing the desired Reverend Professors and the other necessary support. We must know definitely what they can and are to do."

WSPÓLNA KONFERENCJA widocznie się więc odbyła. Zaraz po tej konferencji biskup przychyla się w zupełności do prośby ks. Dąbrowskiego. Czyni to w bardzo pochlebnym liście do niego, podnosząc jego zabiegi dotychczasowe i nie wspominając już wcale o ks. Moczygębie i ks. Machdzickim, którzy widocznie nie mogli wziąć osobistego udziału w przyszłej pracy seminaryjnej, ale zapewnili prawdopodobnie, że bez nich się obejdzie. Czyni to równocześnie w formie najzupełniej prawnej, wskazując w swoim dokumencie na obiektywną rację bytu seminarium polskiego w Ameryce i na jego przyszłą rolę jako seminarium służącego nie tylko diecezji detroickiej, ale i innym diecezjom w całej Ameryce.

DOKUMENT biskupa Borgessa z dnia 14 marca 1884 r., którym eryguje seminarium polskie w Detroit, którym upoważnia ks. Dąbrowskiego do działania w tej sprawie i który jest kamieniem węgielnym dla prawnego istnienia tego zakładu, przechowuje się w archiwum seminarium i brzmi jak następuje:

Wielebny Księże:

PONIEWAŻ jest obecnie blisko pół miliona katolików polskich w Stanach Zjednoczonych Ameryki i napływ ich coraz się zwiększa, przeto z roku na rok coraz trudniej o dostateczną liczbę dobrych i gorliwych dla nich pasterzy — z powodu braku księży mogących nauczać ich w ojczystym języku i zaspakajać ich potrzeby duchowne. Godne pochwały postanowienie Księdza, by uczynić szlachetny wysiłek założenia kolegium w mieście Detroit dla nauczania i duchowego urabiania polskich młodzieńców, którzy mają powołanie do stanu duchownego, będzie z radością witane przez wszystkich, którzy biorą sobie do serca dobro duchowne polskich katolików. Zatem upoważniamy Księdza do kwestowania datków na to ważne przedsięwzięcie w naszej diecezji i polecamy Go łaskawym względom Najprze-

wielebniejszych Biskupów innych diecezji, którzy będą mogli korzystać z tej instytucji.

C. H. Borgess
Bishop of Detroit

DLA ścisłości podajemy ten dokument w oryginale angielskim:

March 14, 1884

Rev. Joseph Dombrowski
Rev. Dear Sir:

THERE being at present nearly half a million of Catholics of the Polish tongue in the United States of America, and the immigration of the Polish people continuing to grow more numerous, it becomes more difficult from year to year to secure a sufficient number of good and zealous pastors for them, owing to the scarcity of priests who are able to instruct them in their nation's language, and minister to their spiritual wants. Your praiseworthy resolution of making the noble effort of establishing a college in the city of Detroit for the education and spiritual training of Polish young men who have a vocation for the priesthood, will be hailed with delight by all who take to heart the spiritual welfare of the Polish Catholics. We, therefore, authorize you to solicit aid for this important undertaking in our diocese, and beg to recommend you to the kind consideration of the Right Reverend Bishops of other dioceses who may share in the benefit of the institution.

C. H. Borgess
Bishop of Detroit

JAK to już zaznaczyliśmy, dokument ten jest wobec prawa kościelnego kamieniem węgielnym założenia i istnienia seminarium polskiego w Ameryce. Ks. Dąbrowski strzegł go zawsze jak źrenicy w głowie. Był on i jest „charterem" prawnym, kościelnym dla polskiego seminarium w Ameryce — w diecezji Detroit i po dziś dzień nim pozostał. Fakt, że w tym dokumencie biskup Borgess występuje jedynie w swoim imieniu i nie powołuje się na żaden inny rzymski dokument, ale jedynie na faktyczny stan rzeczy i na trudność w zaopatrywaniu parafii polskich w dobrych i gorliwych duszpasterzy, którzy by Polakom w ich ojczystym języku mogli nieść pomoc duchowną, stwierdza najlepiej, na jakim kościelnym gruncie prawnym oparte jest seminarium polskie. Nie jest to seminarium papieskie, ale nie jest i seminarium tylko diecezjalne.... Było to i jest seminarium kościelne polskie, prawnie przez biskupa w Detroit założone i pod jego władzą dla Polaków nie tylko dla jego diecezji, ale i dla innych diecezji amerykańskich istniejące.

FAKT, że w erekcyjnym dokumencie seminarium biskup Borgess upoważnia i prosi ks. Dąbrowskiego, aby to ważne dzieło, t. j. seminarium polskie w Detroit poddał także pod rozwagę biskupów innych diecezji, aby i oni raczyli obmyśleć odpowiedni udział w tak pożytecznym dla ogółu przedsięwzięciu, jest najlepszym dowodem, że choć seminarium jest w Detroit, to nie dla samego tylko Detroit i że ono powinno utrzymywać stałe stosunki i służyć i innym biskupom w Ameryce, którzy również — jak biskup Borgess się spodziewa — zajmą się nim, odpowiedni udział w tym zbożnym dziele wezmą i swoim wpływem oraz powagą i życzliwością swoją je otoczą.

TAK MYŚLAŁ i tak erygował seminarium polskie w Ameryce biskup Borgess. A uczynił on to w myśl rady i usilnych zabiegów ks. Józefa Dąbrowskiego. Biskup Borgess stwierdza to jak najdokładniej. Ks. Dąbrowski taki miał autorytet moralny, takie usilne zabiegi czynił około wzniesienia seminarium polskiego, że biskup Borgess nie mógł, widać, mu się oprzeć. Poszedł za radą męża Bożego, w którym widział uosobienie apostolstwa i ukochania ludu polskiego i sprawy Bożej.

Ks. Dąbrowski był przy tym wszystkim „spiritus movens." W jego ręku dzieło będzie rosnąć, prosperować. Poprą to dzieło Boże niewątpliwie również inni biskupi amerykańscy, skoro w tej sprawie taki mąż Boży, jak ks. Dąbrowski do nich przemówi. Taki jest sens dokumentu erekcyjnego. I nie pomylił się biskup Borgess. Tak było zasadniczo za życia ks. Józefa Dąbrowskiego.

DOPIERO po jego śmierci znaleźli się tacy — nawet wśród księży polskich — co się w tym wszystkim nie orientowali i bez żadnej potrzeby aż w Rzymie w archiwach po próżnicy szukali aktów erekcyjnych seminarium polskiego w Ameryce. Nie rozumieli zresztą może dobrze tego, że dzieło Boże nie papierami i biurokracją, ale duchem Bożym stoi i że narzędzia Ducha Bożego są nieraz bliżej, niż ich szukamy, bo „Duch, kędy chce, tchnie i działanie jego widzisz, chociaż nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd idzie."

W błąd wprowadzała nieświadomych co do erekcji seminarium polskiego zwłaszcza owa rzymska petycja ks. Leopolda Moczygęby z własnoręczną adnotacją na niej papieża Leona XIII: *annuimus in omnibus iuxta petita.* W błąd też ich wprowadzała wielka skromność ks. Józefa Dąbrowskiego, który swe dzieło w historii ks. Kruszki wszystkim innym chciał przypisać, tylko nie sobie. *„Przyjacielu, posuń się wyżej!"* — musi powiedzieć mu dziś historia. Człowiek w historii urasta w miarę tego właśnie, im był skromniejszy i im mniejszymi środkami rozporządzał, a im większego tymi środkami dzieła dokonał.

Tak się przedstawia rola ks. Dąbrowskiego w sprawie założenia seminarium polskiego w Ameryce wbrew nawet temu, co on sam o tym do ks. Kruszki niegdyś napisał.

1885-1886

A TERAZ pójdźmy dalej w komentarzu naszym do historii seminarium polskiego w Ameryce, jaką pozostawił nam sam ks. Dąbrowski u ks. Kruszki.

Rozdział drugi tej historii opowiada nam o miejscu i budowie seminarium, rozdział trzeci o rozwoju, rozdział czwarty o profesorach, rozdział piąty o duchowieństwie wychowanym w tym seminarium. Nie piszemy historii tegoż seminarium, ale życiorys jego założyciela, ks. Dąbrowskiego, i dlatego komentujemy tu tylko to, co do tego życiorysu się odnosi, wszystko inne pomijając. Pomijamy tedy rozdział piąty o duchowieństwie wychowanym w seminarium polskim, założonym przez ks. Dąbrowskiego, pomijamy rozdział czwarty o profesorach, którzy uczyli w tym seminarium, chcielibyśmy pominąć rozdział trzeci o rozwoju i rozdział drugi o miejscu i budowie, ale tych już pominąć nie możemy. Życie bowiem ks. Józefa Dąbrowskiego w ostatnim jego dwudziestoleciu, nawet śmierć jego w roku 1903 utożsamia się już właściwie z seminarium i, pisząc o jednym, pisze się przez to samo i o drugim.

PISZĄC tedy monografię ks. Józefa Dąbrowskiego można by postawić tutaj już kropkę i odesłać czytelnika do historii seminarium polskiego w Ameryce. Tam jest dalszy ciąg, tam go szukaj, tam go czytaj — można by powiedzieć. Już od roku 1874, t. j. od czasu sprowadzenia sióstr Felicjanek do Ameryki, ks. Dąbrowski i ich historia to jedno i to samo. Tak samo od roku 1884, t. j. od czasu erygowania seminarium polskiego w Ameryce, ks. Dąbrowski i historia seminarium to też jedno i to samo. Tylko że tutaj ten ks. Dąbrowski nie ma już Matki Moniki, za którą tam się z swymi zasługami chowa. Próbuje on na początku i tutaj, jak widzieliśmy powyżej, chować się za plecami ks. Moczygęby i ks. Machdzickiego, ale wnet się to urwało. Obaj oni wnet usunęli się. „Twoje to dzieło, ty je prowadzisz, a więc sam za nie odpowiadaj.“

Z konieczności ks. Dąbrowski musiał się zgodzić na ten stan rzeczy, choć to skromności jego bynajmniej nie odpowiadało. Toteż w historii seminarium z pierwszych dwudziestu lat jego istnienia, dopóki żył ks. Dąbrowski, zaobserwować można dosyć wyraźnie rzecz szczególną, że tam jak gdyby kręcił się ciągle opatrznościowy jakiś anonim. O wszystkim mowa, wszystko tam widać, tylko nie jego. Ten anonim to rektor seminarium, ks. Dąbrowski. Nazwać by go chyba trzeba „księdzem

rektorem za kulisami." Na estradzie, wśród reprezentacji nigdy prawie go nie widać. Jest przy pracy i to ciężkiej za parawanem, za kulisami.

MIEJSCE, BUDOWA? On wybiera miejsce, on grunt kupuje, on zapisuje tytuł własności podług prawa kościelnego na biskupa. Nie ma gotówki nawet na zapłacenie za parcelę, t. zw. „lotę," bo przechowała się kopia listu biskupa Borgessa, w którym biskup pisze wyraźnie pod datą 26 kwietnia 1884, co następuje:

Rev. Joseph Dombrowski:
Rev. Dear Sir:

WE hereby authorize you to negotiate a temporary loan of five thousand dollars ($5,000) for the purpose of paying for the property, bought for the contemplated Polish Seminary.

Yours in Christ,
C. H. Borgess
Bishop of Detroit

W dwa lata potem znowu pisze do niego tym razem kanclerz diecezji:

Rev. Joseph Dombrowski,
Detroit, Michigan
Rev. Dear Sir:

Permission is hereby granted you to borrow money to the amount of twenty five hundred dollars ($2500), on the new Polish Seminary.

M. J. P. Dempsey, Secretary
March 28, 1886

ŚLADÓW zaciągania podobnego rodzaju pożyczek można znaleźć więcej, zwłaszcza w okresie czasu od roku 1884 do 1887, kiedy ks. Dąbrowski budował budynek seminaryjny. Sam był przy tym finansistą, architektem, przedsiębiorcą, sam murarzem i robotnikiem w połatanej sutannie i w podartym obuwiu, że aż przechodnie się litowali. Okoliczni polscy robotnicy stawali nieraz na ochotnika z nim do pracy i pomagali jego majstrom. Jeden z tych ochotników, szanowany ogólnie w mieście obywatel, Wojciech Stieber, ojciec jednej z Felicjanek, pobożną taką swoją pomoc przy tej budowie nawet życiem przypłacił. Ofiarował się on umieścić statuę Najśw. Panny we framudze na szczycie budynku i kiedy ją już ustawił, jakoś stracił równowagę, spadł z wysokości i niestety zabił się na miejscu.

CAŁA BUDOWA przeciągała się dość długo, bo i na materiał również brakowało pieniędzy. Ks. Moczygęba doręczył ks. Dąbrowskiemu swą gotówkę — jak w historii przez ks. Dąbrowskiego po angielsku spisanej czytamy — ale było tego zaledwie 4,000 dolarów a nie, jak mylnie jest podawane, osiem tysięcy. Poza tym miał on jeszcze parcele w rozmaitych miejscach, ale dużo było z tym kłopotu, ażeby je sprzedać i trochę grosza z tego zebrać. Ks. Dąbrowski tym również się zajmował. Zaiste — jak on sam pisze w swojej historii seminarium — trudno uwierzyć, ile temu zakładowi, a my powiedzmy sobie wyraźnie, ile ks. Dąbrowskiemu stawało przeszkód do zwalczania.

KALWARIĄ była zwłaszcza kwesta na seminarium. Żyją jeszcze stare „polusy" rozrzucone tu i ówdzie po całych Stanach Zjednoczonych, co pamiętają, jak ks. Dąbrowski zajeżdżał do ich dalekich osad i żebrał wsparcia na budowę seminarium. Słuchali oni, jak o żelaznym wilku, opowieści jego o tym jakimś tam gdzieś seminarium, które dla nich budował. Czasy były bardzo ciężkie. Robotnik polski mało zarabiał. Dolara dziennie za ciężką pracę, to już było bardzo dobrze. Ale litowali się ludziska. Taki szmat drogi ksiądz tu przyjechał, trzeba mu dać choć kilka centów i poczęstować choć gorącym kubkiem kawy. A on mówił: „Będziemy chrzcić ją" i dolewał sobie wody do tej kawy, bo za mocna dla niego była.

Jeździł po „kontrach" i hen po „peciach," i do górników i hen do drwali. Dawał pamiątki i obrazeczki. Ludzie aż głową nieraz kiwali, że to „mizerak tak się marnuje," i aż tak z daleka do nich przyjechał, i tak im się „sumituje," i taka „dobroć" z oczu mu patrzy, a taki swojak i tak o Panu Bogu, i o polskości, i starym kraju im opowiada. Niechże „księżulek" choć przenocuje, bo się tak zdrożył. Ale jemu się spieszyło. Miał z sobą dużą dziadowską torbę, do której zbierał nawet miedziaki. Ot, co łaska. Z nimi wracał ze swych żebraczych, a równocześnie i apostolskich wycieczek znowu do swojej kielni przy budowie fundamentów budynku seminaryjnego. Cieszył się nieraz jak małe dziecko, że jego torba mu aż ciężyła i że siostry Felicjanki będą dziś miały co liczyć, gdy jej zawartość wysypie.

TARŁ jednak czoło i skrobał się po głowie na myśl, czy go tam w domu nie czeka jaka nowa bardzo przykra niespodzianka. Bo przychodziły one z dnia na dzień. Z ludem szło jakoś, gorzej było z górnymi sferami, z niektórymi biskupami i z księżmi. Nie każdy biskup miał tego ducha, co biskup Borgess i nie każdy go rozumiał. Byli i tacy, którzy uważali go za dziwaka, nacjonalistę i Bóg wie za co. Przed swą kwestą rozsyłał listy o pozwolenie kwestowania i o błogosławieństwo, powołując się na swego biskupa. Prosił również o poparcie u innych. Gorzkie pigułki odbierał często w odpowiedzi na to i od biskupów, i od księży, nawet polskich. Musiał nieraz się tłumaczyć. Nie każdy z księży polskich był jak ów patriarchalny patriota polski w Buffalo,

ówczesny proboszcz, ks. Jan Pitass, który ks. Dąbrowskiego zawsze cenił i popierał i którego kieszeń była dla niego zawsze otwarta.

BYLI i tacy, którzy mówili, że ks. Dąbrowski jest wprawdzie księdzem dosyć uczciwym, nawet pobożnym, ale ma „kręćka" i jest za wielkim nacjonalistą. Ameryka to nie Polska, powinien on to przecież zrozumieć i nie afiszować się tak z polskością, bo na tym koniu daleko nie ujedzie. „Zresztą, co za kompan z niego? Wciąż tylko gada o seminarium i o kolekcie, a mnie samemu w mojej parafii trudno jest zebrać dziś nawet na procent." Tak na zabiegi ks. Dąbrowskiego reagowali niektórzy księża. Ale z polskim duchowieństwem było jeszcze względnie dobrze. Gorzej z angielskim i z biskupami.

„KSIĘŻE DĄBROWSKI: Otrzymałem cyrkularz Księdza i zupełnie aprobuję plan Księdza, ale nie mogę pozwolić na kwestowanie w mojej diecezji w obecnym czasie, ponieważ buduję katedrę i prawie wszystkie parafie obciążone są długami. Po paru latach może zmienią się okoliczności i wówczas nie będę miał obiekcji. Życząc Księdzu błogosławieństwa Bożego w Jego przedsięwzięciu, pozostaję szczerze życzliwym w Chrystusie Panu."

Oto przeciętna odpowiedź od wielu biskupów. Czasem było jednak gorzej i ks. Dąbrowski tłumaczyć się musiał. W papierach po nim pozostał brulion jednego właśnie z takich tłumaczeń, którego angielski oryginał znajduje się w archiwum Seminarium Polskiego i które warto tu przytoczyć choćby tylko dla pamięci.

„NAJPRZEWIELEBNIEJSZY KSIĘŻE BISKUPIE:

Otrzymałem list Wielebnego ks. Kerstena, kanclerza Waszej Ekscelencji, napisany do mnie w imieniu Waszej Ekscelencji w sprawie seminarium polskiego w Detroit.

W liście tym Wasza Ekscelencja zwraca mi uwagę na rzeczy następujące:

1. *Trudność w znalezieniu odpowiednich profesorów.*
2. *Szczupłe i niedostateczne fundusze na utrzymanie seminarium.*
3. *Zbędność w ogóle seminarium, bo po kilku latach co najwyżej seminarium polskie w Ameryce będzie już dla nas niepotrzebne.*

Oczywiście cenię sobie należycie te uwagi i powinienem istotnie nad nimi dobrze się zastanowić, zanim zacznę stanowcze kroki w celu zrealizowania takiego ważnego przedsięwzięcia. Jakkolwiek jednak powyżej wzmiankowane trudności są bardzo poważne, nie mogą jednak być stanowczą przeszkodą do założenia u nas seminarium polskiego. Owszem, dziś właśnie jest czas najwyższy i najodpowiedniejszy na założenie go, jak postaram się wykazać. A więc co do znalezienia profesorów nie jest

to rzeczą trudną, bo wielu jest księży polskich wykształconych, którzy skazani są na wygnanie przez rząd rosyjski i pruski po zamknięciu wielu seminariów polskich w Polsce. Poza tym papież Pius IX założył właśnie już przed 20 laty w Rzymie specjalne polskie seminarium, w którym studenci otrzymują całkowite i dokładne wykształcenie teologiczne i filozoficzne i z którego wychodzą księża zdolni i ze stopniami naukowymi. Księża ci są pod względem naukowym dobrze wyszkoleni, a pod względem duchowym wyrobieni w cnocie i pobożni. Dużo z nich ukończyło już swe studia, a z powodu przeszkód, jakie stawiają im rządy zaborcze, nie mogą otrzymać odpowiedniej posady w Polsce. Z wielu spośród nich jestem w stałej korespondencji i nie będzie trudności, aby sprowadzić ich tutaj, bo zresztą nawet sprawy ich osobiste muszą ustąpić wobec potrzeby i ważniejszej sprawy ogólnej Kościoła. Co do utrzymania seminarium też trudności wielkiej nie będzie. Zakład fundusze dostateczne swoje znajdzie i mieć będzie niewątpliwie. Trzeba stanowczo pamiętać o tym, że Polacy chociaż są biedni, zawsze jednak są chętni i ofiarni na cele religijne. Żaden jeszcze z ich kościołów, ani żadna jeszcze z ich instytucji religijnych nie upadła z braku funduszów, a cóż dopiero mówić o seminarium polskim duchownym, które jest dla nich tak niezbędne, które oni mieć pragną, któremu Pan Bóg pobłogosławi i które pod opieką będzie biskupów.

A teraz zastanówmy się nad tym, na jak długo seminarium polskie w Ameryce będzie konieczne i użyteczne? Narodowości polskiej w Europie jest 16 milionów, a emigracja jej do Ameryki ustawicznie wzrasta, tak że już obecnie mamy w Ameryce co najmniej z pół miliona Polaków. Po niewielu latach będziemy tu liczyć ich na miliony, a wszyscy z nich są to przecież katolicy. W najgorszym razie, gdyby nawet połowa ich młodej generacji zamerykanizowała się wnet tutaj, to zawsze jeszcze zostanie olbrzymie pole działania dla seminarium polskiego w Ameryce. A przecież obok tych, którzy już tu przybyli albo wkrótce przybędą i nauczą się już po angielsku, rezerwuar ludności polskiej w Europie rok w rok coraz nowe tysiące i tysiące nowych emigrantów tu ciągle przysyłać będzie, których potrzeby duchowne będą musiały również być zaspakajane.

Wasza Ekscelencja wspomina, że ze sprawą seminarium lepiej byłoby zaczekać, ale śmiem na to tutaj powiedzieć, że z tym „czekać“ jest to rzeczą wprost niemożliwą.

Ex natura rei clarum est, z natury rzeczy oczywistym jest, że aby zaopatrzyć religijne potrzeby tak wielkiej ludności katolickiej, jaką już dzisiaj w Ameryce jest ludność polska, trzeba setek księży polskich i to księży dobrze do tego przygotowanych, a więc wychowanych w instytucji specjalnie w tej sprawie zainteresowanej. Zupełnie specjalny rodzaj wychowania trzeba dać młodzieży polskiej, aby przygotować ją na księży polskich

i wlać w nią ducha polskiego, który by w kapłanie mógł przemówić należycie do katolików polskich i do ludu polskiego.

Tę potrzebę seminarium polskiego dla Polaków zrozumiało i uznało już bardzo wielu biskupów, którzy popierają nasze wysiłki pod tym względem. Niektórzy z nich obiecują nam nawet z prywatnej swojej kieszeni wspomóc nas przy budowie seminarium. Seminarium to zakładane jest z pozwoleniem i błogosławieństwem Ojca św. Leona XIII, i z pozwoleniem i całkowitą kontrolą Najprzewielebniejszego Biskupa w Detroit. „Loty“ pod budowę jego są już nabyte i około 5,000 dolarów są już w tę sprawę inwestowane i nie można sprawy zawiesić, albo odwlekać.

JEŻELI zaopatrzymy Polaków w księży zacnych i pobożnych, to lud polski pozostanie katolickim. W przeciwnym razie, jeżeli nie damy im księży polskich dobrych i jeżeli oni będą mieli księży złych, ignorantów i nie umiejących dostatecznie ich języka, nie umiejących przemówić do nich po polsku i powiedzieć im, jak należy, kazania polskiego i nauczyć ich należycie prawd wiary św. — to znaczna ich liczba stracona będzie w krótkim czasie dla wiary św. Jedna część ich stanie się amerykańską i z łatwością przejdzie na amerykański indyferentyzm. Druga część z powodu niedostatecznej liczby albo z powodu nieudolności księży nie umiejących po polsku i nie mających ducha polskiego pójdzie na lep agitatorów niekatolickich, i zacznie tworzyć narodowe, ale niekatolickie towarzystwa. Cała część ta wreszcie dostanie się pod wpływ tajnych organizacji i masonerii i zostanie wykolejona.

CO BYŁO niegdyś w Ameryce z ludnością niemiecką i irlandzką, zanim utworzone były dla niej niemieckie i irlandzkie seminaria, ten sam kłopot tylko może jeszcze gorszy będziemy mieli i z Polakami, jeżeli nie damy im polskiego. Jedynie tylko seminarium katolickie, polskie położy koniec temu wszystkiemu odpadaniu tu od wiary św. i ocali tu dla Kościoła ludność polską. Bez seminarium polskiego Polacy, jeżeli nie wszyscy, to co najmniej w znacznej części stracą tu wiarę jako w kraju protestanckim. Lepiej jest zawczasu pomyśleć o tym, aby utrzymać ich tu przy wierze św., katolikami, aniżeli potem ich nawracać, gdy już się staną niedowiarkami. Nawet jeżeli wszystko, co tylko można, dla zbawienia duszy nieśmiertelnej ludu naszego uczynimy, to i wówczas nigdy nie będzie tego za dużo.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, co w danej sprawie tu napisałem i na co wskazują mi zarówno fakta, jak i doświadczenie, mam nadzieję w Bogu, że i Plenarne Koncylium Baltimorskie przyjmie z radością i zadowoleniem myśl założenia w Ameryce seminarium polskiego, i weźmie je także pod swą

protekcję i opiekę, ażeby zabezpieczyć wiarę św. w sercach ludu bez względu na to, jakiej on jest narodowości i jakiego języka. Idzie bowiem tylko o to, aby Polacy w Ameryce mogli mieć należytą obsługę religijną i mogli być dostatecznie pod względem duchowym zaopatrzeni.

Wyjaśniwszy więc w krótkości, o ile to było możliwe, całą sprawę usilnie proszę Waszą Ekscelencję o jego pomoc i aprobatę i o protekcję.

Pokorny sługa, Józef Dąbrowski

TAKIE LISTY rozpisywał i tak argumentował w sprawie seminarium polskiego w Ameryce ks. Dąbrowski. Wzmianka w powyższym liście o Plenarnym Koncylium Baltimorskim daje nam dużo do myślenia, i tym dobitniej podkreśla pracę oraz zasługi bohaterskiego założyciela seminarium i prawdziwego ojca polskiego duszpasterstwa w Ameryce.

Takie listy pisać i tak przemądrze argumentować mógł zaiste jedynie tylko wielki Polak i wielki katolik — szaleniec Boży. Bo równocześnie proza życia — nawet wśród swoich — nogę mu wciąż podstawiała. Nie będziemy się nad tym rozwodzili, musimy jednak wspomnieć choć jeden przykład z tej prozy życia, przykład z okresu, w którym ks. Dąbrowski powyższy list pisał. Czytamy nieraz, że prawie każdy ze świętych Pańskich przed nadzwyczajnym jakimś swym czynem, który wykonał dla chwały Bożej, ni stąd ni zowąd nagabywany był przez szatana, co dzieło Boże jakby specjalnie starał się w samym zarodku zdusić.

KIEDY jeszcze w Polonii, Wisconsin, ks. Dąbrowski sprowadzić miał ze starego kraju Zgromadzenie Sióstr Felicjanek, aby pod jego troskliwym okiem rozrosło się w Ameryce i ostoją było u nas szkolnictwa polskiego parafialnego, diabeł mu zasiał w parafii bunty, niezależnictwo, z którym się długo musiał tam zmagać. Tak samo było również w Detroit, kiedy zakładał tu seminarium, ażeby kształcić młodzież na księży. Ni stąd, ni zowąd zwaliły mu się na głowę różne kłopoty, i to ze strony, z której ich najmniej się spodziewał.

Nie miał w Detroit ks. Józef Dąbrowski nic do czynienia z żadną parafią. Był kapelanem sióstr Felicjanek, w których kaplicy na wpół publicznej odprawiał sobie codzień mszę św. Tuż naprzeciw domu macierzystego sióstr Felicjanek, w których ogródku miał ks. Dąbrowski maleńką swą plebanijkę, była plebania, szkoła parafialna i kościół polski św. Wojciecha.

NALEŻY tutaj zrobić pewną atoli dygresję. Trzeba powiedzieć choć parę słów o ówczesnej diecezji detroickiej. Diecezja detroicka, w której Polacy zaczęli się podówczas osiedlać, utworzona była w roku 1833. Aż do roku 1843 nie miała ona na zachodzie żadnych ściśle określonych granic i rozciągała się aż na stan Wisconsin. Pierwszymi biskupami byli ks. biskup F. Ress i ks. biskup P. Lefevere, a od roku

1870 był tu ordynariuszem ks. biskup Borgess, po którym przyszedł w roku 1882 ks. biskup Foley, a w roku 1918 ks. biskup Gallagher. W tej diecezji detroickiej, w Parisville w powiecie Huron, powstała pierwsza osada polska, a w niej parafia i potem szkoła. Istnieje jeszcze dokument rządu federalnego Stanów Zjednoczonych z daty 1 lipca 1857 r. podpisany przez prezydenta James'a Buchanan'a, nadający osadnikom polskim koncesję na grunta w Parisville.

Ponieważ według ówczesnych praw każdy z emigrantów, ażeby otrzymać taki dokument, musiał już przedtem przynajmniej przez 5 lat uprawiać ziemię, do której rościł sobie pretensję, przeto Polacy w liczbie 24 rodzin, którzy dokument ten otrzymali, mieszkali w Parisville już co najmniej od roku 1852. Obsługę duchowną dawał im tam z początku Czech, ks. Klug, ale on w roku 1863 wyjechał do Meksyku. Polacy potem pozostawali dość długo bez żadnej opieki religijnej. Jednemu z nich wpadła w tym czasie do rąk jakaś książka religijna wydana w Paryżu we Francji przez ks. Aleksandra Jełowickiego.

Rada w radę napisali osadnicy list do niego. Ks. Jełowicki otrzymał list w Rzymie i stamtąd napisał do Zmartwychwstańców w Berlinie w Kanadzie, aby jeden z nich, ks. Breitkopf, dojeżdżał do Polaków w Parisville, zanim się dla nich znajdzie ksiądz polski. Z pomocą i za radą ks. Breitkopf'a Polacy wybudowali w Parisville mały kościołek i plebanijkę. W jesieni 1868 roku przybyli na stały pobyt do Parisville już z polecenia biskupa detroickiego dwaj księża Zmartwychwstańcy, ks. Szymon Wieczorek i jednoręki ks. Jan Wołowski wraz z jednym braciszkiem zakonnym. Ks. Wieczorek w liście swoim do Rzymu po objęciu tej placówki tak opisuje ówczesną polską parafię w Parisville.

„CAŁA PARAFIA składa się ze 127 familii, płacą 762 dolary rocznie na trzech nas ludzi. Na msze św. dają bardzo rzadko, mało się rodzi, a wcale nikt nie umiera, ani się żeni; jak w tym roku dojdzie do 800 dolarów, podług tutejszego sposobu życia, to brakować nam będzie jeszcze 100 dolarów. Na konia już nie wystarcza, a koń tu niezbędny, bo parafia 10 mil rozległa . . . Domki rozsiane po lesie, jak grzyby . . . Mieszkamy przy kościele w lesie, naokoło drzewa, a przy progu domu i kościoła pnie jeszcze stoją, trzeba ostrożnie chodzić, aby nosa nie skaleczyć; trzeba skakać z jednego na drugi. Domek nasz maleńki i prosty, tylko z desek, ani obielony nawet. Dwie stancyjki po pięć łokci szerokie, a dziesięć długie i kuchenka stanowią nasz pałac. Kościół duży, ale na pół wyporządzony. Jeden ołtarz i to na prostym stole. W całym kościele ani ławek, ani dzwonów, ani organów. Robię ołtarze, jak umiem, cyborium, lichtarze; hebluję, rżnę, kuję . . . Ani monstrancji, ani puszki, ani lichtarzy prawdziwych, bo osiem flaszek kanciastych zastępuje lichtarze — oprócz czterech ornatów z Rzymu i cokolwiek z bielizny kościelnej, nic więcej nie mamy."

W PARĘ LAT potem w liście swym do generała zakonu Zmartwychwstańców w Rzymie, pisanym dnia 25 stycznia 1871 roku, ks. Wieczorek tak opisuje znowu ówczesne warunki w Parisville.

„Kontent jestem z Irlandczyków, Szkotów, Niemców, Francuzów, Czechów, Włochów, ale nie tęgo mię zadawalniają Polacy, dla których pracuję. Polacy, wyrwawszy się z pod jarzma krzyżackiego, a zwłaszcza ciemne Ślązaki, dorwawszy się do wolności amerykańskiej, nie umieją jej używać i często wykraczają przeciwko przykazaniom. To jeszcze dobrze że 160 familii jest Poznańczyków. Ślązaków ledwo 13 (domagają się Breitkopf'a Niemca).

Kapłan tylko z polskim językiem tu się nie utrzyma, bo Polacy są jeszcze w kolebce co do farm swoich i ci znikają bardzo często stąd, a inni znów na ich miejsce przybywają. Są oni na kształt koczujących narodów, zatem nie ma stałego utrzymania od Polaków, zaś Niemcy, Francuzi, Irlandczycy i inne narodowości są tu od dawna osiadłe i przyzwyczajone zostają na miejscu i utrzymują kapłana. Od 16 miesięcy sam się mordując z dziećmi poczciwych i porządnych familii . . . uczę po polsku, angielsku, niemiecku pisać i czytać, rachować, itd., mając 2,000 dusz, rozproszonych na 40 mil ode mnie."

KS. WIECZOREK dojeżdżał także już wtedy do Polaków w Detroit, a gdy Parisville niebawem się spaliło, przeniósł się do Detroit w październiku 1871 roku.

Około roku 1871 było już Polaków w Detroit przeszło 300 rodzin, które skupiały się koło niemieckiego kościoła. Tam też ks. Wieczorek odprawiał nabożeństwa i miewał kazania polskie, dojeżdżając tu z Parisville. W tym czasie rozpoczęli Niemcy budowanie nowego, wspaniałego kościoła św. Józefa. Polacy chcieli w składkach i w budowie wziąć czynny udział, ale odpowiedziano im, że chociaż ich do parafii przyjmą, to jednak w nowym kościele ich ławki muszą stać oddzielnie. Wtedy dopiero Polacy pomyśleli o własnej świątyni. Ks. Wieczorek, dojeżdżając tu raz po raz z Parisville, spowiadał i kazał po polsku, zachęcając do odłączenia się od Niemców i założenia własnej parafii. Było w Detroit przed nim już dwóch kapłanów polskich starających się o miejsce, ale że znali tylko polski język, nie chciano ich tu przyjąć, chociaż w Detroit i w innych miastach diecezji już dość dużo było Polaków i starali się oni o kapłanów polskich.

Poszli tedy przedstawiciele Polonii detroickiej do biskupa Borgessa, który im udzielił pozwolenia na wyszukanie i zakupienie gruntu. Polacy zabrali się do dzieła pod kierownictwem ks. Wieczorka we wrześniu 1871 roku. W październiku (następnym miesiącu) spalił się Parisville i ks. Wieczorek na stałe przybył do Detroit.

POŚWIĘCENIE wybudowanego w Detroit pod wezwaniem św. Wojciecha pierwszego kościoła polskiego w Detroit nastąpiło 13 lipca 1872 roku. Już 15 stycznia 1873 roku tak pisał w liście ks. Wieczorek: „Dotąd wynajmowałem dom na szkołę, ale ponieważ coraz więcej przychodzi dzieci, parafia zmusza mnie do budowy szkoły wartości 5,000 dolarów. Jutro kupujemy grunt, a po niedzieli zaczniemy budować szkołę 55 przez 65 stóp." Zatarg z biskupem, w sprawie budowy

szkoły polskiej, spowodował zawieszenie w czynnościach kapłańskich ks. Wieczorka i wysłanie go do St. Agatha, w Kanadzie.

Po USUNIĘCIU ks. Wieczorka miewał nabożeństwa w kościele św. Wojciecha Niemiec, ks. Ferdynand, proboszcz św. Józefa. Potem w r. 1874 przyszedł ks. Gieryk, następnie jednoręki ks. Wołowski. W tym czasie przybył do Detroit z Czernichowa pod Krakowem ks. Dominik Kolasiński, który został przydany na pomocnika ks. Wołowskiemu. Było to w roku 1882. Ks. Wołowski wkrótce ustąpił miejsca ks. Kolasińskiemu, kapłanowi niezmiernie energicznemu i owianemu silnym duchem patriotyzmu polskiego. Stary drewniany kościołek okazał się za szczupły, a nowy proboszcz zabrał się z zapałem i energią do budowy wspaniałej świątyni, która jest obecnie ozdobą miasta Detroit. Dnia 29 czerwca 1884 r. poświęcono kamień węgielny, a w następnym roku nowy kościół św. Wojciecha został otwarty.

WNET atoli po tym wszystkim wybuchła w parafii burza niespodziewana. Milczą kroniki dzisiaj już o tym i wstydliwie zajście to pomijają, bo zaszczytu ono nam, Polakom, nie przynosi. Ale historia, magistra vitae, jest w takich sprawach bez miłosierdzia. Trzeba napisać, co i jak było.

DNIA 28 LISTOPADA 1885 r. ks. Kolasiński, mający wielki mir w swej parafii, był przez biskupa suspendowany i zwolniony z obowiązków proboszczowskich.

Za co był suspendowany i za co go biskup z parafii usunął, to już do nas nie należy. Z pewnością chyba że nie za cnotę. Co nas obchodzi, to fakt drugi, że ni z tego, ni z owego ks. Dąbrowski otrzymał nagle niespodziewaną komendę, ażeby zajął się choć tymczasowo administracją parafii św. Wojciecha.

Detroiti die 30 m. Nov. 1885 — Rev. Dom. Joseph Dombrowski

SALUTEM IN DOMINO: Tua prudentia et pietate fidentes, curam spiritualem fidelium ad ecclesiam st-i Alberti in nostra civitate pertinentium ad tempus tibi in Domino committimus, atque Rev. P. Antonium Jaworski C. T. Sp. cooperatorem seu assistentem in ista cura ad tempus tibi assignamus. Rev. D. in cura ad beneplacitum nostrum solum modo permanebis eamque ex hac ipsa die velis ingredi.

Datum Detroiti die, mense et anno ut supra

X. Caspar H. Borgess, Ep. Detr.
M. J. P. Dempsey, Secretarius

TRUDNO sobie wyobrazić, jakim ciosem był ten „appointment“ dla ks. Józefa Dąbrowskiego. Ks. Kolasiński, jak już wspomnieliśmy, miał mir w parafii. Usuwać się z niej nie myślał. Całą winę za to, że biskup go suspendował, zwalił na nieżyczliwość biskupa, na siostry Felicjanki i na rzekome ich intrygi. Ks. Dąbrowski i ks. biskup z nimi trzyma i krzywdzi go. Rozdarł komżę na sobie na ambonie, żegnając się z parafianami. Lud się wzburzył. Gdy ks. Dąbrowski z ks. Jaworskim udali się na drugi dzień do kościoła, by odprawić mszę św., gromada kobiet z kościoła ich usunęła. Nazajutrz przyszła policja i msza św. się odbyła, ale w czasie podniesienia zaczęto różne wrzaski, różne bluźnierstwa, a gdy księża po mszy św. z kościoła już wychodzili, zacietrzewione zwolenniczki ks. Kolasińskiego znieważyły ich i zdarły z nich komże. Rzucono hasło: wypędzić siostry. Gromada kobiet i kilku mężczyzn wpadli do szkoły. Wybito szyby.

DOWIEDZIAWSZY się o tym wszystkim, biskup Borgess nałożył interdykt i zamknął kościół. Nabożeństwa w kaplicy w klasztorze sióstr odbywały się odtąd przez dłuższy czas przy zamkniętych okiennicach. Setki sprzymierzeńców ks. Kolasińskiego pilnowały dniem i nocą jego plebanii, żeby go policja z niej nie usunęła, wygrażając się siostrom i ks. Dąbrowskiemu i obiecując spalić klasztor i wymordować w nim księży i siostry. Trwało to tak przez całe cztery miesiące i dopiero dnia 5 kwietnia 1886 roku ks. Kolasiński usłuchał nakazu sądowego, wyprowadził się z plebanii i usunął się z miasta na parę lat na farmę do stanu North Dakota.

Ale i wówczas jeszcze się długo nie uspokoiło. Prawie wszystkie pisma nie tylko polskie, ale i angielskie prześcigały się w karmieniu zbuntowanych parafian podżegającymi artykułami. Kilku, a nawet nieraz i kilkunastu policjantów pilnowało wciąż klasztoru. Chyłkiem, bocznymi drzwiami od ogrodu wpuszczani byli wierni na nabożeństwa do kaplicy klasztornej. Zbuntowanych, którzy nie chcieli zrywać z Kościołem, obsługiwali i nawet podburzali księża niemieccy. Inni, jeszcze bardziej zacietrzewieni, gotowi byli zerwać z Kościołem i domagali się koniecznie powrotu ks. Kolasińskiego. I ks. Dąbrowski, i ks. biskup przeliczyli się, sądząc, że ludzie aż tak daleko się nie posuną. Jakoż po paru latach ks. Kolasiński powrócił do Detroit i zorganizował nową parafię i zbudował swój własny kościół.

1886-1887

KS. DĄBROWSKI, pomimo wszystko zajęty był głównie sprawą założenia seminarium. Kłopoty parafialne pozostawił raczej swemu asystentowi, ks. Jaworskiemu. Sam wyjechał z wiosną 1886 roku do Rzymu po profesorów. Niewiele wskórał tym razem w Rzymie. Pojechał więc do Krakowa, był w Przemyślu i we Lwowie. Widział się z wielu wybitnymi ludźmi i biskupami. Złożył Matce Generalnej Zgromadzenia Sióstr Felicjanek sprawozdanie z rozwoju ich w Ameryce. Nie wiadomo, czy i z kim widział się ze swej rodziny. Przypuszczać można, że mu się to udało. Wreszcie, z dwoma zaangażowanymi w Krakowie profesorami, ks. Bronikowskim i ks. Barańskim, powrócił z Europy w sierpniu 1886 roku.

W TYM samym czasie namówiono biskupa, aby zdjął interdykt i otworzył zamknięty wciąż kościół św. Wojciecha. Biskup się zgodził, ale na wieść o tym tłumy zacietrzewionych znowu obległy kościół w dzień oznaczony na otwarcie, 15 sierpnia 1887 roku, wygrażając się już nie tylko siostrom i księżom, lecz i samemu biskupowi. Gromada zbuntowanych napadła przy tym na klasztor, wybijając w nim szyby kamieniami i trzeba było aż trzydziestu policjantów, ażeby tłum rozpędzić.

Taka była proza życia i w takich warunkach i okolicznościach, dnia 16 grudnia 1886 roku, otwarto seminarium polskie w Detroit. Za patronów seminarium obrano świętych Cyryla i Metodego. Ci dwaj uczeni apostołowie Słowian symbolizowali tę ideę katolicką, iż za pomocą języka ojczystego najlepiej trafia się do duszy narodu. Ideę tę ci właśnie święci najlepiej propagowali i skutecznie stosowali, gruntownie studiując język Słowian i nawet układając dla nich alfabet. Właśnie w roku 1885 cały świat katolicki obchodził tych świętych apostołów tysiącletni jubileusz i jeszcze unosiły się w powietrzu echa encykliki „Grande Munus" Leona XIII z roku 1880.

ŚŚ. Cyrylowi i Metodemu oddano więc w opiekę seminarium polskie. Była myśl opatrznościowa, a bardzo głęboka w wyborze tych dwóch patronów dla seminarium polskiego w Ameryce. Zdecydowały to względy nie tylko rzeczowe i obiektywne, ale i będące wówczas na czasie. Ludzie dziejów kościelnych nie znający nie uświadamiają sobie tych względów. Zróbmy dygresję i wytłumaczmy.

ŚŚ. CYRYL I METODY to nie tylko Apostołowie Słowian, to są pierwsi bojownicy o słowiański język z Niemcami walczący nie mieczem, ale kulturą. Nawrócili oni wśród Słowian najpierw Chazarów, którzy w wieku IX byli jednym z najliczniejszych plemion słowiańskich. Podług kronikarza greckiego, Teofanesa Tzauryckiego, († 817) Chazarowie wyroiwszy się ze środkowej Berzelii, czyli dawnej Sarmacji, zawojowali wszystkie prowincje położone nad rzeką Donem aż do morza Czarnego. Teofanes pisze, że zhołdowali oni nawet księcia Bułgarii, od którego pobierali haracz. Przytaczamy tu dosłownie odnośny tekst z Teofanesa: „Numerosa Chasarorum gens ex interiori Berzeliae, quae est primae Sarmatiae, recessu prorupit, omnibusque usque ad mare Ponticum sub ditionem suam redactis trans flumen positis provinciis a Batabaria primae Bulgariae Principe vectigali sibi reddito, tributum ab eo in hunc usque diem exigit.“ Kronikarz Teofanes zasługuje pod tym względem na wiarę, albowiem przestał pisać swoje roczniki dopiero w dziewiątym roku panowania cesarza Konstantego Pogonata, a zatem zaledwie trzydzieści lat pierwej, nim Chazarowie prosili o misjonarzy. Rzeka Don dzieliła ziemie Chazarów na dwie połowy z północy na południe. Należał do nich cały półwysep Taurycki, nazywany po niemiecku Krymem, z wyjątkiem drobnej części, która należała do cesarstwa bizantyjskiego.

Dopóki śś. Cyryl i Metody misjonarzowali w tych odległych ziemiach, nikt im w drogę nie wchodził i szło wszystko dosyć gładko, ale kiedy za przykładem Chazarów zaprosił ich Rościsław, książę Morawii, wnet powstały różne trudności. Posługiwali się oni w swym apostolstwie językiem słowiańskim, który podówczas wśród rozmaitych plemion słowiańskich nie był jeszcze tak jak dzisiaj zróżniczkowany i można się nim było ze wszystkimi rozmówić. Dla ułatwienia sobie pracy śś. Cyryl i Metody ułożyli nawet specjalny alfabet słowiański, przetłumaczyli na język starosłowiański Pismo św. oraz księgi liturgiczne i zaczęli odprawiać nabożeństwa po słowiańsku. Powodzenie mieli wielkie, ale na Morawy sięgały już wpływy niemieckie i skoro się o tym Niemcy dowiedzieli, wnet śś. Cyryla i Metodego w Rzymie oskarżyli, że robią schizmę.

Papież Mikołaj I zawezwał ich do Rzymu, aby złożyli mu sprawozdanie. Bez żadnej zwłoki wyruszyli obaj bracia do Rzymu zabierając ze sobą zwłoki św. Klemensa, papieża i męczennika, które w Chersonesie Taurydzkim odnaleźli. Papieża Mikołaja I już nie zastali, bo umarł w międzyczasie, ale jego następca, Hadrian II, przyjął ich z honorami. Gdy mu sprawę swej prawowierności i używania języka słowiańskiego przy sprawowaniu obrzędów świętych wytłumaczyli, pochwalił ich postępowanie, zatwierdził i zadecydował wynieść obu do godności biskupiej, aby tym łatwiej mogli swe dzieła dalej prowadzić.

WKRÓTCE umarł w Rzymie św. Cyryl i sam tylko św. Metody konsekrowany został przez papieża Hadriana II na biskupa i ustanowiony arcybiskupem całej Morawii i Panoronii z poleceniem opiekowania się

zgoła całą słowiańszczyzną. Nie podobał się ten obrót sprawy Niemcom i kiedy św. Metody do Morawii powrócił, biskupi niemieccy, utrzymując, że Morawy należą do ich jurysdykcji i że oni o rozporządzeniu papieża nic nie wiedzą, zawezwali go na synod do Ratysbony. Tu pod pozorem, że św. Metody papieża oszukał, złożyli go z urzędu, a popierający ich cesarz Ludwik wtrącił go w roku 870 do więzienia. Trzy lata całe upłynęły, zanim papież Jan VIII, następca Hadriana II, wymógł uwolnienie św. Metodego i na nowo go osadził na stolicy arcybiskupiej na Morawach.

Z gorliwością wielką św. Metody zabrał się znowu do apostołowania nie tylko na Morawach, ale i w Czechach, w Dalmacji oraz w Chrobacji pośród Polaków. Jemu przypisuje się założenie stolicy biskupiej we Lwowie, skąd dotarł do Kijowa i jeszcze dalej. Skargi niemieckie w Rzymie, a zwłaszcza wichrzenia niemieckiego biskupa Wichinga jeszcze raz spowodowały zawezwanie go do Rzymu. Oskarżono go tam znowu o schizmę i używanie języka słowiańskiego w nabożeństwie. Papież Jan VIII, zbadawszy sprawę, znowu jednak go pochwalił, zamiast zganić. Aż do śmierci dnia 6 kwietnia 885 roku walczyć musiał św. Metody w obronie sprawy Bożej i języka słowiańskiego z intrygantami niemieckimi, którzy nie tylko w Rzymie starali się mu szkodzić, ale i wśród Słowian ciągle siali niesnaski.

KS. DĄBROWSKI znał dokładnie żywot, walkę, kłopoty i znaczenie dla całej słowiańszczyzny wysiłków śś. Cyryla i Metodego. Jeszcze za jego bytności w Rzymie w roku 1869 biskupi słowiańscy, a pomiędzy nimi polscy zwracali się do papieża Piusa IX o to, aby świętowanie i obowiązek odmawiania brewiarza na cześć śś. Cyryla i Metodego rozszerzono na wszystek Kościół. Przypadało przecież właśnie ich tysiąclecie.

Jakoż wkrótce potem dnia 30 września 1880 roku papież Leon XIII uczynił to w encyklice: Grande Munus.

Encyklika ta, skierowana do biskupów całego świata, wstrząsnęła do głębi całą słowiańszczyzną. Nawet wrogowie Kościoła zdumiewali się, jak przenikliwe oko papieża Leona XIII w chwili budzenia się słowiańszczyzny znalazło klucz do jej serca i potrafiło uderzyć w najczulszą stronę ich aspiracji religijnych i narodowych. Odbyła się zaraz w roku następnym wszechsłowiańska dziękczynna pielgrzymka do Ojca św. Leona XIII w Rzymie. Pozawiązywano komitety po wszystkich krajach słowiańskich od Adrianopola do Poznania, z wyjątkiem Moskwy. Duszą ruchu był biskup diakowacki, Strossmayer, ale Polacy stanowili czynnik najpoważniejszy i najliczniejszy. Z jednej strony Moskwa ciągnęła Słowian w stronę schizmy od Rzymu, z drugiej Polacy w stronę katolickiej wiary do Rzymu. ŚŚ. Cyryl i Metody byli sztandarem.

PRZYJĘCIEM pielgrzymki w Rzymie zajmował się z polecenia papieża kardynał Ledóchowski, kardynał Borromeo i kardynał Bertolini. Kardynał Ledóchowski nie był jeszcze wówczas prefektem Propagandy.

Nadzwyczajne pociągi z Triestu przywiozły do Rzymu tysiące Polaków, Rusinów, Czechów, Morawian, Słowiaków, Bośniaków, nawet Bułgarów. Innym językiem nie chciano mówić, jedno słowiańskim i rozumiano się na wzajem.

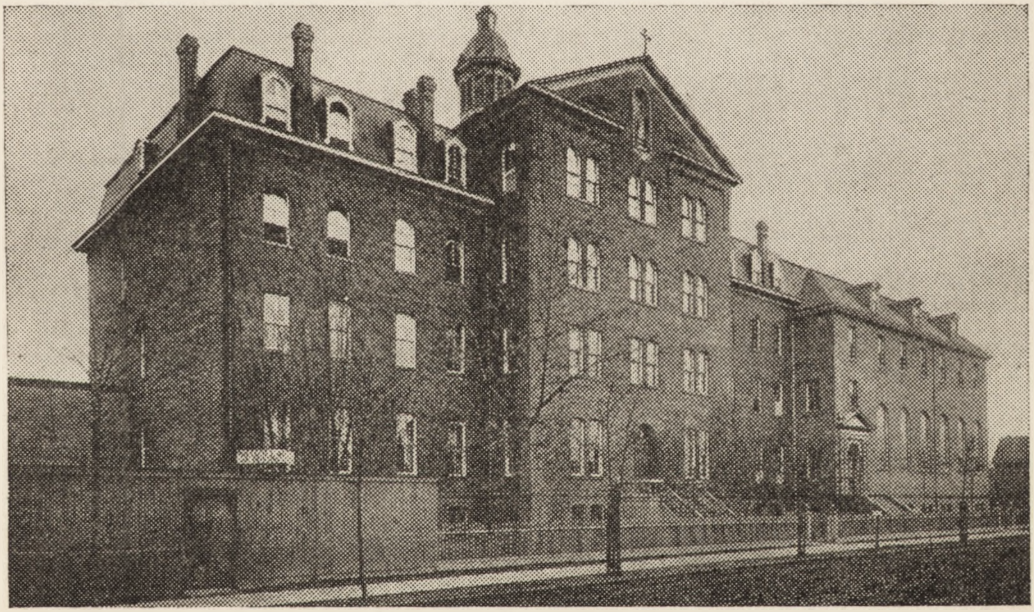
NASTĄPIŁO wzajemne wielkie zbratanie się oparte na wspólnej wierze i jednoplemiennym pochodzeniu. Odbył się w Rzymie szereg uroczystych nabożeństw, zwłaszcza w bazylice św. Klemensa, gdzie spoczywają zwłoki św. Cyryla. Przemawiano i śpiewano wszędzie w rozmaitych językach słowiańskich. Po polsku przemawiał ks. Piotr Semeneńko, generał Ojców Zmartwychwstańców. Hierarchię polską reprezentował biskup krakowski, Albin Dunajewski i sufragan poznański, Jan Janiszewski, nie wspominając już o kardynale Ledóchowskim, który jako honorowy prezes komitetu przyjęcia w Rzymie zajmował miejsce po prawej stronie papieża, tuż przy jego tronie w czasie uroczystej audiencji. Odbyła się także uroczysta akademia słowiańska, w której udział wziął papież, cały dwór i dyplomacja. W imieniu Polaków przemawiał na akademii profesor Stanisław Tarnowski.

ECHA uroczystości słowiańskich w Rzymie rozeszły się po całym świecie. Jeżeli komu, to ks. Dąbrowskiemu brzmiały one zapewne w uszach, kiedy zakładał seminarium polskie w Ameryce. Były dlań jakby natchnieniem. Roma locuta, causa finita, jak on zwykł był powtarzać sobie. Jeżeli śś. Cyryl i Metody potrafili dla języka słowiańskiego wywojować prawo bytu nawet w liturgii za zgodą Rzymu, to zaopiekują się oni i utrzymaniem języka polskiego w duszpasterstwie polskim w Ameryce. Tak kombinował sobie ks. Dąbrowski i zakładane przez siebie seminarium oddał w opiekę patronom słowiańszczyzny, świętym Cyrylowi i Metodemu.

ZARÓWNO uroczystość założenia kamienia węgielnego w roku 1884, jak i uroczystość otwarcia seminarium w roku 1886 odbyły się pod wezwaniem śś. Cyryla i Metodego.

DOPEŁNIŁ uroczystości otwarcia i poświęcenia seminarium osobiście sam biskup Borgess, który wygłosił przy tym piękną naukę. Kazanie po polsku wypowiedział ks. Domagalski z Parisville. Uczestniczyli w uroczystości ks. Paweł Gutowski z Detroit, ks. Jan Pitass z Buffalo, ks. Urban Raszkiewicz z Otis, ks. Szklarczyk z Alpena, ks. Wieczorek i ks. Orzechowski z Toledo, ks. Szanowski z St. Louis, ks. Woźny z La Salle, ks. Szulak z Chicago, ks. Matkowski z Bay City, ks. Ponganis z Grand Rapids, ks. Tylik oraz ks. Swenson z Detroit.

Ks. Dąbrowski sam odprawił uroczystą mszę św. przy otwarciu, stroskany i zbolały, lecz nie złamany. Gmach seminaryjny nie był jeszcze wykończony, tylko jego sutereny oraz pierwsze i drugie piętro. W suterenach mieściły się kotły i piece parowe do ogrzewania zakładu, kuchnie i składy gospodarcze, na pierwszym piętrze znajdowały się audytoria, sypialnie, mieszkania profesorów, biblioteka oraz kaplica, 60 stóp długa i 24 stopy szeroka. Na drugim piętrze mieściła się tymczasowo szkoła parafii św. Wojciecha. Trzecie piętro stało próżne i nie wykończone jeszcze na wewnątrz. Ale był już jednak dach nad głową i znajdowało się dwóch profesorów oraz dziewięciu, potem czternastu, a przy końcu roku już dwudziestu czterech studentów.



Seminarium ŚŚ. Cyryla i Metodego w Detroit

ŚCIŚLE MÓWIĄC, paru z nich — wśród nich dwóch późniejszych księży Muellerów — przybyło już dawno, razem z ks. Dąbrowskim, jeszcze z Polonii. Ks. Dąbrowski dał im przytułek u siebie w klasztorze sióstr, w maleńkim domku w ogrodzie. Siostra Kajetana uczyła ich polskiego, a ks. Dąbrowski innych przedmiotów wieczorami. W dzień posyłał ich do kolegium Jezuitów przy ulicy Jefferson w Detroit. Pilnował, żeby broń Boże nie tracili czasu.

NIE DAŁO się systematycznych wykładów szkolnych zaprowadzić na początku dla wszystkich razem i po otwarciu seminarium. Musiano wszystko sztukować, improwizować, zajmować się każdym niemal studentem oddzielnie i kłopotać się także o profesorów. Ks. Bronikowskiego naznaczono na profesora teologii moralnej. Ks. Barański obok pracy w seminarium miał zastępować, a ewentualnie być następcą ks. Dąbrowskiego na parafii św. Wojciecha.

PARAFIA tymczasem trwała wciąż w rozdwojeniu. Kościół zamknięty. Parafianie podzieleni na dwa obozy ogromnie wrogie sobie wzajemnie, na „Dąbrochów" i „Kolachów." „Dąbrochy" chciały otworzyć kościół i przenieść się tam z nabożeństwami, które odbywały się dla nich tymczasem w kaplicy sióstr, ale „Kolachy" się uparły i za nic w świecie nie pozwalały. Przewodziły wśród nich zwłaszcza kobiety, nawet dosyć zamożne, które szczyciły się i wołały: „Za wiarę cierpię, kumosińciu" — kiedy aresztowała je policja za awantury.

KS. BRONIKOWSKI wpadł na koncept, że jest neutralny, więc wszystkich pogodzi, kościół otworzy, niechaj tylko ks. Dąbrowski zrezygnuje i niechaj biskup mianuje proboszczem ks. Bronikowskiego.

DNIA 19 MARCA 1887 ROKU ks. Dąbrowski zrezygnował, a na jego miejsce mianowany został ks. Bronikowski na prośbę kilku jego zwolenników. Ale teraz dopiero nastąpiło największe pandemonium.

KS. BRONIKOWSKI ani „Dąbrochów," ani „Kolachów" sobie nie zyskał, a na powitanie jego, na zapowiedziane w niedzielę „Laetare" otwarcie kościoła wyprawiono tym razem wprost krwawą zabawę. Powybijano w klasztorze szyby, zdruzgotano okna, połamano okiennice, zaczęto strzelać do broniących porządku policjantów. Padły strzały też i na klasztor, jednego człowieka zabito, kilku innych, nawet policjantów poraniono, a ks. Bronikowski zabarykadował się w seminarium ze studentami, schował się pod łóżko i przeleżał tam przez całą noc, bo wygrażano się i dobijano, żeby go zabić. Ks. Dąbrowskiemu w plebanii jego w ogrodzie sióstr także powybijano okna.

BISKUP BORGESS wobec tego w sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego, dnia 10 kwietnia 1887 roku, rzucił klątwę na tych wszystkich, którzy w dniach 25 grudnia 1885 roku, 15 sierpnia 1886 roku i 20 marca 1887 roku dopuszczali się w kościele awantur i znieważyli kościół, kapłanów i biskupa. Ks. Bronikowski rozchorował się i opuścił wkrótce Detroit, uprosiwszy sobie — nawet bez wiedzy biskupa — na chwilowego zastępcę księdza Niemca. „Kolachy" triumfowały, Niemcy się śmieli. Ks. Dąbrowski, sponiewierany przez własnych rodaków, krytykowany nawet przez księży, z trudem wielkim i uporem pełnił nadal swe obowiązki w seminarium i w klasztorze Felicjanek.

„Niech się dzieje wola Boża. Dla Ciebie, Panie!" Tak mówił sobie. Sprowadził on z Rzymu w tym właśnie czasie do seminarium ks. Witolda Buhaczkowskiego, potem jeszcze paru innych i powoli z nawałnicy wyprowadził dzieło Boże i ocalił seminarium, któremu zaraz w kolebce groziło rozbicie zewsząd, bo i od obcych, i od swoich. Wstydził się tylko i ubolewał, że lud polski tak sponiewierał nie tylko jego, ale i tego właśnie biskupa, który był dobroczyńcą i przyjacielem tegoż narodu i pierwszy uznał potrzebę wychowania księży polskich w Ameryce w duchu polskim i dopomógł założyć seminarium polskie dla Polaków. Odwdzięczono mu się ładnie za to seminarium i za ks. Dąbrowskiego. Oddając parafię św. Wojciecha ks. Dąbrowskiemu, miał biskup Borgess na celu niewątpliwie i poparcie finansowe dla seminarium. Widział on nędzę, w jakiej pozostawał ciągle ks. Dąbrowski, i delikatnie chciał go wesprzeć, ale własny lud jego, dla którego on się poświęcał, nie dopuścił do tego. Wołał lud ten księdza młodszego, elegantszego, który go za sobą umiał pociągnąć, wzgardzając nawet władzą biskupią.

KS. DĄBROWSKI tę wzgardę polską dla biskupa ogromnie odczuł. O narodzie, który własnych proroków kamienuje, myślał ciągle. Z myślą tą się nie rozstawał i pewnie powtarzał sobie nieraz: „Smutno mi, Boże" . . . Do Ks. Kolasińskiego żalu w sercu nie nosił. „Wola Boża" — mówił sobie.

Kiedy z czasem, już za biskupa Foley'a, ks. Kolasiński pojednał się z Kościołem, ks. Dąbrowski od razu pierwszy puścił wszystko w zapomnienie. Ks. Kolasiński czuł w gruncie rzeczy, że ks. Dąbrowski nigdy i w niczym ani na włos mu nie zawinił. Z biegiem czasu zreflektował się zupełnie. Kiedy jeden z wychowanków ks. Dąbrowskiego, ks. Fołta, miał u niego prymicję, a ks. Dąbrowski przyszedł na nią do kościoła, ks. Kolasiński z wielkimi honorami wprowadził go osobiście do prezbyterium i usadził na specjalnym, honorowym fotelu, aby lud widział, jak go szanuje. Urządził również potem bankiet dla ks. Dąbrowskiego na pojednanie.

1887-1890

Ks. DĄBROWSKI mieszkał już wówczas od paru lat w seminarium, dokąd na stałe przeniósł się z klasztoru sióstr Felicjanek, zaraz po uroczystym jego otwarciu. Mieszkał tam ubożuchno, tak jak u sióstr. Oprócz lekcji dla studentów, które kolejno odstępował potem profesorom, miał co tydzień konferencje, a raczej proste pogadanki praktyczne w kaplicy dla studentów.

Krasomówcą nie był i nigdy nie starał się nim być. Literackiej spuścizny kaznodziejskiej po sobie żadnej nie pozostawił. Wydał w tych czasach tylko książkę „O miejscach i narzędziach męki Pańskiej.“ Widać, że do męki Pańskiej wówczas specjalnie gorące miał nabożeństwo. Kapłan o duszy kryształowej, znakomity wychowawca, i gorliwy patriota przemawiał od ołtarza do alumnów zawsze spokojnie, ale praktycznie i przystępnie. Był prototypem kaznodziei polskiego w Ameryce, w którego kazaniach brzmi zawsze nuta tęsknoty za ojczyzną. Codzień uczył także w klasztorze, w nowicjacie nowicjuszki a w internacie „nieświęcone mateczki.“ W kazaniach swoich wpajał w słuchaczów zamiłowanie i do Kościoła, i do narodu polskiego, a na lekcjach studentom i siostrom wykładał przedmioty zarówno religijne jak i świeckie, wykładał je niezmiernie praktycznie i poglądowo.

Pod względem finansowym w seminarium bieda aż piszczała, ale ks. Dąbrowski, gdzie tylko mógł, wciąż kwestował i koniec z końcem z dnia na dzień wiązał. Siostry Felicjanki odwdzięczały mu się za wszystko, co dla nich czynił, pomagając mu ze swej strony w seminarium, w czym tylko mogły. Z użebranych przez siebie w mieście prowiantów zaopatrywał kruchą kuchnię seminaryjną dla studentów. Słynęły też tak zwane czerwone centy, które Matka Monika zbierała i oddawała ze swoich szczupłych funduszów ks. Dąbrowskiemu na seminarium. Ze wszystkich szkół i klasztorów siostry, chcąc dogodzić swojej Mateczce, nadsyłały jej woreczkami same centy. Nie krzywdzono w ten sposób Zgromadzenia i nie przekraczano ślubu ubóstwa — tak się pocieszano i tłumaczono, — bo oddawano przecież na seminarium tylko same centy.

Poza siostrami i poza gromadką osób ofiarnych, jak np. pewnego browarnika w Detroit, Żółtowskiego czyli „Żółtusia“, jak popularnie go nazywano, który bardzo często kuchnię seminaryjną zaopatrywał, ciężką walkę ks. Dąbrowski musiał wciąż staczać z obojętnością szerszego ogółu Polonii dla seminarium. Ignorowali je obcy, jeszcze gorzej ignorowali je stale swoi, ale ks. Dąbrowski w świetlaną przyszłość seminarium nigdy nie zwątpił.

1890-1900

WIDZĄC, że wytrwałość ks. Dąbrowskiego zwycięża jednak wszelkie trudności i że wypływa on już na szersze wody, zaczęli pomagać mu wreszcie niektórzy ludzie zamożniejsi, zwłaszcza księża. Nawet świeckie organizacje polskie zaczęły się interesować jego seminarium. Dnia 28 kwietnia 1892 ogłosił ks. Dąbrowski w „Zgodzie" podziękowanie zarządowi i członkom Związku Narodowego Polskiego na przesłanie mu przez cenzora Gryglaszewskiego 8,337 dolarów na potrzeby seminarium. Była to pomoc bardzo znaczna.

JESZCZE w 1891 założył ks. Dąbrowski i zaczął wydawać w swojej drukarni w seminarium tygodnik popularny, ludowy, pod tytułem „Niedziela." Przedtem drukował i wydawał przez cały szereg lat podręczniki szkolne dla dzieci, zwłaszcza czytanki, które wciąż nawet przedrukowywano — takie było zapotrzebowanie. Pod jego kierunkiem i dozorem kilka sióstr i „półsióstr" miały przy tym stałe zajęcie. Przepisywano manuskrypty, zbierano materiał do książek, drukowano, oprawiano. Pracowały siostry jak mrówki, a ks. Dąbrowski razem z nimi jako główny autor, drukarz i introligator.

Założony przezeń tygodnik „Niedziela" drukowano już nie w klasztorze, lecz w seminarium, dokąd drukarnię teraz przeniesiono. Tygodnik ten redagowany w tonie dość żywym i popularnym przez ks. dra Barabasza, potem ks. Ćwiąkałę, potem ks. Muellera, zdobył sobie nawet poczytność, a podupadł i wreszcie przestał wychodzić dopiero po śmierci ks. Dąbrowskiego. Pilnował też ks. Dąbrowski Towarzystwa Literackiego pod opieką św. Kazimierza założonego dla studentów. Starał się przez nie wyrabiać zainteresowanie studentów literaturą i piśmiennictwem. Ciekawym jest, że za czasów ks. Dąbrowskiego studenci Seminarium brali udział nawet w konkursach literackich i na jednym z nich student Adam Marcinkiewicz wygrał nagrodę 50 dolarów gotówką oraz medal bronzowy za swój utwór pt. „Pan Redaktor w zalotach."

PO ZAŁOŻENIU przez ks. Dąbrowskiego tygodnika „Niedziela," niektóre liberalne gazety konkurencyjne — obawiając się snadź, ażeby „Niedziela" nie odebrała im prenumeratorów — zaczęły napadać na ks. Dąbrowskiego i na seminarium. On zaś „odgryzał" się im w swojej „Niedzieli." W jednej z notatek w „Niedzieli" z r. 1892 pisze on na przykład dosłownie, co następuje:

Kto czytał artykuł zatytułowany: „Skąd wiatry wieją," umieszczony w pewnym piśmie tygodniowym, musi przyznać, że chociaż cały artykuł jest nadmuchany tylko wiatrem, obliczono go jednak na drażnienie i rozbudzanie namiętności ludu. Zaczepiono tam seminarium, ale odpowiedzi nie umieszczam, bo ubliżyłbym sobie bardzo, wdając się w polemikę z pismem i z osobą, co artykuły takie pisze i ogłasza. Zdaniem moim, najodpowiedniejszym będzie, pominąć go milczeniem. O wartości artykułu i jego niskich dążnościach, tak tu jak i w Europie, każdy czytelnik sam sobie najdokładniejszy sąd sformuje. Kto wiatry sieje, wcześniej czy później będzie zbierał burze.

Ks. J. Dąbrowski,
Rektor Seminarium Polskiego.

KŁOPOTY finansowe z utrzymaniem seminarium związane i napaści, a nawet intrygi z zewnątrz od swoich, podkopywały jednak energię i wysiłki ks. Dąbrowskiego.

Aby podtrzymać go na duchu, przesłał mu biskup Foley, następca biskupa Borgessa, list z uznaniem i zachętą dnia 7 marca 1892 roku.

„Sprawia mi wielką przyjemność, że mogę oddać Księdzu publiczne uznanie za poważną pracę, jaką Ksiądz położył około rozwoju seminarium mającego na celu kształcenie młodzieży polskiej przygotowującej się do kapłaństwa. Modlę się szczerze do Boga Wszechmogącego o błogosławieństwo i pomyślność dla osobistych Księdza wysiłków, zarówno jak i dla wysiłków wielebnych księży złączonych z Nim w tym szlachetnym i dobrym dziele.

Do seminarium tego umiejętnie prowadzonego musimy zwracać się o pomoc, aby zadosyć uczynić potrzebom wzrastającej ustawicznie ludności polskiej."

BISKUP FOLEY zawsze bardzo szczerze popierał ks. Dąbrowskiego i trzymał się mocno polityki i poglądów swego poprzednika, biskupa Borgessa w sprawie seminarium polskiego. Jest to doprawdy Opatrzność Boża, że na stolicy biskupiej w Detroit zasiadali kolejno tacy biskupi jak Borgess, Foley, Gallagher i Mooney, którzy zawsze odnosili się z prawdziwą życzliwością do Polaków i popierali szczerze sprawę seminarium polskiego.

PODCZAS wakacji w roku 1892 ks. Dąbrowski po raz drugi odbył błyskawiczną podróż do Rzymu, w celu zaopatrzenia seminarium w jak najlepszych profesorów. Tym razem powiodło mu się lepiej niż w r. 1886. Widział się przy tym z kardynałem Ledóchowskim, który podówczas był już prefektem Propagandy i z którym biskupi amerykańscy musieli się wówczas liczyć, jako z bezpośrednim zwierzchnikiem. Ks. Dąbrowski po rozmowie z kardynałem Ledóchowskim, już prefektem Propagandy, z ulgą odetchnął. Pod względem prawnym nic się w sprawie seminarium nie zmieniło, ale już to jedno, że sam prefekt Propa-

gandy urzędowo się nim zainteresował i sprawozdanie ks. Dąbrowskiego z uznaniem przyjął, miało znaczenie dla niego duże.

Przychylił się też kardynał Ledóchowski do prośby ks. Dąbrowskiego, aby dwóch najzdolniejszych alumnów seminarium mogło kształcić się bezpłatnie w Rzymie w t. zw. Collegium Urbanum na koszt Propagandy, w celu przygotowania się na profesorów dla tego seminarium. List urzędowy kardynała Ledóchowskiego do ks. Dąbrowskiego w tej sprawie istnieje po dziś dzień i cały szereg księży polskich z Ameryki, którzy byli profesorami w seminarium polskim, z przywileju bezpłatnego kształcenia się w Rzymie skorzystał. Odpadał automatycznie zarzut niektórych biskupów amerykańskich, że seminarium polskie nie posiada dostatecznie wykwalifikowanych profesorów. Odpadała też automatycznie możność tłumaczenia się w Rzymie tychże biskupów, że nie mają dość księży polskich dla Polaków w Ameryce. Byłby prefekt Propagandy natychmiast im kazał ich szukać w seminarium polskim w Ameryce i posyłać tam młodzież polską z odnośnych diecezji na studia teologiczne.

Coraz więcej też w następnych latach było aspirantów do kapłaństwa w seminarium polskim w Ameryce z przeróżnych diecezji na utrzymaniu tychże diecezji i coraz więcej ich tam biskupi kierowali. Ks. Dąbrowski radował się i przyszłość seminarium zapowiadała się jak najpomyślniej. Biskup Foley bardzo często je odwiedzał i na graduacjach przemawiał do studentów. Sprawę seminarium omawiano na zjeździe czyli kongresie księży polskich w Buffalo. Mówiono tam o tym, aby zakład inkorporować i ubezpieczyć, żeby na zawsze pozostał polskim. Powstał projekt, ażeby prosić delegata papieskiego w Waszyngtonie na protektora seminarium polskiego.

Ks. Dąbrowski i sam o tym myślał, i naradzał się z prawnikami. Zaorany ciągle w pracy, zapominał, że nadchodzi już dwudziestopięcioletni jubileusz jego święceń kapłańskich. A może nawet o tym nie zapominał, ale w skromności swojej nie wspominał nikomu, nawet najbliższym. Wylazło jednak szydło z worka, zdradził bowiem wiadomość tę święcony w tym samym czasie ks. Radziejewski.

NASTĄPIŁ tedy uroczysty obchód jubileuszu kapłańskiego ks. Józefa Dąbrowskiego dnia 1 sierpnia 1894. Ks. biskup Foley koncelebrował i przemawiał bardzo gorąco, oddając uznanie Jubilatowi. Piękne kazanie wygłosił ks. Radziejewski. Kablogram z Rzymu z błogosławieństwem „peramenter“ przysłał ojciec św. Leon XIII. Program przepiękny na cześć Jubilata urządziło oczywiście i seminarium, i Zgromadzenie Sióstr Felicjanek.

ZARAZ w roku następnym pojechał do Rzymu biskup Foley i dnia 29 sierpnia 1895 przywiózł specjalne błogosławieństwo zarówno dla ks. Dąbrowskiego jak i dla jego dzieła, dla seminarium. Odwiedził seminarium i opowiadał, że rozmawiał z kardynałem prefektem Propagandy całe godziny o stanie i potrzebach seminarium, że kardynał Ledó-

chowski otacza to seminarium bardzo troskliwą opieką, że przyjął dwóch studentów z seminarium na studia w Rzymie. On zaś, tj. biskup, jest przekonany, iż Polacy odegrają wielką rolę w rozwoju katolicyzmu w Ameryce, a ks. Dąbrowski i Seminarium Polskie ŚŚ. Cyryla i Metodego odegrają rolę może większą, niż się kto kiedykolwiek spodziewał.

KS. DĄBROWSKI zaczynał być coraz szerzej uznawany, ale i nadal nie wysuwał się nigdzie na front. Najlepiej czuł się w kąciku przy warsztacie, przy swojej pracy albo na lekcji z „półsiostrami.“ Z westchnieniem ulgi po wyjeździe gości mawiał: „Dobrze, że pojechali, teraz już mogę wziąć się do pracy.“ Nie lubił zwłaszcza wszelkich plotek i gadaniny po próżnicy. Nawet na księży wyrwało mu się czasem: „Ach ci księża! Siostry już mają długie języki, aż dotąd, (wskazując po piersi) ale księża to aż dotąd (wskazując aż po sam brzuch).

NIE mógł się jednak odosobnić. Zwłaszcza w roku 1895, kiedy Stany Zjednoczone za czasów prezydenta Clevelanda przechodziły jeden z najstraszniejszych paroksyzmów ekonomicznych i kiedy tysiące ludzi zwłaszcza Polaków było bez pracy, ks. Dąbrowski zajęty był pracą społeczną bez wytchnienia. W dzień św. Józefa, 19 marca 1896 odbyła się w seminarium konferencja przygotowawcza do drugiego kongresu katolickiego w Buffalo. Ks. Dąbrowski musiał jechać na ten kongres. Miał na kongresie dużo przykrości. Po dziś dzień jeszcze pamięta o tym jeden z jego wychowanków, ks. prałat L. Bójnowski z New Britain, który się zgorszył postawą niektórych księży, zwłaszcza z Chicago, wobec ks. Dąbrowskiego na tym kongresie. W jednym ze swych listów ks. prałat Bójnowski opowiada, że już w drodze na kongres czytał broszurkę, którą ktoś z księży wydrukował i kolportował przeciw ks. Dąbrowskiemu. *Partia księży zwalczających ks. Dąbrowskiego spodziewała się ode mnie jako jego wychowanka wydostać potwierdzenie zarzutów, że w seminarium źle się dzieje* — pisze ks. prałat Bójnowski. — *W sposób brutalny, nieprzyzwoity, ubliżający domagano się od ks. Dąbrowskiego na kongresie sprawozdania z dochodów i rozchodów seminarium. Ks. Dąbrowski odpowiedział, że sprawozdanie składa zawsze, komu należy, a zwłaszcza wszystkim ofiarodawcom, których niestety wśród najgłośniej nań powstających wcale nie widzi. Podczas dyskusji, pomimo wszelkich napaści, milczał jak grób i zupełnie nie odpowiadał. Mnie, gdym głos zabrał* — dodaje ks. Bójnowski — *z wielkim zainteresowaniem zaczęto słuchać, ale gdy się zorientowano, że zamiast popierać napaści na ks. Dąbrowskiego, staję w jego obronie, wnet zakrzyczano i zahukano: ‚Młokos z księdza, nie znasz się na tym.‘ Odrazu straciłem wszelkie względy.*

Takie zachowanie się niektórych księży, którzy dążyli wyraźnie do tego, ażeby ks. Dąbrowskiemu obrzydzić wszystko i zmusić go do rezygnacji, nie podobało się zwłaszcza ks. Janowi Pitassowi z Buffalo. W plebanii podczas obiadu ks. Pitass głośno wszystkim zapowiedział, że jeżeli się to powtórzy, to zawoła chyba swego służącego, który przy

stole usługiwał, aby nauczył przyzwoitości kogo należy. Pomimo wszelkich jednak obelg ze strony pewnej gromadki ludzi, którzy już mieli nawet upatrzonych przez siebie dlań następców, nie dał się jednak ks. Dąbrowski wyprowadzić z równowagi. Ogół zresztą uczestników kongresu z nim raczej trzymał i mu współczuł. Wybrano go do komisji szkolnictwa, do komisji seminarium nauczycielskiego i do komisji seminarium duchownego. W sprawie seminarium duchownego przeprowadził on rezolucję następującą: *Zważywszy, że od dobrych kapłanów polskich zależna jest przyszłość polskiego rzymsko-katolickiego Kościoła w Ameryce Północnej, kongres oświadcza się gotowym do ofiar w tej mierze i uprasza najusilniej właściwe władze kościelne o wzięcie sprawy seminarium polskiego w Detroit, Michigan, w opiekę, aby mu przez wysyłanie kleryków do tegoż seminarium, którego usiłowania jak najszczerzej pochwalamy i popierać będziemy, nadać większe znaczenie i zapewnić stały byt i rozwój.*

SPRAWA starania się w Rzymie o mianowanie w Ameryce biskupów Polaków nie leżała ks. Dąbrowskiemu na sercu, nie zajmował się nią wcale, jednym uchem o niej słuchał, drugim wypuszczał. Cieszył się natomiast bardzo, kiedy w mowie swojej na zakończenie roku w seminarium polskim biskup Foley oświadczył, że seminarium polskie jest "the best work of this Diocese." Cieszył się również, kiedy w roku 1897 arcybiskup Popiel z Warszawy, biskup Kozłowski z Żytomierza, arcybiskup Isakowicz ze Lwowa i inni nadesłali mu dużo książek naukowych do biblioteki w seminarium i kiedy klerycy na teologii opracowali dobrze tezy po łacinie.

KONTENT BYŁ z wizyt przerozmaitych dygnitarzy w seminarium choć od pracy go odrywały. Bawił w tym czasie w seminarium ks. Wawrzyniak, patron Związku Spółek Zarobkowych z Poznania. Wkrótce potem, z wiosną 1898, odwiedził je generał OO. Zmartwychwstańców, ks. Smolikowski. Potem w tym samym roku zaszczycił seminarium swoją wizytą sam legat papieski, Monsignor Martinelli, potem kardynał Gibbons, potem arcybiskup Ireland, którego mowa do studentów wywołała żywe reperkusje w prasie polskiej, bo zarzucano jej, że uderzała w nutę t. zw. amerykanizacji, choć w porównaniu do tego, co się dziś słyszy, była zaiste niewiniątkiem. Odwiedził też seminarium biskup McGoldrick, biskup Tierney, biskup Harkins, arcybiskup Scalabrimi, słowem, cały szereg rozmaitych dygnitarzy kościelnych i świeckich i wreszcze we wrześniu 1900 pułkownik Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż).

PUŁKOWNIK MIŁKOWSKI upamiętnił swoją wizytę skreśleniem pięknej sylwetki ks. Dąbrowskiego w swojej książce p. t. „Wędrówki po Stanach Zjednoczonych." Podajemy tu dosłownie tę sylwetkę, bo choć skądinąd znana jest, ale maluje ona postać ks. Dąbrowskiego tak dokładnie, że szkoda by było ją tu pominąć.

Detroit ciągnął mnie — pisze Miłkowski — *z powodu osobistości ks. Dąbrowskiego, którego znałem już z posłuchów.*

Ks. Dąbrowski należy do tego ojców duchownych rodzaju, którego okaz historia polska podaje w osobie księdza Piotra Gabriela Bauduina. Jak ten ostatni bez grosza przy duszy, gorliwie się krzątając, a na przykrości i zniewagi narażając, ze składek wybudował i urządził dom podrzutków i szpital dla dzieci w Warszawie, tak samo ten założył pod nazwą „Seminarium Polskiego" wyższą dla młodzieży polskiej szkołę oraz klasztor felicjanek — przytulisko dla dziewczynek osierociałych, będące zarazem szkołą dla panienek starszych. Wszystko to zrobił z niczego, za grosz wyproszony i utrzymuje, nie posiadając funduszu zapewniającego jutro. Nie dziw przeto, że mnie głęboka do księdza takiego przejmowała cześć i czułem nieprzepartą potrzebę moralną pokłonić się cudotwórcy takiemu.

Późnym wieczorem do Detroit dotarliśmy.

Wieczora tego nie mogłem księdzu rektorowi uszanowania mego złożyć. Przedstawiłem mu się nazajutrz. Przywitaliśmy się jak dawni dobrze znajomi. Gdym się wobec niego znalazł, wydało się mi, żem go już gdzieś kiedyś w życiu moim widział. Nie widziałem go oczami cielesnymi, ale takim jak on wyobrażałem sobie kapłana polskiego, rzetelnego duszpasterza, świecącego przykładem życia cnotliwego i miłującego bliźnich wedle przykazu Chrystusa, pozostawiając Panu Bogu rozdzielanie ludzi według wierzeń na kozłów i baranów. Postać jego nie była mi obcą. Była to postać robotnika, szorstka, opalona, zdradzająca hart i siłę, lecz nie zdradzająca rozmiłowania się w sobie, czemu świadectwo dawały: połatana i pocerowana sutanna, zachodzone obuwie, w najdalszej styczności z elegancją nie pozostająca powierzchowność cała, wydająca nie kogo innego, jeno robotnika, tym się tylko zalecającego, że z oczów jego i oblicza bił wyraz mówiący: „Człowiekowi temu bezwarunkowo ufać można i należy, on bowiem i zrobić dobrze i drogę wskazać potrafi."

Takie na mnie wrażenie wywarł ks. rektor, wrażenie, które, jak się później od mieszkańców detroickich dowiedziałem, zawodnym nie było ani trochę. Założyciel ten i kierownik wyższej szkoły dla młodzieży płci męskiej, również założyciel i dozorca, a zapewne i kierownik szkoły dla młodzieży płci niewieściej, często — przy zdarzonej potrzebie, stawał osobiście do murowania, do ciesiółki, do stolarki, do ślusarski, „żeby pieniędzy nie wydawać na to, co samemu zrobić można." Podanie głosi, że gdy gmach seminaryjny się stawiał, widziano księdza rektora pracującego wraz z robotnikami.

Seminarium mnie mocno i żywo zainteresowało. Ks. Dąbrowski odgadł snadź to, nie bawiąc się bowiem długo w ceremonie powitalne, oprowadził mnie najprzód po domu szkolnym pokazując mi rozkład onego. Zwiedziliśmy gabinety naukowe, kuchnię (w której nas powitała Polka-kucharka, siwa, a z postawy na grenadiera wyglądająca), składy gospodarskie — wyjrzeliśmy na podwórzec obszerny, przeznaczony na ogród, lecz używany przez uczącą się młodzież na plac zabaw, zastępujących zaniedbywaną w ogóle w Stanach Zjednoczonych gimna-

stykę. Po pokazaniu nam zabudowań, poprowadził nas czcigodny gospodarz do auditorium na wykłady. Asystowaliśmy lekcjom: języka łacińskiego, literatury polskiej, matematyki, po czym, zaproszeni na obiad, przeszliśmy do refektarza i spożyli dary boże, przysposobione na sposób polski. Po obiedzie ksiądz rektor zaprosił mnie do apartamentu swego, rzekomo na drzemkę, do której ani on, ani ja ochotyśmy nie czuli. Zamiast drzemki — gawędka.

Ksiądz Dąbrowski w roku 1863, w Kaliskim, wziął w powstaniu udział. Niechętna w tamtych stronach w odniesieniu do powstania postawa ludu wiejskiego zraziła go do akcji orężnej; opowiadał o trudnych i niebezpiecznych doznanych przezeń przejściach osobistych i zeszedł na seminarium. W opowiadaniu o powzięciu pomysłu, staraniach i uskutecznieniu założenia tej instytucji edukacyjnej przebiła się cała duszy tego księdza piękność. Nie — to nie on seminarium założył — nie! Wymieniał mi osobistości, między innymi ks. Pitassa, które datkami przyczyniły się do wykonania dzieła. Gdyby nie świadkowie, którzy sekretu nie robili, byłbym na miejscu o zasługach ks. Dąbrowskiego nie słyszał. Inni mi o zasługach założyciela opowiedzieli.

Gościnność Szanownego Ks. Rektora nie zakończyła się w seminarium. Po parogodzinnym wypoczynku poobiednim, przy którym drzemki nie było wcale, czcigodny gospodarz zaproponował zwiedzenie klasztoru Felicjanek.

To niedaleko — mówił. To także szkoła.

Przy tej samej co seminarium ulicy, nieco opodal, widnieje duża murem opasana, zamknięta budowla. Otworzyło ją zadzwonienie do furty. Odźwierna wprowadziła nas do skromnie umeblowanej i czysto utrzymanej świetlicy, w której przedstawieni zostaliśmy staruszce przełożonej, kobiecie średniego wzrostu, szczupłej, noszącej na całej postaci swojej bijący z oblicza, z oczów, z uśmiechu wyraz dobroci i słodyczy iście macierzyńskiej. Patrząc na nią, usta składały się same do przemawiania do niej: „matko.“ (Była to ś.p. Matka Maria Kajetana.) Przy niej była zakonnica młoda. Po przywitaniu się, po zamienieniu frazesów kilku, udaliśmy się pod przewodnictwem młodej zakonnicy do klas, w których właśnie odbywały się lekcje.

Nim drzwi pierwszej z klas się przed nami otworzyły, na schodach i korytarzach uderzyła mnie najmniejszego zarzutu nie dopuszczająca czystość: ściany jaśniały białością niepokalaną, na podłodze drewnianej, żółtawej barwy, świadczącej, że piaskiem jest szorowana, najmniejsza dostrzec się nie dawała plamka. Korytarze szerokie, jasne, bez cienia woni podejrzanej, przenikającej powietrze domów, zamieszkałych przez dużą istot ludzkich ilość. Sprawdzić to można w pierwszym lepszym szpitalu i w każdym internacie. W klasztorze Felicjanek w Detroit psuciu się powietrza zapobiega dobrze urządzona wentylacja.

W klasach również z wyszukaną spotkaliśmy się czystością na przedmiotach nie tylko martwych, ale i żywych. Dziewczynki małe równie jak panienki w wieku podlotków, umyte, uczesane, ochędożnie odziane, a przy tym zdrowo i czerstwo wyglądające, widokiem swoim prawdziwą sprawiały przyjemność. Nauka w polskim odbywa się

języku. Wykłada się i język angielski, ale klasowym jest polski — co zaprowadzonym by być mogło we wszystkich w Stanach Zjednoczonych szkołach żeńskich w łonie wychodźtwa polskiego. Szkoła polska dla dziewcząt utwierdziłaby w rodzicach mowę ojczystą i zapobiegła wynarodowieniu emigracji. Z rozkoszą przysłuchiwałem się szczebiotaniu dziewcząt i dziewczątek, wydających lekcje, odpowiadających na pytania, deklamujących wierszyki, śpiewających pieśni i piosneczki narodowe.

Miałem czego słuchać, ale miałem i na co patrzeć. Ubranie ścian świadczyło, że w klasach niższych praktykuje się nauka poglądowa; w wyższych zaś w każdej prawie, na widnym miejscu rzucało się w oczy uilustrowane osoby mojej powitanie. Jedno dłużej uwagę naszą na sobie zatrzymało. Ilustracja przedstawiała jeża wyciągniętego z piórem w łapce na sztandarach, karabinach i pałaszach, dokoła wieniec, w środku napis powitalny, u góry orzeł biały. I wzruszyła i ubawiła nas ta kompozycja pensjonarska.

KOMPOZYCJA, która tak wzruszyła i ubawiła Miłkowskiego, nie była jednak kompozycją pensjonarską... Opracował ją własnoręcznie ks. Dąbrowski, doskonały architekt, którego plany podziwiali inspektorzy miejscy, a zarazem bardzo zdolny karykaturzysta i rysownik, od którego uczyły się rysunków „pół-siostry."

W ROKU 1899 zorganizowano stowarzyszenie byłych alumnów seminarium polskiego. Do stowarzyszenia przystąpiło czterdziestu pięciu członków i ks. Dąbrowski miał dość dużo do czynienia z ich pierwszym zjazdem, który się odbył w czasie wakacji w seminarium. Była to jedna z prawdziwie miłych i radosnych chwil w jego życiu. Bo poza tym nie brakowało i w owych latach ciągłych kłopotów. Najwięcej kłopotu miał z nieproszonymi opiekunami seminarium spośród Polonii, którzy zarzucali mu nawet publicznie w pismach, że jest majstrem do wszystkiego, że przeszachrował tytuł własności seminarium, że nie zabezpieczył jego polskości raz na zawsze i że pozwala na amerykanizowanie w nim młodzieży polskiej przez profesorów. Plotkowano, że nie pilnuje seminarium, bo oczkiem w głowie są dla niego tylko jego „pierworodne Felicjanki."

Sarkali na niego dość głośno niektórzy księża i nie krępowali się z tym nawet wobec kleryków i ludzi świeckich. Narzekali, że jest odludkiem, że nie rozumie ducha czasu i że nie idzie z postępem. Jak on wychowa studentów? Na takie dziwadła, jakim i sam jest. Zarzucali mu, że nikogo się nie radzi, że jest pyszałkiem i że się zachowuje jakby pozjadał wszystkie rozumy. Uważali, że jest za słaby, za ustępliwy, za łatwowierny, że nie ściąga dość mocną ręką opłat szkolnych, że studentów nie odżywia dostatecznie, że w seminarium nie ma porządku, że nawet w mieszkaniu ks. Dąbrowskiego, jak w fajczarni, a on sam chodzi

jak Jakób mniejszy, *nunquam tonsus nunquam balneo usus*, i że sami studenci śmieją się z niego. Kiedy ubierze się przyzwoiciej na jaki festyn, to trącają się łokciami i szepczą: *„Widziałeś starego? Musiały go Felicjanki tak wymuskać.“*

Przede wszystkim i nade wszystko zarzucano mu ustawicznie, że inkorporacji seminarium nie przeprowadza. Walka o tytuł własności seminarium, która po śmierci jego na dobre rozgorzała i forsowana była zwłaszcza przez ludzi świeckich, już wówczas się rozpoczęła. Ks. Dąbrowski szukał wyjścia i chciał stworzyć dla seminarium t. zw. "Board of Trustees," w którym by zasiadało pięciu biskupów, reprezentujących hierarchię amerykańską, kilku księży polskich, reprezentujących całe duchowieństwo polskie w Ameryce, i choć z paru wybitniejszych katolików świeckich, Polaków. Spośród katolików świeckich miał on już upatrzonych na to dwóch ludzi, a mianowicie Erazma Jerzmanowskiego z Nowego Yorku i Piotra Kiełbassę z Chicago. Erazm Jerzmanowski obiecywał zabezpieczyć finansowy byt seminarium, na co majątek jego wystarczał, ale żądał, aby mu zarząd seminarium raporty zdawał. Na to ks. Dąbrowski nie tylko ze względu na prawo kanoniczne, ale i ze względu na to, aby nie dopuścić do ewentualnych zgrzytów, nie chciał się zgodzić. Uczestniczył w naradzie nad tym, która się odbyła w seminarium, i w której brał udział obok innych Jan Smulski, ks. Pitass i późniejszy biskup polski, ks. Edward Kozłowski, ale na niczym się skończyło.

SIŁY FIZYCZNE ks. Dąbrowskiego wyczerpywały się jednak w tych ustawicznych kłopotach. Doznawał również zawodów od profesorów, którzy w seminarium uczyli, zwłaszcza od świeckich. Niektórych z nich jedynie tylko z konieczności tolerował i miał rację, bo skoro tylko się dochrapali czegoś lepszego gdzie indziej, opuszczali go, wygadywali nań i nie wahali się nawet szkodzić seminarium w swoich artykułach drukowanych po gazetach.

NIE MIAŁ on też nieraz zaufania ani co do ich prawowierności, ani co do ich wpływu na młodzież. Musiał atoli politykować. Zresztą brak już mu było i sił fizycznych wśród ustawicznych kłopotów i ciężkiej walki. Pociechą za to dla niego było, że zdrowy ogół społeczeństwa nie tylko polskiego, lecz i anglo-amerykańskiego odnosił się do niego zawsze z szacunkiem i z uznaniem. Jak na niego patrzano w społeczeństwie polskim, widzieliśmy z opisu pułkownika Miłkowskiego. Jak na niego patrzano w społeczeństwie anglo-amerykańskim, niech nam zaświadczy artykuł, jaki "Detroit Journal" akurat na rok przed śmiercią jego, dnia 12 lutego 1902 roku, zamieścił wraz z jego fotografią. Poniżej dosłownie go przytaczamy:

Venerable, Saintly Priest; a Hero of Bloody Battles

Thrilling Story of Father Dombrowski's Escape from Cossacks—The Founder of the Famous Polish Seminary of Detroit, Who is Worshipped Far and Wide.

In the Polish seminary on St. Aubin avenue is an austere and venerable priest who lives like a recluse, and who is honored by all who know him, almost as a saint. As he passes along the streets on his way to church or to the home of some unfortunate his striking figure cannot fail to attract attention. In spite of his age, his tall figure is erect and his gait elastic. His snow white hair falls nearly to his shoulders and his eye is keen and still glows with the fire of a youthful enthusiasm for a lofty cause. His classic nose and high, broad forehead give him a striking resemblance to Abbe Liszt, the famous composer. As he passes on his daily walks the devout Poles flock about him, eager to kiss his hands and his garments, or to receive an encouraging word from him.

The old priest is Rev. Father Joseph Dombrowski, the founder of the Polish seminary. His name is uttered reverently in every Polish family, not only of this city but throughout the country.

He is a Russian Pole by birth. His parents were well to-do people in Zoltance, Russian Poland. He was born in 1842, and received a very thorough training in the gymnasium of Lublin. After his graduation he became a student of higher mathematics in the University of Warsaw, the old Polish capital.

In 1863, the last Polish insurrection broke out—Poland's last, bloody and heroic struggle for autonomy. Carried away by patriotism, the young student shouldered a musket and joined the insurgents. The students and teachers were formed into a regiment under the personal command of the leader of the insurrection, Mieroslowski, the idea being to furnish the remainder of the army of the rebellion with officers drawn from their ranks. Dombrowski thus participated in the most important battles of the long struggle for liberty, which, for incidents of heroism, may be compared with the late South African war.

The last engagement he was in was at Krzywosoncz, where gallant Mieroslowski made his final stand. Although almost 40 years have lapsed since that memorable day, the incidents are so fresh in the priest's mind as though they had happened yesterday.

"We were caught by the Russians in a piece of woods," he says. "We numbered 50, while the Russians were at least 2,000. They

attacked us front and rear. It was a continuous exchange of shots—fighting without cessation. For nine hours we held our ground, but finally our number was so reduced that further resistance was impossible. A few of us made a dash for liberty. Three escaped through the Russian line and reached the neighboring village, and I was one of the three. I ran as fast as my legs would carry me, a horde of Russian soldiers at my heels and bullets whizzing past me every second. I jumped into a ditch, and following its course ran in a stooping position. When I arrived at the village, I asked the first person I met, a woman, to hide me in her house. She glanced at the rapidly approaching Cossacks and decided that the risk would be too great.

"There was no time for parley. I followed my two comrades and continued my flight. Once I fell, and thus got behind my comrades, a considerable distance. However, I saw them dash up the lawn of a large mansion, and quickly made up my mind to follow them. I arrived in time to see them disappear in a cellar and shut the door. I essayed to join them—tried the door, knocked, stamped my foot, called—but in vain.

"Already the noise made by the approaching Cossacks reached to my ears. Every minute was precious and might cost me my life. There was no time to deliberate, and without reflecting, I ran into the house. Every door was open, but no one was there. I hastened from room to room, looking for a convenient hiding place, but found none that was safe. I ran upstairs, and the same situation confronted me. I darted up toward, but the door at the head of the stairway was locked and would not yield.

"Exhausted, I gave up the attempt to escape, and sat down on the narrow stairway. I grew resigned, almost indifferent to the doom that seemed inevitable. Presently I heard the Cossacks coming—a few at first, then more and more until I thought a whole regiment had invaded the premises. I heard them talking, swearing, calling to one another. I imagined I could see them searching the place. Cries of agony reached me from my brave comrades below. They had been discovered in their hiding place.

"I heard the Russians say, that they missed me and were certain that I was about the house. This brought me back to a realization of the danger I was in, and reawakened in me the desire to live. At the same moment, I struck the wall accidentally with my left hand, and behold! there was a sort of niche in the wall, not large, but of sufficient depth to receive a human body. I considered this a revelation of Providence, and quickly took up a position in that corner of the dark stairway.

"Downstairs, they were still discussing the disappearance of the rebel Polish student. One voice inquired whether the garret had been searched; another gave a negative answer; then the command to search was issued. I heard them ascend the stairway. Slowly they came up—one, two, three—a squad of them. My blood grew cold as they passed me by.

"Now the first Russian had reached the top of the stairway and was trying the door. 'Locked!' I heard him say. He strove to force his way in, but could not. 'He is in there sure,' he said. They went downstairs and again passed, so close to me that I thought I could feel their breath. Presently I heard a voice order them to return and break the door open. This they did, and then they went below again. Half an hour or so later, the whole party rode away.

"I had escaped the soldiers, but my situation was critical. I dared not venture out of the house, for fear of the omnipresent Russian spy. I knew not in whose house I was: nor what would become of me after my presence was discovered. Besides, loss of sleep, the hardships of the day, the reaction from the excitement of my flight, and thirst, rendered me incapable of much further effort. I knew of no better plan than to enter the garret and there await further developments.

It was an exciting time that he had in the attic. A domestic discovered him, and when he asked her to bring him water and bread, she fled screaming. Fearing that she might have gone to notify the Russian authorities, he took up a plank of the flooring, and whenever he heard a suspicious noise about the house he crawled into the hole and pulled the plank over him. To stay there very long was impossible—the hole was narrow, suffocating. He retired to the chimney, which was roomier, but just as uncomfortable.

The girl returned, eventually—not with bread and water, but with a band of well armed villagers, led by a man in whom Dombrowski believed he recognized a notorious, much-feared and bitterly hated Russian spy. Tired of concealment, the young Pole suddenly emerged from the chimney, seized a heavy piece of wood and stood ready to sell his life as dearly as possible. To his amazement, the crowd, on perceiving him, made no hostile movement, and he saw that the leader was not the spy, but a sympathizer with the cause of Poland.

The young man was given food and shelter and assisted to a place of safety. Further fighting being useless, he returned to Warsaw to resume his studies. A physician's certificate enabled him to support the pretext that he had been ill, and thus he gained readmission to the university. But the Russian government's spies are seldom fooled, and they discovered the real cause of the student's absence. Only timely warning saved him from arrest. He hurried back to his father's farm, got some money, and, with the aid of a Jewish lumber dealer, crossed the frontier into Prussian territory. Dresden, the Saxon capital, was a great center for Polish refugees in those days, and thither Dombrowski went. His experience among his compatriots there was not very pleasant. He was deceived and robbed of all of his money—some 400 rubles—and most of his clothing, and he left Dresden disappointed and chagrined. He went to Switzerland, worked in Luzern and Bern as a common laborer, and by hard work and frugal living accumulated enough money to enable him to realize his fondest dream, a visit to Rome, the Eternal City. Here the Collegium Polonicum had just been founded, an institute for the education of young Poles for the priesthood.

Dombrowski, still imbued with noble ideals, was one of the first students to be enrolled in the now celebrated clerical college, and in due time he was ordained a priest.

"I was now a priest," the father says. "I had reached the aim of my life. But I was a priest without a country, without a parish and with no prospect of ever getting one. I was as badly off as ever."

A short time after his ordination, there came to Rome a Polish priest from America—from Wisconsin. He took an interest in the young clergyman and induced him to join him on his return to the U.S. That is how Father Dombrowski, in 1870, came to this country and took charge of a little mission called Polonia, composed of a few Polish families and a lot of Indians.

For 13 years he labored there earnestly, organizing a well regulated parish and establishing a Polish branch of the Felician sisters, who shared with him the hard work among uncivilized tribes in an almost savage region. Then his health had become so impaired that he was no longer able to undergo the strain of his work and the hardships of the severe climate, and a change of residence became imperative. His co-laborers, the Felician sisters, decided to move to this city because of the much wider field for work among the Poles, and hither he came also.

Polish immigration to this country, beginning in 1880, soon assumed great proportions. In every large city Polish colonies sprang up and grew rapidly. Consequently, there was a demand for Polish priests all over the country. It was impossible to supply this demand. The college in Rome was unable to provide the European congregations with all the pastors needed. But the appeal of the Poles for clergymen of their own race reached Father Dombrowski's sympathetic ear. He knew his countrymen, knew their devotion to their religion, realized that without a church around which to center they would be unhappy, and their good qualities might degenerate. Energetically and with unremitting persistence, he set about averting the threatened evil by establishing an institution in which young Poles could receive training for the priesthood. He succeeded. After a long correspondence with the late Cardinal Ledochowski, then prefect of the propaganda, the Polish seminary on Saint Aubin avenue, the only one of its kind in the United States, was founded.

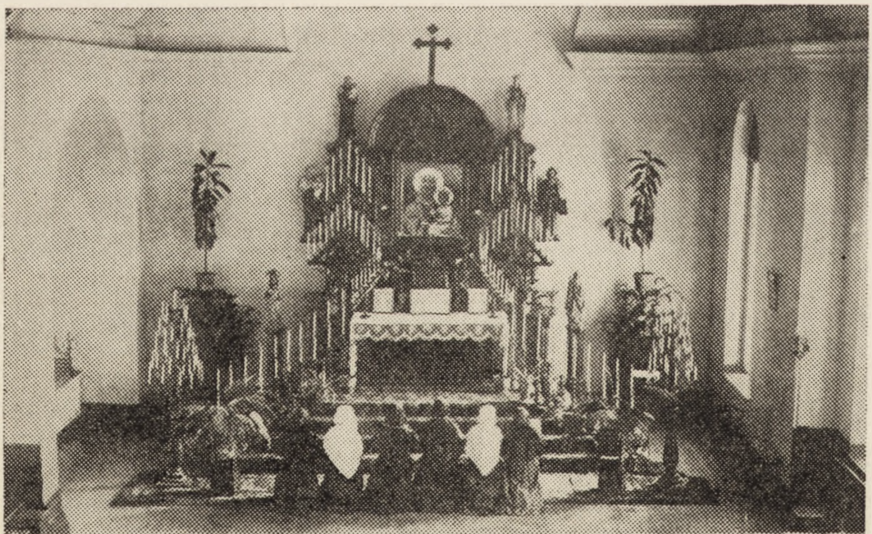
The granting of permission by the cardinal was an important step, of course, but it did not build the seminary. Father Dombrowski worked untiringly to secure the means; moreover, he did carpentry himself, and a number of young men who were ready to enter as students as soon as the structure was finished, assisted him as carpenters, masons and plumbers, and were given board in recompense. Among those who thus assisted was Frank Mueller, now the Rev. Fr. Mueller, pastor of St. Albertus church, one of the first students. Today the seminary is one of the leading Catholic institutions of learning in this country, carrying the fame of Detroit and the name of Father Dombrowski from the Pacific to the Atlantic, wherever Poles may dwell. It has supplied priests for more than 30 Polish congregations in this country, and

has been the most important factor in maintaining of the racial character of the Polish Americans. It has a large and well trained corps of professors, publishes a widely read Polish paper and wields a strong and wholesome influence. It has now some 200 students, and the demands upon it are increasing to such an extent that, next spring, the addition of a large wing will be undertaken.

Father Dombrowski has grown old in years, but, as an enthusiastic devotee of the Kneip water cure treatment, he has preserved rugged health and is as energetic and active as of old. To the students and young priests of his people, he is a warm-hearted father, an always willing adviser. The welfare of the Polish seminary is everything to him. He remains penniless that he may enlarge and enrich it. It is a proud stone building; he is content to remain an humble, modest, Catholic priest.

KIEDY takie jak powyższy piękny artykuł wieści, już prawie legendarne, o ks. Józefie Dąbrowskim w pismach angielskich z wielkim szacunkiem podawano, siły fizyczne niestety jednak już się mu prawie wyczerpywały. Starość nie radość.

Najlepiej zawsze czuł się w klasztorze na wykładach swoich dla „pół-sióstr“ lub wśród dzieci w sierocińcu. Brał nieraz udział w zabawach z dziećmi. Uczył je śpiewać „Rosła kalina.“ Opowiadał im anegdotki pouczające. Dzieci wprost myśli jego odgadywały. Tam dla nich rano mszę św. miewał. Tam się też nieraz z czymś nawet zwierzał siostrom.



Ołtarz w klasztorze, przy którym ks. Dąbrowski odprawiał mszę św.

1900-1903

PEWNEGO RAZU, na trzy lata przed śmiercią, przybył ks. Józef Dąbrowski jak zwykle rano ze mszą świętą do klasztoru, ale jakiś przygnębiony, zamyślony. Zaniepokojonym siostrom przyznał się, że miał sen dziwny nad samym ranem. Zdawało się mu, że przyszedł do jego łóżka zmarły już przed kilku laty ks. Leopold Moczygęba i zawołał: „*No, Józefie, szykuj się i ty, bo umrzesz za trzy. . .*" Nie dosłyszał, czy za trzy dni, czy tygodnie, czy miesiące, czy też lata, ale sądził, że chyba za trzy dni. Zjawa znikła, a zanim jeszcze ochłonął z wrażenia, powtórzyła się po raz drugi i trzeci. Ks. Dąbrowski łatwowiernym nigdy nie był, ale tym razem przejął się bardzo. Z troskliwością obchodził klasztor i jakby się żegnał z każdą rzeczą, z każdym urządzeniem, próbował nawet światła elektryczne, które założył własnoręcznie, przyglądał się motorowi, który rozebrał, gdy zainstalował mu go elektrotechnik, a którego potem złożyć nie mógł i wmawiał w wezwanego elektrotechnika, że coś tam jest w nieporządku.

Po tym dziwnym śnie atoli, w którym ukazał mu się ks. Moczygęba i zapowiedział śmierć, stracił ks. Dąbrowski zwykły humor i swobody nie odzyskał. Kiedy minęły bez żadnej przygody pierwsze trzy dni, tłumaczył siostrom, że ks. Moczygęba zapowiedział mu widać trzy tygodnie. Potem mówił o trzech miesiącach, o trzech kwartałach, a wreszcie . . . latach. Ale upierał się wciąż, że sen ów jednak miał jakieś znaczenie.

W TRZECIM ROKU, licząc od tego snu, ks. Dąbrowski znów cierpiał bardzo na reumatyzm. Przy mszy świętej trzymał się nieraz ołtarza oburącz, aby przyklęknąć lub przesunąć się z miejsca na miejsce, ale poza reumatyzmem nic mu nie dolegało, wyglądał dość dobrze i pracował jak zwykle. Do seminarium przybywało z roku na rok coraz więcej studentów i już trudno było ich pomieścić. Trzeba było seminarium rozszerzyć.

Ksiądz Dąbrowski umyślił właśnie nowe skrzydło dobudować. Zbierał pieniądze, nakreślił plany, zabierał się do budowy i ożywił się, jak gdyby nowej energii mu przybyło, chociaż z myślą o śmierci się nie rozstawał. Przyjacielowi swemu, ks. Pitassowi w Buffalo, mówił: „Ano trudno . . . Teraz kiedy się już dzięki Bogu, wszystko do porządku doprowadziło i poznało tyle rzeczy, bo i z elektryką umiem już dobrze się obchodzić, trzeba umierać." W jesieni 1902 roku jako nad-

zwyczajny spowiednik w odłączonej już wówczas od Detroit prowincji buffalowskiej bawił w Buffalo. Gdy przy pożegnaniu zapytała go prowincjałka Matka Brunona, kiedy znowu do nich przyjedzie, westchnął, zamyślił się i odpowiedział: „Bóg wie, może nie zobaczymy się już na tej ziemi.“ Lecz tak się już wszyscy przyzwyczaili do tego ciągłego mówienia „Ojca“ Dąbrowskiego o bliskiej śmierci, że nie brali na serio tych słów. Niedomagał, ale nie był przecież w wieku aż tak podeszłym, żeby nie mógł przeżyć jeszcze kilkanastu lat.

NAGLE jak grom z jasnego nieba spadło na niego ciężkie doświadczenie. Zaszedł w seminarium wypadek niespodziewany, przykry, bolesny, który ks. Dąbrowskiego ściął z nóg od razu. Zwykle zbywa się to zajście drobniutką wzmianką lub paru słowy, trzeba się jednak bez rękawiczek z nim rozprawić.

Dnia 23 stycznia 1902 roku studenci seminarium, czyli tak zwani teologowie i filozofowie, niezadowoleni z wicerektora czyli dyscyplinariusza, że jest zbyt wymagający i surowy, zbuntowali się. Wręczyli oni ks. Dąbrowskiemu pisemną petycję tej treści, że albo ks. Jan Mueller, ówczesny wicerektor i dyscyplinariusz, zostanie z seminarium usunięty, albo oni wszyscy ostentacyjnie opuszczą seminarium. Termin tego ultimatum: trzy dni. Podajemy tu w całej rozciągłości tę niezwykłą w dziejach już nie tylko seminariów duchownych, ale w ogóle szkolnictwa polskiego petycję studentów teologii i filozofii seminarium polskiego do rektora i profesorów seminarium.

Do Wielebnych Księży, Rektora i Profesorów Seminaryum SS. Cyryla i Metodego w Detroit, Michigan.

Słuchacze teologii i filozofii w temże Seminaryum.

Petycja.

Wielebny Księże Rektorze i Wielebni Księża Profesorzy!

23 stycznia 1903 r. My niżej podpisani, wychowańcy Seminaryum SS. Cyryla i Metodego w Detroit, jednogłośnie, bez żadnych namów i prowodyrów, postanowiliśmy in gremio się zebrać w gmachu tegoż Seminaryum celem poruszenia niektórych palących kwestyj, dotyczących naszego obecnego wychowania. Jak wiadomo, celem naszego pobytu w tutejszym Seminaryum jest dążenie do prawdy, światła i nauki. Jednym słowem, szukamy wykształcenia umysłowego, moralnego i fizycznego, by z jednej strony wypełnić godnie obowiązki przyszłego kapłaństwa, pomnąc na słowa naszego Boskiego Prawodawcy: "Vos estis sal terrae," "lux mundi," "Duces populorum," z drugiej zaś by być dobrymi patryotami, by być świecznikami tutejszej tułaczej Polonii. O ile zaś wychowanie jakie obecnie otrzymujemy odpowiada celowi naszego tu pobytu rozpatrzmy; fakta same niezaprzeczone niech mówią.

1. Pod względem umysłowym: w wykładach przez jednego profesora jesteśmy traktowani po macoszemu. Wymownym dowodem, ilustrującym ten fakt, niech będzie postęp nasz w teologii moralnej. W pierwszym semestrze przeszliśmy dwadzieścia kartek i to rzeczy niezbyt ważnych, łatwych i nieskomplikowanych.

II. Pod względem moralnym: chociażby tylko 101 paragraf Conc. Balt. wymaga i to stanowczo ustanowienia w seminaryum dla kierownictwa życia duchownego alumnów — ojca duchownego. On bowiem ciągłym swym obcowaniem ma nas pouczać o obowiązkach ciążących na nas, o odpowiedzialności, jaką przyjmujemy na się, przyjmując kapłaństwo, słowem ma nas uczyć duszpasterstwa. Zresztą czy podołamy w przyszłości kierowaniu innymi, skoro obecnie nie uczymy się nad sobą panować i sobą kierować. Nie krępowani jesteśmy regulaminem, chociażby tylko w miniaturowych ramach. Wolą naszą w najmniejszym wszyscy rządzą i nikt nie rządzi! Nie przesadzimy, mówiąc, iż ten samopas wielce zakrawa na anarchię. Wedle zdania jednego z zarządu, reguła jest w prostym, chłopskim rozumie, inny głosi, iż w sumieniu. W tym razie jak zawsze mści się przysłowie: "Quot capita tot sensus." Znajdzie się bowiem indywidyum, któremu sumienie i ów chłopski rozum dyktuje, iż reguła jest zbyteczną; zresztą pocóż się trudnić w jej wyszukiwaniu.....Czyż więc wszyscy mamy słuchać takiego rozumu i sumienia? Traktowani jesteśmy przez jednego przełożonego by jacyś żacy. To zaś jest ogromnie zaraźliwym — udziela się i malcom klasykom, i służbie. Wymowny przykład takiego maltretowania mieliśmy kilka tygodni temu. Oto człowiekowi poważnemu, w sutannie, będącemu prefektem, wobec setki malców klasyków, kazano iść ulicę zamiatać i przytem uraczono go epitetami, o których wspominać na tem miejscu nie byłoby rzeczą stosowną. Nie do nadzwyczajności należą wzywania do ofisu z gabinetu alumnów przez służącą — horrendum! Klasycy, przyszłe filary społeczeństwa amerykańskiej Polonii, powoli już tu, w Seminaryum, uczą się lekceważyć kapłanów. Zarodek to przyszłego udzielania napomnień swym duszpasterzom przez kochane owieczki: „Tyś mój parobek" lub „Co ty tam, popie, wiesz?" etc.

III. Pod względem fizycznym: "Mens sana in corpore sano" głosili Rzymianie. Czyż mamy tu rozmazywać fakta powszechnie znane? Ciągłe choroby, rewolucje żołądkowe są wynikiem nadzdrowych, nadczystych i przesmacznych pokarmów. Wystarczy tu zaznaczyć, że chyba brak sanitarnej komisyi w Detroit, boby kazała potrawy, służące nam do odżywiania, umieścić w stosownym dla nich miejscu. Biskupi, płacąc na nasze wykształcenie, żądają kapłanów do pracy nie zaś do szpitali! Wyłuszczywszy tylko niektóre nieporządki i takowe rozpatrzywszy, zauważyliśmy, iż w podobnym rozprzężeniu nawet nie jest ponętnym wspólne pożycie seminaryjskie, nie mówiąc już o innych czynnikach wznioślejszej natury, a zatem przyszliśmy do wniosków:

a) iż one pochodzą z niezaradności, braku energii, czy też chorobliwego stanu ks. Vice-Rektora. Stanowisko to, wielce odpowiedzialne, wymaga człowieka sprężystego, iżby miał posłuch u podwładnych. Zatem postanawiamy:

b) Wystąpić w drodze legalnej z niniejszą petycyą do Prześwietnego Zarządu w Seminaryum bez czynienia wszelkich strajków, zaburzeń, ale z chłodnym i rozważnym postępowaniem uradziliśmy prosić W. ks. Rektora i W. księży Profesorów o przyjęcie pod uwagę następujących punktów:

1) Usunąć obecnego ks. Vice-Rektora i Profesora teologii moralnej z zajmowanego przezeń stanowiska.

2) Wyznaczyć nam stałego ojca duchownego, by kierował nami w myśl dekretów Balt. Conc.

3) Wyznaczyć nam profesora ceremonii.

4) Wprowadzić stały i ścisły regulamin z odpowiednim nadaniem mu sankcyi.

5) Oddzielić alumnów od klasyków: tam gdzie niemożebne w obecnych warunkach fizycznie, to przynajmniej moralnie.

6) Zmienić kompletnie system odżywiania nas. Wykwintnych pokarmów nie żądamy. Mogą być sobie gospodarskie, ale zdrowe i przede wszystkim czyste. Wymagana jest wszakże rozmaitość. Trzy razy bowiem na dzień jeść jedno i to samo, i to tak przez cały okrągły rok naukowy — to cierpliwości zbraknie i wszystko zbrzydnie.

7) Zwrócić baczną uwagę na sporadyczne ginienie bielizny. Boć wartość zaginionej bielizny przewyższa wartość oprania, przytem brudnego. Bywają wypadki, iż po każdym praniu, brakuje połowy bielizny — nec plus ultra.

8) Po upływie trzech dni od wręczenia niniejszej petycyi, prosimy o stanowczą odpowiedź.

9) Gdyby Prześwietny Zarząd chciał poszukiwać domniemanych sprawców niniejszej petycyi, to z góry się zastrzegamy, iż wszyscy jednogłośnie takową uchwaliliśmy. Żądania nasze słuszne i za stawianie takowych całą odpowiedzialność przyjmuje ogół, nie zaś jednostka.

10) Gdyby z jakichkolwiek powodów żądaniom naszym nie uczyniono zadość, niniejszem postanawiamy:

a) Wszyscy niżej podpisani opuścić Seminaryum.

b) Kopię tej petycyi przesłać odpowiednim biskupom.

c) Prosić o pomoc księży amerykańskiej Polonii, by się nami zaopiekowali.

d) Treść tej petycyi ogłosić w prasie Polonii amerykańskiej.

11. W dniu dzisiejszym udać się z tąż petycyą do Zarządu i po odczytaniu takowej wręczyć ją W. Ks. Rektorowi i także W.W. Księżom Profesorom do rozważenia i dania nam odpowiedzi w trzydniowym terminie.

Nota I. Zaznaczamy wyraźnie, iż życzymy sobie pozostać w Seminaryum tutejszym i nadal, a chociaż łączymy się w niniejszym proteście, to jednak nie pragniemy przeprowadzić reform własną powagą, ale raczej skłaniamy się do prośby o przeprowadzenie dla nas takowych.

Nota II. Nadto zaznaczamy, iż jeżeli stanie się zadość naszym żądaniom, to treść niniejszej petycyi nie wyjdzie poza granicę tego parlatoryum i do zachowania sekretu zobowiązujemy się słowem honoru uczciwego człowieka.

Jan Bednarkiewicz, Stanisław Fimowicz, Franciszek Robaczewski, Jan F. Robaczewski, Jan Kassakajtys, Juliusz Manteuffel, Ignacy Osta-

szewski, Norbert Łukaszewicz, Ferdynand Scieszka, Jakób Gryczka, Stefan Jasiński, Jan Kasprzykowski, August Swic, A. J. Majeski, Wawrzyniec Michalski, F. Nowakowski, F. J. Wojciechowski, Jan Barca, Jan Czapliński, Edmund Dolewczyński, W. Kukulski, K. Marciniak, M. Pieczyński, J. Platta, L. C. Pochocki, J. L. Przyborski, Tadeusz Starzyński, Józef Sargalski.

NIE ulega wątpliwości, że powyższa „petycja" była sztyletem, który zadał śmiertelny cios sercu ks. Dąbrowskiego. Kto ten sztylet w ręce młodzieży włożył?....„Syn zabił ojca! . . . Brat zabił brata! . . . O rękę karaj, nie ślepy miecz! . . ." — oto westchnienie, jakie z duszy się wyrywa, kiedy to wszystko dziś rozważamy. Bo trudno przecież uwierzyć, ażeby młodzież w warunkach zwykłych, normalnych, zdrowych, mogła zdobyć się sama na rzecz w zasadzie aż tak ohydną, a w wykonaniu tak obrzydliwą. Młodzież dość często jest lekkomyślna, musi wyszumieć się, zanim nabierze z czasem rozumu. Jeżeli kto, to ks. Dąbrowski doskonale to rozumiał i na wybryki młodzieży był aż nadto pobłażliwy. Z początku tedy, kiedy petycję mu doręczono, widział w tej całej sprawie jedynie tyle, że mu się skarżą na profesora i mówił sobie: „Żeby skarżyć się na profesora, to nieuczciwie, ale pochodzi to może tylko z głupoty; trzeba im podać deskę ratunku."

Kazał więc uczniom przeprosić, kogo należy, zburczał ich po ojcowsku, zagroził im wydaleniem. Przekonany był głęboko, że znajdzie oddźwięk w mocno niesfornym, lecz przecież polskim sercu.

Ale oni zacięli się w uporze. Trzeba ich było wydalić. I tu dopiero zrozumiał wszystko. To nie był tylko wybryk młodzieży, to były twarde, nieubłagane tryby maszyny duchem obcej, która miażdżyła wypieszczone jego marzenia i wyrywała mu z rąk młodzież polską. Strajk w duchownym seminarium! W normalnych warunkach taka rzecz jest niemożliwa. I do głowy studentowi teologii przyjść przenigdy nie może. Aspirantem jest on przecież do kapłaństwa, gdzie panuje świat odmienny, świat religii i świat ducha, gdzie się idzie *propter Jesum non propter esum.* Spisek, strajk, groźba w szkole Chrystusa! W głowie człowieka o zdrowych zmysłach to się nie mieści. Przecierał sobie oczy ks. Dąbrowski, tarł czoło, a duch ciemności w twarz mu chichotał: „Tyś chciał walczyć ze mną? Szaleniec możeś ty nawet Boży, ale szaleniec i nic więcej. Do mnie należy przyszłość twego narodu tu w Ameryce! Nie wydrzesz mi jej z rąk. Miażdżę cię . . . Miażdżę . . . Sztylet ci ostry wbijam w serce." I ks. Dąbrowski padł pod tym ciosem. Maleńką tylko chwilę się słaniał, a potem padł.

KIEDY strajkujący studenci opuścili seminarium, westchnął z ulgą, że wyjechali przynajmniej bez awantur. Instynktownie zerwał się bronić swojego dzieła. Napisał protest do pism angielskich, które się na żer zaraz rzuciły, napisał apel do prasy polskiej, aby się przecież reflektowała. Do wydawców detroickiego "Times" i detroickiego "Journal," pisał dosłownie, co następuje:

Dear sir: In yesterday's Journal I find an article concerning the Polish Seminary of which I am the Rector. The Journal was seemingly misinformed. The main facts are therein mistaken and therefore I deem it my duty to rectify the same. A mention is there about a secret society comprising almost all the inmates of the institution and of a rebellion. There was not any evidence of such an organization AND IT DID NOT EXIST AND NO REBELLION EVER OCCURRED. Twenty-nine students were obliged to leave the institution, which they did peacefully and orderly.

Respectfully yours,
Rev. Joseph Dombrowski

Do prasy polskiej pisał mniej więcej to samo, co równocześnie napisał do ks. Kruszki. Odwoływał się spokojnie do zdrowego jej rozsądku. *Rzecz jasna* — pisał — *że sprawa tego rodzaju nigdzie nie może być cierpiana, bo w razie przeciwnym zapanowałaby w świecie zupełna anarchia.*

Ale w głębi duszy nie bardzo wierzył w rozsądek ówczesnej prasy polskiej w Ameryce, która aż się zachłystywała, rozmazując skargi studentów i rozdzierając szaty nad nimi, ani w skuteczność protestów swoich do pism angielskich, które z radością wydrukowały skargę studentów, że seminarium polskie w Detroit, to prawdziwy "Starvation Hotel" i litowały się nad nimi. Nie wierzył więc ks. Dąbrowski w to, aby przez zabiegi swoje, dobrą opinię seminarium wobec oszczerstw mógł salwować. Przecież w petycji strajkierów wyraźnie czytał, że jeżeli im do trzech dni nie ustąpi, to oni nie tylko zakład opuszczą, ale 1) sprawę biskupom przedłożą, 2) pod opiekę księży polskich się udadzą i 3) do opinii publicznej przez gazety się odwołają.

ZNALI oni widać ówczesne stosunki w Ameryce. Wiedzieli dobrze, że po swojej stronie będą mieli i prasę, i księży polskich, i biskupów amerykańskich. Pozować chcieli na bohaterów, na ideowców. W nienormalnych i niezdrowych stosunkach ówczesnych zabezpieczali się też od razu na dwa fronty: wobec biskupów i opinii amerykańskiej chcieli odegrać rolę lojalnych amerykańskich duchownych, którzy gorszą się jakoby nie dość kościelną gospodarką polską (polnische Wirtschaft) w seminarium; wobec księży i opinii publicznej polskiej chcieli odegrać rolę gorliwych narodowców, patriotów, którzy zabiegają o polskość tułaczej Polonii w Ameryce.

Aczkolwiek w petycji swojej zaraz na wstępie zastrzegali się, że działają tylko z własnej inicjatywy, jednogłośnie, bez żadnych namów i prowodyrów, to jednak było całkiem inaczej. Jak wykazuje choćby tylko pobieżna analiza tego, co jest w petycji, działali oni w gruncie rzeczy pod wpływem dwóch tendencji i to nawet z sobą sprzecznych, ale dość wyraźnie poza murami seminarium już podówczas istniejących. Tendencje te w swojej treści całkowicie polityczne, nie powinny mieć nic wspólnego z wychowaniem i pracą młodzieży w seminarium,

ale niestety, miały z nimi aż nazbyt wiele wspólnego. Takie były wtedy czasy, że te tendencje w głowie młodzieży więcej ważyły niż teologia. Kto je zaszczepił w seminarium polskim w Detroit? Zaszczepiła je bez wątpienia bardzo niezdrowa atmosfera amerykańska. Atmosfera ta forsowała z jednej strony, nawet w stosunkach kościelnych, nierozumną anglizację imigracji katolickiej — a z drugiej strony, atmosfera ta rozdrażniała zbyt przeczulone, zwłaszcza wśród Polaków, uczucia narodowe. Materiał palny więc był gotowy na dość długo jeszcze przed strajkiem. Wystarczył lada jaki prowodyr, aby iskra padła na prochy i aby w tej lub innej formie pożar buntu wybuchnął.

Prowodyrów w danym wypadku było paru. Jednym był pewien kleryk, „bywalec" wydalony z innego seminarium, nad którym ks. Dąbrowski się ulitował i którego do seminarium polskiego w Detroit przyjął. Drugim, otumaniony przez starszych pewien gorący młodzik, student filozofii, który pragnął się odznaczyć. Oni to pierwsi wśród kolegów, o ile wyszperać mogliśmy, chcieli ulżyć swej ambicji. Krytykując władzę i profesorów, co jest wśród młodych bardzo powszechne i popularne, rzucili hasło: „Róbmy porządki, zacznijmy od naszego dyscyplinariusza."

Obiektywnie trzeba to przyznać, że dyscyplinariusz nie był naówczas zbyt odpowiedni. Chociaż zdolny i choć znał dobrze swój przedmiot, ale wymowy nie miał żadnej i nie umiał sprzedać tego, co posiadał. Udało się prowodyrom pozyskać sobie paru najstarszych teologów, a reszta już poszła gładko. Zaledwie czterech i to tylko wśród tz. filozofów znalazło się „zacofańców," których nie dało się im nawrócić i którzy nie „czuli się powołani do robienia porządku w seminarium." Byli to studenci: Filip Freda, Franciszek Wilamowski, Bolesław Stefański i Władysław Szczukowski. Z teologów tylko jeden Michał Kozłowski nie podpisał petycji. Wiedząc, co go czeka, bo narady w sprawie strajku odbywały się dość długo jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, wyjechał on do rodziców na święta i spóźnił się z powrotem pod pozorem choroby. Nie chciał zadzierać z prowodyrami, a nie chciał narażać się też i władzy.

Zgodzili się natomiast „robić porządki" w seminarium za przewodem podżegaczy nawet tacy studenci, których ks. Dąbrowski od ich chłopięcych lat za darmo wychował i którzy wszystko mu zawdzięczali. Taka to jest psychika tłumu nawet w szkole wśród studentów. Jeden ze „strajkierów," którego ks. Dąbrowski od maleńkiego za darmo kształcił, a który po wydaleniu z seminarium nie miał wprost gdzie się podziać, bo był wzięty z sierocińca sióstr Felicjanek, przyszedł potem przepraszać ks. Dąbrowskiego, tłumacząc się, że i on musiał się podpisać, bo koledzy go zmusili.

PRZELICZYLI się oni jednak w swoich rachubach. Myśleli, że gdy zastrajkują, seminarium upadnie, a im się nic nie stanie, bo mają „plecy." Wprawdzie znaleźli oni istotnie „plecy," tj. protekcję wśród księży polskich i przyjęci zostali do seminariów angielskich przez biskupów,

którym seminarium polskie nie odpowiadało. Seminarium polskie jednak nie upadło!

Szlachetny opiekun seminarium polskiego, biskup Foley, dowiedziawszy się o wszystkim, oburzył się na strajkujących, nie chciał nawet z nimi rozmawiać. „Żadnego ‚strajkiera‘ w diecezji mojej za nic w świecie widzieć nie chcę.“ Paru z nich, którzy już byli na wyświęceniu, a do jego diecezji należeli, od razu zwolnił. Ks. Dąbrowskiemu, który natychmiast zdał mu raport ze wszystkiego, wyraził szczere współczucie.

PRZYPOMNIAŁ sobie może wówczas ks. Dąbrowski, jak to jeszcze przed paru laty, jeden z świeckich profesorów w seminarium, znany ze swych liberalnych poglądów, mający niestety dość duży wpływ na młodzież, przyszedł do niego i wyłuszczał mu słowo w słowo te same „krzywdy,“ zwłaszcza co do wiktu w seminarium, które powtórzyli w petycji swojej studenci. Ułagodził wówczas ks. Dąbrowski profesora swą dobrocią, bo zamiast z nim argumentować, wyjął jabłko z kieszeni i uprzejmie go nim poczęstował, mówiąc z dobrocią: *„Panie profesorze! może jabłuszko. . .“ „Rozbroił mnie tym swoim giestem, bo i jak tu z takim argumentować“* — opowiadał potem całe to zajście ten liberalny pan profesor.

Ale co udało się wówczas z tym profesorem, to nie udało się teraz ze studentami. „Mea culpa . . . Mea culpa. . .“ bił się w piersi ks. Dąbrowski. „Sam zawiniłem, żem nie dość czuwał, żem zaufał profesorom, żem za dużo ślędzał w klasztorze u sióstr, a za mało w seminarium u studentów. A może to ten kucharz Szmulczyński za dużo tam bredzi o udziale swym w powstaniu, a za mało pilnuje kuchni? Nie, nie! Toż on gotować umie dobrze, tylko trzeba, żeby do garnka miał co włożyć, a ja skąd wezmę? A może ta gospodyni w kuchni, Kotecka, albo stara Agata niepotrzebnie się tam kręci. Ale kim ją zastąpię? Szkoda, że ks. Buhaczkowski, jak na nieszczęście, zrzekł się wicerektorstwa i trzeba było dać ten urząd Mueller'owi. Lepszy z pewnością byłby ks. Godrycz. Chłopcy go lubią. A najlepiej, gdyby był został po dawnemu Buhaczkowski. . .“

Gryzł się tak i trapił ks. Dąbrowski. Prosiły go troskliwe o jego zdrowie siostry, radził mu biskup Foley, ażeby się nie przejmował i wyjechał choć na krótki odpoczynek. Posłuchał więc i wyjechał do sierocińca sióstr Felicjanek w Manitowoc, Wisconsin. Zastępcą swoim w seminarium zrobił ks. Buhaczkowskiego. Ale nie mógł długo wytrwać poza domem. Odpoczynek był mu męką. Przykrzyło mu się bez roboty. Po tygodniu więc powrócił i znów krzątał się w seminarium i u sióstr Felicjanek. „No, półsiostry! No, nieświęcone mateczki! bierzmy się znów do roboty. Stęskniłyście się? Ja się także już stęskniłem.“

W NIEDZIELĘ dnia 8 lutego 1903 wygłosił ostatnie swoje kazanie, ks. Dąbrowski w seminarium. Mówił o wartości czasu w życiu czło-

wieka. Upominał, aby korzystać w życiu z każdej chwili, bo nie wiemy, czy ona dla nas nie jest ostatnią. Mówił z niezwykłym jakimś przejęciem i wzruszeniem. W poniedziałek rano przyszedł jak zwykle z seminarium do klasztoru ze mszą św., a po mszy św. zamyślony idąc do pracy, tak ni z tego ni z owego, zagadnął jedną z sióstr, czy wie, co to jest sylogizm? „Wiem . . . To dwie przesłanki i wniosek“ — brzmiała odpowiedź. „A umie siostra z dwóch przesłanek wyciągnąć wniosek? . . .“

Wziął kawałek papieru i napisał: Przesłanka I: Wszyscy ludzie umierają. Przesłanka II: Ks. Dąbrowski jest człowiekiem. Pokazał siostrze i kazał z tego wyciągnąć wniosek. Siostra omal się nie rozpłakała, a on palcem jej pogroził . . . „Nie wolno płakać po mojej śmierci“ — powiedział i odszedł dalej.

Tegoż samego dnia, wracając z klasztoru do seminarium, upadł na schodach. Jedna z internatek to zobaczyła, chciała zaalarmować siostry, ale ks. Dąbrowski sam się podniósł i rzekł: „To nic ... To nic ... Proszę nie mówić o tym nikomu.“ A na drugi dzień rano ze mszą św. do klasztoru nie przybył. Posłały siostry do seminarium, by się dowiedzieć, co się mu stało i otrzymały odpowiedź, że „Ojciec“ leży chory, że nie może wstać z łóżka.

W ŚRODĘ posłał po księdza Sajeckiego, wikariusza przy kościele św. Wojciecha, aby go na śmierć wyspowiadał i przyniósł mu wiatyk. Dr. Lachajewski, który stale go leczył, był prawie pewien, że jeżeli się atak serca nie powtórzy, znów będzie dobrze. Aby uspokoić ks. Buhaczkowskiego, wezwał na sobotę specjalistę. W piątek odwiedził chorego biskup Foley. Perswadował mu, że nie widzi nic groźnego, ale ks. Dąbrowski, choć się ożywił, powiedział jednak biskupowi, że już nie łudzi się wcale i usilnie go tylko prosi, aby pamiętał o seminarium po jego śmierci. Biskup Foley przyrzekł i pożegnał się z nim bardzo wzruszony. W sobotę zbadał chorego specjalista chorób sercowych i zalecił zupełny spokój. Siostry czuwały przy chorym ciągle, zmieniając się po dwie kolejno. W nocy z soboty na niedzielę czuwały przy nim siostra Dunstana i siostra Marcelina. Spał niespokojnie. Zamykał oczy i znów się budził. Na przemian był przytomny i majaczył. Zjawy miał może, jak umierający w *„Dniu dzisiejszym“* Krasińskiego lub w *„Przedświcie.“* Zrywał się i patrzył na czuwające przy nim siostry tak jakoś dziwnie, jakby chciał mówić:

Serce mi pęka, światło się umyka.
Wszystko co kochałem,
Jak Bóg dalekie, lub jak chmura znika. . .
Jam bardzo smętny — jam bardzo znużony. . .
Zdejmcie mi z serca waszych uwag szpony!

— — — — — — — — —

Czemu patrzycie takim dziwu wzrokiem,
Jakbym was urzekł szaleństwa urokiem?
Ja brat wasz — człowiek — ja na was spozieram
Z miłością brata — i cicho umieram. . .

I znowu kładł się, i znów podnosił i jak w przerażeniu, jakby mówił:

Znam cię, dusz słabych siwy kusicielu!
Tyś przepsuł Wiarę — zatruł Miłość wielu. . .
Wiem — ty przyszedłeś w ostatniej godzinie
Mnie prorokować, że mój naród zginie. . .

— — — — — — — —

A potem słuchał jakgdyby głosu szatana, który mu mówił:

Ja jestem rozum — ja jestem konieczność!
Nie czas mi bratem — ale siostrą wieczność. . .
Ostatni jesteś wielkiego plemienia,
Ostatni jesteś z bohaterów rodu!
Żyłeś bez domu — umrzesz bez imienia
Zwiany jest z ziemi ślad twego narodu.

— — — — — — — —

Lud twój się dostał drugiemu ludowi
Na żer i pokarm — Ojców twych spuściznę
Wróg dziś przerobił na śmierć i zgniliznę;
On życie świata tą śmiercą odnowi. . .

— — — — — — — —

Wstrząsał się ks. Dąbrowski i protestował:

Czemu bledniecie — obróćcie się ku mnie:
On fałsze prawi nadęto i dumnie
Żądza serc wielu może pod mogiłę
Zstąpić jak anioł — i anielską siłę
Wlać w kość i popiół — nowy stworzyć naród. . .
Bóg w wolę ludzi rzucił cudów zaród. . .

— — — — — — — —

Wreszcie nad ranem uspokoił się ks. Dąbrowski i jakgdyby coś sobie przypominał:

. . .Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany,
Deptać musiałem obcych ludzi łany. . .
Jak Dant — przez piekło przeszedłem za życia!

— — — — — — — —

Lecz się modlę . . . modlę śmiało. . .
Bóg nas wcieli w drugie ciało!
Bośmy w żadnej zgonu chwili
Ducha nigdy nie stracili,
Próbę grobu my odbyli,
Prawem Naszym — ZMARTWYCHWSTANIE!
Dziś lub jutro dasz je, Panie!

— — — — — — — —

Około szóstej godziny rano całkiem spokojny już i przytomny kazał ks. Dąbrowski czuwającym przy nim siostrom iść na mszę świętą do kaplicy, tłumacząc, że i tak są niepotrzebne. „Zdrzemnę się, bo czuję się osłabiony; nie spałem dobrze w nocy, a teraz mi się na sen zbiera.“ Siostry poszły do przyległej kaplicy.

KIEDY JEDNAK wkrótce wróciły, zastały ks. Dąbrowskiego na pół ubranego, w palcie i pantoflach z odpustowym krzyżykiem w ręku, leżącego na wznak na podłodze, głową opartego o ścianę, lecz już martwego. Przybiegł na alarm ks. Buhaczkowski i udzielił mu jeszcze Ostatniego Namaszczenia świętymi Olejami. Wezwany natychmiast lekarz stwierdził, że śmierć nastąpiła przed chwilą na skutek ponownego ataku serca. Przyjaciel zmarłego, profesor Ignacy Machnikowski, w życiorysie jego pisze, iż — znając wielką wiarę i pokorę ks. Dąbrowskiego — wcale nie wątpi, że ten asceta i mąż Boży po to się pozbył czuwających przy jego łożu sióstr Felicjanek w ostatniej chwili przed śmiercią, aby tak umrzeć jak św. Franciszek z Assyżu, tj. na podłodze jak żebrak, bez świadków. Dlatego znaleziono go martwego na podłodze.

ZWŁOKI ks. Dąbrowskiego, po odprawieniu nad nimi egzekwii w kaplicy w seminarium, przeniesiono do kaplicy klasztornej sióstr Felicjanek, a potem do kościoła św. Wojciecha. Niezliczone tłumy ludu do nich spieszyły. Podczas pogrzebu przez żadną z ulic w pobliżu kościoła nie można było się przecinać. Wszystkie towarzystwa polskie z Detroit i okolicy wzięły w pogrzebie udział in gremio. Zjazd duchowieństwa był bardzo liczny. Nabożeństwo żałobne przy zwłokach pontyfikował biskup Foley i wygłosił nad nimi rzewną mowę. Z ambony po polsku przemówił do niesłychanie tłumnie zgromadzonego ludu, do duchowieństwa, sióstr i studentów ks. Franciszek Mueller, proboszcz parafii św. Wojciecha i jeden z najpierwszych wychowanków ks. Dąbrowskiego. Zwłoki złożono prowizorycznie we wspólnym mauzoleum, a później w lecie przeniesiono je do właściwego grobu na cmentarzu Mount Elliot w Detroit. Siostry Felicjanki pokryły mogiłę marmurową płytą z bronzową płaskorzeźbą zmarłego, a w roku 1915 wystawiły jeszcze krzyż z piaskowca. U podstawy krzyża na głazie umieszczone są kapłańskie godła i wyryty jest napis: „Przez wdzięczność — Siostry Felicjanki."

Śp. ks. Józef Dąbrowski nie zostawił po sobie na piśmie żadnego testamentu. Swoją pośmiertną polisę ubezpieczeniową, na sumę około 3,000 dolarów przepisał jeszcze za życia w połowie na Zgromadzenie Sióstr Felicjanek, a w połowie na seminarium. Ks. Buhaczkowski sądownie był naznaczony administratorem wszelkich posiadłości ziemskich zmarłego, których, właściwie mówiąc, nie było.

PROF. MACHNIKOWSKI słusznie napisał, że ks. Dąbrowski cały nie umarł, że działa i działać będzie, bo pozostał z nami duchem w Zgromadzeniu Sióstr Felicjanek i w Seminarium Polskim w Ameryce. Nie zostawił na papierze testamentu materialnego, zostawił jednak testament swój niematerialny, duchowy. Jaki to jest ten testament? Gdyby ks. Dąbrowski nie był kapłanem tak cichym, tak pokornym, jakżeśmy to już stwierdzili, to nie zawahalibyśmy się powiedzieć, że zostawił testament w dwóch następujących czterowierszach Słowackiego:

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny.
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami
A jakgdyby tu szczęście było — idę smętny.

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic . . . tylko czoło zdobi,
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi. . .

Ponieważ jednak ks. Dąbrowski był kapłanem cichym, pokornym, więc powyższe dwa czterowiersze z testamentu Słowackiego nie byłyby w jego stylu i streścimy testament jego raczej w innym czterowierszu:

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane za szaniec. . .

Kaganiec oświaty wiodący naród i kamień Boży rzucony na szaniec w obronie wiary oraz polskości tu w Ameryce — tym był ks. Dąbrowski Tym był za życia i pozostał nawet więcej tym samym i po śmierci. Wielbi go cała Polonia nasza amerykańska. Nawet ta garstka pomylonych studentów, co go niegdyś w seminarium tak bardzo udręczyła, przejrzała to zaraz po jego śmierci. Opowiadają ludzie wiarogodni rzecz pod tym względem bardzo ciekawą, że jeden z nich, zostawszy księdzem, dostał czarnej melancholi. Płakał nieraz i wyrzuty sobie czynił, że zamordował swojego ojca, ks. Dąbrowskiego, i ostatecznie skończył w domu dla obłąkanych.

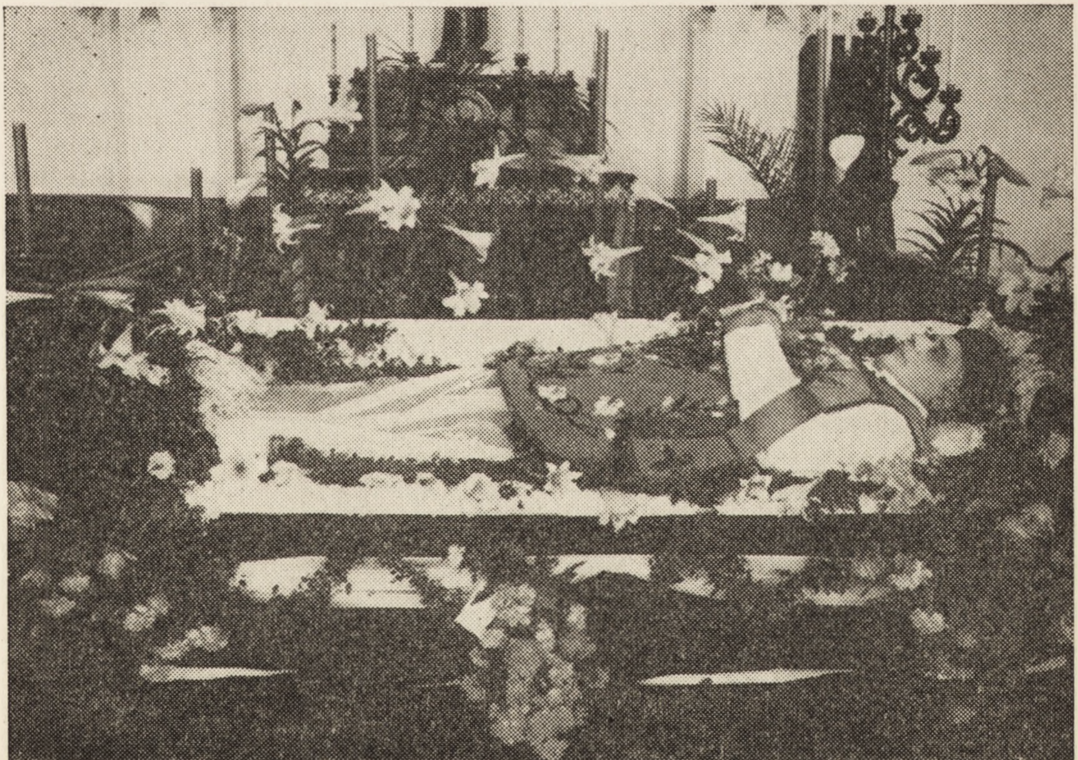
Ojcem zaiste, ojcem duchownym był ks. Dąbrowski. Ojcem nie tylko dla Felicjanek, ojcem dla księży, swych wychowanków, ojcem polskiego szkolnictwa i polskiego duszpasterstwa w Ameryce. A w dziejach Polski był i zostanie Polakiem wielkim, kapłanem świętym, pedagogiem niepospolitym i — szaleńcem prawdziwie Bożym.

LUDZIE przeciętni tak przytłoczeni są wielkością i świętością takich szaleńców Bożych, że zatracają nieraz poczucie ich realności. Albo nie chcą w istnienie takich szaleńców Bożych zupełnie wierzyć, albo gdy wierzą, to ich po swojemu apoteozują. Życie i postać takich szaleńców Bożych w pojęciu ludzi nawet wierzących jest na skutek tego nieraz jakgdyby tylko legendą nie o człowieku z ciała i kości, lecz o postaci jakiejś nadziemskiej. Charakter ludzki, wysiłki ludzkie, trudy i walki zwyczajne ziemskie, nie mówiąc już o słabościach i o błędach zwykłych ziemskich, zacierają się i gubią wobec tej apoteozy, w jakiej ich ludzie chcą zawsze widzieć i w jaką ich ubierają. A tymczasem ci szaleńcy Boży to też ludzie, nie bogowie, i nie święci tak od razu. Cała wielkość ich i świętość nie jest rzeczą jakąś cudowną i nadziemską, lecz jest owocem żmudnej pracy, opanowania słabości ludzkiej, która i w nich

się nieraz objawia, lecz którą oni wysiłkiem swoim za łaską Bożą w doskonałość, w ideał życia przeistaczają.

Człowiekiem, a nie aniołem był i ks. Dąbrowski, ale człowiekiem wielkim i świętym, jakich przeciętnie się nie spotyka. Tak jego życie zrozumieliśmy, tak w świetle faktów i dokumentów to stwierdziliśmy, tak o nim wszyscy, którzy go znali i u których się o nim dowiadywaliśmy, jednozgodnie zaświadczają.

NA tym kończymy. Pozostaje nam tylko krótka notatka o spuściznie literackiej, którą ks. Dąbrowski pozostawił. Przedtem jednak dobrze będzie podać tu trzy jeszcze rzeczy następujące. Po pierwsze nekrolog jego, jaki redaktor „Niedzieli" ks. Jan Mueller napisał. Po drugie wspomnienia o nim uczennic jego ze zgromadzenia Felicjanek, które żyją jeszcze po dziś dzień i osobiście nam je opowiadały. I po trzecie sylwetkę ks. Dąbrowskiego skreśloną przez jednego z księży, dawnych jego wychowanków. Ten ostatni specjalnie na prośbę naszą skreślił właśnie tę sylwetkę. Zastrzegł on sobie, żebyśmy nazwiska jego nie wymieniali. Uszanujemy tę skromność, acz nazwisko i godność jego dużo blasku dodałyby naszej książce.



Śp. ks. Józef Dąbrowski w trumnie

Nekrolog śp. Ks. Józefa Dąbrowskiego

Napisany przez ks. Jana Mueller'a w „Niedzieli"

STOIMY nad otwartą trumną męża tej miary, jakich nie wielu policzy tutejsza polska imigracja; stoimy bowiem nad zwłokami męża, który jako kapłan i obywatel znaczną i najważniejszą cześć czynnego żywota swojego poświęcił służbie dla Kościoła i dla rodaków swoich. Za nagle i niespodziewanie ubył nam ten wielki mąż, abyśmy ze świeżą łzą żalu mogli podać wierny rys jego bogatego w skutki życia i charakteru. Jego żywot należy do historii wychodźstwa polskiego, toteż, kiedy pierwsze bolesne wrażenie przejdzie, kiedy smutek się ukoi, wtedy zapewne potrafi tutejsze społeczeństwo ocenić całą doniosłość straty i znajdzie się pióro, które wyznaczy mu to poczesne miejsce w historii, na jakie ten rzadki i niepospolity mąż zasłużył.

ZALEDWIE kilka rysów podamy z życia tego niestrudzonego pracownika.

Śp. ks. Józef Dąbrowski przyszedł na świat w Żółtańcach w Królestwie Polskim w roku 1842. Odbywszy kurs nauk w gimnazjum w Lublinie, przeszedł na uniwersytet warszawski, gdzie się zapisał na kurs nauk przyrodniczych i matematycznych. Tu zaskoczyło go powstanie narodowe w roku 1863. Śp. ks. Dąbrowski, gotowy zawsze na służbę dla narodu, zaciągnął się w szeregi powstańcze i wziął udział żywy w licznych utarczkach, walcząc pod Mierosławskim. Chętnie lubiał opowiadać śp. ks. Dąbrowski przygody życia obozowego i męstwo swoich, którzy w liczbie czasem kilkudziesięciu popłoch rzucali na tysiące regularnego wojska nieprzyjacielskiego. Po nieszczęśliwym upadku powstania powrócił młody bojownik dla sprawy wolności do Warszawy na dalsze studia. Powrót swój miał do zawdzięczenia doktorowi Józefowi Mianowskiemu, który potrafił „zmylić pogonie" szpiegów moskiewskich i swoją powagą osłonił od podejrzenia młodego studenta.

NIEDŁUGO jednak cieszył się młodzieniec swobodą. Kiedy żelazna ręka despotycznego rządu zaciężyła nad biednym krajem, kiedy zaskrzypiały szubienice i przepełniły się więzienia, do których za najsłabsze podejrzenie wtrącano, wtedy pobyt młodego człowieka w ziemi ojczystej stał się niemożliwym. W r. 1864 w nocy uszedł młody akade-

mik za granicę i podążył do Saxonii, do Drezna. Wychodząc z kraju otrzymał od rodziców kilkaset rubli. Znalazłszy się na wychodźstwie z takimi, którzy nic nie mieli, rozdzielił swój nieduży kapitał, a sam pozostał bez grosza, bez środków utrzymania. Pracą ręczną zarabiał tedy na życie, a uzbierawszy nieco grosza wyruszył do Szwajcarii, pragnąc dalej kształcić się w studiach rozpoczętych kiedyś w Warszawie.

PRZEBYWAŁ kolejno w różnych miastach szwajcarskich, przeważnie piechotą w nocnej porze odbywając podróże z miasta do miasta. Najdłużej przebywał w Lucernie i Bernie, w tym ostatnim chodził na wykłady matematyczno-techniczne. Po paru latach tułaczki, karmiąc się często „chlebem płaczu i kielichem łez," poczuł w sobie powołanie kapłańskie i zapragnął dostać się do Wiecznego miasta. Wybrał się tedy do stolicy świata chrześcijańskiego — i to był pierwszy, bezpieczny port w życiu śp. ks. Dąbrowskiego. Po odbyciu studiów teologicznych w Kolegium Polskim pod kierunkiem ks. Semeneńki, C.R., otrzymał święcenia kapłańskie 1 sierpnia 1869.

KIEDY młody człowiek osiągnął cel swoich pragnień serdecznych, szukał dróg i środków do wcielenia ogromnego zapasu energii, popartych gorącą chęcią służenia Bogu i narodowi swemu. Do kraju wracać nie mógł — a pragnął znaleźć pole, na którymby najwięcej mógł zdziałać dla chwały Boga i pożytku rodaków. W tym czasie rozpoczyna się wychodźstwo z ziem polskich do Ameryki. Tu tedy pełen miłości i poświęcenia spieszy młody kapłan z ewangelią w ręku.

W r. 1870 przybywa do stanu Wisconsin, gdzie zastaje kilka rodzin polskich, i tu, w miejscowości przez niego nazwanej Polonią, rozpoczyna się pierwsza działalność pasterska, pełna poświęceń i cierpień, lecz obfita w owoce.

IMIGRACJA POLSKA zaczyna napływać w ciągu kilku lat następnych. Przenikliwy wzrok śp. ks. Dąbrowskiego dostrzega, że na obcej ziemi młoda generacja skazana będzie na wynarodowienie, jeśli się jej nie poda pokarmu dla ducha w słowie ojczystym. Postanawia tedy zakładać polskie szkoły i w tym celu sprowadza z kraju siostry Felicjanki.

Myśl była nader szczęśliwa, a działalność sióstr objęła tak szerokie koła, że w samych Stanach Zjednoczonych mają dziś dwie prowincje: zakład sierot w Polonii dla chłopców, w Detroit dla dziewcząt, w Buffalo dla chłopców, w Manitowoc, Wis., przytułek dla starców, zarząd Domu Emigracyjnego w New Yorku, i mnóstwo szkół polskich na całym obszarze Stanów Zjednoczonych. Oto skutki zabiegów śp. ks. Józefa Dąbrowskiego w sprowadzeniu sióstr Felicjanek, a z ich strony owoce poświęcenia i pracy, w czym tak godnie odpowiedziały intencjom śp. ks. Dąbrowskiego.

NIE KONIEC na tym. Nie strudzony w służbie dla świętej i dobrej sprawy śp. ks. Dąbrowski, aczkolwiek w gorączkowej swej działalności wyczerpany na siłach — do czego przyczynił się nie mało zbyt zimny klimat dalekiej północy — podejmuje dzieło o wiele donioślejsze, dzieło, które skronie jego otacza laurem niezwiędłej sławy i czcią pokoleń polskich.

Widząc, że ducha wiary i narodowości podtrzymywać może tylko słowo Boże głoszone w języku ojczystym, postanawia założyć wyższą szkołę polską i seminarium teologiczne. Pan Bóg i dobrzy ludzie dopomogli wielkiemu przedsięwzięciu. Po wymianie licznych korespondencji ze śp. ks. kardynałem Ledóchowskim, prefektem propagandy, otrzymał śp. ks. Dąbrowski osobiste zezwolenie Ojca św. Leona XIII na założenie seminarium polskiego pod wezwaniem ŚŚ. Cyryla i Metodego.

TERAZ rozpoczyna się praca, zdumieniem i czcią przejmująca dla tego niezmordowanego pracownika. Niezłomna wola i ufność w Opatrzności Bożej cudów może dokazać. Śp. ks. Dąbrowski żebrakiem się staje, kołacze do serc ludzkich i zbiera datki na dzieło, które dźwignąć postanowił. W pracy od świtu do późnej nocy, chodzi od chaty do chaty, gromadzi centowe datki, sobie odmawia wszystkiego. Niebawem, zakupiwszy kawałek gruntu w Detroit między ulicami St. Aubin, Forest i Garfield, rozpoczyna w imię Boże budowę gmachu seminarium polskiego.

Rzec można śmiało, że budynek ten mieszczący 200 przeszło ludzi został wzniesiony rękoma własnymi śp. ks. Dąbrowskiego, do czego mu dopomagali pierwsi studenci zakładu.

I STANĘŁO dzieło jego na chwałę Boga a pożytek rodaków. Niesporo szły pierwsze początki. Braki na każdym kroku dały się odczuć. Lecz niezmordowany w gorliwości śp. ks. Dąbrowski nigdy nie upadał na duchu, jakkolwiek ciernistе początki trwały przez lata całe. Sam nic nie mając, walcząc z chłodem i głodem, garnął każdego młodego człowieka, który się zgłaszał do zakładu — dobre i szlachetne jego serce ciągnęło wszystkich ku sobie; sam głodny „ukrytą manną“ karmił wszystkich na duchu i ciele. Toteż z tej twardej szkoły wyszło tylu młodych ludzi na dobrych sług ołtarza, lub prawych obywateli.

DOPIERO w ostatnich latach poznała Polonia amerykańska doniosłość wyższego wykształcenia w zakładzie polskim i młodzież poczęła tak licznie napływać, że w bieżącym roku szkolnym już budynek okazał się za ciasnym, z czego wynikło wiele przykrości dla śp. ks. Dąbrowskiego, przykrości skomplikowane z całym szeregiem innych nieprzewidzianych zawodów, które ostatecznie o 6:30 godzinie rano dnia 15 b. m. położyły kres dni tego niepospolitego męża.

GDYBYŚMY mieli podać najogólniejszy zarys charakteru tego nieodżałowanego męża, tobyśmy go skreślili w niewielu słowach: zupełne zapomnienie o sobie, życie dla drugich, praca dla kościoła i rodaków poparta niezmordowaną wytrwałością i energią przy gorączkowej niemal czynności, a wszystko opromienione prostotą, skromnością i miłością prawdziwie ewangeliczną.

Śp. ks. Józef Dąbrowski dla siebie nic nie czynił, niczego nie pragnął: ni dostatków, ni wygód, ni zaszczytów. Pracę, trud, bezsenność, dochody — o ile miał jakie — wkładał w dzieło które dla wyższych celów wznosił. Czynny i ruchliwy zawsze spełniał z gorliwością wzorową obowiązki kapłańskie rektora seminarium, dyrektora i kapelana sióstr Felicjanek. W jednej osobie pracował za wielu.

NIE zrażony przeciwnościami, nigdy nie upadał na duchu; walcząc często z przeciwnościami nie skarżył się i nie tracił otuchy, choć przykrości odczuwał boleśnie. Uraz do nikogo nie żywił. Owym ewangelicznym „zaparciem się siebie" i wszelkich próżności tego świata tak był głęboko przejęty, iż zdawało się, że ten nastrój duszy jest mu wrodzonym. Poczucie słuszności i dobrej sprawy posiadał śp. ks. Józef Dąbrowski tak wyrobione, że do żywego oburzało go wszystko, co choć na włos odstępowało od zasad uczciwości. I na tym punkcie był nieugięty, nawet surowy.

Ten żywy umysł zajmował się wszystkim: sprawami Kościoła, narodowymi i społecznymi. Każdy czyn piękny, myśl szlachetna wywoływały w nim młodzieńczy entuzjazm; kochał nauki przyrodnicze i matematyczne.

Śledził z wytężeniem postęp w dziedzinie elektro-techniki, i w innych działach fizyki i chemii. Nie obcą mu była astronomia i często z pamięci odgrzebywał szczegóły świadczące o głębokich i sumiennych niegdyś studiach astronomicznych.

W OSTATNICH tygodniach swego życia rozczytywał się w starożytnej historii i archeologii. Nawet w przededniu swojej śmierci wieczorem w rozmowie z piszącym te słowa z młodzieńczym ożywieniem cytował szczegóły z wojen Aleksandra Wielkiego i wyliczał cały szereg dat chronologicznych z różnych epok dziejów powszechnych, wspominając przy tym szczegóły z życia studenckiego, profesorów, itp.

Umysł trzeźwy i praktyczny nie lubił zagłębiać się w arkana filozoficzne, nawet wyraz żywej niechęci objawiał dla rozmaitych systemów filozoficznych. Wierzył głęboko, żył wedle zasad ewangelii, spełniał obowiązki z gorliwością podziwu godną. Nikomu nie odmówił swej pomocy, a o kim nabył dobrego przekonania, niezłomnie mu ufał. Sąd o ludziach przychylny znalazł u niego posłuch graniczący z łatwowiernością; złą o kimś uwagę, choćby Bóg wie z ilu ust słyszaną, z uporem odpychał od siebie. Niechęci i urazy do nikogo nie żywił; wdzięczności od nikogo nie wyglądał — czynił dobrze ludziom, bo takie są przykaza-

nia i taką już łaskę od Boga posiadał. O nikim źle nie mówił, choć gorszył i oburzał się czynem złym. Sam, mąż żelaznej woli, był na słabości ludzkie wyrozumiałym.

A PRZECIEŻ w tym życiu czynnym, ileż to razy napojony został żółcią i octem? ileż razy stąpał po cierniach? — Raczej może zapytać by się należało, kiedy tych cierni nie było? Od młodzieńczego wieku do ostatnich dni życia borykał się z trudami. Choć każdy może z Jobem powiedzieć: „bojowaniem jest żywot człowieczy na ziemi," to w całej pełni odnieść to należy do tego, którego śmierć dziś opłakujemy.

Do wielkich ludzi wielką miarę przykładać należy. Wielkie zamiary, wymagają wielkich wysiłków; toteż owo „bojowanie" w życiu śp. ks. Dąbrowskiego przekraczało zwykłą miarę ludzką — a może i to było przyczyną, że na razie nie znalazł uznania i poparcia takiego, jak miał prawo się spodziewać — choć to nie ze złej woli pochodziło, lecz raczej z niezrozumienia tego człowieka.

TO wielkie i piękne serce dla każdego stało otworem, a dla młodzieży był prawdziwym ojcem. Dobry, łagodny, przystępny, wyrozumiały na błędy i słabostki — lecz nieugięty i niezłomny w rzeczach przechodzących granicę zapomnień się młodzieńczych. Kto przeszedł przez jego szkołę — przebył próbę dobrą. Potrafił on ocenić *plus i minus* w charakterze młodzieńca, lecz trzeba było wiele, aby przychylił się w sądzie na ujemne o nim mniemanie.

Z drobną dziatwą, z sierotkami u sióstr Felicjanek obchodził się z tkliwością najczulszego ojca, toteż nic dziwnego, że dziatwa mniejsza i większa lgnęła do niego, a stąd i wpływ swój korzystny wywierał na młode dziecięce umysły i serduszka.

CZYNNY do ostatnich chwil życia, nie zrażony żadnymi przeciwnościami, zbierał fundusze na prowadzenie dalsze rozpoczętego dzieła, tj. dalszej budowy rozpoczętego skrzydła przy seminarium polskim. Na wiosnę miała się z całym pośpiechem poprowadzić robota dużej budowy i ta myśl zajmowała śp. ks. Dąbrowskiego całkowicie. Ale „człowiek zamierza a Bóg rozrządza" . . . W wyrokach Bożych podobało się powołać gorliwego sługę do Swojej chwały! I legł robotnik w winnicy Pańskiej, upadł ten bojownik na stanowisku — pozostawił wdzięczną pamięć i żal nieutulony po sobie.

ŻYŁ on dla społeczeństwa swego, toteż i całe społeczeństwo polskie na wychodźstwie uczuje i opłakiwać będzie jego stratę. Ale też ten sam mąż i kapłan, który zapomniał w życiu o sobie „zaprzał siebie samego," wystawił sobie pomnik trwały w najpóźniejsze pokolenia. Dzieło jego rozpoczęte w trudzie i pracy rozwijać się będzie i każde z przyszłych generacji przyłoży cegiełkę do dzieła zapoczątkowanego i rozwiniętego

przez śp. ks. Dąbrowskiego, a imię jego czcią otaczane przekazywać będą pokolenia pokoleniom.

Oto są krótkie, luźne szczegóły czynów, umysłu i serca śp. ks. Józefa Dąbrowskiego, szczegóły rzucone dorywczo, o ile boleść po stracie tego nieodżałowanego męża pozwala nam zebrać je pobieżnie; szczegóły nie wypełniające obrazu jego żywota, lecz też widziane przez łzę żalu po jego stracie, a nie zamącone żadną stronniczością.

A TERAZ, kiedy rzucimy okiem na tę pokorną, cichą postać — jakąż dla niej cześć czujemy! Mógł śp. ks. Dąbrowski rzec z psalmistą Pańskim: „Sam jeden i ubogi jestem.“ Lecz w tym ubóstwie i opuszczeniu jak promiennie występuje jego postać. Jaka próżnia uczyniła się, kiedy bić ustało to zacne, dobre serce! Ubogim był on, nie dla siebie pracował, lecz „na zapłatę zbytnio wielką“ od Boga i od swego społeczeństwa.

Takie serca to dar Boży dla dzieci naszego biednego narodu, to wzór poświęcenia i przykład pracy dla drugich.

Gorącym sercem swoim umiłował on wszystko, co dobre, co szlachetne. Miłość ku ludziom była kierowniczką jego życia pełnego trudów.

NIE spoczął on na chwilę w życiu, a żył „na zbieranie w cierpliwości obfitych owoców.“ I jak o życiu śp. ks. Józefa Dąbrowskiego możemy powiedzieć, iż „bieżał drogą przykazań, gdy rozszerzył serce swoje,“ tak teraz ten duch czysty przed tronem Przedwiecznego, po tej wędrówce doczesnej o nagrodę może z psalmistą Pańskim wołać: „Rozwesel duszę sługi Twego, bom ku Tobie, Panie, podniósł duszę moją.“ A modły opłakujących go przyczynią się, iż Bóg Wszechmocny przyjmie go do swojej chwały wiekuistej.

Ostatnie Chwile Zmarłego

(„Niedziela")

POGRĄŻENI w żałobie na bolesną wiadomość o śmierci śp. ks. Józefa Dąbrowskiego, podajemy tu kilka szczegółów z ostatnich chwil jego życia:

W poniedziałek 9 lutego śp. ks. Dąbrowski był bardzo czynny; po odmówieniu brewiarza, którego to obowiązku nigdy w życiu nie opuścił, załatwiał liczną korespondencję do późnego wieczora. Około godziny 10 doznał silnego ataku w lewym boku. Zdawało się, że to neuralgia lub reumatyczne cierpienia. Pierwszą rzeczą śp. ks. Dąbrowskiego było wezwać kapłana. Wezwany przybył niezwłocznie ks. Sajecki, przed którym ks. Dąbrowski się wyspowiadał. Równocześnie przybył Dr. Łachajewski, który udzielił pierwszej pomocy cierpiącemu, a upatrywał przyczynę nagłej choroby w wadzie sercowej.

Następnych dni bóle zmniejszały się, chory miał nie wysoką gorączkę, lecz był dość spokojny, nawet rozmowny. Gorączka dni następnych prawie ustąpiła, lecz nerwowość zwiększała się, bezsenność nużyła chorego, a Dr. Łachajewski po dokładnym zbadaniu pacjenta nie wątpił już, że przyczyna cierpień leży w zamąconych funkcjach serca. Z piątku na sobotę śp. ks. Dąbrowski nie spał całą noc. Dr. Łachajewski widząc stan groźny chorego wezwał do konsylium Dra Chapoton, który w zupełności potwierdził diagnozę Dra Łachajewskiego.

POZORNIE stan czcigodnego pacjenta był lepszy, gorączka ustała, bóle ustąpiły, nawet obudził się lekki apetyt. Tajono przed chorym, przygotowanym zresztą na śmierć, stan jego krytyczny, lecz otoczono go wszelką troskliwością. Na noc przyszły dwie siostry Felicjanki, które otoczyły swego Dyrektora i Dobrodzieja najczulszą opieką i czuwały w przyległym pokoju całą noc. Było to z soboty na niedzielę. Chory prosił nad ranem o szklankę mleka. Była godzina 6 w niedzielę. Sam zawsze gorliwy w obowiązkach chrześcijańskich zawołał doniosłym głosem: „Siostry, idźcie teraz na mszę św."

Właśnie ks. Buhaczkowski odprawiał mszę św. w kaplicy zakładowej. Posłuszne wyszły, a kiedy wróciły zastały śp. ks. Dąbrowskiego bez życia. Ta dusza prawa i oczyszczona św. sakramentami od skazy grzechowej wyszła zapewne z ciała na chwil kilka przed tym, nim obaczono jego martwe zwłoki.

PRZEZ czas choroby odwiedzano licznie śp. ks. Dąbrowskiego. Jakby w przeczuciu katastrofy zawsze ktoś był u niego, to domowi, to siostry Felicjanki i ich przełożone, to bliżsi i dalsi znajomi i przyjaciele, a także dawni uczniowie przybywali odwiedzić swego dobrodzieja.

Przez ciąg choroby licznie i często odwiedzali śp. ks. Dąbrowskiego wszyscy tutejsi księża polscy, a w piątek dłuższy czas zabawił przy łożu chorego ks. biskup Foley.

Wieść o śmierci śp. ks. Dąbrowskiego rozniosła się lotem po całym mieście i tegoż dnia rano, w niedzielę wiele mszy świętych ofiarowano za spokój jego duszy.



Ks. Dąbrowski w ogrodzie klasztornym w Detroit

Pogrzeb

(„Niedziela“)

KIEDY w niedzielę rano 15 b. m. rozeszła się żałobna wieść o zgonie śp. ks. Józefa Dąbrowskiego natychmiast przybył Najprzew. ks. biskup i księża polscy. Ks. biskup pokropił wodą święconą zwłoki i wraz z obecnymi odmówił cichą modlitwę za spokój duszy zmarłego kapłana.

Zwłoki śp. ks. Dąbrowskiego złożono w sali przyjęć żałobnie przybranej przez młodzież zakładu na katafalku otoczonym kwiatami. Studenci zmieniając się kolejno tworzyli straż honorową przy zwłokach.

W poniedziałek o godzinie 4-ej nastąpiło wyprowadzenie zwłok do kaplicy sióstr Felicjanek. Kondukt prowadził ks. Franciszek Mueller w asystencji polskiego duchowieństwa z Detroit. Młodzież zakładu wyniosła zwłoki swego ukochanego rektora.

W KAPLICY sióstr Felicjanek przybranej żałobnie spoczęły zwłoki na katafalku otoczonym mnóstwem kwiatów i wieńcami nadsyłanymi z różnych stron. Duchowieństwo polskie odśpiewało nieszpory nad zwłokami.

We wtorek wieczorem przeniesiono uroczyście zwłoki śp. ks. Józefa Dąbrowskiego z kaplicy sióstr Felicjanek do kościoła św. Wojciecha, żałobnie przybranego. Z kaplicy do kościoła nieśli zwłoki profesorowie seminarium polskiego. Mowę żałobną powiedział ks. Dr. Godrycz.

WŁAŚCIWE uroczystości pogrzebowe odbyły się w środę rano. O godzinie 10-ej rozpoczęła się żałobna msza św. Celebrował Najprzew. ks. biskup Foley w asystencji miejscowego polskiego duchowieństwa. Żałobną mowę wypowiedział ks. Franciszek Mueller, proboszcz parafii św. Wojciecha. Żałobny mówca przedstawił w ogólnych rysach żywot śp. ks. Dąbrowskiego pełen poświęcenia dla dobra powszechnego: a więc udział jego w walce o wolność, a później szereg nieprzerwany trudów, zabiegów i przedsięwzięć mających na celu służbę Bogu i społeczeństwu swemu.

A GDY wykazywał wielkość duszy i szlachetność serca śp. ks. Józefa Dąbrowskiego, które taką miłością pałało ku wszystkiemu co dobre i szlachetne, wzruszenie, nad którym nie zdołał zapanować żałobny

kaznodzieja, udzieliło się wiernym i w całym kościele dało się słyszeć głośne łkanie.

Następnie Najprzew. ks. biskup w dłuższej mowie podnosił zasługi śp. ks. Dąbrowskiego, jego poświęcenie się w służbie dla Boga i społeczeństwa polskiego w Ameryce, w służbie uwieńczonej najobfitszymi skutkami. — Księży było obecnych na tej żałobnej uroczystości około 130 przybyłych nawet z najodleglejszych stron, jak z Nebraski, Oklahomy, z odległych krańców Kanady, itd. Bardzo wiele świeckich osób i przyjaciół śp. ks. Dąbrowskiego przybyło z daleka, aby oddać ostatnią przysługę temu wielkiemu kapłanowi-patriocie.

Cały szereg prześlicznych wieńców zdobił trumnę. Wyróżniał się wspaniały wieniec z napisem: „Naszemu dobroczyńcy“ złożony anonimowo, a tuż obok skromny wianuszek chłopczyka, który zmarłemu sługiwał do mszy św. Otaczały trumnę kwiaty żywych lilii, a wewnątrz trumny obok zwłok złożona była wśród kwiatów olbrzymia gałąź palmowa złamana, symbol życia przedwcześnie złamanego.

PO skończonym nabożeństwie kapłani, którzy kończyli studia w seminarium polskim, wynieśli z kościoła zwłoki swego ukochanego rektora i rozpoczął się nieprzejrzany pochód na cmentarz Mt. Elliot, w którym udział wzięło nadzwyczaj liczne duchowieństwo, młodzież, profesorowie, delegacja Związku Narodowego Polskiego, towarzystwa i bractwa parafii polskich z muzyką, olbrzymi szereg powozów i nieprzejrzany szereg pieszych uczestników tej ostatniej przysługi oddanej kapłanowi tak bardzo zasłużonemu na wychodźstwie.

Na cmentarzu po dopełnieniu ostatnich ceremonii pogrzebowych złożono zwłoki w prowizorycznym grobowcu, raczej w kapliczce, skąd w swoim czasie przeniesione będą do grobu specjalnie wybudowanego.

W CIĄGU żałobnych dni nadesłano wiele telegramów i rezolucji żałobnych z wyrazami współczucia. Pomiędzy innymi nadszedł telegram od księży Dulskiego, Duszyńskiego i Lietuwnika w tych słowach: „Bolejąc nad stratą ukochanej postaci naszego niegdyś Rektora, dzielimy smutek drogiego zakładu. Niezdolni przybyć na pogrzeb, w poczuciu wdzięczności wysyłamy 125 dolarów na pomnik dla zasłużonego miłośnika polskiej młodzieży na imigracji.“

Wspomnienia Sióstr Felicjanek

GDY przeniesiono klasztor z Polonii do Detroit, w internacie było osiem dziewcząt. Trzy jeszcze żyją, a mianowicie, siostra Baptysta i siostra Alfonsa w Plymouth i siostra Paula w Chicago. Spośród późniejszych internatek dobrze pamiętających Ojca żyje jeszcze kilkadziesiąt. Podajemy tu garść notatek z ich wspomnień.

KAŻDĄ nowoprzybyłą chrzcił Ojciec nowym imieniem.

— No, będziemy imość chrzcili. Będzie imość odtąd „Agapita." Tak, zaledwie przekroczyła próg klasztorny, została ochrzczoną przy furcie siostra Baptysta. Siostra Alfonsa została „Barnabą," a siostra Paula „Szmaragdą." Inne internatki nosiły imiona: Kordula, Pafnula, Pika, Pacyfika, itp. Jedną nazywał Ojciec „srebrnym piszczkiem." Na ogół nie lubiłyśmy tych imion, ale co było robić, kiedy Ojciec naszych imion chrzestnych nie uznawał. Jeżeli którą spotkał i zapytał: „Imość, jak mam teraz na imię?" — trzeba było podać imię nadane przez Ojca.

DO dziewcząt, a tym bardziej do sióstr rzadko mówił per „ty," ale przeważnie w trzeciej osobie. Mówiąc o internatkach, żartobliwie nazywał je „nieświęconymi mateczkami" albo „półsiostrami." Później nawet studentów nazywał „nieświęconymi mateczkami ze seminarium." Słów wulgarnych nigdy nie używał. W obejściu był zawsze grzeczny i uprzejmy. Często żartobliwie częstował nas, gdy byłyśmy internatkami, tabaką, którą stale przy sobie nosił. — „Imość, imość, tabaczki trochę" — a my, naturalnie, uciekałyśmy ze śmiechem od tej tabaczki.

GOŚCI nie lubił, bo mu czas zabierali, toteż ich nigdy nie zapraszał. Gdy go proszono do gości, krzywił się, ale wyszedłszy do nich, był już uprzejmy i gościnny, tak, że nie poznawali, jak nierad jest ich wizycie. Najbardziej niecierpliwił się, gdy go z lekcji do gości proszono. Raz na przykład podczas lekcji geografii siostra furtianka zapukała do drzwi. Ojciec nerwowym ruchem wzniósł ręce w górę i mruknął: „Pewnie znowu jaki agent." Gdy siostra furtianka potwierdziła jego przypuszczenie, rzekł porywczo: „Proszę mu powiedzieć, że nie ma mnie w domu. Jestem w Europie." Istotnie wykładał wtedy klasie

o Europie. Miał trudności w języku angielskim, więc też unikał ludzi mówiących po angielsku. A może się to zdarzało tylko wobec uczennic, może nie chciał się wobec nich ośmieszać niepewną angielszczyzną. Szczególnie unikał niejakiej Miss Groebel, nauczycielki języka angielskiego w internacie, która wprost uwielbiała Ojca jako pedagoga. Jeżeli natomiast przypadkiem ją spotkał, był dla niej nad wyraz uprzejmy. W ogóle był Ojciec dobrze wychowanym człowiekiem.

WYKŁADAJĄC lekcje, chodził zazwyczaj po klasie albo siadał na stół. Obraz Ojca siedzącego na stole ze zwisającymi nogami i wymachującego rękami mocno nam tkwi w pamięci. Ogromnie lubiłyśmy lekcje Ojca, bośmy się dużo na nich uczyły, a przy tym nigdy nudne nie były. Traktował nas nietyle jako klasę, ile jako pewną ilość różnych jednostek, toteż każdą się z osobna zajmował. Doskonale znał nasze zdolności, jako też i słabości. Wykładał tak jasno, obszernie i przystępnie, jakby wykładał dla najmniej zdolnych, za to zdolniejszym zadawał więcej pracy i poświęcał im dodatkowe godziny poza normalnymi godzinami lekcyjnymi.

— Niech imość idzie zaraz po podwieczorku na górę do klasy, to wytłumaczę jej coś nowego z algebry. I „imość“ uczyła się już algebry, podczas gdy reszta klasy męczyła się jeszcze z arytmetyką.

PISMO miał nerwowe i nie bardzo czytelne, toteż w pisaniu listów wyręczał się siostrami. Żywy, nerwowy, niecierpliwy, porywczy, był Ojciec nieraz nawet gwałtowny i despotyczny. Objawiało się to głównie w słowach i ruchach. Nigdy jednak nikomu krzywdy by nie zrobił.

BYŁ żądny wiedzy. Czytał dużo. Robił różne doświadczenia w zakresie nauk przyrodniczych. Gdy postawiono generator elektryczny w klasztorze, rozebrał go po odejściu mechaników, aby dokładnie zbadać wszystkie części.

NIE mogąc go potem zupełnie dokładnie złożyć, zmuszony był zwrócić się do firmy, aby z powrotem mechaników przysłała. Gdy wrócił z wystawy w Buffalo, długo opowiadał nam o nowościach, jakie tam zobaczył. Opowiadał na przykład, że jakiś człowiek zapraszał jakiegokolwiek widza na scenę, zmieniał go w trupa, potem w kościotrupa, a wreszcie przywracał go do życia. Ojciec nie zaznał spokoju, aż zbadał, że cała sztuka polegała na zręcznym operowaniu lustrami. Na lekcji fizyki potem ilustrował to przy tłumaczeniu optyki. Prawa fizyki tłumaczył przy każdej okazji i uczył ich stosowania.

BYŁ niezwykle oszczędny, ale nie był skąpy. Na cele naukowe hojnie wydawał pieniądze. Sprowadzał książki, czasopisma, różne przyrządy do ulubionej fizyki, itp. Tak dobrze zaopatrzył internat w przybory naukowe, że wiele z nich jeszcze się dziś przydaje.

Przez oszczędność, a może i ze względów wychowawczych, wykonywał ze siostrami, a szczególnie z internatkami niemal wszystkie reperacje w klasztorze, nawet przy instalacjach, czy to wodociągowych, czy też elektrycznych. Wykonywał z nami wszystko, prócz tego jedynie, co tylko fachowy rzemieślnik zrobić może. A więc na przykład kopałyśmy doły do rur wodociągowych, po założeniu rur spajałyśmy je pod nadzorem Ojca, a po skontrolowaniu przez fachowego ślusarza ziemią zakrywałyśmy. Albo zakładałyśmy druty elektryczne. Uczył nas też Ojciec robienia zdjęć fotograficznych, wywoływania klisz, robienia odbitek — ogrodnictwa, rozpoznawania ziół. Jednym słowem, chciał nas wszystkiego nauczyć. Sadziłyśmy z Ojcem krzewy i drzewa owocowe, zakładałyśmy winnice. Gdy nam niekulturalni sąsiedzi poniszczyli dużo drzew owocowych, sadził Ojciec inne, głównie szpilkowe.

STALE obmyślał jakieś ulepszenia dla klasztoru. Kiedy Matka Monika, uważając elektryczność za luksus, sprzeciwiała się jej instalacji w klasztorze, Ojciec odniósł się do „Rzymu" (może do ks. Semeneńki) i otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą jego poglądy, przekonał Matkę argumentem: Roma locuta, causa finita. Gdy Matka Kajetana zachorowała ciężko na zapalenie płuc, Ojciec rozbił ścianę między jej celą a sąsiednią — żeby miała większą celę. Gdy Matka Kajetana wróciła z infirmerii, bardzo się za tę „luksusową" celę oburzała na Ojca, ale Ojciec nie ustąpił i musiała w niej zamieszkać. (Dziś w tej celi mieszka przełożona sierocińca.)

O SWOJEJ wygodzie natomiast nie myślał wcale. Przeciwnie, odmawiał sobie wszelkich wygód. Ileż razy spał nie na łóżku, ale obok łóżka na podłodze! O posiłkach zdawał się nigdy nie pamiętać. Taca stale wędrowała za nim po klasztorze. Zjadał z niej najprostsze potrawy — przeważnie mleko i kaszkę — a lepsze kąski oddawał sierotkom lub internatkom. Posty zachowywał ściśle. Kiedyś siostra Alfonsa przyniosła Ojcu śniadanie w dzień postu. Na tacy były dwa jajka, mleko i chleb.

— Imość, żebyś mi przyniosła ciepłej wody, to bym się napił. Tego jeść nie będę, bo dziś post — powiedział Ojciec. I potem się napił tylko ciepłej wody, którą mu siostra przyniosła. Przy każdym niemal posiłku pił mleko, a kawy i herbaty nie pijał wcale.

Jadał pospiesznie, bo się spieszył do pracy. Sutannę nosił przeważnie wyszarzałą i połataną. Wywoływał sensację, jeżeli się kiedy zjawił w porządnej (nowej) sutannie i obuwiu. To były tak rzadkie chwile i tak silne robiły wrażenie, że do dziś ich nie zapomniałyśmy. Pamiętamy doskonale, jak bardzo nieswojo wtedy się czuł Ojciec.

Ileż to razy przychodził do nas po pracy spocony, osmalony, z włosami rozwichrzonymi, a myśmy z serdecznym współczuciem, że „Ojciec zmęczony," sadzały go na ławie i fartuszkami lub chusteczkami ocierały mu twarz i gładziły włosy. . .

DLA siebie surowy, dla nas był ogromnie wyrozumiały. Umartwiony aż do abnegacji, o nasze zdrowie, a nawet wygody troszczył się ciągle. Toteż do Ojca uciekałyśmy się we wszystkich naszych kłopotach. Szczególnie te, którym groziło wydalenie uciekały się pod jego opiekę. Ojciec często zarzucał przełożonym zbytnią surowość, która ujemnie wpływała na zdrowie młodych sióstr — i na naukę. Oburzał się na posty o chlebie i wodzie, które wtedy tak często zachowywano. Był doprawdy naszym Ojcem. Raz, jako trzynastoletnia internatka, zatęskniłam za domem, bo zapach smażonych placków przypomniał mi mamusię, która mi je tak często smażyła. W internacie tak rzadko nam je dawano. Zalaną łzami spotkał Ojciec. Naturalnie, szczerze mu powód mych łez wyznałam. W tej chwili pobiegł do kuchni i przyniósł mi taką ilość mych ulubionych placków, że zaraz tęsknota gdzieś uleciała.

DO DZIŚ pamiętam, jak to nieraz w lecie w ogrodzie przy ławeczkach obok winogron wołał na nas. Ojciec Dąbrowski: „Chodźcie panieneczki wskoczcie na ławeczki, wyciągnijcie rączki, zerwijcie gronko, zjedźcie, tylko żeby nas matka Katarzyna nie widziała, bo by się gniewała."

CHOĆ był tak kochającym Ojcem, nie znosił ckliwości. W konfesjonale nie pozwalał na ckliwe wynurzania się i zaraz je przerywał niecierpliwie — najczęściej uwagą: „Niech imość się modli, żeby była dobrą zakonnicą." Toteż jako spowiednik nie był zbyt „lubiany." Zresztą do konfesjonału chodził niechętnie. Mszę świętą odprawiał prędko, kazania wygłaszał zwięzłe, „do rzeczy." Nie lubił ich wygłaszać, bo — jak mówił — nie wiadomo, jak mówić do sierotek, internatek, sióstr i świeckich równocześnie. Ale do kazań zawsze się przygotowywał. Ileśmy razy odnajdowały części kazań pisane po ławkach!

PO LEKCJACH lub po pracy opowiadał nam czasem różne anegdotki, nawet żarty. Dopominałyśmy się zawsze o nie. Pamiętam po dziś dzień anegdotkę jego o studencie sowizdrżale, co to oddany do szkoły przez swojego ojca, ubogiego wieśniaka, nie chciał się uczyć, lecz łobuzował. Powróciwszy do domu na wakacje, chciał oszukać ojca, że już nauczył się w szkole nawet po łacinie i wyrecytował ojcu jednym tchem jako łacinę słowa: kra-kręmi-ja-śpi-tu-lis-ten-tu-ry-je. Wieśniak się cieszył, że już synalek i po łacinie potrafi mówić, ale wnet się potem spostrzegł i po wakacjach już do szkoły go nie posłał, tylko wyprowadził dryblasa w pole do pracy i powiada: Synku, ja ci coś powiem też po łacinie: weź-wi-dła-tus-i-gno-ja-tus-roz-rzu-ca-tus.

ZWŁASZCZA legendy religijne nasze polskie lubił opowiadać nam ks. Dąbrowski.

Dwie legendy dotyczące św. Andrzeja Boboli, które on sam słyszał

może jeszcze w dzieciństwie swoim na wsi w Żółtańcach od ludu białoruskiego, a które potem nam w Ameryce opowiadał, zapamiętałam. Są to legendy następujące:

NA SCHYŁKU zimy bogobojny kmiotek piński, wiozący drzewo, zabłąkał się na moczarach. Zostawił w krzakach konia i poszedł szukać drogi. Naraz słyszy śpiew ptactwa wiosennego, czuje woń fiołków. Zdumiony idzie dalej i spostrzega na małej "łysince" (polance) obrośniętej po brzegach gęstym pasem konwalii i fiołków zwłoki człowieka w ubraniu członka Zgromadzenia Jezuitów. Zwłoki leżały szpetnie pokaleczone torturami, nie były jednak dotknięte rozkładem. Oczy męczennika otwarte patrzyły w jasne, lazurowe niebo. Po lesie przebiegał wietrzyk przesycony wonią ziół i fiołków.

Wokół na drzewach wytryskała z pączków szmaragdowa zieleń liści; ptactwo rojem zleciało na ziemię i ze śpiewem radosnym przykucnęło na niej, a fiołki i konwalie pochyliły swe główki. Zrozumiał kmiotek, jakiego dostąpił zaszczytu.

Pomodlił się, potem wziął na ręce święte ciało i poniósł je... Ptactwo rojnie fruwając z symfonią hosannowego szczebiotu, wskazywało drogę ku furcie najbliższego klasztoru Ojców Jezuitów. Tam kmiotek poniósł zwłoki.

Jakże piękna jest w naiwności swojej dydaktyka tej legendy tak tłumaczył nam ks. Dąbrowski... Człowiek zły pokrzywdził dobrego. Cała natura współczująca z człowiekiem dobrym, składa hołd swój zwłokom pokrzywdzonego. Zielony kędzior brzóz poleskich, kwiaty, ptaki, powiew woni fiołków w lesie, wszystko to są jak symbole nieśmiertelnej prawdy Bożej, że przemoc fałszu nie zwycięży nigdy ducha i że duch zwycięża nawet śmierć i zmartwychwstaje w chwale wieków i triumfie. Za podłoże ma legenda zwykle cuda. Żali nie jest cudem już samo zjawisko pojęcia cudów w legendach naszych? Jeśli kto nie wierzy w cuda, to uwierzyć jednak musi choć w ten cud jeden, że świat uwierzył w Chrystusa Pana bez żadnych cudów... Na tym tle tłumaczył nam tę drugą legendę, którą powtarzał nam w chwilach wytchnienia po swojej pracy ks. Dąbrowski.

KIEDY w roku 1808 Ojcowie Jezuici przewozili zwłoki św. Andrzeja Boboli do swojego kościoła w Połocku, w drodze pod wieczór zatrzymano się w Uszaczu i trumnę ze zwłokami ustawiono na katafalku w parafialnym kościele. Miejscowy proboszcz, znany ze swej świątobliwości, zapłonął wielką miłością i czcią ku dostojnemu gościowi swemu. Klęczał i modlił się u stóp trumny do późnej nocy. Kiedy wstał wreszcie zaczął prosić Jezuitów; — „Boże odpuść, Boże odpuść," (takie było jego przysłowie) — błagam Was, Ojcowie zostawcie mi świętego w moim kościółku... Boże odpuść, mnie z nim dobrze tutaj będzie... Zostawcie go, choć tylko do mojej śmierci... Niedługo odejdę..."

Z wielkim szacunkiem odmówili jednak Jezuici tej prośbie, tłumacząc się, że to jest niemożliwe, bo uroczystości w Połocku na przyjęcie świętego są już przygotowane, krypta w kościele wymurowana i że spełniają zresztą rozkaz...

— Boże odpuść, Boże odpuść. Szanuję wolę przełożonych waszych, — odparł z pokorą wielką staruszek. A tak by mi było tutaj dobrze ze świętym.

Nazajutrz o świcie ustawiono trumnę na saniach, zaprzężonych w czworkę koni. Aliści gdy dano hasło do odjazdu, konie nie mogły ruszyć z miejsca, choć trumna była lekka i te same konie wiozły ją przedtem bez żadnego wysiłku. Woźnica zlazł z siedzenia, ludzie zaczęli popychać sanie, konie szarpały się z wysiłku aż do potu, — nic nie pomogło: sanie jakby zrosły się z ziemią.

Wśród ludności rozlegly się głosy: „Zostawić nam Świętego.“ Zakonnicy eskortujący zwłoki, uklękli i odmówili litanię... Znów spróbowano ruszyć. Nadaremnie...

— Poprosić księdza proboszcza, — zadecydował starszy Jezuita. Udano się do plebanii. Zbudzono proboszcza. Staruszek spłoszył się.

— Boże odpuść, czego chcecie ode mnie? —

„Święty pragnie, byś go pożegnał,“ odpowiedziano.

Proboszcz wstał, ubrał się i zbliżył się do sani. Z szeptem: — Boże odpuść, — ukląkł i skupił się na modlitwie. Po kilku minutach podniósł głowę, spojrzał w niebo i, nic nie mówiąc, leciutko dotknął dłonią sani... Konie, które tego ruchu nawet widzieć nie mogły, same ruszyły z miejsca...

Ludność Uszacza dotychczas o tym opowiada. I my powinniśmy czcić relikwie św. Andrzeja Boboli i modlić się gorąco do patrona tego.

Tak zwykle kończył opowiadanie swoje ks. Józef Dąbrowski.

LUBIŁ też poważny śpiew kościelny. Nie znosił muzyki „koncertowej“ na chórze. Nieraz przy ołtarzu chwytał się za głowę i mruczał: „Już pieją!“ . . . Często przy pracy przypominał nam, że trzeba czynić wszystko dla chwały Bożej. Na lekcjach, szczególnie na lekcjach przyrody, lubił mówić o mądrości Stwórcy.

Unosił się na przykład nad procesem trawienia i zaraz dodawał: „Jak można nie wierzyć w tak mądrego Stwórcę!“ Nieraz gdy wieczorem chciał odmawiać brewiarz, a senność mu przeszkadzała, przesypiał się najprzód, aby mógł go trzeźwiej odmówić. Zazwyczaj wtedy nakazywał którejś z internatek, aby go w oznaczonej godzinie obudziła. A ile razy zastawałyśmy go późnym wieczorem krzyżem leżącego w kąciku kaplicy!

NIGDY nie wygłaszał mowy na pogrzebach sióstr — z jednym wyjątkiem. Na pogrzebie mianowicie siostry Lorety, zmarłej na wodną puchlinę, mówił z dużym przejęciem o jej heroicznej cnocie czystości: nie poddała się operacji dla skromności. Podobno poszła za uprzednią radą Ojca.

Do kapłanów uspasabiał nas zawsze jak najlepiej. Pouczał, żeby przełożone po filiach nie sprzeciwiały się nigdy księżom proboszczom, ale przeciwnie, czyniły wszystko, czego zażądają — chyba żeby żądali rzeczy niegodnych. Gdy siostra Alfonsa potem pracowała po filiach, słyszała nieraz ujemne uwagi księży o Ojcu i odniosła wtedy wrażenie, iż dlatego Ojca niektórzy księża nie lubią, ponieważ chodzi „zaniedbany.“ Nie rozumieli go . . . Myśmy wiedziały, dlaczego nie był elegantem, ten nasz najlepszy Ojciec.



Ks. Józef Dąbrowski odpoczywa po pracy

Kilka Wspomnień o Ks. Józefie Dąbrowskim

Skreślił dawniejszy uczeń

Do seminarium polskiego wstąpiłem w roku 1889. Mimo tylu lat żywo w mej pamięci przechowały się chwile spędzone w tym zakładzie. Parafrazując nieśmiertelnego Wieszcza, mogę szczerze powiedzieć: „. . .*dziś doniosłość i niezbędność twoją, droga ALMA MATER, widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.*“ Tak, tęsknię po tych złotych czasach młodości, po tych zacnych i zasłużonych profesorach, po tych lekcjach gramatyki, literatury i historii polskiej. Nie uczyli oni nas jedynie zimnej litery wiedzy, ale tchnęli w nią swego ożywczego ducha, owiali ją ciepłym duchem patriotycznym i katolickim. Taki duch rodzimy *ożywiał* każdą lekcję serdecznym ciepłem ojczystym. Było nas zaledwie 75, ale nikt nigdy nie sprzeniewierzył się głęboko w wrażliwe młodociane serca wpojonemu hasłu narodowemu *„Bóg i Ojczyzna.“* Tak, tęsknię po tobie, droga *Alma Mater!*

Ale mam się ograniczyć do jednej tylko osoby — ks. Rektora Dąbrowskiego, który to seminarium stworzył, odpowiednich sobie profesorów dobrał, plan nauk i wychowania zakreślił i który stanowił sprężynę i duszę tej uczelni. Wspomnienia moje o tej świetlanej postaci będą dorywcze; tak je na papier przeleję, jak mi pamięć podyktuje.

Ks. DĄBROWSKI!

Któż z dawnych uczniów nie ucałowałby dziś z najgłębszą czcią i wdzięcznością Jego spracowanej dłoni; któż dziś z głębi serca nie westchnie do Ojca niebieskiego: *„Wieczną szczęśliwość racz mu dać, Panie, za wszystkie znoje, prace, trudy, cierpienia i krytykowania, poniesione przy stawianiu tego wiekopomnego, od spiżu trwalszego i godniejszego dzieła — Seminarium Polskiego!“*

* * * *

Jako młody uczeń, nie patrzałem na ówczesne sprawy i wypadki tak jak dzisiaj, gdy długoletnie doświadczenie życiowe oraz perspektywa odległej przeszłości jaśniej oświeca i wyraźniej uwypukla minione dzieje i zmarłe osoby.

Dziś ten aż do przesady skromny — biorąc na uwagę jego stanowisko jako rektora tego zakładu — ks. Dąbrowski, uwijający się w znoszonej wyzieleniałej sutannie czy to w ogrodzie przy pracy, czy też po korytarzach zakładu lub spieszący do klasztoru sióstr Felicjanek na lekcje lub nabożeństwa — wyrasta po prostu na olbrzyma.

Nikt nie zechce zaprzeczyć, że ks. Dąbrowski prym dzierży wśród licznych kapłanów-działaczy, gdy chodzi o czyny i dzieła przynoszące ogółowi naszego wychodztwa prawdziwą korzyść i sławę. Jak ewangeliczny siewca, rzucił drobne nasienie na glebę serc polskich, które zakiełkowało z początku wątłe, słabe, stale się rozrastało, aż dzisiaj ten olbrzymi dąb roztacza swe konary nad całą Polonią amerykańską.

* * * *

KS. DĄBROWSKI był wzrostu średniego, nieco pochylony, zawsze ruchliwy i czynny, zamyślony, w dal wpatrzony i zafrasowany; rzadko był uśmiechnięty.

Rysy twarzy miał szlachetne, oczy wyraziste i łagodne, wargi zacieśnione, nos proporcjonalny, czoło wysokie, włosy posiwiałe, w tył zaczesane i aż na kark spadające, nadawały całej postaci wyraz powagi i troskliwości ojcowskiej. Każdego zawsze uprzejmie przyjął, sprawy jego uważnie wysłuchał i po ojcowsku ją załatwił.

* * * *

PRAWIE co niedzielę rano ks. Dąbrowski wygłaszał konferencje duchowne. Uczęszczali na nie słuchacze teologii, filozofii i starsi klasycy. Były one zawsze praktyczne, pełne ojcowskiej troski i rady dla przyszłej pracy duchownej wśród tutejszych rodaków.

Utkwiła mi w pamięci rada, aby każdy poświęcił się jakiemuś ulubionemu zajęciu ubocznemu, jak np. bartnictwu (na farmach), hodowaniu kwiatów, ogrodnictwu, muzyce, itp. *„To wam urozmaici i wypełni chwile wolne od pacierzy oraz innych obowiązków kapłańskich, a przy tym nauczycie się czegoś pożytecznego i dobrego.“*

* * * *

CO nam polecał, to sam w wolnych chwilach czynił, uprawiając ogrodnictwo. W wschodniej części ogrodu seminaryjskiego hodował winogrona, sadzał drzewka owocowe i rozmaite jarzyny.

Często wołał na przypatrujących się studentów: *„Niechno ten mały pograbi ów zagonik, a tamten niech wyrwie zielsko, aby sałata, buraki i kapusta mogły się rozrość.“*

* * * *

CZĘSTO z flobertem w ręku podchodził pod drzewka owocowe i hukiem strzałów rozpędzał ptasie szkodniki. Starsi nam powiadali, że w młodości ks. rektor był celnym strzelcem. Najczęściej jednak wymachiwaniem rąk i okrzykami: *Huzia, huzia!* — odpędzał natrętne i żarłoczne ptactwo.

KS. DĄBROWSKI nigdy, nawet do najmłodszego ucznia, nie przemawiał przez „ty," jeno zawsze przez trzecią osobę: *Niech tu przyjdzie, niech tam poskoczy, niech mi poda grabie, itp.*

* * * *

PRZY egzaminowaniu słuchaczy teologii lub filozofii zawsze był obecny. Wydrukowane i ponumerowane pytania umieszczono w szklanej czarze, którą postawiono na stole przed egzaminatorami. Wywołany uczeń przystąpił do stołu, wyciągnął na chybił trafił pytanie z czary i podał je przewodniczącemu.

Ostry to był, ale i bezstronny system zdawania egzaminów. Gdy dobroduszny ks. rektor zauważył zdenerwowanie i zakłopotanie badanego kandydata, starał się łagodnym sposobem naprowadzić go na właściwą drogę, a często gęsto nawet „podpowiadał," aby tylko student nie zrobił „klapy." Obecni profesorowie, zerkając na siebie znacząco, pobłażliwie się uśmiechali. Twarz ks. rektora wtenczas się rozpromieniała ojcowskim uśmiechem zadowolenia. Tak, *ojcem* był ks. Józef Dąbrowski zawsze i wszędzie — błogosławiący i błogosławiony!

* * * *

A NA potwierdzenie powyższej tezy, podam tu osobiste doświadczenie. Częściowo z powodu choroby, a jeszcze bardziej z braku funduszów na dalsze kształcenie, przerwałem jeden rok studiów.

Pod koniec wakacji tego roku napisałem list do ks. Dąbrowskiego, przedstawiając mu swoje położenie. Odwrotną pocztą otrzymałem odpowiedź: *„Byłeś dobry, uczyłeś się pilnie, przyjedź z powrotem i nie kłopocz się o resztę."*

Gdy po kilku latach już jako ksiądz z pierwszej pensji wysłałem mu, a konto zaciągniętych zobowiązań, znaczniejszą sumę, odebrałem tak czuły i serdeczny list dziękczynny, iż zdawałoby się, że on, a nie ja był dłużnikiem. Mimo woli przypomniał mi się tekst: Uczcie się ode mnie, bom cichy i pokornego serca!

* * * *

W POCZĄTKACH swego pobytu w seminarium miałem często bóle głowy. Ks. Dąbrowski był zawołanym „kneipistą," wierzył niezachwianie w leczenie wodą wszelkich dolegliwości.

Jednego wieczora zawołał mnie i takie dał mi instrukcje: *„Niechno mały idzie dzisiaj rychło spać. Jutro rano o godzinie 5-ej obudzę go sam, gdy jeszcze wszyscy będą spali, potem obaj pójdziemy do ogrodu i będziemy boso biegać po śniegu przez jakie 8 minut, to spowoduje szybki obieg krwi po całym ciele i głowa przestanie boleć."* Jak powiedział, tak uczynił. Nazajutrz jeszcze przed 5-tą godziną przybył do sypialni, kazał mi się ciepło ubrać, sam owijając mnie grubą kołdrą. Zeszliśmy razem cichutko do ogrodu grubą warstwą śniegu pokrytego i zaczęliśmy szybko biegać.

Powiedział mi wtenczas: *„Ja także biegam, żeby mały nie myślał, że to zaszkodzić może. Ks. Kneip tę metodę zaleca; to już bardzo wielu uzdrowiło. A teraz szybko do sypialni.“* Gdyśmy tam przybyli, musiałem się położyć do łóżka. Sam mnie przykrył kilku dodatkowymi kocami i kazał cały dzień przeleżeć i zapomnieć o klasach i lekcjach. W kuchni dał polecenie przyrządzenia mi specjalnego „byfszteku,“ ciastek oraz innych łakoci. Odwiedził mnie tego dnia z jakie sześć razy.

Rzeczywiście, ta metoda poskutkowała. Tylko człowiek o wielkim i czułym sercu tak postąpić potrafi i tak po ojcowsku pamiętać o swej pieczy powierzonym uczniu.

* * * *

BYŁ on jednak nieugięty, gdy chodziło o zasady i dobre imię zakładu. Kilku studentów wybrało się raz na przechadzkę, ale wbrew przepisom wstąpili do miejsca zakazanego, gdzie się zbytnio uraczyli trunkami. Przychwycono jednego z nich, przyrzekając mu złagodzenie kary, jeżeli wyda pozostałych towarzyszów. Student odmówił. Wtenczas ks. Dąbrowski, bez względu na fakt, że jego rodzice, których znał osobiście z czasów swego proboszczowania, opłacali pełną sumę utrzymania ($150.00 rocznie) — co się rzadko zdarzało w tych czasach — wydalił go z seminarium. Przykład ten naturalnie głębokie wywarł wrażenie na wszystkich studentów, i nic podobnego nigdy się nie powtórzyło.

* * * *

CZĘSTO czyniono próby, aby pierwsze Polskie Seminarium w Ameryce postawić na mocnych podwalinach finansowych. Różni kilkakrotnie zjeżdżali się do naszego zakładu przedstawiciele duchowni. Ale wszystko spełzło na niczym, podobno z powodu żądania całkowitego przeinaczenia zakładu, jego zarządu i własności.

Widziałem raz ks. dziekana Jana Pitassa z Buffalo i ks. Wincentego Barzyńskiego z Chicago, jak wyszedłszy z pokoju ks. Dąbrowskiego, głośno argumentowali na korytarzu.

* * * *

PRZYBYŁ też do naszego seminarium z dłuższą wizytą ks. Leopold Moczygemba z Teksasu. Był to energicznie wyglądający ksiądz; małego wzrostu, bardzo korpulentny, tak iż ledwo mógł przyklęknąć przy ołtarzu podczas mszy św. (Jak to oczy studenckie wszystko zauważą.)

Pewnego dnia zmęczony chciał po obiedzie użyć krótkiej drzemki. Aliści żwawa i hałaśliwa studenteria hece wyprawiała w ogrodzie seminaryjskim, tuż pod oknem pokoju naszego gościa. Był to czas rekreacji, więc studenci byli „w swoim prawie.“

Zirytowany w najwyższym stopniu ks. Moczygemba wybiegł na korytarz, zdążając do pokoju ks. rektora, wołał na całe gardło: *Te urwisze, asinusy, „blockheady,“ „esels,“ osły . . . nie dają mi zdrzemnąć ani chwilki. Jooozef (długie o), patrz, tam jest cały blok niezabudowany, kup go dla nich, niech się tam bawią, ja za to zapłacę.*

Myśmy pouciekali i gdzieś po mysich dziurach się pokryli, oczekując przelęknięci końca tej awantury. Skoro się jednak nasz ks. Rektor-Ojciec dowiedział, co zaszło, uśmiechnął się dobrodusznie, wprowadził ks. Moczygembę do swego pokoju, a po kilku minutach wyszedł już całkiem uspokojony, ba, nawet trochę uśmiechnięty ks. Moczygemba, wybaczając nam naszą płochość i „dzikość" młodzieńczą; tylko palcem nam pogroził.

Bądź co bądź, tego dnia drzemki poobiedniej nie było! Ostatecznie wszystko się dobrze skończyło. Przecie "All is well that ends well," czyli inaczej: "Finis coronat opus."

I znowu pioruny powstrzymał, burze zażegnał i słońcu świecić nakazał — nasz „pokój czyniący" ks. Rektor-Ojciec!

* * * *

NA UROCZYSTOŚĆ św. Józefa, dzień imienin ks. Dąbrowskiego, wicerektor ks. W. Buhaczkowski przygotował publiczny program; mówię „publiczny," bo pozapraszano i świeckich gości na ten festyn. Program składał się z występów orkiestry seminaryjskiej, śpiewów chóralnych, deklamacji i — *mów.*

Podkreślam tę część, bo studenci mieli winszować ks. rektorowi w różnych językach: polskim, greckim, łacińskim, angielskim, włoskim, ruskim, rosyjskim, niemieckim i litewskim. Jeszcze dziś pamiętam początek mojej francuskiej „mówki," którą mi napisał i wyuczył sam ks. Buhaczkowski: *"Tres Reverend Monsieur le Recteur! C'est avec un grand plaisir que je vous adresse ce soir au nom de mes condisciples . . . nous vous remercions pour tout que vous avez fait pour nous. . ."*

Nie uzyskałem jednakowoż palmy pierwszeństwa i walnego zwycięstwa, choć mnie ks. Buhaczkowski ucałował i pokomplimentował, że mówiłem czysto paryskim akcentem. (Był on moim pierwszym profesorem języka francuskiego — ot, cały sekret „powodzenia!") To odznaczenie przypadło słuchaczowi teologii K., który wygłosił litewską mowę.

Ten spryciarz zawołany, nigdy w niczym sobie wiele trudu nie zadający, wszedł na estradę z całą „nonszalancją," godną zaiste lepszej sprawy, i odrecytowawszy bez zacięcia się cztery czy pięć razy „Ojcze nasz," ukłonił się szarmancko, z uśmiechem triumfatorskim na buzi, zeszedł z estrady wśród ogłuszających oklasków (omne ignotum pro sublimi!).

Rzucił szelma zwycięski wzrok na "profanum vulgus," pewny, że nikt nigdy się nie dowie, co stanowiło treść jego cycerońskiej oracji. Aliści był tam klasyk M., znający piąte przez dziesiąte język litewski; a już pacierz litewski rozumiał doskonale, gdyż matka jego, Litwinka, nauczyła go tej modlitwy. Ten się śmiał znacząco, a na natarczywe nalegania kolegów, powiedział, że K. żadnej mowy nie wygłosił, tylko 5 razy odmówił „Ojcze nasz" po litewsku. Ho, ho! . . . tego nam tylko było trzeba! Dokuczaliśmy owemu K. przez wiele miesięcy. Dowiedział się o tym ks. B. i przygryzał wargi z niezadowolenia, ale gdy się nasz drogi Solenizant o wszystkim dowiedział, ponoć pierwszy raz w ży-

ciu śmiał się do rozpuku, podnosząc pomysłowość i spryt jegomości K. A no, "est modus in rebus!"

* * * *

PROSTOTA górowała bezwzględnie w życiu ks. Dąbrowskiego. Jeden pokój, służący równocześnie za kancelarię, „salon" przyjęć, sypialnię — ot jego ubikacje rektorskie. Prosta sosnowa podłoga z szerokich wychodzonych desek, bez jakiegokolwiek pokrycia. W środku długi tani stół sosnowy, na nim kilka książek, kałamarz, ołówki, pióra. Pod jedną ścianą biurko, nad którym zwisał ze ściany wielki krzyż drewniany. Żelazne łóżko przy drugiej ścianie, a opodal prosty stolik z wielką miednicą i dużym dzbanem do wody. Pod trzecią ścianą stała stara szafa na ubrania — oto całe umeblowanie ubikacji rektorskich!

* * * *

CODZIENNIE spieszył do klasztoru sióstr Felicjanek, które do Detroit sprowadził i których był kapelanem, profesorem i prawie że zarządcą.

Gdy naszemu seminarium nieraz bieda dokuczała, to litościwa Mateczka z klasztoru przysyłała chleb, kiełbasę i warzywa. Na większe uroczystości chodziliśmy do klasztoru asystować przy nabożeństwach.

Na Boże Ciało odbywała się rok rocznie uroczysta procesja w obszernym ogrodzie klasztornym, z ks. Dąbrowskim jako celebransem. Studenckie oczy spoglądały chciwie na dojrzewające maliny, porzeczki, agresty . . . niejedna ręka bezwiednie wyciągała się w ich stronę! O naiwne zachcianki i wybryki studenckie!

* * * *

WYCIERPIAŁ też wiele ks. Dąbrowski od niezależnych „kolachów," jak ich powszechnie nazywali wierni katolicy. Oni zaś, parafianie i zwolennicy odpadłego ks. Kolasińskiego (nawrócił się przed śmiercią), nazywali nas pogardliwie „dąbrochami."

Swoje pogrzeby odprawiali z największą pompą, z kapelą na czele pochodów żałobnych. Droga do ich cmentarza wiodła po St. Aubin avenue, koło seminarium; gdy więc blisko nas byli, rozmyślnie jak najhałaśliwiej się zachowywali, aby tylko ks. Dąbrowskiemu i nam dokuczyć. Odczuwał to bardzo nasz ks. rektor.

* * * *

NAPISAŁ ks. Dąbrowski kilka książek, a w r. 1891 począł wydawać tygodnik „Niedziela." My studenci składaliśmy „Niedzielę" i przygotowywaliśmy ją do wysyłki. Za to dostawaliśmy podwieczorek: kawę, chleb z powidłami, niekiedy i z masłem, a nawet po kawałku kiełbasy. Przypatrywał się nam ks. rektor i dobrodusznie się uśmiechał, widząc jak w kilku minutach wszystko z talerzy poznikało.

W ogóle, pożywienie nasze było proste, niewybredne, ale za to zdrowe i smaczne. Szwabskie przysłowie: „Głód najlepszym jest kucharzem," prawdę głosi. Każdy z nas był zdrowy i silny tak umysłowo, jak i fizycznie.

NA zakończenie mych uwag i spostrzeżeń o nieodżałowanej pamięci ks. Józefie Dąbrowskim, pozwolę sobie zwrócić uwagę tych, do których to należy, aby z okazji setnej rocznicy urodzin tego wielkiego i bardzo zasłużonego Męża, przenieść jego zwłoki z Detroit do Orchard Lake i umieścić je albo w kaplicy seminaryjskiej — jak inne podobne zakłady to uczyniły — albo gdzieś w pobliżu zabudowań instytucyjnych zapoczątkować osobny cmentarzyk, na którymby się chowało zwłoki profesorów, studentów, itp., połączonych z seminarium polskim. Tak np. się dzieje w Seminarium Św. Franciszka Salezego w St. Francis, Wisconsin, i po innych miejscach.

* * * *

WIELU „sławnych" rodaków pomrze; szumne nekrologi będą im poświęcone, mowy żałobne wygłaszane nad ich zwłokami . . . ale po kilku już latach pamięć o nich zupełnie i na zawsze zaginie. O ks. zaś Dąbrowskim pamięć nigdy nie zaginie. Po dziesiątkach, a może nawet po setkach lat, jeszcze żyć będzie. Na to sobie ten skromny sługa Boży, a wielki działacz społeczno-religijny i największy nasz rodak na emigracji tutejszej, w całej pełni zasłużył. *Cześć jego nieśmiertelnej pamięci!*



Internatki na grobie śp. ks. Józefa Dąbrowskiego

Spuścizna Literacka

SŁYNNY wódz grecki w Tebach, Epaminondas, zraniony strzałą w bitwie pod Mantyneą, odniósł tam swe drugie świetne zwycięstwo, a umierając zawołał z dumą: „Zostawiam ojczyźnie dwie córki nieśmiertelne: Leuktrę i Mantyneę.“

Ks. Józef Dąbrowski umierając mógł też zawołać: „Zostawiam Polonii amerykańskiej dwa swoje dzieła: Zgromadzenie Sióstr Felicjanek i Seminarium ŚŚ. Cyryla i Metodego — szkolnictwo polskie i duszpasterstwo polskie w Ameryce.“

Dwa te dzieła, dwie te córki nieśmiertelne ducha ks. Dąbrowskiego przekazały imię jego potomności raz na zawsze tu na ziemi i uwiły mu wieniec chwały u Boga w niebie.

TRZEBA jednak chociaż wspomnieć, że zostawił on po sobie i spuściznę literacką.

ZYGMUNT KRASIŃSKI w fantastycznej powieści swojej pt. Grób rodziny Reichstalów przedstawia nam starego astrologa i alchemika, który wprowadziwszy córką swą Minnę do podziemnej komnaty, pokazuje jej przy płomieniu drżącym lampy martwą lecz piękną niewiastę, na wysokim krześle siedzącą, i mówi: *„Oto twa matka, zachowana tu jak żywą moją sztuką. Sądź po piękności umarłej, jaką musiała być za życia.“*

Weźmy do rąk choć ogarek i rzućmy światło na pożółkłe stare kartki książek ks. Dąbrowskiego, które po nim pozostały. Tam jest myśl jego i cząstka duszy, która odeszła. Po piękności umarłej sądźmy, jaką musiała być za życia.

PODZIWIALI wszyscy za życia ks. Józefa Dąbrowskiego jako niepospolitego, wybitnego pedagoga. . .

Mistrzem on był w tej dziedzinie.

PEDAGOG (pajdagogos) był to pierwotnie w Grecji niewolnik nadzorujący chłopców w wieku od 7 do 18 roku życia. Przeszła atoli z czasem ta nazwa i na właściwych nauczycieli. Dziś pedagogiem nazywamy nauczycieli zarówno szkolnych jak i domowych, a przede

wszystkim ludzi oddanych wyłącznie pracy i ulepszaniu wychowania i nauczania, czyli pedagogice.

Pedagogika to zarazem i umiejętność i sztuka. Jako umiejętność pedagogika stara się poznać, zastosować i drugim wskazać zasady, których trzymać się trzeba w rozwoju inteligencji, nabyciu wiedzy i uformowaniu charakteru u młodzieży przez wychowanie i nauczanie. Jako sztuka polega ona na celowym i skutecznym oddziaływaniu podług tych zasad przez pedagoga na wychowanka czy wychowanków.

KAŻDE dziecko ma wrodzone pewne zdolności oraz skłonności i do dobrego, i do złego. Przez wychowanie i nauczanie trzeba je w nim pokierować: pierwsze obudzić i rozwinąć, drugie przytłumić i o ile możności wyniszczyć. Znaczenie życia, jego celu i jego wartości decyduje o kierunku i rodzaju pracy pedagoga. Celem wszelkiej pedagogii jest ideał, typ człowieka, jakim odpowiednio do swej istoty być on powinien w stosunku do samego siebie i swojego przeznaczenia, oraz w stosunku do Boga, do bliźnich i do przyrody go otaczającej.

PRZĘDZIWEM i zarazem środkiem wszelkiej pedagogiki są już uprzednio zdobyte przez ludzkość rezultaty jej wysiłków czy to w nauce, czy w literaturze, czy w sztuce, czy w moralności, czy w urządzeniach społecznych, czy w wierzeniach i religii.

W tym dziedzictwie kulturalnym są elementy przenajrozmaitsze i mają one wartość zarówno obiektywną jak i pedagogiczną przenajrozmaitszą. Trzeba je ważyć i z nich wybierać, co najważniejsze, najpotrzebniejsze i co najłatwiej w pedagogice może do celu nas doprowadzić. Ten wybór środków i przędziwa, a zarazem sposób ich zastosowania w pedagogice musi być odpowiednio dostosowany do pojęć dziecka, do naturalnych jego zdolności, do jego rozwoju, do jego zainteresowań, do jego potrzeb, słowem, musi być stosowany z uwzględnieniem rezultatów zdobytych w nauce biologii, fizjologii i psychologii. Wszelkie zgoła wychowanie zaczyna się normalnie w domu, a prowadzi się w dalszym ciągu potem w szkole.

SZKOŁA często, nawet bardziej niż dom rodzinny, jest odpowiedzialna za intelektualny i moralny rozwój dziecka i co za tym idzie, za osiągnięcie przezeń w życiu swego celu, swego szczęścia. Szkoła często nawet bardziej, niż dom rodzinny jest odpowiedzialna za wykształcenie i moralne urobienie tych, którzy później stanowić będą społeczeństwo i jako jego członkowie będą pożyteczni lub też szkodliwi.

Oczywistym jest wobec tego jak ważną rolę w świecie odgrywała i odgrywa pedagogia. Zarówno Kościół jak i państwo bacznie jej zawsze pilnuje. Biada narodowi, który puści ją samopas.

Historia uczy, że tylko te narody i te jedynie na widownię wypłynęły i czymś wielkim w dziejach ludzkich się zapisały, które miały w dziejowym swym rozwoju wielkich pedagogów. W Sparcie był Li-

kurg, w Atenach Solon, potem Sokrates, a potem Platon, Arystoteles. W Rzymie surowa "patria potesta" młodzież swą państwu wychowywała. Aż przyszła wreszcie, jak mówi Pismo św., *„pełność czasów" i zesłał Pan Bóg Syna swojego, Boga-Człowieka, aby został Pedagogiem wszystkich narodów i szkół i ludzi.*

DOPIERO Chrystus wyzwolił ludzi i nauczył ich, jak wznieść się z ziemi do Boga i harmonijnie rozwinąć w sobie nie tylko swój przyrodzony, ale i nadprzyrodzony ideał życia. Zrozumienie zasad chrześcijańskich wymagało rozwinięcia przede wszystkim duchowego i stąd to Kościół już w pierwszych wiekach starał się szerzyć obok wiary także oświatę.

Zakładane w tym celu szkoły przy kościołach i klasztorach prowadzone były z natury rzeczy tylko przez ludzi i mogły mieć różne wady, ale w najwyższej zasadzie swojej się nie myliły — rozumiały, znały dokładnie cel wychowania i nauczania.

TA chrześcijańska pedagogia jest w najwyższym swoim celu oraz w istotnych zasadach swoich uniwersalna i niezmienna. Ma ona właściwie zawsze i wszędzie jednego tylko najwyższego pedagoga, Chrystusa Pana.

Lecz z drugiej strony ma ona jednak i pedagogów swoich drugorzędnych z ludzi wziętych, w żywotnym związku z tamtym najwyższym pozostających, czasem wielkich, czasem małych. I ma jeszcze to do siebie, że się rozwija jak z ziarna drzewo. Drzewo wciąż rośnie. Wydaje ono gałęzie i liście z tego samego zawsze korzenia wyrastające, a jednak te gałęzie i te liście zawsze są zróżniczkowane.

NAWET natura to nie maszyna i nie rzemieślnik — to artysta. Tak samo artystą jest pedagog i pedagogia chrześcijańska. I nie maszyną, nie rzemieślnikiem, ale człowiekiem, w całym tego słowa znaczeniu, jest produkt tej pedagogii chrześcijańskiej: młodzież przez nią wychowana.

Aby osiągnąć w dziecku przez szkołę taki ideał, trzeba nie tylko, ażeby szkoła była w zasadzie swej chrześcijańska i ażeby jej najwyższym pedagogiem był Jezus Chrystus, ale ażeby też ten drugorzędny z ludzi wzięty pedagog był pedagogiem nie byle jakim.

NA takiego pedagoga musi się złożyć co najmniej pięć warunków: po pierwsze, takie zalety osobiste, jak głębokie przekonania religijne, charakter moralny, obywatelskość, uspołecznienie i patriotyzm; po drugie, uzdolnienie, zamiłowanie i intuicja pedagogiczna; po trzecie, gruntowna znajomość przedmiotu nauczania; po czwarte, doświadczenie nabyte drogą praktyki pedagogicznej i, po piąte, choć już może w mniejszej mierze, wiedza pedagogiczna teoretyczna.

KS. DĄBROWSKI wszystkie te warunki w wysokim stopniu i posiadał, i wykazał. Był on jednym z tych nielicznych pedagogów z łaski Bożej, których sama osobowość jest już pierwszorzędnym czynnikiem kształcącym. Był przede wszystkim głęboko religijny i przepojony duchem Chrystusa.

Technik, przyrodnik, ale równocześnie kapłan bardzo świątobliwy, rozumiał on jak należy swoje wielkie powołanie. Bezwiednie prawie przetwarzał szkołę w studium artysty chrześcijańskiego. Pod tym względem wpływ wielki wywarł na szkolnictwo polskie w Ameryce. Podziwiali go nawet obconarodowcy i protestanci.

Ojciec szkolnictwa polskiego w Ameryce, ks. Dąbrowski, dał nam szkolnictwo przepojone aż do szpiku duchem kultury chrześcijańskiej.

Jego obywatelskość, uspołecznienie, patriotyzm i charakter religijny nadały szkole polskiej w Ameryce na długie, długie lata ton wybitnie chrześcijański, katolicki. Związały ją one ściśle z organizacją i z duchem Kościoła Chrystusowego. Gdyby nie ks. Dąbrowski, nie wiadomo, czym by było szkolnictwo polskie w Ameryce, i czy by nie poszło na bezdroża, gdyby nawet zaistniało.

JEMU głównie to szkolnictwo zawdzięcza po wtóre i swego ducha narodowego.

Obok zasady religijnej, chrześcijańskiej, postawił w nim za zasadę narodowość oraz polskość. O tę zasadę walczył w nauczaniu i szkolnictwu polskiemu w Ameryce ją przekazał.

Podczas gdy szkoły innych katolickich narodowości uległy w Ameryce ideologii masońskiej i prostestanckiej, która żąda, aby narodowość i język ojczysty dzieci lekceważyć i jak najszybciej rugować pod pozorem patriotyzmu amerykańskiego — ks. Dąbrowski temu nie uległ. Rozumiał on, jak niekatolicką i szkodliwą jest to rzeczą, nawet dla Stanów Zjednoczonych.

DZIECKO powinno znać język swoich ojców, oraz dziadów i pradziadów, aby nie być kaleką. Naród powinien rozwijać się przede wszystkim w kulturze własnej.

Tak naucza nas Kościół. Tak naucza Ojciec św. Pius XII w swej encyklice "Summi Pontificatus" w roku 1939. Takie jest prawo natury. Pogwałcone, mści się. Jako przykład służyć mogą częste wypadki zwyrodnienia moralnego wśród dzieci arystokracji, które wsprost z kolebki oddaje się w ręce bon i guwernerów cudzoziemskich.

NIE może być dziecko polskie zrodzone z rodziców polskich dobrym nabytkiem dla Ameryki, jeżeli ono zapomina języka swojej matki.

Mówił to niegdyś już Teodor Roosevelt, rozważając zgubne skutki szowinistycznego asymilacyjnego ruchu w Ameryce, który nawet katolikom narzucili tu kukluxklaniści, masoni i protestanci.

Powtarzają to obecnie wszyscy co najwybitniejsi dygnitarze kościelni katolicy. Nie rozumieją tego zacofańcy tylko lub zaprzedańcy.

Znany jest list pasterski arcybiskupa Mooney'ego z Detroit, że kapłan katolicki mówiący dobrze po polsku i po angielsku jest podwójnie wartościowy dla Kościoła w Ameryce.

ZNANE też jest oświadczenie arcybiskupa Curley'a z Baltimore, że Polak, który nie potrafi mówić po polsku i nie kocha kraju swych ojców, w razie czego łatwo również zapomni i nowej ojczyzny swej, Ameryki, w której się urodził, albo która go adoptowała. Na sejmie Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego w Baltimore arcybiskup Curley tak upominał: Jeśli pochodzisz z rodziców polskich, jeśli w twoich żyłach płynie krew polska, a mówisz, że nie interesuje cię Polska i nie obchodzi cię los twych braci za oceanem, nie jesteś dobrym Amerykaninem, ale jesteś złym, niegodnym Amerykaninem. *"Never for a minute forget you are Poles. You will be good staunch Americans only in proportion to your love of Poland and your loyalty to the land of your origin."*

A na innym miejscu dnia 9 marca 1942 w oświadczeniu swoim do prasy polskiej tenże arcybiskup tak znowu pisze:

"If the children of Polish parents do not know the Polish language; if they do not acquire a knowledge of the story of the Land of their Fathers; if they do not have a deep affection for Poland, the Martyr of the nations of the world, then it will never be the fault of their Archbishop who writes these few lines."

WĄTPLIWĄ jest rzeczą, czy wszyscy nawet księża polscy w Ameryce z ręką na sercu wobec Boga tak oświadczyć by mogli, ale pewną jest rzeczą, że tak oświadczyć mógł ojciec szkolnictwa polskiego w Ameryce, ks. Józef Dąbrowski.

I dlatego to jest on tak zasłużony — zasłużony wobec Kościoła, wobec Polski i wobec Stanów Zjednoczonych w Ameryce. Cała hierarchia amerykańska na czele z arcybiskupem Ireland'em szanowała go nie tylko jako kapłana polskiego bez skazy, ale i jako pedagoga chrześcijańskiego, który rozumiał, czym jest dla dziecka polskiego w Ameryce język ojczysty i jak należy mu ten język, jako klucz do jego skarbów kulturalnych zachować, aby broń Boże mu nie zaginął.

ZAAKCENTOWAĆ należy tutaj z kolei rzeczy — obok powyższych walorów jego, że i metoda nauczania, którą w szkole ks. Dąbrowski stosował i którą siostrom nauczycielkom przykładem swoim zalecał, była rozumna i nie zdawkowa. Wrogiem był on tak zwanego werbalizmu, wrogiem był też wykuwania, ale ćwiczeniem jednak pamięci wcale nie gardził. Definicji oraz reguł zwłaszcza w matematyce kazał uczyć się na pamięć i ściśle tego dopilnowywał.

ŻADNEJ metody bezkrytycznie nie stosował. Wywody próżne teoretyczne lekceważył. Z tego, co napisał i co o nim i o jego lekcjach opowiadają, widocznym jest, że stosował on najchętniej metodę poglądową, nowoczesną. O co głównie mu chodziło, zdradził jak najwyraźniej już w owym liście do ks. Semeneńki z St. Francis, kiedy się wyraził o dzieciach polskich w Ameryce, *że wzrastają w ciało, a dusza śpi.*

Nauczaniem chciał budzić duszę, chciał ją ożywić, chciał uaktywnić, chciał rozwijać. Wszelka metoda była w porządku, jeśli do celu go prowadziła. Indywidualizm i bezpośredniość zwłaszcza lubił. Owczym pędem za drugimi katechetyczną metodą nie pogardzał, ale owszem w niej się właśnie często streszczał.

Lekcje dokładnie i zawsze z góry przygotowywał. Wszelkiej sztywności, formalistyki i pedanterii wprost nienawidził.

W SWEJ pedagogii trzymał się nieraz *metody starej dialektycznej,* ale ją łączył z zasadą *poglądowości* i z zasadą *nauczania ćwiczącego.*
ale ją łączył z zasadą *poglądowości* i z zasadą *nauczania ćwiczącego.*
Ideałem jego było tak zwane *nauczanie kształcące.* Chciał nie tylko dać dziecku zbiór wiadomości i zasad, chciał uczynić dziecko człowiekiem wykształconym . . . Chciał *wszczepić dziecko w kulturę chrześcijańską, zwłaszcza narodu swego polskiego.* Chciał, żeby dziecko tak przejęło się tą kulturą, aby ona zabarwiając się w nim indywidualnie, stała się życiem jego wewnętrznym, i motywem poczynań, i źródłem nigdy niewyczerpanym, z którego by wytryskała cała jego praca i cała twórczość.

JEŻELI kto, to ks. Dąbrowski tradycyjną szkołę wiedzy zmieniał pod wpływem nawet nie żadnej zgoła metody, ale pod wpływem swoich przekonań i swego ducha w nowoczesną *„szkołę pracy,“* albo w *„szkołę aktywności,“* w *„szkołę życia,“* albo w *„szkołę charakterów,“* jak nazywają to dzisiejsi postępowi teoretycy w swej nowomodnej nomenklaturze.

Ks. Dąbrowski nowomodnych nomenklatur nie używał. To, co inni jako nowość nazywają i czym się chwalą, on to jako rzecz starą praktykował. Używał często w swym nauczaniu i metody wykładowej. Znać to w jego rozmaitych książkach i podręcznikach które wydał.

O TYCH książkach i podręcznikach szkolnych ks. Józefa Dąbrowskiego niewiele się dzisiaj mówi. Jest to przedmiot dla nas suchy, trudny i niepopularny. Kto by się tam w takich książkach dzisiaj grzebał! Toż to przeważnie książki dla ludu albo dla dzieci; jakieś czytanki i podręczniki szkolne! To nie Mickiewicz ani Sienkiewicz. Są tam gramatyki, geografie, arytmetyki, itp. Szanujący się człowiek takich rzeczy dziś nie czyta!

A JEDNAK te podręczniki szkolne to są rzeczy bardzo ważne.

W literaturze polskiej po dziś dzień szanowane jest nazwisko ks. Grzegorza Piramowicza. Po utworzeniu w Polsce Komisji Edukacyjnej, która była w całym świecie pierwszym państwowym ministerium oświaty, ks. Piramowicz, jako znakomity pedagog powołany na stanowisko jej sekretarza, zasłużył się Polsce jak rzadko kto właśnie układaniem udatnio książek elementarnych i podręczników szkolnych.

System szkolny, który zaprowadziła w Polsce Komisja Edukacyjna, to jeden z pierwszych i najlepszych w całej Europie — co przyznawali po upadku Polski nawet Prusacy. Bezpośrednim skutkiem prac Komisji Edukacyjnej było — jak stwierdza St. Tarnowski — nie tylko podniesienie oświaty w Polsce, ale i obudzenie ducha narodowego i rozumu politycznego. Nikt się do tego tak nie przyczynił, jak zaprowadzone wówczas doskonałe książki szkolne w szkołach polskich, nad którymi pracował głównie ks. Piramowicz.

CO uczynił dla całej Polski ks. Piramowicz, to dla Polonii amerykańskiej ks. Dąbrowski. Pracował on u samych podstaw nad tym, co jest najważniejsze, choć niegłośne. Tylko, że tamten odkomenderowany był do tego przez rząd polski i wziął uznanie, a ks. Dąbrowski w Ameryce wśród Polonii sam się do tego odkomenderował i uznania nie wziął.

Tym więcej trzeba to podkreślić, trzeba tę cichą, a tak niezmiernie ważną zasługę jego podnieść.

BO czy chcemy, czy nie chcemy, jednym z głównych zajęć w szkole jest przyswajanie sobie wiedzy z podręcznika szkolnego. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych nauczanie z podręcznika po dziś dzień jeszcze wszędzie góruje.

Podręcznik szkolny jest nie tylko nauczycielem ucznia, ale i nauczycielem nauczyciela, jak się wyraża w swojej historii edukacji w Stanach Zjednoczonych K. F. Thwing, prezydent Reserve Uniwersytetu z Cleveland.

MÓWIĄC o tych podręcznikach szkolnych trzeba przyznać, że jest postęp, i że technicznie i psychologicznie to co w nich dziś jest o całą głowę przerasta przeszłość, ale trzeba i to również zauważyć, że przedmiotowo i proporcjonalnie pod względem treści więcej tam dawniej było ziarna, a dziś więcej bywa siana.

KS. DĄBROWSKI, jeżeli za co, to za brak ziarna, a nadmiar siana w swych podręcznikach nie będzie nigdy krytykowany. Uważał widać, że zarówno uczeń jak i nauczyciel spichlerz mieć musi, ale dla ziarna, a nie dla siana. Ziarno to może być dla ucznia i przytwarde, ale na to w szkole jest nauczyciel, aby je rozmełł i w piecu szkolnym dla ucznia upiekł.

ZWYKSZTAŁCENIA i skłonności naturalnej, ks. Dąbrowski był technikiem. W rdzennej istocie cała nowoczesna kultura nasza jest kulturą techniczną. Wszystkie inne najszczytniejsze ideały, życie wewnętrzne, kultura ducha jest dziś zepchnięta na szary koniec.

Lecz ks. Dąbrowski choć był technikiem, budząc siły umysłowe i techniczne pamiętał o tym, że kultura techniczna musi być zawsze podporządkowana kulturze duchu, bo inaczej zwyrodnieje. Nie ulegał on złudzeniu, że wykształcenie moralne stanowi produkt oświaty intelektualnej. W podręcznikach jego wszystko, nawet wiedza i nauka podporządkowane są umoralnianiu i kształceniu charakterów.

ŻYŁ i pracował w okresie czasu po wojnie cywilnej w Stanach Zjednoczonych, kiedy szkolnictwo i oświata w Ameryce szła szybko naprzód. Chciał ażeby wśród Polaków ruch ten również się rozwinął, ale rozwinął łącznie z etycznym postępem szkolnym w pedagogice, łącznie z kulturą ducha i człowieka wewnętrznego. Nie poszedł on pod tym względem drogą reformatorów szkolnictwa świeckiego, którzy na przykład w Niemczech w r. 1895 ogłosili konkurs na popularną pracę naukowego wychowywania młodzieży w domu i w szkole, a chcąc religię zastąpić czystym moralizatorstwem, doprowadzili szkolnictwo tylko tym prędzej wprost do bankructwa.

Nowoczesna techniczna wiedza, imponowała również i ks. Dąbrowskiemu, ale zawrotu głowy od niej nigdy nie dostał. Główny nacisk kładł on zawsze na człowieka wewnętrznego jak w pierwszych wiekach lub w średniowieczu.

TAK przedstawia się nam ks. Dąbrowski jako pedagog i wychowawca, naukowiec i literat, i jako autor różnych swych książek i podręczników.

Skończmy atoli już te ogólne uwagi nasze o jego spuściźnie literackiej i podajmy teraz tutaj spis jego książek.

---

1. *Kalendarz Polski.* Piśmienniczą swą działalność rozpoczął ks. Józef Dąbrowski w Polonii jeszcze przed sprowadzeniem sióstr Felicjanek, wydając na użytek swoich parafian Kalendarz Polski.

W żadnej z bibliotek nie udało się nam odnaleźć tego starego kalendarza. Wiemy o nim tylko tyle, że wydrukował w nim ks. Dąbrowski proroctwo św. Andrzeja Boboli o wszechświatowej wojnie, po której Polska w całej świetności swej zmartwychwstanie. Tym proroctwem, jak Mickiewicz i inni, krzepił się widać.

---

2. *Książka do czytania dla szkół Polskich w Ameryce.* Polonia, Portage County, Wisconsin, w drukarni ks. Józefa Dąbrowskiego.

PIERWSZE wydanie tej książeczki wyszło w roku 1878. Drugie w roku 1880. Były i dalsze jej wydania. Ks. Dąbrowski wyjął na nią w roku 1878 copyright w Waszyngtonie. W drugim wydaniu poprawił ją i powiększył.

Podaje ona na samym wstępie w trzech rozdziałach 52 rady dla dzieci, jak się mają zachować przed szkołą, w szkole i poza szkołą oraz w kościele. Są to bardzo krótkie, ale treściwe i bardzo praktyczne przepisy szkolne dla dzieci.

WBREW rozsiewanym w późniejszych czasach przez złośliwych krytyków ks. Józefa Dąbrowskiego pogłoskom, jakoby on lekceważył sobie dyscyplinę szkolną, przepisy te są po dziś dzień najlepszym dowodem, jak on tę dyscyplinę rozumiał i jak jej uczył dzieci.

Pozwalamy sobie przepisy te przedrukować tu w całości, bo acz przydługie, i dla zwykłych czytelników nawet nudne, charakteryzują one ks. Dąbrowskiego jako pedagoga i ukazują go jakby żywego. Niejednokrotnie podawał on je dzieciom żywym słowem, zanim w książce wydrukował. Podając z nich tylko niektóre, nie dalibyśmy obrazu całkowitego. Są one następujące:

I. ZACHOWANIE SIĘ PRZED SZKOŁĄ

1. *Dzieci! miejcie zawsze rzeczy szkolne w porządku i pod ręką, nie psujcie ich, ale utrzymujcie w czystości.*

2. *Nie bierzcie nigdy więcej rzeczy do szkoły, tylko, ile wam do nauki potrzeba. Nożów i linii bez wyraźnego pozwolenia nauczyciela nie przynoście do szkoły.*

3. *Przed wyjściem z domu obejrzyjcie, czy macie suknie wyczyszczone. Twarz, ręce i nogi niech będą umyte, paznokcie u rąk obcięte, włosy na głowie porządnie zaczesane.*

4. *Jeżeli dla słabości lub innej ważnej przyczyny nie możecie przyjść do szkoły, proście, aby rodzice o tym zawiadomili nauczycieli.*

5. *Wychodźcie w porę z domu i nie zabawiajcie się po drodze, abyście na oznaczony czas przyszły do szkoły. Zakazuje się wam jak najostrzej, zatrzymywać się przy zbiegowiskach ludzi, a tym bardziej przyczyniać się do zgiełku.*

6. *Do szkoły idźcie spokojnie i obyczajnie; witajcie się wzajemnie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus." A jeżeli wam się zdarzy iść po kilkoro razem, niechże idą chłopcy z chłopcami, a dziewczęta z dziewczętami.*

7. *Przyszedłszy przed szkołę, otrząście błoto i śnieg z obuwia, otrzepcie kapelusze i ubranie.*

8. *Pozdrówcie tych, z którymi się zejdziecie w szkole.*

9. Wejdźcie zaraz do szkoły, nie zatrzymując się nigdzie przed szkołą.

10. Kto się spóźni, niech nauczycielowi rzetelną oznajmi przyczynę. Biada temu, kto skłamie! Za każde kłamstwo surowa kara.

II. ZACHOWANIE SIĘ W SZKOLE

1. Wszedłszy do szkoły ukłońcie się przyzwoicie nauczycielowi lub nauczycielce. A jeżeli macie im co powiedzieć, powiedźcie.

2. Kapelusze, czapki, surduty, parasole, woreczki do roboty, itd., składajcie na przeznaczone miejsce i tak, abyście je z łatwością zabrać mogli.

3. Zimą nie idźcie zaraz do pieca, ani latem do studni, ani do okien, ale zawsze na wyznaczone miejsce.

4. Szkolne rzeczy, nim się nauka zacznie, poskładajcie w ławce na dolnej półce.

5. Cicho i spokojnie oczekujcie rozpoczęcia nauki. Przygotujcie się do niej. Rozmyślajcie tymczasem to, co was zapytać mogą albo odczytujcie po cichu w książkach szkolnych.

6. Podczas modlitwy przed nauką, powstawszy, złóżcie ręce i zmówcie ją pobożnie, bo z Bogiem i dla Boga mamy wszystko czynić.

7. Po modlitwie dobądźcie tylko te rzeczy, które wam każdym razem do nauki potrzeba.

8. Podczas nauki siedźcie zawsze prosto i opierajcie ręce na ławce tylko przy pisaniu.

9. Oczy i uszy miejcie ku nauczycielowi zwrócone, a każdy raz z ochotą i ściśle dopełniajcie tego, co się wam przykazuje. Posłuszeństwo jest konieczną powinnością każdego ucznia.

10. Dzieci mające czytać lub odpowiadać niech powstaną z miejsca i przybiorą przyzwoitą postawę.

11. A które by chciały czytać, odpowiadać lub zapytać, wolno im to dać poznać tylko podniesieniem ręki.

12. Które zaś do stołu lub tablicy są przywołane, niech wyjdą z ławki, nie przeszkadzając niepotrzebnie drugim obok nich siedzącym; podobnież niech wrócą na miejsce, jeśli przy stole lub tablicy nic więcej do czynienia nie mają. A sąsiedzi niech im z ochotą miejsce robią.

13. Nie wolno nikogo niepokoić, ani mu szkody robić w odzieży, książkach, pismach, rysunkach, tabliczkach do rachunków lub w czymkolwiek innym.

14. Nie wolno wam mówić, odpowiadać albo pomrukiwać, ani się też oglądać; nie wolno bawić się rękami, suwać albo szurgać nogami,

wspinać się po ławkach; nie wolno bez pozwolenia opuszczać miejsca albo też podług swej woli to wstawać, to siadać, lub z jednych ławek i miejsc na drugie się przesiadywać.

15. Podczas szkoły nie wolno nic jeść ani pić. Które dzieci dla odległości obiad z sobą przynoszą, za przybyciem niech go tam złożą, gdzie nauczyciel wyznaczy.

16. Bez naglącej potrzeby wychodzić na przechód nie powinniście, ani pierwej o wyjście prosić, aż wróci ten, co miał pozwolenie.

17. Ukradkiem niech nikt nikomu najmniejszej rzeczy nie bierze, ani też bez pozwolenia pożycza, daruje, sprzedaje, lub mienia.

18. Rzeczy należących do szkoły, czy to z książek, pism, tabliczek do rachunków, linii, rysunków, modelów, itp., nie wolno nikomu bez wyraźnego pozwolenia zabierać do domu, ani psuć nie godzi się, gdyżby to była wielka niewdzięczność.

19. Nie psujcie i nie walajcie ławek, stołków, stołów, okien, drzwi, ścian, itp.

20. Nie rzucajcie pod ławki obrzynków z papieru, piór zepsutych albo innych jakich rzeczy.

21. Bądźcie pomiędzy sobą spokojni i zgodni, do przysłużenia się nawzajem gotowi i uprzejmi; unikajcie wszelkiego niegrzecznego i nieobyczajnego zachowania się.

22. Gdy za odmianą nauki przybędzie do szkoły inny nauczyciel, nauczycielka lub ksiądz, albo gdy odwiedzają klasę jakie inne znaczne osoby, wtenczas na znak nauczyciela lub nauczycielki powstawszy, ukłońcie się i stójcie w przyzwoitej postawie tak długo, aż wam usiąść pozwolą.

23. Po skończonej nauce poskładajcie rzeczy swoje porządnie i trzymajcie przed sobą na ławce.

24. Podczas modlitwy z końcem szkoły, zachowajcie się tak, jak przed szkołą.

25. Po skończonej modlitwie zabrawszy rzeczy, wychodźcie każdym razem ławkami jak rozkazano, porozbierajcie kapelusze, czapki, itd., uszykujcie się według przepisu nauczyciela lub nauczycielki przy odejściu parami, przechodząc mimo kłaniajcie się a tak porządkiem i w cichości niech was nauczyciele aż przed szkołę wyprowadzą.

26. Jeśli tamtędy po schodach lub stopniach się przechodzi, tedy schodźcie zwolna i ostrożnie, by nikt nie upadł.

27. A ma kto z was nauczycielowi lub nauczycielce coś donieść, użalić się lub co innego powiedzieć, wolno mu to przed odejściem załatwić.

III. ZACHOWANIE SIĘ W KOŚCIELE I POZA SZKOŁĄ

1. W niedzielę i święta idąc z domu do kościoła, zachowajcie się obyczajnie i przystojnie. Podobnie i z kościoła wracajcie.

2. Przed kościołem nie zatrzymujcie się, choćby nawet nabożeństwo się nie zaczęło. A tym bardziej nie wolno wam wtenczas się bawić. Nie chodźcie bez pozwolenia po wieży, nie wspinajcie się po murach, cmentarzach, nie piszcie i nie rysujcie po ścianach.

3. Idąc do kościoła weź ze sobą książkę do nabożeństwa lub różaniec. — W kościele i na wszystkich miejscach Bogu poświęconych zachowuj się jak najskromniej. — W czasie nabożeństwa nie oglądaj się, i nie rozmawiaj, ale módl się gorąco i pobożnie, a Bóg ci będzie błogosławił. —

4. Boga miłuj nade wszystko — wszędzie i na każdym miejscu, cześć Bogu winną oddawaj. — Zachowaj przykazania Boże i kościelne, a strzeż się grzechu jak największego złego.

5. Gdy idziecie parami z kościoła lub ze szkoły, zachowujcie ten porządek, dopóki można. Dlatego nie wolno wam przed szkołą się zatrzymywać, albo odchodzić z potrzebą na miejsca publiczne, albo rozchodzić się; lecz powinniście skromnie i obyczajnie wracać do domu.

6. Jeśli które z was było w szkole napominane lub ukarane, nie wymawiajcie mu tego po drodze, nie wyśmiewajcie go, i nie roznoście tego. Nie dawajcie sobie imion zelżywych, nie natrząsajcie się z drugich dla słabszych talentów lub kalectwa.

7. Nie naprzykrzajcie się nikomu po gościńcach i ulicach, ani też na żadnym miejcu, nie gryzmolcie nigdzie po murach i parkanach, nie psujcie niczego przy domach, chatach i płotach, ani też roślin, drzew, roli, łąk, itp.

8. Nie tykajcie niczego cudzego, nie zakradajcie się w cudze sady, winnice, jarzyny, itp.

9. Witajcie po drodze tych, których spotykacie, a osobom znaczniejszym kłaniajcie się z uszanowaniem.

10. W domu uczcie się, pilnie odczytujcie lekcje, piszcie, rachujcie, rysujcie, powtarzajcie, ale dopełniajcie przytem z ochotą i ściśle roboty przez rodziców wam zlecone; rodziców najbardziej po Bogu miłujcie.

10. Jeżeli się wam bawić pozwolą, obierajcie na to takie miejsca, gdzie się nikomu nie naprzykrzycie. Bawcie się osobno, chłopcy z chłopcami, dziewczęta z dziewczętami. Bawcie się bez swaru i wrzawy, nie bawcie się w gry zdrowiu szkodliwe, i które by przyzwoitości i obyczajności nie odpowiadały. Zaradźcie się w tej mierze rodziców i nauczycieli.

12. Nie ślizgajcie się po niebezpiecznej gołoledzi, ani też przed domami i po innych miejscach uczęszczanych; nie kąpcie się w niebezpiecznych głębokich wodach, a nigdy nago.

13. Nie czepiajcie się w tyle wozu ani sani, słowem, nie czyńcie niczego, czego wam przełożeni i zwierzchność zakazują.

14. Gdy ukończycie nauki, podziękujcie wszystkim tym, którzy się wami zajmowali. Uważajcie nauczyciela za największego dobrodzieja, któremuście dozgonnie wywdzięczać się winni. A wdzięczność waszą tym najbardziej okażecie, gdy pilnym uczęszczaniem na naukę do szkoły niedzielnej, nabyte wiadomości od zapomnienia ustrzeżecie i pożytecznie ich użyjecie.

15. Starajcie się między sobą mówić po polsku i miłujcie kraj polski, bo niegodziwcem jest ten, kto się swego narodu i mowy wypiera.

16. We wszystkim starajcie się tak postępować, abyście by i najdrobniejsze wypełniali przykazania religii i abyście Boga miłowali nade wszystko, a tak abyście zostali i dobrymi katolikami, i dobrymi Polakami.

WŚRÓD powyższych przepisów szkolnych ks. Józefa Dąbrowskiego zapamiętać warto zwłaszcza przedostatni i ostatni. Przedostatni: *Starajcie się między sobą mówić po polsku i miłujcie kraj polski, bo niegodziwcem jest ten, kto się swego narodu i mowy wypiera.* I ostatni: *Starajcie się, abyście Boga nade wszystko miłowali i abyście zostali dobrymi katolikami i dobrymi Polakami.*

TAKĄ najwyższą zasadę jako cel szkoły wpajał w dzieci ks. Józef Dąbrowski. Książka jego do czytania dla szkół polskich jest rozwinięciem jedynie tej zasady.

Na sto sześćdziesięciu ośmiu stronach daje ona dziecku przecudną polską encyklopedię wiedzy i życia i wychowania katolickiego.

KS. DĄBROWSKI jest w niej wszechstronny; zgoła niczego w niej nie pomija, z każdej dziedziny wiedzy, co najpotrzebniejsze dla dziecka uszczknie, nawet o mineralogii i astronomii nie zapomina, ale wszystko tak dziecku poda, że rozbudzi w nim nie tylko umysł, ale i serce, uczy zarazem i wychowuje i to w duchu szczerze religijnym, katolickim, narodowym, polskim.

Jest w tej czytance ks. Józefa Dąbrowskiego nauka i wychowanie, ale nie ma żadnej zgoła propagandy zwłaszcza oportunizmu politycznego, którą nieraz się spotyka i która razi w niektórych nowoczesnych czytankach naszych nawet dla dzieci.

LWIĄ część wzorów i przykładów bierze i daje w swojej czytance polskiemu dziecku ks. Dąbrowski z historii polskiej ale uwzględnia

i nową jego ojczyznę, opowie mu o Franklinie, o Waszyngtonie i da przykład uczciwości nawet z życia farmera polskiego gdzieś w Wisconsinie. A uczyni on to wszystko tak serdecznie, jasno, poczciwie, że dziecko musi wżyć się w czytankę, wczuć się, oświecić, stać się lepsze i mądrzejsze.

UMYŚLNIE dłużej referujemy powyższą czytankę ks. Józefa Dąbrowskiego, bo naszym zdaniem jest ona najpiękniejszą i najlepszą ze wszystkich, które z kolei potem on wydał.

SĄ one następujące:

3. *Pierwsza czytanka dla szkół parafialnych w Ameryce.* Czcionkami i drukiem „Niedzieli," Detroit, Michigan, 1901.

---

4. *Druga książka do czytania i nauka języka polskiego dla szkół ludowych.* W drukarni „Niedzieli," Detroit, Michigan, 1900.

---

5. *Trzecia książka do czytania dla szkół parafialnych w Ameryce.* Detroit, Michigan. W drukarni „Niedzieli" przy Seminarium Polskim, 1902.

W POWYŻSZYCH trzech czytankach nie stara się być ks. Dąbrowski oryginalnym. Zasługą jego głównie jest układ.

Zasługą jego jest, że je dał nam, że z podręczników, jakie z Polski mógł mieć pod ręką, śmietankę zebrał i do warunków szkoły polskiej w Ameryce dostosował. Brał skąd się dało, ale bynajmniej nie na chybił trafił. Znał gramatykę polską i Kryńskiego i Małeckiego i jeszcze nawet Kopczyńskiego. Głównie jednak brał on z podręczników, które napisał A. A. Jeske. Jeske bodaj pierwszy w Polsce systematycznie przeprowadził w podręcznikach swoich szkolnych metodę indukcyjną, wspartą jednocześnie na podstawie nauki poglądowej, a ks. Dąbrowski był specjalnym jej zwolennikiem.

W ZBIERANIU treści dla czytanek pomocą były ks. Dąbrowskiemu siostry Felicjanki, zwłaszcza siostra Kajetana. Są w późniejszych czytankach już i obrazki.

DO drugiej czytanki w dodatku dołączona jest krótka, ale bardzo treściwa *nauka gramatyki.*

Jako motto do tej gramatyki ks. Dąbrowski wydrukował słowa słynnego pedagoga niemieckiego, Fryderyka Diensterwega: „*W metodzie leży główna siła nauczyciela.*"

KS. DĄBROWSKI trzyma się w swej gramatyce takiej metody, że najprzód na każdą rzecz w potocznej rozmowie z uczniem go naprowadza, indywidualnie mu ją wyjaśnia, potem daje definicję, potem w różny sposób w tym samym ćwiczy i wreszcie zapytując, sprawdza, czy uczeń tego nauczył się, czy to zrozumiał. W krótkich 26 paragrafach przerabia w ten sposób z uczniem całą gramatykę.

W CZYTANCE TRZECIEJ w dodatku dołącza również gramatykę, ale inaczej już ułożoną, raczej tylko wykładową i omawia w niej głównie wszystkie odmiany rzeczowników, zaimków, przymiotników, liczebników i czasowników.

Każdą z powyższych czytanek ks. Dąbrowski przedrukował parokrotnie, ale trudno już teraz sprawdzić która z nich i ile miała wydań.

OBOK czytanek wy dał on jeszcze książki następujące:

6. *Ogrodnictwo dla wszystkich* krótko jasno i przystępnie do użytku i pożytku domowego ułożone przez Stanisława Andryczkę, agronoma i praktycznego ogrodnika. Detroit, Mich., 1886.

Stanisław Andryczek pomagał ks. Dąbrowskiemu w ogrodzie w pracy ręcznej i był zarazem furmanem u sióstr. Wykształcenia szkolnego nie miał, a ks. Dąbrowski nazwisko jego jako autora książki swej użył, aby samemu się za nim schować. — *Ogrodnictwu poświęcają się jedni z zamiłowania, inni z potrzeby* — pisze on we wstępie — *lecz w każdym razie, żeby osiągnąć cel pożądany, trzeba pilności, pracy i trzeba uczyć się.* Tej ostatniej więc potrzebie chce on zaradzić, zwłaszcza wśród farmerów polskich w Ameryce, rozbudzając w nich do roli zamiłowanie i zachęcając do wytrwałości.

W żadne wywody teoretyczne się nie wdaje, lecz szczegółowo podaje krótkie, ale praktyczne wiadomości najprzód o ziemi i jej uprawie, potem o nasionach i ich sianiu, potem o uprawie różnych roślin, potem o uprawie owoców, potem o kwiatach, potem, w dodatku, o roślinach lekarskich i o rozkładzie pracy w ogrodzie w czasie i miejscu. Książka jest zbiorem najpotrzebniejszych wiadomości do użytku ogrodnika w codziennej pracy.

---

7. *Geografia dla szkół polskich w Ameryce.* Polonia, Portage Co. Wisconsin. W drukarni ks. Józefa Dąbrowskiego 1879.

NIE jest to wykład, jest to katechizm. Do utrwalenia wiedzy w pamięci cały przedmiot rozbity jest na bardzo krótkie, logicznie jedno z drugiego wypływające pytania i odpowiedzi. Mniejszym drukiem, gdzie należy, podane są szczegóły i wyjaśnienia dodatkowe, obszerniejsze.

KS. DĄBROWSKI zabarwia przedmiot kolorem swojskim i wtrąci czasem tu i owdzie uwagę patriotyczną lub religijną, w której się dusza jego ujawnia. Potrąca stale i o historię tam, gdzie należy. Szerzej rozwodzi się o Polsce i Ameryce. W Rosji Jarosław jest dlań pamiętny tylko wygnaniem tam arcybiskupa Felińskiego. Polska jest krajem jednego z najbardziej oświeconych i ucywilizowanych narodów. Stany Zjednoczone współzawodniczą z najbardziej cywilizowanymi narodami zachodniej Europy i pod względem wielu wynalazków wyprzedzają nawet Europę, ale za to Rzym jest rezydencją Papieży i ma 326 kościołów, jeżeli ich jednak jeszcze Włosi jęczący pod jarzmem farmazonów i karbonarzy nie sprzedali.

---

8. *Kurs nauk w szkołach parafialnych polskich.* W drukarni „Niedzieli," Detroit, Mich. 1894.

KTO chce poznać mądrość i kierunek szkolnictwa ludowego, jakie wytyczył dla Polonii w Ameryce ks. Józef Dąbrowski, ten stanowczo powinien sięgnąć do głęboko obmyślanego kursu nauk, jaki on podał.

Całkowity kurs nauk szkoły parafialnej rozpoczyna dziecko w siódmym roku życia. Rozłożony on jest na osiem stopni, ale w pierwszej klasie czyli *w pierwszym roku uczyć się mają dzieci tylko po polsku.* Czyni się to *dla ułatwienia dziecku postępu w naukach.*

Nowoczesnym pedagogom i zgoła wszystkim zainteresowanym w szkolnictwie naszym w Ameryce zwracamy na to baczną uwagę.

AŻEBY dziecko nabyło wprawy w obydwóch językach, tj. w polskim i angielskim, i żeby mniej przygotowanym ulżyć, niektóre przedmioty będą tylko w języku polskim, a niektóre tylko w angielskim wykładane. Taką regułę daje w swym kursie nauk ks. Józef Dąbrowski.

I trzeba dobrze również podkreślić, że już w pierwszym stopniu w programie szkolnym ks. Dąbrowskiego wykłada się t. zw. „Pogląd," który zaczyna się od nauki o kolorach, formach, miejscu, jakości i rozmowach, a przeradza się w szóstym stopniu w fizjologię, hygienę, botanikę, zoologię i mineralogię, kończąc w ósmym na fizyce i na tak zwanych stanach wody, czyli początkach chemii.

KTO by zarzucał zacofanie i obskurantyzm szkołom naszym parafialnym, ten daje dowód, że nie zna nawet programu, jaki szkołom tym przepisał ks. Dąbrowski.

---

9. *Krótka historia o rozbiorach i powstaniach w Polsce.* Detroit, Mich. W drukarni „Niedzieli" przy Seminarium Polskim 1896. Copyright 1896.

DLA poznania poglądów i przekonań patriotycznych ks. Józefa Dąbrowskiego żadna z pewnością jego książka nie ma tak wielkiej wagi, jak ta mała broszurka. Nie obwija tam niczego w bawełnę. Pisze mądrze i trzeźwo.

„Rozbiory Polski nie była to rzecz przypadkowa. Do tego daliśmy częścią sami przyczynę. Rozbiory były owocem wad i słabości naszych narodowych od dawna zakorzenionych, z których skorzystali nasi sąsiedzi w chwili, gdyśmy chcieli złe naprawić.“ Czy to pisze Szujski, czy też ks. Kalinka? Nie, to ks. Józef Dąbrowski.

A O POWSTANIU w roku 1863 nie rozwodzi się, ale stwierdza, i to krótko, tylko tyle:

„W roku 1863 wybuchło drugie powstanie w Królestwie Kongresowym. Było ono nie na czasie. Powstanie w roku 1863 składało się z małych oddziałów rozsianych po całym kraju, pod różnymi dowódcami. Najważniejsi dowódcy byli: Bosak, Langiewicz, Cieszkowski, Podlewski i ks. Mackiewicz.“

O MIEROSŁAWSKIM ani słowem nie wspomina. Kto by miał wątpliwości co do wywodów, jakie zamieściliśmy w pierwszej części niniejszej książki, o wewnętrznej przemianie ducha w byłym powstańcu, ks. Józefie Dąbrowskim, kiedy wstępował do seminarium, ten niech wczuje się w powyższą historię powstania w roku 1863, jaką na schyłku życia sam napisał.

---

10. *Narzędzia i miejsca Męki Pańskiej w najwierniejszych obrazkach i opisach przedstawione z uwagami o Męce Pańskiej i Mszy św. oraz z dołączeniem stacji przez X. J. D.* W drukarni Seminarium Polskiego. Detroit, Mich. 1890. Copyright 1889.

POWYŻSZA KSIĄŻKA jest to niejako pieśń łabędzia ks. Józefa Dąbrowskiego, którą wyśpiewał tuż przed śmiercią. Sam jej tytuł dostatecznie ją przedstawia.

BOLESNA MĘKA Pana naszego to Odkupienie. Przez krzyż się idzie do zmartwychwstania. Ks. Dąbrowski tym żył i o tym zwłaszcza przed śmiercią ciągle rozmyślał. Przypominały mu się przy tym niezawodnie i młode lata. Przypominał się mu Lublin, gdzie się kształcił i gdzie całował pobożnie przechowywaną tam relikwię drzewa Krzyża św., o której w książce dość szeroko się rozwodzi.

WYRAZEM myśli jego o śmierci i męce Pańskiej jest ta bezpretensjonalna, ale pobożna książeczka o narzędziach męki Pańskiej i o mszy św. jako niekrwawej ofierze krzyża. Dodał on w niej na zakończenie

stacje drogi krzyżowej. Warto by było tę książeczkę ascetyczną ks. Józefa Dąbrowskiego dziś przedrukować, jeżeli nie ze czci dla spuścizny po nim, to dla głodu, jaki odczuwa się za taką książką wśród Polonii amerykańskiej.

UŁOŻYŁ i wydał jeszcze ks. Dąbrowski: *1. Podręcznik arytmetyki, i 2. Książeczkę do nabożeństwa.*

JAKO SPECJALISTA matematyk niezawodnie wykazał on zwłaszcza w podręczniku arytmetyki swoje zdolności, ale niestety nie mogliśmy tej książeczki nigdzie odnaleźć. Wiemy tylko, że ją wydał.

PIĘKNY jest również, aczkolwiek nie oryginalny modlitewnik ks. Dąbrowskiego, którego egzemplarz znajduje się jeszcze w prywatnych zbiorach jednego z księży w seminarium polskim.



Ogólny widok Seminarium Polskiego w Orchard Lake

Rzut Oka Wstecz

PODRÓŻNY, który wdrapał się na wysoką górę, zanim z niej zejdzie, lubi obejrzeć się poza siebie. Chce on choć jednym rzutem oka jeszcze raz objąć widok całej okolicy i w pamięci swej utrwalić.

SKOŃCZYLIŚMY monografię ks. Józefa Dąbrowskiego w świetle faktów i historii. Pozostaje nam podług programu, jaki na wstępie sobie zakreśliliśmy, udać się teraz w dziedzinę inną, całkiem odmienną, w monografię tę w świetle podań, wyobraźni i . . . fantazji.

ZANIM jednak tam się udamy i my również, jak ów podróżny, obejrzyjmy się wstecz, rzućmy okiem na całość, zróbmy choć w paru słowach z tego syntezę, i utrwalmy sobie w pamięci postać męża chwalebnego, któregośmy księgę życia przeczytali.

NIE CAŁY umarł, jak stwierdziliśmy. Pozostawił on nam spadek. Dla historyka i psychologa jest zjawiskiem bardzo pięknym, bardzo miłym i ciekawym. Historyczna postać jego stanowi chlubę dla Polski, ale szczególniej dla Polonii w Ameryce. Uczyć będą o niej w szkołach. Stawiać ją będą za wzór innym, których ona będzie na duchu podnosić i do czynu zagrzewać oraz drogę im wskazywać. Przed tą postacią cały naród skłoni głowę, Kościół jej będzie wdzięczny, nawet rząd polski, ten czy też inny, wspomni o niej prędzej czy później i da uznanie: *bene merenti.*

JEŻELI się w dziejach Polonii amerykańskiej znajdzie w przyszłości jaki Szymon Starowolski, który napisze „Lament Matki Korony Polskiej na syny swoje wyrodne," to w tej księdze nie będzie nigdy figurowało imię ks. Dąbrowskiego. Przeciwnie, będzie to imię natchnieniem raczej dla jakiego Niemcewicza, jeśli i taki się wśród nas znajdzie, aby napisał nam jakie „Śpiewy historyczne" i wśród nich „dumę" o księdzu Józefie Dąbrowskim.

W PANTEONIE wielkich duchów polskich, obok relikwii po największych bohaterach naszych, obok szczerbca Chrobrego, obok księgi praw Kazimierzowskich, obok ślubnego pierścienia Jadwigi, obok pamiątek po Batorym, obok buław Zamojskiego, Żółkiewskiego i Czar-

nieckiego, obok buńczuków zdobytych przez Sobieskiego pod Wiedniem, obok czerwonej czapki Kościuszki, obok brewiarza Skargi, obok pism Mickiewicza i Sienkiewicza, obok fortepianu Paderewskiego, i obok tysiąca rzeczy innych tym podobnych — Polonia amerykańska żadnej zgoła relikwii swojej z wszelką pewnością nigdy nie złoży. Za wysokie są to progi na nasze nogi, ale gdyby i nam tam kącik jaki, choć malusieńki, na szarym końcu gdzieś u drzwi dano, to zanieślibyśmy tam chyba . . . tylko połataną sutannę ks. Józefa Dąbrowskiego.

DZIWNA to postać tego człowieka, który sławy nie szukając, sławę jednak wśród nas zdobył, i który nie będąc żadnym geniuszem, najwięcej jednak ze wszystkich wśród Polonii amerykańskiej Panu Bogu i Kościołowi i narodowi swemu się zasłużył.

SĄ w nim przymioty, które rzadko z sobą idą w parze, ale kiedy je szczęśliwy traf powiąże, a łaska Boża z góry wesprze, tworzą całość wyjątkową i budują rzeczy wiekopomne.

KS. DĄBROWSKI był zjawiskiem wyjątkowym w dziejach Polonii amerykańskiej. Był to kapłan święty, mąż Boży, Polak wielki, patriota niezrównany, pedagog świetny, słowem, człowiek, któremu nie tylko równego, ale nawet podobnego pośród Polonii amerykańskiej nie mieliśmy i nie będziemy już chyba mieli. Jako działacz był wszechstronny, a zarazem jednolity. Rzutki, przedsiębiorczy, a zacięty i wytrwały. Śmiały, odważny, a zarazem ostrożny. Twardy, w niczym siebie nie szczędzący, a dla wszystkich zawsze serdeczny. Oszczędny, wyrachowany, a zarazem hojny i aż do zadziwienia dobroczynny. Nauczyciel pracy ręcznej, a zarazem erudyta, mól książkowy. Kapłan, asceta, pokutnik, człowiek żyjący życiem nadprzyrodzonym, a zarazem obywatel, patriota, żołnierz, wychowawca, nauczyciel, którego nikt się nigdy nie lękał, lecz którego każdy kochał.

MIAŁ wymowę nie tylko słowa, nie tylko czynów, ale wymowę życia i śmierci ludzi wielkich w swym narodzie — ludzi świętych w swym Kościele. Dla Kościoła, dla wiary św. był tym niejako, czym we Francji św. Wincenty a Paulo, do którego pod wielu względami jest podobny. Wśród Polonii amerykańskiej zajmuje takie miejsce, jakie w Polsce w swoim czasie ks. Piramowicz lub ks. Baudouin.

NIE BYŁ geniuszem, który zabłysnął na horyzoncie i bezpotomnie zgasł w niedostępnej dla nas przestrzeni. Miał on charakter męża wielkiego, męża świętego, męża Bożego. Cichy i skromny, lecz pracowity i pożyteczny, jako rolnik, kmieć piastowski, którym ojczyzna stała i stoi.

MOŻNA by długo się rozpisywać o heroicznej wierze, i nadziei, i miłości Bożej ks. Józefa Dąbrowskiego, a równocześnie o heroicznej jego abnegacji, gorliwości, pracy, pokorze i rozmaitych innych cnotach: Habes in illo quod mireris, quod imiteris; znajdziesz w nim wiele do podziwienia, znajdziesz w nim wiele do naśladowania, znajdziesz, słowem, bardzo wiele zbożnego „obroku duchowego“ jak w żywotach świętych ks. Skargi.

WIELE PRAWDY, wiele piękna, wiele dobra znajdziesz w wielkiej postaci ks. Józefa Dąbrowskiego, a w rezultacie znajdziesz i za co dziękować Bogu. Bo jak powiedział niegdyś wielki kaznodzieja francuski Dupanloup: Człowiek jest pryzmatem, przez który z nieba świecą promienie; nie on jest piękny, tylko piękne są promienie Boże, — ale nie widzielibyśmy ich jednak, gdyby nie było tego pryzmatu, tego człowieka.



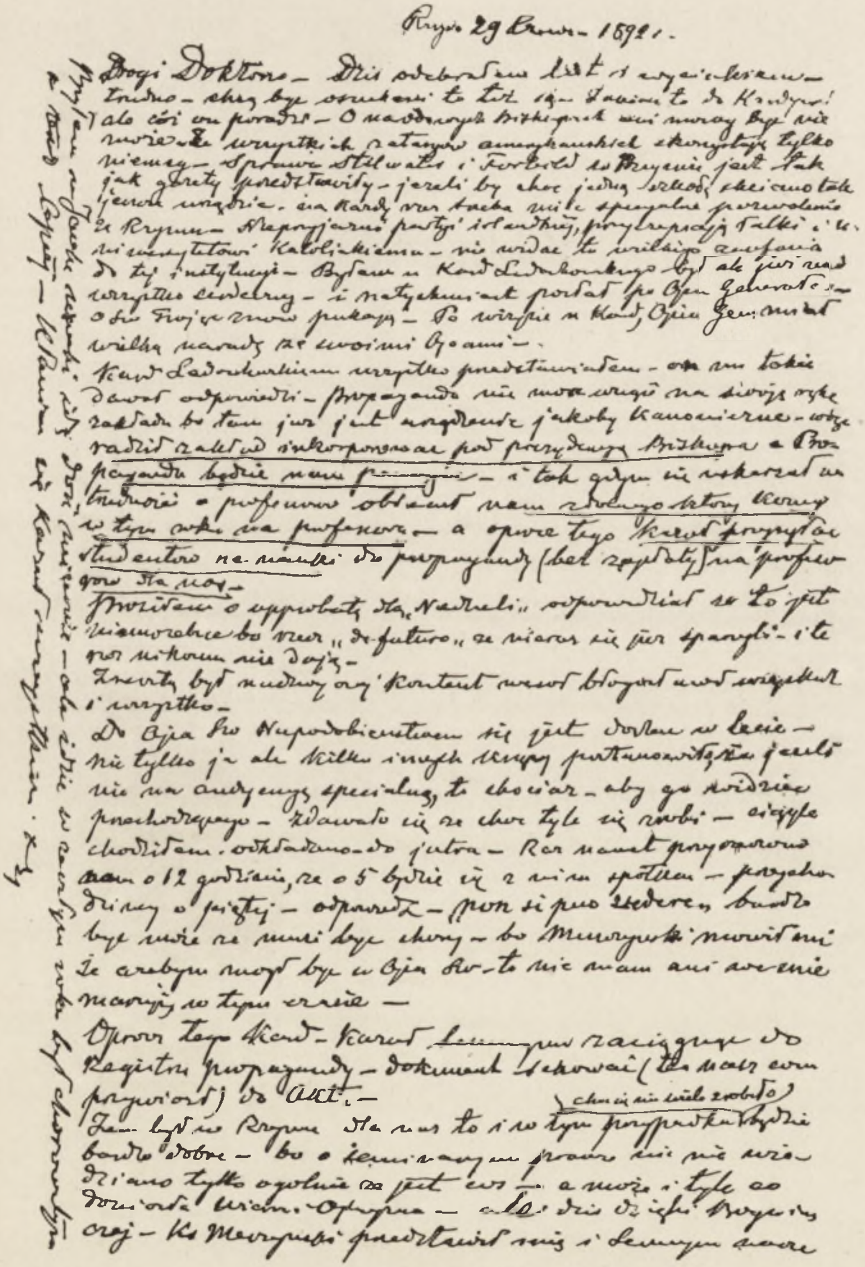
Rozbudowa klasztoru w Detroit

Bibliografia

Książki, archiwa i świadectwa naocznych świadków, na których przy pisaniu powyższej monografii się opierałem, wzmiankowane są w tekście w odnośnych miejscach. Specjalnie zasługują tu na wzmiankę: „Almanach Jubileuszowy Seminarium Polskiego w Ameryce" z r. 1935; „Wspomnienia Siostry Urszuli" w miesięczniku Sióstr Felicjanek „Nasze Pisemko" z r. 1934 i 1935; „Życiorys Ks. Dąbrowskiego" przez prof. Machnikowskiego w miesięczniku „Sodalis Marjański" z r. 1936; „Historia Polaków w Ameryce" ks. Kruszki, tom I i tom V; „Historia Zgromadzenia Sióstr Felicjanek" tom I i tom II; „Historia Seminarium Polskiego w Ameryce" Libertusa (Prof. Piwowarski), i „Prototyp Księdza Polskiego w Ameryce" w Kazalnicy Popularnej z r. 1939. Drobne wzmianki i materiały znajdują się w przerozmaitych publikacjach i rocznikach pism polskich w Ameryce, zwłaszcza w rocznikach tygodnika „Niedziela," wydawanego niegdyś w Detroit przez Seminarium Polskie.

FACSIMILE LISTU KS. DĄBROWSKIEGO Z RZYMU DO KS. BARABASZA

(ze zbiorów mecenasa Siwińskiego)



Koło 4 lub 5 lipca Rzym opuszczam –

Mowny Pani i T.p. także rozgadał Komplementów –
– chociaż to nic ale moralnie znaczy –
Kardynał bardzo bolał nad stosunkami polsko ame-
rykańskiemi – i mówił że błogosławi ~~[illegible]~~ Boże
z wami – ale trzeba dużo cierpieć – taka droga dzieł
Bożych –
Do Rzymu przybyłem z bratem 20 Czerwca – ~~stanąłem~~ w Ho-
telu „Cesari" na piazza Pietra przy Corso zaraz za dawnem
Collegium Romanum – Dwa dni całe byłem na nogach bo jego
go chciałem urządzić z przewodnikiem – zmęczyłem się okropnie
ale wszystko widział – Płaciłem 4 franki za dwóch
za porządny numer prawda na 3 piętrze – Gdy brat odje-
chał stanąłem u Siostr „Suore della Croce" na via Ba-
silio (obok Kapucynów na Piazza Barberini) Tu jest Ho-
tel dla wszystkich księży – wszystko bardzo porządne, i stół
dobry – 8 franków na dobę za wszystko razem –
Gdy list księdza przyszedł braciszek mój jest dawno
w Warszawie – ale napiszę do niego – o gazety –
Zaraz także do Księgi Calenografii, przyślemy Trevi
do Księży Felicjanek – i ~~[illegible]~~ napiszę –
Co do księży: to tak zrobimy – Kardynał obiecuje
jednego – oprócz tego jest jeden. [illegible] gotów ale
z tym tak zrobię że się umówię na wrzesień gdy będzie
potrzeba dam znać z Ameryki – bo tak wielu wdowców
może nie będzie wypadało chyba wypotrzebię –
Trzeciego [illegible] jakiegoś polskiego księdza, ale bar-
dzo wątpię –
Gdy byłem w Propagandzie Ks. Mierzyński Re-
komendował swojego (dziś) żeby go przyjąć
do seminarium – jeżeli by przybył wcześniej [illegible]
to niech go państwo przyjmą – [illegible] on skoń-
czył prawie szkoły do sekundy może by [illegible]
uczyć – List piszę i odpowiedź na drugi zaraz
Także tego piszę ściśle na jednej kartce aby lekko
nie przeważyć – Całuję ręce wszystkich
i pozostaję [illegible] wszystkich
sługą z szacunkiem pozostając
oddany
K. [illegible]



W świetle podania i wyobraźni

„Łzy zasiewaj, krwią polewaj,
A pszenica będzie. . .“
—Syrokomla



ROZDZIAŁ I
Elektryzująca wiadomość

Słońce dobiegało kresu codziennej swej wędrówki po niebie; zanurzając się w puszczę, rosnącą już hen za pruską granicą, żegnało ostatnimi promieniami udręczoną polską krainę, która znowu płaciła bolesny haracz we krwi, we łzach i w pożarach mienia swych mieszkańców. Więc jakby w ogniu stanął na chwilę nadgoplański las, kiedy go zorza oświeciła wieczorna; jakby łzy stwardniałe na diament zabłyszczał roziskrzony śnieg, okrywający całą okolicę i jakby sople stężałej krwi wyglądały w pożodze zachodzącego słońca szyszki świerków, których gąszcz tu i ówdzie przerastała samotna sosna.

Ciepły tedy koloryt miał las dla patrzących z góry wron, które snadź coś niezwykłego zmusiło do tak późnego lotu. Za to u podnóża drzew stawało się coraz ciemniej i coraz chłodniej. Nadchodziła znów mroźna noc, a wraz z nią nowy trud, nowa udręka, nowe niebezpieczeństwa, wciąż towarzyszące powstańcom po drodze, odkąd pewnego styczniowego wieczora wymknęli się chyłkiem z Warszawy, ażeby wziąć udział w boju o wolność Ojczyzny.

Maszerowali oni tylko nocami, spiesznie przebywając odkryte, nie zalesione przestrzenie i skwapliwie okrążając wszelkie osiedla ludzkie, osiedla polskie, o goryczy! Odpoczywali zaś we dnie, zawsze w głębi jak najgęstszego lasu, stale z lękiem, aby ich małego, prymitywnego obozu ktoś nie wytropił i nie ściągnął im na kark silniejszego oddziału wrogów-najeźdźców.

Tym razem obozowali na maleńkiej polance świerkowego lasu, który podobno ciągnął się aż do jeziora Gopła i do pruskiej granicy; czemu kazano im odsunąć się aż tak daleko od ukochanej Warszawy, lub dlaczego musieli maszerować właśnie w tym kierunku, tego żaden z tej partii powstańców nie wiedział, oprócz jej dowódcy, Daniłowskiego, który lubił chełpić się tym, iż on jeden w tym gronie zna tajemniczy cel ich wyprawy. Szli więc na oślep za nim noc w noc i tylko klęli coraz częściej, coraz głośniej, zwłaszcza pod wieczór, kiedy nadchodziła pora zwijania obozu i rozpoczynania dalszego marszu.

„Dzisiaj przed północą minie dwunasta doba naszej wędrówki," rzekł szczupły szatyn, o głębokich wyrazistych oczach; młodzieniec ten mógł mieć lat 20, najwięcej 21, ale był nad wiek poważny, przez co i starzej wyglądał.

„Po co nam to znowu przypominasz, że leziemy dokądś jak głupie cielęta już dwunastą noc!“ zgromił go opryskliwie inny powstaniec, wichrząc sobie rude włosy wiecznie ruchliwą dłonią. „Kto cię prosił, co?!“

„Nikt, Adolfie,“ przyznał tamten spokojnie. „Chciałem tylko przerwać pasmo waszych narzekań i przekleństw, a ponieważ na poczekaniu nie przyszedł mi do głowy żaden problem, nadmieniłem po prostu, że dzisiaj wieczorem minie dwunasta doba, odkąd...“

„Dwunasta,“ wtrącił jak echo studencik, niewątpliwie najmłodszy w tym gronie i najmizerniejszy. „Dwunasta doba takiego bytowania, a ja jeszcze żyję! No, no, to prawdziwy cud... Ale feralnej trzynastki nie przetrzymam na pewno. Hej, Dąbrowski, o co zakład, że kipnę wam jutro?“

„Nie umrzesz ani jutro, ani za rok i proszę cię, Stasiu, nie mów tyle i z takim natężeniem, inaczej znowu będziesz pluł krwią,“ upomniał go łagodnie ów smukły szatyn, Józef Dąbrowski.

Chwilę później, zauważywszy, że słabowity Staś zadygotał i skurczył się, jakgdyby miał dreszcze, Dąbrowski powstał z ziemi, aby świeżym paliwem podsycić ognisko, które dogasało na wyścigi z dogasającym dniem. Paliwo stanowiły świerkowe gałęzie, ścięte jeszcze o świcie i z śniegu troskliwie otrzepane, żeby obeschły przez dzień i paliły się lepiej.

Zaledwie jednak Dąbrowski podszedł do sterty owych gałęzi i schylił się po nie, zabrzmiał głos Daniłowskiego:

„Te, piecuch, mamin synek, zimno ci? Boisz nabawić się kataru?“

„Obywatelu-przywódco, ja dziś rano — przy naszych poszukiwaniach — najdłużej brodziłem w rzeczce na pół zmarzniętej, a jednak nie dostałem kataru, więc chyba się go nie boję,“ odparł nieco urażony Dąbrowski, podchodząc równocześnie bliżej do dowódcy, po czym dodał ciszej, prawie szeptem, aby tego chory Staś nie usłyszał: „Ale mamy przy naszym ognisku bardzo słabowitego kolegę, którego febra trzęsie.“

„To mnie nic nie obchodzi!“ huknął Daniłowski, przybierając znów swój ulubiony ton despoty. „Nie mogę narażać całego oddziału dla jednego zdechlaka!“

„Kogo on śmiał nazwać zdechlakiem?“ obruszył się Staś.

„Nie ciebie, na pewno nie ciebie“, zapewniał go cicho ktoś litościwszy, a dwadzieścia kroków od nich Daniłowski grzmiał dalej:

„Zmrok zapada, więc na tle ciemności widać odblask płomieni z daleka. Dlatego najsurowiej zakazuję podsycać wasze ognisko choćby jedną gałęzią!“

„Teraz to zakazuje, ale najpierw kazał swój piec naładować tak, że go do północy grzać może“, mruknął rudy Adolf Merglicki, spozierając z zazdrością na potężne ognisko Daniłowskiego. „I porcje chleba też sobie dziś wyznaczył podwójną, ten bezwstydny egoista, ten nadęty kacyk!“

Józef Dąbrowski, który tymczasem wrócił do swoich kolegów i położył się na dawnym miejscu obok Stasia, zaczął pojednawczo, łagodząco:

„Przywódca musi mieć większe porcje i wygody niż podwładni, bo i odpowiedzialność ma większą i myśli za wszystkich. A do północy tkwić tu nie będziemy z pewnością, lecz ruszymy w dalszą drogę, gdy się ściemni całkowicie, jak to bywało zawsze . . .“

„Taaak, tak. Jak zawsze, pójdziemy znów niczym złodzieje, cichcem, z bijącym sercem, z duszą na ramieniu,“ dodał z goryczą Merglicki i nagle wybuchnął: „Dopokąd to my, najlepsi synowie ojczyzny, my jej — jak to nam mówiono w Warszawie — wskrzesiciele, mamy kryć się niby zbrodniarze prawem ścigani?!“

„Lub jak zwierzyna w okresie łowów,“ odezwał się Tadeusz Liński, syn bogatego ziemianina z Lubelszczyzny. „Toteż ja, zaznawszy teraz na własnej skórze niedoli szczutego, tępionego zwierza, przysięgłem sobie onegdaj, iż nigdy już w życiu polować nie będę. Ani w dobrach mojego ojca, ani u żadnego z sąsiadów. Choćby mnie kiedy nawet Zamoyscy na łowy prosili, dalipan nie pojadę!“

„Z łatwością zdołasz tej przysięgi dotrzymać,“ rzekł Merglicki szyderczo. „Albowiem jeśli wojnę przegramy, ani ci tatko nie pomoże i będziesz, tak jak każdy z nas, dyndał na szubienicy! A jeżeli — jakimś cudem — wojnę tę wygramy, wszystkie majątki ziemskie Zamoyskich, Lińskich i tym podobnych naszych pasożytów . . .“

„Dałbym ci w gębę za tych ‘pasożytów’, ale wstać mi się nie chce chwilowo,“ wtrącił flegmatycznie Liński, a Merglicki — siląc się na podobnie spokojny ton — kończył przerwane zdanie:

„. . . Wszystkie dobra pasożytów w kontuszach i w sutannach rozda się tym, którzy na to jedynie zasługują: włościanom!“

„Chamom? Za to, że szpiegują i wydają wrogom?!“

„Nie wszyscy, hrabio Liński; nie wszyscy!“

„Nie jestem . . . ech, mówiłem wam już kiedyś, że tylko moja matka była z domu hrabianką i że ja właściwie żadnym hrabią nie jestem.“

„A ja nie jestem szpiegiem ani zdrajcą, tylko powstańcem, choć żem ino chłopski syn, zwyczajny Maciek Cholewa!“ powiedział z naciskiem drugi przy ognisku sąsiad chorego Staszka, barczysty wielkolud, właściciel najbardziej niebieskich oczu i najbardziej zadartego nosa w oddziale.

„To prawda,“ przyznał Liński, „lecz tak uświadomionych patriotycznie kmieci jak ty niewielu mamy w powstańczych szeregach.“

„Z waszej winy, z waszej! Bo i cóż wy, panowie szlachta, uczyniliście w ciągu tylu wieków wydźwignięcia chłopstwa z otchłani ciemnoty, hę?!“

„Siebie nie podźwignęli, a innych mogliby dźwignąć?! A toć uczyłby Marcin Marcina, choć sam głupi jak . . . no, koniec wiadomy. Nie było i nie ma w żadnym narodzie bardziej ciemnej, zacofanej i kołtuńskiej szlachty niż szlachta polska!“ oświadczył Merglicki, wyraźnie prowokując Lińskiego, lecz Dąbrowski, jak zwykle, nie dopuścił do ostrej repliki i co prędzej sam głos zabrał:

„Maciej Cholewa ma rację. Brak oświaty u ludu mści się fatalnie na całym naszym narodzie. I przeto ja, jeśli Bóg pozwoli mi wyjść cało z tej batalii, zajmę się aż do końca moich dni krzewieniem oświaty wśród rodaków.“

„Myślisz, że ci na to pozwolą nasi wrogowie? Słuchajcie, koledzy, czy wy nie zdajecie sobie sprawy z tego, że ucisk, jakiego kraj nasz doznawał i doznaje okaże się niemal błogosławioną erą w porównaniu z najstraszliwszym terorem, który najeźdźcy zastosują, gdy zgniotą nasze powstanie?!... No, a że je zgniotą szybko i kompletnie, nie ma już chyba nikt dzisiaj wątpliwości najmniejszych...“

„Ja mam wątpliwości, kolego Merglicki,“ rzekł Maciej Cholewa.

„I ja również,“ poparł go Tadeusz Liński, a Józef Dąbrowski dodał:

„Jak można, drogi Adolfie, tak wątpić w ostateczny wynik wojny, która w istocie jeszcze się nawet nie zaczęła! Przynajmniej dla naszej partii, która przecież ani razu dotychczas nie była w ogniu bitwy, ani jednej prawdziwej potyczki z wrogiem nie stoczyła, ani...“

„I całe nasze szczęście, że nie!“ przerwał mu rudy popędliwie, lecz znowu głosu nie podniósł, dzięki czemu nie mógł go słyszeć Daniłowski, siedzący opodal przy swoim ognisku. „Bo gdyby przyszło do starcia, jedna kompania nieprzyjacielskiej piechoty rozniosłaby nas na bagnetach w mig!“

„Jedna kompania? Eeeech, przesada...“

„Przesada?! Po tylu nocach marszu o głodzie i chłodzie, po tylu podłych noclegach na gołej ziemi, mokrej lub na przemian zmarzniętej, nie jesteśmy zdolni nawet do uciekania, a cóż dopiero mówić o bitwie z regularym, dobrze uzbrojonym żołnierzem! I co my możemy przeciwstawić świetnym karabinom wroga? Tooo?!“ Tu potrząsnął przybitą na sztorc kosą, należącą do jednego z ‘kosynierów’, czyli powstańców-włościan i cisnął ją na ziemię, z krótkim, szyderczym śmiechem. „Przestańcież nareszcie być dziećmi! Zamiast roić śmieszne marzenia o zwycięstwie, módlcie się żarliwie, abyśmy wroga w ogóle nie spotkali teraz, inaczej w godzinę po rozpoczęciu walki te wrony nad lasem będą miały ucztę z naszych ciał.“

„Właściwie, to Merglicki ma rację,“ odezwał się ktoś po chwilce uciążliwego milczenia i natychmiast inni zaczęli też potakiwać smętnie:

„Ma rację, niestety...“

„Świętą prawdę powiedział...“

„Po co okłamywać siebie?!“

„Ja także nie widzę żadnych szans zwycięstwa dla naszej partii...“

„Czy tylko dla naszej?!“

„Słusznie. Inne oddziały tak samo są przemęczone i nieuzbrojone.“

„I tak samo muszą ulec w pierwszym starciu...“

„A ponieważ cała armia Rządu Narodowego, to właśnie takie, jak nasz, słabe oddziałki, prezto po ich wyłapaniu powstanie zakończy się szybciej i sromotniej niż to poprzednie, listopadowe.“

„Po cóż więc było je w ogóle rozpoczynać?!“

Dąbrowski, dorwawszy się wreszcie do głosu, jął przytaczać różne przykłady z historii, żeby wykazać, iż niekiedy mała garstka dzielnych zdołała rozgromić wielokrotnie liczebniejszego i lepiej uzbrojonego przeciwnika. Cholewa pół żartem doradzał Merglickiemu, aby — skoro już jest takim pesymistą — powiesił się sam, zamiast swym krakaniem siać zwątpienie w umysłach towarzyszów broni. Liński próbował rozweselić kolegów dykteryjkami myśliwych, największych łgarzy na świecie, lecz wszystko to nie zdało się na nic. Próby te nie zdołały wyplenić kąkolu, jaki zasiały w sercach tej młodzieży słowa Merglickiego i nie dziwota, że nie zdołały.

Prawie dwa tygodnie marszu zimą, w cieńkim obuwiu, w zwykłej odzieży, którą na strzępy porwały płoty, parkany, kolczaste krzaki przebywane na oślep po nocach... prawie dwa tygodnie bez ciepłej strawy, za to z nerwowym snem w ubraniu na zlodowaciałej ziemi... prawie dwa tygodnie ciągłego strachu przed pościgiem, zdradą, szpiegami... prawie dwa tygodnie bez wieści i jakimkolwiek zwycięstwie swoich, a tak obfitujące w spotkania z towarzyszami broni już „ukaranymi za bunt przykładnie,“ czyli powieszonymi i pokłutymi bagnetami... prawie dwa tygodnie marszu w nieznane, który pod każdym względem wyglądał na ucieczkę... och, to wszystko razem mogłoby złamać na duchu i do ostateczności wyczerpać fizycznie nawet zahartowanych w wieloletnich bojach żołnierzy.

A ci tutaj młodzieńcy, biwakujący na polance nadgoplańskiego lasu, nie mieli dotychczas nic a nic wspólnego z wojskiem; nie przeszli żadnych ćwiczeń polowych, byli nawskroś cywilami, przeważnie studentami, czyli członkami tego chuderlawego fizycznie bractwa, które kształci tylko swoje mózgi i serca, a zaniedbuje i lekceważy mięśnie. Stawszy się dobrowolnie powstańcami, narybkiem przyszłego wojska, nadrabiali wszelkie swe braki w zahartowaniu, odporności, karności i w mustrze żołnierskiej tym, czego mieli oni w nadmiarze: patriotycznym zapałem. Ale zapał ten chłódł z każdym dniem, a dzisiaj — pod wpływem pesymistycznych uwag Merglickiego — wygasł równocześnie z ogniskiem, którego przywódca oddziału nie pozwolił podsycić.

Co prawda, Daniłowski polecił zagasić również swoje ognisko zaraz po zachodzie słońca i ciemności spowiły maleńki obóz wśród puszczy. Oziębiło się też zaraz do tego stopnia, że Dąbrowski, który swoją futrzaną, po ojcu odziedziczoną kurtkę dał na dzisiejszą noc Stachowi, a sam przywdział jego lichy, jesienny płaszcz, zaczął dygotać z zimna i robić szybkie przysiady dla rozgrzewki. Ten i ów zakaszlał, inny zaklął siarczyście, a Merglicki, zauważywszy kilka razy półgębkiem, że o tej porze zwykle już maszerowali, zniecierpliwił się najwcześniej i zawołał:

„Obywatelu-przywódco, kiedyż nareszcie ruszymy dziś w drogę?“

„Kiedy mnie się spodoba!“ odparł Daniłowski.

Jego ton władzy, egoizm i opryskliwość wywoływały dotychczas tylko ciche pomruki niezadowolenia, lecz tym razem Merglicki poważył się na więcej; ścisnąwszy sobie palcami nos, aby zmienić brzmienie głosu i nie zostać po głosie poznanym, zawołał głośno i dla autorytetu dowódcy nader boleśnie:

„To niechaj ci się spodoba prędko, inaczej zostaniesz tu sam!"

Daniłowskiego na chwilę „zakorkowało" — jak się później wyraził Tadeusz Liński — i „zakitowało" oburzenie, czy zdumienie; za to, gdy zeń ochłonął, ulewa wyzwisk, przekleństw i pogróżek lunęła z wodzowskich ust na nie rozpoznanego w ciemnościach buntownika. Kazał mu Daniłowski wymienić nazwisko, lecz w odpowiedzi na ten rozkaz, zabrzmiało równocześnie kilka głosów:

„Nie mówcie, kolego!"

„Nie bądźcie głupim."

„Niech sobie zgaduje do sądnego dnia!"

„A choćby zgadł, nie przyznajcie się dalej."

Na takie dictum Daniłowski ryknął, jakby go ze skóry obdzierano:

„Co to znaczy?! Bunt?!"

„To znaczy," odparł Merglicki, znowu zmieniając głos, „że dosyć już mamy twego pyskowania! Zamiast dbać o to, żebyśmy mieli co żreć, bawisz się w satrapę, ty śmieszny pajacu, ty... cymbalisto!"

Ten ostatni przydomek wywołał salwę szyderczego śmiechu, gdyż Daniłowski uważał się za wielkiego znawcę muzyki i przechwalał się, że umie grać na wszelkich instrumentach; tymczasem raz, kiedy wśród zgliszcz jakiejś spalonej gospody, znaleźli zwyczajne cymbały, Daniłowski zdradził się naiwnym pytaniem, do czego ten „przyrząd" służy. Od tego dnia za jego plecami, podwładni zwali go żartobliwie cymbalistą, lecz po raz pierwszy to słowo padło głośno i to jako urągliwe przezwisko.

Prócz śmiechu, zabrzmiały także oklaski, a potem głos Daniłowskiego, głos nabrzmiały wściekłością, choć pozornie spokojny:

„Za haniebną niesubordynację skazuję na karne ćwiczenia jutro oraz na pozbawienie rannego i południowego posiłku... skazuję... cały oddział!"

„O ile nas jutro jeszcze znajdziesz!" odpalił Merglicki, starając się przekrzyczeć wrzawę, jaką wywołało obwieszczenie tak surowej kary.

„Koledzy, opamiętajmyż się!" zawołał Dąbrowski błagalnie, a widząc, iż to nie skutkuje, dodał ostrzegawczo: „Ciszej, na Boga! Wieś niedaleko stąd. Jeśli wiatr doniósł tam odgłosy naszej wrzawy, jeszcze tej nocy będzie o naszej obecności w tym lesie powiadomiony nieprzyjaciel!!!"

Natychmiast urwały się rozmowy, ironiczne śmiechy, pomruki. Jak na komendę zamilkli wszyscy, nawet wyszczekany malkontent Merglicki. Przez kilka minut trwała cisza dzwoniąca w uszach, aż przerwał ją odgłos lekkiego chrapnięcia.

„Stachu, nie śpij, bo zmarzniesz na śmierć," wyszeptał Dąbrowski, potrząsając chorym kolegą, ów zaś odparł głośno, posępnie:

„Śmierć i tak nas nie minie, a ja już czuję jej zimny oddech."

Jeszcze nie przebrzmiało to zdanie, kiedy północny wiatr zadął po raz pierwszy tej nocy, a jego lodowaty podmuch stał się tak realistyczną ilustracją słów chorego Stacha o zimnym oddechu śmierci, że zadrżeli

wszyscy. Ha, co innego w biały dzień, zwłaszcza podczas walki zaglądać w oczy śmierci, a całkiem co innego uczuć jej tchnienie w noc czarną, choć oko wykol, gdy „kostucha“ skrada się zdradziecko, nie wiadomo po kogo, nie wiadomo, pod jaką postacią, w jakiej formie.

„Niepewność gorsza jest, niźli wszystko,“ pomyślał Daniłowski.

A szarpała go pośród różnych niepewności i ta, czy tajemniczy „buntownik“ nie wprowadzi w czyn zuchwałej swej pogróżki i nie namówi do dezercji kilku powstańców, lub kilkunastu, ba, może całego oddziału! Jeszcze poprzedniej nocy podobna myśl aniby nie przemknęła przez głowę zadufanemu dowódcy, lecz dzisiaj sytuacja była o wiele gorsza z kilku powodów.

Po pierwsze dlatego, że o świcie przeprawiali się wpław przez potok, zbyt wartko płynący, aby mógł zamarznąć całkowicie i przemokli wszyscy do pasa; na domiar złego, utonął przy tej przeprawie ich jedyny garnek do gotowania takiej czy innej zupy, którą rozgrzewali się dwa lub trzy razy na dzień; a właśnie dzisiaj, po owej lodowatej kąpieli, gdy gorąca strawa była wszystkim najbardziej potrzebna, musieli obejść się bez niej zupełnie, co wywarło zły wpływ na zdrowie i samopoczucie większości ochotników. Śmieszne to może, ale prawdziwie, że o wyniku wielu bitew decydowały . . . kuchnie polowe.

Po drugie, wszystkie dotychczasowe noce od wyjścia z Warszawy, były zużyte na posuwanie się w kierunku pruskiej granicy, a ściśle biorąc w stronę sławnego Gopła. Marsz rozgrzewał ochotników, zziębniętych podczas całodziennego postoju pod gołym niebem; marsz ostrożny, podobny do przekradania się przez kordon nieprzyjacielskich posterunków, zmuszał do ciągłego napięcia nerwy i odwracał uwagę idących od niewygód, jakich zaznawali. Lecz dzisiaj rano dotarli do lasu, w którym mieli oczekiwać dalszych rozkazów od Mieleckiego, głównego dowódcy powstańców na obszarze całej tej „gubernii.“ Dzisiaj po raz pierwszy mieli spędzić noc na jednym miejscu i Daniłowski nie wiedział, jak i czym wypełnić tę noc, aby nie dopuścić do bezczynności, której zły wpływ na wojsko dochodzi do zenitu u młodych ochotników.

Gdyby noc była ciepła, kazałby im po prostu spać, odpoczywać, boć dwunastą już dobę nie zaznali pokrzepiającego nocnego snu. Niestety, mróz wzmagał się coraz więcej, ciepłych koców i derek miał oddział zaledwie pięć na czterdziestu ludzi, ognisk palić nie było można, by nie zwabić wrogów, a w takich warunkach nawet niedługa drzemka mogła się przemienić w sen wieczny.

Rozważywszy to wszystko jeszcze za dnia, planował Daniłowski na dzisiejszą noc różne ćwiczenia fizyczne i gry jak najmniej hałaśliwe, lecz wszystkie te projekty pomieszały mu się i uciekły z pamięci pod wpływem sprzeczki z zagadkowym dlań „buntownikiem,“ za którym, co gorsza, ujął się cały oddział.

„A zmarznijcie dobrze za karę, wy szelmy,“ pomyślał Daniłowski z zawziętością, nad którą jednak rychło wzięła górę obawa, że część podwładnych ucieknie mu tej nocy. „Nie ma innej rady, tylko muszę im powiedzieć prawdę, że właściwie dotarliśmy do celu i teraz otrzymamy inną funkcję, zaszczytną i bardziej interesującą, niż ciągły pochód.“

Zwlekał jednak z daniem tego wyjaśnienia, gdyż wydawało mu się, że jeśli przemówi pierwszy, będzie to wyglądało na zamiar udobruchania podwładnych. Ucieszył się więc szczerze, kiedy w ciemnościach zabrzmiało czyjeś pytanie:

„Obywatelu-przywódco, my już kostniejemy z zimna; czy nie pora rozpocząć znów pochód, który by nas trochę rozgrzał?"

„Nie, obywatelu," odparł Daniłowski niebywale u niego grzecznym tonem; albowiem dotarliśmy już do kresu naszej wędrówki..."

„Wędrówki do-czes-nej?!" dorzucił Merglicki zgryźliwie.

Przywódca puścił to mimo uszu i ciągnął dalej:

„A dotarłszy do miejsca, jakie mi wyznaczono, czekamy teraz..."

„Na śmierć!" dodał znowu rudy pesymista, który zziąbł nie na żarty.

„Śmierć?" powtórzył pytająco Stach, budząc się ze snu. „Nie, ja nie umrę dzisiaj, jak myślałem; moja zmarła matki mi to powiedziała przed chwilą, we śnie. Ale powiedziała też, że zginiemy rychło wszyscy, oprócz trzech..."

„Przestań pleść głupstwa i straszyć mi ludzi!" zgromił go Daniłowski. Chory byłby się może uspokoił, gdyby nie słowa Dąbrowskiego, który, — powodując się, jak zawsze, dobrocią serca, — ujął się za nim:

„Obywatelu-przywódco, prosimy o wyrozumiałość; on majaczy."

„Ja majaczę?!" żachnął się Stach. „Nic podobnego! I powtarzam wam, że śmierć już krąży dokoła naszego oddziału, a ja nawet słyszę jej kroki."

Niesamowita trwoga ścisnęła wszystkim gardła tak, że nikt słowa nie zdołał wykrztusić przez dłuższy czas, albowiem na tle absolutnej ciszy, jaka zapadła po złowieszczych przepowiedniach chorego, posłyszano odgłosy dalekich kroków. Ktoś podążał w stronę małej polanki, idąc powoli, niepewnie, przystając niekiedy i znowu posuwając się krokami czającego się złodzieja, czy szpiega. Trwał ten dziwny, denerwujący pochód zda się wieki całe, a nie dodały powstańcom otuchy dalsze słowa chorego, wypowiedziane półszeptem, a jednak dosłyszane przez wszystkich pośród tej grobowej ciszy:

„Dąbrowski, ty jeden możesz nie bać się tutaj niczego."

„Ja się nie boję, Stasiu."

„Wszelako drżysz cały."

„Przeważnie z zimna."

„Dlaczego on jeden może nie lękać się niczego tutaj?" spytał Merglicki cicho i pokornie, jak nigdy dotychczas.

„Bo on przeżyje nas wszystkich o wiele, wiele lat i umrze bardzo daleko stąd; tak mama mi mówiła."

„Zamilcz, szczeniaku!" warknął półgłosem Daniłowski, zirytowany tymi przepowiedniami, bo zawsze wierzył we wszelkie wróżby, a nie miał odwagi zapytać Stacha o swoją przyszłość. „Gotuj broń i czekać bez najmniejszych szmerów, aż ten czający się tutaj szpicel wlezie między nas."

„To nie szpieg, ale powstaniec, tak jak my,“ rzekł równie cicho Stach, obdarzony jakąś przedziwną intuicją, czy szóstym zmysłem, to bowiem, co powiedział, sprawdzało się niemal zawsze.

I tym razem miał rację, lecz uparty Daniłowski przyczaił się na skraju ich polanki u wylotu starej, leśnej ścieżki i tak mocno huknął pięścią w głowę nadchodzącego samotnika, że ów zwalił się na ziemię jak kłoda. Znieruchomiałego jął Daniłowski obmacywać dokładnie, w poszukiwaniu za bronią albo za listami, lecz nic z tego nie znalazł.

„Nie ma on na sobie ani munduru wrogów, ani chłopskiej odzieży, może więc to rzeczywiście także powstaniec?“ zamruczał Daniłowski, a Merglicki znowu głos zmienił i znów dokuczył dowódcy:

„Ano, trzeba było usłuchać mądrzejszego! I co, zabiłeś go?“

„Nie, nie! Ogłuszyłem tylko. Pomóżcie mi go przenieść i ocucić.“

Ruszyli się wszyscy ochoczo, podeszli do wylotu ścieżki, przenieśli zemdlonego na środek polanki, ułożyli go na ziemi, a głowę mu oparli o ścianę jednego z trzech maleńkich pagóreczków, jakie tu ongi usypano. Kiedy nacierali go śniegiem, zajęczał boleśnie, lecz nie od razu pojęli dlaczego.

„Nie męczcie... dobijcie!“ wystękał głucho, aż gdy wyczuł, iż te liczne dłonie w ciemnościach nie zadają mu ciosów i delikatnie mu twarz muskają czymś bardzo zimnym, orzeźwiającym, wykrztusił z nagłym ożywieniem: „Kto wy?!“

„Swoi, swoi, Polacy; bądź spokojny, bracie,“ odparł Dąbrowski. „Nie wiedzieliśmy, kto nadchodzi po nocy, więc... ogłuszono cię trochę...“

„Ogłuszono, zamiast pierw spytać o hasło!“ warknął Merglicki.

Daniłowski zrobił to dopiero teraz; obcy wymienił hasło dobrze, nawzajem spytał o odzew, a posłyszawszy go, odetchnął z ulgą. Już wierzył, że jest wśród swoich, już nie miał do nich żalu za tak nieprzyjazne powitanie. Potem, wciąż jeszcze słabym, urywanym głosem, poprosił, aby mu pomogli wstać, gdyż on musi iść dalej, musi przed świtem dotrzeć do „Polany trzech mogił.“

„Już do niej dotarłeś,“ odparł Daniłowski. „To właśnie tutaj. Czy przynosisz mi jakie rozkazy, lub wieści?“

„Gdzie... te... mogiły?“ zapytał tamten.

Daremnie powtarzali, że są tuż obok, że jego głowa opiera się o jeden z tych grobów. Chciał je koniecznie ujrzeć na własne oczy, więc rad nie rad Daniłowski pozwolił zapalić łuczywo „na krótką chwilkę, by przekonać nieufnego uparciucha,“ że znajduje się właśnie tam, dokąd zmierzał. W blaskach prymitywnej pochodni, ujrzeli wszyscy po raz pierwszy jego twarz zmizerowaną, wychudłą, umazaną we krwi i pokrytą sińcami.

„Nieboraku, a któż ciebie tak urządził?!“ wyrwało się komuś.

Z krótkiej, chaotycznej opowieści powstańca wynikało, że nazywa się on Andrzej Bełski i że dziś rano pod lasem otoczyli go chłopi, podjudzeni przez wrogów i na ich rozkaz pilnujący wylotów wszystkich leśnych ścieżek. Było tam trzech rosłych parobczaków, a on, chociaż miał

wtedy przy sobie dwa pistolety, nie chciał strzelać do rodaków, ba, sądził naiwnie, że ich namówi do udziału w powstaniu. Chytre kmiotki udały, iż jego argumenty ich przekonywują, podchodziły coraz bliżej, aż nagle obaliły go na ziemię, wyrwały mu pistolety i nuże go nimi okładać, gdzie popadło. Gdyby nie to, że jakiś hałas w lesie spłoszył napastników, byliby go może zatłukli na śmierć.

Powstańcy słuchali tej opowieści z boleścią; byli zawsze przygotowani na najgorsze ze strony wrogów, najeźdźców, ale to, że polscy włościanie odnosili się tak wrogo do każdego powstańca, zalewało im serca goryczą. Tylko taki typ jak Daniłowski mógł się zdobyć jeszcze na wymówkę:

„Twoja wina, bo czemuś lazł samotnie, zamiast trzymać się swego oddziału? Tak to zwykle bywa... maruderom!“

Andrzej Bełski nic nie odrzekł, gdyż chwyciły go znów bóle tak dolegliwe, że usta zagryzł do krwi, aby nie krzyczeć, nie jęczeć. Dąbrowski zaś, sądząc mylnie, iż ten nieszczeźnik cierpi pod wpływem słów Daniłowskiego, rzekł:

„Obywatelu-przywódco, pozwolę sobie zauważyć, że kolega Bełski, nie wygląda na marudera. Może on jest ostatnim niedobitkiem z jakiejś partii?“

„Aha, dobrze, żeście mi przypomnieli,“ mruknął Daniłowski i zwrócił się do Bełskiego. „Z czyjej wy partii, hę?“

„Mieleckiego,“ wyszeptał zapytany. „Mieleckiego... który... trzy ...dni temu... otoczony... z kilku... stron... oooooch!“

Urwał w pół zdania, zajęczał i zemdlał ponownie, a Merglicki rzekł:

„Rozumiem... Mielecki, otoczony zewsząd, zginął wraz z swymi ludźmi. No, skoro tak, to wszystko skończone.“

Tym razem nikt nie zaprotestował, bo nikt — pod wpływem nieustającej litanii samych hiobowych wieści — nie umiał wyobrazić sobie innego zakończenia zdania, jakiego Bełski niedomówił. A spośród tylu złych nowin, ta najświeższa o Mieleckim była chyba najgorsza, albowiem jeszcze w Warszawie krążyły o nim istne legendy; że Mielecki jest najzdolniejszym organizatorem, że już teraz ma tysiąc ludzi na swoje rozkazy, czyli znacznie więcej, niż którykolwiek inny dowódca, że on w ciągu paru tygodni zdoła rozniecić powstanie na całych zachodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej, że ma stosunki za granicą i stamtąd otrzyma broni i amunicji, ile dusza zapragnie, że uzbroiwszy liczne hufce, utoruje drogę do Warszawy naczelnemu wodzowi, którego wyjazd z Paryża sygnalizowano już dawno temu.

„Mielecki był główną naszą nadzieją,“ mruknął posępnie Maciek Cholewa, a niepoprawny Merglicki dodał zaraz:

„I okazuje się znowu, że nadzieja jest matką głupich. Wiecie, co nam pozostało teraz? Oszczędzić wrogom fatygi i obwiesić się własnoręcznie!“

Po raz drugi tej nocy ludzie z oddziału Daniłowskiego przechodzili okres depresji psychicznej, ale tamten pierwszy był niczym w porównaniu z obecnym ich przygnębieniem. W ponurym milczeniu stali jak

w ziemię wrośnięci, nie dbając już o zimno coraz przenikliwsze, a może nawet chętnie dając posłuch myśli, że gdyby dzisiejszej nocy zmarzli tu na śmierć, byłoby to lepszym, mniej bolesnym epilogiem ich powstańczej epopei, niż gdyby wpadli w ręce wroga. Skoro ten wróg zdołał znieść potężny oddział Mieleckiego, jakież szanse mieli oni?!

„No, nareszcie przychodzi znów do siebie,“ zabrzmiał głos Dąbrowskiego, który pracowicie cucił zbitego przez włościan powstańca. „Mówiłeś nam przed omdleniem, obywatelu-kolego, że twój przywódca Mielecki został trzy dni temu otoczony przez wrogów. I cóż stało się dalej?“

„Wiadomo, co! Ten naiwny optymista ma jeszcze jakieś wątpliwości,“ mruknął szyderczo Merglicki, lecz Bełski sprawił wszystkim niespodziankę:

„Nic się nie stało, bo Mielecki, to świetny dowódca. Wymknął się z pułapki i maszeruje spiesznie na południe, by jak najdalej odciągnąć wrogów od miejsca, gdzie jutro przekroczy granice nasz... naczelny wódz.“

Nie wierzyli swoim uszom, a pesymista Merglicki wyraził przypuszczenie, że Andrzej Bełski majaczy. Lecz nie! Nie majaczył bynajmniej, na wszystkie pytania, jakimi go zasypywali na wyścigi, odpowiadał całkiem do rzeczy; wynikało zaś z jego relacji, że Mielecki bynajmniej nie został rozbity i że „generał“ Mierosławski, od dawna upatrzony na naczelnego wodza całego powstania, jest już na granicy i jutro ją ma przekroczyć. Ta ostatnia wiadomość była tak elektryzująca, tak niewypowiedzianie radosna, że niedawne przygnębienie tych czterdziestu powstańców zniknęło bez śladu, a wraz z nim zmęczenie, uczucie głodu i zimna. Śmiali się i ściskali nawzajem, a ich uciecha doszła do zenitu, kiedy Bełski wreszcie oznajmił, po co szedł ku „Polanie trzech mogił“:

„Komendat Mielecki, zajęty odciąganiem wroga, prosi obywatela Daniłowskiego, by jego oddział pierwszy powitał naczelnego wodza na polskiej ziemi i by stanowił jego honorową straż przyboczną.“

„Wysoce oceniam zaszczyt, jaki nas spotyka i... i...“ więcej Daniłowski wykrztusić nie zdołał, tak był wzruszony, a cóż dopiero mówić o jego ochotnikach! „Koledzy, wyruszamy natychmiast!“

W dwa pacierze zwinęli obóz i ruszyli w drogę z takim zapałem, jak nigdy dotychczas. Dawniej każdy wymawiał się od niesienia nawet garnków oddziału, nawet lekkiego tobołka z bandażami i watą; teraz zaś ubiegali się o możność dźwigania choć przez pół godziny Andrzeja Bełskiego na jedynych noszach, jakie posiadali. Dawniej klęli, potykając się w ciemnościach, teraz żartowali sobie wesoło z potknięć i upadków. Dawniej wlekli się posępnie, teraz prosili Daniłowskiego, by im pozwolił śpiewać w marszu. O głośnym śpiewie mowy być nie mogło, lecz ciche nucenie sprawiało mniej hałasu, niż sam pochód, więc Daniłowski pozwolił i wnet zabrzmiała pianissimo piosenka żołnierska, stworzona przez ich ojców, stryjów, dziadów, uczestników poprzedniego powstania:

„Grzmią pod Stoczkiem armaty, błyszczą białe rabaty...“

ROZDZIAŁ II

Wieczór naprawdę pożegnalny

Niemal wszyscy powstańcy z partii Daniłowskiego ubzdurali sobie naiwnie, że Mierosławski przybywa do Polski z siłą zbrojną, proporcjonalną do jego zaszczytnego stanowiska; no cóż, jeśli taki Mielecki zdołał zgromadzić wkoło siebie aż tysiąc zbrojnych, to naczelny wódz powinienby mieć ich z sobą pięć albo dziesięć razy więcej i to uzbrojonych pierwszorzędnie, nowocześnie, a wyekwipowanych we wszystko!

„Ciekawym, ile prowadzi z sobą armat oblężniczych, a ile polowych?“ zastanawiał się dziecinnie Staś.

„Mnie stokroć więcej obchodzą jego kuchnie i furgony z żywnością. Ach, jakże by człek chciał sobie podjeść uczciwie i wykwintnie po dwóch tygodniach naszego ohydnego żarcia, urozmaiconego postem!“ wzdychał Liński.

„Odstępuję wam wszelkie przysmaki,“ powtarzał Merglicki; „ale zastrzegam dla siebie kilka butelek francuskiego winka i najładniejszą markietankę. Sądzę bowiem, że skoro wódz przyjeżdża z Paryża, to ładnych kobiet wiezie z sobą pod dostatkiem. Jak myślisz, Dąbrowski?“

„Nie wiem. Ja myślę głównie o mundurach. Przypuszczam, że te, które dostaniemy, będą jeszcze ładniejsze niż owe dawne z powstania listopadowego.“

„Na pewno! A jakież dopiero przecudne mundury muszą mieć adiutanci i oficerowie sztabowi naczelnego wodza!“

Takie i podobne marzenia i przypuszczenia roili po drodze, gdy szli ku granicy na spotkanie Mierosławskiego, a potem rzeczywistość wylała im kubeł lodowatej wody na głowy, rozpalone młodzieńczą fantazją. W kulminacyjnym bowiem momencie nadjechał zwyczajny chłopski wóz wymoszczony słomą, a na nim około dwudziestu mężczyzn ubranych po cywilnemu, zziębniętych, zgłodniałych, niewyspanych, przeklinających wyboistą drogę. I to właśnie był cały sztab, cała przyboczna gwardia i całe wojsko „dyktatora” Mierosławskiego. Nawet on sam nie miał na sobie żadnego munduru, nie wyróżniał się niczym od swego otoczenia, a złośliwym zrządzeniem losu, kiedy zsiadał z fury, zahaczył połą przydługiego płaszcza o jakiś wystający gwóźdź i runął na ziemię jak długi.

„Zły znak, bardzo zły,“ mruknął ktoś przesądnie.

„Ja tam w zabobony nie wierzę,“ szepnął Dąbrowski, patrząc z rozczarowaniem na „dyktatora,“ który zamiast w kapiącym od złota mundurze, zamiast na ognistym rumaku, przyjechał na furze, niczym żydowski pachciarz i w dodatku upadł w kałużę błota, lekko lodem ściętą po

wierzchu. „Nie jestem przesądny, ale ten śmieszny upadek nie doda wodzowi powagi, oj, nie doda, nie doda!“

Srodze zawiedzeni byli ochotnicy z partii Daniłowskiego, lecz o wiele silniejsze i bardzo jawne rozczarowanie zdradzali przybysze z Paryża. Oni nawzajem przypuszczali, ba, wierzyli, że wyjdą im na spotkanie jakieś delegacje ze sztandarami, z muzyką, z tradycyjnym chlebem i solą, że pod eskortą kilku szwadronów kawalerii pojadą wygodnymi powozami do warownego obozu, obficie zaopatrzonego we wszystko, tymczasem powitało ich zaledwie czterdziestu młodych, usmolonych, podrapanych obdartusów, uzbrojonych operetkowo, a przywódca tej „podejrzanej hołoty,“ zdawszy raport, oznajmił wodzowi, że nieprzyjaciel jest blisko i trzeba co prędzej zmykać w głąb lasu; zmykać pieszo, bo wóz, ani nawet wierzchowiec tam się nie przeciśnie.

„Ładna historia!“ wybuchnął jeden ze ‚sztabowców‘, dorzucając porcję soczystych przekleństw. „Skoro tak rzeczy stoją, wracajmy do Paryża!“

Mierosławski zmierzył go karcącym spojrzeniem i powiedział coś, czego dalej stojący powstańcy nie słyszeli. Nasłuchali się za to do syta, kiedy razem maszerowali przez las, bo niemal co drugi rozumiał po francusku, a nie przeczuwający tego Mierosławski przykazał swoim towarzyszom podróży, by tylko w języku francuskim wypowiadali swoje krytyczne uwagi, broń Boże w polskim.

Sam Mierosławski podczas uciążliwego marszu trzymał się najlepiej, albo zgrabnie nadrabiał miną i zasypywał pytaniami swą „honorową eskortę“. Pod wieczór dotarli do jakiejś leśniczówki, której mieszkańcom pozostawiono jedną izbę, a pozostałe dwie zajęto na własny użytek i już w minutę później na głównych drzwiach zakwitł szumny napis: „Kancelaria Naczelnego Wodza. Wstęp dozwolony tylko przez Adiutanturę.“ Owa „adiutantura“ umieściła się w kuchni.

Daniłowski ze swymi ludźmi dostał na kwaterę należący do leśniczówki szałas, w którym nie brakło słomy. Tak wygodnych legowisk i to nareszcie pod dachem, nie mieli ci powstańcy od wyjścia z Warszawy, lecz radość z tego powodu popsuł im Mierosławski, nakazując, aby sześciu żołnierzy trzymało wartę i by tych strażników zmieniać co dwie godziny. Czterech miało pilnować ścieżek wiodących w stronę leśniczówki, piąty miał sterczeć przed drzwiami od kuchni, a szósty po drugiej stronie budynku, pod „Kancelarią Naczelnego Wodza.“

Ten ostatni posterunek odpowiedzialny i zaszczytny objął Dąbrowski o godzinie dziesiątej wieczór. Zmęczony okrutnie, wzdychał, aby północ nadeszła jak najprędzej, a z nią zmiana warty i upragniony odpoczynek, ale zapisane snadź było w księdze przeznaczeń, iż obywatel-powstaniec Józef Dąbrowski pójdzie spać znacznie później. Kilkanaście bowiem minut przed północą otworzyły się drzwi Kancelarii i stanął w nich, co prawda w szlafmycy i pantoflach, niemniej jednak we własnej osobie, naczelny wódz!

„Hej, szyldwach!“ rzekł, nie przyzwyczaiwszy snadź jeszcze oczu do ciemności i przez to nie dostrzegając wartownika. „Gdzie jesteście?“

„Tutaj, obywatelu-wodzu."

„Aha, nie zauważyłem. Proszę za mną!"

Dąbrowski wykonał rozkaz z miną trochę niepewną, głowiąc się nad problemem nader częstym w życiu żołnierza: „Co ja właściwie przeskrobałem? Za co mają mi zmyć głowę? Jaką karę dostanę?" Na dobitkę raziło go światło i gryzł w oczy dym tytoniowy, tak gęsty w tej niskiej izbie, że tworzył jakby obłoczki szaroniebieskie. Dzięki tym dymnym zasłonom i oślepieniu, jakiego doznawały jego oczy, gdy wkroczył tu z ciemności, nie dostrzegł dwóch „adiutantów," śpiących na prostych ławach pod ścianą w głębi. Widział tylko Mierosławskiego, który już stanął po drugiej stronie stołu zasypanego jakimiś papierami, słyszał tylko chrapanie kilkunastu osób nocujących w „Adiutanturze" i czekał tylko reprymendy. Zamiast niej, otrzymał jednak polecenie bardzo przyjemne:

„Odstawcie broń, obywatelu, ściągnijcie płaszcz i słuchajcie pilnie, bo chcę wam odczytać coś niezmiernie ważnego!"

Widząc zdumienie, jakie odmalowało się na wyrazistej twarzy powstańca, Mierosławski uznał za stosowne dorzucić garść słów wyjaśnienia:

„Nie jest to żaden dokument tajny, jak może błędnie sądzicie. Wręcz przeciwnie, to odezwa publiczna, której plan obmyśliła moja głowa jeszcze w Paryżu. Plan ten ulepszałem stale w ciągu długiej podróży stamtąd, aż dzisiaj zredagowałem odezwę, przy doradczej pomocy mego sztabu. Alors, znają treść tego dokumentu adiutanci i przyjaciele moi, przyszli polscy ministrowie, generałowie, prefekci... pardon! chciałem rzec: wojewodowie. Nie znają jej natomiast jeszcze tutejsi rodacy, których reakcji — sans doute entuzjastycznej — ciekaw jestem niepomiernie. Voila!, dlaczego postanowiłem zrobić jeszcze tej nocy interesujący eksperyment na pierwszym lepszym tubylcu, a los zrządził, że właśnie wy, obywatelu, nawinęliście mi się pod rękę. Zrozumiano?"

„Tak jest," odparł Dąbrowski, trochę zaciekawiony, lecz „sans doute" bez entuzjazmu wobec wzmianki, że on jest „pierwszym lepszym tubylcem" i, co gorsza, jak gdyby królikiem doświadczalnym, na którym ma być dokonany jakiś eksperyment.

Mierosławski, choć zarozumiały, jednak niewątpliwie inteligentny, zrozumiał w mig, że uraził tego chłopca i zadecydował naprawić to z grubą nadwyżką.

„Jak się nazywacie, obywatelu?" spytał.

„Dąbrowski Józef."

„Dąbrowski? Czy jesteście może wnukiem lub jakim innym krewnym przesławnego generała Henryka Dąbrowskiego?"

„Nic mi o tym nie wiadomo, obywatelu Naczelny Wodzu."

„Tak czy owak, nie mogę ścierpieć, aby człowiek noszący nazwisko twórcy napoleońskich legionów, był u mnie prostym żołnierzem. Józefie Dąbrowski, mianuję was zastępcą dziesiętnika!... Wracając do mojej odezwy, muszę także zaznaczyć, że spotyka was zaszczyt nielada. Odezwa ta bowiem stanie się wkrótce katechizmem i biblią każdego Polaka!

Będzie na ustach całej Europy! Przejdzie do historii jako dokument, od którego zaczęła się nowa epoka! A wy, obywatelu, jesteście tym szczęśliwym wybrańcem fortuny, który pierwszy zapozna się z osnową mojej epokowej odezwy!“

Dąbrowskiemu, choć był uczciwie śpiący, przypomniało się zaraz, co wódz mówił przedtem, mianowicie, że treść jego odezwy znają już wszyscy ci, którzy obecnie tak zachęcająco chrapią chórem. „Nie będę więc pierwszym bynajmniej, ale czyż to nie wszystko jedno?“ pomyślał i — czekającemu snadź na to wodzowi — podziękował za nominację i za niebywały zaszczyt, wypływający z pierwszeństwa wysłuchania doniosłej odezwy.

Spoglądając równocześnie na Mierosławskiego, który pozował się trochę po aktorsku do swego odczytu i dłonie po napoleońsku zakładał, zastanowił się Dąbrowski, czy podobnie wyglądał mały kapral Bonaparte, gdy u stóp piramid rozpoczynał swoje sławne przemówienie: „Żołnierze, 40 stuleci na was patrzy tutaj“... Porównanie pod każdym względem, a zwłaszcza, jeśli idzie o tło, wypadało na niekorzyść Mierosławskiego, lecz Dąbrowski odpędzał tę myśl, pragnąc usposobić się jak najprzychylniej dla niego. „Tamten był sfrancuziałym Włochem i traktował Polskę gorzej, niż po macoszemu. Ten zaś to Polak z krwi i kości, to może drugi Kościuszko!“ podniecał się w swych uczuciach, jak umiał najlepiej.

Uroczyście, niemal z namaszczeniem i głośno, za głośno, jak na tak małą izbę i na jednoosobowe audytorium, rozpoczął Mierosławski czytanie swej odezwy:

„Narodzie Polski! Wzywam Cię do broni wszelakiej i wszędzie, jak szerokie dziedziny Twoje, jak rozmaite warstwy Twojego społeczeństwa, jak rozmaite wyznanie Twojej wiary w Boga Jedynego i Jego Sprawiedliwość...“

„Nie ma sprawiedliwości!“ zabrzmiał niski głos gdzieś za plecami czytającego. „Tamci w kuchni śpią od trzech godzin, a nam, jeszcze po północy spać nie daje ten nałogowy deklamator,“ huczał dalej bas, potem ziewnął ogłuszająco, usiadł na swoim twardym posłaniu i dopiero wtedy Dąbrowski go dostrzegł; był to Hugon Gulicz, jeden z paryskich przyjaciół Wodza Naczelnego, obecnie pierwszy jego adiutant. „Czemu tak wrzeszczysz i spać porządnym ludziom nie pozwalasz?!“

Z racji starej przyjaźni mógł sobie na taką poufałość pozwolić, no, ale w cztery oczy, a nie w obecności „tubylca“. Na ten temat Mierosławski wrzepił przyjacielowi „pater-noster“ po francusku i w tym języku trwała sprzeczka dość długo. Potem Gulicz, mrucząc coś pod nosem, ułożył się znowu na ławie i niebawem zachrapał, Mierosławski — acz znacznie ciszej niż przedtem — czytał dalej swoją odezwę, lecz nastrój poprzedni już nie wrócił. Mimo najszczerszych chęci, Dąbrowski nie potrafił skupić się należycie teraz umysłowo ani uczuciowo; nie mógł od swojego drugiego Kościuszki odegnać przezwiska, jakim Naczelnego Wodza uraczył jego stary przyjaciel, więc człowiek znający go chyba najlepiej, a to przezwisko brzmiało: „nałogowy deklamator“. Prócz aktorskiego upozowania się a la Napoleon Bonaparte, deklamatorskie

były modulacje głosu Mierosławskiego, deklamatorski sposób czytania utworu, który już znał na pamięć i właściwie z pamięci recytował i frazeologicznie-deklamatorska była treść wielu zdań owej „epokowej odezwy“, jak na przykład:

„A nie lękaj się, tylomilionowy Narodzie, ażeby Ci zabrakło oręża, byle każdy kawał polskiego żelaza znalazł dłoń, co go podniesie przeciw garstkom bagnetów, ginących w powodzi wezbranego powstania“...

„Raz jeszcze zmartwychwstańcie! Raz ostatni, Kmiecie! Tylko chmarą, tylko wszyscy, tylko razem!“...

„...wszyscy równi synowie jednej Matki, Ojczyzny, wzniesiemy do wspólnego Ojca w niebiosach pieśń dziękczynną, od której Aniołowie rozpłaczą się z radości, a bramy wszechpiekieł wraz z jarzmem pękną na zawsze.“...

Zdając sobie sprawę z przygniatającej przewagi frazesów nad wszystkim innym w tej odezwie, nie mógł jednak młody Dąbrowski odmówić jej pięknej formy i świetnego recytatora. Toteż gdy Mierosławski skończył i zagadnął niby to nonszalancko: „I cóż, obywatelu, sądzicie o mojej odezwie?“ zapytany odparł szczerze, że jest ona śliczna, jak poezja, że miejscami stylem przypomina „Anhellego“. Mierosławski, który jak wszyscy indywidualiści wolał twórczość Słowackiego, niż „producenta poezyj dla mas,“ Mickiewicza, aż pokraśniał z zadowolenia.

„Anhelli, tak, tak, słusznie, Anhelli,“ powtórzył cicho kilka razy, a potem nastąpiła prawdziwa niespodzianka: „Obywatelu Józefie Dąbrowski, oceniając waszą wysoką inteligencję, mianuję was pełnym dziesiętnikiem!“

Dąbrowski omal nie parsknął śmiechem, przyszło mu bowiem na myśl, że jeśli tak dalej pójdzie, to on wyjdzie stąd co najmniej tysiącznikiem, czyli pułkownikiem, oczywiście tytularnym, skoro cała armia znajdująca się przy Naczelnym Wodzu na razie, liczyła zaledwie czterdziestu ludzi plus dwudziestu in spe generałów czy ministrów. Lecz ten błysk wesołości zgasiła mu natychmiast świadomość faktu, że pierwszego swojego awansu nie zawdzięcza walecznym czynom na polu bitwy, o jakich roił młodzieńcze sny, że zawdzięcza tę pierwszą nominację dobremu humorowi Wodza, rozradowanego pochwałą jego odezwy.

„W taki sposób awansują pochlebcy, lizunie, nadskakiwacze, a nie prawdziwi żołnierze,“ myślał z wzrastającym niesmakiem. „Ale wyciągnę z tego naukę, o, wyciągnę!“

Mierosławski, jak gdyby spragniony dalszych pochwał i dalszej — sans doute entuzjastycznej — reakcji „tubylców,“ zaczął mówić o tym, że jego historyczna odezwa po wydrukowaniu będzie rozplakatowana we wszystkich polskich miastach i wsiach.

„Czy wolno mi spytać, po co?!“

„Jak to, po co?!“ żachnął się dotknięty tym pytaniem autor odezwy i spojrzał na świeżego dziesiętnika jakby na obłąkanego. „Po to, żeby ją wszyscy czytali! Po to, żeby wszyscy chwycili za broń!“

„Rozumiem to, obywatelu Wodzu Naczelny. Pragnę tylko zauważyć ze smutkiem, że nasi włościanie w ogóle nie umieją ani czytać, ani pisać.“

„Nie umieją...?!“ Więcej wykrztusić nie zdołał przez dłuższą chwilę, tak go ogłuszyła ta wiadomość. Usiadł ciężko na stołku, dłonią tarł sobie czoło, wreszcie rzekł: „Ha, w takim razie roześlę na wszystkie strony emisariuszów, którzy po kolei w każdej wsi będą odezwę odczytywali.“

„I tłumaczyli,“ dorzucił Dąbrowski, „bo bez tego — obywatelu Wodzu Naczelny, proszę mi wybaczyć szczerość — bo bez tego, nikt jej nie zrozumie.“

Mierosławski zmrużył oczy i spoglądał na śmiałka przenikliwie.

„Jednakże wy, obywatelu,“ zaczął powoli cedzić słowa, „wy jakoś zrozumieliście sens mej odezwy. Czy tak?!“

„Tak. Ale ja ukończyłem gimnazjum w Lublinie i jestem studentem warszawskiej Szkoły Wyższej. Natomiast przeszło połowa naszych rodaków w miastach i dziewięćdziesiąt procent rodaków po wsiach nie posiada nawet elementarnego wykształcenia, niestety. Jakoż więc oni zrozumieją tę piękną, lecz trudną odezwę?!“

Mierosławski zmarszczył brwi gniewnie i huknął pięścią w stół.

„Nad takimi problemami zwykłem naradzać się z moim sztabem, z moją generalicją, a nie z pierwszym lepszym — sacrebleu! — dziesiętniczkiem!“ rzekł wyniośle i dyktatorskim ruchem wskazał drzwi. „Wracać na swój posterunek! Wstecz zwrot, biegiem marsz!“

Znalazłszy się za drzwiami, Dąbrowski przez chwilę miał wątpliwości, czy to, co spotkało go w kwaterze Naczelnego Wodza, było jawą, rzeczywistością czy tylko groteskowym snem znużonego żołnierza, który — o zgrozo! — zdrzemnął się na warcie. Kolega, który miał go zluzować o północy, spóźnił się dość znacznie, więc Dąbrowski, z konieczności stercząc dalej pod drzwiami, miał czas się upewnić, iż tutaj o zdrzemnięciu się nie mogło być mowy. Gdyby nawet dokazał tej sztuki w pozycji stojącej, przewróciłby się natychmiast, tak bowiem śliską stała się malutka przestrzeń pod drzwiami, odkąd po krótkiej odwilży mróz wieczorem ściął lodem podłużną kałużę pod okapem dachu.

„Zatem to nie sen. Ja rzeczywiście rozmawiałem z Wodzem Naczelnym, niesłusznie awansowałem na dziesiętnika i jeszcze niesłuszniej popadłem w niełaskę. Więc tak to wygląda w naszym wojsku?!“ mamrotał nie bez rozgoryczenia.

Rozgoryczenie to wzrosło nazajutrz, acz z całkiem innego powodu. Wystarczające dla rodziny leśniczego zapasy żywności wyczerpywały się szybko przy sześćdziesięciu nieoczekiwanych, a tak wygłodzonych gościach. Leśniczy twierdził, że w okolicznych wioskach jadła jest pod dostatkiem i ofiarował się zakupić im potrzebną ilość. Jego rodzina miała tu pozostać w charakterze zakładników i gwarancji, że on nie zdradzi, nie ściągnie powstańcom na kark wrogów. Gdy jednak wręczano mu franki francuskie i asygnaty Polskiego Rządu Narodowego, leśniczy potrząsnął głową przecząco. „Takiej waluty żaden chłop nie przyjmie,“ wyjaśnił sztabowi Daniłowski, „a i dziedzic nie przyjmie, chyba że należy do sympatyków powstania. Niestety, ja tutejszych okolic nie znam zupełnie.“

Okazało się jednak, że „gdzieś w tych stronach, tylko bliżej Ino-

wrocławia" posiada wielki majątek ziemski brat matki Tadeusza Lińskiego.

„Wyślijcie mnie, dodajcie mi ze trzech kolegów, bo samemu niebezpiecznie spotkać się z chłopami, a przywiozę wam tu kilka fur żywności, która nie będzie kosztowała ani centa," powiedział Liński.

Jego propozycję przyjęto z radością, a Hugon Gulicz, dowiedziawszy się, że we dworze są młode kobiety i, co ważniejsze, stare wino, zamianował siebie — za zgodą Mierosławskiego — wodzem tej ekspedycji. Uzupełnić jej skład dalszymi dwoma powstańcami miał Daniłowski, który z właściwą mu małpią złośliwością wyznaczył dwóch, najmniej zasługujących na tę uciążliwą wędrówkę, mianowicie chorowitego Stasia i Józefa Dąbrowskiego. Ten ostatni w ciągu ubiegłej doby odbył sześć dwugodzinnych wart, a po przykrej przeprawie z Mierosławskim nie mógł zasnąć do rana. Kiedy zaś nareszcie sen zaczął sklejać jego powieki, oznajmiono mu, że zaraz ma wyruszyć w drogę. Nie oponował, ale to, iż jego wysyłano, podczas gdy koledzy, którzy wczoraj nic nie robili, dziś mogli wylegiwać się dalej, przede wszystkim wyznaczenie poważnie chorego Stasia, rozgoryczyło go ponownie i bardziej, niż dziwaczna przygoda z Naczelnym Wodzem.

Liński szedł pierwszy, tuż za nim Gulicz, któremu Staś ani rusz kroku nie mógł dotrzymać, a pochód zamykał Dąbrowski. Gdy mijali ustawiony u wylotu zachodniej ścieżki posterunek, Merglicki, który tam trzymał wartę, życzył im szybkiego powrotu z „piramidami nareszcie porządnego jadła."

„Zresztą mniejsza o was," dodał żartobliwie, „niech tam was nawet powieszą, byle tylko drób i nabiał tu dotarł."

„Ani żarcia nie ujrzysz, ani nas, prócz jednego," odparł Staś, podając mu dłoń dziwnie gorącą. „A że tym jednym nie będę ja, nie mówię wam: do-widzenia, lecz mówię: żegnaj, kolego, żegnaj na zawsze!"

„Ech, ty pesymisto, ty złowieszczy kruku, ty karawaniarzu!" złościł się Merglicki, ale słowa zwykle nieomylnego „proroka" partii wywarły na nim wrażenie o wiele silniejsze, niż na Dąbrowskim, który także to słyszał, ale był nazbyt śpiący, by przejmować się czymkolwiek. Gdy zniknęli za zakrętem ścieżki, Merglicki splunął zabobonnie i mruknął: „Dobrze, iż nie mnie wyznaczono na tę wyprawę. Ten mały ma niesamowity węch; skoro mówił, że trzech z nich nie wróci nigdy, to ich śmierć pewna. No, a ja życzę sobie mieć o wiele dłuższe życie i koniec znacznie przyjemniejszy."

Przyjemniejszy kres doczesnej wędrówki nie był mu przeznaczony bynajmniej, ale reszta miała się spełnić; Staś rzeczywiście miał niesamowity dar widzenia przyszłości własnej i cudzej.

Ponieważ Liński nie znał drogi, — był tu tylko raz i blisko 6 lat temu i podróżował wtedy wygodnie powozem, rozstawnymi końmi — ponieważ rozpytywać o drogę po wsiach byłoby samobójstwem, wędrowali przeszło dwa razy dłużej, niż tego odległość wymagała i dopiero w trzecim dniu na godzinę przed zachodem słońca dotarli do celu ekspedycji, do pięknego dworu w Lipinach. Jego właściciela jednak nie

zastali, „jaśnie pan hrabia“ chwilowo przebywał w Inowrocławiu, gdzie załatwiał różne formalności związane z podróżą córki do Włoch. A córka miała opuścić Lipiny właśnie jutro rano i jechać na razie do Inowrocławia pod opieką swej nowej guwernantki i pod odpowiednią do niespokojnych czasów strażą „plutonu hajduków,“ czyli wiernych, dobrze uzbrojonych parobków z rządcą na czele.

„Teraz jaśnie hrabianka i panna madmłazel kończą się pakować,“ brzmiały ostatnie słowa raportu, jaki złożył Lińskiemu znany mu z dawna pisarz dworski, który ze zgrozą spoglądał na zmienionego „jaśnie panicza.“

Gdy kilka minut później panna Irena wbiegła do przedsionka na spotkanie przybyłych, ci po prostu zbaranieli na jej widok, nawet Tadeusz Liński. „Wyrosłaś, kuzynko, to zrozumiałe,“ rzekł po chwili, „ale jakżeś ty nadludzko wyładniała!“

„To znaczy, że przedtem byłam szkaradna?“ odparła, zalotnie przechylając główkę, uginającą się pod aureolą złotych, puszystych włosów. „A fe, a nieładnie tak mnie oczerniać przed tymi rycerzami, których poznać bym rada.“

Nieszczęśni „rycerze“ wyglądali jak emerytowani zbóje, trudniący się obecnie żebractwem, toteż Tadeusz odłożył właściwą prezentację na później, aż oni wszyscy ogolą się, umyją i przebiorą w cokolwiek, choćby w stare ubrania „pulchnego wujka.“

„Ja tymczasem każę przyrządzić wystawną wieczerzę,“ gonił ich srebrzysty głosik hrabianki Ireny, gdy zmykali do gościnnych pokojów.“ A potem zaśpiewamy, zatańczymy... ach, nie przeczuwałam, że tylu panów weźmie udział w moim pożegnalnym wieczorze!“

Choć przynaglali się nawzajem, tualeta ich trwała blisko dwie godziny, lecz panna Irena guzdrała się nieco dłużej. Za to gdy pojawiła się ufryzowana, w białej balowej sukni na galeryjce, gdy majestatycznie zaczęła zstępować po wirażu marmurowych schodów do rzęsiście oświetlonego przedsionka, czterej rozgadani towarzysze broni umilkli i na długo zapomnieli języka w gębie. „Zjawisko!“ to było jedyne właściwe określenie tej dziewczyny w takiej „oprawie“.

Przedsionek pałacu, gdy powstańcy tu przybyli o zachodzie słońca wyglądał ciemno i ponuro, ale teraz był zalany światłem, tryskającym z kilkunastu wieloramiennych kandelabrów. Płomyczki osadzonych w nich świec kołysały się lekko za lada powiewem, za poruszeniem się powietrza nawet słabym, jakie wywołuje chód człowieka. Gdy hrabianka Irena zaczęła iść ku swoim gościom, zafalowały złote języczki świec i zamigotały kryształowe wisiorki świeczników. Duże ścienne zwierciadła i metalowe okucia gładko wypolerowane mnożyły w nieskończoność świetlne efekty, które czterem powstańcom, od tylu dni kryjącym się w mroku lasów, zamieniały stary przedsionek na krainę baśni.

Lecz najcudniej błyszczały tu diamenty ozdobnej przepaski, jaką hrabianka miała na głowie; diadem ten w migotliwych blaskach tylu świec rozsiewał dokoła snopy iskier tęczobarwnych, tak że przypominał aureolę. Hugon Gulicz, który pierwszy ochłonął z wrażenia, jakie wywarło ukazanie się panny Ireny, powiedział półgłosem do Lińskiego:

„Wygląda jak anioł."

„Jednakże," dorzucił wesoło Tadeusz Liński, „mnie osobiście więcej od niej podoba się ten drepczący za nią diabełek."

Ta, którą określił mianem „diabełka", nazywała się Lisette Durand, była guwernantką hrabianki, starszą od niej zaledwie o pięć albo sześć lat i na dzisiejszy wieczór wystroiła się i wyfiokowała o wiele nawet misterniej od swej uczennicy. Gulicz zauważył w lot tę różnicę i zanim nastąpiło formalne spotkanie z damami, zdążył oznajmić cicho towarzyszowi:

„Kuzynka twoja, to jakby księżniczka z królewskiego rodu, a ta mała czarna Francuzeczka, to w najlepszym razie dama dworu."

„Nie szkodzi," odparł Liński, „acz nie taję, że w tej chwili najwięcej tęsknię za kolacją."

Niedługo czekał na ukojenie tej „tęsknoty." Wieczerza była przygotowana już dawno. Spożywali ją w mniejszej jadalni pałacu. Większej, z powodu jej rozmiarów nie dało się ogrzać w tak krótkim czasie. Zasiedli przy stole pokrytym śnieżnobiałym jakby atłasowym obrusem. Jedli na talerzach z saskiej porcelany, ciężkimi widelcami, nożami i łyżkami z szczerego srebra. Takiego przepychu na każdym kroku ani Dąbrowski, ani Staś nigdy przedtem w życiu nie widzieli, tak wyszukanych potraw jak tutaj, nigdy nie kosztowali, nigdy też nie zdarzyło się im przebywać w towarzystwie podobnie strojnych dam, jak hrabianka Irena i Mlle Durand. Ponieważ zaś do reszty „zdziczeli" w lasach, siedzieli teraz onieśmieleni, wytężając całą uwagę na to, aby nie jeść za szybko, zbyt żarłocznie, choć wygłodzeni byli straszliwie i prawie nie brali udziału w ogólnej rozmowie.

Wyręczał ich w tym z nadwyżką „Paryżanin", stary bywalec, Hugon Gulicz. Ten przegadał wszystkich, nawet gadatliwą pannę Lisette Durand. Podniecony starym winem, którym biesiadę zakrapiano, a jeszcze bardziej podniecony tym, że jego urocza sąsiadka przy stole, panna Irena, była najbardziej uważnym i najwdzięczniejszym jego słuchaczem, zwłaszcza ilekroć rozmowa schodziła na Rzym, Neapol, Wersal, Paryż, Gulicz przeszedł sam siebie. Wtrącając tu i ówdzie wesołe dykteryjki, opisywał pełne wyszukanych rozrywek życie mieszkańców nadsekwańskiej stolicy. Rzeczy te, dla hrabianki nowe, egzotyczne, upragnione, barwiące jej policzki rumieńcami ożywienia, były jednak dobrze znane pannie Durand. Próbowała zrazu dorzucić swoje trzy grosze, ale ponieważ gaduła Gulicz nie pozwolił sobie głosu odebrać, Mlle Lisette przesunęła się w stronę nadskakującego jej Tadeusza Lińskiego i wszczęła z nim cichą rozmowę po francusku.

Tak więc sześcioosobowe towarzystwo podzieliło się na dwie pary i dwóch „out-siderów, co Józef Dąbrowski trafnie zauważył i określił:

„Ty, Stasiu i ja, potrzebniśmy tutaj jak piąte i szóste koło u wozu, albo jak dwie dziury w moście. Proponuję, abyśmy zaraz po wieczerzy ulotnili się stąd i poszli spać."

„O nie!" zaprotestował równie cicho, lecz stanowczo tamten. „Widziałem w przedsionku śliczny fortepian i mam ochotę go wypróbować."

„Ty umiesz grać?“ zdziwił się Dąbrowski.

I zawstydził się tego pytania, kiedy po biesiadzie Staś zasiadł do klawikordu. Zagrała na nim najpierw hrabianka. Potem parę trudniejszych utworów odegrała jej nauczycielka, Mlle Durand, twierdząc, że posiada dyplom jakiegoś tam konserwatorium we Francji. Lecz jedno i drugie okazało się tylko wyuczonym rzępoleniem w porównaniu z istnym koncertem, jaki zaimprowizował Staś. Technikę miał niebywałą, jak na swój młody wiek i dojrzałość zadziwiającą, ale tym, co chwytało za serca jego słuchaczy, była uczuciowość jego gry, liryka iście słowiańska, spotęgowana jeszcze nadwrażliwością jego natury, przeczuciami bliskiej śmierci i wypływającego stąd smutku. Smutek ten, w rozmowach z kolegami maskowany rezygnacją, a nawet brawurą, nie dał się niczym przytłumić w muzyce; przesadnym sentymentalizmem nazwałby go może jakiś zjadliwy krytyk muzyczny, lecz takiego krytyka tu nie było i nawet Mlle Durand, po francusku trzeźwa, a także trochę zazdrosna, iż ktoś gra od niej o wiele lepiej, uległa czarowi muzyki Stasia. Panna Irena wzruszona do łez, rzekła szczerze:

„Od kilku pokoleń stoi tutaj ten stary klawikord, wielu mistrzów na nim grywało, zwłaszcza za życia mej matki, która kochała się w muzyce. Jestem jednak pewna, że wśród nich nie było nigdy tak wielkiego wirtuoza jak pan.“

Staś wstał, złożył jej przesadnie niski ukłon, zwrócił się do Tadeusza i spytał niby to z głupia frant:

„Czy wypada mi zaczerwienić się, czy powiedzieć wzajem jakiś komplement? Bo ja nic się nie znam na etykiecie arystokratycznych domów.“

„Wypada ci przestać rzępolić takie smutne kawałki, a zagrać nam coś wesołego, coś do tańca,“ odparł Liński.

„Tak, do tańca, do tańca!“ poparły go obie panie i Gulicz.

„Ha, wobec tego,“ rzekł Staś, siadając znów przy klawikordzie; „niechaj ‚wirtuoz‘ — zwykłą koleją rzeczy — ustąpi miejsca weselnemu grajkowi.“

„Weselnemu?!“

„Dlaczego, weselnemu?!“

„Nie dopytujcie, panie, dlaczego,“ prosił Gulicz, posyłając pannie Irenie jedno z zdobywczych spojrzeń. „Uważajmy to słowo za . . . wróżbę! Kto wie, czy przemiła znajomość, jaką zawarliśmy tu dzisiaj, nie skończy się kiedyś gdzieś czyimś weseliskiem, kto wie?!“

„Może dwoma!“ zawołał Tadeusz Liński.

„Trzema . . . trzema . . . ale ze śmiercią!“ dokończył posępnie Staś. Równocześnie wziął pierwszy akord i jego słowa usłyszał tylko Józef Dąbrowski, stojący najbliżej i oparty łokciem o klawikord. „Józiu, siądź obok kominka, spoglądaj na tańczących i mów mi, czy mam grać wolniej, czy szybciej, bo ja nie mam oczu z tyłu głowy, a nie bardzo do tańca grać umiem.“

Dąbrowski nie miał żadnego pojęcia o tańcach, ale z zadowolonych

min dwóch pląsających par wnioskował, iż „grajek“ utrzymuje właściwe tempo. Nie czynił więc żadnych uwag, patrzał zrazu z zainteresowaniem, jakby na jakieś nowe widowisko, ale to widowisko powtarzało się wciąż w kółko i rychło zaczęło go nużyć swoją monotonnością. Poza tym posiłek miał nazbyt obfity, biesiada była wspaniała, zmęczenie po tylu nocach forsownych marszów wielkie i ciepło z kominka nań buchało. Dąbrowski zaczął drzemać, chociaż fortepian obsługiwany przez niezmordowanego Stasia stał tuż obok.

Kiedy Dąbrowski ocknął się, ze zdziwieniem zobaczył, że obydwie tańczące pary znikły z przedsionka. U stóp jednego z kandelabrów leżał tylko biały koronkowy wachlarz, którym z wdziękiem posługiwała się panna Irena.

„Stasiu, oni wyszli! Zostaliśmy tu tylko sami.“

„To świetnie. Zamiast rzępolić do tańca, czego nie cierpię, będę mógł znowu grać to, co lubię,“ odparł z flegmą młody muzyk, jak gdyby wcale nie urażony tym, że tańczące pary ulotniły się, nie podziękowawszy mu za jego trud. Bez najkrótszej pauzy przeszedł od banalnych tanecznych kawałków do „Księżycowej sonaty“ Beethovena.

„Stasiu, pora spać.“

„Eeeech, spać będę bardzo długo, bo aż do Sądu Ostatecznego, a do grania już ostatnią mam sposobność.“

Gdy i dalsze nalegania nie zdały się za nic, Dąbrowski postanowił zostawić go i udać się na spoczynek. Pokoje gościnne znajdowały się na piętrze. Nie był pewny, czy do nich trafi.

Otworzywszy drzwi, przez które przedtem wprowadzono go tutaj, zatrzymał się przestraszony. Naprzeciwko niego jak żywy człowiek stała „biała dama,“ uwieczniona na dużym, bardzo starym portrecie. Portret ten wisiał dokładnie naprzeciw drzwi i po otworzeniu ich padł nań migotliwy odblask świec kandelabrów w przedsionku.

„A . . . to jest ów sławny opiekuńczy duch pałacu w Lipinach, o którym tyle mówiono przy stole“ — domyślił się Dąbrowski i ruszył w dalszą drogę.

Zaledwie jednak posunął się trochę dalej, posłyszał charakterystycznie brzmiący, łatwy do rozpoznania głos Gulicza, cicho lecz bardzo uroczyście, nieomal tonem przysięgi, zwierzającego się z swoją miłością pannie Irenie siedzącej na kozetce osrebrzonej poświatą księżyca. Liński z Mlle Durand stali opodal w framudze okna zajęci sobą.

Dąbrowski mimowolnie cofnął się żwawo, zażenowany jak nigdy w życiu. Natychmiast zawrócił tam, skąd przyszedł, chwaląc sobie w myśli pożyteczność licznych w pałacu kobierców, które tłumiły odgłos jego pospiesznej rejterady.

Nie znał innej drogi do gościnnych pokojów, a skoro na tej jedynej znanej mu drodze wyrosła tak nieoczekiwana i krępująca przeszkoda, nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać w przedsionku. Nie wspomniał oczywiście ani słówkiem o swoim odkryciu Stasiowi, ten zaś, jak przystało artyście rozmiłowanemu w sztuce, której służył,

także nie spytał, czemu śpiący kolega nagle zmienił postanowienie i wrócił na „koncert.“

„Józek, zgaś świece,“ rzekł tylko, nie przerywając grania ani na moment. „Przyszła mi ochota na ‚Marsz żałobny‘ Szopena przy blaskach dogasającego kominka.“

Spełniwszy to dość niezwykłe życzenie przyjaciela, Józef Dąbrowski zagłębił się w wygodnym fotelu, na którym siedział przedtem i niebawem zasnął ponownie, tym razem mocno i już na dłużej.

Obudziły go dopiero o świcie echa rozmowy. Dobiegały one z sąsiedniego pokoju, którego drzwi Staś zostawił otwarte na oścież, gdy parę godzin temu szedł na spoczynek, zapomniawszy zupełnie o przyjacielu śpiącym w fotelu. Rozmawiały tam panna Irena, najwyraźniej zaspana i nadąsana, oraz energiczna pani Balbina, „wielka ochmistrzyni dworu w Lipinach,“ jak ją nazwał Gulicz, a według definicji Tadeusza Lińskiego „straszliwy herod-baba.“ Pani Balbina grzmiała właśnie:

„Panienka musi stąd odjechać dzisiaj rano. Tak obiecałem panu hrabiemu i słowa dotrzymam, choćbym miała użyć siły!“

„Już jej użyłaś,“ narzekała panna Irena. „Czyż nie ściągnęłaś mnie z łóżka na podłogę?!“

„Bo panienka nie chciała wstawać, gdy mówiłam po dobroci. A teraz znów proszę — ale ostatni raz proszę! — aby panienka wyjęła ze skrytki kosztowności i pieniądze, które pan hrabia kazał panience zabrać ze sobą.“

„Oj, nie ciągnij mnie tak, bo mi rękę urwiesz . . . Słuchaj, Balbinko, ja tak strasznie późno poszłam spać tej nocy.“

„A czyja wina?“

„Balbinko! to ty zobacz najprzód, czy jest bezpiecznie otwierać skrytkę teraz. . .“

„Jest bezpiecznie. Cały dom jeszcze śpi, a gdyby ktoś nagle tu wszedł, to tak go zamaluję przez łeb kluczami, że nieprędko zdrowie odzyska.“

Dąbrowski, który przed chwilą wstał, aby wyjść, opadł ciężko na fotel z powrotem.

„Z tą babą nie ma żartów. Lepiej udawać, że śpię,“ zadecydował, posłyszawszy pogróżkę pani Balbiny.

Przypuszczał, iż skrytka znajduje się w pałacowym składzie win i miodów czyli w osobnej piwnicy, do której wejście znajdowało się pod marmurowymi schodami, wiodącymi z przedsionka na piętro. Postanowił sobie, że skoro tylko groźna pani Balbina i panna Irena zejdą do piwnicy, on czmychnie stąd do pokojów gościnnych. Aliści jejmość Balbina, dzierżąc w jednej ręce trójramienny świecznik i pęk wielkich kluczy, a drugą ręką wlokąc za sobą zaspaną hrabiankę, zatrzymała się przed portretem „białej damy!“ Następnie tupnęła kilka razy obcasem w podłogę, czy może nadepnęła nogą coś w podłodze, dość że nagle ów duży portret wraz z swoją ciężką ramą zaczął po ścianie dźwigać się w górę, odsłaniając głęboką niszę. Teraz pani Balbina,

wręczywszy świecznik hrabiance, szybko wyjęła ze skrytki kilka szkatułek, dwa albo trzy woreczki małe, lecz ogromnie snadź ciężkie, skoro nawet taki wielkolud jak ona musiała każdy mieszek wyjmować oburącz, potem schwyciła portret za ramy, ściągnęła go na dół i procedura była ukończona.

„I do czego ja tu byłam potrzebna?“ odezwała się panna Irena, ziewając raz po raz. „Mogłam spać nadal, a ty byłabyś sama to zrobiła. Wiesz przecież, że mój ojciec i ja mamy do ciebie nieograniczone zaufanie.“

„Wiadomo, ale nigdy do nikogo ze służby nie miała zaufania . . . biała pani,“ odparła Balbina, zniżając zabobonnie głos, gdy „białą panią“ wymieniała. „Każdy z tych, co chciał coś wyjąć ze skrytki w nieobecności właścicieli, bardzo źle na tym wyszedł, a już najgorzej ten zuchwalec, który portret kulą przestrzelił! No więc wolałam zbudzić panienkę.“

Głosy rozmawiających kobiet ucichły zwolna, a jeszcze przedtem zniknęła smuga światła trzech świec niesionych przez pannę Irenę. Dalszy pobyt w przedsionku był niepotrzebny i nieprzyjemny, ze względu na „vis a vis“ niesamowitej „białej damy,“ o której takie krążyły legendy. Dąbrowski pospieszył więc do gościnnych pokojów, mimo woli odwracając głowę, kiedy mijał portret zasłaniający skrytkę. Tym razem dotarł do celu już bez żadnych przeszkód. Zdjąwszy odzież, mył się bardzo długo, „na zapas,“ wiedząc z doświadczenia, że na tę przyjemność nie będzie sobie mógł pozwolić przez Bóg wie ile tygodni, skoro powróci w lasy.

Ukończywszy swe gruntowne ablucje, podszedł do okna, by zbadać, na jaki dzień się zanosi. Zamyślił się i stał dość długo. Ani się spostrzegł, kiedy słońce już weszło. Spojrzawszy niżej, zobaczył karocę zaprzągniętą w cztery konie. Przed zaprzęgiem i z tyłu za nim czekały dwa maleńkie oddziałki konnej eskorty, której przewodził brzuchaty pan rządca. Lecz właściwym hetmanem była tu niewątpliwie pani Balbina. Ona wydawała wszystkim rozkazy; ona klęła jak stu ekonomów, gdy ktoś upuścił na ziemię któryś z tobołków; ona nieomal na rękach wniosła do karocy hrabiankę, a podobnie śpiącą francuzkę wepchnęła tam kolanem dla większego pośpiechu.

Dąbrowski przyskoczył do łóżka, na którym spał Hugon Gulicz i jął go tarmosić.

„Panie odjeżdżają!“ powtarzał mu nad uchem. „Może pan kapitan pośle im pożegnanie choć dłonią.“

Zanim jednak Gulicz rozbudził się na dobre i dobiegł do okna, kawalkada wraz z karocą wydostała się za bramę dziedzińca pałacowego.

„Trzeba mnie było obudzić o wiele wcześniej!“ huknął pan kapitan na dziesiętnika. „Nigdy bym wam tego spóźnienia nie darował, gdyby nie to, że już wczoraj zdążyłem pożegnać Irenkę,“ dodał łagodniej, uśmiechając się błogo. „Widzicie ten pierścionek? Posłuchajcie, opowiem wam, w jakich okolicznościach go otrzymałem.“

„Panie kapitanie, może innym razem, ja jeszcze chciałbym spać.“

„Więc kładźcie się, można słuchać leżąc.“

Dąbrowski zazdrościł Stasiowi i Lińskiemu, którzy w sąsiednim pokoju chrapali aż miło, podczas gdy on, wbrew swojej woli, musiał słuchać zwierzeń pana kapitana i jego przechwałek. Wreszcie wziął się na sposób, zaczął ziewać coraz głośniej, potem zachrapał i, mimo upomnień Gulicza, chcącego się wygadać, kontynuował to udawanie snu tak długo, aż wreszcie zasnął naprawdę.

Obudził się po południu. Uradzili we czterech, że najpierw zjedzą obiad, potem zaczną pakować zapasy żywności, których mieli dostarczyć partii Mierosławskiego w leśniczówce, a wyruszą w drogę wieczorem.

Zaledwie jednak usiedli do stołu i zanim jeszcze pierwszą potrawę podano, do jadalni wpadła pani Balbina z alarmującym okrzykiem:

„Moskale we wsi!“

„Sacrebleu!“ zawołał Gulicz, zrywając się. „No i co teraz?“

„Jak to, co? Będą tu lada chwila!“

„Będziemy się bronić!“ mruczał Gulicz.

„Będziemy do nich strzelali, jak do kaczek!“ rzekł Liński.

„Paniczu, miejcie zastanowienie! Was czterech, a ich może stu!“

„Wiem, że zginiemy,“ odezwał się z kolei Staś, „ale bronić się musimy.“

„Oni zaś z zemsty obrabują i spalą pałac, co?! O, nie, moi panowie, ja na to nie pozwolę, jakem Balbina!“

„Ona ma słuszność,“ wtrącił Dąbrowski. „Byłoby z naszej strony najgrubszą niewdzięcznością narażać gospodarzy na. . .“

„Milczeć!“ przerwał tu Gulicz i zwrócił się do nasrożonej „herodbaby“ z kpiącym uśmiechem. „A jakże nam pani w wykonaniu naszych zamysłów przeszkodzi?“

„Już przeszkodziłam!“ odparła z dumą. „Zaraz przewidziałam, że wyście straceńcy gotowi na wszystko, i na pierwszą wieść o Moskalach schowałam waszą broń!“

„Zdrada!“ krzyknął Gulicz.

„Żadna zdrada, tylko rozsądek! Skryjcie się, siedźcie cicho jak mysz pod miotłą, a kiedy Moskale odjadą, całą broń wam oddam.“

„Niech cię gęś kopnie, Balbinsiu, lecz może masz rację,“ zawołał Liński. „Gdzie mamy się ukryć? Może by w tej piwnicy, w której mój wujaszek przechowuje trunki?“

„Bo ja wiem, bo ja wiem,“ rozłożyła ręce bezradnie. „Wszystko zależy od tego, czy będą pałac rewidowali dokładnie, czy tylko byle jak. A w gościnnych pokojach nie zostawiliście panowie czego?“

„Owszem,“ odparli wszyscy czterej niemal unisono, bo każdy z nich jakieś drobiazgi tam zostawił.

„Dąbrowski!“ rzucił Gulicz tonem rozkazu. „Pobiegnijcie do naszej kwatery i uprzątnijcie ją migiem tak, żeby ani śladu po nas nie było. Ze wszystkim, co tam znajdziecie z naszych rupieci, pędźcie do przedsionka pod marmurowe schody.“

Staś i Tadeusz chcieli w tym Dąbrowskiemu dopomóc, ale Gulicz im zakazał; wolał ich mieć przy sobie i w ogóle stracił całą swą pewność siebie, gdy pani Balbina upomniała ich słowy:

„Pamiętajcie, że Moskale w naszych stronach nie biorą powstańców do niewoli, tylko mordują ich bez wyjątku. Starajcie się więc nie wpaść w ich łapy, jeżeli wam życie miłe!“

Dąbrowski uwijał się jak mógł najszybciej w tych dwóch gościnnych pokojach pałacu, które służyły im za kwaterę od wczoraj. Pani Balbina posprzątała tu i zaścieliła łóżka, ledwie goście wstali, lecz nie ruszyła żadnej z ich ubogich „ruchomości“ i Dąbrowski musiał wszelkie te drobiazgi sumiennie pozbierać.

Wreszcie przekonany, że zabrał z sobą wszystko, co do nich należało, zbiegł na dół i popędził do przedsionka. Zaledwie jednak tu wpadł, posłyszał na dworzu łoskot ciężkich kroków kilkunastu mężczyzn i głos Balbiny, mówiącej nadmiernie głośno dlatego, by ostrzec swoich:

„Zapewniam pana naczelnika i pana oficera, że nikogo tu nie ma.“

Wejście do piwnicy znajdowało się pod schodami wiodącymi na piętro. Wejście to zamykała duża, ciężka pokrywa w podłodze, a z wierzchu do pokrywy przytwierdzony był większy od niej dywan. Tam gdzieś musiał być ukryty zamek albo ucho, lub jakieś kółko do dźwignięcia pokrywy wraz z dywanem.

„Mowy nie ma, żebym to zdążył odnaleźć, zanim oni tu wejdą!“ — przemkło przez myśl Dąbrowskiemu, kiedy biegł po kobiercach okrywających podłogę przedsionka. „A gdy mnie przy tym zaskoczą, odgadną w lot, że tamtędy wiedzie droga do kryjówki moich kolegów. Nie mogę ich na to narażać!“

Postanowiwszy tak, oderwał wzrok od dywanika zasłaniającego pokrywę i omiótł szybkim spojrzeniem cały przedsionek w poszukiwaniu jakiejkolwiek innej kryjówki. Nie, nie było jej, boć któż by go nie odnalazł, gdyby przykucnął za oparciem kanapy?!

„Tak ja znaju, czto graf wyjechał i hrabianka i panna Lisette, lecz ja nie o nich was pytam“ — dobiegał coraz wyraźniej głos Moskala. „Ja zapytuję was o takich gości których my przepisowo wieszamy. A kilku takich chłopi wczoraj widzieli w okolicy Lipin i przepisowo mi to zameldowali.“

„W okolicy? Może. Tu nie było i nie ma żadnego!“ odparła Balbina, lecz w miarę jak zbliżała się do przedsionka, jej głos tracił zwykłą swą dyktatorską pewność siebie.

„Boże, ratuj!“ westchnął w duchu Dąbrowski. „Mniejsza o moje życie, lecz jeśli oni znajdą tu mnie, zrobią ostrzejszą rewizję pałacu, odszukają moich przyjaciół, powieszą ich także! I zamęczą tę kobietę! Boże, oświeć, co czynić.“

Błądzący, rozbiegany wzrok młodego powstańca zahaczył o kominek. Jego widok podsunął natychmiast myśli: Oto kryjówka, byle nie zwlekać.

Gdyby był zwlekał chociaż dziesięć sekund, jego ucieczkę do ko-

minka musiałby zauważyć moskiewski „naczelnik,“ który wkroczył do przedsionka pierwszy, a za nim jakiś oficer, pani Balbina i z tuzin żołnierzy.

Dąbrowski zdrętwiał. Mógł niechcący zdradzić swą obecność w swoim schowku jakimś szmerem, kichnięciem lub kaszlem, bo cuchnęło tam dymem.

„Muszę znaleźć sobie jakąś lepszą kryjówkę,“ postanowił. „Byle tylko Moskale wyszli stąd do innych pokojów jak najprędzej.“

Nie zanosiło się na to zrazu, gdyż „pan naczelnik“ już rozparł się wygodnie w największym fotelu i zachęcał oficera, aby poszedł w jego ślady, a fatygę rewidowania pałacu pozostawił sołdatom. Ale pani Balbinie była bardzo nie na rękę obecność wrogów tak blisko piwnicy, w której ukryli się powstańcy. Zaczęła ona przybyłych usilnie namawiać, aby przede wszystkim posilili się i rozgrzali po podróży.

„Prekrasno,“ odrzekł z uznaniem naczelnik; „dawaj choziajka horyłki.“

„Tutaj nie wypada i niewygodnie,“ odparła Balbina. „Przecież tu nie ma nawet stołu. A w jadalni jest wszystko pod ręką, jest i bufet z butelkami.“

Ten ostatni argument był nieodparcie przekonywujący dla Moskali. Nawet ociężały, leniwy naczelnik powstał sprężyście z fotela, lecz zanim wyszedł stąd, rzucił jednemu z żołnierzy rozkaz.

„Przynieś tu drzewa i rozpal ogień w kominku, a to ‚chołodno‘.“

Dąbrowskiemu zrobiło się gorąco. Skulony w swej kryjówce, widział tylko nogi obecnych. Denerwował się ich powolnością, pod wpływem obawy, że zanim wyjdą stąd i zanim umożliwią mu dyskretne opuszczenie kominka, powróci żołnierz, który popędził po drzewo.

„Idźcież żwawiej,“ ponaglał ich w myśli Dąbrowski.

Lecz Moskale, gdy oddalili się na długość przedsionka — widział ich sylwetki w całości — jakby na złość, przystanęli przed portretem praprababki hrabianki Ireny. Naczelnik chciał się popisać przed oficerem, że zna legendy krążące o „białej damie“ z Lipin. Na szczęście był marnym naratorem i streścił się lapidarnie tylko:

„Był jeden durak, co przepisowo nie wierzył w duchy i strzelił do tego portretu. Kula przebiła białej damie szyję. Nu i ani dzień nie minął, kiedy onże durak na polowaniu został przypadkiem raniony także w szyję i zdechł!“

„Nie wierzę. To lacki wymysł,“ odparł oficer.

„Sam graf gowtodził mnie eto. Ej, choziajka, nie tak li było?“

„Tak było, panie naczelniku,“ potwierdziła pani Balbina z ogromną skwapliwością. „Nasza biała pani uśmierciła i uśmierci każdego, kto ośmieliłby się wyrządzić jakąś krzywdę jej potomkom, właścicielom Lipin!“

„Nu, a ja chcę spróbować,“ uparł się oficer i, zanim mu kto zdążył w tym przeszkodzić, strzelił z pistoletu. „Trafił ja białą damę w brzu-

szek i nie uwierzę w jej czary, jeśli do jutra z przejedzenia nie zachoruję.“

Uważając to, co zrobił i powiedział, za świetny dowcip, oficer ryknął prostackim śmiechem. Przez uprzejmość zawtórował mu naczelnik, ale jego śmiech brzmiał bardzo nieszczerze. Chichocząc tak na dwa głosy, ruszyli w dalszą drogę, poprzedzani przez panią Balbinę, przed chwilą tak gadatliwą, a teraz milczącą, bo wzburzoną do głębi postępkiem oficera. Idący za tą trójką żołnierze, mijając portret, zabobonnie odwracali głowy, a ostatni przeżegnał się nawet.

Scenka ta natchnęła Dąbrowskiego dobrą myślą. Czy nie schronić się do niszy, jaką portret ów zakrywał. Nie miał czasu na szukanie innej kryjówki. Gdy więc ostatni z „orszaku“ pani Balbiny zniknął z przedsionka, Dąbrowski wylazł z kominka na czworakach, szybko wpadł do sąsiedniego pokoju i, stanąwszy przed portretem, zaczął gorączkowo szukać na podłodze sprężyny. Nie znalazł jej, gdyż cały mechanizm znajdował się wewnątrz, w niszy, lecz wkrótce namacał lekko sterczący ponad podłogę kawałek żelaza w kształcie maleńkiego grzybka. Ręką nie mógł go poruszyć w żadnym kierunku, gdy jednak obcasem buta i całym ciężarem swego ciała nacisnął ów grzybek, portret wraz z ramą jął podnosić się w górę. Z niemałym trudem ściągnął go na dół na powrót, gdy znalazł się w niszy po drugiej stronie portretu, a niespełna pół minuty później do przedsionka wkroczył żołnierz wysłany po drzewo i zabrał się wprawnie do rozniecania ognia w kominku.

„Opatrzność czuwa nade mną,“ pomyślał Dąbrowski, widząc przez otwór, jaki wyżłobiła w obrazie kula oficera, swoją poprzednią kryjówkę, a w niej kłębowisko dymu i płomieni.

ROZDZIAŁ III

Gdy „Dyktator" ucieka

Dąbrowski przypuszczał, że wieczerza przybyłych do Lipin Moskali potrwa ze dwie godziny i że po niej będą nazbyt ociężali i spici, by zdobyć się na dokładną rewizję wszelkich zakamarków pałacu. Niestety, zawiodły go te rachuby. Nie upłynęło ani dziesięć minut, odkąd zmienił kryjówkę, kiedy posłyszał głosy nadchodzących tutaj: Balbiny, naczelnika i oficera, a także ciężkie kroki towarzyszących im żołnierzy. Naczelnik perorował:

„Słuchajcie wy mnie, choziajka; wasza wódka lepsza jest od samogonki, temu nie przeczę, sołdaty przepisowo mogą to pić, ale naczalstwo delikatniejsze ma gardła i częstować je taką gorzałką, to . . . nu, to wprost obraza dla naczalstwa!"

„Przykro mi, panie naczelniku, lecz nie mam nic lepszego."

„Macie wy, macie, tylko skąpa jesteście. Dlatego chcę ja was zawstydzić i pokazać, że sam trafię do specjalnej piwniczki hrabiego. . ."

„Tu nie ma żadnej specjalnej piwniczki!" krzyknęła Balbina, starając się sztucznym tupetem pokryć swoje zmieszanie i przestrach.

„Breszesz, babo, łżesz, jak pies!" wrzasnął naczelnik. „Nu, przepraszam ja was, choziajka, że uniosłem się troszku, ale czemu wy zadajecie kłam naczalstwu, aaa?! Sam hrabia, gdy sobie raz podochocił, zszedł ze mną do tej swojej specjalnej piwniczki ze starymi trunkami i spiliśmy się tam przepisowo, a wy wpieracie we mnie, czto piwniczki nigdy nie było i nie ma. Pod ziemię zapadła się, aaa? Czy może wy chytre Paljaki zamurowaliście do niej wejście, które znajdowało się pod takim niebieskim dywanikiem koło schodów, aaa?!"

Mijał właśnie portret „białej damy," gdy mówił te słowa i na chwilę zasłonił Dąbrowskiemu widok na ogień, już wesoło trzaskający w kominku.

„Nu, gadaj, zamurowaliście?!" nalegał naczelnik.

„Ja nnnic o niczym nnnnie wiem," wykrztusiła pani Balbina, widząc z rozpaczą w sercu, że powstańcy niechcący wybrali sobie w pałacu kryjówkę wręcz najgorszą! Nie znali jej żołnierze, lecz znał ją naczelnik, a jego wizyty nie przewidziała, ani zaś przez myśl jej nigdy nie przemknęło, że hrabia kiedyś łekkomyślnie pokazał temu opojowi drogę do swoich cennych zapasów wódek, miodów i win. Wreszcie, gdy zobaczyła, że pijak doskonale pamięta tę drogę i zmierza prosto do niebieskiego dywanu zakrywającego klapę w podłodze, zdobyła się na gwałtowny zryw energii; „Panie naczelniku, to rabunek!" krzyknęła odważnie. „Pan hrabia poskarży się panu gubernatorowi!"

„Nie poskarży, nie poskarży, bo ja znam więcej jego grzeszków, niż on moich. Żeby jednak skromnej pożyczki kilku butelek ktoś później nie nazywał rabunkiem, wy, choziajka, zejdziecie do piwnicy razem z nami.“

„Po cóż panowie mają się fatygować,“ perswadowała Balbina, głosem coraz bardziej zmienionym z przerażenia. „Ja sama pójdę i przyniosę, co. . .“

„O, nie!“ przerwał jej naczelnik. „Choziajka mogłaby tam sama wypić parę buteleczek, a później zapisałaby je na nasz rachunek.“

„Będę cały czas śpiewała, żebyście nie myśleli, że piję.“

„Śpiewała? A to chętnie posłuchamy . . . Zresztą ja chcę memu odważnemu druhowi, który do ‚białej damy‘ strzelił, pokazać ile to trunków trzyma w domu jeden Poljak. Nu, tak wy, choziajka, zleźcie z tego dywanika i nie zastępujcie mi drogi już dłużej, bo mógłbym stracić cierpliwość i rrąbnąć. . .!“

„Panie naczelniku, niechże choć żołnierze tam nie schodzą, bo nakradną i natłuką flaszek co niemiara,“ prosiła Balbina.

Podziwiał ją Dąbrowski, który w swej niszy za portretem słyszał każde słowo; domyślił się, że Balbina chce przy pomocy jego trzech przyjaciół wziąć do niewoli naczelnika i oficera, ażeby stali się na kilka godzin zakładnikami i gwarancją ucieczki dla powstańców; żołnierze rosyjscy nie strzelaliby do nich, pozwoliliby im odejść, aby nie narazić na śmierć czy rany swoich zwierzchników, chwilowych jeńców.

„Nu, jeden żołnierz potrzebny do niesienia moich butelek, drugi do trzymania światła. . .“

„Świecznik ja potrzymam i pójdę pierwsza, by wam świecić,“ warknęła zdeterminowana pani Balbina.

Tego, co się teraz działo, Dąbrowski widzieć nie mógł. Domyślał się tylko z głośnego zrzędzenia Balbiny, że ona już zstępuje do piwnicy, że chce swym trajkotaniem ostrzec ukrytych tam powstańców, aby przykucnęli w jakim kącie i zachowywali się jak najciszej . . . do czasu.

Wtem zabrzmiał przeraźliwy okrzyk naczelnika:

„Buntowszczyki! Biegi siuda, rebiata!“

I po chwili huknął wystrzał.

Huk strzału i jęk bólu podziałał na osłupiałych żołnierzy skuteczniej, niż okrzyk naczelnika. Przygotowując po drodze broń, zstępowali pospiesznie do piwnicy, w której walka rozgorzała już na dobre. Dąbrowski, choć nie wierzył w pomyślny wynik starcia z nieprzyjacielem tylokrotnie silniejszym — prócz tuzina żołnierzy w pałacu, cała setka ich znajdowała się na zewnątrz gmachu — postanowił biec kolegom na odsiecz, a właściwie biec po to, aby razem z nimi zginąć; schwycił więc oburącz listwę przybitą poprzecznie do grubych pionowych desek, na których portret „białej damy“ był wymalowany, lecz obraz ani nie drgnął; albo był za ciężki na jego siły, albo tak osadzony, że tylko ów tajemniczy mechanizm mógł go podnieść w górę.

„Tu musi gdzieś być podobna sprężyna, jak z zewnątrz, tu musi gdzieś być. . ." powtarzał w kółko i gorączkowo szukał w ciemnościach jakiejś sprężyny, czy przekładni, czy hebla, czy czegokolwiek, co by uruchomiło mechanizm, ale szukał na próżno. „Więc wpadłem w pułapkę, z której wyjść nie można?!" pomyślał zaniepokojony i z wzrastającym zdenerwowaniem ciągnął w górę listwę, aż złamał sobie parę paznokci i palce do krwi pokaleczył.

A tymczasem w piwnicy gwałtowna, lecz jakże nierówna walka dobiegała końca. Staś poległ pierwszy, po nim kapitan Hugon Gulicz i tylko Tadeusz Liński bronił się jeszcze. Bronił się wyrwanym jednemu z żołnierzy karabinem, który oburącz ujął za koniec lufy, a kolbą walił gdzie popadło tych, którzy koniecznie chcieli go pojmać żywcem. Tego żądał naczelnik, mocno poturbowany i klęczący obok rozciągniętego na wznak oficera, który wił się z bólu i jęczał, trafiony wystrzałem z pistoletu wyrwanego mu z pochwy u boku niespodziewanie. Kiedy jednak dalszych dwóch żołnierzy padło pod ciosami straszliwej „maczugi" Lińskiego, zrozumiał naczelnik, iż tak łatwo nie dostanie żywcem tego „buntowszczyka."

„To wściekły pies!" krzyknął. „A wściekłe psy trzeba tępić, by nie kąsały. Zastrzelcie go, naszpikujcie kulami!"

Ci, którzy atakowali Tadeusza, cofnęli się i jęli gotować broń do strzału. Powstaniec, pojąwszy w lot, że wybiła jego ostatnia godzina, i że za chwilę jego duch połączy się z duszami dwóch poległych tu kolegów, musnął ich ciała pożegnalnym spojrzeniem, uśmiechnął się blado do pani Balbiny, oparł się na karabinie i zdyszanym od ciężkiego znoju głosem zaintonował: „Jeszcze Polska nie zginęła. . ."

„Strzelaj!" komenderował naczelnik.

Pani Balbina z początku także walczyła, bombardując wrogów najcięższymi butelkami z winem, ale jeden z żołnierzy zaszedł ją z tyłu, złapał za kark i tak ją trzymał, coraz mocniej zaciskając silne paluchy, ile razy próbowała mu się wyrwać. Przed chwilą omal jej nie udusił, więc zaniechała oporu, lecz nie zrezygnowała bynajmniej z zamiaru przyjścia z pomocą paniczowi w stosownym momencie. Stosowny moment nie nadszedł, za to nadeszła najkrytyczniejsza chwila walki, naczelnik kazał upartego powstańca zastrzelić i żołnierze już podnosili karabiny, już brali go na cel! Cóż mogło go ocalić? Cud, albo . . . albo ciemności, które zawsze sprzyjają ucieczce. Dlatego zaraz na wstępie walki pani Balbina zdmuchnęła świece, jakie tu przyniosła. Dlatego teraz od dłuższego czasu obliczała wzrokiem odległość dzielącą ją od żołnierza, który stał obok schodków i trzymał wysoko nad głową lichtarz z kilkoma jarzącymi się świecami; one były jedyną iluminacją małego pola bitwy, jedynym źródłem światła w tej piwnicy, one też stały się celem ataku zacnej gospodyni w Lipinach.

„Mierzyć w jego łeb i w serce!" szczeknął znów naczelnik. „Cel!"

Błyskawicznym ruchem złapała pani Balbina za szyjkę jedną z butelek, leżących na najbliższej półce, zamachnęła się tak, że omal nie rozbiła głowy sołdatowi, który ją trzymał za kark i cisnęła swój pocisk, dokąd należało.

Trafiła. Żołnierz, który trzymał lichtarz, wypuścił go z dłoni, wyjąc z bólu, świece zgasły, zanim doleciały do ziemi, egipskie ciemności zaległy piwnicę.

„Uciekaj!“ krzyknęła Balbina.

„Pal!“ ryknął równocześnie naczelnik.

Huknęła salwa. W przelotnym błysku strzałów mignęła postać dzielnego powstańca, padającego na twarz. Przez ten upadek Tadeusz chciał uniknąć kul. I rzeczywiście kule tych trzech żołnierzy, którzy celowali w jego czoło, poszły górą, zrobiły pogrom butelek na najwyższej półce. Drudzy trzej żołnierze wzięli jednak przedtem na cel lewą pierś Lińskiego i te kule — ponieważ spóźnił się z swym upadkiem o mały ułamek sekundy — te kule roztrzaskały mu głowę.

Walka była skończona.

Jej wynik przestał być tajemnicą dla Dąbrowskiego, kiedy z piwnicy wyniesiono zabitych, których na razie polecił naczelnik ułożyć rzędem w przedsionku, rozjaśniwszy go świecami a giorno. Do niedawna nieprzebłagani wrogowie, teraz leżeli obok siebie: trzej Polacy i czterej żołnierze, którym niebawem przybył piąty nieboszczyk, ów oficer, któremu Liński — wyrwawszy mu pistolet — posłał kulę. Kula ta zbiegiem okoliczności trafiła oficera w brzuch, zadając ranę śmiertelną, lecz przedtem na kilka godzin cierpień skazującą. Lecz tę „najgorszą ze wszystkich zbrodni przydybanych buntowszczyków“ zabobonny naczelnik zapisał na rachunek „białej damy;“ żałował, że to swoje głębokie przekonanie musi sfałszować w raporcie.

Przesądny lęk przed zemstą „białej damy“ sprawił, że naczelnik nie pozwolił sołdatom podpalić pałacu, „gniazda buntowszczyków,“ ani obrabować go. Kazał go tylko przeszukać od piwnic do strychu i pewnej chwili groźne niebezpieczeństwo znów zawisło nad głową Dąbrowskiego. Było to wówczas, gdy żołnierze zameldowali, że w mniejszej jadalni znaleźli stół z czterema nakryciami. Z czterema, a powstańców znaleziono i „zlikwidowano“ tylko trzech!

„Gdzie czwarty?“

„Nie było żadnego czwartego,“ odparła posępnie Balbina. „Czwarte nakrycie przygotowałam tam dla siebie.“

„Dobrze, bardzo dobrze. To przepisowo jeszcze jeden dowód, że wy, choziajka, wiedzieliście o pobycie buntowszczyków w pałacu przed moim przybyciem. A ponieważ okłamywaliście naczalstwo, ukryliście przestępców, raniliście dwóch żołnierzy jego cesarskiej mości i tak dalej, spakujcie sobie przepisowo odzieży na dłuższy czas. Na mój rozum, nie wrócicie tutaj z Syberii wcześniej, jak za piętnaście lat! O ile w ogóle stamtąd wrócicie!“

Naczelnik mówił to spokojnie, bez szyderstwa i bez hałaśliwego gniewu, w jaki wpadał tak łatwo w podobnych wypadkach. Dokładał wszelkich starań, aby jak najprędzej opuścić przeklęty pałac, nad którym czuwał tak niesamowity opiekuńczy duch, jak owa „biała pani.“ Mijając jej portret, gdy wychodził stąd ostatni, pochylił się przed nim w niskim ukłonie i z miną tak ogłupiałą ze strachu, że w innych

okolicznościach Dąbrowski byłby parsknął śmiechem. Ale nie do śmiechu było mu teraz, oj, nie!

Swoich zabitych i rannych Rosjanie zabrali z sobą, jak również główną winowajczynię, panią Balbinę. Zanim odjechali, naczelnik wezwał do przedsionka najstarszego z oficjalistów tutejszych, pisarza dworskiego, tego samego, który wczoraj udzielił Lińskiemu pierwszych wiadomości o jego wuju i o kuzynce.

„Tych dwóch buntowszczyków," rzekł naczelnik, wskazując zwłoki Stasia i Gulicza, „wyrzućcie przepisowo na pożarcie wilkom i krukom albo zakopcie ich ścierwo. Ale tego najwyższego. . ." — tu wskazał Tadeusza — „pochowajcie na cmentarzu."

„To dlatego, że panicz walczył najdzielniej?" spytał oficjalista.

„Nie dlatego, bo walczył przeciw żołnierzom cara i za to powinien gnić w dole z gnojem, tak jak i tamte sobaki, skatiny. Ale dlatego, że to siostrzeniec pana hrabiego i . . . krewny tej waszej ‚białej damy,' czy jak jej tam."

Pan naczelnik najwyraźniej pragnął pozostać z „białą damą" w poprawnych stosunkach, skoro miał względy nawet dla „buntowszczyka" należącego do jej rodu. Gdy odjechał, Dąbrowski zapukał dość mocno w blat desek, na których wymalowany był portret. Pisarz dworski ocknął się z smutnej zadumy, jął nadsłuchiwać, a przekonawszy się, że źródłem łoskotów jest portret, wziął nogi za pas i zmykał z chyżością wręcz zdumiewającą w jego poważnym wieku.

Rad nie rad, musiał Dąbrowski starać się nadal wyjść z pułapki o własnych siłach, lecz upłynęło jeszcze kilka godzin, zanim całkiem przypadkowo odkrył wysoko nad swoją głową ołowiany klocek zawieszony tuż przy tylnej ściance dość głębokiej niszy. Gdy go machinalnie pociągnął w dół, portret uniósł się nieco w górę i tajemnica niezmiernie prostego mechanizmu została odkryta.

„To jest jak gdyby najzwyczajniejsza waga względnie dźwignia," zamruczał młody powstaniec, oglądając z ciekawością prymitywne urządzenie dwóch haczyków, które sprawiały, że cięższy od portretu ołowiany przeciw-ważnik nie trzymał go stale w górze.

Nie ruszywszy żadnej szkatułki, ani nawet nie zajrzawszy do żadnej zawierających zapewne kosztowności hrabstwa, a znajdujących się w głębi niszy, Dąbrowski wyszedł z niej i portret na dół ściągnął tak daleko, aż rozległ się metaliczny dźwięk zaskakującej sprężyny. Teraz wszystko było dlań niezmiernie proste i łatwe, ale czemuż nie mógł wydostać się z tej przypadkowej „pułapki" wówczas, gdy tego najgoręcej pragnął i chciał spieszyć na pomoc osaczonej trójce przyjaciół?

„Widocznie Opatrzność chciała mnie zachować przy życiu, bo gdybym był wtedy stąd wybiegł, zginąłbym nieuchronnie, jak oni," rozumował całkiem logicznie, i po raz pierwszy zrodziła mu się w głowie ta myśl, która niebawem miała go nawiedzać coraz częściej: „MOŻE BÓG OCALIŁ MNIE CUDOWNIE DLATEGO, ABYM MU SŁUŻYŁ W JAKIŚ SPECJALNY SPOSÓB? Nie tak, jak Mu służą zwykli bogobojni ludzie, ale tak, jak ci wybrani, jak pustelnicy, zakonnicy i księża?! Bo prze-

cież to dziwne ocalenie . . . ocalenie wbrew mojej woli . . . musi mieć jakiś wyższy cel, przeznaczony mi przez Opatrzność, o tak, tego jestem pewny!“

Nie wiadomo, czy ta myśl stała się nasieniem przyszłego powołania Dąbrowskiego do stanu duchownego, za to wydaje się rzeczą bardzo prawdopodobną, że myśl ta była pierwszą zapowiedzią łaski Bożej, jaka niebawem miała spłynąć na Dąbrowskiego w postaci prawdziwego powołania do stanu kapłańskiego, a także do wielkiej misji nauczycielskiej. . .

Dopiero gdy słońce wzeszło na dobre i zalało pałac światłem, odważył się pisarz dworski powrócić w bliskie sąsiedztwo „białej damy,“ która tej nocy, jak już zdążył opowiedzieć służbie czeladnej i fornalom, „pukała i straszyła.“ Zdumiał się niezmiernie, zastawszy przy zwłokach trzech powstańców jakiegoś obcego młodzieńca, przeraził się ogromnie, gdy ów wyznał mu, że jest także powstańcem.

„Pana nikt tu nie może zobaczyć, inaczej będzie nowe nieszczęście! Niech pan się skryje tak dobrze, jak pan był tu gdzieś schowany podczas rewizji pałacu i niech pan stąd odejdzie jak najdalej, skoro tylko zapadnie zmrok,“ prosił.

Tak też Dąbrowski i uczynił, ale zanim odszedł, wymógł na pisarzu przyrzeczenie najuroczystsze, że nie tylko Tadeusz Liński, lecz również jego dwaj nieszczęsni towarzysze będą po katolicku pochowani na cmentarzu. Podał mu ich imiona i nazwiska, aby je zapisano w księgach parafialnych.

„A ten, jak go pan nazwał, „kapitan,“ trzyma coś w lewej dłoni,“ zauważył pisarz, próbując rozewrzeć kurczowo zaciśnięte palce zmarłego.

Dąbrowski pochylił się, spojrzał uważniej na ów zmiętoszony przedmiot, przedtem śnieżno-biały, teraz gęsto upstrzony rdzawymi plamami krwi i poznał w nim wachlarz Ireny; ten sam, który ona tu wczoraj zgubiła. Gulicz znalazł go widocznie dzisiaj, schował do kieszeni, a wyjął go i tulił czule, kiedy dogorywał w piwnicy.

„Panie pisarzu. Nie odbierajcie mu tej pamiątki ani teraz, ani gdy go będziecie składali do grobu,“ rzekł.

Nie przeczuwał Dąbrowski, że właśnie on będzie tym, który oznajmi Irenie wieść o zgonie Gulicza.

Po zachodzie słońca Józef Dąbrowski wyruszył w powrotną drogę do swojej partii w nadgoplańskich lasach. Miał jej przyprowadzić kilka wozów z żywnością, tymczasem niósł tego upragnionego jadła tylko nieduży worek, który i tak ciążył mu na plecach nieznośnie.

„Drogo partia zapłaciła za ten obiad, o, bardzo drogo!“ myślał z goryczą, idąc powoli z swym ciężarem. „Zapłaciła życiem trzech powstańców!“

Przypuszczał, że będzie musiał wędrować znowu blisko trzy dni, albo i dłużej, bo cenny ładunek na plecach wydatnie opóźniał pochód, tymczasem już w drugim dniu wędrówki natknął się w lesie na Merglickiego i Bełskiego. Zaspokoiwszy w kilku zdaniach ich ciekawość,

zapytał, co oznacza ich obecność tutaj, czy partia rozpoczęła nareszcie zwycięski marsz?

„Owszem, owszem,“ odparł drwiąco Merglicki; „zwycięski marsz jest w pełnym toku, jeśli idzie o Moskali, ale my i tak szybciej od nich . . . uciekamy!“

„Nasza partia ucieka?!“ zdumiał się Dąbrowski.

„Nie cała, nie cała, tylko jej trzecia część.“

„A reszta?“

„Reszta odeszła, częściowo do nieba, częściowo do piekła.“

„Kolego, mówcie wy,“ zwrócił się Dąbrowski do Bełskiego, „bo ten szyderca Merglicki wyprowadzi mnie z równowagi. Co się stało?“

„Moskale wypłoszyli nas z leśniczówki i zmusili do stoczenia bitwy na skraju tamtejszego lasu,“ odparł Andrzej Bełski . . . „Ponieważ było ich cztery razy więcej i broń mieli świetną w porównaniu z naszą, straciliśmy dwie trzecie ludzi, a niedobitków rozproszonych po całej okolicy gromadzi teraz naczelny wódz“...

„. . .Imć pan Mierosławski, ‚archanioł rewolucji,‘ dyktator równie zdolny, jak strategik,“ dorzucił zjadliwie Merglicki.

Jakoż oddziałek „dyktatora“ po przegranej bitwie, lub raczej potyczce zmalał do jednej trzeciej części swej dawnej liczebności. Zapasy jedzenia przyniesione z Lipin mogły wystarczyć na długo. Przyjęto je z tym większą radością, że od opuszczenia leśniczówki nikt z niedobitków nie jadł żadnej strawy, „z braku surowców odpowiednich do sfabrykowania takowej,“ pokpiwał sobie Merglicki. Lipińska kiełbasa poprawiła humor Mierosławskiemu, który tuż nadszedł i zaprosił do swego ogniska dostawcę, aby mu osobiście przedstawił przebieg wyprawy do Lipin. Gdy jednak wyróżniony opowiedział mu wszystko, „dyktator“ skrzywił się lekko.

Opłakał śmierć swego adiutanta i przyjaciela, Gulicza, krótkim: „Szkoda go, lecz cóż, a la guerre comme a la guerre.“ Potem, chcąc grzecznie odprawić Dąbrowskiego, powiedział doń: „Przyślijcie mi, obywatelu, tego waszego kolegę, który — jak mi mówił obywatel Daniłowski — umie nadzwyczajnie przepowiadać przyszłość.“

Domyśliwszy się w lot, że Mierosławski ma na myśli Stasia, którego przeczucia rzeczywiście sprawdzały się bardzo często, Dąbrowski odparł ze smutkiem:

„Ten kolega nasz także poległ w Lipinach.“

„Poległ także?! Ach, to okropne, to fatalne!“ zawołał Mierosławski i zasypał Daniłowskiego wymówkami na temat, jak można było wysłać na niebezpieczną wyprawę człowieka, posiadającego tak „znakomite“ własności, tak „bezcenną“ zdolność odgadywania przyszłych wydarzeń. „Mając pod ręką takiego doradcę, byłbym był znał z góry wynik naszej onegdajszej bitwy, nie byłbym jej przyjął i oszczędzilibyśmy sobie dotkliwej porażki. Ach, w ogóle jakże inaczej potoczyłyby się wypadki przeszłe i przyszłe, gdybym mógł za każdym razem zasięgnąć rady takiego proroka, jakim pono był ten towarzysz!“

Rozgoryczony Mierosławski zrzędził tak przez dłuższą chwilę. Dąbrowskiemu przyszło na myśl, że naczelny wódz, liczący najwięcej na pomoc wróżbity, zamiast na własny geniusz i na dzielność swoich żołnierzy, jest bardzo kiepskim wodzem, żadnych zwycięstw odnosić nie będzie i rychło sam czmychnie.

Najbliższe zaraz dni potwierdziły słuszność tych pesymistycznych, ale uzasadnionych przewidywań młodego powstańca.

Zaczął się niby pomyślnie, gdyż główny oddział wojsk Mieleckiego natknął się dość przypadkowo na niedobitków „dyktatora.“ Zasiliła również jego szeregi garść narodowo uświadomionych włościan, uzbrojonych w kosy osadzone na sztorc. Mając dokoła siebie kilkuset ludzi, Mierosławski nie czekał na dalsze posiłki i, pragnąc jak najprędzej pomścić swoją porażkę pod Krzywosączem, nazbyt pochopnie wdał się w drugą bitwę, pod Nową Wsią, blisko jeziora Gopła, gdzie dnia 22 lutego 1863 roku Moskale ponownie zadali mu klęskę.

Na dobitkę, kiedy wśród tych, którzy uszli pogromu, wybuchły niesnaski i kiedy „Mielecczycy“ zaczęli obwiniać o porażkę „Mierosławczyków,“ a głównie „dyktatora,“ widząc, na co się zanosi, Mierosławski, zwaliwszy całą winę na „Rząd Narodowy,“ oznajmił, że wobec takiego stanu rzeczy on wraca, skąd przybył, tj. do Paryża.

Zaraz też najbliższej nocy z garstką swoich przyjaciół wyruszył w stronę granicy pruskiej, nie troszcząc się o nikogo. Gdy Dąbrowski po odejściu Mierosławskiego chciał przyłączyć się do Mielecczyków, ci odstraszyli go wyzwiskami i pogróżkami i kpinami:

„Idź za swoim ‚genialnym‘ dyktatorem. My was nie chcemy, wy tylko pecha przynosicie. Dopóki nie byliście z nami, nie przegraliśmy ani jednej potyczki.“

Na zachód uciekł Mierosławski z „Paryżanami,“ na południe odmaszerowali „Mielecczycy,“ na północ zawrócili włościanie do swoich wiosek, Daniłowski zawieruszył się nie wiadomo kiedy ani gdzie, a z jego partii liczącej przedtem czterdziestu ludzi pozostało zaledwie trzech: Józef Dąbrowski, Maciek Cholewa i Adolf Merglicki, bo i Andrzej Bełski pociągnął ze swoimi, z „Mielecczykami.“ Pozostali trzej studenci odbyli długą naradę nad tym, co dalej począć. Cholewa proponował zrazu, by szukali jakiejkolwiek innej partii powstańców, która by ich przygarnęła i wcieliła do swoich szeregów. Merglicki był temu przeciwny.

„Skoro sam Mierosławski, sam naczelny wódz uznał sprawę za przegraną, tylko skończeni głupcy mogą walczyć o nią nadal i ginąć bezpotrzebnie, zamiast służyć krajowi na innych polach. Wracajmy do Warszawy, żeby kontynuować przerwane studia.“

Tyle ważkich argumentów przytoczył na poparcie tych słów, że Dąbrowski i Cholewa nie oponowali. Tej samej nocy trzej ci niedobitkowie partii Daniłowskiego wyruszyli w powrotną drogę ku Warszawie.

ROZDZIAŁ IV

Przygoda w Warszawie

Po wędrówce jeszcze dłuższej niż ta, jaką przedtem odbywali w kierunku zachodnim pod wodzą Daniłowskiego, po niezliczonych przygodach, wśród których najsmutniejsze były „spotkania“ z powstańcami powieszonymi przez Rosjan, dotarli do Warszawy. Wyszli z niej około dwa miesiące temu syci, wyspani, zdrowi, radośni, pełni wiary w zwycięstwo nad najeźdźcą, a wrócili wygłodzeni, półprzytomni z bezsenności, chorzy, smutni, rozgoryczeni wszystkim, zwłaszcza zaś własnym i swoich kolegów niepotrzebnym szaleństwem, za jakie teraz uważali nieprzygotowane powstanie polskiej młodzieży przeciwko olbrzymiej potędze Moskali.

„Porwaliśmy się zaiste z motyką na słońce, a to przeklęte słońce sparzyło nas nader boleśnie,“ orzekł Adolf Merglicki.

„Przedstawiamy dziś obraz nędzy i rozpaczy, ale podobnie zmienił się na gorsze wygląd całego kraju i stolicy również,“ dodał Maciek Cholewa, natomiast Dąbrowski, któremu widok znajomych ulic Warszawy od razu dodał otuchy, powtórzył:

„A ja wam mówię, koledzy, że nie ma złego, które by na dobre nie wyszło. Przekonacie się niebawem.“

Odpocząwszy i odświeżywszy się po swym leśnym koczownictwie, odwiedzili przede wszystkim doktora Mianowskiego, rektora warszawskiej Szkoły Głównej. Znając prawość jego charakteru i gorący patriotyzm, bez najmniejszej obawy wyznali mu zaraz na wstępie, że brali czynny udział w powstaniu, dopóki ich oddziałek nie przestał istnieć.

„Tylko trzech was zostało?! To straszne, to okropne! I jakiż pożytek z tego ma nasza nieszczęśliwa Ojczyzna?! Żadnego, absolutnie żadnego pożytku nie widzę,“ biadał rektor Mianowski, załamując ręce. Lecz jego znana energia zaraz wzięła górę nad chwilowym przygnębieniem. „Skoro została was tak maleńka garsteczka, tym więcej o was dbać muszę i tym intensywniej wy uczyć się musicie, aby choć w części zastąpić Matce-Ojczyźnie jej poległych synów. . .“

„Będziemy się uczyli!“ przyrzekł uroczyście Dąbrowski, w imieniu własnym i w imieniu swoich dwóch kolegów. „I najserdeczniej dziękujemy, że pan rektor chce nas przyjąć z powrotem do uczelni.“

„Chcieć chcę oczywiście, tylko czym usprawiedliwić tak długą nieobecność waszą nawet wobec kolegów, wśród których może znaleźć się jakiś donosiciel, lub choćby gaduła?“

„Może by odpowiadać ciekawym, żeśmy chorowali?“ zaproponował Cholewa, lecz Merglicki zauważył:

„Podejrzanym się wyda, że myśmy razem zachorowali i razem znów wyzdrowieli.“

„Racja,“ przyznał Mianowski. „Musicie wracać na wykłady nie na raz, ale kolejno, w odstępach co najmniej dwu-tygodniowych, aby nie wzbudzić podejrzeń.“

Uznali tę radę za dobrą, niemniej jednak wyłonił się zaraz nowy problemat: Ten z nich, który niby to wyzdrowieje i zacznie uczęszczać na wykłady najpóźniej, straci w ogólnej sumie tyle czasu, że odrobić tego przed dorocznymi egzaminami już nie zdoła, czyli straci cały rok szkolny. Któryż z nich ma się tak poświęcić? Najzdolniejszy, czy raczej najmniej zdolny?

„Niechaj to los rozstrzygnie,“ postawił rektor.

Na małych karteczkach papieru napisał każdy swoje nazwisko, kartki zwinięto, wrzucono do kapelusza, potrząśnięto nim kilka razy tak, że nawet trzymający kapelusz Merglicki nie wiedział, która jest jego kartka i rektor, powiedziawszy, iż będą wracali do szkoły w tym porządku, w jakim on ich nazwiska wylosuje, zanurzył dłoń w kapeluszu.

„Dąbrowski pierwszy,“ rzekł, rozwinąwszy wyciągniętą kartkę. „Ty przyjdziesz na wykłady jutro, jak gdyby nigdy nic. Po tobie za dwa tygodnie zjawi się w szkole. . .“ znów wyjął kartkę z kapelusza, „zjawi się Merglicki“. . .

„Czyli ja przegrałem,“ ozwał się Cholewa. „Ano, wiadomo, że chłop nigdy nie ma szczęścia, gdy mierzy się z szlachtą, czy z mieszczanami,“ dodał pół-żartem, pół-serio. „Ale nie narzekam. Teraz zaczęła się wiosna, a z nią ciężka robota na roli. Pójdę pomagać rodzicom i zgłoszę się do uczelni aż na początek nowego roku szkolnego. Bywajcie, panie rektorze i wy kochani koledzy“. . .

Nazajutrz Dąbrowski zjawił się w szkole. Był tak wychudzony i zmizerowany, że nikt z profesorów ani uczniów nie wątpił w prawdziwość adnotacji rektora, iż student Józef Dąbrowski, przebywszy szczęśliwie ciężkie zapalenie płuc, pragnie kontynuować naukę i „zasługuje, jako rekonwalescent, na umiarkowaną pobłażliwość panów wykładowców i egzaminatorów.“ Dąbrowski nie potrzebował nawet kalać swych ust kłamstwem i wszystko układało się pomyślnie, dopóki nie wrócił na ławę szkolną drugi powstaniec.

Merglicki, zawsze silniejszy i tęższy od Dąbrowskiego, podtuczył się i wypasł przez te dwa tygodnie przymusowych wakacji w Warszawie tak, że ani trochę nie wyglądał na rekonwalescenta po długiej, ciężkiej chorobie. Narażało go to na złośliwe pytania wykładowców i kolegów. Odcinać się szyderczo i łgać w żywe oczy umiał pierwszorzędnie, lecz raz nie wytrzymał i dał do zrozumienia swoim najbliższym przyjaciołom, że wcale nie chorował, tylko przebywał hen za Warszawą.

„A gdzie, Adolf? Gdzie? A możeś ty brał udział w powstaniu?!“ zasypali go pytaniami.

Zląkł się, skwapliwie zaprzeczył, ale szybko zasmakował w aureoli

tajemniczości, dopytywań, domysłów, przypuszczeń, jakie między kolegami krążyły z ust do ust na jego temat. Podsycał je sam zręcznym słówkiem, które niby to wypsnęło mu się niechcący, aż wreszcie wyznał kilku kolegom w największym zaufaniu, pod słowem honoru, że był powstańcem, że walczył z Rosjanami nad Gopłem, że poznał osobiście nawet samego „dyktatora“ Mierosławskiego, o którego dzielności tutaj całe legendy krążyły, podobnie załgane, jak tyle innych legend wcześniejszych i późniejszych.

Pośród polskich przeżytków chyba najzabawniejszym jest to popularne słowo honoru. Zwłaszcza u młodzieży! Przeciętny młodzian polski, dawszy komuś uroczyste słowo honoru, że czegoś-tam nikomu nie powtórzy, może w tym postanowieniu wytrwać dzień, tydzień, miesiąc, niekiedy jeszcze dłużej, ale prędzej czy później wszystko wyśpiewa. Nie byle komu, rzecz prosta, tylko jakiemuś przyjacielowi lub koledze, do którego ma zaufanie i od którego również żąda słowa honoru, aby tajemnicy broń Boże nie wypaplał. To oczywiście jest świetną zachętą i dla tego drugiego, by jak najprędzej znaleźć nowego powiernika i także od niego słowo honoru odebrać. Ani pierwszy gaduła ani żaden następny nie uważa przy tym, iż złamał przyrzeczenie dyskrecji, to jest, „święte słowo honoru.“ Przeciwnie, każdy sądzi, że zrobił dobrze, stawiając na straży tajemnicy jeszcze jednego jej obrońcę, jeszcze jednego rycerza bez skazy, gentlemana z krwi i kości, który nikomu nic nie powie, dopóki nowego zapewnienia dyskrecji, nowego „słowa honoru“ nie „skolektuje.“

Dzięki takiemu „słowo-honorowemu,“ perpetuum mobile, wkrótce wszyscy wiedzieli — oczywiście pod słowem honoru! — że Merglicki brał czynny udział w powstaniu i Merglicki wyrósł nagle na bohatera. Pomimo ostrzegawczych spojrzeń Dąbrowskiego opowiadał o potyczkach, w których brał udział, mnożąc w nieskończoność ich liczbę, a zwłaszcza ilość wrogów, jakich własnoręcznie zakatrupił albo wziął do niewoli. Aż wreszcie zagalopował się w tych przechwałkach tak daleko, że któryś z mniej łatwowiernych kolegów powiedział mu wręcz:

„Łżesz! Bo to co mówisz, nie zgadza nawet się z tym, co gadałeś wczoraj!“

„Ja łżę?!“ zaperzył się dotknięty zarzutem tym blagier. „Więc spytajcie Dąbrowskiego, który był tam ze mną, boć służyliśmy razem!“

I tak oto wydało się w klasie, że Józef Dąbrowski także był powstańcem. Bardzo to podniosło jego autorytet i sławę pośród tych młodzieńców, ale równocześnie uzależniało go od ich dyskrecji, ogromnie wątpliwej, pomimo „słów honoru.“ Władze moskiewskie skrzętnie polowały na byłych uczestników dogasającego powstania, wyławiały ich z tłumu mieszkańców Warszawy przy pomocy przekupstw i nagród za wskazanie „buntowszczyków,“ a potem katowały i zsyłały na Sybir. Dąbrowski przez głupie gadulstwo samochwalcy Merglickiego stracił spokój. Budził się ze snu za lada szelestem, każdej chwili oczekiwał aresztowania i nawet nauka w takich warunkach szła mu jak z kamienia.

Tylko dzięki swej nadzwyczajnej wytrwałości, którą później miał zasłynąć szeroko, zdołał przygotować się do rocznego egzaminu tak, że zdał go całkiem dobrze. Odetchnął z ulgą, kiedy zaczynały się letnie ferie, gdy nagle właśnie w pierwszych ich dniach spotkała go przygoda, której omal nie przypłacił życiem i której wspomnienie wżarło mu się w pamięć na zawsze tak samo, jak wypadki owej strasznej nocy w Lipinach.

Zamierzając spędzić wakacje w Lublinie, u matki, Dąbrowski zmienił mieszkanie, ażeby nie płacić niepotrzebnie za jeszcze jeden miesiąc tam, gdzie był na stancji. Trzy dni ostatnie przed wyjazdem miał spędzić w gościnie u rodziców jednego ze swoich uczniów. Korepetycje stanowiły główne źródło jego dochodów. Przeniósł się tedy na nowe mieszkanie wraz ze swoimi dwoma tobołkami, zawierającymi cały jego skromny dobytek. Zapomniał jednak podać nowy adres na swoim dawnym mieszkaniu i udał się doń, aby to uczynić. Dotarłszy do bramy przystanął zaniepokojony, tuż za bramą bowiem ujrzał w sieni żołnierzy i żandarma. Żandarm rozmawiał w sieni ze stróżem i mówił właśnie:

„Wyprowadził się wczoraj, powiadacie? A dokąd?“

„Nie wiem, naprawdę, że nie wiem,“ odparł dozorca kamienicy.

„Nie próbuj nas oszukiwać!“ upomniał żandarm. „My mamy donos, że on tu mieszka, a jak ty go nie wskażesz, zabiorę ciebie!“

Chociaż w kamienicy tej mieszkało kolejno i równocześnie kilku byłych powstańców, Dąbrowski odgadł, że to o nim mowa i już rozpoczął szybki odwrót, gdy wtem dojrzała go z okna służąca sąsiadów tych państwa, u których mieszkał i zawołała:

„Czy to prawda, że pan odjeżdża, panie Dąbrowski?“

Na dźwięk jego nazwiska żandarm odwrócił się na pięcie.

„Mam cię, buntowszczyku!“ krzyknął żandarm.

Z wyciągniętą ręką ruszył w stronę odległego zaledwie o kilka kroków odeń studenta. Lecz ten nie czekał i rzucił się do ucieczki. Żandarm i żołnierze puścili się za nim w pogoń. Na szczęście uciekający znalazł sobie sojuszników, ludzie na ulicy czynili miejsce pędzącemu studentowi, a niby to niechcący włazili w drogę pościgowi. Żołnierze nie strzelali doń na razie, pewni że dostaną go do rąk żywcem.

Czując, iż słabnie, postanowił zbieg wpaść do bramy pierwszego lepszego domu, czy ogrodu, skulić się w najciemniejszym kącie, odpocząć i dopiero potem uciekać dalej. Lecz jakby na złość ulica, której prawym chodnikiem właśnie biegł, nie posiadała z tej strony żadnej bramy, żadnej furtki, tylko wysoki, długi mur, otaczający kompleks jakichś budynków.

„Jeżeli za najbliższym zakrętem ulicy ten przeklęty mur ciągnie się dalej, jestem zgubiony!“ myślał Dąbrowski z rozpaczą w sercu.

Dobywając resztek sił, dotarł do przecznicy, skręcił w nią w prawo i po kilkunastu krokach zobaczył furtkę, przez którą właśnie wychodził na ulicę jakiś starszy, nader poważnie wyglądający jegomość. Dą-

browski wepchnął go na powrót gwałtownym uderzeniem swojego korpusu, zatrzasnął furtkę, oparł się o nią plecami, bo ustać już nie mógł i wykrztusił zdyszanym głosem:

„Ścigają mnie. . .! Jeśliś . . . Polak . . . rrratuj!“

Zaskoczony tak jegomość ów natychmiast ochłonął ze zdumienia, złapał zbiega za rękę i pociągnął go za sobą w stronę najbliższego z budynków szpitalnych. Tam wpadł do pierwszego z brzegu pokoju. Znajdowały się w nim dwa łóżka.

„Kładź się tutaj!“ rozkazał nieznajomy Dąbrowskiemu, wskazawszy mu wolne łóżko. „W ubraniu, oczywiście w ubraniu i w butach! Nie słyszysz, jak się za tobą już dobijają?!“ Nakrywając tak niezwykłego pacjenta prześcieradłem od stóp do głowy, rzekł: „Gdy oni tu wejdą, staraj się nie sapać tak, jak teraz sapiesz. Oddychać szybko możesz, to nawet wypada choremu, mającemu silną gorączkę. Ale pamiętaj, nie sap.“

„Proszę pana,“ wyszeptał Dąbrowski, „a czy ten drugi tu obok . . . nie zdradzi?“

Zaszczuty, wyczerpany ucieczką eks-powstaniec miał na myśli pacjenta, którego sylwetkę podobnie okrytą prześcieradłem zauważył na drugim łóżku.

„Nie, on już nie może nikomu ani pomóc, ani zaszkodzić, gdyż od paru godzin już nie żyje,“ odparł lekarz, a zamykając za sobą drzwi dodał łagodniej: „Bądź spokojny, mój chłopcze.“

Dąbrowski wszakże bynajmniej nie był spokojnym. Znając zawziętość wrogów w tropieniu, ile razy udało im się wpaść na ślad powstańca, nie wierzył w skuteczność podstępu nieznajomego wybawcy, a z drugiej strony denerwowało go tak bliskie sąsiedztwo trupa.

Wzdrygał się cały, lecz ponieważ w tym napięciu nerwów nie potrafił odpędzić od siebie niedorzecznej myśli, że sąsiad-nieboszczyk ku niemu rękę wyciągnie, zaczął się modlić żarliwie i modlitwa przyniosła mu uspokojenie.

Za to dalekimi od spokoju ducha byli uczestnicy pościgu, kiedy wreszcie otworzono im furtkę.

„Dlaczego nie otworzono nam natychmiast?!“

„Nie wiem, nie jestem odźwiernym.“

„A kim wy jesteście, he?!“

„Naczelnym lekarzem szpitala. Jestem doktor Chałubiński.“

Nazwisko to było ogólnie znane i otoczone takim szacunkiem, że i żandarm i żołnierze od razu zmienili ton.

„Wybaczcie, nie wiedzieliśmy,“ rzekł najstarszy z nich rangą. „Ścigaliśmy buntowszczyka, który nagle zniknął nam z oczu. Do następnej ulicy dobiec nie mógł tak szybko, musiał wejść tędy.“

Doktor Chałubiński potrząsnął głową przecząco.

„Jakże mógłby wejść tędy, skoro furtka była zamknięta?“

„Racja, ale mógł on przez mur przeskoczyć.“

„Tak, to w zasadzie jest możliwe,“ przyznał lekarz.

„Wobec tego, panie doktorze, musimy zrobić rewizję szpitala.“

„Oczywiście. Proszę panów za mną.“

Rewizja trwała dość długo, a gdy przyszła kolej na pokój, w którym leżał Dąbrowski i jego niesamowity sąsiad, doktor Chałubiński się odezwał:

„W tej małej salce, do której teraz wejdziemy, radzę żadnych przedmiotów nie dotykać, chyba, że poddacie się zaraz potem dezynfekcji.“

„Dlaczego? Dlaczego?“

„Napis na drzwiach wam to objaśnia,“ brzmiała urzędowa odpowiedź.

Zacny lekarz, jeszcze zanim pobiegł furtkę w murze otworzyć pościgowi, zdjął z tych drzwi tabliczkę, jaka tu zawsze wisiała, a zawiesił inną, z groźnym napisem: „Choroby zakaźne. Tyfus. Wypadki najcięższe.“ Już te słowa wywarły na Moskalach duże wrażenie. Spotęgował je jeszcze konspiracyjny szept doktora Chałubińskiego:

„Tutaj trzymamy tych, których stan jest beznadziejny. Oczywiście nie wolno tego okazywać tym biedakom, przeciwnie, trzeba im dodawać otuchy, trzeba — co tu owijać w bawełnę — okłamywać ich aż do końca.“

Mówiąc to, równocześnie z wielką ostentacją naciągał na dłonie rękawice i otworzył drzwi na oścież.

„Pozwolą panowie do środka, do moich tyfusowców?“

„Nu, nie nado, nie nado, stąd dobrze wszystko widać,“ wymawiali się Moskale, nawzajem ustępując sobie przy drzwiach pierwszeństwa, z którego żaden nie chciał skorzystać.

Chałubiński wszedł więc sam, najpierw zbliżył się do łóżka, na którym leżał ów nieboszczyk, ujął go za puls, szybko schwycił się za głowę i odgarnął prześcieradło. Zbytecznie już pokazywał na migi, że ten pacjent nie żyje, gdyż Rosjanie dostrzegli to sami i cofnęli się jeszcze dalej od drzwi, a kilku z nich zdjęło czapki.

Korzystając z efektu, jaki widok zwłok wywołał, lekarz nie nakrył ich chwilowo, lecz odwrócił się w stronę drugiego łóżka i tak samo przez prześcieradło ujął przegub dłoni Dąbrowskiego, ściskając go raz po raz porozumiewawczo.

„Puls świetny, gorączka spadła wyraźnie, niebezpieczeństwo mija i jutro, mój przyjacielu, już chorować nie będziesz,“ mówił głośno, a równocześnie spojrzeniami dawał Moskalom do zrozumienia, że ten pacjent również już spogląda na księżą oborę. „Nie próbuj tylko rozmawiać ze swoim towarzyszem, gdyż on zasnął. Śpi bardzo głębokim snem, którego przerywać nie wolno, rozumiesz, mój przyjacielu? I bądź dobrej myśli. Jutro na pewno nie będziesz leżał tutaj. No, żegnam cię.“

Znów odwrócił się do tamtego łóżka, nakrył trupa, wyszedł z pokoju, lecz zanim drzwi zamknął, zwrócił się do żandarma, który we wszystkich salach szpitalnych pod wszystkie łóżka zaglądał:

„Czy pan zajrzy pod łóżka tam i policzy naczynia z uchem?“

Żandarm machnął tylko ręką, a Dąbrowski drgnął niespokojnie, lecz rewizja tego pokoju była skończona. Idąc do następnego budynku szpitala, żołnierze tłumaczyli sobie dwuznaczne zdania, jakie doktor Chałubiński wypowiedział przy łożu drugiego „tyfusowca.“

„O trupie mówił, że śpi głębokim snem. No jużci, że głębokim!“

„A tamten drugi widać ma umrzeć jeszcze tej nocy, skoro doń też mówił, że jutro już chorować nie będzie.“

„Wiadomo, kto umarł, ten już nie choruje.“

„A ja bym się domyślił, bywszy ciężko chory, gdyby mi lekarz nagle powiedział tak, jak ten: ‚jutro na pewno nie będziesz leżał tutaj‘.“

„Ech, ty Wańka, mądrego zawsze udajesz, a naczynia stojące pod łóżkami z żandarmem liczysz. Cóż ty myślisz, że chytry buntowszczyk schowałby ci się pod szpitalnym łóżkiem?“

„Jakieś mądrzejszy, to gadaj, gdzie on może być.“

„Przepraszam,“ wmieszał się do rozmowy doktor Chałubiński. „Czy obstawiliście z zewnątrz te cztery ulice, które otaczają szpital?“

„Nie, da i czasu nie było i za mało nas do tego. Wszyscy przecie wpadliśmy tu za buntowszczykiem.“

„Więc po co my tracimy czas!“ krzyknął lekarz, udając nagłe oburzenie. „Skoro zbieg jest takim gimnastykiem, że jak mówicie, wdarł się na mur od strony zewnętrznej, to tym łatwiej zrobił to od wewnątrz, gdzie tyle różnych rupieci do muru przytyka!“

„Tak doktór sądzi, że on stąd już uciekł?“

„Nie sądzę, ale jestem tego najzupełniej pewny! Ukrył się gdzieś tu na jednym z dziedzińców, lub tych małych ogródków, odpoczął po ucieczce, zaczekał, aż wy wejdziecie i znów przeskoczył za ogrodzenie, aby znaleźć się na wolności. Przecież każdy z nas na jego miejscu tak by postąpił!“

„Da, wied prawda. Tak czego pan nam tego wcześniej nie powiedział?“

„Ja nie jestem łapaczem zbiegów, tylko lekarzem! Zresztą, byłem święcie przekonany, że przed rozpoczęciem poszukiwań obsadziliście całą okolicę szpitala, jak uczynić należało . . . I teraz przez was ja tyle czasu zmarnowałem, tyle czasu!“ narzekał.

Pomimo to musiał poświęcić jeszcze godzinę na towarzyszenie żołnierzom i żandarmom, którzy — zapewne ze względu na swoich przełożonych — uparli się kontynuować rewizję szpitala aż do końca. Oczywiście nie znaleźli poszukiwanego „buntowszczyka,“ i przyjęli hipotezę dra Chałubińskiego, że zbieg wymknął się stąd. „Na wszelki wypadek“ wystawili — aż do dalszego rozporządzenia swoich zwierzchnich władz — dwa posterunki; jeden przy głównej bramie szpitala, drugi na jego tyłach, przy owej furtce, przy której Józef Dąbrowski zawarł dziś tak nieoczekiwanie znajomość z zacnym lekarzem, doktorem Chałubińskim.

Już choćby z tego powodu Dąbrowski musiał chwilowo pozostać w szpitalu; nie był na tyle dobrym gimnastykiem, aby ryzykować w ciemnościach opuszczanie się z tak wysokiego muru na ulicę, a tymbardziej skok. Za tym, aby nie zmieniać miejsca pobytu, przemawiały także inne względy.

„Nie możesz stąd się ruszać,“ rzekł do niego doktor Chałubiński, poleciwszy służbie szpitalnej wynieść drugiego „tyfusowca,“ tego zmarłego, do kostnicy. „Złapaliby cię i naraziłbyś całą rodzinę na najgorsze następstwa. Ty musisz wyjechać za granicę. Wkrótce może dostarczę ci po temu jaką okazję.“

ROZDZIAŁ V

Ucieczka za granicę

Jedna z byłych pacjentek doktora Chałubińskiego, pani Anna Kopczyńska, właścicielka kilku domów czynszowych w Warszawie odziedziczyła jeszcze w roku 1853 po swojej owdowiałej i bezdzietnej siostrze duży majątek ziemski koło Poznania, czyli „pod zaborem pruskim.“ Od dziesięciu lat wyjeżdżała tam w czerwcu i wracała we wrześniu, lecz dr. Chałubiński wierzył, iż w tym roku namówi ją do ponownego wyjazdu w tym celu, aby w charakterze i w stroju nibyto swoich służących mogła bezpiecznie wywieźć za granicę kilku poszukiwanych przez Moskali eks-powstańców polskich, w ich liczbie i Józefa Dąbrowskiego.

Plan ten w zasadzie był dobry, lecz jego wykonanie musiało ulec odroczeniu, gdyż pani Kopczyńska tym razem nie wróciła do Warszawy we wrześniu, ani nawet w październiku, lecz w listopadzie. Powodem tej zwłoki były — jak okazało się później — krążące w Poznańskim fantastyczne pogłoski o rzekomo strasznych stosunkach bezpieczeństwa „pod zaborem rosyjskim,“ o napadach dokonywanych na podróżnych przez zaszczutych, wygłodzonych i do rozpaczy doprowadzonych niedobitków powstania i tym podobne bajki. Potem, jakby dla odmiany, Moskale puścili w obieg plotkę, że powstanie dawno już stłumili doszczętnie i że w „przywiślańskim kraju“ znów panuje wzorowy spokój i ład.

Wobec tego władze pruskie wreszcie dozwoliły na wyjazd „swojej Rittergutsbesitzerin“, pani Annie Kopczyńskiej, która jednak przeziębiła się w drodze i przybyła do Warszawy dopiero w listopadzie poważnie chora. Pomimo to, gdy tylko dowiedziała się od dra. Chałubińskiego, czego on od niej oczekiwał, ofiarowała się wyruszyć znów w drogę do Poznańskiego, choćby natychmiast, aby jak najprędzej przemycić zagrożonych tutaj byłych powstańców.

„Nie zawiodłem się na pani,“ rzekł wzruszony dr. Chałubiński, „ale jako lekarz nie mogę stanowczo pozwolić pani na odbycie tej uciążliwej zimą podróży, dopóki pani nie wyzdrowieje całkowicie.“

Tak więc nastąpiła nowa zwłoka, lecz właśnie dzięki niej Dąbrowski zdążył skomunikować się ze swoją matką i otrzymać w liście jej błogosławieństwo. Kupiec z Lublina jadący w sprawach handlowych do Warszawy przywiózł mu ów list, a wraz z nim trochę pieniędzy i kilka złotych drobiazgów, w których Dąbrowski poznał stare pamiątki rodzinne. Matka była do nich bardzo przywiązana, nie sprzedała ich nawet wówczas, gdy bieda dokuczyła jej najdotkliwej, ale teraz rozstała się z nimi dobrowolnie, byle przez to dopomóc pierworodnemu synowi do wyjazdu za granicę.

„Ja tych naszych pamiątek rodzinnych także nie sprzedam nigdy, choćbym cierpiał najgorszą nędzę!“ postanowił Dąbrowski, czytając z łzami wzruszenia pożegnalny list „najlepszej z matek“, jak ją zwał w myślach.

Już w pierwszych dniach stycznia 1864 roku stan zdrowia pani Anny Kopczyńskiej uległ tak znacznej poprawie, że lekarz pozwolił jej na odbycie zamierzonej podróży. Miało z nią jechać — oprócz starego, zaufanego stangreta — trzech byłych powstańców; dwóch w charakterze lokajów, a trzeci jako woźnica drugich sań, przeznaczonych na bagaż, mający upozorować konieczność tej podróży. Pani Kopczyńska, rozdając szczodrze łapówki i napiwki, wystarała się szybko o przepustki na zmyślone nazwiska swoich trzech nowych rzekomych służących, ale w przededniu odjazdu nastąpił nieprzewidziany wypadek. Patrolujący na ulicach żandarmi zatrzymali jako wyglądającego im podejrzanie tego eks-powstańca, który miał grać rolę woźnicy w drugich saniach, a kiedy ów rzucił się do ucieczki, postrzelili go i ranili ciężko, tak iż nieborak po kilku godzinach cierpień zmarł w szpitalu.

Smutną tę wiadomość przyniósł dr. Chałubiński i pod jego przewodnictwem odbyła się ostatnia narada w mieszkaniu pani Kopczyńskiej. Uchwalili zgodnie, że daty wyjazdu absolutnie przesuwać już nie można i nastąpi on nieodwołalnie jutro skoro świt. Ponieważ jednak ani Dąbrowski, ani drugi rzekomy lokaj, niejaki Obidowicz, nie umieli obchodzić się z końmi i uprzężą na tyle, aby ich „amatorstwo“ nie podpadło podejrzeniom różnych zawodowych furmanów na postojach, należało w miejsce zabitego wziąć zwyczajnego woźnicę.

„Albo jakiegoś innego powstańca,“ rzekł dr. Chałubiński, „i ja za tym głosuję, bo grzechem byłoby nie skorzystać ze sposobności wywiezienia w bezpieczne miejsce jeszcze jednego z tych nieszczęśników, tak bardzo zagrożonych, tak bezlitośnie tępionych tutaj.“

„Słusznie, doktorze,“ zgodziła się pani Kopczyńska, „ale kogo mam wziąć na tę trzecią przepustkę? Oprócz tego biedaka, który dzisiaj zginął i prócz panów Dąbrowskiego i Obidowicza nie znam osobiście innych powstańców.“

„Ja ich znam sporo, lecz tych, co ukrywają się w mieście nie odnajdę do jutra, a z tych, którzy leżą u mnie w szpitalu, żaden nie jest jeszcze na tyle zdrowy i silny, aby mógł tę ciężką podróż zimową już jutro rozpocząć.“

„A może panowie,“ — tu pani Kopczyńska zwróciła się do Dąbrowskiego i Obidowicza — „znacie adres jakiegoś towarzysza broni, który też pragnie wydostać się za granicę i choć jako tako z końmi obchodzić się umie?“

„Owszem, znam takiego,“ odparł Dąbrowski; „skoro więc pani chce swoje szlachetne ryzyko powiększyć o jedną osobę, pójdę natychmiast by...“

„Nie, nie!“ wtrącił żywo dr. Chałubiński. „Na takich młodych jak ty jest dzisiaj znowu uliczna obława, jak o tym świadczy tragiczna śmierć waszego niedoszłego towarzysza podróży. Jak się nazywa człowiek, którego polecasz?“

„Adolf Merglicki."
„Ja pójdę do niego. Gdzie on mieszka?"
„Nie pamiętam już, jak brzmi ten adres..."
„Masz tobie, nie pamięta! Jakże go więc odnajdziemy?"
„Nie pamiętam numeru domu, lecz trafię tam z pewnością."
„Daleko to stąd?"
„O, tak! Merglicki mieszka na drugim końcu miasta."
„Wobec tego pojedziemy tam razem powozem."

Pojechali. Chociaż zmrok już zapadał, Dąbrowski nieomylnie poznał starą ruderę, w której oficynie mieszkał Merglicki. Nie odpowiedział on na kilkakrotne pukanie, ponieważ jednak w izbie się świeciło i drzwi były tylko przymknięte, pchnęli je i weszli. Merglicki spał siedząc, z głową opartą na ramieniu swej prawej ręki, która leżała na stole, dotykając brudnymi palcami szklanki, pustej podobnie, jak obok stojąca butelka bez żadnej nalepki. Dr. Chałubiński z ciekawości, czy z lekarskiego nawyku ujął tę flaszkę, dotknął nosem wylotu jej szyjki i pokręcił głową.

„Czy on tak upijał się często?" spytał cicho.

„Nie. Pierwszy raz widzę," odparł Dąbrowski, wstydząc się za swego kolegę, za jego niechlujny wygląd, za trudny do opisania nieład i brud panujący w tej izbie. „Przykro mi," wybąkał, „że... że..."

„Drobiazg," wtrącił lekarz. „Skoro to nie jest, jak powiadasz, nałogowy pijak... skoro, jak wolno z jego wyglądu wnioskować, ten młody człowiek upił się z rozpaczy, to zmiana środowiska, podróż, pobyt za granicą, uleczą jego smutki. Panie Dąbrowski, wybrałeś sobie na towarzysza podróży człowieka, który tego najbardziej potrzebował i który powinien ci być całe życie wdzięcznym za ten wybór."

Dr. Chałubiński mówił co raz głośniej, ale Merglicki spał twardo nadal. Dopiero gdy zaczęli tarmosić go za ramię, ocknął się, spojrzał na nich zrazu mętnym, nieprzytomnym wzrokiem, potem wpił spojrzenie w twarz Dąbrowskiego, poznał go wreszcie, wrzasnął przeraźliwie i zerwał się na równe nogi tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedział dotychczas, runęło na podłogę z łoskotem.

„To nie ja... To nie ja... To nie ja..." powtarzał w kółko początek jakiegoś zdania, które urywało się po tym „ja" i którego dalszego ciągu nie śmiał, czy nie mógł wykrztusić, a w jego oczach malował się dobitnie zwierzęcy strach. „Okłamano cię... To nie ja..."

Dąbrowski, ochłonąwszy z wielkiego zdumienia, zwrócił się do lekarza:

„On zapewne śnił jakiś okropny sen i jest jeszcze pod wpływem tych wspomnień, prawda, panie doktorze?"

„Hm, może tak, ale raczej nie," mruknął dr. Chałubiński, po czym spojrzał na Merglickiego badawczo, przenikliwie. „Czy pan zna mego towarzysza?"

„Czy znam? Tttak, to jest nnnie, choć... A dlaczego pan o to pyta? I jakim prawem? I kim pan jest właściwie?!"

„Radzę zniżyć głos i odpowiadać uprzejmiej, bo od tego może zależeć pana ocalenie, zrozumiano?!" upomniał go lekarz cicho, lecz bardzo stanowczo.

„Może zależeć moje ocalenie?“ powtórzył pytająco Merglicki i żywy błysk nadziei zamigotał w jego przerażonych oczach. „No, to proszę pytać.“

„Ponawiam pytanie, czy pan zna młodzieńca, który ze mną przyszedł.“

„Tttak, znam,“ brzmiała niepewna, ostrożna odpowiedź.

„Czy on panu wyrządził lub kiedykolwiek chciał wyrządzić jaką krzywdę?“ indagował dalej dr. Chałubiński.

„Nic mi o tym nie wiadomo.“

„Czemuż więc przeraził się pan tak bardzo na jego widok?“

„Czemu się przeraziłem?“

„Czy pan powtarza pytania dlatego, by zyskać na czasie do namysłu?“

„Ależ nie, nie, tylko... przedtem piłem dość dużo i teraz myśli nie mogę zebrać dość szybko... Przestraszyłem się, nie przeczę, bo nie widziałem pańskiego towarzysza bardzo dawno, chyba z pół roku...“

„To prawda,“ wtrącił Dąbrowski.

„I mówił mi ktoś ze znajomych,“ ciągnął dalej Merglicki już co raz pewniej i śmielej, „że jego zabito. Prawdziwość tej pogłoski zdawał się potwierdzać fakt, że nigdyśmy się nigdzie nie spotkali, choć szukałem... choć bywałem przypadkowo,“ poprawił się skwapliwie, w tych samych miejscach, w których dawniej widywałem go często.“

„Rzeczywiście, nie pokazywałem się tam zupełnie,“ przyznał znów Dąbrowski, pragnąc — przez wrodzoną dobroć — pomóc Merglickiemu w tłumaczeniu się przed doktorem, który miał prawo być zdumionym, a nawet zgorszonym jego początkowym zachowaniem się. „Nie dziwię się więc, Adolfie twojemu przestrachowi. Na mój widok pomyślałeś sobie zapewne, że widzisz chyba mojego ducha, skoro ja uchodziłem wśród was za zabitego, prawda?“

„Właśnie to miałem zamiar powiedzieć,“ rzekł Merglicki i znowu czupurniej zwrócił się do lekarza. „Czyż tedy mój przestrach nie był całkowicie usprawiedliwiony?!“

„A co znaczyły słowa: ‚To nie ja, okłamano cię, to nie ja‘?“

„Czyż tak mówiłem? Jeśli tak, to chyba tylko pod wpływem okropnego snu, za którego ciąg dalszy uważałem pierwsze minuty, czy sekundy po przebudzeniu. Nie pamiętam już, co wtedy zabełkotałem i ów sen zaciera mi się w pamięci również; wiem tylko, że byłem mocno zaspany i że nadal jestem śpiący... och, jaki śpiący!“

Jakby dla potwierdzenia tych słów, Merglicki zaczął ziewać od ucha do ucha, co dobrodusznego Dąbrowskiego przekonało do reszty o prawdomówności i uczciwości dawnego kolegi. Dr. Chałubiński jednak pozostał sceptykiem w tej sprawie.

„On coś ukrywa, on coś ma na sumieniu i w ogóle ten twój towarzysz nie wzbudził we mnie ani krzty zaufania do swego charakteru,“ powiedział później w cztery oczy Dąbrowskiemu, lecz na razie przyjął wyjaśnienia Merglickiego za wystarczające i zapytał go zwięźle: „Chce pan wyjechać za granicę?!“

„Któż by nie chciał!“ westchnął rudowłosy. „Marzy o tym każdy

z nas, pędzących tu żywot bezbronnych zajęcy w okresie polowań, ale te marzenia..."

„Mogą się spełnić jutro, jeśli idzie o pana," wtrącił lekarz. „O ile tedy pan chce już jutro rano być w drodze ku granicy, którą dzięki przepustce wystawionej na inne nazwisko przekroczy pan bez żadnych trudności, proszę spakować swoje manatki natychmiast i jechać z nami."

Merglicki nic zrazu nie odrzekł, gdyż jego radosne zdumienie niezmiernie szybko ustąpiło miejsca nieufności i lękowi przed jakąś zasadzką.

„Zaskoczyła mnie niespodziewana propozycja panów," odezwał się wreszcie, „jak również ich nagła troskliwość o moje bezpieczeństwo. I ten pospiech, ten pospiech, że już jutro rano... Przyznają panowie sami, że wszystko to wygląda na pierwszy rzut oka, jak... pułapka, lub prowokacja, czy inna podobna podrywka, a stare polskie przysłowie mówi: strzeżonego Pan Bóg strzeże, prawda?!"

„Całkiem słusznie," przyznał dr. Chałubiński, „lecz znam również inne nasze przysłowie: sądzę ciebie według siebie. Pan, panie Merglicki, bardzo lubi, jak mi się zdaje, oceniać cudze intencje własną miarą. Niechże zatem pan pędzi tu nadal żywot zająca w porze łowów, a z wolnej przepustki i możliwości bezpiecznego wyjazdu za granicę skorzysta jaki inny eks-powstaniec. No, chodźmy, panie Dąbrowski; twój kandydat woli tu zostać, nie marnujmy więc czasu."

Lekarz ruszył w stronę drzwi, lecz Dąbrowski podbiegł do Merglickiego i zaczął go prosić gorąco, aby lekkomyślnie tak świetnej okazji do wyjazdu nie zaprzepaścił, aby nie żywił krzywdzących podejrzeń do dwojga najzacniejszych patriotów, którzy powstańcom ułatwiają ucieczkę stąd i aby nie zwlekał, bo wszystko już jest przygotowane do podróży, która musi rozpocząć się jutro o świcie, gdyż nowe jej odroczenie mogłoby wzbudzić nieufność władz rosyjskich, itd. itd. Nie tyle jednak te słowa, ile uczciwe spojrzenia szczerych, niezdolnych do fałszu czy obłudy oczu dawnego kolegi uspokoiły obawy Merglickiego. Tylko przez nadmiar ostrożności zażądał jeszcze, aby Dąbrowski mu przysiągł, iż mówi prawdę i w żadną pułapkę wciągnąć go nie zamierza.

„Jak możesz posądzać mnie o to!"

„Nie będę cię o nic posądzał, jeśli przysięgniesz."

„Dobrze więc. Zaklinam się na wszystko, co mi święte, że powiedziałem najszczerszą prawdę i że pragnę twojego ocalenia, a nie zguby!" powiedział Dąbrowski tonem uroczystym, patrząc prosto w oczy rudowłosemu. „Pamiętaj również, iż ja także wyjeżdżam za granicę tą samą okazją, zatem będę dzielił z tobą całe ryzyko i wszelkie niebezpieczeństwa."

Merglicki przekonany już zupełnie, od razu poweselał i w ciągu paru minut spakował swoje manatki. Tobołek z nimi zarzucił sobie na plecy. „Możemy jechać!" zawołał radośnie, lecz w drzwich zatrzymał go lekarz.

„Czy pan tu za mieszkanie nic gospodarzom nie jest winien?" spytał.

„Oczywiście, że tak, ale nie mam pieniędzy.“

„Ureguluję więc to za pana, gdyż byłoby nieuczciwością narazić tych ludzi na stratę. Niech pan napisze na kawałku papieru: Otrzymawszy niepokojącą wiadomość od rodziny... powiedzmy... na Wołyniu, wyjeżdżam tam natychmiast i bardzo żałuję, że nie mam już czasu pożegnać się z Wami. Należność za mieszkanie zostawiam obok. Z serdecznym pozdrowieniem... i podpis.“

Dowiedziawszy się, ile owa należność wynosi, dr. Chałubiński położył odnośną sumkę pieniędzy obok listu, jaki Merglicki pod jego dyktatem napisał. Potem wyszli. Najpierw lekarz, aby zbadać, czy jego ładny powóz nie wzbudził w tej biednej dzielnicy zaciekawienia, czy nie zwabił gapiów lub, co gorsza, jakiego stójkowego. Gdy gwizdnął na znak, że wszystko w porządku, dwaj młodzieńcy wyszli z sieni oficyn na ciemny dziedziniec, ale Merglicki przypomniał sobie zaraz, że w swojej izbie świecy nie zgasił. Popędził tam z powrotem, zostawiwszy swój tłumok towarzyszowi, ów zaś, bynajmniej nie z ciekawości, lecz tylko machinalnie lub pod wpływem jakiegoś przeczucia, odwrócił się w stronę tego jedynego w oficynach okna, które jeszcze nie było całkiem ciemne. Dojrzał tam po chwili Merglickiego i jego dłoń drapieżnie wyciągającą się ku pieniądzom pozostawionym przez doktora, lecz sekundę później świeca zgasła.

„Ukradł te pieniądze?! Nie, nie, z pewnością w ostatniej chwili oparł się szpetnej pokusie,“ pomyślał Dąbrowski, idąc w stronę powozu.

Chociaż jednak starał się usilnie wmówić w siebie, że Merglicki nic nieuczciwego nie popełniłby nigdy z pewnością, chociaż sądził go według siebie, epizod ten pozostawił mu dziwny niesmak i na rudowłosego towarzysza rzucił nieładny cień. A później takich cieni miało być więcej!

Słońce dopiero wschodziło nazajutrz, gdy opuszczali Warszawę. Przewidując, iż nie ujrzy jej już nigdy w życiu, Dąbrowski czułymi spojrzeniami żegnał piękne zabytki stolicy Polski, a kiedy sanie wydostały się poza miejskie rogatki, oglądał się wstecz raz po raz, dopóki jeszcze widać było wieże kościołów warszawskich, ponad zbitą masę gmachów, domów i domeczków dumnie wystrzelając ku niebu.

Niebo! To słowo ma w polskiej mowie dwa znaczenia, nie posiadamy bowiem, jak n.p. Amerykanie osobnego określenia na „sky“ i osobnego na „heaven“. Nasz język uchodzi zawsze za uboższy od angielskiego, lecz w tym jednym wypadku nie mamy powodu narzekać na to ubóstwo. Przeciwnie, niezliczoną ilość razy dusze Polaków uniknęły grzechu, lub utrwaliły się w cnocie, albo przyspieszyły swój pochód na drodze dobra ku jego Źródłu przedwiecznemu, ku Stwórcy, właśnie przez to, że nazwa tej będącej naszym optycznym złudzeniem błękitnej misy, po której przesuwają się obłoki, przywodzi im na myśl inne niebo, to prawdziwe, w którym Pan Bóg króluje.

I tak też było z Józefem Dąbrowskim w ów styczniowy poranek roku 1864, kiedy stolicę Polski opuszczał na zawsze. Obejmując pożegnalnymi spojrzeniami to, co najdłużej odjeżdżającym wskazywało miejsce, gdzie leży Warszawa, czyli wysmukłe wieże kościołów, widział

je z daleka na tle nieba, potem tylko już samo tło niebieskie pozostało i ono pociągnęło myśli młodego studenta ku niebiosom. Pobiegły ku tej krainie umysłem ludzkim nie pojętej, w której kiedyś... kiedyś... spotkają się dusze wszystkich sprawiedliwych, aby od Najsprawiedliwszego Sędziego otrzymać obiecaną nagrodę bezcenną: zbawienie i wiekuiste szczęście.

„Tam, gdy umrę, spotkam mego ojca, który zmarł w Żółtańcach... tam obydwaj radośnie powitamy mateńkę, która powinna mnie przeżyć tutaj, aby wychować i strzec przed złym losem moje młodsze rodzeństwo,“ rozmyślał, zapatrzony w obłoki tylko wzrokiem, ale myślą dalej sięgając. „Tam mój kochany przyjaciel Staś połączył się już zapewne ze swoją matką, która w tak przedziwny sposób wyjawiała mu przyszłe wypadki...“

Wspomnienie muzykalnego Stasia i jego tragicznej śmierci pchnęło myśli Dąbrowskiego ku zagadce, którą już raz próbował rozwiązać. W ową straszną noc w Lipinach, gdy jego trzej towarzysze bohatersko walczyli z wielokrotnie silniejszym wrogiem, on, Dąbrowski, pragnął im pospieszyć z pomocą, pragnął tego wbrew nadziei i wierze, iż zdołałby ocalić ich czy siebie, czyli pragnął zginąć wraz z nimi. Chciał wydostać się ze swej kryjówki, lecz nie zdołał, chociaż palce pokaleczył sobie do krwi i paznokcie połamał, a kiedy wrogowie odeszli, odnalazł dźwignię prostego mechanizmu i bez trudności mógł opuścić ów schowek. Dlaczego ta kryjówka stała się dlań pułapką na kilka godzin, dlaczego uwięziła go na czas trwania niebezpieczeństwa i ocaliła go przez to?

„Widocznie Opatrzność chciała mnie zachować przy życiu,“ przypuszczał już wówczas w Lipinach, gdy stał nad zwłokami trzech zabitych kolegów.

Potem Opatrzność czuwała nad nim również. Zwłaszcza w krwawej bitwie pod Nową Wsią, gdzie oddział Daniłowskiego, liczący przedtem 40-tu ludzi stopniał przerażająco do 4-ch niedobitków, wliczając w to i przywódcę. Opatrzność czuwała nad nim dobrotliwie, kiedy samotrzeć przekradał się w stronę Warszawy przez powiaty, w których rządził najsroższy teror, przez wsi, w których srożył się chłopski samosąd. Opatrzność czuwała nad nim także w Warszawie. Gdyby był wtedy podczas swoich wakacji, gdy zmienił adres, udał się do swojego starego mieszkania o minutę wcześniej lub później, byłby wpadł nieuchronnie w szpony wysłanego po niego żandarma. A kiedy przed nim i całą czeredą żołnierzy uciekał na oślep, znów Opatrzność skierowała jego kroki w stronę szpitala, w którym znalazł bezpieczne schronisko na tyle miesięcy. I to również, że tylna furtka w ogrodzeniu szpitala nie była zamknięta jak zawsze, że właśnie w tym momencie zachciało się wyjść przez nią zacnemu doktorowi Chałubińskiemu, czyż także nie było przedziwnym zrządzeniem niebios?!

Ech, to prosty przypadek, zwyczajny zbieg okoliczności, — mógłby rzec niedowiarek albo tak zwany trzeźwy realista.

Ha, zapewne, że gdy coś niezmiernie pomyślnego wydarzy się nieoczekiwanie raz na kilkanaście lat, można to nazywać przypadkiem,

jeśli komuś dogadza szczególnie to wierzenie, iż ślepy los kieruje kolejami jego życia. Lecz Józefa Dąbrowskiego w ciągu niespełna roku spotkało tak wiele nieoczekiwanych wydarzeń, którym zawsze zawdzięczał ocalenie życia, iż przypadkami nie śmiałby ich nazwać nawet katolik o wiele mniej wierzący od niego. On zaś był człowiekiem głęboko wierzącym zawsze, a pod wpływem wstrząsających przeżyć swoich z roku 1863 stał się czasowo skłonnym nawet do egzaltacji. Dlatego w dniu, w którym rozpoczął podróż za granicę powtórzył znowu, jak ongi w Lipinach:

„Może Bóg ocalił mnie dlatego, abym Mu służył w jakiś specjalny sposób? Nie tak, jak zwykli bogobojni ludzie, ale tak, jak Mu służą wybrani, jak eremici, zakonnicy, kapłani?“

I dodał po chwili:

„Ach, uczyniłbym to jak najchętniej! Słyszałem jednak, że aby zostać księdzem, trzeba mieć do tego specjalne powołanie. Czyż ja je posiadam? Ba, musiałbym pierw wiedzieć, na czym ono polega i jak się objawia. Muszę o to zapytać jakiego kapłana, na razie zaś będę uważnie obserwował siebie, aby zbadać, czym godzien takiego zaszczytu. I będę nadsłuchiwał bacznie głosu swego sumienia, bo może właśnie ten głos jest zwiastunem powołania do stanu duchownego.“

Rozmyślania te trwały z małymi przerwami od wyjazdu z Warszawy aż do chwili przekroczenia granicy pruskiej i pogłębiły się w tym czasie bardzo wydatnie. Chociaż podróż trwała zaledwie kilkanaście dni, Dąbrowski w ciągu tego czasu stał się umysłowo dojrzalszym o kilkanaście lat. Ciągłe i nader badawcze wpatrywanie się we własną duszę, w serce, w sumienie pozwoliło mu całkowicie zapomnieć o zewnętrznym świecie. Gdy przy spotkaniach z kozackimi patrolami, kontrolującymi przepustki podróżnych, Merglicki kurczył się i dygotał z przerażenia, Dąbrowski zachowywał się jeszcze spokojniej niż flegmatyczna i doskonale opanowana ich dobrodziejka, pani Anna Kopczyńska. Kilka razy był tak zamyślony, że dopiero podczas noclegu w jakimś domie zajezdnym czy karczmie przydrożnej dowiadywał się od Merglickiego, że tego dnia rozkopywali zaspy śnieżne, albo że „fujara“ Obidowicz omal nie spowodował aresztowania ich wszystkich. Dla Dąbrowskiego od wyjazdu z Warszawy istniał tylko jeden problem, przysłaniający mu bez reszty wszystko:

„Jak się objawia powołanie do stanu duchownego?“

Nie przeczuwał jeszcze zacny młodzieniaszek, że objawiało mu się ono już teraz, że objawiało się właśnie ową skłonnością do kontemplacji, ową zdumiewającą w jego wieku i w jego obecnym położeniu, gdy niebezpieczeństwa czyhały zewsząd i gotowość do ich odpierania powinna była być napięta do maksimum ... ową zdumiewającą łatwością, z jaką odrywał się od zewnętrznego świata, z jaką zapominał o jego istnieniu, wpatrzony wyłącznie we własne sumienie, we własną duszę.

Jeszcze kilka lat miało upłynąć, zanim to zrozumiał. Jeszcze kilka par butów miał zedrzeć w męczących wędrówkach na piechotę i wielu rozmaitych robót próbować i doznać wielu rozczarowań, zanim upewnił

się w swoim czułym sumieniu, że wolno mu pójść do seminarium duchownego, że to jedyna dlań droga i że on, choć nie przyznawał sobie w swej chrześcijańskiej skromności prawa do tego zaszczytu, godzien jest dostojnych szat liturgicznych kapłana katolickiego.

Chociaż jednak Józef Dąbrowski rozpoczął naukę w seminarium dopiero w listopadzie roku 1866, zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, iż pierwszy promyk tej wielkiej łaski Boskiej, którą zwiemy powołaniem do stanu duchownego, padł na jego czystą duszę jeszcze w Polsce, jeszcze wówczas, gdy dogorywało przesmutne powstanie styczniowe.

ROZDZIAŁ VI

Gruba niewdzięczność

Dotarłszy szczęśliwie do majątku ziemskiego pani Anny Kopczyńskiej, odpoczywali tam wygnańcy nasi przez kilka dni po trudach podróży. Pobyt w pięknym dworze niezmiernie dogadzał obu towarzyszom Dąbrowskiego, on jednak powtarzał im wciąż, że nie powinni nadużywać łaskawości pani Kopczyńskiej, która już i tak zrobiła dla nich wiele dobrego i powinni zaraz wyruszyć w dalszą drogę. Kiedy perswazje te nie odnosiły skutku, Dąbrowski zdecydował się postawić gruboskórnych towarzyszy wobec faktu dokonanego i sam oznajmił pani domu, że jutro wyruszają w dalszą drogę. Merglicki i Obidowicz chcieli zaprotestować, ale zanim otworzyli usta, ich kolega już z wielkim impetem zaczął wygłaszać mówkę pożegnalną, w której imieniem ich trzech dziękował pani Kopczyńskiej za ocalenie i za staropolską gościnność, której prosta przyzwoitość nie dozwala im nadużywać i pobytu w tym dworze przedłużać, wobec czego odejdą stąd jutro. Tak, muszą odejść jutro, aby jak najwcześniej zabrać się znów do nauki i pracy, aby odrobić stracony rok.

„Przekonały mnie te ostatnie słowa,“ odparła pani Kopczyńska, rozpoczynając z kolei swoje przemówienie. „To prawda, że straciliście rok i musicie go odrobić. Gdybyście mi tego nie przypomnieli, byłabym usilnie nalegała, abyście pozostali u mnie co najmniej do wiosny. Teraz zatrzymywać was nie będę. Idźcie, drodzy chłopcy, dokąd głos obowiązku was woła i Bóg niech wam błogosławi.“

Za to nie błogosławili Dąbrowskiego dwaj jego wygodni towarzysze, oj, nie! Już w czasie jego pożegnalnej mówki piorunowali go spojrzeniami, potem — gdy pani Kopczyńska wyszła z jadalni do kuchni, aby wydać jakieś dyspozycje w związku z jutrzejszym odjazdem gości — spadła na projektodawcę ulewa wymówek, a nawet wyzwisk, wreszcie — kiedy już opuścili gościnny dwór — każda niewygoda, każdy trud i wszelkie choćby najdrobniejsze niepowodzenia służyły Merglickiemu i Obidowiczowi za pretekst do przykrego dokuczania koledze. Zaczynało się to zawsze od słów: „Gdyby nie ty, siedzielibyśmy sobie teraz u poczciwej Kopczyńskiej, jak u Pana Boga za piecem. Tyś winien wszystkiemu, ty egoisto!“

Dąbrowski tylko raz wdał się w dyskusję na ten temat, aby przekonać ich, że on miał rację, a nie oni. Kiedy jednak już nazajutrz znowu zaczęli z tej samej beczki, znów jęli przypisywać jemu swój własny brzydki egoizm, machnął ręką z rezygnacją i raz na zawsze przestał odpowiadać na ich bezsensowne zarzuty. Ponieważ ich gadul-

stwo, narzekanie i hałaśliwe kłótnie o byle co przeszkadzały mu w kontemplacji, oddał się głównie obserwacjom tego, co widział.

Wędrowali przez Niemcy. Kraj ten od czasów Napoleona Bonapartego nie widział żadnego najeźdźcy u siebie, ani wojny na swoim terytorium nie zaznał i od przeszło 50-ciu lat zażywał dobrodziejstw pokoju, podczas gdy Polska skrwawiła się niemal cała w wojnie z lat 1830-1831, zapoczątkowanej powstaniem listopadowym, a teraz znów od roku była terenem zaciekłych walk, lub raczej była placem jednej wielkiej rzezi. Dalej, Polska od roku 1772 częściowo, a od 1795 w całości znajdowała się pod jarzmem trzech zaborców, którzy traktowali zrabowane jej ziemie jak kolonie zamorskie, eksploatując je bezwstydnie i wysyłając do nich dla prowadzenia tej rabunkowej gospodarki najgorsze szumowiny swego urzędniczego stanu. Przeciwnie, krainy niemieckie administrowane przez swoich, przez Niemców, miały wszelkie szanse pomyślnego rozwoju; co więcej, ich władcy opiekowali się nimi z przesadną czułością i nie cisnęli ich podatkami, aby mieszkańcy tych krain nie ciążyli ku mówiącym tym samym językiem Habsburgom, którzy panowali w Austro-Węgrzech, ale zawsze rościli sobie pretensje do władztwa nad wszystkimi ludami niemieckimi.

Z tych i z innych powodów kraje niemieckie, przez które wędrował Dąbrowski ze swymi dwoma towarzyszami, wydawały się mu — w porównaniu z ubogą i wyniszczoną wojnami Polską — ziemią miodem i mlekiem płynącą. Na każdym kroku spotykali trzej przybysze to, czego w swej biednej Ojczyźnie nie widzieli nigdy, lub widzieli w stopniu daleko mniejszym, a rzucała się im w oczy zamożność tubylców, dobrobyt, porządek, czystość, a przede wszystkim organizacja wszystkich przejawów życia codziennego, organizacja bliska wyidealizowanej doskonałości. Czyniła ona życie jednostek szarym, bezbarwnym, nudnym, ale była gwarancją najwspanialszego rozwoju dla gmin, miast, cechów, szkół, dla rolnictwa, handlu, przemysłu, dla wojska i dla państwa.

Spostrzeżenia jakie czynili co krok, wywoływały u każdego z trzech młodych wędrówców inne jeszcze refleksje.

„U nas też byłoby tak samo,“ twierdził Dąbrowski, „gdyby Polska odzyskała niepodległość i miała spokój od sąsiadów choćby przez lat dwadzieścia.“

„Choćby zażywała pokoju przez sto lat...“ zaprzeczał Merglicki, „zawsze w niej będzie nieporządek, nędza i brud. Polacy nie potrafią nigdy doprowadzić najmniejszego warsztatu pracy do takiego ładu i rozkwitu jak Niemcy, więc nic dziwnego, że nie potrafią kierować swoim państwem.“

„Zapomniałeś, widzę, Adolfie, jak wzorowo prowadzone są polskie majątki ziemskie i chłopskie gospodarstwa i sklepy i warsztaty rzemieślników w Poznańskim!“

„Nie zapomniałem, Józefie, lecz pamiętam również o tym, że Poznańskie od dawna nie jest częścią Polski, tylko prowincją pruską! Stąd płyną dwa wnioski, niby różne, za to jednakowe niepochlebne dla Polaków.“

„Jakie, mianowicie?“

„Że albo to wszystko, co podziwialiśmy w Poznańskim jest wyłączną zasługą Prusaków...“

„Nic podobnego!“ wtrącił oburzony Dąbrowski.

„...albo,“ ciągnął dalej Merglicki, „wyjątkowa gospodarność Poznańczyków jest dowodem, że Polak potrafi dorównać nawet Niemcom, ale tylko wtedy, gdy ma nad sobą bat cudzoziemca, gdy jest niewolnikiem!“

„Mówisz tak, jak gdybyś nie miał w żyłach ani kropli polskiej krwi.“

„Kto wie, możeś zgadł,“ bąknął Merglicki, uśmiechając się zagadkowo; zanim jednak zdumiony tą odpowiedzią Dąbrowski zdążył go spytać o bliższe szczegóły tej „sensacji,“ wygłosił swoje „credo“ Obidowicz, który dotychczas nie brał udziału w ich dyskusji:

„Polacy nie posiadają niemieckiej karności, wytrwałości w pracy, systematyczności, zmysłu organizacyjnego i zamiłowania do porządku, lecz są zdolniejsi, bardziej utalentowani i odznaczają się wieloma zaletami, których Niemcom absolutnie brak. Myślę więc sobie, że gdyby Polacy żenili się wyłącznie z Niemkami, a Niemcy z Polkami, ich potomstwo miałoby obu tych narodów zalety...“

„Raczej wady,“ wtrącił Józef Dąbrowski. Czytałem bowiem w niejednej książce, że prawie żadnych cnót, a za to bezlik wad i najgorszych instynktów zdradzają mulaci, metysi i w ogóle wszelcy mieszańcy...“

„Mieszańcy,“ przerwał mu nawzajem Obidowicz; „mieszańcy dwóch różnych ras, na przykład białej i czarnej, lub białej i żółtej albo wreszcie żółtej i czarnej. Natomiast Polacy i Niemcy należą do tej samej białej rasy!“

„Zamiast spierać się w dziedzinie teorii, zróbcie eksperyment praktyczny, czyli pożeńcie się z Niemkami. Ja osobiście jestem pewny, że wasze potomstwo stanie się zaczątkiem nowego narodu, najbardziej idealnego na świecie!“

Adolf Merglicki powiedział to drwiąco, lecz Obidowicz uznał jego kpiny za potwierdzenie swej hipotezy, za przyjacielską zachętę do wykonania zamiaru, z jakim on nosił się od chwili przekroczenia granicy „prusko-rosyjskiej.“

„Ano, zrobimy eksperyment już wkrótce,“ mruknął.

Nie brali tej „pogróżki“ serio ani przez chwilę, tymczasem już na drugi dzień po przybyciu do Frankfurtu nad Odrą oświadczył im Obidowicz stanowczo:

„Podoba mi się to miasto, osiedlę się w nim na stałe, a jeśli wy, koledzy, pozostaniecie tutaj choćby z miesiąc, poproszę was na drużbów.“

„Cooo?!“

„Żenisz się?“

„Tak nagle?!“

„Z kim?!“ zasypali go pytaniami. „No gadaj, z kim?“

„Tego jeszcze nie wiem, ale urodziwych niewiast widziałem dziś na ulicach tyle, że mam w czym wybierać.“

„Ważniejsze to,“ żgnął go szyderstwem Merglicki, „czy która z nich zechce wybrać sobie na męża obcego, nieznanego włóczykija, biednego jak mysz kościelna studenta, w dodatku z taką głupią fizjognomią!“

„Tak sądzisz?“ warknął urażony Obidowicz. „No, a ja sądzę, że największą dla mnie przeszkodą w znalezieniu tu żony byłoby towarzystwo kolegi z tak judaszowsko złodziejską gębą, jaką ty masz, Adolfie. A ponieważ sprzykrzyło mi się także słuchanie morałów i kazań Dąbrowskiego, odłączę się dziś od was obu... na zawsze.“

Zrobił, jak powiedział i na cztery tygodnie stracili go z oczu zupełnie. Zresztą, skoro pogardził ich towarzystwem, nie wypadało im szukać za nim, aby mu się narzucać, a przede wszystkim nie mieli na to czasu. Pracowali bowiem w drukarni, zarabiając w ten sposób na swoje utrzymanie, pracowali ciężko nawet w niedziele i święta. Tylko ich dwóch zmuszał do tego właściciel drukarni, wykorzystując szpetnie ich lęk przed tym, aby władze pruskie nie wydały ich Rosjanom. Że takie właśnie obawy żywili, domyślił się łatwo; byli przecież Polakami, młodymi studentami, opuścili swój kraj, kiedy tam dogasało nieszczęsne powstanie, czyli z pewnością brali w nim udział i uciekli za granicę, aby ocalić życie.

Domyśliwszy się tego wszystkiego bez trudu, Herr Joachim Stiebel postanowił wyeksploatować dwóch młodych „Polaczków“ do maksimum. Płacił im tylko tyle ile oni musieli wydawać na swoje najskromniejsze utrzymanie, za to odznaczał się ogromną szczodrością w przydzielaniu im zajęć. Rozpoczynali je od sprzątania w jego biurach, musieli więc przychodzić do pracy najwcześniej ze wszystkich robotników i urzędników, a wychodzili wieczór ostatni. W drukarni dźwigali ciężkie pliki papieru i jeszcze cięższy metal, pomagali wykwalifikowanym drukarzom, a co niedzielę — zamknięci na klucz, dopóki późnym wieczorem Stiebel nie przyszedł ich wypuścić — rozdzielali po odpowiednich przegródkach czcionki, aby drukarze mogli nowe składanie rozpocząć zaraz od rana w poniedziałek.

Kiedy w pierwszą niedzielę takiego aresztu zaprotestowali przeciw temu postępowaniu chlebodawcy, Herr Stiebel udał wielkie zdziwienie.

„Ja to czynię tylko dla waszego dobra, dla waszego bezpieczeństwa!“ rzekł, kładąc nacisk na ostatnim słowie. „Wy chyba nie wiecie o tym, że nasze władze miejskie najchętniej w niedziele i święta robią obławy na włóczęgów i na niepożądanych cudzoziemców, a już zwłaszcza na tych z Rosji! W moim przedsiębiorstwie zaś nikt was szukać nie będzie, gdyż ja cieszę się jak najlepszą opinją w mieście, poza tym jestem starym przyjacielem pana burmistrza. Krótko mówiąc, nic wam tutaj nie grozi tylko tak długo, jak długo pracujecie u mnie i jak długo jesteście ze mną w zgodzie!“

Joachim Stiebel znał zresztą brutalniejsze sposoby szantażu i młodzieńcy dali się nastraszyć; postanowili znosić cierpliwie wyzysk i tyranię swego frankfurtskiego chlebodawcy, dopóki się nie ociepli na

tyle, że noclegi pod gołym niebem nie będą przykre, by potem opuścić go mogli nagle, bez pożegnania i ruszyć w dalszą drogę.

Dąbrowski zastrzegł sobie tylko to, by mógł co niedzielę doskoczyć do katolickiego kościoła na najwcześniejszą mszę świętą. Gdy tę koncesję uzyskał, z reszty swobód zrezygnował tym chętniej, że chciał w ciągu bądź co bądź niedługiego postoju w Frankfurcie zapoznać się możliwie jak najbliżej z kunsztem drukarskim. Marzyło mu się bowiem wydawanie kiedyś w przyszłości różnych podręczników szkolnych, a nawet gazety... dla podniesienia oświaty wśród ludu. Nie zwierzał się z tych marzeń kpiarzowi Merglickiemu, by nie narazić się na jego szyderstwa. Gdy jednak w niedzielę pozostawali w drukarni sami, Dąbrowski starał się jak najprędzej wykonać swoją część roboty, a potem próbował naśladować podpatrzoną pracę zawodowych drukarzy, próbował składać czcionki w słowa i w całe zdania. Pierwsze z tych samodzielnie złożonych zdań nastręczyło mu trudność nie do pokonania albowiem żadna z kaszt tej niemieckiej drukarni nie posiadała takich liter polskich, jak „ę“ albo „ł“. Dlatego w pierwszym zdaniu, jakie Dąbrowski własnoręcznie wydrukował, wyraz „zginęła“ musiał brzmieć: „zginela“, zato odstępy między wyrazami były bez zarzutu, a litery gotyckie, o wiele ozdobniejsze od zwykłych, łacińskich, bardzo foremnie utworzyły napis: JESZCZE POLSKA NIE ZGINELA!

Pierwszy ten wyczyn zachęcił Dąbrowskiego do dalszych prób, na co raz większą skalę i w czwartą niedzielę młody adept sztuki drukarskiej, ukończywszy zleconą mu przez Stiebla robotę, zdążył jeszcze złożyć całą modlitwę „Ojcze Nasz“ i to w dwóch językach, po polsku i po niemiecku. Ukończywszy to dzieło, wpatrywał się w nie z zadowolenie, bo nie żałował przy nim ani trudu, ani najbardziej ozdobnych esów-floresów, jakie znalazł w kasztach, gdy wtem ktoś klepnął go mocno w ramię. Odwrócił głowę i zdrętwiał; tuż za nim stał Joachim Stiebel, który wyjątkowo wcześniej wrócił tej niedzieli do drukarni, aby snadź sprawdzić, co dwaj młodzi Polacy robią w czasie jego nieobecności. Jeśli idzie o Merglickiego, to ów spał aż miło od godziny, lecz Dąbrowski...

„Jak śmiesz psuć moje najdroższe czcionki?! Za ich uszkodzenie będę ci strącał z pensji przez cały rok!“

Takiego powitania był Dąbrowski najzupełniej pewny, tymczasem gruby Joachim milczał długo, na jego twarzy malowało się zdumienie, a w jego małych oczkach piwnego koloru migotały jakieś chytre ogniki.

„Tyś to sam złożył ?!“

„Ja sam, mój towarzysz nic o tym nie wiedział,“ odparł Dąbrowski, pragnąc całą winę wziąć na siebie i uchronić Adolfa przed spodziewaną karą.

„Jak długoś to składał?“ dopytywał dalej Stiebel.

„Nie wiem dokładnie. Skończyłem robotę, jaką mi pan naznaczył późno po południu, a potem... dla zabicia czasu... wziąłem się do tego. Ale ja zaraz to rozsypię i czcionki powkładam do właściwych przegródek kaszty.“

Oczywiście sporo czasu upłynęło, zanim Dąbrowski zdołał te odpowiedzi wyjąkać swoją łamaną niemczyzną, tu i ówdzie sztukowaną wyrazami polskimi z niemiecką końcówką. Lecz Joachim Stiebel był dziś wyjątkowo cierpliwy.

„Mówisz po niemiecku tak, że od słuchania tego brzuch boli", powiedział wreszcie. „Pomimo to jednak w niemieckim tekście złożonej przez ciebie Modlitwy Pańskiej nie widzę ani jednego błędu! Jak to wytłumaczysz?"

„Tak, proszę pana, że znalazłem na półce starą książeczkę do nabożeństwa, o tę tutaj. I z niej właśnie wziąłem niemiecki tekst."

„A dobór czcionków, ozdób, układ i tak dalej, to twojego pomysłu?"

„Tak, proszę pana, to przecież nic trudnego."

„Nic trudnego?!" żachnał się Joachim, ale zreflektował się jeszcze szybciej, iż nie leży w jego interesie wbijanie w dumę tego utalentowanego młodzika. „Oczywiście, że to nic trudnego, jeśli ktoś nie jest takim leniem, jak twój towarzysz, ale przeciwnie, przygląda się uważnie pracy moich znakomitych drukarzy. Od jutra będziesz pracował wraz z nimi, żeby nabrać wprawy, a skoro jej nabędziesz spotka cię zaszczyt nielada! Tobie powierzę składanie nowej książki do nabożeństwa, rozumiesz?!"

„Polskiej?" ucieszył się Dąbrowski, lecz radość jego zgasła rychło.

„Zwariowałeś?! Któż by to kupował?! Niemieckiej, oczywiście, niemieckiej! Rozsyp czcionki tekstu polskiego, nasz tekst zostaw, obudź swego towarzysza, tego typowo polskiego lenia i idźcie spać. A tu, masz na piwo."

Następny tydzień dał Dąbrowskiemu moc zadowolenia, lecz również trochę zgryzot. Te ostatnie zawdzięczał wyłącznie Merglickiemu, który — snadź sądząc bliźniego swego według siebie samego — przypuszczał, że Dąbrowski swój nagły awans w drukarni, lepszą robotę, lepszą pensję i lepsze traktowanie zawdzięcza jakimś swoim intrygom, czy donosom, a przede wszystkim zgrabnemu „przylizaniu się" chlebodawcy. Tak rozumując i chcąc spróbować tej metody, Merglicki zaczął Stieblowi prawić komplementy i dowodzić, że on, Adolf Merglicki nie ma w swych żyłach ani kropli polskiej krwi, że pochodzi z rodziny niemieckiej, która w Polsce osiadła.

„Gdyby mi to mówił twój kolega, uwierzyłbym chętnie," odparł mu na to Joachim Stiebel; „bo Dąbrowski swoją uczciwością, sumiennością i pracowitością w zupełności dorównuje nam, Niemcom. Za to ty, Merglicki, z twoim zamiłowaniem do lenistwa i z twymi złodziejskimi czy fałszywymi oczyma, stanowisz dla mnie klasyczny typ Polaka, czy innego słowiańskiego barbarzyńcy."

Takie i gorsze obelgi Merglicki stale „chował do kieszeni," przyjmował je bez protestu, ba, z lizusowskim uśmiechem, ku zgorszeniu Dąbrowskiego, który zawsze odważnie występował w obronie wszystkiego, co polskie.

„Odejdę od pana natychmiast, jeżeli pan jeszcze raz wyrazi się tak szpetnie o Polakach!" oświadczył stanowczo Stieblowi, gdy ów w środę

nawymyślał Merglickiemu od „polskich brudasów“ i „polskich darmozjadów.“

Widocznie Stieblowi zależało na Dąbrowskim, skoro uląkł się jego pogróżki i od razu przestał obrzucać wyzwiskami Merglickiego, lecz ten ostatni, zamiast być za to wdzięcznym swemu koledze, dokuczał mu nadal i raz po raz „lizusem“ go nazywał.

W piątek po południu wezwano Dąbrowskiego i Merglickiego do kancelarii właściciela drukarni. Joachim Stiebel przyjął ich łaskawie, jak nigdy dotychczas i powiedział, że na dzisiaj zwalnia ich z roboty.

„Idźcie natychmiast do domu, umyć się, odświeżyć i wyelegantować na ostatni guzik, gdyż będziecie dziś na wystawnej kolacji u niebyle kogo,“ rzekł, uśmiechając się tajemniczo. „Więcej nie mogę wam powiedzieć, gdyż ma to być niespodzianka dla was. Tylko nie pijcie za wiele, abyście nie zaspali i stawili się jutro do roboty o zwykłej porze.“

„Po tylu tygodniach podłego żarcia, perspektywa wystawnej kolacji jest pokusą, której oprzeć się nie zamierzamy bynajmniej,“ odparł Merglicki, uprzedzając Dąbrowskiego w odpowiedzi. „Ale dokąd mamy pójść, względnie pod jakim adresem należy tej kolacji szukać?“

„Pojedziecie tam wytwornym powozikiem, którego stangret zgłosi się do waszej kwatery za... och, już za godzinę! Spieszcie się więc, chłopcy i pamiętajcie, żebyście się jutro do roboty nie spóźnili. No, wesołej zabawy!“

Popędzili do domu, głowiąc się daremnie nad rozwiązaniem tej zagadki, bo poza Stieblem i jego robotnikami nie znali przecież w Frankfurcie nikogo. Jeszcze nie ukończyli swej odświętnej tualety, gdy przed skromny domek, w którym zajmowali najgorszą izbę na poddaszu, zajechał powozik zaprzągnięty w parę ognistych rumaków. Jadąc tym pięknym ekwipażem „w nieznane,“ próbowali dowiedzieć się czegoś od wąsatego stagreta w liberii, lecz ów wybąkał tylko jakieś niemieckie nazwisko, nic a nic im nie mówiąc i znów pogrążył się w milczeniu. Przeciąwszy centrum miasta, powozik skręcił do dzielnicy rezydencyjnej i wreszcie zatrzymał się przed stojącą na uboczu willą, tak dużą, że wyglądała na pałacyk albo na tak zwany „Jagdschloss,“ myśliwski zameczek.

„Zagadka wyjaśni się za chwilkę,“ rzekł zaintrygowany do maksimum Merglicki, pierwszy spiesząc ku drzwiom przedsionka.

W przedsionku wyszedł im naprzeciw lokaj, który odebrał od nich kapelusze i płaszcze, mierząc je krytycznym spojrzeniem, a na przybyłych patrząc nieomal z pogardą. Trochę grzeczniej, ale też bez entuzjazmu przyjęła ich niebrzydka pokojówka, która wnet zluzowała lokaja, wprowadziła ich do wielkiego salonu i oznajmiła im, że pani zaraz zejdzie.

„Pani? Jaka pani? Nic nie rozumiem,“ zamruczał Dąbrowski. „A ta służba tutejsza niezbyt jest miła.“

„Byle kolacja była dobra i obfita,“ dorzucił Merglicki, „nie dbam zupełnie ani o służbę, ani o tę jakąś tajemniczą panią.“

Zmienił jednak zdanie, kiedy gospodyni weszła do salonu. Nie była ona tak piękna i młoda, jak na przykład hrabianka Irena z Lipin, ale na brak urody uskarżać się nie mogła stanowczo. Wysoka, dość pulchna, jasnowłosa pani Emma Schneider stanowiła typ Niemki, lecz jej ciemne oczy, wdzięk, żywość usposobienia i niezmordowana zalotność świadczyły o silnej domieszce krwi francuskiej lub włoskiej w jej żyłach. Jakimiś silnymi perfumami pachniała tak mocno, że Dąbrowski omal nie kichnął, kiedy podała mu rękę, a potem zagapił się na jej strój, całkiem mu nieznanego kroju i na jej kosztowną biżuterię. Miała tych różnych świecidełek takie mnóstwo, że pomyślał z humorem: „Ona chyba z pół sklepu jubilerskiego na sobie dźwiga.“ Tymczasem pani Emma, usiadłszy półleżąco na kanapie, poprosiła gości, by także usiedli i zaczęła rozmowę od pogody itp. banałów, aż nagle:

„Który z panów nazywa się Dąbrowski?“ spytała.

„Ja,“ odparł Józef, dziwiąc się w duchu, skąd ona zna jego nazwisko, boć nie dosłyszała go z pewnością, kiedy się przedstawiali przy akompaniamencie jej ciągłego szczebiotu.

„Ach, to pan. Słyszałam tyle dobrego o panu, tyle dobrego...!“

„O mnie?! Czy można wiedzieć, od kogo?“

„Oczywiście, że można. Od mojego narzeczonego.“

„Narzeczonego?“ Merglicki ujął jej dłoń i wskazał jeden z jej licznych pierścionków. „Ten wygląda jak ślubna obrączka, więc sądziłem, że pani jest mężatką,“ powiedział, przytrzymując jej dłoń nadal.

„Byłam nią, lecz owdowiałam kilka lat temu,“ odparła tak lekko, jakby mówiła: „miałam grzebyk, ale gdzieś mi się zaniewieruszył.“ Musiało jej to jednak samej przyjść na myśl, gdyż nagle westchnęła rozdzierająco; „Gdy mój nieodżałowany małżonek, świętej pamięci Wilhelm rozstał się z tym światem, postanowiłam dochować mu wierności aż do mojego zgonu, lecz cóż; interesy, kłopoty, to nie na moją słabą niewieścią główkę. Dlatego zdecydowałam się wyjść za mąż ponownie.“

„Domyślam się,“ zaczął po chwili Dąbrowski, wciąż jeszcze nie zorientowany w sytuacji, „że pani narzeczonym jest nasz chlebodawca pan Stiebel.“

„Ktooo? Stiebel?! Joachim Stiebel, ten drukarz?!“

Powiedziawszy to jednym tchem, urodziwa pani Emma wybuchnęła homeryckim śmiechem i śmiała się długo, och za długo. Potem, złożywszy dłonie niby to błagalnie, zwróciła się do Merglickiego:

„Drogi panie, czy i pan jest tak okrutny, jak jego towarzysz? Czy i pan chciałby mnie wydać za mąż za takiego starego grubasa, jak Stiebel?!“

„Pani i Stiebel? To idiotyczny pomysł!“ rzekł Merglicki, gromiąc wzrokiem Dąbrowskiego. Ten zaś, sądząc, iż popełnił jakiś nietakt towarzyski, wybąkał zmieszany:

„Bardzo panią przepraszam. Ponieważ jednak oprócz pana Stiebla nie znam tu nikogo i ponieważ pani powiedziała, że zna mnie z opo-

wiadania swojego narzeczonego, przypuszczałem, iż pani narzeczonym jest pan Stiebel.“

„Byłby nim, gdybym ja była biedna. Lecz kobieta tak zamożna, jak ja, dzięki spadkowi po pierwszym mym mężu, kobieta zaledwie trzydziestoletnia i — pochlebiam sobie — niebrzydka... taka kobieta, gdy decyduje się wyjść za mąż ponownie, to tylko za człowieka młodego i przystojnego...“

„Czy takiego, jak ja?“ wtrącił Merglicki, posyłając jej najbardziej zabójcze spojrzenie warszawskiego donżuana... z przedmieścia.

„Owszem, takiego. Pan jest nawet przystojniejszy, niż mój narzeczony,“ odparła uśmiechając się doń zalotnie; „za to on ma tytuł, jest baronem!“

„Przyznaje więc pani, że jestem przystojniejszy od pana barona? A ja znów muszę stwierdzić, że nigdy w życiu nie spotkałem kobiety piękniejszej od pani, słowo daję! Ani nie widziałem u żadnej tak cudnych rąk,“ deklamował podniecony Merglicki i pod pretekstem, że chce obejrzeć linię życia i szczęścia na jej dłoniach, przysiadł się do nadobnej Emmy, ujął jej dłonie i zaczął je niby to oglądać, a w rzeczywistości głaskać, dotykać, ściskać.

Udając, że umie wróżyć z ręki, plótł co mu ślina na język przyniosła, mówiąc na przemian półgłosem i szeptem na ucho. Pani Emma zadowolona chichotała kokieteryjnie i tak flirtowali sobie w najlepsze, nie troszcząc się o to, że trzecia osoba milczy i nudzi się zapewne.

Dąbrowski jednak nie nudził się bynajmniej, przeciwnie, myślał bardzo intensywnie nad tym, jak tu najdelikatniej wyjaśnić pani domu, że zaszło jakieś głupie nieporozumienie, że ich obu zaproszono tu całkiem omyłkowo, zamiast prawdziwych przyjaciół owego pana barona. „Tak musiało być, boć ja żadnego barona nigdy nie znałem osobiście i nie znam.“ Niby słusznie rozumował, ale żadne rozumowanie tej zagadki mu nie rozwiązywało, skąd ów baron zna jego! „A może on zna jakiegoś mojego imiennika? Dąbrowskich jest przecież na kopy!“

Wtem rozległ się turkot bryczki zajeżdżającej przed willę, potem odgłos szybkich kroków w przedsionku. Pani Emma przezornie odsunęła się od Merglickiego, zanim jeszcze w drzwiach stanęła pokojówka, która zameldowała:

„Pan baron Obidowicz.“

Dąbrowski i Merglicki byliby może parsknęli śmiechem, ale rzekomy baron wszedł do salonu tuż za pokojówką i przede wszystkim posłał im spojrzenie porozumiewawcze i proszące o dyskrecję „w imię męskiej solidarności,“ jak to im powiedział nieco później. Bardziej zresztą niż to spojrzenie odebrał im mowę zmieniony wygląd kolegi, jeszcze pięć tygodni temu zaniedbanego biedaka, a teraz pana całą gębą i eleganta, jakby wyciętego z żurnalu mód.

Rad z wrażenia, jakie wywołał, Obidowicz rzucił po polsku półgłosem: „Witajcie, wszystko wam zaraz wyjaśnię,“ potem przeszedł na język niemiecki gęsto upstrzony wyrazami francuskimi, (specjalność pani Emmy), podbiegł do narzeczonej i zaczął ją witać najczulej, jakby

po bardzo długim niewidzeniu. „Widziałem ją wczoraj, ale ona to lubi,“ wtrącił znów po polsku, a potem jął żartować z siebie: „Chciałem wam zrobić niespodziankę i ukartowałem wszystko z Emmą i ze Stieblem, tymczasem los wypłatał mi figla takiego, że wy przybyliście tu wcześniej ode mnie. Nie obgadywaliście mnie jednak zbytnio, co?“ dopytywał niby żartem, ale de facto ze strachem.

„W ogóle nie było mowy o tobie,“ odparł szybko Dąbrowski, widząc, iż Merglicki już wykrzywia swe wąskie usta, co wróżyło nieomylnie jakąś złośliwość.

Obidowicz znał również tę skłonność Merglickiego do szyderstw, ale znał także najlepsze na nią lekarstwo: wino. Nie żałował go Merglickiemu, dzięki czemu ani przy objedzie, ani po nim przy rozmowie do żadnych aluzji na temat fałszywego baronostwa nie doszło. Zresztą Obidowicz tylko panią Emmę dopuszczał do głosu, a najchętniej gadał sam, choć dawniej był niemal mrukiem. Wyjaśnił kolegom, że jest administratorem wszystkich nieruchomości swej narzeczonej, ta zaś nie mogła się go dosyć nachwalić, bo podobno w ciągu paru tygodni uporządkował te jej interesy, z którymi jego poprzednik nie umiał sobie dać rady w ciągu dwóch lat.

„Świadczy to,“ rzekł Dąbrowski, „że Polak także może być świetnym organizatorem i administratorem.“

„Ba, każdy to potrafi dla takiej nagrody, jak ponętna pani Emma i jej ogromny majątek,“ wymamrotał podpity już nieźle Merglicki.

Ale cała zawiść buchnęła z niego dopiero nazajutrz w drukarni, gdy przez swe roztargnienie upuścił i rozsypał gotowy skład jakiejś pilnej roboty drukarskiej i gdy za to Joachim Stiebel trzepnął go w kark kilka razy.

„Dąbrowski, widziałeś, co mnie spotkało?“ zaczął, gdy jedli razem obiad.

„Uderzył cię, widziałem. Czy boli cię bardzo?“ współczuł mu Dąbrowski.

„Mnie tylko to boli, że ja tu haruję jak niewolnik, że muszę żreć ochłapy, a taki idiota jak Obidowicz opływa we wszystko! I popisuje się tym przed nami! I chce tu w poniedziałek przyjść z narzeczoną, żeby nas jeszcze bardziej zawstydzić, upokorzyć! Nie, ja tego nie zniosę! Uciekniemy stąd dzisiaj, rozumiesz? Dzisiaj!“

„Mieliśmy zostać we Frankfurcie co najmniej do końca wiosny,“ przypomniał mu Dąbrowski. „Jestem w tym zainteresowany tym bardziej, że nareszcie zacząłem się uczyć prawdziwego drukarstwa i...“

„To mnie nic nie obchodzi!“ przerwał mu Merglicki. „Powiedziałem ci, że dłużej tu nie wytrzymam i dziś w nocy wyruszamy w stronę Lipska.“

„Hm, wierz mi, drogi Adolfie, że pragnąłbym nie rozłączać się z tobą, lecz skoro ty chcesz stanowczo wyruszyć w drogę już dzisiaj, to idź sam, a za dwa lub trzy miesiące spotkamy się znowu w Lipsku.“

„Nie pójdę bez ciebie. Jeśli tutaj zostaniesz, ja zostanę także, lecz na ciebie spadnie odpowiedzialność za to, co się stanie!“

„A co się ma stać? Co ty zamierzasz?“

„Przede wszystkim otworzyć oczy pięknej Emmie. Powiedzieć jej, że Obidowicz był nie raz baranem, ale nigdy baronem! A jeśli mi się uda wysadzić go z siodła, spróbuję zająć jego miejsce. I zajmę je z pewnością! Czyż Emma nie powiedziała wczoraj sama, że jestem o wiele przystojniejszy od niego?!“

„Bój się Boga, Adolf!“

„Tak, tak, Emmie spodobałem się od razu... Ano, to zostańmy tutaj.“

„Po to, żebyś rozbił ich zamierzone małżeństwo?! Zdołasz tego zapewne dokonać, bo pani Emma jest kobietą płytką i nie kocha Obidowicza, tylko jego baronowski tytuł, zresztą fałszywy, bezprawny. Gdy się dowie, że Obidowicz żadnym baronem nie jest, zerwie z nim, ale tym bardziej nie poślubi nigdy ciebie, chłopca do posług w drukarni jej znajomego, pana Stiebla. Nic tedy, absolutnie nic nie zyskasz na tym.“

Merglicki nie mógł odmówić słuszności temu rozumowaniu, lecz również nie umiał pogodzić się z myślą, że on będzie tu nadal cierpiał poniewierkę, a w tym samym mieście jego były kolega „głupszy od niego milion razy“ będzie sobie żył jak w raju, przy boku pięknej i ogromnie bogatej kobiety.

„Trudno, jestem już tak zazdrosny z natury, że tego nie ścierpię! Albo więc wyruszymy do Lipska razem jeszcze dzisiaj, żeby jak najprędzej stracić z oczu tę irytującą mnie parkę, albo zostaniemy tutaj i ja, bez względu na to, czy coś przez to zyskam, czy nie, zaraz w poniedziałek zdemaskuję fałszywe baronostwo Obidowicza. Wybór jednej z tych alternatyw zależy wyłącznie od ciebie, Józefie!“

Nie pomogły dalsze perswazje i w końcu Dąbrowski wybrał to, co uważał za mniejsze zło: nagłe porzucenie drukarni, wyjazd z Frankfurtu i nową tułaczkę. Chociaż gorąco pragnął wyuczyć się drukarstwa, chociaż teraz o wiele więcej, niż kiedykolwiek miał szanse szybkiego przyswojenia sobie tego kunsztu, dobrowolnie zrezygnował ze wszystkiego, byle przez to swoje poświęcenie zapewnić spokój Obidowiczowi i jego narzeczonej, a Merglickiego uchronić przed pokusami. Nie przeczuwał, że tej ofiary nie warta jest żadna z tych trzech osób, ani pani Emma Schneider, słynna w całym mieście z rozpustnego trybu życia, ani Obidowicz znający przeszłość swej bogatej narzeczonej, wiedzący, co go czeka po ślubie i haniebnie zgadzający się na wszystko wzamian za swój dostatek, ani też Merglicki, którego całą podłość miał poznać dopiero po wielu, wielu latach w Ameryce. Nie przeczuwał również Dąbrowski, że jedna z tych trzech osób za jego dzisiejszą ofiarę odpłaci mu się niebawem najczarniejszą niewdzięcznością. Żal mu było tylko pracy w drukarstwie, którą już zdążył polubić, ale żal ten osładzało mu przekonanie, iż spełnił dobry uczynek wobec trojga ludzi, zabezpieczając ich przed najgorszymi, jak sądził, komplikacjami życiowymi.

W tę samą sobotę późnym wieczorem dwaj byli powstańcy opuścili Frankfurt. Dąbrowski zostawił dla Stiebla krótki, lecz serdeczny list pożegnalny, w którym dziękował chlebodawcy za naukę i opiekę, oraz wyrażał swój żal, że musi nagle wyjechać „z nieprzewidzianych, acz niezmiernie ważnych powodów.“ Merglicki pożegnał Stiebla na swój sposób, ale o tym dowiedział się Dąbrowski dopiero później w Lipsku. Tam zamieszkali na przedmieściu, nieopodal miejsca, gdzie w nurtach wezbranej Elstery utonął ongi książę Józef Poniatowski. Przez dłuższy czas nie mogli znaleźć żadnego zajęcia, a że w dodatku Dąbrowski zachorował, zaziębiwszy się raz, gdy do późnej nocy dumał nad „płynną mogiłą“ księcia Józefa, znaleźli się w tarapatach finansowych.

Pewnego ranka żona kowala, od której wynajmowali skromną izdebkę, oświadczyła im stanowczo i hałaśliwie, że nie dostaną śniadania ani w ogóle już żadnego posiłku, dopóki nie wyrównają jej starych należności za wikt i „opierunek.“ Dąbrowski zwlókł się z barłogu zaraz, aby znowu iść szukać jakiejkolwiek pracy, lecz gwałtowny atak kaszlu i osłabienie zwaliły go z nóg. Merglicki spoglądał na to obojętnie, dopiero gdy głód mu dokuczył koło południa, ubrał się i wyszedł na miasto z swoim ciężkim tobołkiem, którego zawsze strzegł jak oka w głowie, a którego nie miał ongi, kiedy szli od Poznania do Frankfurtu. Wrócił późno, bez niego, zato z potężnym bochenkiem chleba, z dużym kółkiem kiełbasy, z flaszką wódki i w świetnym humorze.

„Poszło łatwiej, niż przypuszczałem,“ rzekł, rozkładając te zapasy na stole, który przysunął do łóżka Dąbrowskiego. Zmusił go też do wypicia sporego kubka wódki „na rozgrzewkę,“ a potem zaczęła się „lukullusowa uczta,“ jak dwaj wygłodzeni młodzieńcy nazwali ten suchy chleb i ordynarną, cuchnącą czosnkiem kiełbasę. „Spisałem się pięknie, co?“ zagaił Merglicki, spragniony snadź pochwał.

„Istotnie, całkiem nie przypuszczałem, że będziemy dziś spożywali tak obfitą kolację. Czy tam, gdzie znalazłeś dziś robotę, byłoby też jakie zajęcie dla mnie?“

„Nie znalazłem żadnej roboty, ani jej nie szukałem.“

„Nieee?“ zasmucił się Dąbrowski. „Zatem wziąłeś tę żywność na kredyt?“

„A jakiż szwab da na kredyt obcemu, który w dodatku mówi po niemiecku z cudzoziemskim akcentem?!“

„Zatem . . .?“

„Kupiłem żywność i wódkę . . . po prostu.“

„Za co? Przecież nie mieliśmy pieniędzy!“

„Uzyskałem pieniądze przez sprzedaż . . .“

„Sprzedaż, czego?!“

„Na pewno nie twoich spodni, więc nie wybałuszaj tak oczu, ale jedz i pij, żebyś jak najprędzej wyzdrowiał, bo najwyżej na tydzień starczy nam tych pieniędzy, które dziś dostałem za swój metal.“

„Metal? Za jaki metal? Adolf, mówże nareszcie!

Merglicki najpierw pociągnął nowy łyk wódki, a potem zaczął opowiadać na wesoło, jak to on — chcąc zemścić się na Stieblu za jego wyzysk — w dniu opuszczenia Frankfurtu zabrał z drukarni kilka najcenniejszych przyrządów drukarskich i najdroższych czcionek tyle, ile tylko mógł ich zmieścić we wszystkich kieszeniach; ten właśnie zapas metalu sprzedał dziś w Lipsku pewnemu drukarzowi i dzięki pieniądzom uzyskanym z tej transakcji oni obaj mogą teraz ucztować...

Dąbrowski, wysłuchawszy tego opowiadania stracił nagle apetyt, z największym trudem zdołał przełknąć to, co już miał w ustach, zakrztusił się przy tym, zakaszlał i ...

„Ależ to kradzież!" wybuchnął oburzony. „Dlaczego mi nie powiedziałeś o tym wcześniej!"

„A gdybym powiedział, co byś ty zrobił? Wyżebrałbyś od naszego gospodarza starą podkowę i przerobiłbyś żelazo na złoto?" odparł drwiąco Merglicki. „Obawiam się, że tak genialnym alchemikiem nie jesteś. Zatem nic byś nie zrobił i zdychaliśmy z głodu, czego ja osobiście nie lubię. A w takiej sytuacji wolno człowiekowi ratować się przed głodową śmiercią wszelką kradzieżą."

„Nigdy nie wolno, nigdy! A twoje usprawiedliwianie się wobec własnego, karygodnie elastycznego sumienia ma jeszcze i tę słabą stronę, że nie byliśmy bynajmniej w nędzy wówczas, kiedyś ty kradzież we Frankfurcie popełnił! Ach, jak mogłeś, Adolfie, jak mogłeś! Jak mogłeś upaść tak nisko i jak mogłeś taką hańbę ściągnąć na Polskę! Wiesz przecież dobrze, jak bardzo Joachim Stiebel był uprzedzony do Polaków i jak ja starałem się te jego uprzedzenia obalić przez swoje postępowanie. Teraz zaś Stiebel do końca swego życia będzie wszystkim powtarzał, że Polacy, to złodzieje! Och, żeby do tego nie dopuścić, wolałbym był oddać ci dzisiaj do sprzedania jedną z naszych rodzinnych pamiątek, choć postanowiłem ongi nie rozstawać się z nimi nigdy i zwrócić matce te jej kosztowności."

„Ty masz jakieś kosztowności?!" zainteresował się Adolf Merglicki i z kolei on zasypał wymówkami towarzysza. „Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej! Wolałeś, wstrętny skąpcze, egoisto, narazić mnie i siebie na męczarnie głodu, niż sprzedać jedno świecidełko, za które moglibyśmy żyć wygodnie całe lata?"

„Całe lata, to przesada. Takiej wartości nie ma żadna z tych pamiątek."

„Ech, co ty wiesz. Pokaż je, to ci w mig powiem, ile co jest warte."

Merglicki dopóty na to nalegał, dopóki Dąbrowski — acz niechętnie — nie wygrzebał w swym tobołku małego zawiniątka z owymi kosztownościami, jakie mu matka przysłała z Lublina do Warszawy, gdy miał wyjeżdżać za granicę. Obejrzawszy dokładnie wszystko, Merglicki oświadczył lekceważąco, że drobiazgi te może są dla rodziny Dąbrowskich znaczne „pretium affectionis," ale wartość ich na rynku jubilerskim byłaby niewielka.

„Gdybyś je sprzedał, moglibyśmy za uzykane stąd pieniądze żyć

najwyżej trzy do czterech miesięcy," dodał. „Zato pieniądze te mogłyby nam zapewnić wygodną podróż dyliżansami, zamiast długiej i męczącej wędrówki pieszo do Paryża."

„Do Paryża? Po co tam? Ja wolałbym dostać się do Rzymu."

„W Rzymie nie znamy nikogo, jak nie znamy również włoskiego języka, zresztą Włosi to dziady, żebraki. Natomiast w Paryżu pomoże nam Mierosławski."

Nie chcąc narażać się na indagację towarzysza, nie powiedział Dąbrowski tego, co miał na języku, mianowicie, że wolałby nie spotkać Mierosławskiego już nigdy w życiu, tymbardziej więc nie chciałby korzystać z jakiejkolwiek jego pomocy, czy protekcji. Merglicki zaś, biorąc milczenie kolegi za aprobatę swego projektu, ciągnął dalej z cyniczną szczerością:

„Mierosławski musi nam pomóc! Powiemy mu bowiem, że to przez niego wzięliśmy udział w powstaniu i przez niego staliśmy się bezdomnymi tułaczami. A jeśli to go nie wzruszy, to mu delikatnie, czyli bez świadków, zagrozimy, że będziemy rozpowiadali po całym Paryżu, jakim to on był kiepskim wodzem, jak śmiesznie zleciał z wozu w kałużę błota, jak sromotnie uciekł za granicę po bitwie, jak..."

„Adolfie, Adolfie!" przerwał mu Dąbrowski zbolałym głosem. „Przecież to, co ty proponujesz, byłoby haniebnym wymuszeniem! Niedość ci, że stałeś się złodziejem, jeszcze chcesz być szantażystą?! Jeśli już nie chcesz dbać o swoją duszę i o swą reputację, miej wzgląd na naszą Ojczyznę, pamiętaj, że jesteśmy za granicą i że nosisz polskie nazwisko!"

„Balastem mi ono jest, słyszysz, nudny kaznodziejo? Balastem! Cudzoziemcy łamią sobie języki, żeby je móc przesylabizować, to raz! A, co ważniejsze, człowiek z polskim nazwiskiem jest dziś w całej Europie synonimem buntownika, awanturnika, siewcy rewolucyjnych teorii! Dlatego planuję już od dawna, aby powrócić do swego dawnego rodowego nazwiska, które brzmi: Immerglück."

„Immerglück? Ach, więc Merglicki pochodzi od Immerglück?"

„Tak. W sporej części Europy można do czegoś dojść z tak rdzennie niemieckim nazwiskiem, prawda?"

„Hm, jeśli mam być szczery, Adolfie, to dla mnie nazwisko Immerglück brzmi mniej z niemiecka, niż z żydowska, z czym zgodzisz się chyba."

„Owszem i nie wstydzę się bynajmniej, że mój dziadek był Żydem, bo temu zawdzięczam cenną domieszkę krwi i zalet semickich."

„Mówiłeś jednak kilka razy, że pochodzisz z rodziny niemieckiej, która ongi osiedliła się w Polsce."

„Z tej rodziny pochodziła moja babka, która też w duchu niemieckim wychowała swojego syna, a mojego ojca i nie mogła nigdy odżałować, że on — wbrew jej woli — ożenił się nie z Niemką."

„Tylko z Polką?"

„Ściśle biorąc, ze spolszczoną Rusinką... Jak z tego widzisz, choć

w Polsce uchodziłem za Polaka, mam wszelkie prawo uważać się — do wyboru — za Rusina, albo za Żyda, albo za Niemca.“

„I wybierasz Niemca?“

„Oczywiście! Nie tylko dlatego, że mam w sobie najwięcej cech niemieckich, ale przede wszystkim dlatego, że wobec wzrostu potęgi i zamożności królestw i księstw niemieckich, które z pewnością niebawem złączą się w jeden wielki związek, w jedną rzeszę, przyznawanie się do narodowości niemieckiej wróży młodemu człowiekowi maksimum korzyści. Radzę ci też życzliwie pójść w moje ślady.“

„Nigdy!“ zawołał Dąbrowski. „Choć Polski nie ma na mapach od siedemdziesięciu lat, choć Bogu tylko wiadomo, czy i kiedy Polska odzyska niepodległość, nie zaprę się nigdy swego polskiego pochodzenia!“

„Ha, to każdy z nas pójdzie w inną stronę,“ zakonkludował Merglicki, a ziewnąwszy od ucha do ucha, spytał jeszcze; „Czy jesteś nieodwołalnie zdecydowany iść do Rzymu, zamiast — jak ja radzę — do Paryża?“

„Tak. Paryż nie nęci mnie bynajmniej, za to Rzym ogromnie!“

„Ha, w takim razie i w tej płaszczyźnie rozejdą się nasze drogi, bo ja Rzym uważam za nudne cmentarzysko, a Paryż za stolicę świata, za miasto nieograniczonych możliwości dla młodego, przedsiębiorczego mężczyzny i za ziemski raj ... Z pewnością wkrótce pożałujesz, że nie usłuchałeś moich rad ... No, idziemy spać, Józefie.“

Za chwilę już chrapał, aż się rozlegało, natomiast Dąbrowski przed północą ani oka nie zmrużył. Wciąż bowiem dręczyła go myśl, że Joachim Stiebel przeszło od miesiąca uważa dwóch polskich eks-powstańców za pospolitych złodziejów i tym zarzutem obarcza niesłusznie wszystkich Polaków. Wreszcie powziął decyzję:

„Zapytam jutro Adolfa, komu te czcionki i przyrządy sprzedał. Odkupię je za pieniądze uzyskane ze sprzedaży części kosztowności mamy, cały ten zapas metalu zapakuję starannie i wraz z odpowiednim listem przepraszającym odeślę to pocztą do Frankfurtu panu Stieblowi. To jedyne wyjście z sytuacji.“

Ucieszony, że znalazł takie wyjście, od razu przestał się martwić i krótko po północy zasnął. Był biały dzień, kiedy obudziły go zwykłe hałasy z kuźni, znajdującej się tuż za ścianą. W izbie panował niebywały chłód. Nic dziwnego, skoro ktoś okno otworzył naoścież. Kto? Chyba nie Adolf Merglicki, który wiedział, jak bardzo jego towarzysz jest zaziębiony. Więc gospodyni? Nie. Żona kowala wejść tu nie mogła, gdyż drzwi izby były od wewnątrz zaparte ciężką drewnianą zasuwą. Zatem jednak Merglicki.

„Adolf, zamknij okno, ja wprost skostniałem z zimna!“

Nie było odpowiedzi, toteż Dąbrowski dźwignął się, spojrzał w stronę drugiego barłogu i nie zobaczył na nim towarzysza; Adolf zniknął, a wraz z nim jego manatki i ... kosztowności matki Dąbrowskiego, jak stwierdził zaraz, gdy — tknięty złym przeczuciem — zajrzał do swego tobołka. Tak oto Immerglück odwdzięczył się temu, który umożliwił

mu wyjazd za granicę! Mógł Dąbrowski o tej kradzieży zawiadomić miejscowe władze i żądać ścigania złodzieja, lecz nie uczynił tego, bo to rzuciłoby złe światło na Polaków, bo Merglicki jeszcze podał się za Polaka, gdy wynajmowali tę izbę. Również z tego powodu Dąbrowski bronił towarzysza podczas długiej, nieprzyjemnej rozmowy z ich gospodarzami, którym nie podobało się bardzo to nagłe zniknięcie jednego z dwóch niewypłacalnych lokatorów.

„Wszystko, co mój kolega i ja jesteśmy wam winni, sumiennie odrobię wam pracą na przykład w kuźni," zaproponował im Dąbrowski.

„W kuźni?" Barczysty, muskularny kowal spojrzał pogardliwie na wątłego młodzieńca, trzęsącego się z zimna. „Mizeraku, ty przecież przy kuciu koni nie utrzymałbyś w rękach nogi nawet starej szkapy, a ja często strugam kopyta ognistym kawaleryjskim rumakom, które mają siłę wprost diabelską!"

„Bądźcie spokojni, panie majstrze, skoro tylko Bóg wróci mi zdrowie, podołam każdej pracy i potrafię nawet diabły ujarzmiać," odparł Dąbrowski dwuznacznie.

I rzeczywiście po wyzdrowieniu stanął do pracy w kuźni natychmiast. Zacząwszy skromnie od poruszania miechem i podawania narzędzi majstrowi, z kolei trzymał nogę koniom, które przyprowadzano do kucia i od razu zyskał sobie przydomek „czarodzieja"; albowiem nawet najbardziej nerwowe rumaki momentalnie przestawały wierzgać, gdy posłyszały miły, łagodny głos Dąbrowskiego, który najpierw przyjaźnie „pogawędził" z czworonożnym pacjentem, pogłaskał go, poklepał, podrapał po nosie i szyi, a potem już robił z nim, co chciał, bez żadnych pacjenta sprzeciwów. W końcu czeladnik „Dombrowsky", jak zwali go Niemcy, nauczył się obrabiać młotem rozpalone do czerwoności żelazo i wnet stał się niezbędnym pomocnikiem majstra. Dogadzała mu więc majstrowa, a kowal coraz bardziej ociężały od ciągłego picia piwa, przebąkiwał niekiedy, że gdyby „pan czeladnik" zgodził się pracować przez trzy lata bez żadnej pensji, mógłby tym samym zapłacić swój wkład do interesu i stać się później współwłaścicielem kuźni.

„Czyż nie jest piękne kowalskie rzemiosło? Czyż to nie cieszy pana czeladnika, gdy pod ciosami jego młota jakaś brudna, niezgrabna bryła żelaza staje się szybko kształtną, lśniącą podkową, lub obręczą na koło, czy innym przedmiotem pożytecznym ludzkości?" rzekł raz filozoficznie pan majster.

„Oczywiście, że tak, lecz o ileż więcej radości musi zażywać ten, który brudne lub niezdarne dusze przekuwa np. młotem słów Bożych na dusze kształtne, czyste, że aż lśniące i pożyteczne dla ludzkości!" odparł dwuznacznie znowu Dąbrowski, który choć spełniał i tu swoje obowiązki wzorowo, nie czuł do kowalstwa bynajmniej takiego pociągu, jaki czuł przedtem do drukarstwa i już myślał o czymś innym.

Lojalnie też oświadczył kowalowi, że jego wspólnikiem nie zostanie, że ponieważ stare długi za utrzymanie swoje i Merglickiego już odrobił, prosi o wypłacanie mu należnego wynagrodzenia co miesiąc, gdyż musi składać pieniądze na czekającą go daleką podróż.

„Podróż, do Polski, rozumiem, rozumiem," westchnął zawiedziony kowal, mylnie sobie tłumacząc zamiary czeladnika.

Pewnego razu przed kuźnią zatrzymał się zaprzężony w cztery konie powóz jakiegoś mrukliwego Rosjanina, wracającego z Francji do Rosji. Stangret małomównego podróżnika był Polakiem, w przeciwieństwie do jego chlebodawcy bardzo rozmownym. Wygadał się więc łatwo, że między innymi pojadą przez Lublin, a na dźwięk nazwy tego miasta, wzruszenie i tęsknota, tak zawsze tłumione siłą woli, przerwały wszelkie tamy i Dąbrowski rzewnymi łzami pokropił krótki list, jaki na poczekaniu skreślił do swojej rodzicielki:

Najdroższa i Najlepsza Mamo!

Pierwszy raz nadarza mi się okazja przesłania Ci znaku życia od siebie, a tu jeszcze czas nagli, tak że tylko kilkanaście słów zdążę napisać.

Losy są zmienne. Ten, co ludźmi dowodził, teraz kuje młotem w kuźni. Ale — dzięki Bogu — jestem zdrów i mam zamiar wkrótce wyjechać do Rzymu, skąd — jeśli Bóg zezwoli mi ziścić moje gorące pragnienia — nadeślę Ci wiadomość, która Cię na pewno bardzo ucieszy.

Ręce Twoje utrudzone i przedobre z czcią całuję, a Rodzeństwo ściskam najserdeczniej.

Wasz Józef.

List ten przyrzekł stangret Rosjanina doręczyć osobiście adresatce w Lublinie i słowa dotrzymał. Zanim jednak tam dotarł, Józef Dąbrowski — pożegnawszy się z zasmuconym kowalem i jego rodziną — wyruszył w drogę na południe. Reszta Saksonii, śniegiem pokryte góry Szwajcarii, zielone doliny Lombardii, skąpane w słońcu wyżyny półwyspu Apenińskiego, miały być etapami jego wędrówki, a jej celem: Wieczne Miasto, Rzym.

ROZDZIAŁ VII

W Wiecznym Mieście

Dobrze już znaną sobie drogą wspinał się powoli pod górę. Szedł wzdłuż ogrodów willi Borghese, pyszniących się kwiatami wszystkich barw, szedł przez cienisty park Medici na ulubione swoje wzgórze, na Monte Pincio. Zawsze twierdził w Seminarium Ojców Zmartwychwstańców, że z Monte Pincio bez wątpliwości najpiękniejszy widok roztacza się na rozległą panoramę Wiecznego Miasta, chociaż Rzym, oprócz swoich historycznych siedmiu wzgórz, na których miasto rozsiadło się pierwotnie, posiada jeszcze tyle innych wzniesień, naturalnych i także sztucznych, jakimi są wieże kościołów. Zawsze gardłował za „swoją górką," lecz niezmiernie rzadko — ot ledwie dwa, lub trzy razy na rok — zdarzała się sposobność naocznego przekonywania kolegów o słuszności własnej „tezy."

Za to dzisiaj mógł udać się na Monte Pincio swobodnie, bez pytania przełożonych o pozwolenie, bez proszenia kolegów równiez o niezbędne dotrzymywanie mu towarzystwa i bez obawy, że parę godzin straty czasu na tę wycieczkę odbije się ujemnie na jego przygotowaniu do jutrzejszego colloquium. Dzisiaj o tym wszystkim nie potrzebował pamiętać, dziś był panem swej woli i czasu, dziś mógł iść, dokąd chciał i to bez wszelkiej kurateli, więc poszedł na Monte Pincio.

Dotarłszy do szczytu wzgórza, usiadł na jakimś głazie i zapuścił wzrok w dolinę na chybił trafił tak, jak rozpoczynający połów rybak najpierw sznurek wędki gdziebądź na oślep zarzuca. Wzrok padł na szarą masę ruin amfiteatru Flawiuszów, które z daleka, z wysoka wyglądały jak spalony, bez dachu domek krasnoludków, choć były przecie ruinami wielopiętrowego, ogromnego, iście kolosalnego Colosseum. Gdy Dąbrowski zwiedzał je po raz pierwszy, właśnie jakiś zawodowy cicerone tłumaczył swojemu stadku turystów, że to tutaj gladiatorzy wygłaszali przed lożą cesarską ową słynną formułkę: „Ave Caesar Imperator, morituri te salutant," a potem w zaciekłej walce zabijali się wzajemnie i krew ich wsiąkała „strugami w tę samą arenę, po której szanowni państwo teraz stąpacie." Powiedziawszy to, przewodnik spojrzał na zegarek i pognał swoich turystów na Forum Romanum, nie wspomniawszy ani słówkiem o najliczniejszych ofiarach tego rzymskiego cyrku, o chrześcijanach! Ha, może był Garibaldczykiem?

Następnym razem Dąbrowski wybrał się do Colosseum w pewną księżycową noc. Nie było tam wówczas hałaśliwych turystów, ani jeszcze wrzaskliwszych przewodników, nie było nikogo, prócz jakiegoś księdza, który z twarzą ukrytą w dłoniach modlił się klęcząc pod krzyżem wzniesionym na dawnej arenie. Przez puste oczodoły łukowych

okien i bram amfiteatru wlewało się białe światło miesiąca, który jeszcze nisko stał na niebie, i odgłosy gwaru wielkiego miasta, które jeszcze nie spało, gdyż południowcy chodzą późno spać. Wtedy Dąbrowskiemu, gdy przymknął oczy i puścił wodze fantazji, zdawało się, iż słyszy ów straszny okrzyk rzymskiego motłochu podjudzanego przez agentów cezara i przez żydów i przez kapłanów pogańskich bóżków:

„Chrześcijanie dla lwów! Chrześcijanie dla lwów!"

Setkami, tysiącami chwytano chrześcijan wszędzie, zwożono do Rzymu, wtrącano do więzień lub wprost do lochów Colosseum, a potem robiono z nich żywe pochodnie Nerona lub torturowano ich powtornie, lecz najchętniej rzucano ich na pożarcie umyślnie wygłodzonym lwom, tygrysom, wilkom i tym podobnym krwiożerczym bestiom, aby zadowolić najbardziej krwiożerczą bestię, jaką zna świat, czyli człowieka, w którego duszy zło wzięło górę nad dobrem. Jakże łatwo mógł każdy chrześcijanin uchronić siebie przed torturami i okrutną śmiercią, a swoją rodzinę przed konfiskatą całej majętności i przed prześladowaniem! Wystarczyło, żeby skłonił głowę przed posążkiem pogańskiego bożka, wystarczyło, by oświadczył, iż chrześcijaninem nie jest. A jednak przy pomocy tego łatwego kłamstwa nie ratował się nikt i każdy wołał śmierć w najpotworniejszych męczarniach. Dlaczego? Bo w zamian za tę śmierć pewien nieznany tu nikomu świątobliwy Mąż, który dawno, dawno temu zginął na krzyżu w Palestynie, obiecywał zbawienie duszy i wieczystą szczęśliwość w niebie. Obietnice takie i niebo, i w ogóle życie pozagrobowe uważał przeciętny zmaterializowany Rzymianin za bajki, za produkt poetyckiej bujnej fantazji, a jednak, gdy tylko zetknął się i zapoznał z nauką Chrystusa, stawał się Jego żarliwym wyznawcą i dobrowolnie szedł na śmierć dla tych bajek.

„Jakże ogromną musiała być wiara męczenników tutejszych, jak przeogromną!" wyszeptał Józef Dąbrowski, spoglądając ze szczytu Monte Pincio na leżący u jego stóp Rzym, a ściśle biorąc na wyniosłe ruiny Colosseum. „Zaiste tylko boska religia może wzbudzać tak wielką wiarę i tylu wyznawców pozyskać, choć niczego nie obiecuje za życia, a po śmierci nawet sprawiedliwych jeszcze oczyszcza w bolesnym czyśćcu, wszystkich zaś tych, którzy nie pojednali się z Bogiem, wysyła do piekła na wieki."

Na krótko przed ostatnimi egzaminami wpadła mu w ręce jakaś statystyka, z której wynikało, że katolicy stanowią jedną piątą część całej ludzkości, a jeśli do katolików dodać protestantów i sekciarzy i prawosławnych, to w ogólnej liczbie chrześcijanie ci tworzą razem jedną trzecią część wszystkich mieszkańców naszej planety, czyli co trzeci człowiek na świecie jest wyznawcą Chrystusa. Istotnie, tak imponującego wyniku nie osięgnął żaden z twórców religii, ani Konfucjusz, ani Budda, ani fenomenalny szczęściarz Mahomet, a już najmniej Mojżesz, lecz co może jeszcze ważniejsze, niż cyfrowe wyniki dotychczasowe, chrystianizm jest jedyną religią, która — w przeciwieństwie do religii żydowskiej najściślej związanej z żydowskim narodem — krzewi się łatwo pośród ludzi wszystkich ras, wszystkich narodów,

wszystkich wierzeń, którą przyjmują zarówno ludzie stojący na najniższym szczeblu cywilizacji, jak i najbardziej wymagający intelektualiści. I właśnie dzięki tej powszechności, temu najszerzej pojętemu kosmpolityzmowi swojemu, chrystianizm jest jedyną religią, która ma szanse ogarnąć cały świat i stać się kiedyś jedyną, uniwersalną religią ludzkości...

„Oby dopełniło się proroctwo o jednej owczarni i jednym jej Pasterzu!" mruknął Dąbrowski, kończąc głośno swoją myśl o rozwoju chrześcijaństwa.

Widome dowody tego rozwoju miał właśnie przed sobą. Ot tam koło Panteonu, na zabytkowym placu Minerwy, na gruzach kościoła tej pogańskiej bogini stoi dziś kościół Santa Maria, pełen przepięknych dzieł sztuki chrześcijańskiej. Ot tam na placu Colonna cudnie rzeźbiona 30-to metrowa kolumna Marka Aureliusza dźwiga od XVI stulecia począwszy posąg świętego Pawła, tego samego, który ongi był zaciekłym prześladowcą chrześcijan w okolicach Damaszku, a który nawróciwszy się nagle, stał się 13-tym apostołem i śmierć męczeńską poniósł w Rzymie. Jako civis romanus nie mógł być „zhańbiony" ukrzyżowaniem, tylko dał głowę pod miecz, ale tak czy owak w pojęciu współczesnych mu był przestępcą najgorszej kategorii, skoro prawomocnym wyrokiem skazano go na śmierć. A dzisiaj jest patronem setek tysięcy Pawłów, dzisiaj tysiące kościołów noszą jego imię i w Rzymie ma katedrę i jego posąg stoi na kolumnie jednego z cezarów, których wszelkie dzieła i nie własnymi dokonane rękami, lecz wielotysięcznych robotniczych rzesz, pomimo najbardziej pieczołowitych zabiegów dzisiejszego kunsztu konserwatorskiego, nie zdołają przetrwać nieśmiertelnych listów św. Pawła.

A tam obok Placu Ludowego, (Piazza del Popolo) widać kościoły Santa Maria in Monte Santo i Santa Maria dei Miracoli. A z przeciwnej strony poprzez Plac Hiszpański wiodą schody do kościoła Świętej Trójcy. Idąc stamtąd przez plac Barberini koło pałacu z czasów Odrodzenia, koło Kwirynału ku ruinom Termów Dioklecjana, wyjątkowo dobrze zachowanym, dociera się do placu Eskwilinu, do wspaniałej bazyliki Santa Maria Maggiore. A stamtąd przez via Merulana znów do kościoła świętego Jana Laterańskiego.

Czy to już wszystko? Nic podobnego! Ot na przykład tam, na lewym brzegu Tybru, którego kręta wstęga wody wije się jak wąż pośród siedmiu wzgórz, widać pośród średniowiecznych budowli stary, jeszcze z V wieku pochodzący kościół Marii in Cosmedin. A gdy przez ruiny teatru Marcellusa i przez najstarszy most na Tybrze przejść na wysepkę, znowu dominuje nad jej sędziwymi domostwami wieżyczka z krzyżem, to kościółek św. Bartłomieja. A nieco dalej, przy placu Altieri pałace Grazioli i Doria, choć takie zasobne i rozległe, mizernie wyglądają przy swoim sąsiedzie, pięknym kościele Ojców Jezuitów, stojącym na małym placyku Gesu.

Ach, trzebaby wołowej skóry, żeby spisać wszystkie chrześcijańskie świątynie i klasztory Rzymu! Ich wieże, wieżyce, wieżyczki, dzwonnice wystrzelają ku niebu zewsząd, niemal z każdego bloku domów, niemal

z każdego placu rozległego miasta, a nad nim króluje... nie, nie Zamek świętego Anioła, lecz przede wszystkim gigantyczna bazylika świętego Piotra.

Utkwiwszy wzrok w środkowej i najwyższej kopule największej na świecie świątyni, Józef Dąbrowski wyszeptał w zamyśleniu:

„Tyś jest Petrus, czyli opoka, na tobie zbuduję Kościół Mój, a bramy piekielne go nie zmogą.“ Czyż i to nie jest cudowne, że niewykształcony prostaczek, zwyczajny rybak galilejski, Piotr, stał się kontynuatorem nauki naszego boskiego Mistrza i Jego pierwszym Namiestnikiem na ziemi i twórcą pierwszej gminy chrześcijańskiej, której rozwojowi to miasto swój prymat w świecie i swoją wieczystość zawdzięcza?! Czyż Rzym byłby tym, czym jest dzisiaj i czy istniałby dziś w ogóle, gdyby święty Piotr obrał sobie inne miasto?“

Tu jednak przypomniał sobie Dąbrowski piękną legendę, czy nie legendę, którą później największy polski powieściopisarz uwiecznił w swym arcydziele światowej sławy. Legendę, że święty Piotr wstrząśnięty ogromem rzezi chrześcijan za Nerona i ulegając gorącym prośbom niedobitków, postanowił przenieść siedzibę swej gminy chrześcijańskiej do innego miasta. Że w tym celu raz opuścił Rzym o świcie, lecz zanim uszedł ćwierć mili, spotkał przy via Appia świetlaną postać swojego Mistrza. „Quo vadis, Domine?“ czyli „Dokąd idziesz, Panie?“ zapytał zdumiony i miał posłyszeć smutną odpowiedź: „Idę do Rzymu, aby mnie ukrzyżowano ponownie, skoro ty mój lud opuszczasz.“ Zrozumiał święty Piotr, co znaczą te słowa, zrozumiał, iż życzeniem Mistrza jest, aby Rzym był stolicą Jego religii, zawrócił do miasta, rychło został pojmany i ukrzyżowany, głową w dół na swoje życzenie, bo nie czuł się godnym umierać tak, jak umierał On, Mistrz jego, na Golgocie.

A dziś ten skazaniec Piotr uśmiercony w sposób na ówczesne czasy najbardziej hańbiący, jest dla setek milionów ludzi klucznikiem niebios, jest pierwszym z papieży, przed którymi klękają króle i cesarze, jest pośrednikiem, łącznikiem pomiędzy Chrystusem, Bogiem-Człowiekiem, który z powrotem do nieba wstąpił, a ludzkością. I jeszcze jest tym, który z miasta najbardziej krwiożerczego i najwięcej rozpustnego uczynił najważniejszą stolicę świata; jest tym, który z rozkładającego i rozpadającego się Rzymu uczynił Wieczne Miasto.

Patrząc na panoramę Rzymu i równocześnie rozpamiętując katakumbową erę chrześcijaństwa, zreflektował się Dąbrowski, że od tej ery upłynęło już 18 wieków. Tak, tak 18 razy po sto lat!

„Jak ten czas biegnie szybko, jak bardzo szybko! Conajmniej 70 ludzkich generacji rozpoczęło i ukończyło już całą swą doczesną wędrówkę, a stare zabytki stoją, jak stały... a woda w Tybrze płynie tym samym korytem, jak płynęła wtedy... a kwiaty pachną tak samo ...a słońce tak samo grzeje prastare Wieczne Miasto, w którym czas się nie liczy. Ha, nic tedy dziwnego, że także jak z bicza trzasł, zleciały mi tutaj prawie cztery lata.“

Rzeczywiście, bez mała cztery lata upłynęły od chwili, gdy były

student Szkoły Głównej w Warszawie, a potem uczestnik powstania styczniowego, a potem tułacz ścigany przez rosyjskich żandarmów i dla odmiany przez biedę drukarz, a potem czeladnik kowalski w Lipsku, a potem znowu wędrowiec, dowlókł się do Rzymu. Przybywszy tu, zrazu odpoczywał po męczącej podróży, zbierał grzyby na Monte Pincio, nimi się żywił i równocześnie bawił się w turystę. Zaczął zwiedzanie od Colosseum, ale wypłoszył go stąd wnet zgiełk przewodników i przekupniów, eksploatujących nieprzyzwoicie gromady zamożnych turystów. Poszedł zatem zwiedzać inne zabytki, lecz po tygodniu wrócił tam, dokąd go ciągnęło najwięcej, do Colosseum, tylko już bardzo późnym wieczorem. Było to w ową księżycową noc, gdy pod krzyżem na arenie ujrzał modlącego się księdza. Ksiądz modlił się szeptem długo, raz po raz czołem uderzał w kamienny cokół krzyża i w ogóle czynił wrażenie pokutnika, a zakończył swe modły głośnym trzykrotnym: „Boże, bądź miłościw grzesznym duszom naszym.“ Wyraźnie używał pluralis zamiast singularis, liczby mnogiej zamiast pojedynczej i bił się w piersi, aż dudniało, lecz Dąbrowskiego zelektryzowało tylko to, że ów ksiądz wypowiedział te słowa PO POLSKU! Ośmielony tym i ucieszony bezmiernie, przybiegł, przedstawił się i wyraził swą radość z powodu spotkania polskiego kapłana.

„Ojcze! może by ojciec mnie wyspowiadał. Mówię nieźle po niemiecku, trochę też po francusku, lecz tylko w swoim ojczystym języku chciałbym i potrafiłbym się wyspowiadać, zwłaszcza z tego mojego najważniejszego ciężkiego grzechu pychy...“

„Pychy?“ zdziwił się ksiądz Semenenko, tak bowiem brzmiało nazwisko tego kapłana. Zdziwił się, gdyż nieznajomy wyglądał na młodzieńca nader skromnego.

„Tak, pychy! Bo jakże inaczej nazwać to, że od kilku lat wydaje mi się wciąż, iż powinienem zostać księdzem, a ja nie wiem, czy mam powołanie i czy, co jeszcze ważniejsze, jestem godzien być kapłanem katolickim.“

Umilkł na chwilę, jak gdyby czekał długiego szeregu pytań, ale ksiądz Semenenko nie lubił być sędzią śledczym, ani choćby egzaminatorem przy spowiedziach. Wychodząc snadź z założenia, że niepoprawni grzesznicy i tak potrafią na każde pytanie dać odpowiedź wymijającą, dwuznaczną, obłudną, przedstawiającą istotny stan rzeczy niezgodnie z prawdą, podczas gdy ludzie szczerze żałujący za grzechy i żywiący mocne postanowienie poprawy sami dobrowolnie wyznają wszelkie swoje przewiny, ksiądz Semenenko zazwyczaj nie zadawał żadnych pytań, kiedy zasiadł w konfesjonale i kiedy spowiadający się nie był prostaczkiem lub człekiem umysłowo nierozgarniętym, gubiącym wciąż wątek myśli. Co najwyżej przy końcu rzucał jedno, niejako sakramentalne pytanie: „Czy więcej grzechów swoich nie pamiętasz?“

Tak było i tym razem. Gdy Józef Dąbrowski zamilkł i wyczekująco spoglądał na księdza Semenenkę, ów rzekł po prostu:

„Młodzieńcze, abym mógł ci pomóc w rozstrzygnięciu tych wątpliwości, musiałbym przede wszystkim znać całą twoją przeszłość.“

„Oczywiście, oczywiście! A gdzie i kiedy wolno by mi było zgłosić

się do ojca dla odbycia spowiedzi generalnej? Mnie osobiście ani pora, ani miejsce choćby najbardziej stąd odległe nie zrobią żadnej różnicy, bo czasu wolnego mam teraz dużo. Nie taję jednakże, iż byłbym niepomiernie uradowany, gdyby ojciec raczył mi wyznaczyć termin jak najbliższy.“

„Skoro tak, to nie zwlekajmy ani chwili! Mnie do snu nigdy nie pilno, jeśli mam jakie zbożne zajęcie... Usiądźmy więc sobie na którymkolwiek głazie i zaczynaj waść w Imię Boże, a mów prawdę i tylko prawdę, niczego nie tając, nie pomijając, nie przeinaczając, obojętne czy na swoją korzyść czy niekorzyść, ani też nie krępując się czasem; mogę cię słuchać chociażby do wschodu słońca.“

Za tę gotowość poświęcenia nawet całej nocy nieznajomemu wędrowcowi, Dąbrowski ucałował z wdzięcznością dłoń zacnego kapłana, potem przeżegnał się nabożnie i rozpoczął swą spowiedź generalną, czyli spowiedź z całego dotychczasowego życia. Przez nadmierną gorliwość młodzieńczą, spowiedź ta była raczej obszerną autobiografią, lecz ksiądz Semenenko nie miał nic przeciwko temu, nie żądał większej treściwości, ani pomijania szczegółów dla spowiednika w zasadzie obojętnych. Przeciwnie, był zadowolony z tego, że Dąbrowski z tak drobiazgową dokładnością przedstawia mu swoją przeszłość. Był zadowolony, gdyż nie miał przed sobą zwykłego penitenta, lecz takiego, który pragnął zostać księdzem, a nie wiedział, czy ma po temu powołanie i czy godny jest tego zaszczytu. Te wątpliwości miał rozstrzygnąć właśnie on, przypadkowy jego spowiednik, ks. Semenenko!

W miarę jak Dąbrowski opowiadał o sobie i to z rozbrajającą szczerością, rosło miłe zdziwienie spowiednika; dawno, już bardzo dawno nie trafił mu się przy konfesjonale penitent tak niemal bezgrzeszny i z taką skruchą wyznający najdrobniejsze przewinienia, wśród których najcięższym było to, że w podróży kilka razy nie mógł być na niedzielnej mszy świętej lub spóźnił się na nabożeństwo, zresztą nie z własnej winy.

Dziecięca niewinność Dąbrowskiego ukazała się spowiednikowi w całej pełni zwłaszcza wówczas, kiedy doszło do zwierzeń na temat hrabianki Ireny. Była to jedyna w całym życiu penitenta kobieta, której uroda i wdzięk olśniły go... Przez kilka godzin podobała mu się bardzo. Gdy jednak tego samego wieczora posłyszał, jak panna Irena przyrzekała swoją rękę jego towarzyszowi broni, on, Dąbrowski natychmiast stłumił wszelkie swe marzenia. Mógł je był wznowić potem, lecz jakoś nigdy do tego nie doszło. Tylko krótko, przejściowo był pod urokiem ślicznej hrabianki.

Poza tym niewinnym epizodzikiem, Dąbrowski, choć w chwili spotkania z księdzem Semenenką miał ukończone 23 lata, nie przeżył jeszcze nigdy żadnej miłości ani flirtu, a cóż dopiero mówić o jakimś romansie! W porównaniu więc z ogółem młodzieży, która z pośród wszystkich przykazań boskich najczęściej wchodzi w konflikt z 6-tym i z 9-tym przykazaniem, Dąbrowski był niewinnym dzieckiem, był naśladowcą świętego Kazimierza, ongi królewicza polskiego, co ksiądz Semenenko z radością zanotował sobie w pamięci.

Nie tylko jednak czystością obyczajów różnił się Dąbrowski od przygniatającej większości swoich rówieśników, ale również gorącą wiarą we wszystko to, co Kościół katolicki do wierzenia podaje. Różnił się także pokorną uległością wobec boskich wyroków względem jego umiłowanej Ojczyzny. A właśnie w tej dziedzinie ówczesna młodzież polska, zawsze w gorącej wodzie kąpana i tyloma klęskami specjalnie rozgoryczona, raz po raz „miała na pieńku" z Panem Bogiem. Buntowała się w duchu, ba, odgrażała się, że popadnie w ateizm, czego objawem bywały i takie na przykład naiwne formułki:

„Skoro Polska — pomimo pobożności swoich mieszkańców — jęczy w niewoli od tylu, tylu lat i znosi od trzech najeźdźców najokrutniejsze prześladowanie, którego końca wcale nie widać, to najwidoczniej nie ma żadnej sprawiedliwości na świecie, nie ma żadnego Boga!"

Inni Polacy popadali w drugą krańcowość, w przesadny mistycyzm. Jedną z jego odmian był mesjanizm, zapoczątkowany przez Towiańskiego, a spopularyzowany przez naszych wieszczów na emigracji, szczególnie przez Mickiewicza. Romantyczni wyznawcy mesjanizmu głosili i wierzyli, że Polska jest mesjaszem narodów, Chrystusem narodów, że Polska przez swoją mękę ma odkupić wolność całej ludzkości.

Dąbrowski, chociaż ongi brał czynny udział w powstaniu styczniowym, choć wówczas, gdy krył się po lasach jak szczuty i tępony zwierz, niewątpliwie też grawitował to ku owym rozgoryczonym „ateistom," to znów ku zwolennikom polskiego mesjanizmu, — później jednak sformułował sobie własny pogląd: że Polska pokutuje za winy naszych przodków i że wybłagać można przywrócenie wolności Ojczyźnie nie przez lekkomyślne powstania, tylko przez ciężką, pokutniczą pracę dla dobra narodu.

Mówiąc o swoim udziale w powstaniu, nie mógł Dąbrowski nie wspomnieć o tym swoim później skonstruowanym poglądzie na te sprawy, a ksiądz Semenenko, wysłuchawszy go, omal nie krzyknął: „Ależ to, co mówisz, jest kubek w kubek podobne do tezy, jaką i ja głoszę i wszyscy inni Ojcowie Zmartwychwstańcy!" Pohamował jednak ten okrzyk radości i cierpliwie słuchał dalej.

Wreszcie Dąbrowski zakończył swoją długą, autobiograficzną spowiedź generalną, a otrzymawszy rozgrzeszenie, zagadnął nieśmiało, czy — zdaniem spowiednika — wolno mu rozpocząć studia teologiczne i zabiegać o zaszczyt należenia kiedyś do stanu duchowego, pomimo osobistych wątpliwości, czy on ma powołanie czy nie.

„Moim zdaniem," zaczął ksiądz Semenenko, mówiąc powoli i jakby ważąc każde słowo przed jego wyrzeczeniem, „moim zdaniem, ty, młodzieńcze, powołanie masz już od dawna, tylko nie dostrzegasz go przez swoją skromność. Skromność jest zaletą, lecz nie należy być aż tak przesadnie skromnym, jak ty jesteś, bo to zabija w człowieku pewność siebie i wiarę w skuteczność własnych poczynań. Moim zdaniem, masz powołanie i będziesz dobrym duszpasterzem, ale wpierw za ten swój właściwie jedyny, lecz bardzo ciężki grzech, za jaki uważam twój udział w nieszczęsnym, lekkomyślnym i dla całego kraju tragicznym powsta-

niu... musisz odprawić długą i ciężką pokutę, poprzedzoną modłami o wytrwałość."

Dąbrowski słuchał tych słów, jak najpiękniejszej, nadziemsko melodyjnej muzyki. Gniotący głaz niepewności spadł mu z serca, ostatki wątpliwości dręczących go od paru lat rozpierzchły się nagle, jak stado ptactwa spłoszonego wystrzałem, fala bezmiernej radości ogarnęła go całego, tak że chciało mu się krzyczeć z radości, ale ponieważ krzyczeć nie wypadało, wyszeptał z przejęciem:

„A więc mogę być księdzem, mogę! Dzięki Ci Boże!"

W tej chwili jakiś zegar wieżowy wybił godzinę drugą po północy. Po jego dwóch dźwiękach zabrzmiały gdzie indziej podobne dwa dźwięki drugiego wieżowego zegara, potem trzeciego, czwartego, dziesiątego. Na tle ciszy nocnej dźwięki te wibrowały w powietrzu wyraziście, zlewały się w jedną melodię, której echa zanikały i ulatywały hen ku gwiazdzistemu niebu. Dąbrowskiemu wydało się, że jego duszy nagle wyrosły skrzydła i że ona ku niebiosom szybuje wraz z tymi dźwiękami wieżowych zegarów; tak bardzo rozpierała go radość.

„No, młodzieńcze, pora nam udać się na spoczynek," przemówił ksiądz Semenenko, lecz musiał swego dzisiejszego penitenta dobrze pociągnąć za rękę, zanim go wreszcie wyrwał z jego dziwnej zadumy, czy z zachwycenia.

„Wielebny ojcze," rzekł Dąbrowski błagalnie; „dziękuję za wszystko, adres sobie zapisałem, przyjdę do seminarium o wyznaczonej mi godzinie jutro, lub raczej dzisiaj, bo to już jest po północy, lecz teraz... proszę się mną nie krępować; ja pragnąłbym niezwłocznie podziękować Panu Bogu za tę łaskę, że zesłał mi dziś księdza-rodaka i także odmówić dłuższą modlitwę o wytrwałość w przyszłej pokucie."

„Pomysł jest chwalebny, ale wszystkie kościoły jeszcze zamknięte o tej porze," odparł ksiądz Semenenko. „Dopiero za trzy godziny zacznie świtać."

„Zanim więc otworzą kościoły, mógłbym pomodlić się tutaj. Przecież Bóg jest wszędzie, tu zaś, w Colosseum, gdzie tylu męczenników dla Niego życie oddało, więcej było świętych relikwii, niż kryją ich wszystkie ołtarze wszystkich kościołów Rzymu, prawda? Więc proszę mi pozwolić..."

Po tych słowach, ksiądz Semenenko pożegnał się i odszedł, a przyszły ksiądz, chwilowo zaś jeszcze świecki wędrowiec, Józef Dąbrowski najpierw ukląkł, potem legł krzyżem i modlił się żarliwie na tej samej arenie, w którą ongi wsiąkały strugi krwi pierwszych chrześcijan, pierwszych męczenników za wiarę, pierwszych tej wiary w Chrystusa krzewicieli, pierwszych kapłanów. To, że on może być ich naśladowcą i jakby młodszym kolegą, że może być kapłanem i krzewicielem świętej wiary, że nawet może ponieść śmierć męczeńską, gdyby go wysłano na misje w głąb Afryki czy Chin — to zostało mu dzisiaj oznajmione, właśnie tutaj. Dlatego najpierw długo i serdecznie dziękował Stwórcy za ten zaszczyt największy pośród ziemskich zaszczytów, a potem

błagał Boga, aby mu dał tę zaletę, której Polakom najwięcej brak, błagał o wytrwałość.

Pogrążony w najgorętszej modlitwie zatracił rachubę czasu, nie odczuł jego niestrudzonego biegu wzdłuż milowych słupów, które ludzie godzinami nazwali, nie dosłyszał piania kogutów, ani nie zauważył, że świta, że dnieje, że zewsząd dobiegają do Colosseum pierwsze odgłosy budzącego się miasta. Słońce weszło już dawno, kiedy jakiś włoski lazarone — zapędziwszy się do ruin rzymskiego amfiteatru — dostrzegł na historycznej arenie u stóp krzyża człowieka leżącego krzyżem i bez ceremonii zaczął go tarmosić.

„Czy spałeś tutaj?“

„Modliłem się, nie spałem.“

„Przez całą noc w tej niewygodnej pozycji?! No, w takim razie musisz być albo wielkim świętym, albo wielkim grzesznikiem.“

„Ani jednym, ani drugim,“ odparł z uśmiechem Dąbrowski, rozbawiony takim rozumowaniem nieznanego włóczęgi. Bardzo słabo wtedy znał język włoski, toteż nie mógł jeszcze wdać się w pogawędkę i zakończył po prostu: „Jestem zwyczajnym człowiekiem.“

„Rozumiem, rozumiem,“ potakiwał rozmowny włóczykij; „jesteś człowiekiem zwyczajnym, a modliłeś się tak długo dlatego, że spotkało cię jakieś wielkie, nadzwyczajne nieszczęście.“

„Przeciwnie, szczęście!“

Ach, jakże żałował, iż nie potrafi opisać po włosku bezmiaru szczęścia, jakie go rozpierało! Włóczęga spragniony pogawędki chciał go poczęstować owocami, jakie miał w kieszeniach, ale Dąbrowski — choć głodny uczciwie — nie skorzystał z poczęstunku; chciał nadal być na czczo, aby po wczorajszej spowiedzi móc przystąpić do Komunii świętej w pierwszym spotkanym kościele. Tak też uczynił, wyszedłszy z Colosseum, potem koło południa zameldował się u księdza Semenenki w seminarium i tegoż dnia po raz pierwszy w życiu zobaczył zakład naukowy duchowny i w nim pozostał.

Od tego czasu upłynęły blisko cztery lata i teraz Dąbrowski, siedząc na szczycie Monte Pincio, spoglądał oczyma na leżące u jego stóp Wieczne Miasto, a równocześnie spoglądał myślą w swoją najświeższą przeszłość, w ów prawie czteroletni pobyt w Rzymie. Trzy lata z tego czasu pochłonęły studia teologiczne na Gregorianum, resztę ćwiczenia duchowne, lektura stosownych dzieł, kształcące rozmowy z wychowawcami, zwłaszcza z księdzem Semenenką, no i zalecana wciąż przez tego ostatniego pokuta w różnych formach, do najcięższych praktyk ascezy włącznie.

Ukoronowaniem studiów i nagrodą za dobrowolne trudy, umartwienia, za wytrwałość w realizowaniu dawno powziętego zamiaru, były święcenia kapłańskie, które Józef Dąbrowski przyjął dnia 1 sierpnia 1869 roku. Teraz był już księdzem, teraz już nawet wiedział, gdzie będzie duszpasterzem i niepokoił się tylko, jak matka przyjmie jego niespodziewaną decyzję, równającą się skazaniu jej na prawdopodobnie dożywotnią rozłąkę z ukochanym synem.

Ksiądz Józef Dąbrowski postanowił bowiem wyjechać do Ameryki, co przy ówczesnej powolnej żegludze morskiej było rzeczywiście podróżą na drugi koniec świata. Na powzięcie tego zamiaru wpłynęły wiadomości nadchodzące z Ameryki, że osiedlający się tam Polacy w bardzo wielu miastach i miasteczkach nie mają ani jednego kapłana władającego polskim językiem, skutkiem czego pozbawieni są praktyk i pociech religijnych.

Do jednego z wychowawców Dąbrowskiego, do księdza Kajsiewicza, który w roku 1866 powrócił do Rzymu z Ameryki, napisał stamtąd list ksiądz Dubuis, biskup Galveston w Texas, a w liście tym był taki ustęp:

> *„... w sześciu, czy siedmiu miejscowościach w mojej diecezji jest parę tysięcy pobożnych, żądnych Słowa Bożego i gospodarnych Polaków, bez żadnego kapłana umiejącego po polsku. Ufam, iż Zgromadzenie Zmartwychwstańców nie zaniedba chyba swoich braci, ani krwi swojej polskiej, ani dusz Krwią Chrystusa Pana odkupionych, a tutaj jeszcze wciąż pozbawionych środków zbawienia“ ... itd.*

Tego rodzaju alarmujące wieści sprawiły, że Józef Dąbrowski postanowił poświęcić się pracy duszpasterskiej w Ameryce, wśród Polaków. Gdy przybyły do Rzymu biskup Józef Melcher z diecezji Green Bay w Stanie Wisconsin zaproponował Dąbrowskiemu objęcie parafii niemieckiej, Dąbrowski wymówił się od tego grzecznie, lecz bardzo stanowczo.

„Jak to! Gardzisz bliźnimi, katolikami, dlatego że są pochodzenia niemieckiego?!“ żachnął się urażony biskup.

„Broń Boże, nigdy nikim nie gardzę,“ odparł Dąbrowski, „ale Wasza Ekscelencja wie to najlepiej, że Niemcy w Ameryce mają obsługi duchowej pod dostatkiem, natomiast słyszałem tu nieraz, iż Polacy nie mają jej tam prawie wcale i żyją w opuszczeniu, bez obsługi, bez religijnej pociechy. Jeżeli przeto chcę jechać do Ameryki, to tylko dla pracy wśród Polaków.“

Śmiałe to wystąpienie młodego kleryka nadspodziewanie spodobało się biskupowi Melcherowi. Przyrzekł sprowadzić go do Ameryki, przyjąć do swojej diecezji i dać mu w niej polską parafię; przyrzekł i obietnicy dotrzymał. Przed wyjazdem „na drugi koniec świata“ pragnął ksiądz Dąbrowski otrzymać błogosławieństwo swej matki i pożegnać się z nią — kto wie, może na zawsze! — lecz odwiedzić jej nie mógł, gdyż jako były uczestnik powstania byłby w Polsce przez Moskali niezwłocznie aresztowany i zesłany na Syberię. Dlatego napisał do matki list z prośbą, aby przyjechała do zagarniętej przez Austro-Węgry Małopolski, a ściśle biorąc, do Krakowa.

> *„... tam spotkamy się, Najdroższa Mamo, tam ujrzysz mnie po raz pierwszy w kapłańskiej szacie, którą obecnie noszę. Tam, w starym Krakowie, w jednej*

z jego cudnych świątyń odprawię Mszę Świętą na Twoją, Kochana Mamo, intencję i tam wreszcie zakomunikuję Ci pewną ważną wiadomość, którą... doprawdy nie wiem, jak przyjmiesz...“

List zawierający między innymi ustęp wyżej przytoczony wysłał tego samego dnia, w którym otrzymał pomyślną decyzję od biskupa Melchera. Niewiele czasu zabrało mu uporządkowanie tych książek i nader skromnych odzieżowych ruchomości, jakie zamierzał zabrać z sobą w podróż, zato dzień za dniem pochłaniało mu składanie pożegnalnych wizyt, bo niejedna z nich przeciągnęła się tak, że inne, na ten sam dzień wyznaczone, trzeba było do jutro odłożyć.

Aż dzisiaj przyszła kolej na odwiedziny pożegnalne, jakich żaden z byłych wychowawców, a dziś życzliwych doradców ani nie zalecał, ani w ogóle nie brał pod uwagę. Lecz niedawno wyświęcony ksiądz Józef Dąbrowski na samym dnie serca zachował snadź trochę „kąkolu romantyzmu,“ tak zaciekle tępionego w twardej szkole księdza Semenenki, gdyż właśnie na dzisiejszą niepoważną wizytę cieszył się najwięcej już z góry i teraz rozkoszował się nią w całej pełni. Ową znakomitością rzymską, której dziś składał swe uszanowanie, była ulubiona „jego górka,“ Monte Pincio, a salonem przyjęć, jej szczyt pokryty głazami, a tu i ówdzie porośnięty krzakami i drzewami.

Z Monte Pincio najpiękniejszy widok roztacza się na Rzym, więc rozstając się z Wiecznym Miastem — kto wie, może na zawsze, — stąd je chciał pożegnać. I żegnał je spojrzeniami pełnymi miłości, bo przywiązał się do Rzymu i pokochał go potrójnie: przede wszystkim, jako katolik bardzo gorący, następnie jako esteta oczarowany pięknością zabytków historycznych Rzymu, jego świątyń jego pałaców, jego ogrodów, zwłaszcza zaś jego panoramy; a wreszcie, przywiązał się do Rzymu jako przejezdny gość, który blisko cztery lata tu spędził szczęśliwie.

Tak, szczęśliwie, bardzo szczęśliwie! W przeciwieństwie do Lublina, Warszawy, Frankfurtu, Berna i innych miast, w których przedtem mieszkał, a w których spotykały go przygody przykre i nawet niebezpieczne. — Rzym nie zgotował mu żadnej takiej niespodzianki. Prawie czteroletni pobyt tu był, pomimo nauki, pokuty, rygoru, właściwie jedną nieprzerwaną sielanką i w jego młodzieńczych latach najdłuższym okresem spokoju niemal klasztornego. Związały go więc z Wiecznym Miastem wyłącznie miłe wspomnienia...

„...oprócz jednego!“ mruknął bezwiednie kończąc głośno to rozpamiętywanie rzymskiego etapu swego życia.

Tym jedynym niezbyt miłym epizodem było całkiem przypadkowe i niespodziewane spotkanie z hrabianką Ireną, raczej rozmowa z nią. Spotkanie to nastąpiło za miastem, podczas jednej z pierwszych przechadzek, jakie ks. Semenenko dla zdrowia zalecał seminarzystom. Poszło ich wtedy czterech, piątym był ksiądz-prefekt, zwany żartobliwie wycieczkowym aniołem stróżem. Pod lasem jeden z seminarzystów zwichnął nogę czy nadwyrężył ścięgno, dość że nie mógł iść dalej

o własnej mocy, czyli popsuł wszystkim wycieczkę. Uradzili tedy, że do jej celu — zresztą już bliskiego, a był nim wiejski kościółek o przepięknej architekturze — pójdą dwaj seminarzyści z prefektem i sprowadzą stamtąd jaki wehikuł dla przewiezienia do Rzymu kolegi inwalidy, przy którym tymczasem jeden z nich będzie czuwał. Który? Żaden nie miał ochoty pozbawiać się widoku owego cudu architektury i być skazanym na nudy dwu-godzinne tutaj, toteż wychowawca chciał wybór „delikwenta" zwalić na barki ślepego losu, wyjął chusteczkę i na jednym z jej rogów jął skręcać supełek.

„Pociągniecie kolejno za końce chustki," rzekł. „Kto wyciągnie węzełek, ten pozostanie przy naszym inwalidzie."

Z jego zaciśniętej pięści wyjrzały za chwilkę trzy rożki chusteczki. Dwaj klerycy spoglądali na nie z obawą i certowali się wzajemnie, który z nich ma zacząć. Dąbrowski zaś bez wahania przystąpił do wychowawcy, na chybił trafił schwycił jeden różek, pociągnął go i...

„Twój różek nie ma supełka, ty pójdziesz ze mną," obwieścił prefekt; „Następny niech ciągnie... No?... Prędzej!... Wahacie się? Wstyd!"

„Proszę księdza, niech oni idą, a ja zostanę przy koledze," rzekł Dąbrowski ku ogólnemu zdumieniu.

Nie pierwszy raz z należnej mu korzyści, czy przyjemności zrezygnował na rzecz kolegów, którzy lubili go za to ogromnie, ale i trochę wykorzystywali. Dąbrowski uważał te drobne swoje poświęcenia za szkołę, która go przygotuje do wielkich poświęceń w przyszłości; ani mu jednak przez myśl nie przeszło, że tym razem za jego właściwie małe umartwienie się, los mu wypłata dużego figla.

Wkrótce po odejściu prefekta i towarzyszących mu dwóch kleryków, ów trzeci, inwalida, zasnął sobie aż miło na trawie, w cieniu pierwszych drzew lasu. Wzdłuż ściany lasu biegła miękka wiejska droga, która o 20 kroków stąd zataczała maleńkie półkole, okrążając nim figurę stojącą na cokole przesadnie dużym i niezgrabnie wyciosanym z olbrzymiego głazu. Górną część figury zasłaniały gałęzie rosnącego w jej pobliżu drzewa, toteż trudno było wymiarkować z daleka, czy posąg ten przedstawia jakiego świętego czy anioła, czy może pogańskiego bożka z tak licznych we Włoszech wykopalisk. Przekonawszy się, że towarzysz śpi twardo, Dąbrowski postanowił obejrzeć ów posąg z bliska. Idąc ku niemu, stwierdził najpierw, że tam, gdzie droga wyginała się w półkole, był również wylot ścieżki przecinającej las i gęsto porytej kopytami końskimi. Nie zajęło go to ani trochę, natomiast niezmiernie dlań interesujące i miłe było drugie odkrycie, mianowicie, że posąg jest figurą świętego Józefa, jego patrona! Oczywiście za chwilę już klęczał i niebawem zatopił się w modlitwie tak, że kolega inwalida, gdyby się zbudził, musiałby długo krzyczeć, zanim by Dąbrowski ocknął się z swego zachwycenia, jak koledzy nazywali jego modlitwy.

Nic tedy dziwnego, że nie usłyszał również tętentu dwóch rumaków, pędzących jeden tuż za drugim leśną ścieżką w stronę jej wylotu.

Za to jego spostrzeżono już z daleka, cwał przeszedł w kłus, kłus w stępa, drugi wierzchowiec zrównał się z pierwszym i szły powoli łeb w łeb, a jadące wierzchem młode, strojne damy zaczęły z sobą rozmawiać półgłosem po francusku.

„Mówiłam ci, Ir, że to nie ma żadnego sensu odłączać się od całego towarzystwa. To nawet niebezpiecznie w tych garibaldzkich czasach.“

„Ech, ty zawsze jesteś tchórzem podszyta. Gdyby ten tam człowiek był rozbójnikiem, zaczaiłby się w krzakach, a nie modliłby się pod figurą.“

„Może to podstęp? Kto ci ręczy, że on nagle nie rzuci się na...“

„On mi ręczy!“ wtrąciła młodsza, złotowłosa blondynka i wyrwawszy z pochwy przy siodle pistolet, podsunęła go pod nos swej towarzyszce, brunetce, która na widok broni palnej w tak bliskim sąsiedztwie swego nosa omal nie spadła z konia. „On, ten pistolet mi ręczy za nasze bezpieczeństwo, rozumiesz, droga Lisette? On utrzyma w szachu każdego napastnika!“

„A jeśli zbójów będzie więcej niż jeden?“

„To jednego wyślę do piekła, drugiego trzasnę między oczy szpicrutą i popędzimy na powrót w las, ku naszej polanie. A stamtąd już na odgłos mego strzału wyruszy tu cwałem pomoc i zrobi ze zbójów bigos! ... Ach, Lisette, Lisette, jakaś ty śmieszna z tym swoim tchórzostwem! Spójrz, teraz widać już dobrze tego pod figurą; to przecież ksiądz, jakiś ksiądz albo kleryk!“

„Rzeczywiście,“ odetchnęła z ulgą brunetka i zaraz wrócił jej francuski humor i paryskie zacięcie do kpin, drwin, ironii. „Ależ ten modli się i modli, tak jakby chciał w tym odrobić moje i twoje zaległości!... Słuchaj, Ir, a może by wdać się z nim w rozmówkę... wiesz, tak po naszemu, z powłóczystymi spojrzeniami“...

„Racja. Zabawa będzie pierwszej klasy! Która z nas zacznie?“

„Ja, Ir, tym razem ja. Ty zjedź z ścieżki w gąszcz i czekaj, póki cię nie zawołam. Ja zaś podjadę do niego i zacznę niby to wypytywać go o drogę.“

Omówiły jeszcze inne szczegóły planowanej zaczepki, po czym Francuska sama wysunęła się z lasu, podjechała do figury, spojrzała z bliska na pogrążonego w modlitwie kleryka i aż mrugać zaczęła z wielkiego zdziwienia.

„Nadzwyczajne podobieństwo!“ wyszeptała. „Nie chwalący się, ja mam kolosalną pamięć fizjognomii; kogo raz ujrzę, tego zapamiętam na całe życie... No, ale bywają i sobowtóry, więc może to nie on?... Hej, księże!“ dodała już głośno.

Dąbrowski ocknął się dopiero wówczas, gdy końcem szpicruty dotknęła jego łokcia; odwrócił głowę i spojrzał nie bez zdziwienia na strojną amazonkę, która teraz, gdy ujrzała go ‘en face’, stropiła się nieco; ‘en face’ nie był tak, jak z profilu, łudząco podobny do jednego z czterech powstańców, ongi poznanych w Polsce.

„Księże, przepraszam, czy ksiądz przypadkowo nie jest Polakiem?“

„Tak, pani, jestem Polakiem.“

„I był ksiądz wraz z trzema kolegami w Lipinach, w pałacu hrabiego...

„Owszem,“ wtrącił Dąbrowski, „ale jaki powód tej indagacji?“

„Ten, że chciałam się upewnić, no i upewniłam się, przekonałam się znowu, iż moja pamięć jest niezawodna, genialna! A ksiądz mnie już sobie nie przypomina? Poznaliśmy się w Lipinach, tańczyliśmy razem, aż hej!“

„Nie, pani. Ja nigdy w swoim życiu nie tańczyłem już choćby dlatego, że nigdy tańczyć nie umiałem. Wynika z tego, iż niezawodna pamięć łaskawej pani w tym wypadku zawiodła kompletnie.“

„No, więc może tańczyłam tylko z księdza kolegami. Za to ręczę głową, że w owym naszym pożegnalnym wieczorze w Lipinach ksiądz także brał udział.“

„Na to zgoda. Rzeczywiście byłem i ja tam wówczas.“

„Nareszcie się ksiądz przyznał!“ orzekła z humorem i zaczęła wołać w stronę lasu; “Hej, Ir! Ir, cwałem do mnie! Czeka cię miła niespodzianka!“

Francuska, ucieszona nieoczekiwanym spotkaniem, a jeszcze bardziej nowym triumfem swej „niezawodnej i genialnej“ pamięci, trajkotała radośnie i z oszałamiającą szybkością, wciąż jeszcze po włosku, skacząc z tematu na temat i w ogóle nie dopuszczając Dąbrowskiego do głosu, dopóki nie nadjechała jej towarzyszka. Hrabianka Irena na pierwszy rzut oka nie poznała w kleryku dawnego znajomego, musnęła go obojętnym spojrzeniem i spytała pannę Lisette po francusku:

„Już zwyciężyłaś, czy już przegrałaś i chcesz, bym cię pomściła?“

„Ani jedno, ani drugie. Jeszcze nawet nie rozpoczęłam ataku na jego bogobojne serduszko,“ odparła zapytana w tym samym języku i znowu przeszła na włoski.

Dąbrowski jednak rozumiał po francusku, czego snadź obie pannice nie przeczuły, zesztywniał, nasrożył się w duchu i pomyślał: „Tylko spróbuj, a dam ci taką nauczkę, że ją zapamiętasz na całe życie!“ Tymczasem panna Lisette po włosku wyjaśniała hrabiance Irenie, kim jest ten ksiądz, oraz gdzie i kiedy go poznały.

„Ach tak? Jakże się cieszę!“ Hrabianka wyciągnęła do kleryka dłoń, więc nie mógł jej nie uścisnąć, ale milczał dalej, nastrojony na nutę najwyższej nieufności po tym, co one z sobą mówiły po francusku. „Wie ksiądz, ja od tego naszego pożegnalnego wieczora nigdy nie widziałam moich Lipin i prawdopodobnie już nigdy w życiu ich nie zobaczę,“ westchnęła.

„Czy Moskale skonfiskowali także majątki ojca pani?“ spytał współczująco, bo wzruszyły go jej słowa i westchnienie.

„Nie, Rosjanie nic nam nie zabrali, gdyż mój ojciec żył w najlepszej zgodzie z urzędnikami. Zatuszowano więc jakieś tam zajście z powstańcami w Lipinach, ale mój ojczulek niepotrzebnie tak się tym przejął, że nagle zmarł.“

„Proszę przyjąć moje kondolencje, choć spóźnione, lecz najszczersze. Powiedziała pani ‘jakieś tam’ zajście; czyż by pani po dziś dzień nie znała bliższych szczegółów tego tragicznego wydarzenia?!“

Okazało się, że nie znała! Jej ojciec, z którym pożegnała się w Poznaniu, wrócił do Lipin, ona zaś wraz z swoją opiekunką-przyjaciółką, Mlle. Lisette Durand odjechała do Rzymu i tu w kilka miesięcy później otrzymała z Polski wiadomość, że jej ojciec zmarł nagle, zmartwiwszy się jakimś zajściem z powstańcami w Lipinach, że władze sądowe rozpoczęły postępowanie spadkowe, że prawdopodobnie da się utrzymać w mocy testament zmarłego, mocą którego uniwersalną spadkobierczynią hrabiego ma być ona, jego jedyna córka, Irena. Postępowanie spadkowe wlokło się prawie trzy lata, w czasie których musiała tu żyć skromnie, za to potem... nie żałowała sobie na nic! Teraz już nie może sobie pozwolić na tak wystawny tryb życia, gdyż...

„Administrator jej majątków w Polsce,“ wtrąciła pospiesznie Mlle. Durand, „okrada ją i wyzyskuje haniebnie!“

„W czym ty tutaj naśladujesz go, jak możesz,“ dodała śmiejąc się Irena, a zauważywszy złe błyski w oczach Francuski, objęła ją w pół i pocałowała w policzek serdecznie. „No, no, nie gniewaj się, kochanie, jak i ja się nie gniewam, kiedy doisz moją sakiewkę. Bardzo z ciebie kosztowna towarzyszka, lecz za to kompan świetny! Zanudziłabym się chyba na śmierć bez ciebie, droga Lisette... A wracając do mego opowiadania, muszę jeszcze dodać, że głównym powodem ostatniego zmniejszenia się moich dochodów z Polski jest to, iż mój administrator rozparcelował najpierw najlepsze folwarki i sprzedawał ziemię za tanio, więc dzisiaj nikt nie chce płacić więcej lub choćby to samo za ziemię gorszą.“

Dąbrowski posmutniał. Ta dziewczyna, zamiast siedzieć w Polsce i gospodarować w odziedziczonych po przodkach majątkach ziemskich, wyzbywała się ich lekkomyślnie, a te dochody trwoniła za granicą! Po namyśle uznał jednak taki stan rzeczy za pożyteczny dla ogółu; volenti non fit iniuria, skoro tedy Irenie odpowiada taki utracjuszowski tryb życia, niech sobie na starość idzie z torbami pod kościół; natomiast Polska dużo zyska na tym, że olbrzymie lipińskie dobra, które przez kilka wieków żywiły jedną hrabioską rodzinę, dadzą po rozparcelowaniu pracę i chleb setkom czy tysiącom polskich włościan, cierpiącym na głód ziemi tak, że muszą emigrować do Ameryki. To mając na myśli zapytał z ciekawości, ilu też mniej więcej naszych chłopów nabyło dotychczas ziemię przy parcelacji lipińskiego klucza.

„Naszych?“ powtórzyła hrabianka Irena. „Chyba żaden! Przecież te chamy nie mają pieniędzy, a ja sprzedaję tylko za gotówkę, prawie nigdy na kredyt. Toteż mój administrator, choć złodziej skończony i oszust, wpadł jednak na znakomity pomysł ściągnięcia do Lipin kolonistów niemieckich. Ci mają zwykle pieniędzy pod dostatkiem, a jeśli nawet nie mogą całej należności zapłacić gotówką na stół, można im śmiało resztę ceny kupna skredytować, gdyż są gospodarni i oszczędni; nie tak jak nasi rozleniwieni, niesolidni i lekkomyślni chłopi.“

„Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli najgorzej,“ mruknął pod

nosem Dąbrowski i, nie mogąc już wprost patrzeć na tę ładną, lecz jakże złą Polkę, która jakby dla ukoronowania swoich grzechów przeciw Ojczyźnie, sprzedawała ziemię pradziadów Niemcom, najgorszym wrogom Polski, rzekł: „Muszę już wrócić do mojego towarzysza, za czym żegnam panie.“

„Już?“

„Tak prędko?“ zaczęły wołać na wyścigi.

„Myślałam, że sobie pogawędzimy dłużej.“

„I musimy sobie pogawędzić. Jeśli ksiądz dziś nie ma czasu, to odwiedzimy go kiedykolwiek w Rzymie.“

„Masz rację, Ir, odwiedzimy go w Rzymie. Proszę o adres.“

„A na razie,“ dorzuciła Irena, „odprowadzimy księdza i po drodze wysłuchamy jego relacji o tym tajemniczym zajściu z powstańcami w Lipinach. O tym wypadku, przez który mój ojciec zamartwił się na śmierć.“

Dąbrowski nie miał najmniejszej ochoty do ich towarzystwa w drodze, a tym bardziej w Rzymie! Omal nie parsknął na myśl, jaką minę przerażoną i zgorszoną zrobiłby przeznacny, lecz nazbyt surowy ksiądz Semenenko, gdyby jego alumna odwiedziły kiedy te dwie młode, ładne i pachnące na milę, jak kwiaciarnia, elegantki. Pragnąc tedy uniknąć dalszych spotkań z nimi i podania im swego adresu, postanowił zostać z nimi jeszcze przez chwilę tutaj, na rozstajach dróg, pod figurą świętego Józefa. „Ty, mój święty patronie, pomożesz mi chyba zlikwidować jak najprędzej znajomość z tymi damulkami,“ westchnął w duchu pół serio, pół żartobliwie, albowiem Dąbrowski prócz wielu zalet serca i umysłu miał i tę zwykle niedocenianą, a tak ważną w życiu, którą zwiemy poczuciem humoru.

„Ponieważ w Rzymie spotkać się nie możemy,“ zaczął, „przedstawię paniom tutaj przebieg owego nieznanego wam zajścia z powstańcami w Lipinach, a raczej tragedii, z której bohaterów tylko ja cudem ocalałem.“

Jego opowieść była treściwa, lecz realistyczna i bynajmniej nie nastawiona na oszczędzanie słabych nerwów niewieścich. Przeciwnie, chcąc wstrząsnąć sumieniami dwóch swoich lekkomyślnych, zepsutych słuchaczek, Dąbrowski nie żałował mocnych słów, gdy opisywał tragiczne wydarzenia owej strasznej nocy w Lipinach i dzielność tamtejszej gospodyni, pani Balbiny, którą później skazano na dożywotni pobyt w tajgach Sybiru. A przede wszystkim, gdy opisywał zmasakrowane zwłoki swoich trzech towarzyszów broni, oraz zabitych przez nich w bohaterskiej obronie pięciu Rosjan, był bardzo jaskrawy.

I spotkał go zawód wielki! Obydwie damy słuchały jego opowiadania z dużym zainteresowaniem, ale nie uroniły ani jednej łzy! Nawet Tadeuszowi Lińskiemu, który przecież był ciotecznym bratem Ireny, a jeszcze czymś więcej dla panny Lisette, nie raczyły poświęcić choćby jednego westchnienia, tylko hrabianka napomknęła lekko, jakby szło o pieska, czy parugę:

„Szkoda Tadka, on miał takie figlarne, wiecznie śmiejące się oczy.“

O muzykalnym Stasiu w ogóle wzmianki nie zrobiła, ani o wiernej Balbinie, która przez tyle lat zastępowała jej matkę, ani nawet o kapitanie Hugonie Guliczu, który przecież zaręczył się z Ireną! Dopiero dzisiaj, dopiero przed chwilą dowiedziała się o jego tragicznej śmierci i... i nic, ani nie westchnęła ta kochająca narzeczona, ta zimna, bezduszna lalka! Zirytowało to Dąbrowskiego do tego stopnia, że kiedy parę minut później zaczął żegnać się z paniami już definitywnie, powiedział do hrabianki z ironią:

„Ach, bardzo przepraszam, że dotychczas nie złożyłem pani kondolencji z powodu śmierci jej narzeczonego."

„Mojego narzeczonego?" zdziwiła się szczerze, a jej francuska przyjaciółka dorzuciła wesoło:

„Którego, księże, którego? Bo Irenka miała narzeczonych już co najmniej z tuzin, ale zawsze szczęśliwie uratowałam ją przed małżeńską niewolą."

„Tuzin, to przesada. Byłam zaręczona tylko dziewięć razy."

„Nie wiedziałem, że tylko dziewięć razy. Ja miałem na myśli świętej pamięci kapitana Hugona Gulicza."

„Gulicza? Gulicz, Gulicz, skąd ja to nazwisko znam, Lisette?"

„Z dzisiejszego opowiadania księdza, no i trochę z Lipin."

„Ach tak, tak, teraz sobie przypominam... Ale ten pan nie był nigdy moim narzeczonym! Skąd ksiądz ma tę zdumiewającą wiadomość, że on był..."

„Od niego!" wtrącił Dąbrowski, wzburzony już do głębi. „On mi sam to powiedział i, uszczęśliwiony bezmiernie tym, że pani przyrzekła mu swoją rękę, tyle biedak mówił o swoim szczęściu, że — choć nie chciałem tego słuchać — powiedział mi wszystko! Uważał panią z całą pewnością za swoją przyszłą żonę, a pani nawet jego nazwiska zapomniała i potem miała kolejno dziewięciu innych narzeczonych!"

Tu prosto z mostu powiedział, co ludzie uczciwi sądzą o tego rodzaju kobietach. Rozpieszczonej jedynaczce, hrabiance Irenie, chyba jeszcze nigdy nikt w życiu takiej reprymendy nie wsypał, toteż nagle zapomniała języka w gębie i zaczerwieniła się jak pomidor zakochany w słońcu. Korzystając z tego, kleryk Józef Dąbrowski niedbale kiwnął głową damom i ruszył powrotną drogę ku miejscu, gdzie jego towarzysz wciąż jeszcze spał. Zanim jednak uszedł pięć albo sześć kroków, dopędziła go Mlle. Lisette Durand.

„Nie rozstaniemy się chyba w gniewie i nie zakończymy tak nagle odświeżonej dziś znajomości, która może być miła, bardzo miła," zaczęła, produkując masowo swoje słynne powłóczysto-omdlewające spojrzenia, które już w świeckim Rzymie tylu naiwnych durniów oszołomiły. „Ksiądz jest tak sympatyczny, taki urodziwy..."

Dąbrowskiego okropnie zaswędziła ręka, w której trzymał podniesiony przedtem z ziemi trzcinowy pręt, ale pohamował się i odparł:

„Niestety jednak, o pani nie można już dzisiaj powiedzieć: urodziwa. Ongi, w Lipinach, owszem. Ale w ciągu tych sześciu lat zbrzydła

pani okropnie i zestarzała się tak, jak gdyby pani conajmniej szesnaście lat przybyło. Żal mi pani, bo jeszcze parę lat takiego życia, a będzie z pani zgarbiona, bezzębna staruszka. Żegnam."

Powiedział to z taką powagą, że Mlle Lisette, starzejąca się już rzeczywiście i sądząca, iż umie to świetnie ukrywać pod szminką, zbladła jak kreda.

Tak więc obydwie lekkomyślne, zepsute pannice dostały na pożegnanie po nosie bardzo dotkliwie, lecz to nie dało Dąbrowskiemu pełnej satysfakcji i, co ważniejsza, nie zatarło uczucia niesmaku i odrazy, jakie w nim cała ta rozmowa wywołała. I nawet dzisiaj, choć od owego spotkania upłynęło sporo miesięcy, chociaż należało ono już do wspomnień zacierających się tak, jak zacierają się nad ranem prześnione w nocy sny, ksiądz Józef Dąbrowski nadal uważał przypadkowe spotkanie z hrabianką Ireną i jej francuską guwernantką-przyjaciółką za jedyny przykry epizod podczas swego prawie czteroletniego pobytu w Rzymie.

„Ale nie ma złego, które by na dobre nie wyszło; dzięki temu spotkaniu wiem, że prócz kobiet tak czcigodnych, jak moja matka, są również tak bezwartościowe lalki, jak ta Irena i tak przewrotne koczkodany, jak ta Francuzica Lisette. No i za jednym zamachem poznałem stosunek naszej arystokracji do naszego ludu wiejskiego, który choć tyle pańskiej ziemi ma pod nosem, musi iść za morza na wychodźczą tułaczkę i poniewierkę. Tak, tak, słusznie mówi przysłowie, że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Nawet ten jedyny przykry epizod rzymski dał mi sporo korzyści dydaktycznych."

Słońce miało zajść niebawem, powstał więc ksiądz Dąbrowski, by ruszyć w powrotną drogę do domu, do seminarium. Przedtem jednak raz jeszcze objął wzrokiem cudną panoramę miasta siedmiu wzgórz, miasta będącego bezcenną skarbnicą kulturalnych zabytków minionych stuleci, miasta będącego największym i najwspanialszym muzeum świata, miasta, które miał opuścić już jutro, a którego obraz chciał zachować w pamięci na zawsze. Poza wszystkimi swoimi zabytkami, czarnymi perłami kultury i bezcennymi pamiątkami historycznymi, jakie oczarować muszą każdego kulturalnego człowieka, choćby niedowiarka czy poganina, Rzym posiada specjalne walory dla chrześcijan, a zwłaszcza dla katolików; Rzym, jako faktyczna kolebka chrześcijaństwa, jest miastem świętym dla wszystkich wierzących chrześcijan, a dla katolików, szczególnie zaś dla księży, Rzym jako odwieczna siedziba papieży, namiestników Chrystusa, jest stolicą świata, której nigdy i nigdzie przenieść nie można, jest stolicą wiekuistą, wieczną, świętą.

Nasyciwszy oczy widokiem Wiecznego Miasta, tak dostojnego, a przy tym tak malowniczego, dzięki wzgórzom i wijącej się pośród nich żółtej wstędze wód Tybru, ksiądz Józef Dąbrowski pożegnał Rzym w języku łacińskim, wymawiając drżącymi ze wzruszenia wargami te proste słowa:

„Vale, Roma, urbs aeterna et sancta! Roma amor! Amor Roma!"

ROZDZIAŁ VIII

Szał żywiołów i szał ludzi

Nieznośny, uparty ból rozsadzał głowę, paraliżował wolę i rozpraszał myśli, które ksiądz Józef Dąbrowski chciał za wszelką cenę zebrać, uporządkować, skontrolować jak najsumienniej właśnie teraz, gdy jego życie zawisło na cieńkim włosku. Jak przystało gorliwemu katolikowi, a zwłaszcza księdzu, zawsze trzymał swoją duszę w takiej czystości i w takim pogotowiu, by każdej chwili mogła bez obawy stanąć przed swoim Stwórcą, Sędzią sprawiedliwym, ale nieubłaganie surowym dla tych zwłaszcza, którzy zmarli bez spowiedzi lub choćby bez wzbudzenia w sobie żalu doskonałego za popełnione grzechy. Ksiądz Dąbrowski był zawsze przygotowany na śmierć i nie obawiał się jej wcale, ale przez swoją nieco przesadną skrupulatność lękał się, że może coś przeoczył, pominął, zapomniał, kiedy czynił swój rachunek sumienia. Chciał go więc teraz zrobić ponownie i to od czasu ostatniej spowiedzi generalnej, jaką odbył w przeddzień swoich święceń kapłańskich, chciał zrobić ten ponowny rachunek sumienia koniecznie teraz, bo lada chwila statek mógł zatonąć. Ale nie mógł ani rusz zebrać i skupić rozpierzchłych myśli, gdyż pod wpływem morskiej choroby huczało mu w zbolałej głowie nie gorzej, niż za drewnianą ścianką kabiny huczał szalejący ocean.

Żegluga po północnym Atlantyku nigdy nie należy do przyjemności w zimie, nigdy nie jest spokojna w grudniu, lecz ten grudzień szczególnie był burzliwy, a w samo święto Bożego Narodzenia wicher zaczął wzmagać się na sile tak, że po parudniowym crescendo osięgnął szczyt skali, ową krytyczną i nawet w najstarszych żeglarzach trwogę budzącą dwunastkę, czyli szybkość wichru większą, niż 104 kilometry, lub 56 mil angielskich na godzinę. Wszystko, co ponad to, nie jest już nawet gwałtowną burzą, ale huraganem, który w różnych częściach świata różne nosi nazwy, jak cyklon, tajfun, itp., lecz zawsze i wszędzie jest takim samym szaleństwem żywiołów i piekłem dla ludzi przydybanych wówczas na morzu.

Przed chwilą do kabiny, którą zajmował ksiądz Dąbrowski wraz z pięcioma innymi przypadkowymi towarzyszami podróży, wszedł obsługujący ten korytarz kabin steward. Od dziewięciu lat mieszkał na Atlantyku, to jest pływał po nim tam i na powrót, był więc od dawna zahartowany, był na „ty“ z „sztormami,“ jak sam mówił o sobie, a jednak dzisiaj i on wyraźnie miał minę niewyraźną i strach w oczach.

„Jak tam wiatr?“ spytał go pasażer, leżący nad łóżkiem Dąbrowskiego.

„Mocny. Na mostku obliczyli, że dmie ze 70 mil na godzinę.“

„To mi nic nie mówi. Ja pytam, czy to przeklęte wichrzysko słabnie.“

„Wręcz przeciwnie, skoro przedtem gnało 65 mil.“

„To chyba najsilniejszy wicher, jaki...“

„Ech, nie,“ wtrącił steward. „Ja przeżyłem już cyklon, przy którym wiatr dmuchał blisko 90 mil na godzinę, ale wtedy...“

„Wtedy? Co wtedy? Kończ pan!“

„Wtedy ten statek był nowy i mocny, a dziś... szkoda gadać. Oświadczyłem więc już bossowi, że bezwarunkowo zażądam przeniesienia na inny statek... jeśli tę burzę przeżyjemy.“

„Jeśli przeżyjemy,“ powtórzył ktoś głucho.

Potem urwała się rozmowa, bo nastąpił nowy straszliwy cios, wymierzony statkowi przez ocean. Nie zwykła fala, nie bałwan spieniony, lecz prawdziwa góra wody znowu runęła na ten płynący hotel podróżników. Momentalnie zalała go dziesiątkami czy setkami ton wody, która zaraz jęła spływać w szumiących kaskadach z górnych pokładów na dolne, aby z nich przez burty uciec na powrót w morze i aby nie stanowić żadnego pancerza dla statku, gdy za chwilkę zwali się nań z kolei następny wał wody.

Denerwujące były dla pasażerów te uderzenia płynnych lawin, pod których ciężarem statek zanurzał się głębiej i dygotał cały, jak ciężko raniony zwierz w przedśmiertnych drgawkach. Denerwowało również żałosne skrzypienie desek, spojeń, zawiasów, zagłuszane wnet wyciem wichru, lub na przemian jego przeraźliwym chichotem szatańskiej radości. Lecz najbardziej zamierały z trwogi serca „szczurów lądowych“ (a może i „wilków morskich“?) w przerwach pomiędzy uderzaniami dwóch bałwanów; kiedy bowiem na tle krótkiej i bardzo względnej ciszy słychać było szum wodospadów na pokładach, wydawało się pasażerom, że pękła gdzieś burta albo załamała się pokrywa któregoś luku i że ta szumiąca woda wlewa się do wnętrza statku. Oznaczałoby by to nieuchronny koniec! Byłaby to śmierć załogi i pasażerów, bo chciaż każdy statek ma szalupy ratunkowe zawieszone na zgiętych ramionach tzw. szlupbelek, nie można z nich skorzystać przy takim huraganie; każdą szalupę, zanim zdążyłaby odbić od statku, roztrzaskałyby o jego burtę te fale potworne. Zresztą, jeśliby duży statek tej burzy nie przeżył, czyż zdoła ją przeżyć taka maleńka, słaba łupinka, jaką jest przeciętna szalupa ratunkowa?!

O tym właśnie mówili półgłosem dwaj wytrzymalsi sąsiedzi księdza Dąbrowskiego, podczas gdy trzej inni tylko jęczeli i wymiotowali raz po raz.

„Tak, na szalupy nie ma co liczyć, ale może zdołałyby nas ocalić pasy korkowe, jakich sześć mamy w naszej kabinie.“

„Pasy? Hm, owszem, pas ratunkowy może pomóc coś nie coś, jeżeli się nie obluźni, jeśli woda jest ciepła, jeśli w pobliżu nie ma rekinów, no i jeżeli statek tonie stosunkowo blisko brzegów. Gdy bowiem pas się rozluźni, to rozbitek wnet machnie kozła i długo jeszcze po swojej

śmierci będzie pływał z nogami zabawnie sterczącymi nad wodą, a z głową pod wodą.“

„Rekinów tu nie ma, one nie znoszą tak zimnej wody...“

„Ludzie tym bardziej! Nie zapominaj, Karl, że to jest grudzień! W tak lodowato zimnej wodzie żaden człowiek nie wyżyje dłużej, niż kilka godzin.“

„Donner-Wetter, Friedrich, ty sądzisz, że trzebaby moknąć w tej zimnej wodzie aż kilka godzin, zanim by nas jaki inny statek wyłowił?!“

„Ja sądzę, że kilka dni, a nie godzin! Wczoraj można było jeszcze wytrzymać na pokładzie, więc siedziałem tam prawie cały dzień i od rana do wieczora nie zauważyłem na horyzoncie ani jednego statku!“

„Ale bywały także dni, w które spotykaliśmy po kilka statków.“

„Pamiętaj jednak, że na tle bardzo spienionego morza nikt nie dostrzeże z daleka tak maleńkiego punkciku, jak głowa rozbitka i nikt nie usłyszy jego krzyków przy takim ryku fal!“

„Gott, Du im Himmel, w takim razie — gdyby nasz statek zaczął tonąć — bylibyśmy zgubieni nieuchronnie!“

„Oczywiście, że tak,“ przyznał skwapliwie pesymista Friedrich.

Ksiądz Dąbrowski, przypuszczając, iż rozmowa tych dwóch Niemców — których słowa dobrze rozumiał — najwięcej rozprasza jego myśli, zatkał sobie uszy palcami, zamknął oczy i starał się niczego nie widzieć ani nie słyszeć. Ponieważ jednak to także niewiele pomogło, bo najbardziej dokuczał mu ból głowy, zwiastun morskiej choroby, postanowił rozpocząć zbieranie myśli od rzeczy najłatwiejszej, od porządkowania świeżych wspomnień.

„Zacznę od Rzymu.“

W Rzymie otrzymał święcenia kapłańskie dnia 1 sierpnia, 1869 roku. Później wyruszył w podróż do Krakowa, gdzie nastąpiło spotkanie z matką i z młodszym bratem, który go chciał koniecznie po rękach całować jako księdza i w ogóle odnosił się doń z przesadnym respektem, pokrywając nim swoje onieśmielenie. Co innego — matka! Dla niej, choć rozpierała ją rodzicielska duma i bezgraniczna radość, że jej najstarszy syn został księdzem i chociaż jako praktykująca katoliczka żywiła najwyższy szacunek dla stanu kapłańskiego... dla niej ksiądz Józef pozostał nadal „kochanym Józinkiem,“ jej „synaczkiem najdroższym.“ Po dawnemu całowała go w czoło, po dawnemu głaskała go pieszczotliwie po twarzy, a niekiedy żartobliwie burzyła mu czuprynę na głowie rękoma.

Cieszyła księdza Dąbrowskiego ta dawna serdeczność matczyna, lecz niepokoiła go zarazem, bo zdawała się wróżyć obfite łzy, żałosne wymówki, a może i protesty, gdy wyjdzie na jaw, że on postanowił wyjechać do Ameryki, ergo skazać matkę na nową z nim rozłąkę, długą, kto wie, czy nie dozgonną. Z dnia na dzień więc zwlekał z wyjawieniem swojej decyzji, a jego obawy wzrosły szczególnie, kiedy pewnego dnia matka przemówiła doń w te słowa:

„Nie masz pojęcia, jak bardzo szczęśliwą jestem, że skończyła się

wreszcie nasza tyloletnia rozłąka... że teraz będę zawsze przy tobie... że kiedyś ty, właśnie ty, mój najstarszy syn, zamkniesz mi powieki. Ach, mój Józinku najdroższy, dla tej nagrody warto było mieć tak strasznie ciężkie życie, jakie ja miałam po zgonie twojego ojca, och, warto było po stokroć!"

Serce ściskało mu się boleśnie jak nigdy, kiedy słuchał tych zwierzeń i równocześnie zdawał sobie sprawę, że on musi zburzyć doszczętnie cały ten gmach marzeń swojej biednej matki. Gdyby był inżynierem, adwokatem czy kupcem, byłby bez wahania zrezygnował z zamiaru wyjazdu do Ameryki, byłby pozostał przy matce aż do końca jej dni na tym łez padole; och, nawet nie wspomniałby nigdy, że kiedykolwiek nosił się z myślą wyjazdu za ocean, czyli z myślą opuszczenia matki.

Ale przecież on został księdzem, a to nakładało obowiązki większe od tych, jakie mają dzieci wobec rodziców. Był sługą bożym i miał służyć Bogu, a nie rodzinie swojej, której miejsce ma zająć parafia, czyli duża gromada ludzi z wszelkimi ludzkimi wadami, słabościami, ułomnościami, wymagającymi leczenia słowem bożym i budującym przykładem własnego bogobojnego życia. Poświęcając swoje życie dla ratowania dusz bliźnich, postawił tylko jeden warunek, którego treść najpierw zdziwiła, a może i zgorszyła biskupa, lecz później zyskała jego uznanie, mianowicie, że będzie duszpasterzem Polaków, przede wszystkim Polaków, gdyż oni w Ameryce najbardziej cierpią na brak religijnych pociech. Teraz, gdy biskup już przyrzekł mu polską parafię, gdy parafianie zapewne już niecierpliwie wyglądają przybycia swego przyszłego duszpasterza... teraz on miałby się cofnąć i tylu biednym rodakom zrobić gorzki zawód, aby za tę cenę oszczędzić zawodu tylko jednej osobie?!

Ba, lecz tą jedyną osobą była jego matka! Ona dała mu życie, ona później ocaliła mu życie dziesiątki razy, gdy jako dziecko chorował. Ona spędziła przy jego kolebce tyle bezsennych nocy. Ona uczyła go mówić, chodzić i, co najważniejsze rozpoznawać, rozróżniać dobro od zła. Ona go karmiła, odziewała, pielęgnowała, kształciła. Ona — po śmierci swego męża — zastępowała i zmarłego, jak mogła, pracując ciężko na utrzymanie dzieci i dla nich odmawiając wszystkiego sobie. Ona wpoiła w serce Józia miłość Ojczyzny i zasady moralności chrześcijańskiej i kult dla Matki Bożej, ideału matek. Ona umożliwiła Józiowi odbycie studiów gimnazjalnych w Lublinie, ona — docisnąwszy sobie pasa o ile tylko było możliwe — zdobyła się i na ten finansowy wysiłek, że wysłała najstarszego syna do Warszawy, by tam odbył studia uniwersyteckie. Ona — kiedy on porzucił naukę dla udziału w powstaniu tak lekkomyślnie bez przygotowania rozpoczętym — nie zrobiła mu żadnej wymówki, tylko drżała o jego życie i modliła się żarliwie, aby go Bóg strzegł od złej przygody. Ona też zapewne wymodliła mu ocalenie prawie cudowne tam, w Lipinach, gdzie wszyscy jego towarzysze tak tragicznie zginęli. Ona — gdy wrócił do Warszawy — znowu łożyła na jego utrzymanie. Ona — gdy musiał uciekać za granicę — bez wahania darowała mu swe najdroższe pamiątki rodzin-

ne, skromne kosztowności, które potem ten zły kolega Adolf Immerglück-Merglicki skradł mu w czasie jego choroby za granicą. Ona później w swoich czułych, a mądrych listach wysyłanych do Rzymu zachęcała go do wytrwania. Ona wreszcie — nie zważając na koszty i trudy podróży — na pierwsze wezwanie syna przyjechała do Krakowa, ani nie przeczuwając, że jej ukochany Józinek chce jej zwiastować... nową, tak długą rozłąkę.

„Z wyjątkiem pobytu w Rzymie, to właściwie wszystko zawdzięczam mateczce," uznał po zsumowaniu jej dobrodziejstw i ofiar.

I ciężką, bardzo ciężką walkę wewnętrzną przeszedł w Krakowie, zanim odważył się wreszcie przedstawić matce swą decyzję, powziętą jeszcze w Rzymie. Był przygotowany na najgorsze, więc jąkał się jak żaczek nie umiejący zadanej lekcji. Tymczasem matka sprawiła mu niespodziankę, wielką, ogromną, przemiłą i jak najchlubniej świadczącą o wielkoduszności tej wspaniałej matki-Polki. Choć zapewne serce jej skowyczało z bólu, nie uroniła ani jednej łzy, zapanowała nad sobą doskonale i powiedziała z prostotą, jaka cechowała ją zawsze:

„Pan Bóg prowadził cię, synu mój, dotychczas, niechaj więc prowadzi cię nadal. I niechaj ci błogosławi, jak ja ciebie błogosławię, synaczku. Jedź tedy w Imię Boże."

Wzruszony przykląkł i rozpłakał się, kiedy poczuł na głowie ręce matczyne, te ręce stwardniałe od ciężkich lat pracy, a jednak takie łagodne, delikatne, takie dobre zawsze.

I teraz, gdy leżał w kabinie statku, nad którym znęcały się szalejące żywioły, teraz znowu zatęsknił za rękami matki. Wydawało mu się, że tylko one potrafiłyby ukoić natychmiast ten straszny ból, który mu czaszkę rozsadzał. Ból nadal rozpraszał skupienie, lecz wspomnienia na razie kleiły mu się jako tako w jeden łańcuch. Jakież tam ogniwa tego łańcucha wiązały się jeszcze ze starym poczciwym Krakowem? Aha, kościółek Felicjanek!

W tym kościółku przy ulicy Smoleńskiej miał w dniu swego odjazdu odprawić mszę świętą na intencje matki i brata. Przybył tam wcześniej od nich, przybył tak wcześnie, że nawet musiał trochę czekać na otworzenie bramy kościoła. Był pewny, że nikogo w nim jeszcze nie zastanie. Tymczasem krzątało się tam już kilka zakonnic, które snadź weszły wewnętrznym wejściem z klasztoru.

„Jakie one pracowite! Jakie pobożne, jak rano wstały!" monologował sobie idąc w stronę zakrystii, a po drodze obserwując zachowanie się zakonnic. „Gdy tylko będę mógł, założę w Ameryce szkołę polską i będę starał się sprowadzić tam te pracowite i pobożne siostrzyczki Felicjanki na nauczycielki. Podróż jest kosztowna, lecz może się jednak uda..."

Słowa te miały w przyszłości spełnić się i to z nadwyżką.

Podczas owej mszy świętej przystąpiło do Stołu Pańskiego wyjątkowo dużo, jak na tak wczesną godzinę osób. I nagle pośród tylu obcych twarzy dostrzegł jedną znajomą i najdroższą mu na świecie

twarz matki. Gdy przyjmowała z jego kapłańskich rąk Komunię świętą, miała w oczach łzy, lecz były to łzy szczęścia. Poznał to od razu i spadły mu z serca ostatnie resztki głazu, który tak go ugniatał przed ową stanowczą rozmową z matką...

Tegoż dnia nastąpiło pożegnanie i wyjazd z Krakowa. Dalsze ogniwa wspomnień stanowiła podróż przez spory szmat Europy do cudzoziemskiego portu; tam wsiadł na transatlantycki statek, który...

„...tak ogromny i stateczny wydawał mi się w porcie, a teraz skacze szelma, jak piłka... Moja głowa, moja głowa! Podobno ten ból zmniejsza się po torsjach, ale mnie na torsje wcale się jeszcze nie zbiera."

Nie wszyscy jednak mieli przebieg morskiej choroby tak łagodny, jak ksiądz Józef Dąbrowski lub jak dwaj z jego pięciu kabinowych sąsiadów, owi Niemcy, którzy z niemiecką dokładnością omawiali wciąż różne sposoby ratunku na wypadek zatonięcia statku. Lekarz okrętowy miał ręce pełne roboty, a w jednym wypadku okazała się potrzeba przyzwania kogoś jeszcze innego! Ksiądz Dąbrowski — ukończywszy przegląd wspomnień — właśnie zabierał się do repetycji swego rachunku sumienia z wczorajszego dnia, kiedy do jego kabiny wpadł steward.

„Przepraszam, czy ksiądz jest księdzem katolickim czy..."

„Katolickim," odparł.

„A dlaczego? A co się stało?" dopytywali na wyścigi dwaj gadatliwi Niemcy.

„Nic się jeszcze nie stało, ale kto wie, czy jutro nie będziemy mieli morskiego pogrzebu."

„My wszyscy?! To znaczy, statek wytrzyma tylko do jutra?!"

„Tego wcale nie powiedziałem," zastrzegł się steward. „Mówiąc o morskim pogrzebie, miałem to na myśli, że jeden z pasażerów jest umierający i żąda, aby mu przyprowadzić księdza katolickiego."

„Mało to ich jest na statku?! Chyba z tuzin. Dlaczego fatygujecie naszego towarzysza, który jest poważnie chory?"

„Nie, nie," ozwał się ksiądz Dąbrowski. „Mnie tylko głowa boli. Już wstaję i zaraz pospieszę do chorego."

„Hm, ksiądz rzeczywiście bardzo źle wygląda," przyznał steward. „I panowie też mają rację, że wśród pasażerów jest kilkunastu księży katolickich, ale to sami Włosi i Irlandczycy, a umierającym jest Polak, z którym nawet nasz tłumacz nie zawsze potrafi się dogadać. Dlatego przyszedłem zapytać, czy ksiądz Dąbrowski, mając tak słowiańskie nazwisko, nie mówi może również po polsku..."

„Ależ tak, tak, jestem przecież Polakiem. Mogę iść z panem."

„Jeszcze nie! Radzę wziąć najcieplejszy płaszcz, a także skropić chustkę perfumem lub wodą kolońską, bo tam cuchnie okropnie!"

„Mój nos jest bardzo wytrzymały," odparł ksiądz Dąbrowski, który nigdy w życiu nie posiadał perfum ani wody kolońskiej. „Chodźmy więc, chodźmy!"

Dopiero gdy zszedł z łóżka, na którym leżał zresztą w ubraniu,

jeszcze bardziej w korytarzu mógł odczuć w całej pełni, jak silna jest chwiejba statku. Zataczał się gorzej niż przeciętny pijak, bo równocześnie z kołysaniem się bocznym przechodził także pionowe; gdy więc fala podnosiła sam dziób lub samą rufę, statek przybierał stromo pochyłą pozycję, a wraz z nim równoległe do niego podłogi i sufity korytarzy to samo czyniły. Skutkiem tego idący tuż za stewardem ksiądz Dąbrowski, wspinał się mozolnie pod górę, za chwilę leciał z góry, po czym następowała druga wspinaczka.

Ale tu huśtawka odbywała się przynajmniej pomiędzy ścianami, usłużnie podpierającymi idących. Natomiast gdy wyszli po schodach na górny pokład, miejsce korytarzowej podłogi wysłanej dywanem zajęły oślizgłe i wciąż zlewane wodą morską deski, a jedyną podpórkę stanowiła rozpięta na czas burzy lina. Trzeba się było jej trzymać kurczowo zwłaszcza wówczas, gdy nowa ogromna fala waliła się na statek i gdy woda zmywała za burtę wszystko, co napotkała, a co nie było mocno przytwierdzone. Ksiądz Dąbrowski skąpał się aż po szyję z pięć razy, zanim dotarli do małej nadbudówki, której pierwsze, bardzo solidne drzwi zdobił napis: TRZECIA KLASA. Nadbudówka zakrywała górny wylot schodów, którymi zeszli w głąb statku. Doprawdy w głąb, bo dobre dwa piętra poniżej powierzchni wody przy najspokojniejszym morzu. Dopiero tam, w głębinach rozwidnianych tylko sztucznym światłem, nigdy słonecznym, dopiero tam znajdowały się kabiny, kajuty, jadalnia, bar, umywalnie i tym podobne ubikacje upośledzonej trzeciej klasy.

Odór brudnych, spoconych ciał, woń gnijących resztek jedzenia, charakterystyczny zapach dziecinnych pieluch, ohydna woń wydzielin żołądków trapionych morską chorobą i wyziewy kloaczne... były pierwszą oznaką, że zbliżali się do pomieszczeń nieszczęsnych pariasów ówczesnej żeglugi transatlantyckiej. Drugą oznakę stanowiły odgłosy: płacz przerażonych dzieci, zawodzenia kobiet, złorzeczenia mężczyzn, przekleństwa pijanych, jęki chorych i wstrętne echa wymiotowania niemal zbiorowego. Ale wszystkie te okropności wyłapane przez nozdrza i uszy księdza Dąbrowskiego były jeszcze niczym w porównaniu z tym ogromem ludzkiej niedoli, jaką za chwilę ujrzały jego oczy.

„Jak można tak traktować ludzi!“ wybuchnął oburzony. „W najbiedniejszej wsi polskiej bydło ma czystsze obory, niż wasi pasażerowie z trzeciej klasy! Teraz rozumiem, czemu nie chcieliście mnie tu nigdy wpuścić...“

Steward nic na to nie odrzekł, może zresztą ani połowy nie dosłyszał pośród panującej tam wrzawy; omijając zręcznie nieboraków zawalanych własnymi womitami, przeskakując leżących w tym gnoju, apatycznych, zrezygnowanych i obojętnych na wszystko, zmierzał szybko ku drzwiom w drugim końcu sali a raczej gnojowni, która kiedyś była salą. Za tymi drzwiami rozpoczynał się korytarz wiodący między innymi do małego szpitalika trzeciej klasy. Tam zaprowadzono księdza Dąbrowskiego do niedużej kabiny, w której samotnie leżał stary człowiek, typowy okaz polskiego włościanina.

„Witaj mi, bracie, rodaku. Czemu nie poleciłeś wezwać mnie

wcześniej? No, ale przede wszystkim powiedz mi, jak się czujesz, czy chcesz się wyspowiadać...“

„Proszę księdza,“ wtrącił po niemiecku pielęgniarz; „on na pewno nie rozumie, co ksiądz doń mówi, on przecież już dogorywa! Serce miał za słabe na taki „sztorm,“ jak ten dzisiejszy... Dziw, że jeszcze dycha.“

Ksiądz przyjrzał się uważniej choremu, pochylił się nad nim i poprzez wszelkie hałasy, jakie nawet tutaj dobiegały, posłyszał wyraźnie:

„Niek ten śwab wyńdźie stond ino migiem!“

„Chory bardzo prosi, aby pan pozostawił nas tutaj samych,“ brzmiał wolny przekład tych słów w wersji grzecznego kapłana i pielęgniarz wyniósł się zaraz.

Po jego wyjściu, chory z dużym wysiłkiem wyjął spod kołdry jakąś pomiętą i rozdartą kopertę, z której wypadł mały kluczyk. Kluczyk ten był od kufra zawierającego cały dobytek umierającego wychodźcy, a jego syna adres znajdował się na kopercie, która ongi jakiś list od niego z Ameryki staremu ojcu przyniosła. Chory, nie mając żadnego zaufania do cudzoziemców, których ryczałtowo zwał „śwabami,“ pragnął usilnie, aby ksiądz-Polak wyświadczył mu tę przysługę i osobiście oddał „Maćkowi“ kuferek wraz z ostatnim pozdrowieniem od ojca.

Chory nie zdołał ani małej części tego wszystkiego wypowiedzieć, ale z jego oderwanych słów ksiądz Dąbrowski domyślił się, o co idzie i przyrzekł uroczyście wykonać to, o co go proszono. By jakimś podkreśleniem tej swojej gotowości ucieszyć starego wieśniaka, zaraz zaczął oglądać kopertę i nagle zdumiał się bardzo:

„Maciej Cholewa?! Czyżby to ten sam? Wiecie gospodarzu, ja ongi w Warszawie, w tamtejszej Szkole Głównej miałem kolegę, który zwał się także Maciej Cholewa. Potem razem braliśmy udział w powstaniu i...“

„Oj, to powstanie, to powstanie!“ wtrącił stary i grymas niezadowolenia wykrzywił mu twarz. „Gdyby nie ono, nie musiołby mój Maciek z kraju do Hameryki uciekać, nie musiołbym jo ojcowizny...“ urwał w pół zdania wyczerpany, lecz po chwili wyraził swą radość, że „ksionc probosc znajom Maćka.“

Wyspowiadawszy się następnie, Jan Cholewa zmarł cicho w chwili, gdy ksiądz Dąbrowski udzielał mu rozgrzeszenia.

W nocy wicher zaczął słabnąć tak szybko, że o świcie dął z szybkością najwyżej czternastu mil na godzinę, czyli w języku żeglarzy zwał się „umiarkowaną bryzą.“ Ocean rozkołysany kilkudnowym „sztormem“ marszczyła jeszcze „martwa fala,“ lecz czyniona przez nią chwiejba była regularna, łagodna i znośna. Nawet słońce wyjrzało spoza chmur, więc poweselili wszyscy, oprócz księdza Dąbrowskiego, którego szczerze zmartwiła śmierć ojca dawnego kolegi, a także pogrzeb morski, jakże inny od zwyczajnego! Ot zaszyli zwłoki w worku, który obciążyli jakimś ciężarkiem, kapelan okrętowy spiesząc się odmówił pospiesznie modlitwę, a zanim jeszcze ją skończył, niecierpliwi majtkowie prze-

chylili deskę, na której leżały zaszyte zwłoki, woda plusnęła i już było po pogrzebie. Ani najskromniejszy krzyżyk nie mógł oznaczyć miejsca, gdzie w pełne żarłocznych ryb głębiny oceanu spadło ciało ś.p. Jana Cholewy, polskiego wychodźcy, któremu wygodne życie w Ameryce obiecywał syn, już pono wzbogacony, jak wynikało z jego listu.

Reszta podróży przeszła bez wszelkich przygód i dnia 31 grudnia 1869 roku ksiądz Józef Dąbrowski szczęśliwie wylądował w New Yorku.

Tak ruchliwego portu, tak ogromnego i hałaśliwego miasta nigdy nie widział, toteż oszołomiony był nowojorskim „piekiełkiem," które dlań jeszcze większym „piekłem" stało się tego samego dnia wieczorem.

Chyba na całym świecie ludzie żegnają stary rok i witają nowy huczną — zabawą, lecz chyba nigdzie na świecie tradycyjna ta zabawa nie staje się tak ogólną i tak wrzaskliwą jak w Ameryce, a zwłaszcza w New Yorku.

O tym miał się ksiądz Dąbrowski przekonać, gdy pod wieczór — zapomniawszy całkowicie o tradycyjnym „Sylwestrze" wziął przewodnika w niemieckim domu emigracyjnym, gdzie zamieszkał i wyszedł na miasto. Wyszedł, gdyż zamierzał już nazajutrz jechać dalej na zachód, czyli tylko dziś mógł odwiedzić mieszkającego w New Yorku byłego towarzysza broni, Maćka Cholewę i oznajmić mu smutną wiadomość o zgonie ojca i oddać ów kluczyk, tylko sam kluczyk, gdyż kuferek zatrzymały władze celne w porcie.

Zanim wyruszył, rozpytał się o drogę, pokazując przewodnikowi adres Maćka wypisany na jego starej kopercie i kazał sobie pokazać na mapce miasta, którędy tam trzeba iść i jak tam daleko. Droga była niedługa, ot kilkanaście „bloków" prosto, potem trzy „bloki" w lewo, na wschód i potem tylko odszukać właściwy numer na tej „stricie."

Cała ta marszruta zdawała się być prostą, łatwą i krótką, tylko ksiądz Dąbrowski nie wziął pod uwagę nowojorskiego „Sylwestra," za co musiał odpowiednio pokutować w powrotnej drodze.

Gdy przybył na miejsce i w brudnej, ciemnej kamienicy wreszcie odnalazł drzwi z tabliczką, której napis oznajmił, że tutaj mieszka: „Mr. MATTHIAS B. CHOLEWA," po długim dzwonieniu otworzyło drzwi jakieś czupiradło płci żeńskiej, burknęło złą angielszczyzną, iż „myster Czoljuła" już zszedł na dół, do swojej restauracji, gdzie będzie pracował do rana, a potem będzie spał co najmniej do południa, więc jeśli w ogóle zechce gadać z „obcym księdzem," to najwcześniej jutro pod wieczór. Powiedziawszy to, czupiradło zatrzasnęło hałaśliwie drzwi, lecz tak niegrzeczne przyjęcie nie zniechęciło księdza Dąbrowskiego i zszedł na dół, aby odszukać dawnego kolegę w jego obecnym warsztacie pracy, w owej restauracji.

Restauracja była przede wszystkim dużą knajpą najgorszej klasy; to dało się poznać na pierwszy rzut oka, pomimo wyjątkowo dziś czystych obrusów, oraz mnóstwa chorągiewek i festonów, jakimi starano się nadać tej wstrętnej knajpie wygląd jak najlepszy na dzisiejszą

zabawę sylwestrową. Goście, robotnicy i rzemieślnicy — z żonami, córami, siostrami wystrojonymi cudacznie — zbierali się już, ale mało kto na razie siedział przy stoliku, większość pracowicie ostrzyła sobie apetyt, czyli piła przy długiej ladzie baru. Za ladą krzątało się w fartuchach niezbyt czystych pięciu kelnerów, dryblasów o wyglądzie rzezimieszków, a za kasą, na małym podwyższeniu przy rogu lady siedział z cygarem w zębach barczysty, łysawy grubas, w którym ksiądz Dąbrowski raczej odgadł, niż poznał dawnego towarzysza broni, Macieja Cholewę. Do tego stopnia Maciek roztył się i postarzał przez tych niespełna siedem lat!

„Tak, zewnętrznie zmienił się on tutaj bardzo; czy i wewnętrznie?" myślał ksiądz Dąbrowski, podchodząc do kasy szybko, gdyż pragnął opuścić ten lokal jak najprędzej. „Pan Maciej Cholewa, prawda?" zaczął po polsku, wymienił swoje nazwisko i dodał: „W roku 1862 byliśmy kolegami, studentami Szkoły Głównej w Warszawie."

„Siur! Jak się masz, Józek! Ajm sorry, tyś teraz ksiądz, jak widzę, więc nie mogę ci mówić po imieniu, co? Mogę?"

„Możesz, ale ja nie mogę przebywać ani chwilę w tym miejscu; wyjdź tedy ze mną na ulicę lub odprowadź mnie tam gdzie mieszkam, bo muszę ci..."

„To niemożliwe!" przerwał mu Maciek. „Właśnie dzisiejszy wieczór jest ten jeden jedyny w całym roku, że nie mogę wyjść z mej tawerny ani na pięć minut! Słuchaj, Józiu, spotkamy się jutro po południu, albo pojutrze i..."

„Niestety," wtrącił z kolei ksiądz, „to znów niemożliwe dla mnie, bo wyjeżdżam do Chicago jutro rano. Zatem...?"

„Nie, nie, ja cię nie puszczę, ja muszę z tobą pogadać!"

„Z księdzem, w knajpie?! Wykluczone!"

„Słuchaj, Józek; w tyle za restauracją jest jeszcze hala i mam kilka zacisznych pokojów. Na hali dziś jest mityng, ale w jednym z pokoików pogawędzimy sobie w cztery oczy i nie na sucho. Zjemy dobrą kolację przy tej okazji. Nic cię to nie będzie kosztowało, bo oczywiście jesteś moim gościem." Nie czekając zgody zaproszonego, Maciek Cholewa ryknął na całe gardło w stronę swoich pięciu pomocników: „Hej, chłopoki, doskocz tam który na górę i powiedz Dzianet, żeby przyszła mnie zastąpić! Za minutę musi tu być, czy jest ubrana, czy w koszuli. A —jakby się guzdrała — złap ją za kark, czy za kieckę i przytaskaj tutaj."

Rubaszny ten rozkaz wywołał salwę śmiechu klientów pijących przy ladzie i sprzeczkę kelnerów, z których każdy chciał wykonać to polecenie.

„Niech idzie Wasyl, on najmocniejszy z was," rozstrzygnął chlebodawca, dorzucił jeszcze kilka płaskich żartów, wywołujących ze strony niewybrednego audytorium śmiech i pochwały, których snadź łaknął, zwrócił się bowiem do dawnego kolegi w podobnież błazeńskim stylu; „A teraz, raczy ksiądz kanonik iść za mną do apartamentów zarezerwowanych dla tak wyjątkowych gości... No, chodźże, Józek,

kiedy Cholewa cię prosi!“ dodał niecierpliwie i, złapawszy dłoń księdza w swoje grube, lecz ogromnie silne paluchy, pociągnął go z sobą w głąb lokalu.

Przechodzili obok hali, na której właśnie „susajta“ polska Białego Orła mityngowała. Cholewa drzwi uchylił, aby się halą swoją pochwalić. Dąbrowski nie wszedł do wnętrza, lecz z korytarza spoza drzwi ciekawie spojrzał i zaczął słuchać. Zobaczył salkę o kilku oknach, pobieloną na niebieskawo. W jednym kącie przy ścianie stał duży żelazny piec; w środku i po bokach kilka ław i krzesełek; na podniesieniu w głębi sędziwy dość duży stół dla prezydium i mniejszy stolik dla kasjera; przy stołach kilka krzesełek. Główny stół snać przez uszanowanie dla prezydium nakryty był żółtawą brudną ceratą. Na środku przy nim siedział wysoki wąsal w zielonym garniturze, a obok niego jeszcze paru mężczyzn o srogich minach. Jegomość z długim wąsem i dużym brzuchem, siedzący w środku za stołem, był prezydentem „susajty“ Białego Orła. Ks. Dąbrowski rozejrzawszy się po sali zauważył, że zgromadzeni na niej członkowie „susajty“ byli to ludzie ogromnie w sobie dufni i przeważnie w wieku już po czterdziestce. Niektórzy mieli szramy na twarzy. Czerwonawo-fioletowe zabarwienie nosów kazało się domyślać, że znaczna część tych ludzi nie słyszała o istniejących na świecie towarzystwach wstrzemięźliwości. Idąc za wrodzonym każdemu zmysłem, by zaspokoić swoją ciekawość, ks. Dąbrowski rzucił jeszcze okiem po ścianach i dojrzał na nich kilka drukowanych napisów oprawnych w piękne, zaszklone ramy. Przeczytajmy niektóre z nich:

„Plócie na ściany i na podłogę zabronione!“

Na innym ogłoszeniu wydrukowano:

„Kto tu nie należy, niech zara wyjdzie!“

Ks. Dąbrowski mimowoli cofnął się ze drzwi na korytarz, ale słuchał, bo przemawiał zza stołu swego prezydent „susajty.“ Rozpoczynał posiedzenie i mówił właśnie:

„Kochane bracio: Najsompirw pozbiroma tax. Drugo rzecz jest, na ten przykłod, że nie kużdy akuratnie przychodzi na mityng, i susajta będzie zakładała štrof. Trzecio sprawa się tyczy kuli nabożeństwa, cośmy zamówili, żeby kużden jeden był w kościele w mundurze, przy siabli, a kto nie może, żeby się zameldowoł.

Czwarta bardzo ważno okoliczność jest, na ten przykład, ta, że susajta będzie kupowała property na nową halę.

Jeszcze jest jedno rzecz, com se akuratnie przypomnioł! Zeszłego razu znaleźli kole hali dwa oznaki, więc wom chce powiedzieć, żebyście oznak w siacunku mieli. Oznak, bracie jeden z drugim przedstawio całą susajtę; a kto oznak na ziemię rzuci, to jakby całą susajtą o ziemię wyrżnął.

A tera siadać! Zbierzema tax.“

Tax! Tax! powtarzają to wszyscy. Kasjer uderza w stół pięścią i zaczyna się zbieranie taxu:

„Dzian Pitwoch. — doł. —

„Walery Horenda — już. —

„Majk Szynka — zapłaciuł. —

„Alfons Rzepa — doł kwodra. —

„Kajetan Dryń — oddał. —

„Szczepan Gembaś — doniesie. —

„Grzegorz Mordał — nima; drugim razem. —

„Frenk Pazur — orajt. —

Jeden ze zgromadzonych nuci sobie coś szpetnego nod nosem.

Prezydent wstaje zza stołu i karci członków: „Siarap! powiadam: jak głowa godo, członki mają być cicho. Mnie tu postawili prezydentem, jo godom; jo porządku trzymam. Jak ciebie wpakują, ty będziesz bajdurzył.“

Następuje krótka tajna narada urzędników, w czasie której niektórzy członkowie ziewają, inni obgryzają paznokcie, jeden pokazuje drugiemu nowe buty:

„Ile dałeś?“

„3 dulary z centami.“

„Ło. Takie same kiedyś kupiłem i dołem 2 dulary pintnoście centów.“

„Chyba dychturzane podeświy! A kadyś kupowoł? jak się nazywo?“

„Eh! nie wiem; straśnie zmyśne ma przezwisko! Ajzyk mu na imię.“

Tymczasem zza stołu wstaje prezydent:

„Wiadomo jest, na ten przykłod, wom i mnie, co nam pieronem halę pobudować trzeba, bo się ano w obcy zbiroma. Jako zaś kużden jeden kto ma choć odrobinę oleju w głowie, wie, że dom w powietrzu nie stanie, ale na fundamencie stojeć musi, takoj i nom za jaką propertą pożreć się godzi. Dlatego, na ten przykłod, ja, prezydent i głowa, radzę, żebyśmy kupili ten kawał plejsu, co przy kornerze stoi. Kto mo co przeciwko temu niech zaro gado, ażeby po tym nie godemowoł.“

Jeden z członków powstaje:

„Ja se tak, panie dobrodzieju miarkuję i dumom, co nom hali jeszcze nie potrza. A bo to nom źle tu u Cholewy.“

„Siadaj, ośle!“ przerywa prezydent. Rozgniewany członek odpowiada: „Tyś sam osioł.“ Następuje kłótnia, harmider i zamieszanie.

Ks. Dąbrowski odwraca się z niesmakiem. Cholewa ciągnie go w głąb korytarza do separatki szepcząc: „Ta lota na kornerze do mnie należy. Zarobię na niej.“ Pokój, do którego weszli, był typową separatką restauracyjną. Posiadał, oprócz krzeseł i nakrytego już do kolacji stołu, „grającą szafkę“ a na ścianach parę oleodruków.

Wraz z Cholewą i jego gościem wszedł tutaj również jeden z kelnerów, któremu Maciek wydał szczegółowe dyspozycje w sprawie kolacji, chociaż swego gościa tylko raz spytał o zdanie:

„Co pijesz: ray, whisky, brandy, gin, rum, czy...“

„Nic z tego,“ wtrącił zapytany. „Piję tylko wodę, zwyczajną wodę.“

„Ha, skoro nie używasz najszlachetniejszych trunków, to poczęstuję cię tylko winem, za to niebylejakim.“

„Nie, nie, dziękuję.“

Wymawianie się nic nie pomogło, gdyż Maciek — jak to u świeżych dorobkiewiczów bywa — stał się okropnie apodyktycznym i nie znosił żadnych sprzeciwów. Na próżno ksiądz Dąbrowski usiłował oznajmić mu, z jak smutną nowiną tu przybył, na próżno zaczynał kilka razy: „A teraz, Maćku, muszę ci już powiedzieć, dlaczego tutaj przyszedłem.“ Cholewa przerywał mu natychmiast, a potem przez dłuższy czas w ogóle nie dopuszczał go do głosu, tylko gadał wciąż sam i najchętniej o zakąskach, jakimi gościa i siebie szczodrze częstował. Dopiero po zakąskach, gdy kelner nalawszy na talerze zupę, znowu zostawił ich samych, Maciek niechcący ułatwił zadanie gościowi niedbale rzuconym pytaniem, kto mu dał jego adres.

„Twój ojciec, Maćku, który niestety...“

„Ach, widziałeś się z nim w kraju?“ wtrącił nazbyt rozmowny gospodarz i znów, nie czekając odpowiedzi, ciągnął dalej; „Statek, którym ojciec miał odpłynąć z Europy, podobno burza zatrzymała w drodze i spodziewają go się tutaj najwcześniej jutro.“

„Dziś statek ten przybył, dzisiaj. Ja też na nim przypłynąłem, ale...“

„Co ty mówisz! To świetnie! A mojego ojca zatrzymali na statku? No pewnie, pewnie; wygadać się nie umiał, więc został, ale jutro go odbiorę, a pojutrze zaraz od rana zacznę go uczyć mojej roboty,“ gadał szybko i głośno, nic sobie nie robiąc z tego, że gość rozpaczliwie chce się dorwać do głosu. „Bo, widzisz, sprowadzam starego głównie po to, żeby mnie przez pół dnia wyręczał przy kasie. Robiła to dotychczas Dzianet, moja przyjaciółka, lecz zauważyłem, że ona wprawdzie dobrze pilnuje kelnerów, tych przeklętych złodziei, ale za to sama okrada mnie jeszcze lepiej. Chcę ją zatem wyrzucić na zbity łeb, a przy kasie posadzić ojca, który...“

„Nie żyje!“ wtrącił tym razem ksiądz Dąbrowski. Przykro mu było, iż oznajmia tak smutną wiadomość nagle, bez przygotowania osieroconego syna, lecz przekonał się już, że ten gaduła nie pozwoli mu wypowiedzieć się obszerniej, dopóki się nie dowie o śmierci ojca.

„Nie żyje?! Mój ojciec zmarł?! Gdzie?! Kiedy?!“

„Podczas podróży, kilka dni temu.“

W niewielu treściwych zdaniach przedstawił ksiądz ostatnie chwile zmarłego, tylko o morskim pogrzebie na razie nie wspomniał przez delikatność. Maciek słuchał z wyjątkowym milczeniem, z nieco opuszczoną głową i machinalnie mieszał wciąż zupę łyżką, aż wreszcie podniósł ją do ust, skosztował, dodał soli, pieprzu i zaczął jeść jak gdyby nigdy nic.

„Jedz, bo ci wystygnie,“ upomniał gościa, zdumionego jego apetytem w takiej chwili! „Radzę ci też zupę posolić i dodać trochę pieprzu; to świetnie zaostrza pragnienie.“

Widocznie chciał sobie pragnienie zaostrzyć, bo solił wszystko, co na stół podano i raz po raz duszkiem wychylał kieliszek wódki. Równocześnie wzbierał w nim gniew, który wyładowywał się najczęściej na usługującym tu kelnerze, rzadziej na kucharzu, aż nagle skierował się w stronę Bogu ducha winnego gościa!

„No, skoroś ty mi tak smutną nowinę oznajmił w najweselszym dniu roku, to ja ci także humor zepsuję. Wiesz, kto jest także w Ameryce? Adolf Merglicki!"

„Merglicki?!"

„Tak. Przyjechał tu w rok po mnie. Ja wtedy jeszcze byłem najmłodszym kelnerem, a właściwie parobkiem w tej tutaj restauracji, która dzisiaj jest moją wyłączną własnością!" dodał z dumą. „Merglicki zrobił się znów wielkim patriotą, założył sobie tutaj gazetę i zarabia dosyć dobrze na polityce i na polskości. Mówił, że jeśli nie zrobi majątku na polityce i na gazecie, to się weźmie do wódczanego interesu i przyjdzie do mnie na praktykę. No ,ale nie przyszedł. Dobrze mu idzie. Sprytny żydziak. Rodaki go popierają. Możesz go kiedy i ty spotkać i narazić się na przykrości tym większe, że teraz jesteś księdzem."

„Nie rozumiem. Ja mogę mieć od niego przykrości? Jakie?"

„Ano, z policją, z prokuratorem, z sądem... o ile naturalnie on zrobi doniesienie na ciebie. Dlatego radziłbym ci załatwić to z nim polubownie."

„Co załatwić?! Mówże, bo dalipan nic nie rozumiem!"

„Nie rozumiesz? Ha, ha, możeś zapomniał o swoich grzeszkach młodości, lecz ja dobrze pamiętam, co mi Merglicki z goryczą opowiadał o tobie."

„On z goryczą o mnie?!"

„Jeszcze z jaką! A najwięcej go bolało, że ty, dawny kolega, były towarzysz broni i niby przyjaciel, porzuciłeś go gdzieś tam w Niemczech, gdy leżał ciężko chory, że uciekłeś nocą bez pożegnania i ukradłeś... powiedzmy grzeczniej: zabrałeś na pamiątkę... wszystkie jego pieniądze, a co gorsza, jego rodzinne pamiątki, jakie mu matka dała na czarną godzinę. Mówił dalej, że było to z twojej strony najczarniejszą niewdzięcznością, gdyż głównie on umożliwił ci wyjazd za granicę z Warszawy, skąd prędzej czy później wysłano by cię na Sybir albo pod szubienicę za udział w powstaniu..."

„I ty w to wszystko uwierzyłeś?!" spytał ksiądz Dąbrowski, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, jakie na nim te oszczerstwa wywarły.

„Czemu by nie," odparł Maciek, znów sobie napełniając kieliszek. „Człowiekiem tylko jesteś, a 'errare humanum est', jak nas uczyli w szkole, nie mówiąc już o tym, że nędza na tułaczce wśród obcych najłatwiej sprowadza na manowce. Czemu tak sapiesz, jakby z największego oburzenia? Czyżby ta historia nie wyglądała tak, jak mi ją Merglicki przedstawił?"

„Owszem, historia wyglądała dokładnie tak, tylko pan Merglicki przemienił rolę i z okradzionego usiłuje zrodzić złodzieja!"

Tu ksiądz Dąbrowski — do głębi wzburzony zarówno oszczerstwami Merglickiego, jak i tym, że Cholewa tak łatwo w nie uwierzył — przedstawił najdokładniej prawdziwy stan rzeczy, cytując daty, fakty i nazwiska. Lecz bardziej niż te szczegóły obcej dla Maćka sprawy przekonało go wreszcie o uczciwości Dąbrowskiego to, że ów wręczył mu kluczyk od ojcowskiego kuferka, w którym — jak nadmienił — prócz starej garderoby i woreczka z ziemią ojczystą znajdowało się blisko tysiąc rubli.

„Zgodnie z życzeniem umierającego, ten kuferek przeniesiono do mojej kabiny i tylko ja mogłem znać jego zawartość, ja miałem od niego kluczyk, osobiście mi wręczony przez twego ojca. Gdybym był człowiekiem nieuczciwym, za jakiego Merglicki mnie przedstawił, mógłbym był przecież te ruble wyjąć, schować do kieszeni, kuferek cisnąć w morze, a do ciebie wcale nie przychodzić, prawda? Tymczasem ja zdeponowałem wszystko u władz celnych w porcie i wybrałem się tu do ciebie z kluczykiem osobiście, choć jutro rano wyjeżdżam.“

„Masz rację, masz rację, Józiu, i wybacz mi, że cię tak skrzywdziłem, że uwierzyłem temu łajdakowi Merglickiemu... No, ale skoro on tak dokładnie poodwracał do góry nogami tę historię, to na pewno zrobił to samo i z tą drugą. A mówił on także, iż przedtem w Warszawie, podczas letnich wakacji, tyś zrobił nań doniesienie, w którym zdemaskowałeś go jako byłego powstańca i podałeś jego adres, przez co omal go żandarmi nie złapali.“

„Ach, więc to on mnie zadenuncjował!“ domyślił się Dąbrowski dopiero teraz i z kolei opisał tę swoją przygodę, zakończoną ukryciem się w szpitalu doktora Chałubińskiego.

Przy tych opowiadaniach czas płynął szybko, również i później, gdy Maciek Cholewa, podchmieliwszy sobie już nieźle, zaczął rzewnie opłakiwać zmarłego ojca i żalić się na swoje osamotnienie w świecie. Rozpłakał się przy tym i szlochał prawie tak długo, jak przedtem pił, więc ksiądz Dąbrowski pocieszał go i umoralniał i zachęcał do porzucenia zawodu polegającego na rozpijaniu ludzi, a czas płynął i płynął, niespostrzeżenie, lecz nieubłaganie i wartko.

Wtem do separatki wpadła owa Dzianet, teraz już wcale nie wyglądająca na czupiradło, za nią wbiegło dwóch kelnerów, którzy bez ceremonii pochwycili swego chlebodawcę pod ramiona i niemal siłą wyprowadzili go za drzwi, przy akompaniamencie oszałamiająco szybkiego trajkotania wyfiokowanej panny Dzianet:

„Tego mi już za dużo! W dzień najlepszego w roku obrotu w interesie, ty cały wieczór siedzisz z jakimś Kapucynem, zamiast sterczeć za ladą i pilnować byznesu! Posyłałam po ciebie trzy razy, teraz przyszłam sama.“

„Jeszcze nie skończyłem konferencji,“ tłumaczył się Maciek.

„Później ją skończysz. Teraz musisz być na sali, żeby tam nie wiem co, gdyż zaraz gasimy światła. I spodziewam się, że ty pierwszy złożysz mi życzenia noworoczne.“

„Jak to? Która godzina?“ zdziwił się Cholewa.

W drzwiach nie mógł zmieścić się z dwoma kelnerami, więc jeden z nich, ów barczysty Wasyl puścił jego ramię, za to popchnął go bez respektu należnego szefowi.

„Za dwie minuty dwunasta!“ odparła Dzianet i, rzuciwszy „Kapucynowi“ jak najbardziej wrogie spojrzenie, zatrzasnęła drzwi.

Ksiądz Dąbrowski zerwał się na równe nogi. Północ za dwie minuty?! Nie chciało mu się uwierzyć, że przeszło cztery godziny spędził tutaj z dawnym kolegą i nie mógł sobie darować, iż ani raz nie spytał, która to godzina. Tam, gdzie mieszkał, powiedział, iż wróci najdalej za półtorej godziny, lecz prawdopodobnie wcześniej; zafrasował się więc teraz na myśl, co powiedzą o jego tak późnym powrocie z miasta, lub raczej czego nie powiedzą głośno i postanowił wyjść stąd natychmiast, a do Maćka kiedyś później napisać, czemu na jego powrót nie czekał.

Ubrał się w płaszcz, wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi, lecz zanim przez mały korytarzyk dotarł do głównej sali, zgasły tam wszystkie światła, prócz kilku świec za ladą baru. Ha, minęły owe dwie minuty, zegary biły północ, a zgon starego roku i narodziny nowego, roku 1870, rozbawieni klienci restauracji Macieja Cholewy chcieli uczcić tak, jak tradycja nakazuje.

W tylnej części sali, na której progu ksiądz Dąbrowski właśnie przystanął, panowały już egipskie ciemności, lecz gorzej wyglądała tradycyjna minuta ciszy; przerywały ją bowiem raz po raz odgłosy całusów, cmokań, swawolne chichoty, urywane piski, potem zabrzmiał siarczysty klaps; ktoś najwidoczniej oberwał w gębę, aż się rozległo, co wywołało ogólną wesołość i pieprzne komentarze, przeważnie w językach słowiańskich, gdyż klientela tej restauracji składała się głównie z Polaków, Rosjan i Rusinów.

Zażenowany ksiądz cofnął się w głąb kurytarza; po jego obydwóch stronach znajdowały się drzwi separatek, w których bawiono się w podobny, jeśli nie gorszy sposób, aż wreszcie ks. Dąbrowski znalazł się w sferze względnej ciszy. I na jej tle posłyszał następujący strzęp dialogu:

„A gdyby on... umarł, czy zgodziłabyś się wtedy?“ spytał męski głos półszeptem, na co żeński odparł zaraz nieco głośniej:

„On?! Taki młody i zdrowy?! Chyba za trzydzieści lat umrze.“

„Naturalną śmiercią — tak, ale... wypadki chodzą po ludziach.“

„A ty byś się odważył spowodować jakiś wypadek?“

„Gdybym był absolutnie pewny...“

„Mojej miłości?“

„No i tego, że przedtem on ci wszystko zapisze!“

Kobieta zachichotała, posłyszawszy tę cyniczną odpowiedź, ale odparła:

„Dobrze, postaram się o to. A teraz pędźmy na salę.“

Dwie sylwetki prześlizgnęły się szybko koło przypadkowego świad-

ka ich rozmowy, zdrętwiałego od zgrozy i zniknęły w wylocie kurytarzyka.

Niebawem w sali zaczęto zapalać światła, muzyka zagrała, biesiadnicy jęli składać sobie nawzajem noworoczne życzenia, całując się z dubeltówki. Inni dęli co tchu w papierowe trąby, potrząsali dzwoneczkami lub grzechotkami dziecinnymi najrozmaitszych rodzajów. Ci, którym to jeszcze nie dawało należytego zadowolenia, krzyczeli, ryczeli, wyli, naśladowali psy, koty, konie, starając się zagłuszyć jedni drugich i powiększając i tak już straszliwą wrzawę. Zachowywali się tak, jak gdyby jakiś narwany milioner oświadczył formalnie, notarialnie: „Dam milion dolarów temu, który dziś tutaj potrafi robić najwięcej hałasu" i jak gdyby do tego konkursu czy kontestu zapisali się wszyscy bez wyjątku.

„To chyba jakiś zbiorowy obłęd!" myślał ksiądz Dąbrowski, przeciskając się ku głównemu wyjściu poprzez ten tłum rozkołysany rytmem muzyki, podniecony alkoholem i pijany szałem sylwestrowej zabawy, która wbrew wszelkim pozorom prawnej legalności jest zwykle orgią lub jej nieuchronnym początkiem. „Och, żeby mnie tylko jaki pijak nie zaczepił!" wzdychał w duszy.

Zaczepiono go, dopiero kiedy wyszedł i to kilkanaście razy, zanim dotarł tam, gdzie miał spędzić tę jedyną noc w New Yorku. Trzecia czy czwarta z owych zaczepek napędziła mu trochę strachu, albowiem rozbawieni dwaj brodacze siłą wciągnęli go do swej dorożki, z której zdołał im uciec aż na Broadway'u, gdy ugrzęźli w tłoku innych pojazdów. Dorożek, bryczek, powozów od staroświeckich landar i kolas do modnych wiedeńskich ekwipaży oraz wszelkich innych wehikułów było tu tyle, że tworzyły łańcuchy ciągnące się chyba milami. Lecz o wiele większy ścisk panował na chodnikach i skwerkach, gdzie piesi odbywali swą sylwestrową pielgrzymkę po wszelkich lokalach rozrywkowych. Ci piesi mieli podobnie błazeńskie okrycia głowy jak tamci w restauracji Cholewy i jak tamci hałasowali potępieńczo, choć byli na ulicy, na jednej z głównych ulic Nowego Jorku.

I żebyż to tylko hałasowali! Niestety, wrzawa była jedynie akompaniamentem przeróżnych scen, na widok których ksiądz Dąbrowski szybko odwracał głowę i przyspieszał kroku lub skręcał. Skutkiem tego musiał raz po raz podchodzić do policjantów i na nowo rozpytywać o drogę, aby nie zabłądzić w labiryncie ulic tej kamiennej dżungli. Naraz, kiedy w bocznej ulicy z trudem docisnął się do policjanta, tyłem doń stojącego i otoczonego zwartym kołem ludzi, ujrzał w pośrodku tego koła na bruku trzech mężczyzn w ogromnej kałuży krwi; dwóch z nich już nie żyło, trzeci, także pokłuty nożami, lecz jeszcze przytomny wyjaśniał policjantom, że poraniono go, gdy starał się tych dwóch rozdzielić. A o co im poszło? Czy mieli z sobą jakie porachunki? Bynajmniej! Byli najlepszymi przyjaciółmi zawsze, aż dzisiaj po dobrej pijatyce pokłócili się o to, jaka wódka jest lepsza, ponieważ zaś jako Włosi mieli przy sobie noże, najgłupsza sprzeczka — przeszedłszy w bijatykę — skończyła się tragicznie.

„Kłuli się i cięli nawzajem, no i mnie także... jakby ich jaki szał napadł,“ kończył swe zeznania ranny, niefortunny mediator.

Szał! To było najwłaściwsze określenie tego, co działo się w ów wieczór w całym New Yorku, co dzieje się niemal wszędzie i zawsze w ostatnią noc każdego roku. Szał! To słowo dźwięczało w uszach księdzu Dąbrowskiemu jeszcze wówczas, gdy nareszcie dotarł do domu.

Nie żałował, że wyszedł z domu, że to wszystko widział, że przypadkowo słyszał nawet urywek konspiracyjnej rozmowy dwojga osób, może przyszłych zabójców, których głosy — nawiasem mówiąc — wydawały mu się jakby znajome, choć półszept zmienił ich brzmienie. Uważał bowiem, iż wszystkie te niezwykłe wrażenia, jakie dziś odebrał i w pamięci zanotował, ułatwią mu zrozumienie wielu rzeczy z tych, których będzie musiał słuchać jako spowiednik. I nie tylko słuchać, ale je oceniać jak na to zasługują i ostrzegać przed ich następstwami, których smutną próbkę widział na owej przecznicy Broadway'u.

„Z księgi ułomności ludzkich przeczytałem dzisiaj wiele, wiele kart, przedtem mi całkiem nieznanych i to mi się przyda w zawodzie duszpasterskim nieraz,“ monologował w łóżku, nie mogąc długo zasnąć pod naporem tylu nowych wrażeń i wspomnień. „Tak więc w ostatnim tygodniu widziałem najpierw szał żywiołów — podczas owej strasznej burzy na morzu — i widziałem szał ludzi — właśnie dzisiaj. W pierwszym wypadku moje życie wciąż wisiało na cieńkim włosku, w drugim nie groziło mi nic, bo ani raz dzisiaj nie byłem w niebezpieczeństwie życia. A jednak... jednak przeraził mnie szał ludzi nawet więcej, niż szał żywiołów. Z tym szałem ludzi będę walczył przez całe życie aż do śmierci.“

I uśmiechnął się ks. Dąbrowski, jak do szczęśliwej pogodnej wizji, do walki swojej przez całe dalsze życie aż do śmierci z szałem ludzi, których Pan Bóg pragnie zbawić, a którzy w szale chcą się potępić, z szałem Polonii, której Bóg dał nieśmiertelność, a która w szale chce się sama unicestwić i rozpłynąć w żywiole obcym. Żadna myśl szara, egoistyczna nie wyjrzała z jego oczu w całym życiu w Ameryce. Bogu pozostał zawsze wierny. Szedł bez wytchnienia do ideału.

Epilog

Dalsze życie i śmierć ks. Dąbrowskiego są powieściowo również ciekawe jak i poprzednie. Całość bowiem jego życia przedstawia się jak trylogia. Podaliśmy w tej powieści tom jej pierwszy, pod tytułem „Ksiądz Dąbrowski w świetle podania i wyobraźni."

Akcja tomu drugiego rozgrywa się w zakątku farmerskim w Polonii, Wisconsin. Tytuł jej: „Pasterz, wilki i owczarnia."

Akcja tomu trzeciego ma miejsce w Detroit, Michigan, choć wpływem swoim sięga w całokształt polskich stosunków religijnych od Atlantyku do Pacyfiku. Jej tytuł: „O duszę swego narodu."

Niestety, ze względów technicznych tom drugi i trzeci zmuszeni jesteśmy pominąć. Stawiamy więc kropkę. Dla posmaku jednak wyrywamy z nienapisanego tomu drugiego króciutkie dwa rozdziały, a z trzeciego jeszcze krótszy epizod i załączamy je jako postscriptum.

Czynimy to oczywiście wbrew zasadzie kompozycji pisarskiej. Wybaczy nam to jednak ten, kto wie, jak bardzo człowiek do książki umiłowanej, którą napisał, jest przywiązany i jak żal mu z nią się rozstać... Bo i co ją w świecie czeka? Jaki jej los świat zgotuje? W jakie ręce się dostanie?

Jest ona jak owo koźle nowonarodzone, jak owo jajo strusiowe w księdze Hioba opisane, które noga człowieka podeptać, albo zwierz polny pożreć może.

Znajdzieli kogo, kto ją przeczyta i z niej chociaż odrobinę z umiłowaniem do serca przyciśnie?

Wśród Polonii amerykańskiej mało jest ludzi myślących. Jesteśmy jak owa wielka zagadka Egiptu, sfinks starożytny, co ma skrzydła — lecz kamienne i głowę ludzką — z tułowiem zwierzęcym.

Sen czy zjawa

„Nareszcie!" ks. Dąbrowski westchnął z ulgą, kiedy rozmawiający z nim barczysty farmer skończył i wyszedł, pogodzony ze swym losem. Ks. Dąbrowski wiedział dobrze, że ten farmer znów za tydzień będzie czyhał na niego, aby przed nim żale na połowicę swoją wylewać i o radę, co robić, prosić. Tyle już czasu mu zabrał, zawsze to samo opowiadając i przez to tylko opóźniając za każdym razem powrót ks. Dąbrowskiego z Hull do Polonii.

Dzień był słotny, a ks. Dąbrowski czuł już dobrze głód i zmęczenie po niewdzięcznej pracy swojej w Hull. Harował tu całe popołudnie ucząc dzieci, ale najgorsze było to wysłuchiwanie różnych plotek i zażaleń, z jakimi różni ludzie przychodzili. Pożegnawszy ostatniego parafianina i interesanta, który go męczył przeszło godzinę skargami na swoją babę, ks. Dąbrowski zajrzał jeszcze do szafki, gdzie przechowywał książeczkę z ogłoszeniami, sprawdził tam coś, potem uklęknął, pomodlił się jeszcze chwilę przed ołtarzem i wyszedł na dwór. Tuż przed kapliczką na drodze stał jego cugant Jim, zaprzężony do dziurawej z boku bryczki.

Nawet Jim się niecierpliwił, bo już nie szukał ziarna w zawieszonym na głowie worku, tylko spuścił nisko głowę i jakby drzemał, otrząsając się raz po raz.

Ks. Dąbrowski zdjął worek z głowy Jima, okiełznał go, sprawdził zaprzęg, siadł do bryczki, wziął lejce do rąk, cmoknął i ruszył w drogę do domu.

Jechał w kierunku północnym drożyną wąską, mając po lewej ręce puste pole, a po prawej tu i ówdzie kępę lasu.

Słońce prawie zachodziło. Dolny skraj tarczy słońca chwilami zabarwiał się i mienił na purpurowo, ale go chmury wnet przesłoniły.

Ks. Dąbrowski cmokał na Jima, ale znużone zwierzę nieczułe było na cmokanie. Wlókł się Jim wolno i machnął tylko czasem ogonem na znak, że pana swojego słyszy, a może nawet i rozumie, ale nie może przecież uronić nic ze swojego dostojeństwa emerytowanego cugowca.

Ks. Dąbrowski z tym cugowcem zżył się powoli, bo i sam czuł się w Polonii jak emerytowany cugowiec.

Właśnie przedwczoraj otrzymał list z Warszawy od matki.

Te listy zawsze wytrącały go z równowagi.

Powolne tempo Jima skierowało i teraz myśl jego na szlak wspomnień z dawnych czasów i w posępnym nastroju ducha dojechał do Polonii.

„Ociec znowu się spóźnił, a tu plucha na dworze,“ powitał go Maluści Walanty przed plebanią.

Ks. Dąbrowski oddał mu Jima i powoli wszedł do domu.

Był tak znużony, że nie chciało mu się zdjąć nawet palta, ale osunął się na kolebacz i wyciągnął nogi jak najdalej.

Totumfacki jego, służący, kucharz, zakrystian i towarzysz, Maluści Walanty, zapalił lampę.

„Po co zapalasz? Idź spać,“ mruknął ks. Dąbrowski.

„Spać? A gdzie obiad dla ojca?“ odpowiedział Walanty i zaczął się kręcić po kuchni i coś skwarzyć na patelni.

Ks. Dąbrowski podniósł głowę. Wyjął z kieszeni zmiętoszony arkusik zwiniętego papieru, rozwinął go starannie, wygładził ręką i odczytywał go powoli.

„... Pamiętasz synu Żółtańce? Pamiętasz ojca, pamiętasz dziadka, pamiętasz nasz stary dworek? Ja tam ciągle jeszcze myślą żyję. Pamiętasz, jakieś grywał tam wieczorami w szachy z dziadkiem? Zabrałeś je ze sobą na pamiątkę, kiedyś udawał się na tułaczkę. Mówiłeś mi przy pożegnaniu się ze mną w Krakowie, że to jedno ci ocalało, jak cię okradł we Frankfurcie ten złodziej, twój kolega, któremuś ty tak wierzył. A ostrzegałam cię przed nim tyle razy. Czyś wziął te szachy ze sobą do Ameryki?“

Ręka ks. Dąbrowskiego zaczęła drżeć powoli. Zwinął list i odłożył. Potem wstał z krzesła, wyciągnął szufladę z biurka i wyjął z niej pudełko. Jak relikwię je otworzył. Wtem drzwi od kuchni zaskrzypiały i zatrzeszczała deska podłogi. Wszedł wesoło gwiżdżąc Narloch.

„Niosę kolację.“

„Nie będę jadł,“ przerwał szorstko ks. Dąbrowski.

„Ociec kolacji jeść nie będzie?“

„Słyszysz przecież. Nie jestem głodny...“

„Ociec nie głodny? Ociec głodny jest na pewno, jeno jeść nie chce. Myśli, że źle usmażyłem, a nawet jeszcze nie posmakował.“

„Idź spać i głowy mi nie zawracaj,“ ostro krzyknął ks. Dąbrowski.

Z rąk Narlocha patelnia ledwo nie upadła na ziemię. Ks. Dąbrowski nigdy tak ostro doń nie przemawiał. Zawsze on mu ustępował. Zaskoczony pierzchł z placu boju, lamentując rozgłośnie, że zniewaga go spotyka za dobre serce.

A ks. Dąbrowski, żeby się zabezpieczyć przed nowymi atakami z jego strony i zapewnić sobie upragnioną samotność, zamknął drzwi od kuchni na klucz.

Faza ospałości, lenistwa i zmęczenia przeminęła gdzieś u niego. Był jak zelektryzowany i wstrząśnięty. Drżącymi rękoma wyjął z pudełka ceratową szachownicę, przyszpilił ją na rogach, aby się wyprostowała i ostrożnie wysypał z tekturowego pudełka kościane figury, białe i czarne... Przeliczył je... Były wszystkie. Nie brakowało żadnej, ale długa ich tułaczka aż poprzez morze nie przeszła bez śladu. Główki

trzech koni odkręciły się z toczonych cokołów, czarny król złamał sobie górną koronę, a białej damie ukruszyło się ćwierć podstawki.

„Szkoda że nie włożyłem trochę waty do pudełka," mruknął pieczołowicie ks. Dąbrowski.

Usiadł przy stole i całkiem machinalnie zaczął ustawiać figury jak do rozegrania partii. Tyle lat upłynęło, tyle lat w szachy z nikim nie grał, a przecież pamięć go nie zawiodła. Wiedział dobrze i szeptał sobie: narożne pole po prawej ręce każdego gracza musi być białe. Oto dogmat pierwszy, drugi zaś: dama staje na polu takiej barwy, jakiej jest sama, czarna na czarnym, biała na białym.

Stanęły tedy dwa wojska naprzeciw siebie, gotowe do orężnej rozprawy. W pierwszych rzędach piechota — piony. W czterech rogach wieże, ciężka artyleria; tuż obok lotne brygady jazdy, dalej giermki czyli eskadry lekkiej artylerii wojennej, a pośrodku para królewska. Ona — szef sztabu, w spódnicy i zarazem najgroźniejsza jednostka bojowa, on — tytularny wódz armii, kula u nogi, tchórz, chuchro w koronie, które pion nawet uśmiercić może.

Tak to rozprawiając oznaczał te figury jego dziadek, zapamiętały szachista i najwytrzymalszy kibic w rodzinnym gnieździe na wsi.

Gdzieś z kuchni dochodziły tymczasem jakieś szurgania stołkiem, skrobanie patelni, brzęk talerza i łyżek i zawodzenie coraz głośniejsze Maluściego Narlocha. Czasem wszystko uciszało się. Walanty się skradał do drzwi i przez dziurkę od klucza starał się dojrzeć, co 'ociec' robi. Potem zawodził jeszcze głośniej. Zaczął płakać, z początku cicho, potem głośniej i znowu cicho. Potem już tylko stękał i jęczał. Potem w kuchni uciszyło się powoli.

Ks. Dąbrowski powstał z krzesła. Przysunął ku sobie lampę stojącą na stole. Poprawił knot i znów usiadł. Wyjął z kieszeni starokrajski swój zegarek. Nakręcił go, otworzył, uregulował podług zegara na ścianie i położył na stole obok szachownicy. Tak zegarek leżał zawsze na stole w Żółtańcach w czasie rozgrywania codziennych partii wieczornych za młodzieńczych lat jego, aby kłaść kres marudzeniu dziadka. Staruszek myślał niezmiernie długo nad każdym ruchem i nie dbał nawet na aksjomat i zasadę: Pièce touché pièce joué. „To nie pies," mówił: „co mi tu z psami leziecie." Dnia pewnego, mimo votum separatum dziadka zapadła tedy uchwała familijna, że każdy gracz musi zrobić posunięcie najdalej w ciągu pięciu minut, inaczej partię przegrywa.

Ks. Dąbrowskiemu wszystko stanęło żywo w pamięci. Z kuchni dochodziło już tylko do uszu miarowe chrapanie Narlocha. Przycisnął sobie uszy dłońmi, aby nie słyszeć. Zwiesił głowę posępnie i patrzy w szachy. Nie wiadomo, czy zasnął i śnić zaczął, czyli też tak siłą woli przesunął wskazówkę na zegarze życia swego o lat kilkanaście w tył, — dość, że znalazł się nagle w wiejskim dworku rodzinnym, który należał do jego ojca.

Przy kominku siedziała matka. Ją on pierwszą tam zobaczył, choć najdalej od niego siedziała. Przesłuchiwała właśnie lekcji jego młod-

szego brata, który słabo się uczył i nie mógł poradzić sobie z arytmetyką. Józio Dąbrowski uczył się dobrze, a teraz grał z dziadkiem w szachy.

Partia była niezmiernie ciekawa. Dziadek atakował, ale bardzo ostrożnie i nie wykonywał ruchu z zasady przed upływem ustawowych pięciu minut.

„Jeszcze piętnaście sekund,“ powtarzał ojciec za każdym razem, który przy grze kibicował.

Dziadek straszliwie gderał i narzekał. „Piętnaście sekund... Na sekundy już liczą... Namyśleć się człowiekowi nie dadzą.“ Potem zdenerwowany chwycił drżącą nieco ręką figurę, którą wcale nie zamierzał wykonać ciągu. Było to powodem wysłania nowej noty dyplomatycznej do niego: „Figura dotknięta ciągnie,“ zauważył ojciec, na co dziadek zaperzony replikował natychmiast z miejsca: „Poprawiam ją tylko. Nie widzisz, że krzywo stoi?“ Oczywiście ani jej się śniło stać krzywo. W pewnym momencie Józio Dąbrowski posunął wieżę, niczym nie wspartą, nie bronioną, na zagrożone pole. Była to z jego strony widoczna nieuwaga, proste przeoczenie. Ojciec podniósł brwi w górę, na znak zdziwienia.

„Ofiara,“ mruknął cichuteńko pod wąsem, lecz dziadek miał słuch znakomity: „Ofiara czy zasadzka?“

„Nie, kochany, a nad wiek chytry wnuku. Na to mnie nie weźmiesz. Timeo Danaos et dona ferentes!“

I nie wziął wieży, którą już Józio uważał za straconą bezpowrotnie. Poczciwiec!

Braciszek przysiadł się tymczasem do stołu i ledwo spojrzał na szachownicę, wykrzyknął: „Ależ ty, Józiu, masz wygraną murowaną! Dziadzio znowu leży.“

Lubił urwis drażnić sędziwego szachistę i uchodziło mu wszystko, bo był u dziadka oczkiem w głowie.

„Jużeś przyszedł krakać, kruku. Idź precz, smyku utrapiony! Leży... leży... Zobaczymy jeszcze, czy leży... Wypraszam sobie przy tym to twoje ‘znowu’. Widzicie go! Kiedy to ‘znowu’ ja przegrałem?... Wczoraj dwa maty, ale przedwczoraj...“

Ojciec odchrząknął i wskazał na zegarek... „Piętnaście sekund,“ rzekł lakonicznie.

Dziadek miał swoją metodę kończenia partii. Nie poddawał się nigdy, a kiedy musiał przegrać i tylko dwa czy trzy ruchy dzieliły go od mata, wstrzymywał się umyślnie od ruchu. Ojciec wypowiadał sakramentalnie: „Piętnaście sekund,“ potem: „Pięć minut upłynęło, przyznaję dodatkowe dwie minuty,“ wreszcie ogłaszał uroczyście: „Termin minął, — ojczulek przegrał partię.“

Teraz zaczynały się gorące protesty: „Ja przegrałem? Nie pozwolicie mi się namyśleć, ot co jest. Bo przecież mam jeszcze wyjście.“ Tu szybkim ruchem obalał figury, a na uwagę, że żadnego wyjścia nie ma, zaczynał je z powrotem ustawiać w sposób wybitnie tendencyjny, dokładając sobie zawsze jakiegoś konia, pionka czy laufra.

Ale jak za to triumfował, jeśli udało mu się wygrać. Jaśniał od radości i każdego w ciągu trzech dni zanudzał opowiadaniem o swej metodzie. Zmiarkowawszy tę jego słabość Józio pozwalał się niekiedy ograć, aby zrobić mu przyjemność, lub (o hańbo!) kiedy przyszła Józiowi chętka na słodycze. Ruchem granda hiszpańskiego dobywał wówczas dziadek starą portmonetę i obdarzał Józia srebrną monetą: „Poznaj, smyku, wspaniałomyślność zwycięzcy!“ brzmiał akt donacyjny, podczas gdy pod stołem noga Józia telegrafowała do braciszka umówionym swoim szyfrem: „Udało się.“

Tym razem dziadek przegrał jednak partię sromotnie. Po małej roszadzie zapomniał o niezbędnym lufciku dla króla, a wieżą ruszył z ostatniej linii. Na to tylko Józio czekał. Odsłonił damę, przed którą stał skoczek i w drugim ruchu było: szach mat.

„Oto wdzięczność,“ narzekał zwyciężony: „Mogłem mu zabrać wieżę, lecz ją ułaskawiłem. A on mi za to mat: Czekaj... Jakto stało właściwie?“

Zanosiło się znowu na misterną rekonstrukcję pola bitwy, gdyż zgodnie ze swym obyczajem przewrócił dziadek figury czym prędzej.

„Teraz ja zagram,“ wtrącił się ojciec Józia i mimo protestów staruszka zaczął figury ustawiać jak do rozegrania świeżej partii.

„No graj sobie, to ja ci teraz pokibicuję,“ odgrażał się dziadek ojcu Józia, zmieniając miejsce.

Józiowi los przyznał teraz szachy czarne, a ojcu białe. Ojciec Józia zaczynał i zaczął jak zwykle królewskim gambitem. Józio zamierzał go przyjąć, kiedy niespodziewanie tuż nad głową jego zabrzmiał słodki głos matki.

„Na dzisiaj dosyć, moi drodzy. Już po dwunastej,“ rzekła łagodnie, lecz każde jej słowo było rozkazem dla wszystkich. Brat Józia zerwał się pierwszy. Musnął w policzek Józia gorącymi wargami, ucałował rękę dziadka, ojca i matki i wybiegł z saloniku. Za nim nadąsany, że przegrał, wyszedł dziadek.

„Szkoda,“ westchnął ojciec do matki. „Taką miałem ochotę na małą partyjkę z Józiem.“ Wstał sprężyście z krzesła i pochylił się nad zegarkiem.

„Ano, czas na nas,“ rzekł ze smutkiem. Matka wsparła się na jego ramieniu.

„Tak... tak...“ dodała: „Pora na nas. Już po dwunastej.“ Ucałowali Józia w czoło bardzo serdecznie, i wolnym krokiem zaczęli się oddalać...

Ks. Dąbrowski szarpnął się, podniósł głowę i chciał powstać również z krzesła. Jakto, on jeszcze siedzi? Nigdy się nie ośmielił siedzieć, kiedy ojciec i matka stali lub odchodzili. W takim go duchu już wychowano. Chciał i teraz więc powstać, lecz jak gdyby jaki magnes przykuł go do jego krzesła, do oparcia, do stołu. Nie mógł się podnieść. Zobaczył na stole ojca zegarek. „Ojcze, zostawiłeś na stole swój zegarek,“ chciał powiedzieć, ale nie mógł z krtani wydobyć głosu.

Rodzice już stali we drzwiach i patrzyli na niego czule. Jeszcze

tam stali i z czułością się na niego oglądali, a on nie mógł się ruszyć, nie mógł z krzesła swego powstać.

Nadludzkim jakimś wysiłkiem wydobył wreszcie z krtani głos i zawołał rozpaczliwie:

„Nie zostawiajcie mnie samego! Chcę pójść z wami!“ Ojciec poruszył głową przecząco. Nie pozwolił iść ze sobą. W oczach matki ks. Dąbrowski zobaczył dwie łzy perliste. Wargi jej się poruszyły i usłyszał jakby szept:

„Pójdziesz za nami, synku, ale nie dziś jeszcze... nie dziś...“

I znikli. A ks. Dąbrowski sam pozostał przy stole i otworzył wreszcie oczy. Zrobiło mu się ogromnie smutno. Omal nie wybuchł rozdzierającym płaczem, ale odwykł już dawno od płaczu. Ostatni raz płakał w Krakowie, żegnając się z bratem i matką przed wyjazdem do Ameryki.

Przetarł oczy raz i drugi... „Aha, już wiem,“ wyszeptał, „to ja tylko tak śniłem. To ten list matki, który wczoraj otrzymałem tak mnie rozebrał. Toż ja nie jestem w saloniku ojcowskiego dworku w Żółtańcach, ale w plebanii mojej w Polonii.“ Przeciągnął się poziewając. Oczy mu kleiły się jeszcze, ale już nie spał. Siedział przy stole, na którym rozłożył sobie stare szachy, które na pamiątkę po ojcu przywiózł do Ameryki. Zasnął przy nich, ale teraz już się zbudził. Pamięta dobrze jak je rozstawił. Spojrzał na nie. Nagle zatoczył się, jak pijany. Biały pion przed królem był wysunięty naprzód o dwa pola. Uszczypnął się w dłoń raz, drugi, trzeci. Dotknął piona drżącą ręką. Znowu oczy przetarł. Białe stały po cudziej stronie, a on postawił je po swojej. Czy to jakie przywidzenie? Ktoś rozpoczął nimi partię. Przysiądz mógłby, że to nie on. Więc kto?... Ojciec? Toż to przecie niemożliwe. Widział go tutaj, ale we śnie. Ojciec umarł już tak dawno. Atak serca przerwał pasmo jego trudów in hac lacrimarum valle jeszcze w Żółtańcach.

Wzrok już całkiem przytomny ks. Dąbrowskiego padł na zegarek. Mniejsza wskazówka nakrywała właśnie rzymską dwunastkę, większa muskała i była już za jedynką. Pięć minut po północy. „Już po dwunastej,“ powiedziała w sennym widzeniu jego matka. Boć to przecież był sen.

I znowu przywarł ks. Dąbrowski wzrokiem do królewskiego piona białych. Był wysunięty o dwa pola.

Znowu doznał nagłego wstrząsu. Mógłby przysiądz, że ustawiając szachy, białe figury postawił właśnie po swojej stronie. We śnie z dziadkiem grał białymi, pamięta to doskonale. Byłożby to możliwe, iżby we śnie obrócił tak szachownicę, że żadna figura nie upadła? I znowu ten pion właśnie wysunięty o dwa pola z tamtej strony. Obejrzał się nie bez lęku. Czyżby oni tutaj byli? Dziadek jego, ojciec, matka? Pamięta dobrze w tamtą stronę, tymi drzwiami, tam odeszli. Rzucił się pędem. Drzwi jeszcze stały niedomknięte. A przecież zamknął je na klucz, ażeby się uchronić przed atakami Narlocha o żołądek jego dbałego.

Coraz większy lęk go przejął. Wyszedł do kuchni. Drzwi do kuchni stały otwarte na rozcież. Wybiegł na dwór. Było jeszcze zupełnie ciemno, ale plucha i deszcz ustał. Księżyc zza chmur się wysuwał. Ks. Dąbrowski usiadł przy drzwiach kuchni na stopniach, z głową wspartą na dłoni i z łokciami na kolanach. Myślał zupełnie trzeźwo, spokojnie. Wierzył święcie, że jego najdrożsi nawiedzili go w Polonii, że byli tu z nim przed chwilą i odeszli tam w bezbrzeżną ciemną przestrzeń. Oni tam żyją. Żyje nie tylko matka, żyje dziadek i ojciec, żyją oni gdzieś w wszechświecie, choć na ziemi już pomarli. Potem przyszły refleksje inne. I on tam pójdzie. Nie dziś jeszcze, ale pójdzie. Pójdzie... pójdzie niezawodnie, tak powiedziała mu we śnie matka.

Chłodno było na dworze. Ks. Dąbrowski zapomniał, że się może zaziębić i bez ruchu zapatrzony w ciemną przestrzeń siedział tak długo.

Wyprowadził go z zamyślenia piszczący z tyłu w kuchni głos Narlocha.

„Co też ociec wyrabia? Zamiast iść spać, siedzi na dworze i to w taki ziąb tylko w paletku."

Ks. Dąbrowski nie odpowiedział. Wstał powoli jak automat i powlókł się do plebanii. Na stole w pokoju jego rozstawione były szachy. Ułożył je do pudełka i schował do szuflady. Potem ukląkł przy swym łóżku i modlił się bardzo długo.

Na drugi dzień zrzędził Narloch, że ociec go nie chce słuchać, dokucza mu, nie jadł kolacji i przez to dziś jest chory. Szachy ks. Dąbrowskiego leżały w pudełku na dnie szuflady.



Ellis Corner

Wiosna roku 1870 — przebywszy szczęśliwie okres próby w St. Francis — otrzymał ksiądz Dąbrowski parafię polską w Ellis Corner, gdzie właśnie zrezygnował ksiądz Węglikowski.

„Czemu zrezygnował?“

„Z powodu złego stanu zdrowia.“

Tak brzmiała odpowiedź oficjalna, lecz nieoficjalnie można było dowiedzieć się z łatwością, że ksiądz Węglikowski nie był jedynym proboszczem, który zdrowie i nerwy stracił w Ellis Corner.

„Ta miejscowość nie powinna zwać się Ellis Corner, ale Hells Corner!“

„Hells Corner czy to by znaczyło po polsku Narożnik Piekła?“

„Mniej więcej. Ech, to nie narożnik, to całe piekło!“

„Czy klimat taki zły? Bo słyszałem, że mój poprzednik, ksiądz Węglikowski nabawił się tam reumatyzmu.“

„Także i na brak wilgoci nie można tam narzekać, ale piekłem jest Ellis Corner przede wszystkim przez swoich salunistów.“

„Salunista, to taki co ma karczmę, prawda?“

„W zasadzie tak, ale niektóre nasze karczmy są również szulerniami, gniazdami rozpusty i w ogóle siedliskiem wszelkich łajdactw.“

„Tym bardziej więc powinien duszpasterz starać się o odciągnięcie swoich parafian z salunów do kościoła.“

„Pewnie, pewnie, tylko tej chwalebnej teorii nie da się zrealizować w praktyce tam, gdzie jak w Ellis Corner, wszystkie saluny znajdują się tuż koło kościoła. Obsiadły go wieńcem tak gęstym, że gdy ksiądz odprawia tam mszę, to słyszy — nawet tam, przy ołtarzu! — słyszy przekleństwa, jakie w karczmach padają.“

„A czy nie ma jakich ustaw stanowych lub federalnych, które by zakazywały zakłócania ciszy w czasie nabożeństw?“

„Może są, lecz tylko w teorii. W praktyce zaś całą Amerykę obowiązuje przede wszystkim zasada: wolnoć Tomku w swoim domku. W praktyce nie można zmusić salunistów do zamykania drzwi i okien ich hałaśliwych knajp w czasie nabożeństw, a choćby się nawet taki nakaz uzyskało, kto dopilnuje jego wykonywania? Policjant? Ależ ten prawie zawsze jest najlepszym przyjacielem salunisty no i jego gościem zwykle gratis fetowanym.“

„Ha, w takim razie widzę tylko jedno wyjście.“

„Tak, jest tylko jedno, księże Dąbrowski: nie przyjąć tej parafii.“

„I zostawić na łup wilków całą biedną owczarnię?! O, nie! Ja właśnie jestem uszczęśliwiony, że taką parafię dostałem, a nie jakąś wzorową, idealną, szczęśliwą, w której nie miałbym nic do zdziałania.“

„ No, no, no; podziwiamy, ale nie zazdrościmy... A jakież jest to jedyne wyjście, które ksiądz miał na myśli?“

„Przenieść w inne miejsce kościół!“

„Kościół przenieść?! Kościół?! Ha, ha, ha, ha, ha...“

Niezrażony niczym, ani nawet ironicznym śmiechem starych, doświadczonych proboszczów postanowił ksiądz Dąbrowski, że przeniesie w inne miejsce kościół parafialny w Ellis Corner, jeśli okaże się, iż tam jest tak źle, jak mówiono.

A było znacznie gorzej, niż mówiono, jak o tym przekonał się naocznie po przybyciu do parafii. Faktycznymi władcami osady byli saluniści którzy w niej robili, co chcieli, kościół zaś uważali tylko za przynętę wabiącą dalej osiadłych kolonistów do ich knajp, bo dwie z nich stały po bokach kościoła, a dwie naprzeciw jego głównej bramy.

Skoro tylko przybył do Ellis Corner, stwierdził ksiądz Dąbrowski, że spustoszenie moralne, jakie saluny szerzyły w Ellis Corner, przybrało już zatrważające rozmiary! Starsze kobiety zanosząc się od płaczu opowiadały mu o strasznych bezeceństwach, jakie wyprawiała rozpijana młodzież, o brutalnych awanturach, jakie urządzali wracający z salunów mężowie, bijąc żony i dzieci, opowiadały o nędzy, która była następstwem przepijania zarobków, a początkiem kradzieży, nierządu, wymuszeń. Nawet dzieci w wieku szkolnym kradły różne drobiazgi w domu, ponieważ zaś kradzione przedmioty kupowali tylko saluniści i ponieważ część ceny kupna płacili zawsze w wódce, dzieci także pić zaczynały.

Ksiądz Dąbrowski — słuchając tych zwierzeń — wewnętrznie kurczył się z bólu i umacniał się w swoim postanowieniu, żeby kościół przenieść gdzie indziej. Podczas swoich pierwszych przechadzek po najbliższej okolicy upatrzył sobie pagórek, który byłby wręcz idealnym miejscem pod przyszłą świątynię, lecz to wymarzone miejsce mogło tylko w sferze marzeń pozostać dla parafii tak ubogiej, jak tutejsza i reflektującej jedynie na darowiznę. Bowiem właścicielem gruntów obejmujących ten pagórek był protestant i to Szkot.

„Podobno Szkoci słyną z okropnego skąpstwa,“ martwił się ksiądz Dąbrowski.

Nie jeden raz — po dłuższym rozmyślaniu — doszedł do wniosku, że Szkot, mister McGreer, parsknąłby mu w twarz szyderczym śmiechem, gdyby mu zaproponować oddanie kilku akrów ziemi gratis i w dodatku pod budowę kościoła, nie protestanckiego, lecz katolickiego!

„Szyderstwa bym zniósł wszelakie, ale gorsze to, że McGreer powiedziałby sąsiadom, o co go prosiłem, wieść rozeszłaby się lotem strzały po całej osadzie i saluniści podjudziliby parafian przeciw memu projektowi, zanim go jeszcze poddam pod głosowanie... Tak, tak, muszę sobie pagórek McGreera wybić z głowy.“

Tyle razy tego próbował, a jednak nie zdołał „wybić sobie z głowy pagórka“ i pewnego popołudnia, po długim kołowaniu podszedł do starego McGreera, który właśnie orał podłużny prostokąt ziemi u stóp wymarzonego pagórka. Ujrzawszy nadchodzącego, Szkot odburknął coś opryskliwie w odpowiedzi na jego uprzejme pozdrowienie i jak

gdyby go chciał szybko minąć, podciął konie batem, ale nagle osadził je w miejscu — snadź przyszła mu do głowy inna myśl — i powiedział:

„Dobrze się składa, że spotkaliśmy się nareszcie, bo już dawno chciałem księdzu coś powiedzieć.“

„Bardzo się cieszę, bardzo!“ odparł ksiądz Dąbrowski, uradowany, że McGreer także pragnął tej rozmowy, że sam ją zaczął; ksiądz Dąbrowski uznał to za dobrą wróżbę i oczyma duszy już ujrzał swój kościół na tym pięknym pagórku, z dala od wstrętnych spelunek.

„To co chciałem od dawna powiedzieć,“ ciągnął dalej Szkot, „nie będzie dla księdza przyjemne, ale ja już mam taką naturę, że — jak powiada przysłowie — co u mnie w sercu, to i na języku. Może jednak księdza to wcale nie interesuje, o co ja, protestant, mam głęboki żal i urazę do tutejszych katolików, do ich duszpasterza i do jego zwierzchnika, biskupa Melchera, hę?“

„Ależ przeciwnie! Proszę mówić, bardzo proszę,“ odrzekł ksiądz Dąbrowski, lecz tym razem w jego głosie nie było już ani śladu radości, gdyż pod wpływem słów, usłyszanych co dopiero, śliczna wizja kościoła na wzgórzu rozwiała się nagle, jak rozpływają się w rozgrzanym powietrzu pustynne fatamorgana, gdy chmura słońce przysłoni. „Słucham, panie McGreer.“

„Mam do was pretensję o to, że jesteście niejako wspólnikami tych łotrów, zbrodniarzy, którzy systematycznie podcinają byt naszej osady, a jej spokojnych mieszkańców deprawują moralnie, niszczą ich materialnie i rujnują ich zdrowie...“

Od tych ogólników McGreer przeszedł do przykładów konkretnych, a wreszcie do własnej bolączki. Narzeczonym jego najukochańszej córki był młody Polak, nazwiskiem Kamień, syn bardzo zacnych i bogobojnych dzierżawców młyna. Rodzice wszczepili mu w serce wszelkie własne zalety, nie wyłączając wielkiej pobożności przechodzącej niekiedy w przesadną bigoterię, lecz przy swoich licznych cnotach posiadał Wojtuś Kamień także jedną niepokojącą wadę; mianowicie, naprzekór swojemu „twardo brzmiącemu“ nazwisku, miał wolę bardzo „miękką“, bardzo słabą.

Nie było przez to kłopotów w dni robocze, gdyż wypełniała je niemal w całości ciężka praca we młynie, a jeśli praca skończyła się wcześniej, Wojtuś konno pędził na przełaj do domu rodziców swej narzeczonej i gruchał z nią sobie o przyszłym wspólnym szczęściu. Za to niedziele i święta zawsze stwarzały pokusy, którym słaba wola Wojtkowa nigdy nie umiała się oprzeć. A zaczynało się stale od tego, że pobożni Kamieniowie, odświętnie ubrani jechali do kościoła w Ellis Corner; Wojtuś, który powoził, wysadzał rodziców przed bramą świątyni, a sam odprowadzał wóz na pobliski plac, gdzie „parkowano“ wszelkie wehikuły przyjezdnych. Plac znajdował się na tyłach karczmy Imanuela, najmłodszego, lecz najgorszego z czterech łotrów-salunistów; zaledwie tedy Wojtuś swoją bryczkę z końmi „zaparkował,“ zjawiał się przy nim Imanuel i zapraszał go serdecznie „na jednego“, a Wojtuś odmówić nie umiał. Za tę pierwszą wódkę Imanuel nigdy nie przyjmował zapłaty.

„Po nabożeństwie ty mi nawzajem jeden kieliszek zafundujesz i będziemy skwitowani; jesteś zbyt honorowym człowiekiem, abyś mógł uciec bez wyrównania tego przyjacielskiego długu,“ mawiał zwykle, a przy tym jedną z swoich niezliczonych ciekawych historyjek przerywał w najciekawszym miejscu. „Resztę ci opowiem po kościele, teraz muszę obsłużyć innych klientów,“ dodawał chytrze.

Gdy nabożeństwo się skończyło, lejce ujmował stary Kamień i rodzice Wojtka odjeżdżali do domu sami. „Niek-ta się synalek zabawi z kolegami, niek-ta se idzie do swojej hamerykańskiej gierlsy.“ No i synalek szedł do salunu Imanuela, skąd dopiero pod wieczór przychodził do narzeczonej, pijany aż wstyd, a nierzadko utetlany w błocie, lub posiniaczony na skutek niemal już tradycyjnej niedzielnej bijatyki w tej ohydnej knajpie. Bywało jednak i tak, że Wojtek nie zdołał dowlec się do domu McGreerów, mieszkających o dwie mile od karczmy Imanuela, lecz wywracał się gdzieś po drodze, zasypiał tam twardo jak kamień, (nie darmo zwał się Kamień, bo sen zawsze miał kamienny), i niekiedy trzeba go było szukać z latarniami, przenosić, lub przewozić do domu.

Kiedy tam wyspał się i wytrzeźwiał, zawstydzony przepraszał McGreerów, błagał, aby o jego upiciu się nie mówili nikomu, zwłaszcza jego rodzicom, solennie obiecywał poprawę, aliści robił to samo już zwykle w następną niedzielę. Jeśli zaś nie upił się kompletnie, „w drobny mak,“ tylko tak pół na pół, to było jeszcze gorzej, bo rwał się do bitki z każdym; potwierdzało to znaną regułę, że wódka odmienia człowieka, że człek na trzeźwo czupurny, energiczny, lub wręcz awanturnik, pod wpływem alkoholu staje się potulnym niedołęgą, płaczącym jak beksa-dziecko o byle co, podczas gdy ludzie spokojni, cisi, łagodni, gdy sobie „w sam raz“ podpiją, prześcigają wojowniczością Napoleona. Niemniej jednak słabą było pociechą przeświadczenie, że skoro Wojtek tak się awanturuje po pijanemu, musi w trzeźwym stanie być spokojnym, dobrym człowiekiem.

Toteż McGreer matrwił się i wstydził i raz po raz przeżywał ciężką walkę wewnętrzną. Gdyby Wojtek był jego synem, zerżnąłby mu skórę raz i drugi jak się patrzy, potem zagroziłby mu wypędzeniem z domu i wydziedziczeniem, a gdyby nie pomogły ani te groźby, wprowadziłby je w czyn bez wahania. Lecz Wojtek Kamień był narzeczonym córki, która wprost szalała za nim z miłości i ani słyszeć nie chciała o ewentualnym zerwaniu z swoim chłopcem; ach ten jasnowłosy, modrooki „Łojtusz,“ jak wymawiała jego imię, zajmował w jej sercu pierwsze miejsce nawet przed rodzicami! Stary McGreer kochał tę córkę bezgranicznie, lecz z drugiej strony nie mógł pozwolić na jej małżeństwo z Wojtkiem, dopóki ów nie „ustatkuje się“ wreszcie, dopóki nie zacznie być mężczyzną, umiejącym przezwyciężać takie pokusy, rujnujące zdrowie, majątek, no i dobre imię w całej okolicy.

Już dzisiaj ten i ów wie, że Wojtuś Komień lubi urżnąć się w niedziele czy w święto, lecz ten i ów patrzy na to pobłażliwie, jak na sporadyczne wybryki młodzieńca, toć „młodość wyszumieć się musi.“ Skończy się jednak ta pobłażliwość — i słusznie! — gdy młody Kamień

przestanie być kawalerem, gdy się ożeni i zostanie ojcem rodziny. A jeszcze gorsze od przyszłej pogardy ludzkiej może być to, że sporadyczne upijania się prędzej, czy później przejdą w nałóg, w częste lub stałe opilstwo, które niemal zawsze kończy się tragicznie dla pijaka, jak również dla jego rodziny!

Takie i podobne obawy musiały snadź bardzo głęboko nurtować w sercu starego Szkota, gdyż choć na ogół odznaczał się małomównością, tym razem rozgadał się niebywale, tak że ten jego „monolog“ trwał przeszło godzinę.

Potem zabrał głos ksiądz Dąbrowski:

„W zupełności podzielam pana obawy o przyszłość córki i pana niechęć do salunistów,“ zaczął. „Ale czemu pan uważa mnie i, co gorsza, mego zwierzchnika, czcigodnego księdza biskupa Melchera za wspólnika karczmarzy, jak się pan dziwnie wyraził na początku?“

„Bo gdyby nie wasza świątynia, mój Wojtek nigdy by się nie znalazł w sąsiedztwie salunów. On w tamtej okolicy nie ma żadnych interesów i nie bywałby w niej żeby nie katolickie nabożeństwa; one ciągną tam jego i tylu jemu podobnych! one, te wasze niedzielne sumy i nieszpory są przynętą, na którą saluniści łowią ludzi, by ich potem rozpijać, demoralizować i ograbiać. Czyż nie jest tak? Czy nie mam racji?!“

„Ma pan, niestety, chociaż...“

„Ech, księże,“ przerwał mu McGreer nie traćmy czasu na dysputy, pogadajmy krótko, a praktycznie, jak ludzie interesu... Słuchajcie, księże; będziecie mieli we mnie najszczerszego przyjaciela i źle na tym nie wyjdziecie, ale zamknijcie ten wasz kościół choć na rok... Rozumiem, że przez to ksiądz byłby pozbawiony swoich dochodów z parafii; ustalmy więc ich przeciętną miesięczną i tyle będę płacił co miesiąc, aby ksiądz nie był stratny. No, a biskupowi wytłumaczymy, że przez roczne zamknięcie kościoła ci saluniści na pewno zbankrutują, czyli przestaną rozpijać i deprawować tutejszych mieszkańców, których dobro chyba leży biskupowi na sercu. Czyż nie?!“

„Tak, oczywiście, lecz właśnie dlatego nie wolno pozbawiać setek ludzi pociech religijnych i nabożeństw, by w zamian za to uchronić od picia jednego człowieka o słabej woli, pańskiego przyszłego zięcia,“ odparł ksiądz Dąbrowski spokojnie, choć niezwykła propozycja Szkota go wzburzyła. „Zresztą, panie McGreer, pański projekt, gdyby nawet mógł być brany poważnie, ma lukę, której załatać pan nie potrafi.“

„Mianowicie, jaką?“

„Powiedział pan, że jeśli kościół się zamknie, saluniści wnet zbankrutują; przypuśćmy, choć ja sądzę, iż nie zbankrutują, tylko będą zarabiali znacznie mniej, niż dzisiaj. Przypuśćmy — dla uproszczenia — że zbankrutują. Ale kiedy za rok kościół otworzyłby się na nowo, saluniści wrócą, albo ci sami, albo jacyś inni i znowu będzie to samo, co dzisiaj!“

„A nie będzie! Bo tymczasem ja kupię te cztery stare rudery i przerobię karczmy na domy czynszowe, lub choćby na stajnię. Ja mam pieniędzy dość!“

„Lecz na pewno za mało na to, aby wykupić wszystkie budynki i parcele w promieniu ćwierć mili od mego kościoła.“

„No, oczywiście, lecz po cóż miałbym wykupywać wszystkie?!

„Po to, by nie dopuścić do założenia nowych salunów na innych parcelach, czy w innych budynkach w sąsiedztwie kościoła.“

„Hm, o tym nie pomyślałem,“ przyznał McGreer, zasępił się znowu i po chwili zamruczał ponuro: „Czyli, że nie ma żadnego wyjścia z tej sytuacji.“

„Wydaje mi się, że jest jedno wyjście,“ odparł ksiądz Dąbrowski, uznawszy, iż nadszedł najwłaściwszy moment do wyjawienia swoich dawnych planów, będących dotychczas w sferze nieziszczalnych marzeń. „Czy to prawda, panie McGreer...“ zaczął ostrożnie, „że tu, w Ameryce niekiedy rozbiera się i przenosi na inne miejsce całe domy?“

„Tak, czytałem o tym nie raz.“

„Skoro tak, czemuż by nie przenieść gdzie indziej mojego kościoła? Przecież on jest mniejszy od wielu domów, jakie widziałem w Nowym Yorku, przecież nie posiada wewnątrz żadnych ścian, podłóg, sufitów, pieców, łazienek, słowem tego wszystkiego, co posiadają domy mieszkalne. Ma tylko jedną podłogę, jeden dach i cztery ściany zewnętrzne, a wszystko to z drzewa, które można by kolejno przewozić nawet na zwyczajnych chłopskich wozach oraz...“

„Ależ to świetny pomysł!“ wybuchnął McGreer, ochłonąwszy z pierwszego zdziwienia i zaraz zapalił się do tego projektu. „To byłoby naprawdę tak po naszemu, po amerykańsku! Przeniesienie w inne miejsce całej dużej świątyni... do licha, to zupełna nowość! Wszystkie gazety powinny o tym pisać! No, księże, serdecznie gratuluję wspaniałego pomysłu, do którego zrealizowania zabierze się ksiądz — sądzę — natychmiast, co?“

„Pragnąłbym tego najgoręcej, niestety, na kupno parceli pod kościół nie mam pieniędzy i obawiam się, że zanim zdołam uciułać potrzebną sumę, kilka lat upłynie.“

„Kilka lat?!“

„Oczywiście. Parafianie są biedni, dzięki salunistom, którzy w dodatku rozwiną gwałtowną agitację przeciwko tej zbiórce pieniędzy.“

„To prawda, to prawda,“ potakiwał McGreer. „Ale kolektowanie pieniędzy na ten cel byłoby całkiem zbyteczne, gdyby tak na przykład ktoś ofiarował księdzu w prezencie kawał ziemi pod kościół, prawda?“

„Rozumie się, lecz kto zdobędzie się na tak szlachetny gest?“

„Ja!“

„Bóg zapłać, panie McGreer... Czy jednak pan jutro nie rozmyśli się, nie zmieni zdania, nie cofnie swej wspaniałomyślnej obietnicy?“

„Księże, proszę mnie nie obrażać! Stary McGreer nigdy nie mówi na wiatr! Moja obietnica jest więcej warta, niż niejeden weksel, a nawet czek! Zresztą ja mam w Ellis Corner i okolicy tyle gruntów, że nawet nie poczuję, nie zauważę ubytku jednej kilkuakrowej parceli.“

„Rozumiem. Pragnę zauważyć, że nie każda parcela nadaje się

pod budowę kościoła katolickiego, gdyż on powinien dominować swym położeniem nad najbliższą okolicą, ot tak, jak na przykład ten pagórek naprzeciw panuje nad tą dolinką."

„Ano to dam księdzu ten pagórek, zgoda?"

„Zgoda, panie McGreer, zgoda! Przyjmuję z wdzięcznością! I poznawszy pana teraz, nie wątpię, że pan nigdy nie sprzeda żadnemu saluniście parceli w najbliższym sąsiedztwie tego pagórka."

„Ja nie sprzedam za żadną cenę, ale mógłby to zrobić, kiedy ja umrę, któryś z moich spadkobierców," zafrasował się Szkot i po namyśle zdobył się na gest niebywały u oszczędnych Szkotów; „Żeby zabezpieczyć wasz kościół przed takimi niespodziankami moich przyszłych spadkobierców, — z których jeden ma szczególnie słabą wolę — ofiaruję nowemu kościołowi tyle ziemi dokoła niego, że niebezpieczeństwo usadowienia się w jego pobliżu jakiegoś salunisty w ogóle nie będzie mogło zaistnieć. Słowem, dam księdzu pod kościół ten pagórek i 20 akrów ziemi dokoła niego!"

Szlachetna decyzja McGreera znacznie przekroczyła granice najśmielszych marzeń księdza Dąbrowskiego i sprawiła, że głos mu drżał z radosnego wzruszenia, kiedy dziękował Szkotowi za jego hojną darowiznę.

„Dopóki żyję, będę w każdą rocznicę dzisiejszego dnia odprawiał mszę świętą na intencję pana i pańskiej rodziny," rzekł. „Nie wątpię też, że pan — chociaż protestant — zajrzy niekiedy do naszej świątyni i..."

„Czemu by nie," wtrącił McGreer. „Szczerze mówiąc, nigdy was, katolików nie lubiłem i nie lubię, ale cóż mi to szkodzi zobaczyć z ciekawości jak się papiści modlą po swojemu?"

Podglądanie „z ciekawości papistów" doprowadziło w końcu do tego, że stary McGreer wraz z całą swoją rodziną przeszedł na łono kościoła katolickiego, ku wielkiej radości księdza Dąbrowskiego i rodziców Wojtka Kamienia. No, ale to stało się znacznie później, a na razie trzeba się było zabrać do przenosin drewnianego kościółka w Ellis Corner o dwie mile na wschód, na ów piękny pagórek, który ksiądz Dąbrowski nazwał „POLONIĄ."

Na tak niezwykłą przeprowadzkę potrzebna była nie tylko zgoda biskupa, ale — co trudniejsze! — zgoda większości parafian, przeważnie idących na pasku salunistów. Pomiędzy tymi „wilkami", a dobrym „pasterzem," księdzem Dąbrowskim, rozpoczęła się zaciekła walka o rząd dusz, o wybór drogi dla „owczarni," od tylu lat pędzonej na manowce. Dopiero pod koniec jesieni zdołał ksiądz przeprowadzić uchwałę parafialną, mocą której parafia katolicka w Ellis Corner zdecydowała się formalnie na przeniesienie swego kościoła w inne miejsce.

Ale od załatwienia strony prawnej tej przeprowadzki do jej realizacji w praktyce pozostała jeszcze droga długa i uciążliwa. Gdy w pewien poniedziałek zimowy jedni parafianie — pod komendą swojego proboszcza — zaczęli rozbierać stary kościółek, — inni, podjudzeni przez

salunistów, zaczęli pracujących przy rozbiórce obrzucać kamieniami i wygrażać im siekierami. Potem — dla odmiany — baba, pracująca wraz z swymi córkami w salunie Imanuela, kiedy miano wkładać na sanie kościelny dzwon, przywiązała się sznurem do jego serca, wrzeszcząc w kółko histerycznie:

„Nie dam zabierać stąd dzwonu! Chcecie go wziąć? To musicie pierw mnie zabić! Nie dam dzwonu, nie dam!“

Przez kilka dni zawzięcie pikietowała dzwon i trzeba go było niemal porwać w pewną noc ciemną.

Po przewiezieniu drzewa uzyskanego z rozbiórki i po uzupełnieniu materiału budulcowego, przystąpiono do stawiania nowego kościoła na pagórku Polonia. Budowa ta zajęła dalszych kilka tygodni, a przez ten czas nabożeństwa odprawiał ksiądz Dąbrowski w prywatnych domach kolonistów, którzy ogromnie ubiegali się o ten zaszczyt i coraz bardziej przywiązywali się do swego proboszcza, wykazującego energię niespotykaną u jego poprzedników.

Za to saluniści przysięgli mu zemstę, i wojowali z nim, gdzie tylko się dało. Przede wszystkim wytoczyli proces sądowy jemu i jego zwierzchnikowi, biskupowi Melcherowi, domagając się w skardze bardzo znacznego odszkodowania za straty, jakie ponosili przez przeniesienie kościoła, który ściągał do nich z okolicy tłumy kostumerów. Proces ten oczywiście przegrali, kolejno we wszystkich instancjach, ale sam fakt, że tego rodzaju proces ośmielili się wytoczyć i długo prowadzić, najwymowniej świadczy o niesłychanych rozmiarach ich bezczelności.

Ale sala sądowa nie była jedynym polem walki rozzuchwalonych „wilków“ z łagodnym, acz niezwykle wytrwałym „pasterzem.“ Procesowaniem się chcieli saluniści znienawidzonego przez nich proboszcza zniszczyć materialnie, natomiast ciosem moralnym dla niego, a nowym magnesem klienteli dla nich miał być kościół „konkurencyjny,“ którego budowę rozpoczęli oni niebawem.

Był to jeden z iście szatańskich pomysłów Imanuela, najgorszego wśród salunistów łajdaka, który ubzdurał sobie, że także w dziedzinie religijnej można z powodzeniem stosować metody brudnej konkurencji handlowej. Budynek, którego budowę finansowali saluniści, rozmiarami i okazałością prześcignął łatwo ubogi kościółek w Polonii, a z powodu swego czerwonego dachu zyskał sobie nazwę „czerwonego kościoła.“

„Ładniejszy jest od naszego, co prawda, to prawda,“ mawiali parafianie księdza Dąbrowskiego, który na to odpowiadał:

„Tak, ale Bóg nie zamieszka w nim nigdy, a świątynia bez Boga — choćby najpiękniejsza — nie może być kościołem, jest tylko budynkiem, szopą, budą . . .“

Gdy słowa te doszły do Imanuela, zwołał on posiedzenie zwolenników „czerwonego kościoła“ i wyraził się cynicznie, bluźnierczo:

„Bóg nam nie jest zbyt potrzebny, lecz potrzebujemy jednak jakiegoś księdza. Gdyby mnie tutejsi ludzie na to wybrali, sam bym co

niedzielę przywdział ornat, sam był gadał kazania i sam bym kwestował; mielibyście z tego dobry dochód, a i ja swoją część w nim. Niestety ja muszę pilnować interesu swego w salunie, choć mam gębę bardzo wymowną i mógłbym być dobrym księdzem. Dlatego musimy dla naszego kościoła znaleźć innego jakiego księdza.“

„To nie będzie rzeczą łatwą,“ przewidywał ktoś słusznie. „Jacy tam niektórzy księża są, tacy są, lecz dwóch zalet nie można im odmówić nigdy: solidarności oraz karności wobec ich przełożonych.“

„Tak, tak, prawda, święta racja,“ potakiwali inni zwolennicy „czerwonego kościoła,“ a największy wśród nich pesymista od razu obsypał wymówkami Imanuela; „O tym należało pomyśleć, zanim przystąpiliśmy do budowy! Włożone w nią ciężkie pieniądze okażą się wyrzuconymi w błoto, jeśli jakiego księdza nie znajdziemy, a że nie znajdziemy to prawie pewne.“

„Nie prawie, lecz całkiem pewne jest to, że ja już księdza mam. Napisałem do gazety i ta mi księdza już wyszukała. Warunki z nim listownie już umówiłem i — jeśli złożycie się dzisiaj na koszty jego podróży z Texasu, to — ksiądz może tu być w najbliższą niedzielę. Nie taki to zdrajca i niepatriota jak ten klecha Dąbrowski, ale prawdziwy Polak, ksiądz narodowy. Nazywa się Frydrychowicz, jest on w Teksasie, lecz chce przyjść do nas.“

Tylko jeden z uczestników zebrania miał jeszcze pewne wątpliwości:

„Czy aby ów Frydrychowicz jest na pewno księdzem? Bo jeżeli to jakiś oszust udający księdza, to nasze baby w mig poznają się na tym; one znają na pamięć każdy szczególik nabożeństwa lepiej, niż niejeden młody ksiądz i... narobimy sobie więcej kłopotu, niż to wszystko warte, jeżeli ten ksiądz Frydrychowicz jest nieprawdziwy i nie umie mszy odprawiać.“

„Mogę was zapewnić, kolego, że Frydrychowicz jest prawdziwym księdzem, dawno już wyświęconym.

Mówiąc tak, Imanuel wyjątkowo powiedział prawdę, tylko nie dodał jej najważniejszego szczegółu, mianowicie, że ksiądz Frydrychowicz przebywający w Texas, został tam niedawno przez swoich kościelnych zwierzchników zasuspendowany!

Nikt na razie o tym nie wiedział, oprócz Imanuela i ksiądz Frydrychowicz, przybywszy do Ellis Corner, zaczął „urzędować“ w „Czerwonym kościele.“ Ksiądz Dąbrowski zawiadomił o tym biskupa Melchera i poprosił go o wyjaśnienie, czy Frydrychowicz jest księdzem przezeń przysłanym?

„Mamy teraz dwie parafie,“ mówili mieszkańcy Ellis Corner, ponieważ zaś nowość pociąga — i ponieważ saluny także ciągnęły — o wiele więcej ludzi zaczęło uczęszczać do czerwonego kościoła, niż do odległego o dwie mile od osady kościółka w Polonii. Wkrótce nadeszła jednak odpowiedź od biskupa Melchera.

Dowiedziawszy się całej prawdy o Frydrychowiczu, ksiądz Dąbrowski odczytał w kościele pismo biskupa Melchera, a od siebie

wyjaśnił parafianom, że Frydrychowicz jest pod klątwą kościelną, że do kościoła jego nie wolno chodzić i że sakramenta, na przykład śluby udzielane przez Frydrychowicza, są nieważne. Doniosło się to do Frydrychowicza, jeszcze tego samego dnia, a tej samej niedzieli miał on udzielić ślubu parze niemal najbogatszych ludzi w Ellis Corner; ceremonia miała być bardzo okazała i proporcjonalne do niej honorarium proboszcza, aż tu nagle gruchnęła wieść, że śluby udzielane przez Frydrychowicza są nieważne, i że tak powiedział ksiądz Dąbrowski.

Nic dziwnego, że Frydrychowicz, który w ogóle był typowym sangwinikiem i wybuchami swej zapalczywości zawsze przerażał otoczenie, tym razem wpadł w szalony gniew. Kiedy z zakrystii wychodził do głównej nawy czerwonego kościoła, natłoczonego po brzegi gapiami czekającymi na ślub dwojga miejscowych krezusów, jego gruby, "byczy" kark był szkarłatny, tak jakby lada chwila krew miała z niego wytrysnąć, a podobnie złowieszczą barwę przybrały jego mięsiste wargi, które stały się sino fioletowe. Wszedłszy do góry po stopniach, Frydrychowicz odwrócił się tyłem do ołtarza, a twarzą do tłumnie zebranych parafian i podniósł rękę, jakby na znak, że chce im zakomunikować coś bardzo ważnego, bardzo pilnego.

„Bracia i siostry w Chrystusie!“ zaczął swoim donośnym, tubalnym głosem, nad którym starał się zapanować, a który mimo to zaraz przeszedł w ogłuszające fortissimo. „Doniesiono mi przed chwilą, że ksiądz Dąbrowski . . .“

Zrobił małą pauzę, jak gdyby chciał odczekać, aż ucichną szmery, szelesty i lekki skrzyp ławek; wszystkie te odgłosy on sam spowodował, względnie zaciekawienie, jakie wywołał swoim wyglądem, brzmieniem głosu i wzmianką o „konkurencyjnym“ proboszczu, z którym od przybycia tutaj miał na pieńku. Ludzie pochylili się naprzód, aby lepiej słyszeć, upominali się wzajem, aby nie hałasować, nie rozmawiać, nie kaszleć i stąd wyniknęły owe szmery, szelesty. Lecz wnet nastała cisza jak makiem zasiał, wszyscy zamienili się w słuch, czekali niecierpliwie na dalszy ciąg przemówienia, którego początek wróżył jakąś sensację pierwszej klasy!

Zaczerpnąwszy powietrza w swe potężne płuca, ksiądz Frydrychowicz powtórzył pierwsze wyrazy przerwanego zdania: „Doniesiono mi przed chwilą, że ksiądz Dąbrowski“ . . . potem znowu wpadł w fortissimo:

„. . . rozgłasza publicznie, iż śluby udzielane przeze mnie jakoby nie są ważne!“ Błyskawice gniewu strzeliły mu z wyłupiastych oczu, a prawa dłoń zacisnęła się w pięść, która odruchowo podniosła się w górę. „W związku z tym, ja z kolei muszę oświadczyć publicznie“ . . . Urwał, powtórzył „oświadczyć publicznie“ i znowu urwał, a jego grzmiący głos stał się przy tej powtórce chrapliwy, niemal charczący. Znów nabrał tchu w płuca, odchrząknął i kończył zdanie niemal rykiem:

„. . . że ksiądz Dąbrowski mija z prawdą, jest zaprzedańcem!“ . . .

Teraz już nie tylko wargi miał fioletowe, ale i cały kark.

„. . . że on kłamieeee!“ ryczał przeraźliwie pośród grobowej ciszy

zebranych, a oczy wybałuszył tak niesamowicie, że strach ogarnął kobiety siedzące w pierwszych ławkach.

„...i Boga biorę na świadka," grzmiał dalej ksiądz Frydrychowicz, a równocześnie obiema dłońmi jął nerwowo rozpinać kołnierzyk, jak gdyby zapomniał o tym, gdzie przebywa;... „na świadka, że ksiądz Dąbrowski zełgał!"

Tuż po tym ostatnim słowie nastąpił przeszywający krzyk bólu, ksiądz Frydrychowicz rozerwał swój kołnierzyk, postąpił krok naprzód, zatrzepotał rękami, runął i stoczył się bezwładnie w dół po stopniach ołtarza.

Jak długo można wstrzymać dech w piersiach, tak długo trwała w „czerwonym kościele" cisza śmiertelna. Potem gdzieś w pośrodku kościoła jakaś kobieta zaczęła wrzeszczeć przeraźliwie:

„Słyszeliście?! Bogiem się świadczył i padł rażony piorunem! Skłamał, krzywoprzysiągł i Bóg go skarał."

„Uciekajmy stąd!" zawołała druga kobieta. „Uciekajmy!"

„Stać! Stać!" upominał ktoś rozsądniejszy, lecz jego głos zaginął pośród ogólnej wrzawy, towarzyszącej panicznej ucieczce, podczas której na szczęście nikogo nie zatratowano na śmierć, acz poturbowano wielu.

Sprowadzony ze Stevens Point lekarz, który zastał już zimne zwłoki, stwierdził, iż ksiądz Frydrychowicz zmarł na skutek ataku apoplektycznego, lecz ani stu lekarzy i tyluż biskupów nie zdołałoby swymi perswazjami, czy najbardziej uroczystymi zapewnieniami wybić z głów mieszkańców Ellis Corner ich przekonania, że nagły zgon Frydrychowicza był karą bożą za jego krzywoprzysięstwo.

Wypadek ten nie tylko wzmocnił autorytet księdza Dąbrowskiego, lecz również zadecydował ostatecznie o zwycięstwie jego skromnego kościółka nad okazałym „czerwonym kościołem," którego bramy trzeba było zamknąć na głucho i zamknąć je na zawsze. „Czerwony kościół," który miał przyciągać klientelę do salunów, nie tylko że tego nie dokazał, ale jeszcze stał się — przez swoje bliskie sąsiedztwo z salunami, — ich przekleństwem; gruchnęła bowiem wieść, że tam „straszy", że dusza księdza Frydrychowicza „pokutuje" w zamkniętym kościele; bojąc się więc przechodzić koło niego nocną porą, pijacy opuszczali saluny o kilka godzin wcześniej, niż czynili to dawniej.

„Nie ma innej rady, tylko trzeba tę przeklętą budę rozebrać jak najprędzej, gdyż ona wypędza nam klientelę," orzekli saluniści, ponieważ jednak nie mogli tak prędko przeboleć pokaźnych sum wyrzuconych na budowę niepotrzebnego kościoła, zwlekali długo z nowymi wydatkami na jego rozbiórkę.

„Przegraliśmy tym razem, ale nie zapominajmy przez kogo!" podjudzał salunistów ich młody herszt, Imanuel. „Nie zapominajmy, że na wszystkie te olbrzymie straty naraził nas i naraża ten czarownik Dąbrowski!"

„Czarownik, mówicie?! No, jeśli on czarownik, to szkoda z nim walczyć. Nie ma żadnego sposobu na czarowników."

„Owszem, jest na nich jedno znakomite lekarstwo. Leczono ich nim masowo w wiekach średnich, w okresie tak zwanych sądów bożych świętej Inkwizycji.“

„Inkwizycji? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.“

„Ba, nasz Imanuel, to człowiek uczony!“

„No, a jakież to jest lekarstwo?“

„Ogień,“ odparł Imanuel, burząc nerwową piegowatą dłonią swoje włosy rudo-czerwone jak płomienie. Złowrogie błyski zapaliły mu się w oczach, ale jego głos pozostał spokojny, gdy mówił dalej szyderczo i z przejrzystą dwuznacznością; „I tego naszego czarownika najprędzej by ogień wyleczył, myślę. Dlatego radzę wam, szanowni wspólnicy-konkurenci, módlcie się gorąco do Belzebuba, żeby już na ziemi dał Dąbrowskiemu przedsmak piekielnego ognia. No, a jak już się kiedyś przypadkowo kurnik Dąbrowskiego zapali, to nie spieszcie się z gaszeniem go, chociaż należycie do ochotniczej straży pożarnej.“

Wkrótce potem w skromniutkiej plebanii księdza Dąbrowskiego nastąpiła eksplozja, która rozwaliła kuchenny piec i omal nie wywołała pożaru; jak się okazało później, eksplozję spowodował nabój prochu, ukryty w wydrążeniu jednego z polan drzewa opałowego.

Drugi zbrodniczy zamach zakończył się tragiczniej. Było to już po sprowadzeniu do Polonii aż z Krakowa pięciu Sióstr Felicjanek, z matką przełożoną, Moniką Sybilską na czele. Siostry zajęły się nauczaniem dzieci w szkole, którą ksiądz Dąbrowski założył, a także prowadziły sierociniec. I nagle pewnego dnia wybuchnął pożar, który zniszczył kościół, szkołę, sierociniec, plebanię, słowem, wszystko!

Przyczyna pożaru? Podpalenie!

Sprawca? Nieznany!

Taki wynik dało śledztwo po pożarze i tak ogień strawił cały dorobek długiej, ciężkiej pracy, a jednak ksiądz Dąbrowski nie upadł na duchu i postanowił odbudować wszystko od początku.

„Księże proboszczu, czy nie szkoda twoich wysiłków?“ powiedziała doń wtedy córka McGreera obecnie już pani Wojciechowa Kamień. „Przecież owi tajemniczy zbrodniarze znowu księdzu wszystko spalą.“

„Tym razem już nie spalą, bo uprzykrzyłem sobie drzewo; teraz będę budował wszystko tylko z cegły i z kamienia.“

„Ależ na to potrzeba moc pieniędzy!“

A z pieniędzmi było krucho, jak zawsze u księdza Dąbrowskiego. Wprawdzie dostał od towarzystwa ubezpieczeń $5,000 po spaleniu się kościoła, wprawdzie zacne Siostry Felicjanki zmieniły chwilowo zaszczytny zawód nauczycielski na bardzo męczące i nieprzyjemne kwestarstwo i po długiej „pielgrzymce“ od jednej polskiej osady do drugiej uciułały parę set dolarów, ale wszystko to jeszcze nie mogło pokryć kosztów zamierzonej budowy.

„Nie trapcie się, Pan Bóg nas nie opuści i sprawi, że brakująca suma spadnie nam skądś w ostatniej chwili. Na razie zaś zaczynajmy budować za to, co mamy,“ upierał się ksiądz Dąbrowski, a taki już miał

autorytet, że usłuchano go, chociaż według wszelkich ludzkich obliczeń budowa musiała być przerwana w połowie po wyczerpaniu całego funduszu.

I tak się też stało i zewsząd posypały się wymówki:

„A co, czy nie mówiliśmy księdzu proboszczowi?!“

„Nie trzeba było budowy zaczynać, dopóki się nie miało pieniędzy na pokrycie jej kosztów!“

„Albo należało pozostać przy drzewie, które jest znacznie tańsze; w Ameryce przeszło 80% wszelkich budynków jest z drzewa, a księdzu zachciało się murowanych pałaców.“

„Ośmieszyliśmy się tylko i to na całą okolicę!“

„I co teraz będzie?“

Jedynie treść tego ostatniego zdania martwiła księdza Dąbrowskiego; resztę puszczał mimo uszu, za to sam także powtarzał sobie często: „Co teraz będzie?“ i troskał się coraz więcej. Nie marzył już o tym, by mógł przed nadejściem zimy ukończyć budowę; pragnął natomiast pokryć prowizorycznym drewnianym daszkiem niedokończone chociaż mury, lecz nawet i na to nie miał pieniędzy. Saluniści podjudzili też przeciwko niemu dostawcę cegieł, któremu był winien jeszcze 400 dolarów i który nagle oznajmił księdzu Dąbrowskiemu kategorycznie:

„Dłużej czekać nie mogę. Jeżeli nie otrzymam mojej należności w najbliższą sobotę, zabiorę sobie swoje cegły z powrotem.“

„Przecież ich już nie ma, już zostały zużyte na budowę!“

„To oczywiście obniża ich wartość o połowę i dlatego będę musiał zabrać cegieł dwa razy więcej, rozbierając mury rozumie się na koszt księdza proboszcza, względnie tutejszej parafii.“

Przerażony taką pogróżką, ksiądz Dąbrowski wyjechał natychmiast do Green Bay, lecz biskupa tam nie zastał, a jego sekretarz, orzekłszy, że dostawca cegieł nie ma prawa wykonać swej groźby bez wyroku sądowego, nie omieszkał uraczyć proboszcza z Polonii porcją wymówek podobnych do tych, jakie ksiądz Dąbrowski codziennie słyszał od swoich parafian. Przy pożegnaniu zaczął jednak z innej beczki:

„Dziś rano pytał się tu o księdza proboszcza pewien adwokat.“

„Adwokat?!“ przeraził się ksiądz Dąbrowski, który okropnie nie lubił sądów. „Przecież sprawa z salunisatmi już skończona, chwalić Boga. Czyżby oni wytoczyli mi jaki nowy proces?“

„Nic o tym nie wiem,“ odparł ksiądz-sekretarz biskupa. „Młody adwokat, który tu pytał o adres księdza proboszcza, przybył aż z New Yorku. Nie z ciekawości, lecz poniekąd z obowiązku chciałem się dowiedzieć, jaki ma interes, ale on, choć młody, jest kuty na cztery nogi i nawet na podchwytliwe pytania umie dawać wymijające odpowiedzi. Nadmienił tylko, że ma ważną osobistą sprawę do księdza proboszcza i że go odwiedzi w Polonii, dokąd wyjedzie najbliższym pociągiem.“

Najbliższy pociąg odchodził za godzinę i tym ksiądz Dąbrowski również odjechał, nie mogąc nic załatwić z powodu nieobecności biskupa. Ponieważ zaś głowę miał nabitą swoimi troskami, zapomniał

o adwokacie. Za to adwokat pamiętał, po co i do kogo jedzie. Już w pociągu jął rozpytywać przygodnych towarzyszy o proboszcza z Polonii i dowiedział się od jakiegoś kolonisty, że ksiądz Dąbrowski siedzi w następnym wagonie.

„Świetnie się składa! Niechże mnie pan zaraz zaprowadzi do niego!"

„Ach, to pan," rzekł proboszcz z Polonii, kiedy adwokat przedstawił mu się i usiadł obok. „Mówiono mi, że pan pytał o mnie w kurii biskupiej."

„Gdzie niektórzy zapominają, że ciekawość, to pierwszy stopień do piekła," odparł z uśmiechem prawnik. „No, ale przystąpmy od razu do sprawy, która mnie tu sprowadza. Czy ksiądz zna niejakiego Cholewę?"

„Macieja Cholewę? Znam, a dlaczego?

„Imię się zgadza, niemniej jednak dla porządku rzeczy muszę zapytać, co księdzu wiadomo o tym człowieku. Proszę powiedzieć wszystko, a potem ja księdzu coś powiem... coś może bardzo interesującego."

Ksiądz Dąbrowski spełnił życzenie adwokata, treściwie przedstawił dzieje swej znajomości z Maćkiem oraz spotkanie z nim w New Yorku.

„A czy nie zetknął się ksiądz kiedy z jego ojcem?"

„Owszem. Płynęliśmy do Ameryki na tym samym statku i podczas owej podróży świętej pamięci Jan Cholewa zmarł na moich rękach."

„Czy przed śmiercią Jan Cholewa dał księdzu jakie zlecenie?"

„Tak i wykonałem je niezwłocznie po przybyciu do New Yorku."

„To zlecenie polegało na...?"

„Na doręczeniu jego synowi skromnych osobistych drobiazgów zmarłego, oraz kilkuset rubli. Kuferek z tym zatrzymały władze celne, a kluczyk od kuferka osobiście wręczyłem Maćkowi."

„Dziękuję, to mi wystarczy. I przepraszam, że księdza tak egzaminowałem, ale kancelaria adwokacka mojego ojca znana jest w New Yorku z swej pedantyczności. Egzaminowałem księdza, niczym sędzia śledczy dlatego, aby upewnić się ponad wszelką wątpliwość, że ksiądz jest właśnie tym księdzem Dąbrowskim, którego zmarły Maciej Cholewa..."

„Zmarły?!" przerwał mu ksiądz Dąbrowski. „Maciek zmarł? Kiedy?!"

„Ksiądz o tym nie wiedział? Zdumiewające! Przecież ten wypadek był przez bardzo długi czas największą sensacją kryminalną New Yorku i pisano o nim wszędzie! Czy ksiądz gazet nie czyta?!"

„Owszem, ale czytam tylko wiadomości ważne. Kronika kryminalna i sprawozdania z sensacyjnych, czy skandalicznych procesów mnie nie interesują... Domyślam się jednak z tego, co pan mecenas przed chwilą powiedział, że biedny Maciuś nie umarł naturalną śmiercią."

„A nie, nie! Znaleziono go za miastem nieprzytomnego, z ciężkimi

ranami, które świadczyły, że walczył z napastnikiem zaciekle, lecz w końcu uległ przemocy. W szpitalu ranny odzyskał przytomność. Wtedy podyktował mojemu ojcu swoją ostatnią wolę, a jeszcze przedtem zeznał wobec władz, że napadł go i obrabował jeden z jego kelnerów, jakiś Wasyl... nazwisko uleciało mi z pamięci, lecz mniejsza z tym... Dopiero w rok po śmierci Macieja Cholewy schwytano aż w Kalifornii jego mordercę, przewieziono go do New Yorku, gdzie też nie odrazu rozpoczął się ów głośny proces."

„Nic a nic o tym nie wiedziałem," mruknął ksiądz Dąbrowski i westchnął współczująco; „Biedny Maciuś, biedny."

„Jest ktoś, kto zasługuje na większe współczucie, lecz o tym powiem później," rzekł adwokat i nawiązał do poprzedniego zdania swej opowieści; „Proces głośny dlatego, że Wasyl, chcąc snadź ratować siebie, zwalił całą winę na kasjerkę w restauracji Cholewy, na niejaką Janinę Sudak, na którą dotychczas ani cień podejrzenia nie padł, która uchodziła jakby za żonę zmarłego i która prowadziła dalej tę restaurację, a testament chciała obalić. Gdy Wasyl obciążył ją zeznaniami, aresztowano ją i także posadzono na ławie oskarżonych podczas owego procesu."

„Hm, hm," zachrząkał ksiądz Dąbrowski, przypomniawszy sobie nagle urywek rozmowy przypadkowo zasłyszanej niegdyś w restauracji Maćkowej.

„Podobno Cholewa chciał pozbyć się kasjerki, chociaż na początku ich współżycia miał obiecywać jej małżeństwo. Podobno to wzburzyło zawiedzioną niewiastę tak, że zaprzysięgła mu zemstę i namówiła podkochującego się w niej kelnera do zbrodni... Tak zeznawał Wasyl, temu gwałtownie przeczyła Janina Sudak, ale w ostatnim dniu procesu załamała się i przyznała do współwiny. W następstwie tego sąd skazał Wasyla na śmierć i wyrok wykonano, panna Sudak odsiaduje karę bezterminowego więzienia i — według testamentu Macieja Cholewy — jego uniwersalnym spadkobiercą ma być ksiądz, ale..."

„Ja?!" zdumiał się ksiądz Dąbrowski. „Dlaczego ja?!"

„Maciej nie miał już rodziców ani rodzeństwa, ani ślubnego potomstwa, miał więc pełne prawo zapisać cały swój majątek, komu chciał i zapisał go księdzu jako dawnemu swojemu koledze i towarzyszowi broni. Ale... ha, na świecie nie ma niczego bez „ale," jest zatem takie jedno „ale" i w tej sprawie spadkowej. Ponieważ jednak na szczęście mam do czynienia nie z jakimś chciwcem ani z człowiekiem bez serca, tylko z kapłanem katolickim, wierzę, iż to „ale" nie będzie kością niezgody i da się strawić w polubownej ugodzie."

„Nie rozumiem, o czym pan mecenas teraz mówi."

„Zaraz wyjaśnię... Otóż Maciej Cholewa, kiedy dyktował swój testament mojemu ojcu, nic jeszcze o tym nie wiedział, że ma być ojcem dziecka owej Janiny Sudak. Gdy mu to wyjawiła w szpitalu, ucieszył się ogromnie, chciał ją natychmiast poślubić, aby przyszłemu dziecku przekazać swoje nazwisko i majątek, chciał także zmienić testament. Wszystko to miało być zrobione nazajutrz, tymczasem w nocy Maciej

umarł. Wobec tego moc prawną ma ów jedyny jego testament, dzięki któremu uniwersalnym spadkobiercą został ksiądz dobrodziej... A maleńka Maria Sudak nie dostanie nic. Nie dość, iż dowie się kiedyś, że jest dzieckiem nieślubnym, że matkę miała zbrodniarkę, jeszcze będzie musiała cierpieć nędzę, choć jej ojciec był człowiekiem zamożnym, gdyż los nie pozwolił mu żyć dłużej o 10 godzin i zmienić testamentu..."

„Nie!" wtrącił ksiądz Dąbrowski. „Nie będzie ta biedna sierotka pokutowała za winy swoich rodziców, nie będzie cierpiała nędzy, bo ja tego spadku nie przyjmę i niech on jej służy."

„Czy ksiądz to mówi serio?"

„Ja nigdy nie żartuję, panie mecenasie."

„I ksiądz naprawdę chce zrezygnować z tego spadku?"

„Już powiedziałem. Jeśli to trzeba oświadczyć formalnie, na piśmie, proszę przygotować odpowiednią deklarację, którą ja zaraz podpiszę."

„Jeśli ksiądz może sądzi, że spadek wynosi kilkaset, lub kilka tysięcy dolarów, to muszę go wyprowadzić z błędu; majątek zostawiony przez Macieja Cholewę przedstawia wartość przeszło 60,000 dolarów!"

„Choćby wynosił sześć milionów, nie zmienię, tego, co powiedziałem."

Nowojorski adwokat kręcił głową i nie taił swojego zdumienia.

„Jadąc tu, — wyznam szczerze — marzyłem o tym, aby ksiądz okazał się człowiekiem szlachetnym i zechciał oddać sierocie chociażby piątą, lub szóstą część spadku, lecz stanowczo nie przeczułem, że spotkam się z tak nadludzką wspaniałomyślnością!"

„Przesada, panie mecenasie. Nic w tym nadludzkiego, to tylko prosta ludzka uczciwość... No, pisz pan tę deklarację, bo muszę już zacząć myśleć o swoich parafialnych kłopotach."

„Słyszałem o nich coś niecoś od przypadkowego towarzysza podróży, który mnie tu przed chwilą przyprowadził i zapoznał z księdzem."

„A to bajczarz, gaduła!" mruknął ksiądz Dąbrowski pod adresem odnośnego swego parafianina i zaczerwienił się zabawnie, jakby zawstydzony, że ten obcy człowiek już wie o jego tarapatach z niedokończoną budową.

„I między innymi także dlatego, że teraz znam materialną sytuację księdza dobrodzieja, — nie mogę wykorzystywać jego obecnego nastroju aż do takiego maksimum, jak zrzeczenie się całego spadku. Nasza kancelaria adwokacka jest szeroko znana ze swej solidności... Niechże ksiądz nie przeczy tak uparcie i niech uszanuje ostatnią wolę zmarłego kolegi."

„Jego prawdziwie ostatnią wolą było, jak pan mecenas sam powiedział, poślubić tę kasjerkę, majątek zapisać przyszłemu dziecku, a poprzednio sporządzony testament przekreślić..."

„Tak, ale nie w całości! Do mego ojca, który w ów ostatni wieczór Macieja Cholewy był przy jego łożu, powiedział spadkodawca wy-

raźnie: ‘Niech pan przerobi testament tak, aby mój przyjaciel ksiądz Dąbrowski dostał legat w wysokości 10,000 dolarów, a cała reszta majątku, żeby przypadła dziecku.’ Ta reszta wyniesie ponad 50,000 dolarów, czyli procenty od tej sumy najzupełniej wystarczą na dostatnie utrzymanie sieroty. Księdzu zaś ów legacik przyda się na pewno.“

„Bynajmniej. Ja niczego nie potrzebuję dla siebie.“

„Dla siebie może nie, lecz dla kościoła, którego budowa jest nie ukończona przydadzą się te pieniądze z pewnością. I dla szkoły i dla sierocińca, o którym cuda mi opowiadał ów towarzysz podróży. Ileż to sierot będzie mogło mieć zapewnione utrzymanie, dzięki tej małej cząstce spadku!“

Wymowny adwokat nareszcie odnalazł „achillesową piętę“ księdza Dąbrowskiego i ciągłymi aluzjami do sierocej niedoli rozproszył jego skrupuły. Stanęła więc ugoda tej treści, że ksiądz Dąbrowski przyjmie tylko 10,000 dolarów, a całej reszty spadku zrzeka się na rzecz małoletniej Marii Sudak.

„A może księdzu przydałaby się teraz jakaś zaliczka na poczet tych dziesięciu tysięcy, które mój ojciec podejmie z depozytu sądowego i przyśle tutaj w ciągu paru tygodni? No, proszę powiedzieć szczerze.“

„Ej, kiedy doprawdy... Hm, rzeczywiście muszę w tę sobotę zapłacić za cegłę 400 dolarów, których nie mam skąd wydobyć, ale przecież...“

„Nie ma żadnych ‘ale’, tylko proszę mi wystawić kwit na $500 i schować tych oto pięć stu-dolarowych papierków do kieszeni całej na pewno,“ powiedział z uśmiechem adwokat, robiąc aluzję snadź do tego, że przed chwilą odwiedził ich w wagonie konduktor i ksiądz Dąbrowski znalazł swój bilet kolejowy aż w nogawce spodni, jako że kieszenie miewał stale poobrywane i dziurawe od noszenia gwoździ przy budowie.

Tak oto duże pieniądze rzeczywiście „z nieba spadły“ proboszczowi w Polonii i dzięki nim mógł skończyć budowę murowanego kościoła, szkoły, sierocińca i klasztorku dla Sióstr Felicjanek.

„No, teraz już nie zdołają tego podpalić,“ mówiły one.

Saluniści też widać byli tego zdania i przynajmniej na razie dali już za wygrane.

Na Lekcji

W ciszy nocnej na korytarzu w seminarium Polskim w Detroit rozległ się leniwy zgrzyt zegaru. Powoli wybił godzinę piątą. Z narożnej celi wychyliła się postać w czarnym palcie z dzwonkiem w ręku i spłoszyła dźwiękiem metalu ciszę nocną. W korytarzu i za ścianami cel do niego przytulonych rozległy się szmery, stąpania i trzaskanie drzwi. Z pośpiechem, lecz w milczeniu zaczęli wychodzić z cel klerycy i znikać we drzwiach kaplicy. Jak w korytarzu tak i w kaplicy panował jeszcze półmrok. Chłód wiał od ścian i jakaś ponurość czaiła się ze wszech stron.

Kiedy się wszystko uspokoiło, z jednej z cel wybiegł kleryk i szybko podążył do kaplicy, oglądając się ostrożnie na wszystkie strony. W tej samej chwili ukazał się w głębi korytarza wicerektor seminarium. Kleryk stanął jak wryty. Wicerektor się zafrasował.

„A to Dominus...! Bene, bene...“ Kleryk milczał. Wicerektor ruchem ręki wskazał mu drzwi kaplicy. Kleryk niezgrabnie pokłonił się i znikł za drzwiami. Ks. Jan Mueller, on to był bowiem, zatrzymał się na korytarzu. Po paru minutach spoza zakrętu na korytarzu wychyliła się czyjaś głowa, ale wnet znikła. Kiedy się głowa znów wychyliła, wicerektora już nie było. Jak duch lekko przemknęła po korytarzu postać kleryka i zniknęła poza drzwiami kaplicy.

Ks. Mueller tymczasem szeptał do siebie: „Czego oni się mnie boją? Przecież ich nie zjem.“ Obszedł powoli cele kleryckie i udał się też do kaplicy.

Odśpiewano tam już: „Kiedy ranne wstają zorze,“ odmówiono pacierze i zaczęto medytację. Na ten dzień przypadała medytacja o grzechu pychy, ale co najmniej dwóch kleryków rozmyślało o czym innym. Jeden rozmyślał o tym, że wicerektor go wyśledził, iż się spóźnił na pacierze, drugi o tym, czy go kto widział, czy też nie widział, że się spóźnił. I w głowie obu wszczepiał się powoli bunt Lucypera: „Trudno wytrzymać. To szpiegowanie gra nam na nerwach...

„Pycha, — dobrze to gadać, że każdy kleryk powinien wystrzegać się pychy i być pokornym. Dobrze to gadać, że pycha popchnęła Ariusza, Nestoriusza, Eutychesa do herezji. Dobrze to gadać, że przez pychę Lutra powstał w Europie protestantyzm, itd, itd., ale kto by wytrzymał z takim ks. Muellerem, co człowiekowi od samego rana nie da spokoju. Toż to ubliża godności ludzkiej, którą przecież ma i kleryk, takie ciągłe podpatrywanie. Tego wytrzymać niepodobna. I teraz módl się, medytuj, ucz się, uświętobliwiaj i bądź pobożnym w takiej podłej atmosferze...“

Takie myśli zakradały się do głowy nie tylko dwóch winowajców, którzy w dniu tym zaspali i spóźnili się do kaplicy, ale i innych kleryków, którzy nie lubili ks. Muellera.

Za co go oni nie lubili? Trudno na to odpowiedzieć, bo przecież nic złego osobiście im nie zrobił. Nie miał wymowy i oto wszystko, co szkodziło mu u kleryków. Przeszkadzało im i to również, że on chodził koślawo, że szeplenił, że mówił: czoczo (Co? co?). Przezywano go złośliwie „Niksem,“ nie wiadomo nawet za co! Może za to, że w seminarium było nagminnie chłodno i głodno, a on rządził i poradzić na to nic nie mógł. Źle usposobiona do niego młodzież chodziła kwaśna i bez humoru. Wolała ks. Buhaczkowskiego.

Po medytacji i po mszy św. wszyscy udali się na śniadanie, ale humory się nie poprawiły.

„To jest świństwo!“ zawołał nagle w refektarzu jeden z kleryków.

„Patrzcie, jaką oni dali nam dziś znowu kawę! To nie kawa, ale lura. To pomyje, nawet wcale nie zagrzane!“ Zerwał się i poszedł kłócić się z kucharką w kuchni.

Przekrzyczała go wnet jednak pyskata baba, która wówczas była kucharką i którą ks. Mueller sam tylko jeden mógł trzymać w karbach, bo się nawet rektorowi, ks. Dąbrowskiemu, odgryzała, tak że machał tylko ręką i omijał ją z daleka. Nie była to już owa poczciwa pani Kotecka, matka jednego z kleryków, która obchodziła się z nimi zawsze jak z własnymi dziećmi i starała się im dogadzać. Była to jakaś ksantypa, którą ks. Mueller skądciś wyrwał. „Ten ks. Mueller, ten ks. Mueller... On to winien jest wszystkiemu. Ks. Dąbrowski mu wierzy, bo to jego wychowanek. Od czasu, kiedy powrócił z Rzymu, pierwszą osobą jest w seminarium. Mówią, że jest bardzo zdolny, że zna dobrze teologię, że ma pamięć wyjątkową, że na pamięć umie całego Pana Tadeusza. A co z tego, kiedy w seminarium nikt go nie lubi. Szepleni sobie pod nosem na wykładach i poprawia sobie tylko mankiety, oglądając je raz po raz, kiedy zacznie mówić konferencję do kleryków. Ciągle zresztą niedomaga. I taki jest oto wicerektorem! A ks. Dąbrowski całymi dniami siedzi w klasztorze u Felicjanek.“

„Toż i dzisiaj nie wiadomo, czy się „Stary“ w seminarium pokaże.“ Tak mądrzyli sobie klerycy.

A tymczasem ks. Dąbrowski istotnie z samego rana ze mszą św. poszedł do klasztoru. Wiedział on trochę i domyślał się reszty, że klerycy narzekają na to i owo, lecz co miał robić? Nie rozerwie się przecież. Jest on przy tym już we wieku. Z internatkami w klasztorze da sobie radę, ale w seminarium trzeba sił młodych, zdolnych, ruchliwych, trzeba doktorów i teologów. Tak rozprawiał sobie w duszy i tak się uspakajał, wyręczając się w seminarium ks. Muellerem, a sam oddając się z zamiłowaniem swym ulubionym wykładom dla tak zwanych półsióstr i nieświęconych mateczek w klasztorze u Felicjanek.

Ot i dzisiaj poszedł tam z samego rana, choć go troska w duszy gryzła.

Dzwonek zadzwonił. Staruszek już z góry obmyślił sobie i postanowił, że dziś poświęci całą godzinę na ulubiony wykład swój o Matce Boskiej w poezji polskiej.

„Przeczytaj Mazia z trzeciej części Dziadów Mickiewicza opowiadanie kaprala o tym, jak to Hiszpanie wyrżnęli w karczmie śpiących Francuzów za to, że bluźnili Matce Boskiej, a darowali życie Polakowi za to, że bronił imienia Marii."

Mazia wśród internatek w klasztorze była ulubienicą ks. Dąbrowskiego. Jako chuchro jeszcze małe przyjechała do klasztoru i tęskniła wciąż za mamą. Płakała nieraz i skarżyła się ks. Dąbrowskiemu: „Ja chcę do mamy." Ks. Dąbrowski ją pocieszał i odtęskniła się powoli. Oczy miała wyraziste, mądre, błękitne. Pożerała na lekcji każde słowo. Deklamowała najlepiej z klasy. Wiedziała z góry, że będzie pierwszą, którą zapyta ks. Dąbrowski. Wstała śmiało z książką w ręku i zaczęła deklamować:

„...Każdy Francuz, jak podpije, beczy;
Jak zaczną tedy śpiewać wszyscy nic do rzeczy,
Siwobrode wąsale takie pieśni tłuste,
Aż był wstyd mnie młodemu!... Z rozpusty w rozpustę,
Dalej bredzić na świętych. Otóż z większych w większe
Grzechy włażąc, nuż bluźnić na Pannę Najświętszę —
A trzeba wiedzieć, że mam patent Sodalisa
I z powinności bronię Maryji imienia —
Więc ja im perswadować: „Stulcie pysk do bisa!"...
Więc umilkli, nie chcąc mieć ze mną do czynienia.
Ale no pan posłuchaj, co się stąd wyświęci.
Po zwadzie poszliśmy spać, wszyscy dobrze cięci.
Aż w nocy trąbią na koń, zaczną obóz trwożyć,
Francuzi nuż do czapek — i nie mogą włożyć,
Bo nie było na co wdziać, bo każdego główka
Była ślicznie odcięta nożem, jak makówka:
Szelma gospodarz porżnął, jak kury w folwarku.
Patrzę więc: moja głowa została na karku!
W czapce kartka łacińska — pismo nie wiem czyje:
„Vivat Polonus, unus defensor Mariae!"
Otóż widzisz pan, że ja tym imieniem żyje..."

Mazia usiadła. Ks. Dąbrowski zapytał klasy: „Czy to, co w tym wierszu opowiada nam Mickiewicz, stało się tak naprawdę, czy też tylko jest zmyślone i stać się mogło?"

Odpowiedziano hurmem natychmiast: „Zmyślone jest, lecz stać się mogło."

„Jak w poezji się nazywają takie zmyślone opowiadania?"

Powynajdywano różne nazwy: legenda, klechda, podanie, baśń, ballada, bajka.

Robiono ćwiczenia słownikowe. Ks. Dąbrowski z kolei zażądał, by internatki opowiedziały mu jakie legendy, które słyszały o Matce Boskiej. Prawie każda coś słyszała i z zapałem na wyścigi jedna przez

drugą opowiadała. Ks. Dąbrowski kazał wydobyć zeszyty i zapisywać po kolei tytuły opowiadanych legend, a gdy już zapisano ich z dziesięć, zatrzymał pochopne w opowiadaniu. Odczytano teraz wszystkie tytuły legend i stwierdzono, że jest ich jeszcze więcej, że wszystkie są bardzo piękne i bardzo miłe.

„O czym świadczy ta wielka ilość legend polskich o Matce Boskiej?“ zapytał się ks. Dąbrowski.

Zaczęto zgadywać to i owo, ale po paru minutach stanęło na tym, że to świadczy o niezmiernej miłości Polaków do Matki Boskiej.

Więc zapisano i na tablicy i w zeszytach: „Naród Polski czci i kocha Matkę Boską.“

Ale nieustępliwy ojciec Dąbrowski domagał się dalszej pracy umysłowej od internatek.

„Jakie jeszcze mamy poza legendami dowody miłości i czci dla Najświętszej Panny u narodu polskiego?“

Klasa poruszyła się znowu i zaczęto zasypywać ks. Dąbrowskiego dowodami.

„A ogłoszenie i koronowanie Matki Boskiej królową Polski. A nabożeństwo nasze majowe. A litania do Matki Boskiej i nabożeństwo różańcowe. A cudowne obrazy. A „ryngrafy“, krzyknęła Mazia i zaczęła opowiadać, że jej matka ma w domu „ryngraf“ po swoim dziadku. A cudowny medalik i szkaplerz Matki Boskiej. A objawienie się Matki Boskiej św. Stanisławowi Kostce. Jedna z internatek czytała o tym w książeczce. A Godzinki nasze do Matki Boskiej.“ W klasie aż błyskało od słów gorących. Wyczarowano w klasie zapach nabożeństwa majowego. Kazano grzmieć działom do Szwedów z murów klasztoru pod Częstochową. Włożono koronę na głowę Matki Boskiej Ostrobramskiej. Przypomniano ślubowanie króla Jana Kazimierza we Lwowie. Przypomniano rycerskie boje i bojową pieśń „Bogurodzica.“ Więc poruszył się ks. Dąbrowski. „Powtórzcie chóralnie pieśń Bogurodzica.“

Zaczęła się recytacja. Ale ks. Dąbrowski zerwał się na równe nogi: „Nie tak... Źle mówicie. To pieśń bojowa. Mówcie tak, jak ją mówili żołnierze nasi pod Grunwaldem.“

„Baczność! Naprzód marsz! Widzicie: W oddali połyskują hełmy zdradzieckich Niemców. A tu łopocą nasze sztandary. Naprzód... Za kraj! Za naród! Za Polskę! Na wroga! ‘Bogurodzica‘!“

No i uderzyła chóralnym głosem, jak dzwonnym echem cała klasa. Wyprostowały się młodzieńcze stopy wszystkich internatek, ściągnęły się ich małe piąstki jak z bronią w ręku i runęły na wroga z grzmiącym okrzykiem: „Bogurodzica Dziewica, Bogiem sławiona Maryja.“

Było to wszystko takie gromkie, przenikliwe, że ks. Dąbrowski aż cały się zaczerwienił i dojrzał, jak załzawiły się oczy co najwrażliwszych jego uczennic.

„Słysz modlitwę, jąż nosimy,
To dać raczy, jego prosimy“...

Wołał hymn chórem jakby o szumne, chorągwiane wielkie zwycięstwo polskie na polu walki.

Hymn ten uskrzydlił i ks. Dąbrowskiego i internatki.

Pozostawało zamknięcie lekcji. Ks. Dąbrowski odetchnął i rzekł półgłosem: „Tak... Bez wątpienia! Naród nasz polski czcił i miłował Bogarodzicę. I my ją czcijmy oraz kochajmy."

Uderzył dzwonek... Ks. Dąbrowski powoli zaczął wychodzić z klasy. Otoczyła go ze wszech stron gromadka rozentuzjazmowanych uczennic jego, a on uśmiechał się, jakby odmłodniał, całkiem zapomniał, że klerycy w seminarium narzekają na zły wikt i na nielubianego przez nich ks. Muellera i że spiskują.

Wychodził z lekcji zadowolony.

Nagle przystanął, bo mu się Mazia zbyt uprzykrzała.

„Ojciec bajeczki żadnej po lekcji nie opowiedział."

„A tyś mucha uprzykrzona. Ty o bajkach tylko myślisz, a nie o pracy. Naucz się lepiej tego wierszyka, który napisał niegdyś Brodziński:

‘Chociaż nie skończysz, ciągle rób!
Ciebie, nie dzieło, zamknie grób‘!"

Zaskoczona niezwykłą odpowiedzią ojca Mazia za wygrane dała na dziś bajeczce i zaczęła medytować nad wierszykiem Brodzińskiego, którego jej uczyć się kazał. Usłyszała go pierwszy raz. Dlaczego ciągle trzeba pracować, ciągle coś robić, choć się nie skończy? Podaje widać rację na to ten wierszyk drugi: „Ciebie, nie dzieło, zamknie grób." Mazia nie chce, żeby ją w grobie kto zamykał. Niechaj zamknie lepiej dzieło. Po co zresztą w ogóle myśleć o czymś takim. Mazia nie lubi grobów i trumny. Co też dziś ojcu przyszło do głowy? Straszy ją grobem. Mazia tego nie rozumie. Ale rozumie to ks. Dąbrowski.

Już od dłuższego czasu wciąż myśli o tym. A gdy otrzymał niedawno właśnie ostatni list od Merglickiego, wiedział, zrozumiał i doszedł wreszcie do przekonania, że się los jego już ostatecznie wkrótce rozstrzygnie. Ach ten Merglicki! Ach ten Merglicki! Ten żyd, niemiec, ukrainiec, co kto chce byle nie Polak! Od czasu kiedy jeszcze w Europie zniknął mu z oczu, okradłszy go i zostawiwszy chorego u owego kowala Niemca niegdyś w Europie, nigdy się z nim ks. Dąbrowski osobiście już nie spotkał. A jednak ten Merglicki, ten Immerglück był zawsze cieniem chociaż dalekim, lecz nieodstępnym ks. Józefa Dąbrowskiego w całym życiu w Ameryce, zwiastującym mu wszędzie za każdym razem, gdy się doń zbliżył, jakieś nieszczęście. Ks. Dąbrowski starał się o nim zapomnieć już raz na zawsze. Niestety stale się przypominał. Był zawsze cieniem. Działał z ukrycia. Otwarcie nigdy się w Ameryce z ks. Dąbrowskim nigdzie nie spotkał, ale że żyje i o nim ciągle, ciągle pamięta, że działalność jego śledzi, że ją gdzie tylko może i o ile tylko może wszędzie krzyżuje, o tym listownie od czasu do czasu go zawiadamiał. Powziął widać już w swej młodości jeszcze w Polsce, jeszcze w powstaniu jakąś nienawiść dziką do niego i stale go prześladował w Ameryce.

Zaraz pierwszego dnia, kiedy ks. Dąbrowski wylądował jako kapłan w Ameryce w Nowym Yorku i kiedy odwiedził swego kolegę Maćka Cholewę w pamiętny ów dzień, a raczej wieczór Sylwestrowy w Maćkowej tawernie Nowojorskiej, opowiadał mu Maciek owe oszczerstwa, jakie Merglicki o nim rozszerzał i jakimi w oczach Cholewy starał się go w Ameryce zohydzić. Wyjaśnił wówczas ks. Dąbrowski Cholewie wszystko, co i jak było. Nie wierzył, żeby kiedy Merglicki mógł w czym jemu, ks. Dąbrowskiemu w Ameryce tutaj zaszkodzić, boć drogi ich raz na zawsze się rozeszły i nie spotkają się na pewno. On jest kapłanem i jedzie duszpasterzować gdzieś na farmach hen w Wisconsinie, a Merglicki jak opowiadał o nim Cholewa założył pismo, jest społecznikiem i politykiem, wszedł nawet w sferę amerykańską gdzieś w wielkim mieście, robi karierę i jest na drodze do wzbogacenia się również szybko, jak Cholewa. Nigdy na pewno się nie spotkają. I nie spotkali się osobiście. Ks. Dąbrowski zagrzebany w duszpasterstwie swym w Polonii zapomniał wnet o Merglickim, ale natomiast Adolf Merglicki, albo raczej Adolf Immerglück nie zapomniał, owszem przypomniał sobie i wnet wyśledził i zajął się w Polonii na farmach ks. Dąbrowskim.

Jeden z owych salunistów, z którymi wojnę w Polonii prowadził niegdyś jako proboszcz ks. Dąbrowski, był agentem gazety polskiej wydawanej przez Merglickiego. Od tego salunisty, który nazywał się Imanuelem i był głównym przywódcą salunistów i oponentów księdza w Polonii, dowiedział się wnet Merglicki, że księdzem w Polonii jest jego dawny kolega z powstania w Polsce, Józef Dąbrowski, którego on w Europie po powstaniu podle okradł i przed którym nieostrożnie zdradził się ze swoimi przekonaniami.

Obawiając się, żeby ks. Dąbrowski nie zaszkodził czasem pismu i rozległym już wówczas wpływom Merglickiego w towarzystwach polskich w Ameryce, wyjawiając, co wie o nim, choć takie rzeczy i do głowy nawet ks. Dąbrowskiemu nigdy nie przyszły, postanowił Merglicki za wszelką cenę ubić ks. Dąbrowskiego. On to z daleka, lecz nie mniej czynnie przez swoje rady i swoje listy kierował walką salunistów w Polonii z ks. Dąbrowskim, on to skierował tam owego niezależnego księdza Frydrychowicza, a miał przytem taką czelność, że gdy się przekonał, że ks. Dąbrowski żadnych krzywd swoich i na nikim nie dochodzi, to napisał mu wprost wówczas, że to jest prezent od Merglickiego, żeby o nim nie zapomniał.

Kiedy w Detroit po założeniu Seminarium Polskiego ks. Dąbrowski zaczął wydawać tygodnik „Niedziela," Merglicki mu znów się przypomniał. „Nie ujedziesz ze swą Niedzielą," pisał mu wówczas. „Miałem w ostatnich latach trochę kłopotów i zapomniałem o twym istnieniu, a ty myślisz, że możesz sobie pozwalać już na wszystko. Przeniosłeś się do Detroit razem ze swymi Felicjankami, założyłeś seminarium a teraz nawet już i gazetę. Ja ci pokażę!"

Rozpoczęły się i w prasie, i pośród ludu, i co dziwniejsze, nawet wśród kleru niesamowite jakieś ataki na ks. Dąbrowskiego, po owym liście Merglickiego. Ks. Dąbrowski nie upadł jednak wówczas na du-

chu. O liście Merglickiego nikomu wcale nigdy nie wspomniał. Walczył. Szło ciężko, ale zwyciężał. Zbrodnie mu różne zarzucano. Pisano nań anonimy i nie-anonimy z donosami do władz świeckich i kościelnych, aby go zgnębić. Wydawano nawet paszkwile, żeby przedstawić ogółowi, że to człowiek podejrzany, którego z Seminarium trzeba usunąć. Nic nie pomogło. Pomimo wszystko Seminarium się wciąż rozrastało. Bóg się widocznie nim opiekował. Lata szły już za latami, ks. Dąbrowski triumfował.

Aż oto dostał znowu niedawno list Merglickiego. Był lakoniczny: „Piszę Ci po raz ostatni. Zabiorę się do Ciebie teraz z innej strony. Zrób testament. Albo zamknij swoją budę. Dość żartów ze mną.“ Podpisana była pod tym listem ręcznie tylko jedna litera: „M“. Ks. Dąbrowski reszty sam się już domyślił. Nie wiedział, z jakiej strony Merglicki walkę nową z nim rozpocznie i jakich się środków chwyci, jakich narzędzi i jakich ludzi do osiągnięcia celu użyje. Rozumiał on tylko tyle, że dzieło jego jest zagrożone więcej, niż przedtem kiedykolwiek. Z jakiej strony przyjdzie ten nowy stanowczy atak, czy od zewnątrz, czy od wewnątrz, nad tym się na próżno zastanawiał. To tylko wiedział, czuł i rozumiał, że może dzieło swoje ocalić jedynie za cenę życia. Krzyżem leżał w kaplicy długo w nocy coraz częściej i nareszcie zrobił wybór. Nie wiedziała o tym Mazia. Nie wiedział o tym nikt po za nim. Wiedział o tym Bóg tylko jeden. Ks. Dąbrowski zdradził się z tym mimowoli, ale nikt go nie zrozumiał, nikt nawet wagi do słów jego nie przywiązywał, kiedy wychodząc z pamiętnej lekcji wspomniał wiersz ów Brodzińskiego:

„Choć nie skończysz, ciągle rób!
Ciebie, nie dzieło, zamknie grób!“

KONIEC.

ERRATA

Na stronicy 30, wiersz 13 od dołu zamiast słów: „w poglądach niektórych sfer kościelnych,“ powinno być: „w poglądach niektórych księży w Ameryce.“

Na stronicy 114, wiersz 13 od dołu zamiast słów: „nie tyle podniesienie poziomu szkolnego, ile raczej ujednostajnienie go i zaprowadzenie wszędzie wykładów w języku angielskim,“ powinno być: „nie tylko podniesienie poziomu szkolnego, ale także ujednostajnienie go i zaprowadzenie wszędzie wykładów również i w języku angielskim.“

Na stronicy 117, wiersz 14 od góry zamiast słów: „powstawanie parafii polskich z językiem dla niego obcym ‘unisono’ w diecezji mu zakłóca,“ powinno być „powstawanie parafii obcojęzycznych ‘unisono’ w diecezji zakłóca.“

Na stronicy 130 podana jest łacińska kopia petycji ks. Moczygęby do ojca św. Leona XIII zamiast jej oryginału w języku włoskim, troskliwie przechowywanego w Seminarium Polskim w Orchard Lake. W monografii o ks. Dąbrowskim, który przy zakładaniu Seminarium podchodził do tej sprawy raczej lokalnie, nie przedstawia to wielkiej różnicy, ale dla historii tegoż Seminarium oryginał ma znaczenie bardzo duże, daleko większe aniżeli urzędowa kopia łacińska z Propagandy. W tej ostatniej tłumaczenie oryginału jest niedokładne i zamiast wyrazu „seminarium“ użyty jest wyraz „kolegium“. Dla ścisłości i uniknięcia wszelkich nieporozumień, jeżeli chodzi o historię i podstawy prawne istnienia Seminarium Polskiego w Ameryce, podajemy tu Facsimile dokumentu tego w oryginale włoskim z własnoręczną rezolucją papieża Leona XIII.

Na stronicy 134 podany jest fakt niestwierdzony przez autora książki, że ks. Machdzicki był wicerektorem seminarium w Dublinie. Możliwa jest pomyłka w manuskrypcie ks. Dąbrowskiego tak, że zamiast w Dublinie powinno być *w Lublinie.*

Na stronicy 148, wiersz ostatni u dołu zamiast: „Ks. biskup F. Ress,“ powinno być „Ks. biskup F. Rese.“

Na stronicy 162, wiersz 5 od dołu zamiast: „z którym biskupi amerykańscy musieli się wówczas liczyć, jako z bezpośrednim zwierzchnikiem,“ powinno być: „z którym katolicy amerykańscy musieli się wówczas więcej liczyć, jako z bezpośrednim ich zwierzchnikiem.“

Na stronicy 181, wiersz 19 od dołu po nazwisku: Władysław Szczukowski dodać nazwiska: „Mieczysław Tymek i Michał Kozłowski.“

Na stronicy 234 list ks. Dąbrowskiego podany jako pisany z Rzymu do ks. dra Barabasza powinien być podany jako pisany *do p. dra Laskowskiego.*

FACSIMILE PETYCJI KS. MOCZYGĘBY I REZOLUCJI LEONA XIII

Beatissimo Padre.

Il Padre Leopoldo Moczygemba dell'Ordine dei Minori Conventuali, Missionario Apostolico negli Stati Uniti dell'America Settentrionale, e presentamente per poco tempo Penitenziere in San Pietro per la lingua Inglese, prostrato al bacio del Sacro Piede, umilmente espone alla V.S., che, siccome nell'America vi sono più di ducento mila Polacchi, sparsi per diversi stati, e li mancano sufficienti Sacerdoti della stessa nazione pei loro spirituali bisogni, che sono grandi, egli intende di stabilire un Seminario per la gioventù della medesima nazione che si dedicherà alla via ecclesiastica, e siccome egli deve cominciare colle proprie sue limosine ed il resto spera in ajuto di Dio e nella pietà dei fedeli, perciò supplica la V.S. a degnarsi benignamente concedergli la facoltà di

poter spendere a tal scopo tutte le sue limosine che presentamente possiede e tutto quel che potrà avere nell'avvenire.

Che etc.

Alla Sua Santità
Leone XIII
felicemente regnante.

" Ex aedibus Vaticanis 14 Jan. 1879 "

— Annuimus in omnibus —

Juxta petita —

Leo PP. XIII

W JUBILEUSZOWYM HOŁDZIE DLA KS. JÓZEFA DĄBROWSKIEGO

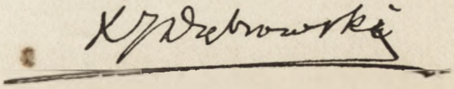
150 egzemplarzy tej książki wydano w oprawie skórkowej na zamówienie następujących patronów:

(nazwiska podane w porządku zgłaszania się z zamówieniami)

Ks. Kanonik Kazimierz Gronkowski, Chicago, Ill.
Ks. Komandor Ludwik Grudziński, Chicago, Ill.
Ks. Proboszcz Franciszek Karabasz, Chicago, Ill.
Ks. Proboszcz Stanisław M. Cichowski, Batavia, N. Y.
Ks. Proboszcz Jan N. Zwierzchowski, Chicago, Ill.
Ks. Prałat Franciszek Kasprzak, Bufalo, N. Y.
Ks. Biskup Stefan Woźnicki, Detroit, Mich.
Ks. Proboszcz Wojciech Żądała, Detroit, Mich.
Ks. Proboszcz Edward Wróblewski, Buffalo, N. Y.
Ks. Prałat Józef C. Dworzak, Yonkers, N. Y.
Ks. Kapelan Artur H. Krawczak, Detroit, Mich.
Ks. Proboszcz Ludwik Żurek, Detroit, Mich.
Ks. Komandor Władysław Krakowski, Bay City, Mich.
Ks. Proboszcz Franciszek Guzy, Buffalo, N. Y.
Ks. Proboszcz Józef J. Stelmach, Buffalo, N. Y.
Ks. Proboszcz Władysław A. Krych, Wyandotte, Mich.
Ks. Proboszcz Aleksander Ogonowski, Lowell, Mass.
Ks. Proboszcz Józef O. Karabasz, Joliet, Ill.
Ks. Kapelan Aleks. J. Augustynowicz, Ray Brook, N. Y.
Ks. Prałat Lucjan Bojnowski, New Britain, Conn.
Ks. Proboszcz Piotr P. Dobek, Central Falls, R. I.
Ks. Proboszcz Piotr P. Walkowiak, Hamtramck, Mich.
Ks. Proboszcz Edmund Kempiński, Adams, Mass.
Ks. Proboszcz Wiktor J. Gorzel, St. Louis, Mo.
Ks. Edward J. Miotke, Detroit, Mich.
Ks. Proboszcz Zygmunt F. Olszewski, Hudson, N. Y.
Ks. Kapelan Adam Koprowski, Plymouth, Mich.
Ks. Proboszcz M. Monkiewicz, Philadelphia, Pa.
Matka Maria Angela, Prow. SS. Fel. Coraopolis, Pa.
Ks. Antoni Kuryło, Camden, N. J.
Ks. Proboszcz Ignacy Gapczynski, La Porte, Ind.
Ks. Prałat B. Góral, Milwaukee, Wis.
Matka Maria Tarcylia, Prow. SS. Fel. Plymouth, Mich.
Ks. Proboszcz Franciszek A. Duch, New London, Conn.
Ks. Prałat Władysław L. J. Krzyżosiak, Orchard Lake, Mich.
Matka Maria Aleksa, Prow. SS. Fel. Lodi, N. J.
Ks. Proboszcz Wincenty Dudek, Lackawanna, N. Y.
Matka Maria Angela, Prow. SS. Bern. Reading, Pa.
Matka Maria Jolanta, Prow. SS. Fel. Chicago, Ill.
Ks. Proboszcz Władysław Sliwiński, Pittsburgh, Pa.
Konsul Generalny Dr. Karol Ripa, Chicago, Ill.
Matka Maria Scholastyka, Prow. SS. Fel. Buffalo, N. Y.
Matka Maria Ryszarda, Prow. SS. Naz. Chicago, Ill.
Mecenas Artur Kościnski, Detroit, Mich.
Prezes Jan J. Olejniczak, Muzeum Z. P. R. K. w Ameryce, Chicago, Ill.
Stowarzyszenie Polaków w Ameryce, Milwaukee, Wis.
Ks. Profesor Władysław M. Szanowski, Lwów, Polska.
Ks. Profesor Jan Józef Buszek, Orchard Lake, Mich.
Ks. Dr. Jan Sliwowski, South Amboy, N. J.
Ks. Proboszcz Dr. A. Lekarczyk, Webster, Mass.
Ks. Proboszcz Paweł B. Frydrych, Dayton, Ohio.
Ks. Profesor Dr. Józef Gierut, Orchard Lake, Mich.
Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w Ameryce, Chicago, Ill.
Ks. Proboszcz Stanisław Rysiakiewicz, Jamaica, L. I., N. Y.
Ks. Proboszcz Hipolit Zawalich, Norwood, Mass.

Ks. Józef Tompór, Detroit, Mich.
Ks. Proboszcz Franciszek Wąsik, Niagara Falls, N. Y.
Matka Maria Annunciata, Prow. SS. Fel. Enfield, Conn.
Siostry Zmartwychwstanki, Castleton, N. Y.
Ks. Prof. A. Maksimik, Orchard Lake, Mich.
Ks. Proboszcz Franciszek A. Kapica, Sayreville, N. J.
Bractwo Panien z parafii św. Szczepana, Detroit, Mich.
Ks. Proboszcz Edward Maisel, Detroit, Mich.
Dyrektorka Klara Świeczkowska, Detroit, Mich.
Ks. Proboszcz Julian Moczydłowski, Pulaskifield, Pierce City, Mo.
Ks. Prałat Vitus J. Maśnicki, Elizabeth, N. J.
Oddział Drugi Stowarzyszenia Pomocniczego Pań przy Alumnacie Seminarium Polskiego, Detroit, Mich.
Ks. Prowincjał Wawrzyniec Cyman, Chicopee, Mass.
Ks. Proboszcz Antoni Pinciurek, Schenectady, N. Y.
Ks. Stanisław J. Wysoczyński, Dunkirk, N. Y.
Ks. Proboszcz Jan Felczak, Pine Island, N. Y.
Ks. Prałat Szymon Ponganis, Gaylord, Mich.
Ks. Proboszcz Walerian Fligier, Northampton, Mass.
Ks. Jan P. Kochanowski, Northampton, Mass.
Ks. Prałat S. E. Niedbalski, Erie, Pa.
Ks. Proboszcz Kazimierz Cieślewicz, Virginia, Minn.
Ks. Prałat Ignacy Szudrowicz, Jersey City, N. J.
Ks. Proboszcz Jan Mioduszewski, Landsford, Pa.
Ks. Jan Ligenza, Philadelphia, Pa.
Ks. Proboszcz Józef Macek, Phoenixville, Pa.
Doktor Melchior M. Mszanowski, Erie, Pa.
Mecenas Władysław Siwiński, Baltimore, Md.
Ks. Proboszcz Józef Knitter, Milwaukee, Wis.
Pan Stanisław J. Cielec, Cleveland, Ohio.
Ks. Proboszcz A. Ciechański, Colden, N. Y.
Ks. Proboszcz A. M. Habrowski, Portage, Pa.
Ks. Proboszcz W. Borkowicz, Detroit, Mich.
Ks. Prałat B. Puchalski, Brooklyn, N. Y.
Ks. Proboszcz W. W. Stancelewski, New Castle, Pa.
Ks. Proboszcz Józef Amlicki, Elizabeth, N. J.
Doktor B. W. Pasternacki, Detroit, Mich.
Ks. Prof. dr. J. Rybinski, Orchard Lake, Mich.
Ks. Proboszcz Edward Kubiak, Montreal, Wis.
Matka Maria Assumpta, SS. Fel. Chicago, Ill.
Zjednoczenie Polsko-Narodowe, Brooklyn, N. Y.
Ks. Proboszcz Jan Oszajca, Clinton, Mass.
Ks. Proboszcz A. Mańkowski, Alexis, Ill.
Ks. Proboszcz F. J. Kachnowski, Kapelan Zj. P. R. K., Chicago, Ill.
Ks. Stanisław J. Duda, Edgeley, North Dakota.
Ks. Edward Bujak, Detroit, Mich.
Ks. Proboszcz Sebastian J. Jerzak, Conshohocken, Pa.
Ks. Proboszcz Jan A. Grembowicz, Phoenix, Ill.
Zjednoczenie Polaków w Ameryce, Cleveland, Ohio.
Związek Narodowy Polski w Ameryce, Chicago, Ill.
Związek Polek w Ameryce, Chicago, Ill.
Ks. Proboszcz Alfons Skoniecki, Turners Falls, Mass.
Ks. Proboszcz Jan Langow, South Deerfield, Mass.
Ks. Proboszcz Jan Apolinary Rykaczewski, Braddock, Pa.
Ks. Proboszcz M. Bednarz, Phoenix, Ill.
Ks. Proboszcz Stanisław J. Słominski, Olyphant, Pa.
Ks. Proboszcz Antoni Wojcieszczuk, Suffield, Conn.
Dr. Bronisław Smykowski, Bridgeport, Conn.
Dr-owa Cecylia Smykowska, Bridgeport, Conn.
Ks. Proboszcz Gerwazy Kubec, Brooklyn, N. Y.
Ks. Profesor A. Cendrowski, Orchard Lake, Mich.

DEO GRATIAS



ILUSTRACJE

SPIS RZECZY